

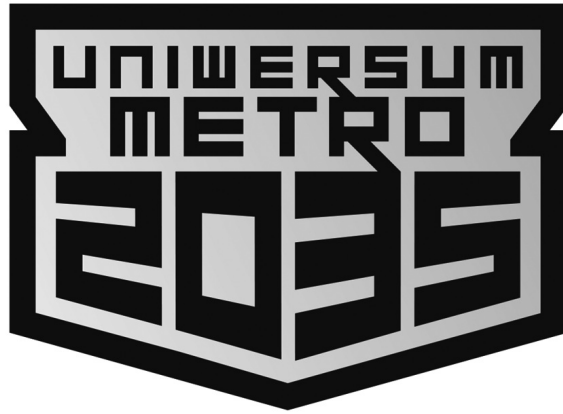
DMITRY GLUKHOVSKY

UNIVERSUM  
METRO

2033

ROBERT J. SZMIDT  
RIESE

**DMITRY GLUKHOVSKY**



**ROBERT J. SZMIDT**  
**RIESE**

 **Insignis**

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2019

Copyright © Robert J. Szmids, 2019

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii

Dmitry Glukhovsky, 2018–2019

Projekt okładki

Paweł Bondarenko

Plan Gór Sowich

Leonid Dobkacz

Projekt polskiego logotypu serii

Tomasz Brzozowski

Redakcja

Urszula Gardner

Korekta

Pracownia 12 a

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-66360-03-7



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 6362519

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[twitter.com/insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media) (@insignis\_media)

[instagram.com/insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media) (@insignis\_media)

Snapchat: insignis\_media

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Prolog

1 Tory

2 Nad Otchłanią

3 Bocznica

4 Pułkownik

5 Przedsiónek raję

6 Noc

7 Brygada

8 Telefon

9 Niebo

10 Decyzja

11 Ucieczka

12 Wieża

13 Radiostacja

14 Suma wszystkich strat

15 Dolina

16 Cienie

17 Namierzeni

18 W matni

19 Dwa fronty

20 Narada

21 Sobótka

22 Infe-stacja

23 Wariat

24 Pola śmierci

25 Rozmowa

26 Droga do Riese

27 Komnata

28 Karbala

Mapa Gór Sowich A.D. 2035

*Świat zniewolony do samego dobra  
jest takim samym przybytkiem  
niewoli  
jak świat zniewolony do samego  
zła.*

Stanisław Lem, 1921–2006

## Prolog

Nie zwolniła na widok zakrwawionej Aurory, choć dostrzegła w jej oczach najpierw rodzącą się nadzieję, a potem, gdy stado bestii wypadło zza narożnika korytarza, strach, bezgraniczny strach, który wyzierał z wielkich jak spodki źrenic.

Przeskoczyła nad konającą przyjaciółką, trącając krawędzią buta wyciągniętą w rozpaczliwym geście dłoni. Ten trwający zaledwie ułamek sekundy kontakt zabolął, jakby ktoś smagnął ją biczem przez plecy. Jednakże nie uległa panice, gdy zduszony krzyk za jej plecami urwał się jak nożem ucięty. Nie mogła sobie na to pozwolić. Wiedziała, że jedyną szansą na ocalenie życia jest ucieczka, gnała więc przed siebie, nie bacząc na nikogo i na nic. Przebierała nogami tak szybko, że momentami traciła nad nimi kontrolę, jakby układ nerwowy nie był w stanie nadążyć za frenetycznymi ruchami mięśni, lecz – ku jej bezgranicznemu zdumieniu i nie mniejszemu przerażeniu – to nadal nie wystarczało!

Bestie nie odpuszczały, były tuż za nią. Wyprzedzała



je już tylko o kilka kroków, ale i ta, jakże niewielka, odległość malała z każdą chwilą, z każdym krokiem, z każdym oddechem – może nie w zastraszającym tempie, lecz systematycznie.

Na szczęście miała nad potworami przewagę; jedną tylko, ale za to naprawdę znaczną. Urodziła się w tym mrocznym miejscu, tutaj się też wychowała, krótko mówiąc: znała plataninę tuneli jak własną kieszeń. Wiedziała, jaką drogę wybrać, by do maksimum wykorzystać ten cenny atut.

Zaślepione żądzą krwi bestie z powierzchni, niewątpliwie szybsze i zwinniejsze, gnały przez labirynt na ślepo, nie mając bladego pojęcia, co kryje się za kolejnym załomem betonowej ściany. Nie wiedziały też, jak brać zakręty, by nie wpaść na niewidoczne wcześniej przeszkody, tak więc już kilkakrotnie dały się zaskoczyć i ugrzęzły na przewężeniach, między przeciwpożarowymi skrzyniami z piaskiem albo innymi rupieciami, dzięki czemu mogła odzyskać choć część dystansu traconego na długich prostych.

Tylko dzięki posiadanej wiedzy nie została jeszcze pochwycona i zabita, jak dziesiątki jej sąsiadów i współtowarzyszy, niemniej zdawała sobie sprawę, że fortuna nie może i nie będzie sprzyjać jej w nieskończoność. Wystarczy przecież jedno potknięcie,

chwilowa utrata równowagi, poślizgnięcie na kałuży wciąż świeżej krwi, a te wyjące potępieńczo ścierwa opadną ją jak przysłowiowa szarańcza – czymkolwiek była szarańcza – i... rozerwą na strzępy, jak przed momentem Aurorę.

Skręciła, nie zwalniając, w kolejną odnogę przelotowego korytarza. Wybiła się natychmiast z lewej nogi, by bez zmiany tempa przeskoczyć nad blokującymi przejście beczkami, które tego dnia miały posłużyć konserwatorom do spuszczenia wody z ukrytych za betonową ścianą zbiorników. Przeleciała nad wysokimi prawie na metr plastikowymi pojemnikami jak rasowa płotkarka, modląc się w myślach, by nie zaczepić stopą o trudną do pokonania, nierówną przeszkodę.

Udało się! Wylądowała twardo, może ciut za sztywno, lecz nie wypadła z rytmu, dzięki czemu niemal natychmiast udało się jej ponownie przyśpieszyć. Zdażyła pokonać połowę krótkiej prostej, zanim zza narożnika wypadło czoło tabunu charczących głośno bestii.

Nie obejrzała się, ponieważ to groziło zmyleniem kroku, nadstawiła za to ucha. Spodziewała się łoskotu, z którym prześladowcy wpadną na niespodziewaną przeszkodę, i usłyszała go, lecz nie wszystko poszło zgodnie z jej życzeniem. Pierwsze potwory lądowały właśnie z metalicznym stukotem na betonowej wylewce za

beczkami. Dopiero po ciągnącej się w nieskończoność sekundzie z głębi korytarza dobiegł pełen wściekłości skowyt tych ścierw, które gnały pośrodku stawki i mając przesłonięty widok, nie zdołały w porę dostrzec zagradzających im drogę beczek.

Tak czy owak zdołała podzielić ścigające ją stado, ale choć bestii za nią było teraz o wiele mniej, te najzwinniejsze i najbardziej zacięte nadal siedziały jej na karku – a co gorsza, dzięki chwilowemu przetrzebieniu paradoksalnie zyskały większą swobodę ruchu, mogły więc sprawniej pokonywać kolejne zakręty klaustrofobicznie niskich, wąskich korytarzy i znów z każdą chwilą skracaly dystans dzielący je od przerażonej ofiary.

Strach dodał jej skrzydeł. Nigdy wcześniej nie stanęła oko w oko ze śmiercią. Nigdy wcześniej te straszne potwory, o których tyle się nasłuchiwała, nie znalazły drogi do tuneli będących jej domem. Teraz jednak szalały wszędzie wokół. W morderczym szale zabijały każdego, kogo napotkały na swojej drodze. Widziała to na własne oczy, słyszała na własne uszy, nawet teraz, w tych odludnych zaułkach, przez które fala okrutnych drapieżców przetoczyła się kilka minut temu. Krzyki mordowanych zdawały się dobiegać zewsząd: z głębi łączników prowadzących do sąsiednich sektorów, z za

grubych ścian i uchylonych włazów mijanych w szaleńczym pędzie pomieszczeń.

Bestie zaatakowały przed chwilą, wpadając do kompleksu ze wszystkich stron równocześnie, a te, które obrały za cel sektor mieszkalny, wdarły się do niezabezpieczonych w żaden sposób kwater, tak więc okoliczne korytarze – na jej szczęście – świeciły już pustkami, jeśli nie liczyć leżących tu i ówdzie zmasakrowanych potwornie ciał pechowców – czy też może szczęściarzy – zabitych szybko i w miarę bezboleśnie podczas pierwszej fazy zaskakującego szturm.

Wrzaski i skowyty odbijające się setnym echem od otaczających ją ścian świadczyły o ogromie okrucieństwa, jakiego musieli doświadczać ludzie zamieszkujący te tunele. Ci sami, którzy jeszcze wczoraj zapewniali ją, uśmiechając się lekceważąco, że nic takiego nie może się wydarzyć, że nic jej nie grozi, dopóki nie spróbuje wyjść na wypaloną atomowym ogniem powierzchnię. To ich lamenty słyszała teraz, to ich głosy milkły kolejno, urywając się gwałtownie, raz na zawsze.

Nie mogła podzielić ich losu!

Nie tutaj i nie teraz!

Potrzebowała jeszcze tylko chwili, pół minuty, nie więcej, by zyskać szansę na umknięcie pogoni. Od

ocalenia dzieliły ją dwa zakręty, za którymi – jeśli tylko dopisze jej szczęście – znajdzie upragnione schronienie.

Na najbliższym rozwidleniu skręciła w prawo i tylko cudem zdołała ominąć otwarty na oścież właz, który blokował trzy czwarte wąskiego podrzędnego korytarza. Nie zerknęła nawet w kierunku wnętrza mijanej kwatery, nie musiała tego robić, by wiedzieć, jaki los spotkał jej lokatorów. Chwilę wcześniej, jeszcze przed zakrętem, przeskoczyła nad zwłokami mężczyzny, który tu mieszkał. Krew z licznych ran na jego ciele nie zdążyła się jeszcze rozlać w szeroką kałużę, mogła więc pokonać tę makabryczną przeszkodę, nie zwalniając z obawy przed fatalnym w skutkach poślizgiem. Nieludzkie wycie dobiegające zza otwartego wejścia uzmysłowiło jej, jaki koniec spotka żonę i obie córki zmasakrowanego sąsiada.

Zaczerpnęła głębiej tchu, drżąc na myśl, że jeśli tylko pozwoli się złapać, czeka ją taki sam, a może nawet gorszy koszmar. Zapanowała nad falą paniki, zmuszając ciało do jeszcze większego wysiłku, choć pulsująca w uszach krew zaczynała zagłuszać wszelkie inne dźwięki, nawet skowyty zbliżających się znów prześladowców.

Nagle poczuła ulgę, gdyż dotarło do niej, że otwarty na oścież właz może być zesłaną przez los upragnioną szansą. Skoro ona minęła go z takim trudem, bestie z pewnością stracą tam kolejne sekundy, co pozwoli jej na zwiększenie

dystansu o kilka jakże cennych kroków, a to powinno wystarczyć do realizacji śmiałego planu.

Tak.

Tak!

Dobiegający z za jej pleców metaliczny klang, po którym nastąpił wściekły ryk zawodu, zabrzmiał w jej uszach milej od akordów najpiękniejszej muzyki. Szczęście nadal jej dopisywało. Widziała już miejsce, w którym musi skręcić po raz ostatni. Gnała co sił w nogach ku rozwidleniu korytarzy, nie zwalniając ani na moment, choć powinna była to zrobić. Jeszcze krok i zniknie prześladowcom z oczu...

Weszła w zakręt ze zbyt wielką prędkością, uderzając ramieniem o ścianę i tracąc równowagę – tak to przynajmniej musiało wyglądać z perspektywy ścigających ją potworów – jednakże zignorowała przeszywający szczupłe ciało ból, ponieważ... na tym właśnie zasadzał się jej plan!

Teraz musi tylko dokładnie wymierzyć...

Zniknąwszy prześladowcom z oczu, rzuciła się szczupakiem na szorstką betonową wylewkę, mając gdzieś, że ubrudzi i porozrywa znoszone ubranie. Sunęła na brzuchu w kierunku znajdującej się tuż nad posadzką wąskiej kratki, jednej z setek podobnych, które prowadziły do klaustrofobicznie wąskich szybów technicznych.

Zdecydowana większość z nich została przyśrubowana na stałe, ale nie ta. Za plecionką z pordzewiałego metalu znajdowała się bowiem jej ulubiona kryjówka, odkryta jeszcze w czasach radosnego dzieciństwa. To tutaj przesiadywała za każdym razem, gdy chciała być sama, nie niepokojona przez dorosłych i rówieśników.

Sektor mieszkalny, leżący w peryferyjnej części kompleksu, świecił zazwyczaj pustkami. Dosłownie jedno rozwidlenie stąd kończyły się wybetonowane korytarze. A dalej... Dalej znajdowały się cele – taką przynajmniej nazwę nadała tym mikroskopijnym pomieszczeniom, gdy po raz pierwszy trafiła w to miejsce. Dlaczego? Każda została zabezpieczona włazem, który miał nietypowy okrągły wizjer zrobiony z niemal niezniszczalnego, grubego na centymetr pleksiglasu.

Nie miała pojęcia, jakie mogło być pierwotne przeznaczenie ciągu dziwacznych komór, wiedziała jedynie, że od lat, z rzadka, bo z rzadka, przetrzymywano w nich schwyte na powierzchni bestie, potrzebne do jakichś badań czy eksperymentów. Od roku jednak, albo nawet od dwóch lat, nie widziała w tym korytarzu żywej duszy.

Poczuła niewysłowioną ulgę, gdy metalowa kratownica ustąpiła pod naporem wysuniętych dłoni. Przegroda uchyliła się niemal do końca, wydając przy tym

ciche skrzypnięcie. To wystarczyło.

Pomimo osiągnięcia wieku dwunastu lat uciekiniarka wciąż była bardzo szczupła i niewysoka – jak zdecydowana większość jej rówieśników, pozbawionych od urodzenia zbawczego wpływu słońca i wielu witamin – nie miała więc najmniejszych problemów z wsunięciem się do niewiele szerszego od jej ramion otworu. Dalej też poszło gładko. Kratka opadła na miejsce dwie, może trzy sekundy przed pojawieniem się bestii.

Nie miała czasu na odpoczynek, przetoczyła się więc natychmiast, by sięgnąć do zamontowanych przez nią samą rygielków, dzięki którym mogła zablokować od wewnątrz wejście do ciasnej kryjówki. Potem odczołgała się pośpiesznie w głąb szybu, wstrzymując oddech, choć umęczone płuca błagały o tlen, paląc ją żywym ogniem. Tam, z twarzą omotaną grubymi jak tiul pajęczynami, zamarła w bezruchu, tuląc się do plątaniny grubych jak jej przeguby kabli i ciepłych skorodowanych rur. Znieruchomiała, nasłuchując odgłosów dobiegających z korytarza.

Była pewna, że ostatnim manewrem zdoła w końcu zgubić pogoń. Miała też nadzieję, że zanim rozjuszony potwór dotrą do końca ślepego zaułka za celami i zrozumieją, iż nie zniknęła za kolejnym zakrętem, ona sama zdąży się cofnąć szybem technicznym aż do



pomieszczenia rozdzielni, w którym będzie mogła skorzystać niezauważenie ze studzienki prowadzącej do rozległego systemu międzypoziomowej kanalizacji. Tam zniknie bestiom z oczu na dobre, jakby rozplynęła się w powietrzu. Uśmiechnęła się pod nosem na tę myśl i ruszyła ostrożnie przed siebie.

Zamarła, gdy zza mijanej właśnie kratki dobiegł tupot licznych stóp. Kilka sekund wcześniej awangarda przerzedzonej hordy minęła załom korytarza i zgodnie z jej przewidywaniami popędziła w kierunku znajdującego się dwadzieścia metrów dalej rozwidlenia, dzieląc się tam na jeszcze mniejsze grupki. Potwory nie były aż tak głupie, jak o nich mówiono. W tym samym czasie spenetrowały obie odnogi tunelu mieszczącego rząd cel. Reszta stada, nie zwalniając, pognała za przewodnikami.

Upewniwszy się, że bestie nie odkryły jej fortelu, ruszyła ponownie, lecz zaraz przystanąła, gdyż z zewnątrz, od strony załomu korytarza, dobiegły kolejne, znacznie bardziej niepokojące hałasy. *To te ścierwa, które nie zdołały przeskoczyć beczek*, uświadomiła sobie, nasłuchując uważnie przez wciąż dokuczliwy łomot krwi w uszach.

Ku jej przerażeniu całkiem niemała grupa ścigających ją bestii najpierw zwolniła, a potem zatrzymała się całkowicie. Z zewnątrz dobiegało teraz wyłącznie głośne

dyszenie oraz ciche szuranie, w pewnym momencie rozległy się także jakieś stukoty i zgrzyty, jakby potwory z powierzchni, które dotarły aż do cel, nie tylko zaglądały przez wizjery, lecz także próbowały poruszyć pokrętłami rygli, by dostać się do któregoś z zamkniętych na głucho pomieszczeń.

*Może to i dobrze*, pomyślała, gdy dotarło do niej, że zajęci badaniem nietypowego odcinka tunelu prześladowcy zapomną na chwilę o jej istnieniu, co powinno wystarczyć...

– Hej!

Skuliła się w kryjówce, jakby ten dobiegający z oddali okrzyk oznaczał, że została zauważona, co było przecież niemożliwe.

– Co jest? – Sekundę później usłyszała charakterystyczny chropawy, ale bez wątpienia damski głos.

– Sama zobacz! – rzucił jeden z podludzi, chyba ten, który przed chwilą się wydarł.

– O ja pierdołę, to przecież... – Zaskoczona kobieta zamilkła w pół słowa, lecz gdy znów się odezwała, mówiła szybciej, podniesionym tonem, jakby to, co zobaczyła w celi, wstrząsnęło nią do głębi. – Kolec, gnaj do windy i ściągnij mi tu Karbalę!

– No weź, Kosa! Dajże odetchnąć! – w nosowym,

męskim głósie dało się wyczuć niemal ludzką skargę.

Nie dziwiła się tamtemu, sama z trudem łapała oddech. Jeszcze minuta biegu i po prostu stanęłaby za kolejnym załomem korytarza, nie mając sił na dalszą ucieczkę. Bez względu na to, co miałoby się z nią stać. Wzdrygnęła się na tę myśl.

– Natychmiast! – Kosa nie ustąpiła.

– Tajest – odmruknął zrezygnowanym tonem mężczyzna.

Głośne tupanie zbliżyło się do kryjówki, po czym ucichło stopniowo w oddali, jednakże do końca wymiany zdań w korytarzu było jeszcze daleko.

– Dopadliście ją? – zapytała ta sama kobieta, która odesłała przed momentem Kolca, kierując te słowa do podwładnych wracających ze ślepo zakończonych korytarzy.

– Nie... – odpowiedział jej inny zdyszany mężczyzna, z trudem łapiąc oddech. Pewnie jeden z tych, którzy cały czas biegli na czele watahy. – Zniknęła... Przepadła jak ślepy stalker... po wpadnięciu do Odry... Te tunele kończą się ślepo... Sprawdziliśmy dokładnie... wszystkie pomieszczenia po drodze... prócz tych zamkniętych od zewnątrz na kłódki... – Z każdą upływającą sekundą prymityw odzyskiwał oddech.

*To prawda, co o nich mówią, pomyślała. To już nie*

*ludzie, tylko zwierzęta. Mówiące, krwiożercze potwory.*

W tej części Otchłani znajdowało się wiele starych magazynów, od dawna pustych i nieużywanych, czego te bestie nie mogły wiedzieć, w przeciwieństwie do kryjącej się przed nimi uciekinierki.

– Szlag by trafił tę małą dziwkę... – Na zewnątrz rozległy się głośne szmery zawodu, uciszone kolejną wypowiedzią dowodzącej hordą kobiety. – Gdzie widzieliście ją po raz ostatni?

– Przed tym zakrętem. – Sapiący musiał wskazać oddalony o dziesięć metrów narożnik.

– Tu nie miała gdzie się schować – ocenił ktoś inny, też bardzo mocno zdyszany. – Zero drzwi, tylko te dziury.

Moment później któraś z bestii kopnęła z całych sił w pobliską kratkę. Na szczęście nie w tę co trzeba – lecz nawet gdyby trafiła na właściwą, grube jak palec bolce powinny wytrzymać impet uderzenia.

Powinny, choć po tylu latach zaniedbań były równie pordzewiałe jak większość niekonserwowanych mechanizmów, zatem...

– Dobra, dość tego dobrego – zdecydowała tymczasem przywódczyni hordy. – To tylko jedna gówniara. Nie mamy czasu na pierdoły. Prędzej czy później wylezie, wtedy ją dopadniemy. Szczerba, zaprowadź swoich ludzi do sektora C, jak było ustalone.

Reszta wraca na główny korytarz, tam się przegrupujemy i poczekamy na nowe rozkazy! Ruchy, ruchy na sprzęcie!

Zawiedzeni prześladowcy potruchtali w stronę najbliższego rozwidlenia, na którym rozdzielili się na mniej więcej równe grupy. Skulona w mroku uciekinierka widziała za jedną z kratek ich nogi, a potem, gdy oddalili się bardziej, całe zgarbione, odziane w łachmany sylwetki. Żaden nie zwolnił ani się nie obejrzał. Zachowywali się jak zwierzęta albo maszyny. Otrzymali nowe zadania, więc ruszyli, by je wykonać.

Przy celach ponownie zapanowała względna cisza, zakłócana sporadycznymi odgłosami stłumionych odległością strzałów i znacznie cichszymi, choć o wiele częstszymi wrzaskami. Kraniec kompleksu znajdował się naprawdę daleko od głównego tunelu – zanim goniec dotrze pod windę i wróci tutaj z tą całą Karbałą, minie pięć, może nawet dziesięć minut.

*W tym czasie nie tylko zdążę zniknąć w studziencie, ale też zdołam sprawdzić, co tak zainteresowało tych podludzi, uznała uciekinierka po dłuższym zastanowieniu.*

Bała się powrotu na korytarz, lecz była też ciekawa, co takiego bestie znalazły w jednej z cel. Tak ciekawa, że postanowiła zaryzykować. Podczołgała się bardzo ostrożnie do wyjścia z kryjówki, tam zamarła na prawie pół minuty, nasłuchując uważnie, a potem – przysunąwszy

twarz do zimnej jak sama śmierć plecionki ze stali – zlustrowała korytarz. Po ścigających nie było śladu, z zewnątrz nie dobiegał też żaden dźwięk, jeśli nie liczyć ech toczonych w oddali walk, odczekała więc jeszcze chwilę, próbując po raz ostatni zwalczyć pokusę, ale i tym razem okazała się słabsza. Wstrzymując oddech, bardzo wolno odsunęła oba rygielki. Podniosła odblokowaną kratkę, zachowując najwyższą ostrożność, aby zawiasy nie skrzypnęły jak przy otwieraniu, po czym położyła się na plecach i bardzo powoli wysunęła głowę na zewnątrz.

Zamarła, ledwie jej oczy znalazły się po drugiej stronie betonowego muru. Warująca przy samej ścianie, dokładnie pomiędzy kratkami, kobieta o mocno przerzedzonych włosach i pokrytej paskudnymi liszajami twarzy z dziwacznym znamieniem w kształcie krzyża pośrodku czoła wyszczerzyła nieliczne, niemal brązowe zęby, jednakże to nie ten drapieżny uśmiech zmroził serce dziewczyny, tylko czarny jak szata śmierci wylot lufy skierowanej prosto w jej czoło.

*Ni...*

Tyle zdążyła pomyśleć, zanim dziewięćmilimetrowy pocisk zakończył jej krótkie życie.

## ROZDZIAŁ 1

# Tory

– Zabiję cię! – wysyczała mu w ucho Iskra, gdy tylko wdrapała się do wnętrza stalowego wagonu, jednego z trzech podobnych, umieszczonych między pancernymi lokomotywami.

– Tak, wiem – odmruknął Pamiętający, sadowiąc się wygodnie pod ścianą, najdalej jak się dało od zбитych w gromadkę ślepców.

Wybrał to miejsce na moment przed zatrzaśnięciem masywnych stalowych drzwi, które odcięły jedyne źródło światła, pograżając wnętrze w egipskich ciemnościach, co nie przeszkadzało jednak w żaden sposób pozbawionym wzroku niewolnikom.

– Serio, dziadzia – wymamrotała, pochylając się nad nim, by nie podnosić głosu. Wolała nie zwracać na siebie uwagi, a dopóki porozumiewali się pomrukami i szeptem, wydawane przez nich dźwięki tonęły w istnej kakofonii, z jaką bestia zwana pociągiem pancernym szykowała się do opuszczenia przedmieść Wrocławia. – Jeśli oni cię tam

nie kropną, ja to zrobię, słowo daję.

– Siadaj – burknął, nie zwracając uwagi na kolejną zaczepkę.

– Bo co? – prychnęła buńczucznie, niemal równocześnie z dobiegającym z zewnątrz gwizdem.

– Bo to.

Wagonem szarpnęło tak mocno, że wszyscy niewolnicy, którzy wciąż stali, zostali dosłownie ścięci z nóg. Łomotom, z jakimi padali na metalową podłogę, towarzyszyły zduszone sapnięcia i jeden jedyny, ale zdaniem Pamiętającego stanowczo zbyt głośny pisk. Zaskoczona dziewczyna wyrznęła boleśnie czołem o zimną ścianę, lecz co trzeba jej oddać, natychmiast wzięła się w garść. Moment później, sapiąc jak pozostałe ofiary, opadła ciężko na chropowate płyty, by zająć miejsce obok z trudem powstrzymującego śmiech Remera.

– Wiedziałaś, że tak będzie – szepnęła z czytelnym wyrzutem w głosie.

– Radziłem przecież, żebyś usiadła – odparł, nie kryjąc rozbawienia.

– Zabiję cię, ty rozpaćkany przez stąpacza oblechu. Oj, żebyś ty wiedział, jak ja cię zabiję.

– Powtarzasz się – zbył ją oschle, wsłuchując się w przyśpieszający turkot kół.

Zagnano ich do środkowego wagonu, tak samo grubo



opancerzonego jak reszta składu, przez co wszystkie dobiegające z zewnątrz dźwięki były teraz mocno stłumione, oczywiście z wyjątkiem charakterystycznego stukotu, z jakim umieszczone pod nogami niewolników stalowe koła pokonywały łączniki szyn. Podobnie jak monotonne kołysanie towarzyszące jeździe, odgłosy te przerażały Iskrę i ślepców otaczających Remera, ale jemu niosły wyłącznie ukojenie: doświadczał właśnie wrażeń znanych mu ze starego świata – odczuć, których nie spodziewał się przeżyć ponownie. Nie w tym świecie, nie w tym życiu, bynajmniej.

W głowie rozbrzmiewały mu wciąż słowa wypowiedziane nie tak dawno przez konającą Bondarczuk, lecz tylko jedno odbijało się wielokrotnym echem od najmroczniejszych zakamarków umysłu: *Riese...*

Riese.

– Czym jest to całe... Ryże? – zagadnęła Iskra, jakby czytała mu w myślach.

– Nie Ryże, tylko... – zaczął ją odruchowo poprawiać, jak przystało na Nauczyciela, lecz zamilkł w pół zdania, ponieważ ten etap jego bogatego życiorysu należał już do przeszłości.

– Wiesz, gdzie nas wiozą? – zagadnęła znowu, gdy milczenie z jego strony za bardzo się przedłużyło.

– I tak, i nie – odparł enigmatycznie.

– Cały ty, dziadzia. Popieprzona zgrzybiała Pytka z wyliniałą brodą. Słuchajta głupki, co wyrocznia prawi. Godzina pleplania, a człowiek jak był głupi, tak nadal gównowicie – warczała pogardliwie. Zirytowana dobiegającym z mroku chichotem spróbowała skarcić Remera innym sposobem, szturchając go w bok, lecz znała ją już na tyle dobrze, by to przewidzieć i uchylić się, przez co wyrznęła łokciem w stalowy teownik wzmacniający konstrukcję ściany, o którą oboje się opierali. Na własne szczęście nie włożyła w ten zamach zbyt wiele siły. – Ja poważnie pytam – dodała jeszcze bardziej urażonym tonem, gdy już przestała masować obolałą rękę.

– Przed atakiem Riese było dla nas, to znaczy dla Pamiętających, taką samą legendą jak Otchłań dla mieszkańców Wolnych Enklaw – wyjaśnił po chwili zastanowienia tonącym w turkocie kół półgłosem. – Zwykłym miejskim mitem obudowanym masą niesprawdzonych pogłosek i sensacyjnych, ocierających się o absurd plotek. Podobno Niemcy w czasie wojny, a nawet jeszcze przed jej rozpoczęciem...

– Co znaczy: w czasie wojny? – wpadła mu w słowo.

– Nie tej ostatniej, tylko poprzedniej – doprecyzował. – Mówię o drugiej, nie o trzeciej wojnie światowej. O tej sprzed prawie stu lat.

– Jasne, kumam, jak zwykle zahaczamy o antyk.

Dobra, nieważne, nawijaj dalej, dziadzia.

Zastanawiał się przez chwilę, czy warto kontynuować, ale uznał, że dokończy tę opowieść choćby dlatego, żeby zrekapitulować w pamięci co ważniejsze fakty. Jemu też się to przyda.

– Legenda głosiła, że na początku lat czterdziestych, a nawet pod koniec lat trzydziestych ubiegłego stulecia Niemcy rozpoczęli w rejonie Gór Sowich budowę gigantycznego podziemnego miasta mającego pomieścić kwaterę główną Hitlera, to znaczy takiego ich odpowiednika Bondarczuk, oraz co chyba istotniejsze, laboratoria pracujące na rzecz wojska i... najważniejsze ze strategicznego punktu widzenia... zakłady zbrojeniowe. To miał być największy tajny, samowystarczalny kompleks bunkrów w Europie, wielopoziomowy, wykuty w litej skale, ciągnący się na przestrzeni wielu kilometrów. Jeńcy z pobliskich obozów koncentracyjnych ginęli tam tysiącami, wykuwając kolejne sektory tej niewyobrażalnej na owe czasy inwestycji, a gdy wreszcie kończyli mozolne drążenie tuneli na danym odcinku, wysadzano wszystkie wjazdy i wejścia do nich, odcinając tę część podziemi od świata zewnętrznego.

– Ty, dziadzia, ale to przecież żadnego sensu nie ma. Co im po takim mieście pod ziemią, do którego nie można się nijak dostać?

– To przecież tylko zwykłe ludzkie bajania – odburknął poirytowany nieustannym przerywaniem. – Chcesz wiedzieć to co ja?

– No chcę.

– To zamknij się i słuchaj. – Zaczepnął głębiej tchu, po czym podjął opowieść. – Tak między nami, to wydaje się głupie tylko z pozoru. Likwidowano dające się namierzyć drogi dojścia do kolejnych sektorów, po czym przekuwano się do nich od strony już wykończonych bunkrów, dzięki czemu wszystkie prace mogły być prowadzone nadal, tyle że w całkowitej izolacji i tajemnicy.

– Czyli jakieś wejścia jednak były – oświadczyła tryumfalnie, jakby potwierdził tymi słowami jej teorię, co po części, i tylko po części, było zgodne z prawdą.

– Legenda mówi, że pozostawiono jedno, góra dwa czynne wejścia – przyznał – ale były one doskonale zamaskowane, a znajdowały się w odległości kilku albo nawet parunastu kilometrów od kompleksu, najprawdopodobniej na terenie którejś z okolicznych kopalń.

– Sprytne... – mruknęła po chwili.

– Owszem. Niemcy byli niezrównanymi mistrzami inżynierii i kamuflażu. Wiesz doskonale, jak to wyglądało w przypadku Otchłani.

– No fakt – zgodziła się z nim. – Choć akurat tam pozostawiono sporo wejść, tylko że wszystkie zostały tak idealnie zamaskowane, że nie zdołaliście ich znaleźć. I to przez dwadzieścia lat.

– Otóż to. Aczkolwiek, powiedzmy to sobie wprost, niespecjalnie szukaliśmy.

– Akurat.

– Mam mówić dalej?

– Aleś się zrobił drażliwy, jak wygłodniały cieniak, któremu szariki chcą odebrać zwłoki świeżo zabitego stalkera.

– Nie przeginaj – poprosił tonem wskazującym, że na tym ich rozmowa może się skończyć.

– Dobra, dziadzia, już się zamykam.

– Reasumując, możemy spokojnie założyć, że hitlerowcy przyjęli podobną taktykę w przypadku tak tajnego i ważnego projektu, jakim było dla nich Riese. Zostawili jedno albo dwa ukryte wejścia, najprawdopodobniej w kopalnianych sztolniach, i tylko z nich korzystali przy pracach wykończeniowych.

– Cwaniaki.

– Owszem, głupcami nie byli, ale nie zapominaj, że to wszystko tylko domysły. Po wojnie odkryto w okolicach Walimia kilka wykutych w skale sal, sztolni i sieci przecinających się korytarzy, jednakże były to wyłącznie

obiekty w stanie surowym, ewidentnie nie ukończone. I tu znowu wkraczamy w sferę domysłów. Ponoć istniały też inne, większe części kompleksu, ale zostały rozgrabione, a potem zniszczone przez okupujących te tereny Rosjan. Pozostałe zdewastowano już na polecenie naszych władz. Prawda wydaje się bardziej prozaiczna. Albo Riese było jedną wielką ściemą, albo faktycznie rozpoczęto jego budowę zbyt późno i do końca wojny nie zdążono wiele zrobić, co oznacza, że te nieliczne podziemia, które odkryto po czterdziestym piątym, były wszystkim, co Niemcy zdołali wykuć. Niczego nie ukryto, niczego nie wysadzono, po prostu my, ludzie, mamy to do siebie, że lubimy fantazjować. Kochamy tajemnice i teorie spiskowe, więc dorabiamy legendę do wszystkiego. Nie chciałabyś wiedzieć, jakie niestworzone rzeczy wygadywano o Riese w latach osiemdziesiątych.

– Ja w sumie lubię, jak ktoś opowiada mi bajki – wysapała mu w ucho, zachęcając, by kontynuował.

– Ponoć z tych wysadzonych sztolni wychodzili ludzie o głowach psów czy tam wilków. Coś pojawiało się w spenetrowanych chwilę wcześniej ślepych i oczywiście całkowicie pustych korytarzach. Nie ludzie, tylko jakieś bestie albo duchy. Cuda-wianki, dzidzia. Cuda-wianki.

– Wiesz, dziadzia, jakby się dobrze zastanović, może to wcale nie takie cuda ani wianki. Pamiętasz nasze

przejścia do kanałów? Mogłeś się na nie gapić godzinę, a i tak byś niczego nie zauważył.

– Fakt. – Pamiętający przypomniał sobie, jak przemyślnie zamaskowano liczne wejścia do tuneli wykorzystywanych przez Czystych, tyle że ci ostatni, choć przez długi czas nieuchwytni, okazali się w końcu najzwyczajszymi ludźmi, nie hybrydami ani duchami. – Wracając do tematu. Odkryte po wojnie podziemia służyły przez lata jako lokalne atrakcje turystyczne. Z czasem Riese przestało być sensacją historyczną. Dokopywano się do kolejnych dokumentów, które odzierały legendę z mitologicznej otoczki. Ludzie z coraz większym przymrużeniem oka traktowali też opowieści dotyczące tajemnic ogromnego podziemnego miasta. Nawet pasjonaci zaczęli się z wolna wykruszać, ponieważ mimo dekad intensywnej eksploracji nikt nigdy nie natrafił choćby na ślad tego, co rzekomo zostało ukryte przed niewtajemniczonymi.

– Tak jak wy nie trafiliście na choćby jedno wejście do Otchłani – wpadła mu znów w słowo.

– Tak jak my nie trafiliśmy na choćby jedno wejście do Otchłani – potwierdził nieobecny tonem Remer, po czym dodał: – Z tego, co usłyszałem, zanim pojawiłaś się w kwaterze Bondarczuk, wynika niezbiecie, że te góry naprawdę kryją coś więcej niż kilka odkrytych po wojnie,

oddalonych od siebie o wiele kilometrów i pozornie ze sobą nie związanych podziemnych obiektów. To Riese, o którym ja wiem, nie było kryjówką lepszą od Otchłani.

– Dlaczego?

– Z bardzo prostego powodu. W chwili Ataku wszyscy znali te podziemia. To były zwykłe, niezabezpieczone przed opadem korytarze, które mogłaś zwiedzić za kilka złotych. Nie nadawały się do niczego więcej, a już na pewno nie na schrony, w których ktoś mógłby przetrwać całe dekady. Ludzie padaliby tam jak muchy nawet w normalnych warunkach, a co dopiero po wojnie nuklearnej. Nie, nie. Tutaj musi chodzić o coś zupełnie innego. Musi istnieć coś, o czym my, zwykli ludzie, nie mieliśmy przed wojną bladego pojęcia... – Zamilkł, zastanawiając się nad implikacjami ostatniego stwierdzenia.

– Wiesz co, dziadzia? – Iskra natychmiast wykorzystwała okazję, by wtrącić swoje trzy grosze. – Mnie tam akurat nie dziwi, że niczego nie znaleźliście, skoro to całe Riese zbudowali ci sami dranie, którzy stworzyli nasz wrocławski kompleks.

– Ci, którzy odkryli Otchłań, najwyraźniej posiadli i tę tajemnicę... – Pamiętający wciąż błędził myślami.

– Pewnie znaleźli jakieś kwity albo mapy czy coś. Bondarczuk mówiła, że Niemcy ukryli w naszym



kompleksie całe tony ściśle tajnych papierzyk.

Remer przytaknął jej słowom skinieniem głowy, choć nie mogła tego zobaczyć w kompletnych ciemnościach. Dziewczyna miała rację – przed wybuchem wojny o istnieniu bunkrów Otchłani zdążono powiadomić całkiem sporą grupę ludzi z kręgów nie tylko najwyższych władz. Polityków i wojskowych, którzy bardzo umiejętnie wykorzystali posiadaną wiedzę, tworząc na oczach całego narodu ogromny, samowystarczalny schron dla siebie i wąskiego kręgu zaufanych.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania: skoro wtajemniczonym udało się ukryć przed światem tak ogromną i kosztochłonną inwestycję, którą prowadzono całymi latami pod jedną z największych metropolii kraju, to czy mieliby jakikolwiek problem z utajnieniem podobnych prac na kompletnym odludziu?

Tym razem Remer pokręcił głową do swoich myśli.

To by jednak oznaczało, że wejście do mitycznych, wykończonych przez Niemców sektorów podziemnego miasta znaleziono na długo przed wojną, ponieważ po odpaleniu głowic rządzący nie mieliby najmniejszych szans na przerzucenie w ten rejon ogromnych mas zaopatrzenia oraz sprzętu potrzebnego do utrzymania kompleksu bunkrów przez kolejne dwadzieścia lat. Tymczasem ten pociąg był widowym dowodem, że załoga

Olbrzyma ma się całkiem dobrze, a już na pewno znacznie lepiej od wrocławskich Czystych, którzy może i zdołali uniknąć degeneracji charakteryzującej obecną populację kanałów, ale ostatnimi laty także przędli ostatkiem sił.

Schrony pod Wrocławiem budowano z myślą o przetrwaniu trzech, maksymalnie pięciu lat, a mieszkańcy Otchłani musieli spędzić pod ziemią całe dwie dekady. Z tego, co mówiła Bondarczuk i co Remer sam zauważył, infrastruktura bunkrów sypała się ostatnio bardziej niż przysłowiowe choinki po święcie Trzech Króli. Brakowało części zamiennych do wysłużonych maszyn i agregatów, armatura nadawała się do wszystkiego, tylko nie do dystrybucji wody, w izolacji okablowania można było znaleźć więcej dziur niż w skarpetach najbardziej steranego stalkera – gdyby nie wizja rychłej przeprowadzki do Riese, upadek Otchłani byłby przesądzony.

Tajemniczy Pułkownik żądał, ale i obiecywał, wiele – pytanie jednak, czy mówił prawdę. Pamiętający zastanawiał się nad tym, odkąd odłożył słuchawkę. Nikt z Otchłani nie mógł sprawdzić prawdomówności szefa Riese, Remera nie dziwiła więc wcześniejsza uległość młodej i niezbyt doświadczonej przywódczyni Czystych, choć sam, zapewne, nie poszedłby jej drogą...

*Czy aby na pewno?*

Zadał sobie w myślach proste z pozoru pytanie. Ludzie mający sumienie padali po Ataku jak muchy. Zgodnie z teorią Darwina przeżywali wyłącznie najsilniejsi, najpodstępniejsi i najbezwzględniejsi. Tacy, co umieli wymusić uległość na całej reszcie – pod tym akurat względem mieszkańcy Otchłani nie różnili się zbytnio od obywateli Wolnych Enklaw, Nowego Watykanu czy Miasta. Czy on sam, dawno temu, w okresie kształtowania się frakcji, nie popełniał równie niewyobrażalnych okrucieństw, aby podporządkować swojej grupie ludzi pragnących żyć według własnych zasad? Owszem, robił to i nie mógł temu zaprzeczyć, niemniej zauważał jedną, ale zasadniczą różnicę.

Choć mordował i zniewalał przeciwników, to jednak każdy, kto podporządkował się Czarnym Skorpionom, mógł do nich dołączyć i przeżyć. Człowiek taki służył nowym panom, początkowo bezwzględnie przez nich wykorzystywany, czasem też ciemiężony, ale z czasem zyskiwał szanse na pełną asymilację – czego sam Pamiętający był chodzącym dowodem. Nikt nikogo nie skazywał na pewną zagładę, tak jak robili to Czyści. W ich przypadku każdy, kto nie mieszkał w Otchłani, był traktowany jak śmiertelny wróg – ludzie Bondarczuk nie dążyli do przejęcia władzy nad populacją kanałów, tylko do pełnego zniewolenia i późniejszej eksterminacji

niedobitków, zwanych pogardliwie podludźmi.

Tak, nawet Pasowie i Dresowie, choć okrutni i podli do przesady, mieli jakieś szczątkowe zasady. Rządzili podbitymi enklawami, eksploatowali je, często nadmiernie, ale od czasu do czasu przyjmowali w swoje szeregi wszystkich tych, którzy zapragnęli być jak oni i podołali trudom inicjacji. Reszcie natomiast pozwalali egzystować, dopóki nie uznali, że ktoś może stanowić zagrożenie.

Podziemia Wrocławia dalekie były od ideału, nie dało się temu faktowi zaprzeczyć. Przeciętny mieszkaniec Polski z początku dwudziestego pierwszego stulecia uznałby je zapewne za emanację jednego z kręgów piekielnych, lecz tak przecież wyglądała postapokaliptyczna rzeczywistość, i to nie tylko tego miasta, ale i całego świata. Ludzie zostali sprowadzani do tego stanu nie po raz pierwszy. Tyle że w dwa tysiące trzynastym stary porządek upadł nie w asyście łomotu tysięcy par butów zwycięskich armii, lecz w oślepiających błyskach atomowych eksplozji, w ryku fal uderzeniowych zamieniających niegdyś ludne miasta w wyjałowione, skażone radiacją pustynie, w piekielnym żarze bijącym od kul plazmy unicestwiających wszystko, co na ich drodze...

– A to co znowu? – z zamyślenia wyrwał go ledwie słyszalny szept Iskry.

Nad ich głowami coś szczęknęło raz, potem drugi i trzeci. Był to dziwny, choć zarazem znajomy dźwięk, którego Remer nie umiał z początku zidentyfikować. Moment później dołączyły do niego także znajome przeciągłe fuknięcia, a potem, także gdzieś w górze, rozległ się przeraźliwy skrzek, po którym coś uderzyło w dach z takim impetem, że wagon zachwiało się kilkakrotnie, mocno, gwałtownie, jakby jego koła utraciły kontakt z szynami. Rozpłasczeni na podłodze, przerażeni do granic ślepcy znów zaczęli głośniejsze sapać, rozpełzli się też zaraz we wszystkich kierunkach. Pamiętający odkopnął ręce jednego z nich, gdy ten próbował złapać go za nogę.

– Skorpiony... – mruknął kilka sekund później, wpatrując się intensywnie w nieprzenikniętą czerń nad głową.

– Co ty mi tu pieprzysz, dziadzia? – wymamrotała wtulona w jego bok zestrachana Iskra. – Jakie znowu Skorpiony? Cokolwiek byś o sobie myślał, jesteś tylko człowiekiem. Paskudnym, prawda, i nieprzeciętnie starym, ale...

– Nie mówię o mojej dawnej frakcji – przerwał jej, dotykając bezwiednie ozdobionej tatuażem skroni. – Skorpiony to takie starożytne wielkie kusze. Wystrzeliwało się z nich metrowe żelazne pręty, grube jak twoja ręka w nadgarstku. Nasi przyjaciele używają ich

chyba do obrony przed jakimś latającym kurewstwem. A te fuknięcia, które słyszysz, to dźwięki wydawane przez miotacze ognia.

Poczuł zimny dreszcz na samą myśl o rozmiarach cielska, które uderzyło w dach wagonu. Ta bestia musiała ważyć tonę albo i więcej, skoro udało jej się rozkołysać do takiego stopnia człon pancernego składu. Remer nigdy wcześniej nie widział tak gigantycznego latającego mutanta ani nie słyszał o istnieniu podobnych stworzeń, a stalkerzy lubili się przecież przechwalać, zwłaszcza po kilku kubkach samogonu.

Co gorsza, jeśli tak groźne stworzenia żyją poza obrębem miasta, kwestią czasu będzie, kiedy pojawią się także nad ruinami. A gdy już tam dotrą, sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu, kto wie, czy nie będzie to ostatnim gwoździem do trumny dla niedobitków po dumnych ongiś cywilizacjach białego i nie tylko człowieka.

*Cóż, uznał Pamiętający, najwyższa pora zrewidować wiedzę o otaczającym nas świecie. To zapewne nie ostatnia niespodzianka, na jaką trafimy podczas tej podróży.*

Cięciwy skorpionów ze stanowisk obrony znów zaśpiewały, tym razem z kilku miejsc równocześnie, co musiało oznaczać, że pociąg jest atakowany przez następnego z obecnych władców przestworzy.

Remer wsłuchiwał się uważnie w docierające znad

dachu dźwięki, zdołał więc wychwycić krótki mechaniczny terkot poprzedzający oddanie każdej kolejnej salwy. Dzięki temu zyskał pewność, że ludzie Pułkownika używają zautomatyzowanych wersji prymitywnej broni, której korzenie sięgały antyku i rzymskich legionów. Był ciekaw, jak wielkie są te maszyny, czym zasilane – elektrycznością, której mogły dostarczać turbiny zamontowane na osiach wagonów, czy raczej parą z kotłów lokomotyw. Nie był w stanie przyjrzeć się uważnie pociągowi w półmroku i pośpiechu, zresztą zaskoczenie też zrobiło swoje. Skłął się w myślach, żałując tego momentu rozkojarzenia.

Cokolwiek to było, sprawdzało się znakomicie. Szczęk towarzyszący wypuszczaniu z łoża skorpionia bełtów, rdzeni czy jak tam nazwać wystrzeliwane przez tę broń pociski, rozlegał się dokładnie co trzy sekundy, tyle więc czasu potrzebowali dzisiejsi kanonierzy na przeładowanie potężnych kusz. W pewnym momencie pasażerowie pociągu usłyszeli kolejny skrzek atakującej bestii. Ten był bardziej wściekły, ale też zduszony, jakby wydająca go istota znajdowała się dalej albo wyżej, a po czwartej salwie urwał się raptownie...

Parę sekund później, niespodziewanie, wagon znów zadrżał od potężnego uderzenia. Nie zakołysał się jednak aż tak mocno jak poprzednio, niemniej łomot, z jakim coś

spadło na dach, był tak głośny, że zagłuszył nawet turkot kół, co doprowadziło do ponownego wybuchu paniki wśród ślepców. Ale nie to było najgorsze. Zaraz po zderzeniu niewolnicy usłyszeli przeraźliwe jęki i zgrzyty, od których nawet Remerowi ścierpła skóra na karku. Wydawać się mogło, że to, co spoczęło na dachu, próbuje rozpruć pancerne płyty. Wielkie szpony, albo kły, sunęły bardzo powoli, po prawej, z góry na dół, od środka dachu aż po poziom podłogi. Trwało to dłuższą chwilę, a potem równie niespodziewanie rozległ się dziki kwik i wagonem zarzuciło, znów tak mocno jak za pierwszym razem. Rozdzierający odgłos zaczął cichnąć, jakby atakujący stwór odpadł od pędzącego składu i potoczył się w stronę dal.

– Chyba i tego dostali – mruknął z szacunkiem Pamiętający.

\* \* \*

Kilka minut po rozpoczęciu starcia skorpiony odezwały się ponownie, lecz tym razem bestia, która zamierzała zaatakować pociąg, była albo o wiele bardziej bojaźliwa od pierwszego napastnika, albo ostrożniejsza. Została zabita, czy też może odstraszona – tę opcję Pamiętający obstawiał w ciemno – już pierwszą salwą, ponieważ broń zamilkła po wypluciu jednego bełtu i już



się nie odezwała.

Po tym incydencie nastąpił trwający prawie godzinę okres spokoju, jakby zmutowane drapieżniki straciły zainteresowanie okrutnie dymiącym stalowym potworem, który przemykał z głośnym rykiem przez ich tereny łowieckie.

\* \* \*

Im dalej pociąg odjeżdżał, tym Remer robił się posępniejszy. Po kwadransie od ostatniego starcia zaczął zbywać Iskrę zdawkowymi pomrukami, potem w ogóle zamilkł, mimo że – zważywszy na sytuację – zadawała bardzo konkretne i sensowne pytania. W końcu i ona ucichła, zdając sobie sprawę, że niewiele wskóra.

Bała się, i to bardzo. W odróżnieniu od znacznie starszego towarzysza nigdy wcześniej nie opuszczała terenu zrujnowanego miasta – jeśli nie liczyć sporadycznych wypadów do Sobótki – tak więc ta wyprawa w nieznaną była dla niej po stokroć straszniejsza. Wiedziała też jedno: gdziekolwiek trafią, on się wpasuje, a ona... Ona znajdzie się w całkowicie obcym jej środowisku, w którym prawdopodobnie nie zdoła przetrwać, ponieważ o świecie sprzed Ataku wie naprawdę niewiele, a co za tym idzie, każda jej próba wtopienia się w szeregi kultywujących dawne tradycje mieszkańców

Riese spełźnie na niczym.

We Wrocławiu mogła wkraczać na tereny wszystkich frakcji – nawet do zamkniętego na pozostałe enklawy Nowego Watykanu – gdyż nie różniła się wyglądem od pozostałych ocalonych, a przełożeni z Otchłani dostarczali jej przed każdą akcją wszelkich potrzebnych informacji o miejscu docelowym i panujących w nim obyczajach. Poza tym życie w kanałach nie różniło się wiele, czy człowiek miał na skórze wycięte pasy, czy wypalony na czole krzyż. Ten pociąg wiózł ją jednak do miejsca, w którym roić się będzie od ludzi pokroju Pamiętającego, a raczej jego dawnego, jeszcze przedwojennego wcielenia, tego, które wyrywało się z rzadka spod pancerza naturalności Nauczyciela czy też może Ducha – sama już nie wiedziała, jak powinna go teraz nazywać.

Co gorsza, i on wydawał się przybity świadomością, że lada chwila stanie oko w oko ze światem, który – poniekąd – przestał dla niego istnieć. To nie wróżyło dobrze żadnemu z nich.

Zanim Iskra zdołała otrząsnąć się z ponurych myśli, pociąg zaczął wyczuwalnie zwalniać. Do lekkiego przeciążenia, które oderwało ich plecy od metalowej ściany, doszedł po chwili przeraźliwy pisk hamulców. Ten akurat dźwięk Iskra знаła, słyszała go wielokrotnie, choć nie w takim natężeniu, gdy podwożono ją wąskotorówką

pod odleglejsze wyjścia z Otchłani, aby mogła wykonać kolejne zadania w odległych enklawach.

– I co teraz? – zagadnęła, gdy poczuła w ciemności, że jej towarzysz porusza się żywiej.

– Nie wiem – odparł zwięźle i szczerze. – Musimy improwizować.

– Urywamy się?

– Jeśli sytuacja na to pozwoli.

– A co... – zaczęła, lecz natychmiast poczuła na swoim nadgarstku żelazny ucisk. – Hej!

– Zamknij się – syknął jej gniewnie w ucho.

Nie odpowiedziała. Wyszarpnęła rękę z jego dłoni, rozmasowała ją, mamrocząc pod nosem naprawdę długą i barwną wiązanekę. Nie na niego jednak pomstowała, tylko na siebie. Nieprzenikniony mrok i przygnębienie tak ją otumańczyły, że na śmierć zapomniała o niemych towarzyszach podróży, a teraz, gdy pociąg zwolnił, w wagonie zrobiło się przecież o wiele ciszej – któryś z niewolników mógł usłyszeć wypowiedane przez nią słowa, a zwłaszcza to jedno, wykrzywane.

Tym ludziom odebrano możliwość mówienia i patrzenia, ale nie to było najgorsze. Wyprano im także mózgi, nakazując podczas trwającego całe tygodnie warunkowania bezwzględne posłuszeństwo nowym panom i uczulając na wszelkie próby sabotowania dzieła, którego

mieli być sprawcą. Wysłuchała w bunkrze Tesli wystarczająco dużo propagandowego bełkotu, jakim całymi dniami karmiono tych biedaków, by zrozumieć, że kalecy niewolnicy mogą okazać się równie niebezpieczni jak rdzenni mieszkańcy Riese – o ile nie bardziej groźni od nich.

– Zrobimy tak – usłyszała szept Pamiętającego, gdy rozległ się przeciągły gwizd, podobny do tego, który towarzyszył początkowi podróży. Nagle pociąg jeszcze gwałtowniej wytracił pęd. – Udajemy tych ślepych posrańców, dopóki nie zorientujemy się lepiej w sytuacji. Nie rozmawiamy, robimy wszystko, co nam każą, obserwujemy otoczenie i czekamy na dogodny moment, by uciec.

– To może potrwać nawet kilka dni – odpowiedziała równie cicho, podnosząc się nieco, by sięgnąć ustami do jego ucha.

– Wiem.

– Ale...

Zamilkła, gdy wagon zatrzymał się niespodziewanie po kolejnym bardzo mocnym szarpnięciu.

## ROZDZIAŁ 2

# Nad Otchłanią

Zgięty w pół Kolec przystanął pod ścianą, opierając się prawą dłonią o chłodną, chropowatą powierzchnię betonu. Dyszał szybciej niż wyposzczony stalker po darmowej nocce w Muszelce. Pogubił się w tej plątaniu korytarzy, i to niejednym razem, przez co musiał przebiec dodatkowe kilkaset metrów, zanim zdołał w końcu dotrzeć do celu, a to, przy wcale niemałym dystansie do pokonania i uprzednim morderczym pościgu, mogło zmusić do wyplucia płuc człowieka znacznie bardziej wytrzymałego od niego.

– Ani kroku dalej! – usłyszał dobiegające od strony windy warknięcie. – Ktoś ty?!

Chciał odpowiedzieć, naprawdę się starał, lecz z jego ust wydobył się tylko cichy świst, jakby był jednym z tych okaleczonych biedaków, których pokazano mu przed akcją, tam na górze, w bunkrze. Żeby uspokoić mierzącego do niego z kałacha pytającego, uniósł nieco głowę, wyciągając przed siebie otwartą dłoń. Dopiero po chwili

zrozumiał, że ten gest wcale nie musi być tak czytelny, jak mu się początkowo zdawało.

– Co to za posrany niedojebek? – zapytał ktoś inny, stojący dwa kroki za jego plecami. – To jeden z nich? – W głosie pojawiła się obawa.

– Nie, czekaj! On chyba nasz... – uspokoił kompanów trzeci, najbardziej piskliwy stalker, także niewidoczny. Stał gdzieś z boku, chyba w wagonie wąskotorówki albo za nim.

Kolec miał szczęście, że zatrzymał się w stożku światła padającego z pobliskiej latarni, dzięki czemu pilnujący windy strażnicy mogli go dobrze widzieć. Chyba tylko dlatego nie ustrzelili go na miejscu, jak młodego szarika, który zapędził się do kanałów granicznej enklawy.

– Charala!... – Odczekawszy chwilę, ponownie spróbował się odezwać; tym razem z jego ust wydobył się nie do końca artykułowany dźwięk.

– Co? – zapytali wszyscy trzej niemal unisono.

Kolec przełknął ślinę, raz, potem drugi, na koniec zaczerpnął tchu. Głęboko, powoli, jak człowiek, który chce uspokoić nerwy, żeby nie wybuchnąć.

– Charbala... – wymamrotał na tyle zrozumiale, że przestali go wreszcie indagować.

– Tu jej nie ma – odburknął ten za jego plecami.

– Chzie... est?

Stalker stojący w klatce windy zrobił krok do przodu, zatrzymując się na skraju stożka światła.

– Zajmuje się jeńcami – wyjaśnił niezbyt konkretnie.

– Gdzie? – wysapał już całkiem zrozumiale Kolec, nie prostując się jednak i nie odrywając dłoni od ściany.

Zwięzła odpowiedź utonęła w krótkim, ale za to przeraźliwie głośnym dzwonieniu, na które wszyscy obecni zareagowali bardzo nerwowo. Strażnik stojący przed zdeorientowanym przybyszem odwrócił się na pięcie, by pośpiesznie zasunąć kratę blokującą wyjście z windy. Pozostali zajęli w tym czasie pozycje w wagonie, po obu stronach rozsuniętych drzwi. Kolec widział ich teraz wyraźniej. Nie znał ich z twarzy, ale sądząc po strojach, miał do czynienia z Dresami albo Pasami. Trzeci, chyba najważniejszy z nich, wymykał się prostej klasyfikacji. Przedziurawiona w kilku miejscach, mocno wytarta bejsbolówka na jego głowie mogła świadczyć o przynależności do którejś z frakcji kibolskich, ale reszta stroju wskazywała jednoznacznie na rasowego bywalca ruin.

– Kogo tam znów licho niesie? – wycharczał ten, który stał do tej pory za jego plecami.

*Facet musi mieć jakiś problem z gardłem*, pomyślał Kolec. To nie była rzadka przypadłość wśród palących każde świństwo ocalonych. Sam zaczynał podejrzanie

często kaszleć. I jak widać, bardzo szybko tracił oddech.

– Zobaczymy. – Cofający się spod windy stalker pociągnął za sobą nadal nie mogącego złapać tchu przybysza i ustawił go mocnym szarpnięciem za wagonikiem, który jak wszystko na to wskazywało, został podciągnięty w to miejsce, by w razie problemów broniący dostępu do Otchłani mieli dodatkową osłonę.

Kolec przestał dyszeć jak ganiające za cieniakami szczenię szarika, zanim klatka zdążyła dotrzeć do bunkra i ponownie pokonać kilkudziesięciometrowy szyb. Serce łomotało mu jednak nadal, jakby próbowało się zerwać z uwięzi tętnic. Już nie ze zmęczenia, tylko z obawy, a nawet strachu. Zdawał sobie bowiem sprawę, że te dwie czy trzy minuty to zbyt mało, by zdołał odzyskać pełną sprawność, której może potrzebować, jeśli dojdzie do starcia ze zjeżdżającymi napastnikami. A to wydawało się bardzo prawdopodobne. O tym miejscu prócz Czystych wiedzieli przecież tylko nieliczni wybrańcy, którzy bez jednego wyjątku znajdowali się teraz na dole.

– Stój, kto idzie?! – wydarł się ten w bejsbolówce, po tym jak przyklęknął, opierając lufę broni o jeden z masywnych buforów.

– Swoi idą! – odpowiedziała jakaś kobieta, sadząc po tonie, mocno zaskoczona takim powitaniem.

Za siatką w oświetlonej gołą żarówką kabinie widać



było tylko trzy osoby – postawną kobietę o bardzo jasnych włosach i dwóch mężczyzn ubranych po stalkersku. Blondyna miała bardzo charakterystyczną i co ważniejsze, znaną Kolcowi twarz.

– Co znaczy: swoi?! – wydarł się któryś z kiboli.

Oni akurat mogli nie znać właścicielki jednego z najlepszych przybytków, jakie kiedykolwiek powstały w kanałach. A widok oblicza nie poznanego liszajami wrzodów mógł ich dodatkowo zmylić.

– Dajcie spokój. – Kolec wyszedł z ukrycia. – To przecież Freja.

– Kto? – zdziwił się drugi z domniemanych Dresów.

– Opuścić broń – warknął ten w bejsbolówce, także wychodząc na otwartą przestrzeń. – Do was mówię, pasiaste barany! – dodał gniewnie, spoglądając na podwładnych, którzy nie zareagowali, sądząc, że rozkaz dotyczy przybyszów.

Tym samym wyjaśniła się sprawa ich pochodzenia.

Gdy kałachy zostały zabezpieczone, stalker podszedł do kraty i ponownie ją otworzył, choć tym razem nie na całą szerokość, po czym odsunął się na bok, by wyniosła blondynka i jej towarzysze mogli opuścić metalową klatkę.

– Gdzie Karbala? – zapytała Freja, przystając pomiędzy windą a wagonem.

– Poszła zająć się problemem – wypalił jeden z Pasów.

– Jakim problemem?

– Z jeńcami.

Blondynka zrobiła wielkie oczy.

– Możecie wyrażać się konkretniej?

Strażnicy popatrzyli po sobie, jakby zachęcali się wzajemnie do udzielenia odpowiedzi.

– Na dolnym poziomie coś poszło nie tak – wydukał w końcu ten w bejsbolówce. – Część Czystych zdążyła się zabarykadować w ostatnim bloku sektora technicznego. Wtedy Karbala... – zawahał się. – Wtedy Karbala powiedziała, że trzeba nakłonić do współpracy jednego ze schwytanych techników, tych, których Nauczyciel kazał oszczędzić.

– Nakłonić? Jak?

– No wiesz. Tak jak to ona umie i lubi.

– Kurwa jej mać! – zaklęła Freja. – Gdzie ona jest?

– Kawalek stąd, łatwo tam trafić... – zaczął dowódca posterunku.

– Skończ pieprzyć i prowadź nas tam! Już! – Blondyna pociągnęła go za ramię.

– Nie mogę – bronił się. – Kazała mi...

– Już! – Tym razem Freja wrzasnęła tak, że jej głos odbił się setnym echem od ścian i sklepienia tunelu.

Kolec mógłby przysiąc, że ten krzyk był równie głośny jak wcześniejszy dzwonek. Gdy przybysze z góry ruszyli

śladem oglądającego się niepewnie stalkera, potruchtał za nimi. Bądź co bądź zmierzali tam, gdzie i tak musiał dotrzeć.

\* \* \*

Stalker poprowadził Freję i jej ludzi w głąb głównego tunelu, potem skręcił w klaustrofobiczny korytarzyk, którego wygląd sugerował, że został wykuty w litym betonie. Pokonali ten odcinek gęsiego, po kilkunastu metrach docierając do otwartych na oścież pancernych drzwi. Za nimi znajdowało się jeszcze ciaśniejsze i nieco dłuższe przejście, zakończone kolejnymi stalowymi drzwiami, także uchylonymi. Potem natomiast...

Kolec rozdziawił gębę, gdy przekroczył próg wielkiej sali czy też groty – sam nie wiedział, z czym ma do czynienia. Była tak wielka, że przez moment miał nieodparte wrażenie, że znalazł się na powierzchni. Nocą rzecz jasna. Zadrzał, pojawiwszy, że otacza go aż tyle pustej przestrzeni. Kolistą ścianą oddalała się łagodnymi łukami, po prawej i lewej, nie niknąc jednak w mroku, ponieważ została rzęsiście oświetlona licznymi silnymi reflektorami, które rozmieszczono – z jednym wyjątkiem – w równych odstępach. Zupełnie inaczej przedstawiała się kwestia łukowatego sklepienia, które kilka metrów nad jego głową przechodziło płynnie w idealną, nieprzeniknioną czerń,

zupełnie jak nocne niebo nad zgliszczami Wrocławia.

Freja i jej towarzysze nie zwolnili kroku, choć widać było, że ich też przytłoczył ten niespodziewany widok. Kolec postanowił więc, że nie będzie gorszy. Podniósł szczękę z nierównego kamiennego podłoża i przeklinając pod nosem, przyśpieszył, by dogonić oddalającą się trójcę.

Właścicielka najpiękniejszych cycków, jakie widział w swoim niezbyt krótkim, ale za to barwnym życiu – nie wspominając o zajefajnej knajpie, której był stałym bywalcem – parła z uporem godnym wygłodzonego stąpacza w kierunku dziwnej stalowej konstrukcji, którą wzniesiono na samym środku wielkiej skalnej komnaty.

Freja wbiła się w zwarte szeregi otaczających to miejsce gapiów. Rozpychając się łokciami, odsuwała tych, którzy stali na jej drodze. Kilku stalkerów zaczęło głośno protestować, lecz umilkli, gdy tylko zobaczyli, z kim mają do czynienia. Potulnie usunęli się z drogi maszerującym.

Tak właśnie Kolec trafił do wnętrza kręgu, który tworzyli ludzie z oddziałów pacyfikujących bliższe sektory podziemnego miasta. Zatrzymał się, kiedy jego przewodnicy to zrobili.

– Karbala! – Freja przywołała dziewczynę stojącą na skraju metalowej płyty, o dwa kroki od krawędzi otwartego wjazdu i o krok od klęczących wokół niego skrupowanych jeńców.

Ośmioro ich było, sześciu facetów i dwie kobiety. Czworo po przeciwległej stronie otworu i czworo po tej. Sami Czyści, obszarpani, posiniaczeni, ale oprócz tego cali i zdrowi – z tego, co zauważył Kolec.

Zawołana odwróciła się powoli, jakby miała gdzieś, że ktoś na nią wrzeszczy.

– Czego? – burknęła, spoglądając hardo na przeszkadzających jej przybyszów.

Kolec przełknął ślinę. Nigdy wcześniej nie spotkał tej dziewczyny, niemniej wiedział o niej wszystko. Całe Miasto huczało od plotek o walce, którą Nauczyciel stoczył z Dragonem na szczycie Wieży, i o towarzyszących Pamiętającemu młodych stalkerach, którzy stali się ofiarami słynnego postrachu podziemnych aren. Z nich wszystkich przeżyła tylko ona, płacąc jednak bardzo wysoką cenę, jaką była utrata oka i potworne – nawet jak na nowe standardy – oszpecenie.

Do tej pory tylko słyszał o Karbali, teraz w końcu mógł ją zobaczyć. Ostre światło otaczających ich reflektorów, zbyt jasne jak na jego gust, wydobywało każdą nierówność zrostów pokrywających całą lewą stronę nie tylko twarzy, ale i głowy słynnej stalkerki. Prócz oka straciła na Wieży większość włosów porastających jej skroń i ciemię, a co gorsza, także jedną małżowinę.

Wypadek nie odebrał jej hartu ducha, przeciwnie,

wzmocnił ją i przepełnił nienawistnym pragnieniem zemsty, które emanowało ze spojrzenia jej jedyne go oka, wbitego teraz w twarz Frei.

– Pozwól na moment. – Blondyna odezwała się znacznie łagodniejszym tonem, jakby dotarło do niej, że igra z ogniem.

To ona miała dowodzić akcją pod nieobecność Pamiętającego. Tak to zostało ustalone jeszcze przed odprawieniem kolejki ze ślepcami. Dlatego ci dwaj stalkerzy poszli po nią do kanałów.

– Nie widzisz, że jestem zajęta? – odwarknęła Karbala, wskazując trzymanym w dłoni nożem klęczących za jej plecami zapłakanych Czystych.

– Widzę. Ale sprawa jest. Ważna. Musimy pogadać.

Stalkerka raz jeszcze zmierzyła Freję hardym spojrzeniem, jednakże twarz przywódczyni także stężała i przypominała teraz nieprzeniknioną kamienną maskę. *Piękna i Bestia*, pomyślał Kolec, przyglądając się tym dwom kobietom. Czasami wyłaził z niego poeta. Choć rzadko na trzeźwo, tak jak teraz.

Zdawać się mogło, że rozwścieczona interwencją Karbala nie usłucha, zrobiła nawet taki gest, jakby chciała się znowu odwrócić, ale po krótkim namyśle zrezygnowała. Zaraz machnęła też ręką do jednego z asystujących jej chłopaków, nakazując, by przypilnowali

jeńców podczas jej nieobecności.

– Czego? – warknęła, stając twarzą w twarz z blondyną.

– Co ty wyprawiasz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Freja.

– Nie widać? – Karbala uśmiechnęła się półgębkiem, lewy kącik jej ust był tak zniekształcony, że nie umiała nim poruszyć, zupełnie jak człowiek po przebytych wylewie.

– Owszem, widać – odparła konwersacyjnym tonem blondyna, choć jej oczy miały błyskawice. – Zapomniałaś, co powiedział Pamiętający? Zapomniałaś, kto przejął po nim dowodzenie? Mieliście oszczędzić techników i personel medyczny, a ty...

– Nie nadymaj się tak, paniusiu, bo ci te gładziutkie cycki popękają – wpadła jej w słowo stalkerka. – Wiem, co robię.

– Właśnie widzę. – Frei nie drgnęła nawet powieka.

Zdziwiona hardością jej postawy stalkerka straciła rezon. Na moment tylko, ale dało się to zauważyć. Spuściła też nieco z tonu, choć nie wyglądała Kolcowi na kogoś, kto łatwo daje za wygraną.

– Mamy poważny problem na niższym poziomie. Któryś z tych skurwieli zdążył zadzwonić do sektora technicznego, zanim moi chłopcy go uciszyli, i pracujący

tam Czyści zabarykadowali wszystkie wejścia. Siedzi ich tam ze dwudziestu, może więcej. Sami fachowcy, na których tak bardzo zależało Nauczycielowi.

– I co z tego, że się zabarykadowali? – prychnęła z pogardą Freja. – Zgłodnieją, to sami wyleżą. Wystarczy poczekać.

– I tu cię zdziwię. – Karbala nie wyglądała na speszoną. – Mają tam dwie hodowle szczurów i ujęcie wody pitnej. Mogą sobie siedzieć, żreć, chlać i srać do woli, nawet całymi miesiącami. Chcesz, możesz to sama sprawdzić.

Freja skrzywiła się mimowolnie.

– To nadal nie powód, żeby zabijać medyków – rzuciła.

– Masz mnie za idiotkę? – zapytała stalkerka.

– Nie tylko głupcy posuwają się czasem za daleko – odparła pojednawczym tonem blondyna.

Karbala roześmiała się w głos. Nieco sztucznie, ale chyba zrobiła to celowo, by rozluźnić atmosferę w przysłuchującym się tej wymianie zdań tłumie, który w razie potrzeby stanąłby za nią murem, o czym obie doskonale wiedziały.

– Może, ale mnie to nie dotyczy.

– Czy aby na pewno?

– Tak. – Stalkerka pochyliła się do ucha



rozmówczyni. – Dla twojej informacji, kazałam moim chłopakom oszczędzić paru z tych nieowrzodzonych niedojebków, żeby nie musieć tykać palcem tutejszych znachorów. Rozumiesz?

Freja przyjęła to z kamienną twarzą.

– Tak – odparła oschle.

– W takim razie wracaj tam, skąd przyszłaś, i nie przeszkadzaj – rzuciła zadziornie Karbala, szykując się do odwrotu.

– Tylko nie przesadź! – W zdaniu tym, wypowiedzianym bardzo uprzejmym tonem, kryła się tak czytelna groźba, że nawet głuchy by ją wychwytał.

Wszystko wskazywało na to, że rozmowa dobiegła końca, zatem czekający cierpliwie na swoją kolej Kolec postanowił skorzystać z okazji.

– Kosa kazała... – zaczął, ale zaraz umilkł, zgromiony wzrokiem przez obie kobiety.

– A ty kto, kurwa, jesteś? – zdziwiła się Bestia.

– Odpowiadaj! – poparła ją Piękna.

– Zaraz... – Karbala przeniosła wzrok na Freję. – To ten pajac nie jest od ciebie?

– Nie. Spotkaliśmy go przy windzie. Musiał przyleźć za nami.

– Kosa... – zaczął znowu.

– Tam! – Stalkerka wskazała mu rząd gapiów. – Tam

stań i czekaj, aż skończę!

– Ale to pilne... – Kolec nerwowo przełknął ślinę, czując, że posuwa się za daleko.

– Nie ma nic pilniejszego od załatwienia tej sprawy, zrozumiano!?! – wysyczała mu w twarz, po czym odwróciła się i ruszyła z gracją w stronę klęczących wokół otworu w podłodze jeńców. Zatrzymała się jednak po zrobieniu dwóch kroków i zerknąwszy przez ramię, dodała: – Ale dla świętego spokoju zamelduj naszej szefowej. Ona tu rządzi, nie ja.

Nadała tej wypowiedzi kpiący ton, jednakże Freja puściła mimo uszu i tę zniewagę, choć na jej kamiennej masce zaczęły pojawiać się pierwsze rysy.

– No? Masz coś pilnego? – zapytała oszołomionego Kolca, który stał wciąż obok niej z rozdziawioną gębą.

– Tak – odparł natychmiast. – Chyba tak.

– Co znaczy: chyba? – zdziwiła się Freja.

– Właściwie – przyznał stalker – nie mam bladego pojęcia, dlaczego Kosa posłała mnie po Karbałę. Znalazła coś w jednym z zamkniętych pomieszczeń na samym końcu sektora E. Twierdziła, że to ważne. Tyle wiem.

– Zostańcie tutaj! – Freja rozkazała dwóm osiłkom, którzy ją tu sprowadzili, po czym odwróciła się do Kolca. – Prowadź.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – pociągnęła go za ramię w stronę tłumu gapiów.

Tym razem stalkerzy rozstępowali się przed nimi bez słowa.

\* \* \*

Karbala obserwowała Freję kątem oka. Pomimo zwycięstwa w słownej konfrontacji nadal nie była pewna swego. Od samego początku wiedziała, że porywa się z nożem na stąpacza, ale nienawidziła tej suki tak bardzo, iż dała się ponieść nerwom. Gdyby to był inny moment, gdyby spotkały się godzinę wcześniej, zanim doszło do impasu, ich rozmowa miałyby zapewne znacznie spokojniejszy przebieg, ale teraz, tutaj, przed tymi wszystkimi ludźmi stalkerka nie mogła odpuścić, choć była świadoma, że cena, jaką zapłaci za ten chwilowy sukces, może być bardzo wysoka.

*Zwłaszcza jeśli Pamiętający nie wróci.*

Odsunęła od siebie tę myśl. Miała większy problem na głowie. Od sposobu, w jaki go rozwiąże, wiele będzie zależało. Sukces wzmocni jej pozycję w szeregach bojowników, kto wie, może nawet wyniesie ją tak wysoko, że stanie się nietykalna dla tej półczystej szmaty. Uśmiechnęła się w duchu. *Tak, to chyba jedyny sposób, by wyjść z tej konfrontacji na tarczy... tacy?... Nie, to chyba*

*nie tak leciało. Nieważne, czas zacząć zabawę, na którą wszyscy czekają.*

Karbala zabrała się do roboty, zanim Freja została pochłonięta przez tłum.

– Powiem krótko, bo nie lubię gadać po próżnicy. Ten, kto się odezwie niepytany, umrze bardzo bolesną i powolną śmiercią, chyba że usłyszę odpowiedź na pytanie, które zaraz zadam. Chcę wiedzieć, jak dostać się do zamkniętego sektora. Kto mi powie, jak to zrobić, zachowa życie. Będę pytać was kolejno, tylko raz, dlatego dobrze radzę, zastanówcie się nad odpowiedzią, ponieważ nie otrzymacie drugiej szansy. Wszystko jasne? – upewniła się, podnosząc głos i zachęcając tym zebranych przy Otchłani stalkerów do gorętszego dopingu.

– Dawaj! – ryknęli zgodnie, a echo poniosło ten okrzyk w wiszący nad jeńcami mrok.

Karbala ruszyła wolnym krokiem wzdłuż kręgu jeńców, recytując znaną wyliczankę. Przy każdym słowie wskazywała też ostrzem noża kolejną z klęczących ofiar.

– Ene due rabe, cieniak wyssał babę, a później chłopczyka, co z tego wynika, raz, dwa, trzy, zginiesz ty!

Zrobiła ponad dwa okrążenia, zanim dotarła do pierwszego wybrańca, co rozgrzało atmosferę wśród przyglądających się temu przedstawieniu stalkerów.

– Gadasz czy spadasz? – zwróciła się rozbawionym

tonem do rudzielca, który pocił się tak obficie, że nie byłaby w stanie powiedzieć, czy krople, które ściekają mu po policzkach, to aby na pewno łzy.

– Ja... ja... ja... – jękał się przerażony Czysty.

– Ty, ty, ty – przedrzeźniła go, doskonale wiedząc, że ten dureń nie może znać odpowiedzi.

Nieprzypadkowo wybrała na pierwszą ofiarę właśnie jego. Z tego, co wydobyli z rudego jej chłopcy, wynikało, że wcześniej pracował w jednej z tutejszych szcurzych ferm. Zdziwiła się, i to bardzo, gdy usłyszała, że Czyści także wpieprzają mięso tych gryzoni. Nie przypuszczała, że mogą prząść aż tak cienko, a tu proszę. Przedwojenne zapasy skończyły się już kilka lat temu, przynajmniej dla miejscowego plebsu, bo zarządzająca tym kurwidołkiem zdzira miała ponoć dostęp do znacznie lepszego żarełka – tak przynajmniej twierdził Pamiętający.

– Ja... ja... nie wiem – tyle zdążył wymamrotać przerażony rudzielec, zanim stanęła za jego plecami.

Kolejne uniesienie ręki ożywiło dopingujących ją gapiów. Gdy ryknęli zachęcająco, dała znak, by jej człowiek puścił linę obwiązaną wokół szyi jeńca. Moment później pchnęła klęczącego Czystego, a ten, straciwszy równowagę, której nie mógł odzyskać z powodu związanych za plecami rąk, poleciał na twarz, przewalając się z nieludzkim skowytom przez krawędź bezdennej

otworu.

Karbala przyłożyła dłoń do miejsca, w którym kiedyś znajdowało się jej ucho, zredukowane teraz do ropiejącego wciąż otworu. Uśmiechnęła się przy tym – na tyle, na ile mogła – zdając sobie sprawę, że co najmniej cztery ofiary wpatrują się w nią z uwagą.

Niech wiedzą, że zabicie ich będzie dla niej igraszką.

Niech się boją.

Strach, zwłaszcza ten w najczystszej formie, pomaga człowiekowi dokonać właściwego wyboru.

Uśmiech spełził jej jednak z twarzy, gdy zamiast długiego, cichnącego z wolna skowytu, zakłócanego co najwyżej stęknieniami, jakie spadający powinien wydawać przy odbijaniu się od ścian przepaścistej studni, usłyszała tylko zduszony jęk, po którym na moment zapadła cisza. Sekundę później z otchłani dobiegło ciche skamlenie.

Stalkerzy ucichli, zanim zdążyła opuścić rękę. Ze zdziwieniem zauważyła, że pozostali jeńcy są nie mniej zdumieni niż ona.

Podeszła do krawędzi otworu, o którym Pamiętający mówił, że sięga samych piekieł. To tutaj kazał wrzucić ciała wszystkich zabitych Czystych, gdy będzie już po sprawie.

Zerknęła w mrok, ale niewiele zobaczyła, za to słyszała wyraźnie płacz strąconego rudzielca, jakby ten

zawisł kilka metrów niżej. Czyżby Nauczyciel się mylił albo został oszukany?

Bez względu na to, jak wyglądała prawda, właśnie zepsuto jej zabawę.

Spojrzała z wyrzutem na chłopaka, który stał przy rozdzielni kryjącej w swym wnętrzu mechanizm sterujący tym żelastwem. Jej pomocnik wzruszył ramionami, po czym uchylił ponownie drzwiczki i zaczął gmerać przy przełącznikach. Po trzecim albo czwartym pyknięciu Karbala zmrużyła oczy. Umieszczone pod metalową płytą reflektory oświetliły wnętrze studni, wyławiając z mroku grubą sieć, znajdującą się mniej więcej cztery metry poniżej, i leżącego w niej Czystego. Przyjrzała się uważniej mocowaniom – wystarczyło przeciąć sześć linek grubości męskiego kciuka, by to cholerstwo poleciało w znajdujący się dużo niżej mrok.

Uśmiechnęła się ponownie, unosząc rękę.

– Panie i panowie, co powiecie na podkręcenie stawki? – zakręciła nożem w palcach, wywołując aplauz. – Rozumiem, że to wam pasuje!

Zawyli jak polujące szariki, a gdy umilkli w końcu, niepoganiani rzecz jasna, cofnęła się o krok od otchłani.

– Mamy go wyjąć? – zapytał stalker, który wcześniej trzymał jeńca na uwięzi.

– Nie – odparła po chwili zastanowienia. – Skoro miał

tyle szczęścia, niech sobie pożyje. Myślę, że w podzięce umili nam czas – dodała, modulując znacząco głos.

Nie wszyscy zrozumieli jej słowa, lecz mało kto się tym przejął. Widownia pragnęła krwi i liczyła, że ją dostanie.

– Chodzi cie-niak koło drogi – zaczęła kolejną wyliczankę – nie ma ręki ani nogi, kogo cieniak przydzieje, ten się nawet nie spo-dzie-je.

Jej nóż płazował kolejnego Czystego przy każdym słowie albo sylabie. Nie dbała o to, że ofiary mogą znać tę wyliczankę, na wszelki wypadek zaczęła jednak dzielić wyrazy, by gapie nie wyliczyli sobie, na kogo tym razem padnie. Sądząc z chóralnego aplauzu, stalkerom to się podobało.

Zatrzymała się za jedną z kobiet.

– Wstań! – poleciała, ale Czysta ani drgnęła.

Gdy nie pomogło nawet pociągnięcie za pętlę, skinęła na chłopaków, by podnieśli oporną i przytrzymali ją.

– Gadasz czy spadasz? – powtórzyła pytanie, nadstawiając zdrowego ucha.

Kobieta nie zareagowała. Nie była w stanie udzielić żądanych informacji, o czym obie doskonale wiedziały, nie miała tylko pojęcia o jednym: że została wybrana celowo, by posłużyć za przykład dla tych, których języki mają być rozwiązane.



– Rozumiem. – Karbala przeszła przed Czystą, po czym schowawszy nóż do pochwy, chwyciła tamtą za koszulę i jednym szarpnięciem rozdarła ją, odsłaniając blade ciało.

Część stalkerów zarechotała lubieżnie na ten widok. Widok gładkiej skóry był tak rzadko spotykany, że kręcił każdego. Czyż nie dlatego buda tej szmaty Frei cieszyła się takim powodzeniem? Ci durnie płacili podwójnie za żarcie i picie, byle móc się napatrzeć na niepoznaczone bliznami i wrzodami cycki. Karbala nie śpieszyła się więc, kilkoma kolejnymi szarpnięciami obnażyła Czystą do pasa, po czym sięgnęła po nóż. W tym momencie sparaliżowana strachem kobieta zaczęła coś mamrotać. Nieskładnie, bełkotliwie, ale cokolwiek chciała powiedzieć, i tak nie miało to znaczenia. Pracowała w garkuchni na zmywaku, a trafiła tutaj tylko dlatego, że ukryła się w szafce i tak ocalała w czasie pogromu. Chłopcy wywlekli ją stamtąd już po tym, jak padł rozkaz oszczędzenia niedobitków. I dobrze. Będzie lekcją dla obserwujących uważnie tę scenę techników.

– Pochylcie ją – rozkazała pomagierom.

Czekając, aż wykonają polecenie, stalkerka uniosła wysoko lewą rękę. Zakręciła nią w powietrzu niczym enklawowy magik prezentujący skomplikowaną sztuczkę, a gdy wszyscy skupili wzrok tam gdzie chciała, szybkim

pchnięciem wbiła nóż w brzuch obnażonej kobiety i przeciągnęła nim, szerokim łukiem otwierając otrzewną.

– Nie puszczaj jeszcze! – krzyknęła, odskakując, by nie obryzgała jej posoka wyrzucana wypychanymi z rany flakami. – Teraz!

Czysta wydarła się, jakby obdzierali ją ze skóry, ale umilkła, zanim spadła na sieć. Za to odezwał się rudy, na którego spadła większa część wyprutych wnętrzności. Jego wrzask zrekompensował widowni wszystkie straty.

– Jedziemy dalej?

Jasne, że tak. Rozkręciła zabawę do tego stopnia, że nie wybaczyliby, gdyby teraz skończyła. Dawała im to, czego pragnęli, choć mogłaby ograniczyć ten pokaz do jednej, maksymalnie dwu ofiar i też osiągnęłaby zakładany cel. Wolą jednak obrać trudniejszą drogę, ponieważ chciała zaskarbić sobie uwielbienie tłumu, którego może potrzebować w późniejszym – i raczej nieuniknionym – starciu z Freją.

Tym razem wybrała wyliczankę mającą więcej wersów. Wiedziała, że im dłużej będzie krążyć, tym większą radochę sprawi stalkerom i tym bardziej przerazi czekających na śmierć jeńców. Tradycyjnie już zaczęła też dzielić wyrazy. Niech do samego końca nikt nie ma pewności.

– Stary stąpacz mocno śpi, stary stą-pacz mocno śpi.

My go nie zbudzimy, bo się go boimy, jak się zbudzi, to nas zje. Pierwsza godzina stąpacz śpi, druga godzina stąpacz chrapie, trzecia godzina stąpacz łapie!

Następnym wybrańcem okazał się starszy, prawie, a może nawet ponadtrzydziestoletni mężczyzna. Koleś z ekipy przepychającej rury, który pracował w tak odległym miejscu, że przegapił całą zabawę, a wpadł w ręce patrolu dopiero wtedy, gdy wylazł z nory, do której posłali go przełożeni, i trafił w sam środek pobojuwiska. Zauważyła, że w jego oczach nie ma strachu, i uznała, że świetnie nada się na trzecią ofiarę.

– Gadasz czy spadasz? – zapytała.

– Dlaczego to robisz? – odpowiedział pytaniem, jak na to liczyła.

– Dlaczego co robię? – udała, że nie rozumie.

– Dlaczego zachowujesz się jak mutki? – Tamten spojrzał na nią hardo.

Wiedział, że nie przeżyje, i dlatego postanowił się jej przeciwstawić. Nie miał jednak pojęcia, że oprawczyni o to właśnie chodzi.

– Uważasz, że zachowujemy się jak mutki? – zapytała.

– A nie?

Udała zamyślenie.

– Wiesz, że masz rację – stwierdziła, zaskakując wszystkich. – Problem w tym, że to wy nas takimi

uczyniliście. Od dwudziestu lat siedzicie sobie w tych bunkrach, rozdając karty, doprowadzając do kolejnych wojenek, dzieląc mieszkańców kanałów i nie pozwalając żadnej frakcji na osiągnięcie znaczącej przewagi, a w razie gdy któraś mimo waszych wysiłków urasta w siłę, zsyłacie na nią plagi. Wyobraź sobie, przyjacielu, że byłam w enklawach Republiki, widziałam zwłoki tych, których dosięgła szara zaraza, ta sama, którą ty i twoi przyjaciele zesłaliście na nich, czyli na nas, nie mogąc znieść, że pomimo takich cięgów wciąż wstajemy z kolan. A neonówki? Czy to też nie wasza robota? Ilu naszych pomarło w męczarniach, zanim Pamiętający pokrzyżował wam plany? Tak, tak, kochanieńki. Jeśli jestem zwierzęciem, to tylko dlatego, że ty mnie nim uczyniłeś.

Zatryumfowała po raz kolejny. Na dany znak stary został zakneblowany. Zrobił już swoje, dalsza paplanina byłaby zbyt dużą stratą czasu. Rozebrała go z kombinezonu za pomocą noża, tnąc nie tylko gruby materiał, ale i ciało, a gdy zawisł zakrwawiony i obnażony jak przedtem kucharka, rozplątała go od krocza po mostek, zanim poleciał do Otchłani, wywołując znów atak hysterii rudego.

Oprawiając kolejne ofiary, Karbala obserwowała uważnie czwórkę techników, którzy mogli znać odpowiedź na jej pytanie. Po minie dwojga z nich widziała, że są już

na granicy załamania. Robiąc tryumfalną rundkę, wybrała następną ofiarę. To powinna być krótka piłka.

– Entli-czek, pentliczek, czerwony sto-liczek, na kogo wypad-nie, na tego bęc!

Tego drania miała ochotę udusić własnymi rękami. Należał do tutejszej elity, co od razu było widać po stroju. Zabarykadował się w jednym z magazynów, ale chłopcy wyważyli drzwi, choć chwilę to trwało, z tym że zamiast zarznąć skurwiela na miejscu, na co mieli ogromną ochotę, przyprowadzili go tutaj, ponieważ tymczasem zmieniono rozkazy.

W jego oczach widziała tylko nienawiść. Nie bał się śmierci, liczyła więc, że zamiast srać ze strachu bądź przemawiać jej do rozsądku, spróbuje kąsać, a o to jej przecież chodziło.

– Gadasz czy spadasz?

– Spadam, durna szmato – odparł hardo, za co dostał od niej w pysk.

– Jak się zwracasz do damy? – ofuknęła go, udając urazę, czym rozbawiła gawieź.

– Taka z ciebie dama jak z gówna smakołyk – zakpił, jednakże ona powstrzymała stalkera, który już się szykował do uciszenia drania.

Podeszła do trzymanego w żelaznym uścisku jeńca, obmacała dokładnie jego kieszenie, po czym z tej na piersi

wyjęła chusteczkę. Strzepnęła ją, pochyliła się nad rozwścieczonym Czystym, a gdy jeden z jej ludzi przytrzymał mu głowę, otarła rąbkiem materiału kącik wykrzywionych w nienawistnym grymasie ust, jakby zauważyła w nim coś. Na koniec, ostrożnie powąchawszy spraną bawełnę, skrzywiła się z odrazą.

– Widzę, że wiesz, co mówisz – rzuciła, doprowadzając tamtego do pasji, a gapiów wprawiając w ekstazę.

– Możesz mnie zabić! – wycharczał. – Możesz wypruć mi wszystkie flaki, ale nie zdołasz mnie nakłonić do wydania ci tych wszystkich dobrych ludzi! Niech chociaż oni przeżyją!

– Uuu! – Odskokczyła, jakby ją wystraszył wrzaskami. – Widzieliście to? – zwróciła się do widowni, a potem poważniejąc, spojrzała Czystemu prosto w miotające błyskawice oczy. – Odważny może i jesteś, niedojebku, ale głupi jak but. Skąd pomysł, że chcemy zabić twoich techników? Nie tkniemy ich nawet palcem, jeśli nas do tego nie zmuszą. Ktoś przecież musi zadbać o ten wasz kurwidolek. My się na tym nie znamy, więc nawet gdybyśmy bardzo chcieli, możemy co najwyżej spieprzyć do reszty to, co wam się jeszcze nie rozsypało. Ja tutaj, mutkojebco zasrani, próbuję ratować im życie!

Po tych słowach pchnęła drania nożem. Nie

wypatroszyła go jednak, jak poprzedników, tylko dźgała dalej, raniąc tam, gdzie ciosy nie mogły być śmiertelne – choć z pewnością bolały jak szlag – dopóki nie zawisł bezwładnie na rękach podtrzymujących go chłopaków. Dopiero wtedy odstała, ocierając krew z twarzy.

Gdy konający Czysty poleciał w ślad za poprzednimi ofiarami, raz jeszcze sprawdziła miny pozostałych jeńców. Byli gotowi. Widziała to tak wyraźnie, jakby wypisali to sobie na czołach.

Tym razem nie recytowała dziecięcych wyliczanek, tylko krążyła wokół jeńców w milczeniu, stukając ich po głowach klingą zakrwawionego noża. Zrobiła trzy pełne kółka, zanim się zatrzymała.

Wskazany mężczyzna skulił się tak bardzo, że gdyby nie podtrzymująca go lina, bez niczyjej pomocy poleciałby na pysk prosto w Otchłań. Stalker uratował go za cenę lekkiego przyduszenia, tak głęboko w szyję jeńca werznąła się pętla. Nie na tyle głęboko jednak, by stracił przytomność.

– Gadasz czy spadasz? – Miała nadzieję, że pyta po raz ostatni.

Ta zabawa zaczynała ją już nużyć. Dalsze jej przedłużanie nie miało sensu, poza tym skończyły się jej wyliczanki.

– Naprawdę ich nie zabijecie? – zapytał jeńiec,

zerkając na nią bojaźliwie.

– Naprawdę – odparła po chwili. Nie okazała, jak bardzo ucieszyło ją jego pytanie. Nie wychodziła z roli nawet na moment. – Nie dlatego, że ja tak mówię. Gdyby to ode mnie zależało, zdechlibyście wszyscy do ostatniego, ale na wasze szczęście nie ja tu dowodzę, tylko Pamiętający. Nie zabijemy twoich przyjaciół, ponieważ kazał nam ująć ich żywcem. I dopóki będą utrzymywać ten burdel w ruchu, ich życiu nic nie zagrozi. Jesteśmy okrutni, to prawda, ale nie aż tak jak wy. Nie zabijamy wszystkich, jak popadnie. Znamy aż za dobrze cenę życia. Dlatego kto wie, może niektórzy z twoich kumpli staną się z czasem jednymi z nas. Może nawet ty sam do nas dołączysz? – kusila. – Widziałeś tę blond cycatkę? Jakoś włos nie spadł jej z głowy, choć ma czyściutką skórę jak wy. Więcej powiem, dzisiaj rozstawia nas, rodowitych kanalarzy, po kątach. – Była pewna, że ten zasraniec nie zna prawdziwego kontekstu jej rozmowy z Freją, ponieważ usłyszał tylko to, co powinien.

Od razu zrozumiała, że pojawienie się tej suki paradoksalnie ułatwia jej robotę, tak więc posłużyła się nią bez żadnych oporów. Wątpiła, by prosty technik wiedział cokolwiek o układach panujących na powierzchni.

– Dobrze, powiem, co chcecie wiedzieć, tylko nie zabijajcie już nikogo z naszych – wymamrotał przerażony



Czysty.

Musiała się pochylić, by usłyszeć, co do niej mówi. Rudy wciąż się darł, przeszkadzając bardziej, niż pomagając, ale musiała to ścierpieć.

– Mów – poprosiła.

Słuchała przez dłuższą chwilę, obserwując spod na wpół przymkniętych powiek twarz drugiego z wytypowanych techników. Sprawdziała jego reakcje, wierząc, że tamten nieświadomie zdradzi się, jeśli jego kompan skłamie. Nie zauważyła jednak żadnego gestu, żadnego grymasu, który by świadczył o tym, że mamroczący chłopak wprowadza ją w błąd.

Gdy wreszcie zamilkł, wyprostowała się, nakazując stalkerom, by puścili pozostałych jeńców. Wszystko wskazywało na to, że problem został rozwiązany, a co za tym idzie, stanie się bohaterką tego dnia, co Pamiętający z pewnością doceni, może nawet...

Dostrzegła jakieś zamieszanie wśród gapiów. Znów się rozstępowali, szepcząc do siebie i robiąc wielkie oczy. Moment później zobaczyła szopę jasnych włosów. Freja wracała, prowadząc...

Świat młodej stalkerki runął w jednej chwili. Gdyby nawet zdołała rozwalić gołymi rękami zablokowany włącz, a potem wyłapać wszystkich ukrywających się za nim techników, to ten, na którego względach tak jej zależało,

i tak nie zwróciłby na nią uwagi.

## ROZDZIAŁ 3

# Bocznicza

Spokój nie trwał długo. Na zewnątrz rozległy się jakieś nawoływania, krzyki. Ktoś wydawał tubalnym głosem rozkazy, tłuczeń chrzęścił pod podkutymi butami najpierw z jednej, potem z drugiej strony wagonu. W końcu znów zapadła cisza, ale tylko na moment. Gdy szcęknał odsuwany rygiel, do uszu kulących się w mroku niewolników dotarły dźwięki... ckliwej muzyki.

Pociągnięte mocnym szarpnięciem drzwi otworzyły się w asyście przenikliwego zgrzytu, ale tylko na metr, choć niecałe dwie godziny temu wszystkie rolki, na których zostało osadzone ciężkie skrzydło, działały bez zarzutu. Otaczającą niewolników smolistą czerń przeszył snop niezbyt jasnego światła – na zewnątrz paliło się tylko kilka lamp – choć stabilność docierającego do oczu Remera blasku świadczyła dobitnie o jednym: jego źródła nie zasilano łojem ani olejem, lecz elektrycznością.

Na szczęście moc tych żarówek była naprawdę niewielka, tak więc Pamiętający nie został przez nie

oślepiiony i potrzebował tylko chwili, by odzyskać pełną ostrość widzenia. Gdy rozmazane kształty przed jego oczami nabrały w końcu wyrazu... zmartwiały.

Ludzie Pułkownika wciąż szarpali się z zablokowanymi drzwiami, lecz nawet to liche światło, które dostawało się do wnętrza wagonu, pozwoliło Pamiętającemu dostrzec ślepcę klęczącego dosłownie o krok od nóg Iskry. Jego rozdziawiona bezzębna gęba i wyraz odrazy na poznaczonym liszajami obliczu wystarczyły, by Remer zrozumiał, że napomnienie przyszło zbyt późno. Ślepy drań właśnie odwracał się twarzą do drzwi, oskarżycielskim gestem wskazując tych, których zamierzał zdradzić w każdy dostępny mu sposób.

Pamiętający zerknął przez ramię, pragnąc posłać Iskrze miażdżące spojrzenie, ale ona śmignęła mu tylko przed oczami. Skulona i czujna doskoczyła do klęczącego przed nią niewolnika, chwyciła go za wyciągniętą rękę i szarpnęła z całych sił, pociągając dużo starszego i masywniejszego od niej mężczyznę w kierunku tylnej ściany wagonu. Zaskoczony kaleka wyrzwał czołem o zimny metal, lecz uderzenie było zbyt słabe, aby uczynić mu krzywdę. Tyle dobrego, że hałas, jakiego narobił przy upadku, utonął w kolejnym przeraźliwym zgrzycie.

Zajęci odblokowaniem wyjścia strażnicy nie zaglądali na razie do wnętrza wagonu. Pamiętający dostrzegł więc

szansę i wykorzystał ich nieuwagę. Nie namyślając się wiele, uniósł lewą rękę i opuszczając ją ponownie, opadł z impetem na kark gramolącego się niewolnika. Zaatakował go jak zawodowy amerykański zapaśnik, z jedną drobną różnicą – nie zamierzał markować ciosu.

Chrupot łamanego kręgosłupa utonął w kolejnym, dobiegającym od strony otwieranych drzwi hałasie.

Iskra czołgała się już w stronę zgromadzonych pod przeciwległą ścianą współpasażerów, którzy po drugim ataku latającej bestii ponownie zbili się w ciasną grupkę, jakby wzajemna bliskość pozwalała zwiększyć szanse na przetrwanie. Byli tam wszyscy prócz pechowego durnia, który podczas walki z mutantem spanikował najbardziej i wybrał nie ten kierunek co trzeba.

Remer nie przyglądał się ciału – wiedział, jak uderzyć, by skutecznie skręcić kark człowiekowi leżącemu w takiej pozycji. Rzucił za to okiem ku wyjściu, odpełzając równocześnie za dziewczyną. Usiadł obok niej, zanim zmagający się z zablokowanymi drzwiami żołnierze zdążyli odsunąć metalowe skrzydło na zadowalającą ich szerokość. Dopiero wtedy kierujący ich poczynaniami dowódca zajrzał do pogrążonego w mroku wnętrza.

Żaden z jego podwładnych nie odezwał się do tej pory słowem, lecz gdy tylko wagon został otwarty, ze znajdujących się gdzieś na zewnątrz niewidocznych

głośników popłynął słodki jak miód kobiecy głos.

– Witajcie w Nowej Polsce, drodzy przyjaciele. Przybyliście tutaj, aby pomagać przy wznoszeniu zrębów najpotężniejszego z podziemnych kompleksów, jakie kiedykolwiek powstały na tych ziemiach. Wspólnie zbudujemy miasto przyszłości, w którym bezpiecznej starości w szczęściu, zdrowiu oraz dobrobycie dożyjecie nie tylko wy, ale i wasze dzieci. Pamiętajcie jednak: tylko od waszej niezłomnej postawy i poświęcenia zależy, czy po tysiącu dni ciężkiej pracy zostaniecie całkowicie uleczeni, jak miało to miejsce w przypadku każdej z osób, które wami się teraz zajmą, w tym także mnie. Tak, moi bracia i siostry, nie karmiono was obietnicami bez pokrycia, czego jestem żywym dowodem. Nasi znakomici chirurdzy przywrócą każdemu z was zdolność widzenia, odzyskacie też w pełni mowę. Oczywiście wiem, że po stokroć ważniejszy jest dla was fakt, iż doprowadzimy do ponownego połączenia rodzin i zwrócimy wam dzieci, o które nasi ludzie we Wrocławiu dbają w tej chwili jak o własne potomstwo, aby podczas trzech lat waszej chlubnej służby Nowej Polsce nawet włos nie spadł im z głowy.

Spikerka zamilkła, jakby chciała podkreślić wagę ostatnich słów. Moment później w tle rozległ się dźwięk przypominający gaworzenie, trwał jednak zbyt krótko, by

Remer mógł zyskać całkowitą pewność, że słyszy głos dziecka.

– Na pewno zastanawialiście się, i to po wielekroć, dlaczego musieliśmy odebrać wam czasowo wzrok i mowę... – Kobięcy głos podjął tym samym rzeczowym, ale zarazem melodyjnym tonem. – Zapewniam was, że daleko nam do potworów, które rządzą obecnie kanałami Wrocławia. Z tego też powodu robimy co w naszej mocy, by tajemnica tego miejsca nie dotarła do niepowołanych oczu i uszu. Wiem, że nas zrozumiecie, jeśli nie dzisiaj, to w najbliższych dniach. Skąd ta pewność? Wszyscy przeżyliście koszmar dwudziestoletniej egzystencji w kanałach. Trwaliście pośród niewyobrażalnego okrucieństwa, często o głodzie i chłodzie, nierzadko w potwornym strachu, niewysłowionym bólu i udręce. Wiecie więc, w co zamieniłaby się nasza oaza spokoju, gdyby złoczyńcy, o których przed momentem wspomniałam, znaleźli do niej drogę... – Po raz kolejny na moment zapadła cisza, w której słyhać było wyłącznie cichuteńkie zawodzenie wiatru, jakby pociąg trafił do wielkiego hangaru albo jaskini. Remer nie miał czasu, by się w te dźwięki dokładniej wsłuchać, ponieważ przerwa znów dobiegła końca. – Wybaczcie, przyjaciele... Obawa przed dawnym życiem wciąż jest we mnie tak żywa... – Z emocji głos wiązł w gardle tajemnicznej kobiecie. –

W naszym kompleksie, dopóki będziecie sumiennie wykonywać wydawane wam polecenia, nie zaznacie głodu, chłodu ani strachu. Nakarmimy was, napoimy, jeśli trzeba, także wyleczymy. Pamiętajcie jednak, że każda próba nieposłuszeństwa albo buntu zostanie surowo ukarana! – dodała tonem dalekim od złowieszczonego brzmienia, jakby nie groziła nowo przybyłym, tylko bolała nad treścią słów, które musi im przekazać. – Każdy, kto nie zechce przestrzegać zasad współtworzenia naszej przyszłości, zostanie wydalony. Jego dzieci natomiast utracą prawo do przebywania w azylach, w których znalazły tymczasowe schronienie. To nie jest groźba, moi kochani bracia i siostry, to jest lojalne ostrzeżenie. Z całego serca wierzę, że wszyscy staniecie na wysokości zadania i zasłużycie na miejsce w naszej nowej wspólnej ojczyźnie, z dala promieniowania i krwiożerczych mutantów. A gdy nadejdzie szczęśliwy dzień zjednoczenia, dam wam uroczyste słowo honoru: odzyskacie wzrok, mowę i potomstwo. Staniecie się jednymi z nas! Co ja mówię... – zaśmiała się serdecznie – ...przecież już dzisiaj wstąpiliście w szeregi dumnych obywateli Nowej Polski! Teraz pozostaje tylko udowodnienie, że nie popełniliśmy błędu, wybierając właśnie was. Ja święcie wierzę, że już za tysiąc dni, a może nawet szybciej, staniemy wspólnie u wrót nowego,



wspaniałego świata! Pamiętajcie: zjednoczeni przetrwamy!  
Podzieleni zginiemy! Niech żyje Nowa Polska!

W czasie gdy strwożeni ślepcy słuchali przemówienia, Pamiętający obserwował spod na wpół uchylonych powiek to, co działo się za drzwiami wagonu. W tle widział pionową, wybetonowaną ścianę, poznaczoną odciskami szalunku, bardzo podobną do tych, które okalały tunele Otchłani. Nieco dalej, za krawędzią nie do końca otwartych drzwi, dostrzegł też skraj szerokiego stalowego pomostu zastawionego na pewnym odcinku ciężkimi skrzyniami. Widok ten przesłonili mu zaraz mężczyźni w oliwkowych kombinezonach ochronnych, którzy przeciągali właśnie okolony linowymi poręczami trap, łącząc wnętrze wagonu z peronem. Robili to w milczeniu, niespecjalnie przejmując się struchlałymi niewolnikami, którzy siedzieli wciąż w półmroku zbici w ciasną grupę i wsłuchiwali się z uwagą w słowa płynące z głośników.

Robota została ukończona, zanim przemawiająca kobieta ponownie zamilkła, lecz nawet gdy zaczęły padać wzniosłe hasła, żaden z żołnierzy nie stanął na baczność ani nie zasalutował, całkiem jakby wszyscy mieli gdzieś szczytne idee kryjące się za sloganami godnymi największych dokonań północnokoreańskiej propagandy. To było znamienne. Chyba nawet Iskra to zauważyła, sądząc po lekkim kuksańcu, którym obdarzyła Remera.

– Teraz zostaniecie odprowadzeni do waszych nowych kwater, gdzie przydzielimy wam wygodne posłania i odzież roboczą. Otrzymacie także możliwość obmycia się po podróży oraz zjecie przepyszny, ciepły posiłek – informowała ich z dumą ta sama kobieta, coraz bardziej kojarząca się Remerowi z pewną słynną niegdyś na cały świat, odzianą w róż prezenterką telewizyjną. – Przed udaniem się na zasłużony spoczynek wysłuchacie serii komunikatów, w których moje przyjaciółki ze służb informacyjnych wyjaśnią w niezwykle dostępny sposób, jakimi zasadami kieruje się nasza wyjątkowa społeczność. Pamiętajcie: tylko ściśle ich przestrzeganie umożliwi wam pozostanie w szeregach obywateli Nowej Polski, a co za tym idzie, pełne uzdrowienie i sprowadzenie tutaj waszych dzieci. Możecie mi wierzyć, kilka miesięcy temu ja sama odzyskałam w ten sposób moją ukochaną córeczkę. Prawda, kruszynko?...

– Prawda, mamusiu! – pisnęło jakieś dziecko, po czym roześmiało się perliście.

– Witajcie w gościnnych progach Nowej Polski!

Po tym zdaniu rozległo się charakterystyczne pstryknięcie, potem nad peronem rozbrzmiewała już tylko ckliwa muzyka, którą Remer rozpoznawał, choć za diabła nie umiał jej umiejscowić.

– Dobrze, że skończyła pieprzyć te farmazony, bo

jeszcze jedno słowo i chybabym się porzygała – wyszeptała zniesmaczona Iskra, zawisając na ramieniu Pamiętającego. – Czy oni naprawdę są tak głupi, by sądzić, że ktoś uwierzy w całe to pierdololo?

– Patrz i podziwiał – odparł równie cicho, po czym wsparł się na zdrowej ręce, by wstać śladem reszty otaczających ich niewolników.

Jego młoda partnerka, choć miał o niej naprawdę dobre mniemanie, została zbyt wtajemniczona, by dać się przerobić tak prymitywnej propagandzie, ale on doskonale pamiętał czasy, w których milionowe rzesze z pozoru inteligentnych Polaków łykały jeszcze większe bzdury i brednie, mimo że ludzie z lat jego młodości – w odróżnieniu od okaleczanych niewolników – mieli doskonały wzrok, sprawne struny głosowe oraz wszelkie narzędzia pozwalające na natychmiastowe dostrzeżenie i sprostowanie każdego wciskanego im kłamstwa.

Fake News – jak nazwano tego typu polityczną propagandę – tłoczone do głów całymi latami, zdołały w końcu nagiąć rzeczywistość. Mało komu chciało się sprawdzać, która z informacji rozpowszechnianych w Sieci i poza nią jest prawdą albo chociaż jej cieniem. A fałszerstw dopuszczali się wszyscy, przekraczając w coraz szybszym tempie kolejne granice.

Media głównego nurtu łągały w żywe oczy, podobnie

jak ci, którzy rzekomo demaskowali ich kłamstwa, lecz nie to było najgorsze: każda rzetelna informacja bez względu na to, jak łatwa do sprawdzenia i wiarygodna, była natychmiast przeinaczana przez dyżurnych trolli i nadzorujących ich spin doktorów, po tysiącokrotnie wyśmiewana albo zagłuszana propagandowym bełkotem.

W krótkim czasie zabito wszelkie autorytety, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony barykady, potem zagłuszono ostatnie płynące tym razem z dołu głosy rozsądku, ponieważ lud wolał słuchać tyrad przymilających mu się kretynów, nawet tych obiecujących gruszki na wierzbie, na koniec zaś ośmieszono i obrzucono głównym najszczytniejsze idee. Ucyfrowienie społeczeństwa zamiast wolności przyniosło nową, niedostrzegalną przez masy formę zniewolenia. Tak właśnie doprowadzono do eskalacji wewnętrznych konfliktów, które koniec końców doprowadziły w wielu społeczeństwach do tak głębokich podziałów, że usunąć je mogła wyłącznie nuklearna pożoga.

*Czy ktoś mógł nie uwierzyć w ten propagandowy bełkot?* Pamiętający zaśmiał się gorzko w duchu.

Widząc nadzieję malującą się w tym momencie na twarzach ślepców, którzy ruszali kolejno w stronę pomostu i nawołujących żołnierzy, Nauczyciel brał za pewnik, że nie ma wśród nich jednego wątpliwego w realizację

składanych przez spikerkę obietnic. Ci ludzie zostali zredukowani do poziomu bezmyślnych zwierząt. Nie przez Znachora ani Tesłę, lecz znacznie wcześniej, w trakcie niemal dwu dekad egzystencji w kanałach zrujnowanego miasta, gdzie większość żyła z dnia na dzień, nie znając prawdziwych przyczyn upadku starego świata. Gdzie uczono ich tylko jednego: jeśli nie chcesz zginąć, musisz stać się częścią grupy i bezwzględnie słuchać tych, którzy wydają rozkazy.

Nieprzypadkowo Czyści polowali na najsłabsze ogniwa powojennej społeczności. Przywykłych do swobody stalkerów nie zdołaliby przekabacić za diabła, ale mogli urabiać, jak chcieli, każdego niedouka, podobnie jak robili to ich odpowiednicy sprzed wojny, ci, którzy zdołali wmówić milionom, że szczepionki powodują autyzm, rak jest wyjątkowo wrednym grzybem, a Ziemia ma kształt dysku.

Pamiętający nie mógł winić nie znających historii niedouczonych biedaków, że indoktrynowani przez wiele tygodni podobnymi tekstami łykali najbardziej wierutne bzdury niczym głodny szarik zdeformowanego noworodka, nie zastanawiając się nawet przez moment, jakim cudem ktoś zdoła przywrócić im utracony wzrok albo mowę. On sam był świadom, że to niemożliwe. Takich zmian nie zdołano by cofnąć nawet przed wojną,

gdy wrocławskie szpitale dysponowały najnowocześniejszą aparaturą i znakomitymi, zdolnymi do czynienia cudów fachowcami – a co dopiero teraz, w czasach, gdy lżejsze rany po prostu przypalano, a ciężej chorych pozbywano się z enklaw jak nieczystości i innych śmieci.

Ktokolwiek rządził tym miejscem, także doskonale o tym wiedział. Dlatego właśnie zdołał stworzyć idealnie działający system. Nagle stało się jasne, że Pułkownik wyciągnął jedyne słuszne wnioski z buntów, o których wspomniała przed śmiercią Bondarczuk, a co za tym idzie, doprowadził do stworzenia nowego rodzaju niewolników. Kalekich, niezdolnych do porozumiewania się ani do samodzielnego życia, którym w dodatku wyprano te resztki neuronów, jakie przetrwały w nigdy nie karmionych wiedzą mózgach. Nie mówiąc oczywiście o odebranych im dzieciach, które okazały się najlepszą gwarancją posłuszeństwa... choć od dawna już nie żyły.

Pamiętający poczuł w przełyku palącą gorycz żółci na samo wspomnienie nieszczęsnych małałatów. Wciąż nie miał pewności, co Tesla serwował mu w bunkrze podczas pamiętnych obiadów, lecz zważywszy na okoliczności, zyskał przeświadczenie graniczące z pewnością, że nie zakosztował bynajmniej mięsa niejednorozca.

Splunął dyskretnie, by pozbyć się choć części

niesmaku, jaki wypełnił mu usta. Chwilę później pozwolił, by jeden z żołnierzy Pułkownika ujął jego dłoń i położył ją na ramieniu poprzedzającego niewolnika, po czym – gdy kolumna została uformowana – podreptał posłusznie ku drzwiom, oczywiście ze spuszczoną głową, aby stojący po obu stronach pomostu strażnicy nie dostrzegli, że szew na jego powiekach jest na tyle luźny, że może je rozchylić na kilka milimetrów.

Nie zareagował na krzyki, które dobiegły z nienacka z wnętrza wagonu. Czyści z Riese trafili w końcu na trupa. Pochód ślepców natychmiast zatrzymano, a stojący na jego czele oficer podbiegł do trapu i minawszy koniec kolumny strwożonych niewolników, zniknął w mroku.

Pamiętający wykorzystał ten moment, by obrzucić wzrokiem opancerzone skrzydło, z którego otwarciem żołnierze Pułkownika mieli tyle problemów. Od razu zrozumiał, dlaczego szerokie drzwi wagonu nie chciały się otworzyć. Na ciemnoszarej powierzchni dostrzegł wiele wgłęć i rys, z których kilka było naprawdę długich i głębokich, jakby do tej kilkumilimetrowej płyty metalu dorwał się nacpany szlifierz wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt do obróbki stali.

*Czymkolwiek była bestia, która poczyniła takie zniszczenia, jej pojawienie się nad ruinami Wrocławia oznacza pewną zagładę wszelkiego życia, zarówno na*

*powierzchni, jak i pod nią. Nawet największe stąpacze nie będą miały żadnych szans w starciu z takim gigantem, a to one stały dotychczas na szczycie nowego, wypaczonego łańcucha pokarmowego. Jeszcze wczoraj jawiły mi się tyranozaurami zmutowanego świata, tymczasem dzisiaj... Dzisiaj mogę je brać co najwyżej za wyrosnięte szczury.*

Myśl o gigantycznym latającym mutancie przypomniała mu o walce, którą obrońcy pociągu stoczyli ponad godzinę temu. Przeniósł wzrok wyżej, na płaski dach wagonu. Z tej perspektywy mógł dostrzec jedynie szczyt wysokiego na niemal pół metra kręgu stali osłaniającego znajdujące się tam stanowisko ogniowe. Nad nim wznosiła się kopułowata klatka z grubych jak przedramię rur, podobnych do tych, którymi osłaniano przed wojną zderzaki i progi wypasionych samochodów terenowych. Całości konstrukcji dopełniały płyty grubej perforowanej blachy, rozmieszczone w ten sposób, że tylko szczyt i jeden boczny segment kopuły pozostawały otwarte. Nawet tak potężne opancerzenie nie wystarczyło jednak do skutecznej w stu procentach obrony przed atakami nieznanego mutanta. Pamiętający wyraźnie widział spore wgniecenie w ażurowej konstrukcji stanowiska znajdującego się w przedniej części jego wagonu. Część płyt osłony zniknęła, inne wisały na kilku nitach, pogięte bądź przedarte jak papier!



Konstrukcja z rur została mocno spłaszczona, teraz ledwie wystawała nad krąg stalowej ściany, lecz to chyba wystarczyło, by ocalić życie kryjącego się w niej strzelca. Być może to właśnie on przyglądał się teraz rozmiarowi zniszczeń, stojąc na skraju dachu i z niedowierzaniem kręcąc głową.

Remer w ostatniej chwili powstrzymał się przed uczynieniem podobnego gestu. Sklął się też w myślach za tak wielką nieostrożność. Znów pozwolił sobie na chwilę zbyt głębokiej zadumy. Znów się rozkojarzył do tego stopnia, że zapomniał o bożym świecie i zasadach, których nie wolno mu było złamać. Spuścił więc ponownie głowę i czekając na zakończenie oględzin trupa, przyjrzał się ostrożnie miejscu, w które został sprowadzony. Peron, przy którym stał pociąg pancerny, miał ponad sto metrów długości, a mieścił się w czymś, co mogło być naturalną jaskinią, którą ktoś zaadaptował na potrzeby ludzi, bądź komorą wykutą od zera w litej skale.

Wybetonowane ściany kończyły się jakieś trzy metry nad poziomem stalowych płyt lekko tylko skorodowanego pomostu, na którym stało wciąż czoło kolumny wylęknionych niewolników. Nad ich głowami, w oddali, widać było połyskujące w blasku nielicznych latarni skały – nierówne i kanciaste, zbiegające się ostro w łukowate, ledwie dostrzegalne przy tym oświetleniu

sklepienie. Tuż za końcem obu torów zabezpieczonych charakterystycznymi, pomalowanymi na jaskrawe kolory odbojnikami Pamiętający dostrzegł identyczną litą ścianę z sinoszarego kamienia.

Nie wiedział jedynie, jak wygląda wjazd czy też wlot tego tunelu. Aby go zobaczyć, musiałby się odwrócić, a takie, nietypowe przecież dla ślepców zachowanie z pewnością zwróciłoby uwagę zaniepokojonych znalezieniem trupa strażników.

– Co tam się dzieje?

Wszyscy niewolnicy drgnęli mimowolnie, słysząc dobiegający gdzieś z góry władczy głos. Remer także poruszył się niespokojnie, jak otaczający go nieszczęśnicy, zauważając przez uchylone powieki, że paru poprzedzających go mężczyzn zadziera dziwnie głowy, jakby próbowali zlokalizować źródło nowego dźwięku. Postanowił zachować się podobnie, a gdy nadstawiał ucha, naśladując reakcje podpatrzone u ślepców, potoczył przy okazji wzrokiem po niewielkiej stalowej galerii, na której stał niewiele młodszy od niego postawny mężczyzna w znoszonym oficerskim mundurze. Z tej odległości i pod tak ostrym kątem trudno było dostrzec więcej szczegółów, niemniej Pamiętający zauważył, że coś jest nie tak z lewym okiem tamtego.

– Jeden z naszych nowych przyjaciół nie żyje! –

odkrzyknął dowódca strażników, wychylając się z wnętrza wagonu.

Ślepcy zafalowali nerwowo.

– Zabito go? – Ton mężczyzny z pomostu stał się momentalnie bardziej natarczywy.

*To zapewne sam Pułkownik, uznał Pamiętający, spostrzegłszy szacunek bijący ze spojrzeń stojących opodal mężczyzn w oliwkowych kombinezonach. Tak patrzy się na bohaterów albo wodzów.*

Często widywał takie spojrzenia – i przed Atakiem, gdy chronił najważniejszych oficjeli, i po nim, gdy sam kroczył w chwałę kanałami podbitych enklaw.

– Raczej nie... – Niezdecydowana odpowiedź padła po chwili wahania. – Wygląda na to, że podczas ataku upadł na ścianę i skręcił sobie kark.

– Jesteś tego pewien?

– Nie, Pułkowniku – przyznał dowódca strażników, potwierdzając podejrzenia Remera. – Ale pan spojrz na pozostałych. – Wszedł ponownie na peron, minął większość kulących się bojaźliwie ślepców, po czym wyciągnął rękę i bezceremonialnym ruchem zadarł głowę krępego mężczyzny, który zranił się przy ruszaniu albo w trakcie walki z latającym potworem. Prawą część twarzy miał mocno zakrwawioną i opuchniętą. Przyciskał też łokieć do ciała, jakby odczuwał w nim lub w zranionym

boku dojmujący ból. – Czy ktoś cię pobił, przyjacielu? – zapytał ostrym tonem strażnik, cofając dłoń. Ślepiec pokręcił stanowczo głową. – Upadłeś i sam się o coś uderzyłeś? – Szybkie, pewne skinienie, po którym niewolnik został przyjaźnie poklepany po ramieniu. Zadano mu jeszcze kilka pytań, ale już półgłosem, tak więc Pamiętający nie mógł ich dosłyszeć, aczkolwiek nie przeoczył serii następujących po nich zdecydowanych potaknięć i zaprzeczeń.

Utykająca lekko kobieta stojąca dwa miejsca przed wcześniej przesłuchanym kurdupłem odpowiedziała w identyczny sposób, gdy została moment później wybrana i przepytana.

– Sam pan widzi, Pułkowniku. Mieliśmy cholerne szczęście, że nie straciliśmy więcej ludzi. Ten pieprzony kłopotek był tak wielki, że przebił się przez ogień zaporowy, i to dwukrotnie. Za pierwszym razem naprawdę mało brakowało, żeby nas wykoleił. – Palec oficera wskazał zgniecione stanowisko obrony. – Za drugim, na nasze szczęście, zajebaliśmy drania!

Strażnicy, po raz pierwszy od przybycia transportu na miejsce, wyrazili jakieś emocje. Tryumfalny okrzyk, jakim skwitowali pokonanie wroga, z którym musieli mieć niejednokrotnie do czynienia, odbił się stukrotnym echem od ścian i sklepienia, płosząc dodatkowo i tak już

wystraszonych ślepców.

Mężczyzna zwany Pułkownikiem nie podzielał optymizmu podwładnych. Machnął tylko ręką, jakby zezwalał na kontynuowanie operacji, po czym zniknął z pola widzenia Pamiętającego, zapewne w korytarzu albo pomieszczeniu przylegającym do galeryjki.

W tej samej chwili szczerzący zęby oficer powtórzył gest przywódcy i strażnik, na którego ramieniu spoczywała dłoń pierwszego z niewolników, ruszył różnym krokiem w kierunku widocznej w oddali bramy.

## ROZDZIAŁ 4

# Pułkownik

– Czy ja dobrze widzę? – Tamara oderwała wzrok od dostarczonych jej przed chwilą dokumentów. – Dwudziestu? Czy ich w tej Otchłani do reszty porąbało?

Pułkownik nie odpowiedział. Zszedł z galeryjki, zamykając za sobą metalowe drzwi, po czym minął ją obojętnie, jakby była powietrzem. Nie skierował się jednak od razu do wyjścia, jak miał to w zwyczaju, tylko podszedł do stołu, jednego z niewielu mebli zdobiących pomieszczenie poniemieckiej dyspozytorni, i opadłszy ciężko na stojące obok zdezelowane krzesło, sięgnął po słuchawkę.

– Zostawcie nas samych! – rzuciła Tamara do pracownic obsługujących terminale.

Nie musiała powtarzać polecenia ani poganiać dziewczyn. Wstawały pośpiesznie, przerywając wykonywaną pracę, i bez słowa kierowały się ku jedynym drzwiom. Były przyzwyczajone do wykonywania rozkazów, nadto w tym momencie nie miały nic do

roboty – puszczono nowo przybyłym nagraniem dobiegnie bowiem końca dopiero za paręnaście minut. A co najważniejsze, doskonale wiedziały, że nie warto zwracać na siebie uwagi rozwścieczonego przełożonego.

Pułkownik nie czekał, aż wyjdą. Wystukał na wysłużonej klawiaturze kierunek i trzycyfrowy numer, przełączył aparat na tryb głośnomówiący, po czym odczekał kilkanaście sekund, bębniąc palcami o starty blat, lecz podobnie jak obie wychodzące właśnie dyżurne i towarzysząca mu kobieta usłyszał wyłącznie rytmiczne piknięcia.

– Odbierajże, durna szmato – syknął w końcu, okazując zniecierpliwienie, ale nie na wiele się to zdało.

Wyglądało na to, że osoba, do której dzwonił, nie zamierza podnieść słuchawki. Nie wątpił jednak, że siedziała na wyciągnięcie ręki od dzwoniącego telefonu. Irytowało go, i to potwornie, że miała czelność zignorować wezwanie. Musiała przecież wiedzieć, że to on dzwoni. ON!

Tamara stanęła za jego plecami, przygryzając nerwowo wargę. Oficjalnie pełniła funkcję głównego zarządcy pionu cywilnego, była więc – przynajmniej w teorii – kimś równie ważnym jak siedzący przed nią mężczyzna, choć w momentach takich jak ten odnosiła nieodparte wrażenie, że Andrzej (tak nazywała go w myślach oraz w niezwykle

rzadkich chwilach intymności) traktuje ją na co dzień jak każdego innego mieszkańca Riese, no, może z wyjątkiem sprowadzanych tutaj podludzi.

– Nie odbierze – rzuciła kąśliwym tonem. – Wie przecież...

Zdziwiła się. Zanim zdążyła dokończyć zdanie, z głośniczka dobiegł charakterystyczny trzask.

– Słuchaj uważnie, durna wywłoko, bo nie będę powtarzał – warknął Pułkownik, zanim jego rozmówczyni zdążyła się odezwać. – Nie będzie więcej ostrzeżeń. Koniec z pobbazaniem. Albo wywiążesz się z podjętych zobowiązań i przyślesz mi w tym tygodniu całą setkę w pełni urobionych skopców, albo koniec z naszym układem. Rozumiesz, co mówię? Definitywny koniec ze wszystkim. Zero dostaw, zero innej pomocy, wypadacie z listy. Tak, słuch cię nie myli: wy-pa-da-cie. Nie ewakuujemy was. Albo dostanę obiecany kontyngent siły roboczej, albo możecie strugać sobie drewniane jesionki, bo wyzdychacie tam do ostatniego.

Nie podnosił głosu, nie krzyczał, ale zamilkł dopiero wtedy, gdy z jego ust padły wszystkie groźby, które zamierzał wyartykułować. Zaskoczył Tamarę stanowczością swojej wypowiedzi. Widziała, że jest wściekły. Zbyt dobrze go znała, by tego nie zauważyć. Wychwyciła w jego głosie tę znajomą, choć ostatnimi



czasami rzadko słyszaną nutę, zanim jeszcze skończył rozmawiać ze Stefanem, jednakże ten wybuch...

To było tak niezwykle dla niego zachowanie, że nie wiedziała, co myśleć.

*Czyżby człowiek ze stali zaczynał w końcu pękać?*

Natychmiast zganiła się mentalnie za tę myśl. To przecież zwykła, nie pierwsza zresztą obsuwa ze strony wrocławian. Brak uzupełnień wymusi konieczne zmiany w rotacji podludzi, co może się odbić na chwilowej wydajności pewnej części brygad, ale na pewno nie zagrazi realizacji projektu. Dzięki ich wspólnym wysiłkom udało się wyprzedzić harmonogram prac o całe trzy tygodnie. A Bondarczuk, zwłaszcza po takiej reprimendzie, stanie na głowie, by sprostać rosnącym wymaganiom partnerów. W końcu to jej grunt pali się pod stopami... *W każdym razie bardziej niż nam*, poprawiła się w myślach, ponieważ w odróżnieniu od większości przebywających w tym kompleksie ludzi znała całą prawdę.

Wzdrygnęła się, gdy głośnik ożył na moment przed tym, nim odkładana przez Andrzeja słuchawka trafiła na widełki antycznego aparatu. Połączenie zostało jednak przerwane i Bondarczuk nie zdołała dojść do głosu. Pułkownik powiedział swoje. Koniec, kropka.

Andrzej rozparł się wygodniej na krześle, znów

zabębnił palcami po blacie, ale jakby... weselej. Gdy moment później wstał, Tamara nie dostrzegła w jego oku nawet śladu niedawnej złości. Uśmiechał się za to kpiąco, jakby wszystko szło po jego myśli.

– Dobrze zrobiłem, że zadzwoniłem stąd – rzucił, stając przed oknem wychodzącym na komorę stacji.

– Co ci to dało? – zapytała, ponieważ wiedziała, że tego właśnie od niej chce.

– Nie rozumiesz?

Rozumiała. Doskonale wiedziała, że Kaśka po takim opieprzu wisi teraz na telefonie, ale choćby spędziła przy nim całe godziny, nikt jej nie odpowie. Sytuacja wymagała jednak, by udała głupszą, niż ustawa przewiduje, co też zrobiła.

– Nie.

– Niech suka dzwoni do usranej śmierci – rzucił rozbawionym tonem, otwierając drzwi prowadzące na galerię. Wyszła za nim, doszedłszy do wniosku, że ta część rozmowy nie jest już przeznaczona dla uszu pracujących w dyspozytorni kobiet, które nawet stojąc w korytarzu, mogły usłyszeć niektóre słowa. – Nie będzie nam to przeszkadzać, ponieważ nie musimy iść dzisiaj do centrum dowodzenia – dodał, gdy znaleźli się na zewnątrz, oddzieleni od pracownic kolejną grubą warstwą stali.

Andrzej nie przejmował się dyżurnymi z centrum –

zakładał, że jeśli usłyszą natrętne dzwonienie dobiegające zza zamkniętych drzwi jego gabinetu, będzie ono na tyle ciche, iż nikogo z nich nie powinno wkurzyć. Nawet po godzinie czy dwu nieustannego dobijania. A Bondarczuk mogła łączyć się tylko z dwoma numerami w Riese. Z prywatną linią i alarmową. Pułkownik nie miał jednak wątpliwości, że nawet w tak kłopotliwej sytuacji nie odważy się skorzystać z alternatywy, gdyż naraziłaby się przez to jeszcze bardziej, a tego z pewnością nie chciała.

– Jutro, ale nie z samego rana, zadzwonisz do Otchłani – odezwał się ponownie, zakładając ręce za plecy.

W tej władczej pozie, przy barierce, wyglądał jak admirał stojący na mostku prującego nieznane wody flagowca. Tak go postrzegala. Może była głupia lub zbyt romantyczna, ale w jej oczach Andrzej nie miał cech bezwzględny tyrana. Był bohaterem tragedii, który wbrew piętrzącym się przeciwnostwom robi, co może, by ocalić to, co jest jeszcze do uratowania. A gdy w końcu dopnie swego – co uczyni bez dwóch zdań – to ona będzie stała u jego boku i w odróżnieniu od setek innych kobiet, które przetrwały w tych bunkrach wojnę, zostanie zapamiętana. Z imienia i nazwiska! Zapisze się trwale na kartach historii Nowej Polski, na które nie miałyby szans trafić, gdyby nie zdołała wkraść się w łaski stojącego

przed nią mężczyzny. Cierpiała więc w milczeniu, wiedząc, ile może zyskać.

Tak wyglądała jedna strona medalu – tę drugą, głęboko ukrytą nawet przed idolizowanym przez wszystkich przywódcą – znała tylko ona.

– Dobrze – odparła, wiedząc już, co za chwilę usłyszy.

– Jutro, ale nie z samego rana, zadzwonisz do Otchłani – powtórzył nieobecny tonem Pułkownik, nie odrywając wzroku od krzątających się w dole ludzi, którzy starali się oszacować rozmiary uszkodzeń stanowiska obrony na dachu wagonu. – Tak, możesz nawet wstrzymać się do wieczora. Tym razem, moja droga, nie zagramy jednak w dobrego i złego glinę – dodał, otrząsając się z zamyślenia.

– Nie? – Zaskoczył ją tym stwierdzeniem, zwłaszcza że bardzo często jej używał w roli pośrednika tonizującego wszelkie napięcia.

– Nie. Tym razem zrobimy szmacie niespodziankę – zaśmiał się złośliwie.

– Co mam jej powiedzieć?

– Nie jej. Zadzwonisz do centrum dowodzenia Otchłani i przekażesz oficerowi dyżurnemu, że po dzisiejszym fiasku, tego słowa użyj, podjąłem ostateczną decyzję. Koniec z dostawami świeżej żywności. Zasugeruj, nie, czekaj, powiedz wprost, że to wina Bondarczuk i jej

przydupasów. Jak to dobrze, że uprzedziłem Stefana, by nie przekazywał tamtym żarcia, dopóki nie odbierze skopców... – Zarechotał pod nosem.

– Nie zostawił im nawet części ładunku? – zdziwiła się.

– Ani jednej złamanej skrzynki.

– Wydałeś mu taki rozkaz? Wiedziałeś, że coś pójdzie nie tak?

– Powiedzmy, że podejrzewałem, ale nie odbiegajmy od tematu, bo się pogubisz.

Potaknęła, zaciskając zęby. Kolejna decyzja, którą podjął za jej plecami. Jak się okazało, dobra, lecz... niesmak pozostał. Nie cierpiała, gdy ją pomijał, zwłaszcza gdy chodziło o sprawy najwyższej wagi.

– Zacznie się lament – kontynuował – ale ty nie odpuścisz. Jeśli będą zbyt mocno naciskać, powiesz, że taka jest decyzja Rady.

Mityczna Rada, na którą się powoływali za każdym razem, gdy nie chcieli bądź nie mogli spełnić żądań drugiej strony. W Riese rządził dzisiaj tylko jeden człowiek i miała go teraz przed oczami. Ona mogła być co najwyżej drugą po Bogu i nie miała wyjścia, jak tylko się z tym pogodzić.

– Kiedy już się zamkną, dodasz, że jeśli w ciągu tygodnia nie dostaniemy pełnego kontyngentu, czyli

osiemdziesięciu dwóch skopców, Otchłań zostanie oficjalnie wykluczona z programu ewakuacji, a my przerzucimy wszystkie siły na trasę wielkopolską. Nie, czekaj! – nakręcał się coraz bardziej, na bieżąco modyfikując zaplanowane wcześniej posunięcia. – Nie przerzucimy, ale już przerzucamy. Niech odniosą wrażenie, że rozkazy zostały wydane, ponieważ Bondarczuk utraciła moje, to znaczy nasze, zaufanie. Nie oni, tylko ona, rozumiesz? Taki przekaz musi dotrzeć do tych zakutych łbów!

– Nie za ostro gramy? – zapytała po chwili zastanowienia.

Groziło to eskalacją wrogości, która zamieni się w otwarty konflikt.

– Nie. – Odwrócił się do niej. Spojrzał na nią w taki sposób, że zadrżała. – Nadal nie rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał.

– Wiem, do czego zmierzasz... – zaczęła ostrożnie. – I tak, pamiętam, kim byłeś przed wojną i czym się zajmowałeś, ale moim zdaniem tym razem wyciągasz zbyt daleko idące wnioski.

Rozmawiali o tym już kilkakrotnie, lecz nadal nie była w pełni przekonana do jego argumentacji. A raczej do tego, czy Andrzej ma całkowitą rację, ponieważ z każdym dniem była bardziej skłonna do przyznania, iż snute przez

niego wizje zaczynają nabierać zaskakująco realnych kształtów.

– Poczekaj. Pozwól mi skończyć... – poprosił, pochylając się ku niej, jakby miał obawy, czy nie zostaną podsłuchani przez ludzi pracujących na wagonie. – Zrekapitulujmy fakty: tydzień temu straciliśmy bezpośrednią łączność z bunkrem Tesli. No pech, nic więcej. Pieprzona sypiąca się infrastruktura. Bondarczuk robi, co może, ale do dzisiaj nie udało się jej znaleźć miejsca, w którym kable zostały przerwane. Do dzisiaj!

– To akurat jest prawdopodobne – przypomniała, gdy zamilkł, by zaczerpnąć tchu. – Mówimy o liniach ciągniętych jeszcze przez Niemców. O kablach, które przetrwały na pewnych odcinkach prawie sto lat. To pięć razy dłużej, niż pierwotnie zakładano.

– Zgadza się. Przyjęliśmy tę wersję zdarzeń, biorąc ją za dobrą monetę, ale... – Wskazał na uszkodzony skład. – Wczoraj osobiście potwierdziła, że możemy odebrać kolejny transport skopców. – Tak nazywał okaleczanych niewolników, choć nie mieli wiele wspólnego z kastrującymi się wzajemnie ruskimi sekciarzami.

Wiedziała o tym, ponieważ już dawno sprawdziła, co znaczy to dziwne słowo.

– Tak, słyszałam. – Była świadkiem wczorajszej rozmowy z Kaśką.

– A dzisiaj co? Nie dość, że nasi musieli sterczeć na skażonym terenie przez kilka godzin, to przekazano im garstkę jakichś spadów. Żałuj, że ich nie widziałas. Na moje oko żaden nie pociągnie dłużej niż kilka miesięcy.

– Ja bym ich tak od razu nie skreślała – zaoponowała. – Ten, kto wytrzymał dwadzieścia lat życia w kanałach, musi być twardy, nawet jeśli na takiego nie wygląda.

– Może i masz rację – zbył tę kwestię machnięciem ręki – ale nie w tym rzecz. Zamiast pięćdziesięciu skopców dostaliśmy dwudziestu, z których jeden już gryzie piach, a drugi ledwie łązi.

– Za to ostatnie akurat nie możemy jej winić – zauważyła.

– Przecież ja nie o tym mówię! – zaczął się irytować. – Nie łap mnie za słówka.

– Przepraszam.

– Zamiast pięćdziesięciu dostaliśmy dwudziestu, w dodatku niedorobionych, skopców, to jest jedyny fakt, jaki ma w tym momencie znaczenie.

– Zgadza się – przyznała.

– Powstaje zatem pytanie: dlaczego zostaliśmy okłamani? – Zachęcił ją do odpowiedzi, unosząc znacząco brew nad zdrowym okiem.

– Nie mam bladego pojęcia.



– Jej ostatnie działania wydają się pozbawione sensu, czyż nie tak? – zapytał.

– Owszem – znów musiała się z nim zgodzić. – Nie umiem jednak powiedzieć, co mogłaby zyskać na oszukiwaniu nas, i to w takim momencie – dodała to, co chciał usłyszeć.

– Nie? To ja ci powiem. Prowokuje mnie, szmata. Nie wiem jak, ale dowiedziała się całej prawdy.

– To niemożliwe! – obruszyła się Tamara.

– Ale niestety prawdziwe.

– Nie!

– Tak! A wiesz, co mnie utwierdziło w tym przekonaniu?

Pokręciła głową. Była tego ciekawa, i to bardzo. Do tej pory Andrzej żywił podejrzenia, że Bondarczuk wie więcej, niż mówi, ale teraz wydawał się o tym święcie przekonany.

– Telefon – wskazał na drzwi, za którymi znajdował się aparat. – A raczej te dwadzieścia osiem sygnałów, które usłyszałem, zanim raczyła podnieść słuchawkę.

Tamara już otwierała usta, by przedstawić co najmniej trzy możliwe usprawiedliwienia tego faktu, jednakże widząc jego rozgorączkowanie, postanowiła zmilczeć i poczekać na dalsze wyjaśnienia. Jej także zachowanie Kaśki wydało się nie tyle podejrzanym, ile dziwne. Idiotka

musiała przecież wiedzieć, jak zareagują, gdy odkryją, że pociąg wrócił z Wrocławia prawie pusty. Gdyby to nie było celowe działanie, powinna albo zadzwonić wcześniej, aby nie byli tym faktem zaskoczeni, albo – jeśli obawiała się przynieść złe wieści – warować przy telefonie, czekając na nieuchronny opieprz.

– Ona wie. Tylko tak można wytłumaczyć jej ostatnie zagrania. Uwierz mi, zjadłem zęby na robieniu ludziom wody z mózgu. Tylko dzięki temu, że jestem tak dobry w tej robocie, mogłem trafić do naszego kamiennego raj.

– Dobrze, przyjmijmy na potrzeby tej rozmowy, że faktycznie udało jej się odkryć jakąś część prawdy... – Zamilkła, ponieważ nadal nie była w stanie uwierzyć w tę teorię. – Nie. Nie, nie, nie. To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.

– Mów, co chcesz, ja uważam, że ona wie – stwierdził z szelmowskim uśmiechem. – Jeśli przyjmiesz to za pewnik, wszystko inne nagle zaczyna mieć sens.

– Ale jak miałyby się dowiedzieć? – zapytała, zniżając głos, ponieważ zauważyła, że ludzie z wagonu zerkają z zaciekawieniem w ich kierunku. – Przecież buntownicy nie mieli najmniejszych szans na dotarcie do Wrocławia. To siedemdziesiąt pięć kilometrów w linii prostej, z czego zdecydowana większość terenu jest mocno skażona! Nie ma na tej planecie człowieka, który mógłby czegoś takiego

dokonać! – zakończyła z przekonaniem.

Zaśmiał się tylko, po czym wskazał głową na pociąg.

– Naprawdę?

Nie od razu zrozumiała, o czym mówi, lecz gdy to do niej w końcu dotarło, zrobiła wielkie oczy.

– Jak twoim zdaniem mieliby dostać się do pociągu? Przecież nie mogli przekraść się przez cały kompleks, omijając niezauważenie wszystkie patrole i wartownie. To nie jest ten twój cały... MGS, tylko życie! – wypaliła.

Napatrzyła się na ulubione gry Andrzeja, ponieważ spędzał przy nich mnóstwo czasu, odreagowując po takich dniach jak ten, czyli coraz częściej.

– A kto mówi o przechodzeniu całego labiryntu? – Spojrzał jej w oczy, nie tracąc z twarzy uśmiechu.

– To jak inaczej... – zaczęła i sama zamilkła, uświadamiając sobie, że gdyby któryś ze zbuntowanych niewolników zdołał zlokalizować wylot tunelu, mógłby przycziąć się we względnie bezpiecznej strefie i poczekać, aż kolejny transport wyruszy do Wrocławia. Maszyniści wyprowadzali skład ze stacji, jadąc bardzo wolno, dopiero po wjechaniu na właściwe tory dokładali do pieca, jeśli można tak powiedzieć, co dawało więcej niż jedną szansę na złapanie pasażera na gapę albo... na umieszczenie gdzieś w składzie maleńkiej przesyłki. Wystarczyłby przecież najzwyczajniejszy meldunek spisany na jednej kartce,

który taki drań ukryłby w umówionym wcześniej miejscu, a inny odebrał podczas załadunku w Sobótce.

No dobrze, to było możliwe, przynajmniej w teorii, jednakże pozostawał jeszcze koronny argument, do którego odwoływała się za każdym razem, gdy Andrzej zabrnął zbyt daleko. Czy wysyłani tutaj niewolnicy ryzykowaliby życie, aby donieść swoim oprawcom o słabych punktach rodzącej się w takich bólach Nowej Polski? Na pewno nie. Chyba że...

– Widzę, że zaczyna do ciebie docierać – podsumował ten moment wahania.

– No dobrze... – Chwyła się za głowę, jakby chciała powstrzymać dłońmi kłębiące się tam myśli. Bondarczuk dołączyła do kolejnych transportów kilku swoich zaufanych szpiegów. To by także tłumaczyło, dlaczego w ogóle doszło do buntu. – Ale to oznacza, że ona wie o wszystkim od jakichś trzech lat!

– Dokładnie – przyznał.

– Dlaczego więc nie wykorzystwała tej wiedzy wcześniej?

– Nadal tego nie rozumiesz?

Nie rozumiała. Pogubiła się do reszty.

– Nie do końca to ogarniam... – przyznała.

– Przecież to proste. Zrobiła to, co ja bym zrobił na jej miejscu! – Andrzej wypowiadał te słowa z takim zapałem,

jakby chciał ją przekonać do wzięcia udziału w misji samobójczej. – Gdybym pracował dla polityka, który zdobył poufne informacje o konkurencie, kazałbym mu wyczekać do ostatniej chwili, do momentu, w którym przeciwnik będzie najbardziej podatny na atak. To takie oczywiste! Ta szmata uderza teraz, ponieważ wie, że zakręcając kurek ze skopcami, stawia mnie pod ścianą. Czy może nam dzisiaj dyktować warunki? – Jego brew znów powędrowała do góry.

– Może – potaknęła Tamara.

– A czy mogła to zrobić rok temu albo dwa?

– Nie.

– Może nas dzisiaj zmusić do daleko idących ustępstw?

– Może.

– Otóż to. Wszystko – zatoczył szeroki krąg rękami – już za parę dni będzie jej, jeśli na to pozwolimy.

– Ale chyba nie pozwolimy...

– Oczywiście, że nie pozwolimy. W takiej sytuacji najlepszą obroną jest atak, dlatego postawiłem jej ultimatum.

– Zatem mówiłeś serio, że...

– Tak. Koniec żartów. Zdzira zagrała va banque, ale to my mamy komplet asów w rękawie, nie ona.

Tamara uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy

stanęli na galerii. Niesamowite. Teraz widziała to jasno i wyraźnie. Andrzej miał od początku rację, a ona się myliła. Nie widziała prawdy, choć ta znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło połączyć kropki...

Bondarczuk nie była w ciemną bitą. Jako córka przedwojennych dygnitarzy wysłała zamiłowanie do intryg i żądę władzy z mlekiem matki. Najpierw podesłała im dywersantów, wmieszanych w tłum niewolników, którzy mieli budować nowe schronienie także dla jej ludzi. Potem, gdy dowiedziała się od swoich agentów, jak bardzo zdołała zaszkodzić potencjalnym partnerom, zaczęła kolejny etap ryzykownej gry. Dzięki zdobytej podstępem wiedzy zdawała sobie bowiem doskonale sprawę, że przy obecnym stosunku sił nie będzie dla niej miejsca w strukturach połączonych władz, gdyż to ona miałaby najlepsze karty, a co za tym idzie, stanowiłaby zbyt duże zagrożenie dla obecnego przywódcy Nowej Polski. Problem polegał niestety na tym, że Pułkownik był skazany na wrocławian. Tylko do nich mógł teraz dotrzeć i to oni mieli zostać sprowadzeni w Góry Sowie pierwsi. Bez wsparcia z ich strony dalsze plany ewakuacji Ocalonych – jak nazywano w Riese Czystych – ze wszystkich bunkrów Wielkopolski i ziemi lubuskiej nie miały najmniejszych szans powodzenia. A ich zaniechanie oznaczałoby krach marzeń nie tylko

o odbudowie, ale też o przetrwaniu.

– Zatem od tej pory zero litości.

– Trafiłaś w sedno. – Objął ją ramieniem. – Zero litości.

Uśmiechnęła się pod nosem. Jedno musiała przyznać: Pułkownik miał łeb na karku. Był niekwestionowanym mistrzem w grze pozorów. Stojąc na straconej pozycji, jednym śmiałym posunięciem diametralnie zmienił układ sił na planszy. Teraz to Bondarczuk będzie miała nie lada problem. Nawet jeśli jutrzejszy telefon odbierze któryś z jej zaufanych ludzi, brak najbliższej dostawy żywności powinien sprawić, że wrocławianie zaczną się burzyć, a gdy odkryją całą prawdę, z pewnością odsuną od władzy tę durną sukę i każdego, kto opowie się po jej stronie.

## ROZDZIAŁ 5

# PrzedSIONEK raju

Maszerowali ponad pół godziny, przemierzając wolnym, lecz równym krokiem długie wybetonowane korytarze, które były tylko trochę obszerniejsze od większości kanałów Wolnych Enklaw, ale za to o wiele czystsze i suchsze niż one, jakby nie tylko używano ich rzadziej, ale też często sprzątano. Pamiętający co jakiś czas unosił głowę w podpatrzony na peronie sposób, aby przyjrzeć się uważniej miejscom, przez które go prowadzono. Mógł to robić bez większych obaw, ponieważ pilnujący środkowej części kolumny żołnierz szedł krok przed nim i naprawdę rzadko się oglądał. Remer nie nadużywał jednak swobody, a przynajmniej nie robił tego do czasu, gdy zrozumiał, że prowadzący ich Czyści kluczą po labiryncie krzyżujących się korytarzy.

Wątpił, by zgubili drogę, znali przecież to miejsce jak własną kieszeń. Nic też nie wskazywało, by byli rozkojarzeni odkryciem zwłok albo mieli problemy ze wzrokiem. Mimo to zapamiętujący na wszelki wypadek



przebytą trasę Remer bardzo szybko zauważył, że kolumna skręca trzykrotnie w prawo, wchodząc w kolejne identyczne korytarze, i po pewnym czasie przecina pod kątem prostym trasę, którą niedawno pokonała, choć równie dobrze mogłaby skręcić za pierwszym razem, ale w lewo, oszczędzając wszystkim czasu i sił.

Odkrycie to nie zaskoczyło Pamiętającego, wręcz przeciwnie, uśmiechnął się pod nosem, czując rosnący szacunek do przeciwnika, który nie pozostawiał niczego przypadkowi i zadbał dosłownie o wszystko – nawet o tak nieistotne z pozoru detale, jak dodatkowa dezorientacja przywożonych tu ślepców, aby nie tylko byli przekonani, że odeszli daleko od stacji, ale też nie umieli na nią wrócić, gdyby z nieznanym gospodarzom powodów zapragnęli opuścić gościnne progi podziemnego miasta.

To mogło się udać w przypadku ludzi pozbawionych wzroku – zwłaszcza że rozstrajano ich nieustannym jazgotem płynącym z rozmieszczonych co kilkanaście metrów głośników – lecz na pewno nie było w stanie zmylić doświadczonego żołnierza, który miał zdrowe oczy i znał niemiecki na tyle, by odczytać na wpół zatarte, wyblakłe napisy umieszczone na niemal każdym rozwidleniu tuneli. Głosiły one, gdzie trzeba skręcić, by dotrzeć do klatki schodowej, Sektora 24, czymkolwiek ten był, siłowni o tym samym numerze i dworca.

Powolne dreptanie przez kolejne dziesięć minut pozwoliło nowo przybyłym wykonać jeszcze jedną pętlę, po której transport niewolników dotarł do podziemi – tam ściany nie były już chronione warstwą zbrojonego betonu. Ślepcy minęli wartownię chroniącą podwójne stalowe wrota przeciwpożarowe, na pewno nie poniemieckie, za którymi korytarz nabrał wyglądu chodnika najzwyklejszej kopalni. Zrobiło się też chłodniej i wilgotniej, nie na tyle jednak, by sprawiało to ślepcom problem. Za to Remer doznał dziwnego wrażenia, że widok tych gołych skał jest mu dziwnie znajomy...

W tym samym momencie idący na czele kolumny żołnierz zatrzymał się, zmuszając Pamiętającego do skupienia całej uwagi na bieżących wydarzeniach.

– Uwaga! – Niewolnicy ponownie usłyszeli głos kobiety, która powitała ich na stacji. – Za chwilę wydamy wam z magazynu czystą bieliznę, po dwa kombinezony robocze na osobę oraz jeśli okaże się to konieczne, nowe buty. Dbajcie o nie jak o największy skarb, ponieważ kolejne sorty otrzymacie dopiero za trzy miesiące. Po odebraniu rzeczy udacie się prosto do łaźni. Tak, słuch was nie myli. Tamże, być może po raz pierwszy w życiu, weźmiecie gorący prysznic w prawdziwej, czystej wodzie, za jaką w kanałach moglibyście zabić... – Zamilkła na moment, pozwalając słuchaczom na otrząśnięcie się

z zaskoczenia. – Każdy z was otrzyma dzisiaj przywilej korzystania z łaźni przez całą minutę, ale bez obaw, bracia i siostry, to nie koniec dobrych wieści. Jeśli będziecie pracować z pełnym poświęceniem i wykonywać wszystkie polecenia pracowników nadzoru, damy wam prawo do regularnego korzystania z tego luksusu. Tak, tak. Od tej chwili będziecie korzystać z naszej łaźni co dziesięć dni, a przodownicy pracy otrzymają podwójny przydział wody!

Sapnięcia ślepców stojących opodal Pamiętającego były coraz częstsze i donośniejsze. Ci ludzie nie wierzyli własnym uszom. Zaoferowano im, i to już na wstępie, niewyobrażalne zbytki.

Pamiętający, nie chcąc wypaść z roli, naśladował zachowanie otaczających go wymizerowanych, cuchnących nieludzko mężczyzn i kobiet. Kąpiel? Pysznic? To były słowa pasujące do bająn legendziarzy o utraconym świecie. W kanałach mało kto zaznał regularnie takich wygód, a już na pewno nie biedota, z której szeregów rekrutowano ślepych budowniczych podziemnego miasta. Czysta woda była w nowej rzeczywistości niebywałą rzadkością, nic więc dziwnego, że miała cenę złota i wartość życia, a co za tym idzie, w ostatnich latach myto się coraz rzadziej i raczej pobieżnie.

Nieliczne płatne łaźnie w Mieście oferowały swoim

klientom co najwyżej wielokrotnie przefiltrowaną ciecz, która już tylko z nazwy była wodą – mimo to zanurzenie się w niej stanowiło szczyt marzeń większości stalkerów oraz tych mieszkańców kanałów, którzy zdołali wybić się ponad przeciętność albo zdobyć na powierzchni coś naprawdę wartościowego.

Milcząca przez chwilę spikerka znów zabrała głos.

– Jesteście pod wrażeniem, przyznajcie – rzuciła rozbawionym tonem, lecz bez cienia kpiny czy złośliwości. – Wiecie, ile razy będzie wam dane brać kąpiel, o jakiej nie mogą nawet pomarzyć wasi dawni panowie?... Nie wiecie? – dodała po kolejnej, tym razem króciuteńkiej przerwie. – Córeczko, powiedz, proszę, ile będzie tych prysznic.

– Sto! – zapiszczała z głośników Zosia, znów wybuchając perlistym śmiechem.

– Zgadza się, kruszynko. A was, przyjaciele, słuch wcale nie myli. Jeśli będziecie posłuszni, pozwolimy wam żyć pełną piersią. Te kąpiele to tylko preludium do prawdziwego dobrobytu, którego zaznacie już po uzdrowieniu – podsumowała z dumą rzekoma matka.

Pamiętający nawet przez moment nie wierzył w bujdy, którymi go karmiono. To wszystko było ukartowaną z zimną krwią grą, którą Pułkownik całkowicie pokrzyżował mu szyki. Minutowy prysznic sprawi, że

każdy ze sprowadzonych tu niewolników stanie się jego ślepy – nomen omen – wyznawcą. A to z pewnością jeszcze nie koniec cudów czekających nowo przybyłych w tym przypudrowanym piekle.

Remer nie miał wątpliwości, że tych kalekich biedaków nie da się przekonać do jakiegokolwiek formy oporu, o otwartym buncie nie mówiąc, i to nawet jeśli zostaną zmuszeni do harowania w pocie czoła po szesnaście godzin dziennie, co z pewnością ich czeka w ciągu najbliższych dni. Marchewka była tak wielka i smaczna, że żaden z rozkoszujących się jej smakiem biedaków nawet nie poczuje smagnięć kijem po grzbiecie. Prędzej zabiją śmiałka, próbującego otworzyć im oczy, oczywiście w przenośni, niż dadzą mu posłuch i wiarę.

Nie wiedzieć dlaczego, Nauczyciel został przesunięty, podobnie jak Iskra i dwoje innych ślepców, na sam koniec grupy, gdzie czekał – niecierpliwie – aż przyjdzie jego kolej. W końcu i jego usadzono na jednym z dwóch prostych krzesełek. Pomiędzy oddzieloną aluminiową siatką komorą, w której na ciągu prostych metalowych regałów leżały setki, jeśli nie tysiące identycznych sortów, a rzędem niewolników krążyły ponure jak noc pracownice intendencji. Ich zadaniem było pomaganie ślepcom we właściwym doborze odzienia roboczego i od czasu do czasu także obuwia.

Wzorem otaczających go towarzyszy niedoli Pamiętający nie próbował się wyrywać, gdy szczupła kobieta o bardzo bladej, ale gładkiej jak atlas skórze najpierw zdjęła z niego miarę, potem włożyła mu w ręce złożone w równą kostkę kombinezony i kilka par majtek, a na koniec przyklęknęła, by obejrzeć z bliska trepy, które nosił. Do tego momentu siedział spokojnie, jak pozostali ślepcy, lecz gdy Czysta pochyliła się mocniej, krew zawrzała mu w żyłach, a serce zaczęło walić tak mocno, że przysięgłby, iż czuje ból w obijanych przez nie żebrach.

*Jeśli ta durna baba zauważy skrytki w obcasach...  
Wycięcia są przecież łatwe do dostrzeżenia, gdy ktoś  
spojrzy na nie z tak małej odległości!*

Nie mógł do tego dopuścić, musiał zareagować, ale jak? No jak?

Zadziałał odruchowo. Gdy Czysta pochyliła się jeszcze bardziej, wysunął okaleczoną dłoń i pogładził ją najpierw po włosach, a potem po czole. Zareagowała, jak można się było spodziewać. Zaskoczona podniosła wzrok i zobaczywszy, czym jej dotyka, wzdrygnęła się i cofnęła natychmiast, jakby był nosicielem szarej zarazy. Zaczerpnęła ze świstem powietrza, nie odrywając spojrzenia od rozczapierzonych, przypalonych końcówek obciętych palców, po czym zerwała się na równe nogi i przycisnęła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać

wzbierające wymioty. Opuściła rękę dopiero wtedy, gdy zdołała przełknąć gęstniejącą ślinę. Stając plecami do niby nieporuszonego, spoglądającego gdzieś w przestrzeń Remera, skinęła na czekającego obok strażnika.

– Ten człowiek może zachować własne obuwie – rzuciła i nie czekając na reakcję mundurowego, przeszła do siedzącej obok Iskry. Po tym jak ją zmierzyła, posłała dowódcy konwoju zafrasowane spojrzenie. – Widziałeś, Stefan, kogo oni nam przysłali? – zapytała półgłosem.

– Owszem – odparł tamten zwięźle, nie spuszczać oczu z formowanej na nowo kolumny.

– Bondarczuk musi naprawdę gonić w piętę. Ten tam, nie dość, że stary, to jeszcze inwalida, a ta... – wskazała głową głupkowato uśmiechającą się dziewczynę. – To przecież dziecko jeszcze.

– Nowa Polska daje szansę każdemu, kto jest tego wart – odwarknął mężczyzna zwany Stefanem i zgromił wzrokiem zdeglustowaną pracownicę magazynu.

Kobieta przyjęła reprimendę bez słowa, potulnie zwiesiła głowę, po czym wróciła do przerwanej pracy.

Pamiętający domyślił się od razu, skąd tak gniewna reakcja mundurowego. Niewolnicy nie powinni słyszeć niczego, co wprowadzałoby dysonans do zunifikowanego przekazu propagandowego, którym ich bombardowano od chwili pojmania. Byli przecież wybrańcami losu,

nieziemskimi szczęśliwcami, jedynymi w swoim rodzaju ideałami; przeszli żmudną drogę eliminacji, pozostawiając za sobą dziesiątki mniej sprawnych konkurentów. Obecność kaleki – kogoś upośledzonego znacznie bardziej od nich samych – oraz dziewczyny niewiele starszej od odebranych im dzieci za cholere nie pasowała do wpajanego im dniami i nocami sielskiego obrazka. Z wiadomych powodów sami nie mogli nic zobaczyć, nie należało więc im zwracać uwagi na takie szczegóły.

*Niedobrze*, uznał Remer, gdy dostrzegł kolejny nerwowy rzut oka strażnika. Na szczęście tamten skierował wzrok nie na jego twarz, lecz na okaleczoną dłoń, jakby próbował ocenić, czy brak kilku palców może być istotną przeszkodą w podjęciu wyczerpującej pracy, która niewątpliwie czekała ślepców. Pamiętając przeciągnął się więc, niby od niechcienia, opuszczając głowę jeszcze bardziej i napinając mięśnie ramion, które zadrgały płynnie pod podwiniętymi rękawami, pokazując strażnikowi, że nowy nabytek, choć z lekka niekompletny, z pewnością nie należy do ułomków. To chyba wystarczyło, ponieważ Stefan odwrócił się w końcu, ponownie skupiając całą uwagę na formowanej pod przeciwległą ścianą kolumnie.

Moment później Remer dołączył do przebijających nogami, zniecierpliwionych towarzyszy niedoli. Tym



razem jego dłoni nie złożono na ramieniu poprzedzającego go mężczyzny, tylko nakierowano ją na linę, która miała zaprowadzić wszystkich niewolników do obiecanego raj. Po niespełna minucie dreptania trafił w ręce kolejnej kobiety – w brązowym ortalionowym fartuchu i chuście na głowie, przez co wyglądała jak żywcem przeniesiona z czasów głębokiego PRL-u. Jej zadaniem było rozdzielanie niewolników i ustawianie ich w kolejkach do kabin prysznicowych.

Ona także mruknęła coś na widok niedawno zagojonych kikutów, lecz na tym skończyło się jej zainteresowanie dodatkowym kalectwem nowo przybyłego. Remer wziął to za dobry znak. Ostatnimi czasy do Riese musiało trafiać coraz więcej niepełnowartościowej siły roboczej, ponieważ wrocławscy Czyści znacznie przetrzebili tę część populacji kanałów, do której mieli łatwy dostęp. Nic więc dziwnego, że chwilowo sięgali po ludzi, których wcześniej przeganiali na cztery wiatry. Oczywiście, że postanowili ściągnąć do siebie świeży towar z terenów Wolnych Enklaw i Nowego Watykanu. Może Remer był pierwszym aż tak okaleczonym niewolnikiem, ale zdaniem tej baby na pewno nie ostatnim. *I dobrze: im mniej będę wzbudzał zainteresowania u załogi Riese, tym lepiej dla misji.*

Z każdym stawianym przez niego krokiem robiło się

cieplej i wilgotniej. Gdy stojący przed nim mężczyzna odchylił ciężką kotarę zrobioną z pasów grubego, na wpół przezroczystego tworzywa, do uszu Pamiętającego dobiegł dźwięk, którego nie dało się pomylić z żadnym innym. Gdzieś tam przed nim ciekła woda! Poczował też na twarzy ciepło bijące od unoszącej się wokół pary. Jej zapach... Niewiarygodne! Zacisnął mocno powieki, by napawać się tą wonią, tą cudną wilgocią, którą pragnął nagle chłonąć całym sobą, na ślepo, jak otaczający go niewolnicy.

To była czysta woda! Nie chlorowana, nie filtrowana setki razy przez węgiel i piasek ciec, tylko prawdziwa mineralizowana, pachnąca woda! Taka, jaką pamiętał z dawnych lat. Dranie musieli dysponować systemem naprawdę dobrych studni głębinowych. Takich prawdziwych, przemysłowych, nie artezyjskich poniemieckich namiastek, z których od dwu dekad korzystali – z coraz marniejszym skutkiem – mieszkańcy kanałów.

– Uwaga! Ostrzegam: nie próbujcie pić wody, w której się kąpiecie! – Spikerka powtarzała komunikat za każdym razem, gdy nowi niewolnicy stawali pod prymitywnymi aluminiowymi deszczownicami. – Za chwilę wszyscy otrzymacie przepyszny suty posiłek i tyle najczystszej, przegotowanej wody źródlanej, ile zdołacie wypić! Woda w łaźni nie nadaje się do picia! Wiem, że czujecie

potworne pragnienie, ale wytrzymajcie jeszcze chwilę, a zaspokoicie je raz na zawsze! – W tym momencie przybrała bardziej oficjalny ton. – Nieposłuszeństwo skutkować będzie zmniejszeniem racji żywnościowych przez kolejne dwa tygodnie oraz wykluczeniem z co drugiej kąpieli na przestrzeni najbliższych dwóch miesięcy. – Chwila przerwy i znów to samo: – Uwaga! Ostrzegam: nie próbujcie pić wody, w której się kąpicie!...

Remer wiedział, dlaczego załoga Riese nie chce, by nowo przybyli rozkoszowali się cierpkim smakiem pierwszej czystej wody, z jaką mieli styczność od lat, a może w ogóle. Źródła geotermalne! To z nich brała się ta gorąca, aromatyczna wilgoć, którą chłonał z taką lubością, czekając na swoją kolej. Bogata w minerały ciecz mogła przyprawić człowieka o kłopoty żołądkowe, a nawet ostrą sraczkę. Nic dziwnego, że Czyści przestrzegali przed nią każdego, kto wchodził pod prysznic.

Pamiętający przyjrzał się dyskretnie stojącym przed nim ślepcom. Jeśli któryś z nich żywił wcześniej jakiegokolwiek obawy co do swego dalszego losu, w tym miejscu pozbywał się ich na zawsze – wraz z cuchnącymi łachami i zaskorupiałym brudem.

Rząd poprzedzielanych ściankami działowymi wąskich kabin pozwalał na wzięcie kąpieli dziesięciu ludziom

naraz, jednakże ten transport nie był widocznie aż tak liczny jak poprzednie, ponieważ woda pociekła tylko z pięciu deszczownic. Pławili się w niej właśnie ci, którym dane było dotrzeć do łaźni pierwszym – czterej żyłaści mężczyźni i jeszcze bardziej od nich wymizerowana kobieta, która musiała kiedyś przejść najłagodniejszą postać choroby popromiennej. Minuta w wodzie to wieczność, jeśli desperacko próbujesz wydostać się z otaczającej cię złowrogiej toni, albo мгновение oka, jeśli pragniesz zaznać niesionej przez nią rozkoszy.

Włodarze Riese nie zamierzali rozpieszczać tych, których sprowadzili siłą do niewolniczej pracy. Kurki zakręcano z niezwykłą precyzją równo sześćdziesiąt sekund po tym, jak na wyczekujących z utęsknieniem ślepców spadły pierwsze krople wody.

Wkrótce trzecia piątka ułożyła wydane sorty na sprawnie wskazanych przez obsługę łaźni stołkach, na nich postawiła własne bądź też – znacznie częściej – zafasowane przed chwilą buty, po czym przeszła pośpiesznie do kabin, unosząc ekstatyczne twarze ku górze, skąd miał popłynąć strumień płynnego, życiodajnego złota.

– Rozbierajcie się! – rozkazała ubrana w fartuch kobieta, ta sama, która ustawiała niewolników w kolejkach. Nie patrzyła nawet na Pamiętającego i trójkę

jego towarzyszy: Iskrę oraz kobietę z pokiereszowaną twarzą i rannego kurdupła, których zapamiętali z przesłuchania na peronie. – Rzućcie wszystkie stare rzeczy na prawo. Tak, tutaj.

Zanim skończyła mówić, od strony kabin znów dobiegł głośny szum, a stojącego obok półprzezroczystej zasłony Remera owionęła fala ożywczej pary. Chwila ta była tak nierealna, że mało brakowało, a roześmiałyby się w głos. Gdyby nie znał całej prawdy o tym miejscu, sam dałby się omamić paplającej bez przerwy idiotce i byłby wdzięczny oprawcom za to, że odebrano mu wzrok i mowę, ponieważ w zamian otrzymał szansę na nowe, o wiele lepsze życie. Kąpiele co dziesięć dni, ciepłe posiłki, które – mógł być tego pewien – również powalą tych biedaków na kolana, ponieważ całymi latami żywili się co najwyżej ochłapami: prażonymi albo nawet surowymi robalami czy też ścierwem, którego przed Atakiem nikt by nawet kijem nie tknął.

Pamiętający pozbył się wszystkich rzeczy z wyjątkiem butów, które zgodnie z poleceniem trafiły na złożone w kostkę kombinezony robocze, oczywiście obcasami do ścianki działowej. Dziękował w myślach za to, że wstępując na służbę Otchłani, dostał prawie nieznoszone wojskowe buty, które zdążył przerobić na swoją modłę. Nie chciał nawet myśleć, co by było, gdyby przyszedł tu

w rozczłapanych łapciach, które podsuwała mu Iskra, gdy przygotowywali się do misji. Nauczona przez ciężkie życie, jak idealnie wtapiać się w tło, chciała dobrze, lecz on wolał zaryzykować, niż dać się kompletnie rozbroić. Instynkt raz jeszcze podpowiedział mu najwłaściwsze rozwiązanie, aczkolwiek wyruszając na akcję, nie mógł przewidzieć, czym zakończy się wypad do Sobótki.

Bynajmniej go nie dziwiło, że załoga Riese taką wagę przywiązuje do obuwia ślepców. Niedopasowane spodnie czy bluza to jedno, ale za małe lub za duże trepy mogły wyeliminować nawet najzdrowszego i najsilniejszego niewolnika. Tymczasem tych ludzi sprowadzano tu wyłącznie do katorżniczej pracy.

Za „przywileje” – wydające im się w tym momencie przedsięwzięciem rajy – będą musieli zapłacić niewyobrażalną harówką, która – co do tego nie było najmniejszych wątpliwości – zakończy się prędzej czy później ich śmiercią.

Ludzie ci, ledwie przestaną być użyteczni nowym panom, zostaną przerobieni na przysłowiową karmę dla mutantów albo nawóz. Te wszystkie prysznice, regularne posiłki i wygodne posłania miały uwiarygodnić bajkę o tysiącu dni pracy, po których wszyscy zostaną cudownie uzdrowieni i włączeni do wielkiej szczęśliwej rodziny zamieszkującej jedyną w swoim rodzaju, supertajną oazę

pokoju i dobrobytu.

Tak wyglądała socjotechnika, stary jak świat zabieg pozwalający przywódcom kontrolować masy o wiele rozumniejsze od tych nieszczęsnych biedaków. Ślepcom dano właśnie nadzieję, której będą się kurczowo trzymali, dopóki nie wyzioną ducha, harując od rana do nocy w mrocznych sztolniach Gór Sowich. Stając pod prysznicem, Remer miał niezachwianą pewność, że tak właśnie będzie wyglądać przyszłość otaczających go niewolników.

Trafił za druty pięciogwiazdkowego obozu koncentracyjnego, w którym bity zastąpiono marchewką, wrzaski kojącą muzyką, komory gazowe prawdziwymi prysznicami, ale jedno się nie zmieniło: cel tej zabawy. Żaden z przybyłych dzisiaj ślepców nie opuści podziemnego miasta żywy, tyle że przed śmiercią da z siebie wszystko, w dodatku bijąc pokłony każdemu napotkanemu oprawcy.

*Bardzo sprytne zagranie. Skoro strumień więźniów zaczął wysychać, należy utrzymywać ich jak najdłużej przy życiu i w tym czasie maksymalnie wyeksploatować.*

Co do tego się nie mylił. Ale czekało go niemałe zaskoczenie. Po wzięciu prysznicą wytarł się podanym przez inną kobietę ręcznikiem, włożył wydaną wcześniej bieliznę i pierwszy z kombinezonów – drugiego kompletu

miał użyć po tygodniu, gdy stary trafi do prania, jak informowano w ciągu dalszym komunikatu – i jak poprzednio poczuł, że ktoś nakierowuje jego rękę na linkę. Podreptał dalej pogrążonymi w półmroku korytarzami. Tym razem prowadzący kolumnę strażnik nie kluczył, jak w labiryncie przy stacji, tylko zaprowadził ich prosto do wykutej w litej skale komnaty, pod której ścianami stały dwa rzędy prostych piętrowych łóżek.

– Stać! – Mężczyzna zwany Stefanem podniósł głos, po czym obrócił się na pięcie, by otworzyć metalową skrzyneczkę, z której wychodził pęk kabli biegnących po nierównych ścianach. Zmarszczył brwi raz i drugi, ale odnalazł w końcu odpowiedni przełącznik. W tym czasie dwaj jego podwładni zdążyli przytruchtać na czoło kolumny i stanąć w wejściu do pomieszczenia, blokując je kompletnie.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z głośników od pewnego czasu emitujących kojącą muzykę znów popłynęły słowa.

– Bracia i siostry, za moment nadamy wam numery służbowe, które musicie zapamiętać, ponieważ to one zastąpią od tej pory wasze dawne przydomki. Nie czujcie się upokorzeni. To czysto techniczny zabieg, który pozwoli nam na usprawnienie komunikacji. Nie wiemy, jak się naprawdę nazywacie, a wielu z was nie umie



zapewne pisać, zatem by uprościć sprawę, wymyśliliśmy system, który pozwoli nam na szybkie wywołanie każdego, kto będzie potrzebny oraz kto zasłuży na nagrodę.

Stefan otworzył usta, gdy tylko przebrzmiało ostatnie słowo spikerki.

– Ty! – Przyciągnął do siebie pierwszego ze ślepców. – Nadaję ci numer sto pięćdziesiąt dwa, zero jeden. Zrozumiałeś? – Niewolnik przytaknął skwapliwie. Z jego ust wydobyło się krótkie sapnięcie, jedyny dźwięk, jaki mógł wydać w tym stanie. – Zapamiętałeś? – Kolejne ochocze skinienie. – Zuch. – Stefan poklepał go po ramieniu, przekazując podwładnemu, który nakierował rękę numeru 152-01 na linkę biegnącą w głąb sali.

– Na pierwszym rozwidleniu skręć w prawo, idź do ósmego węzła, a potem znów skręć w prawo. Zajmij dolną pryczę po lewej. Przez najbliższy tydzień będzie to twoje posłanie, 152-01. Usiądź na nim i czekaj na dalsze polecenia.

Przydzielanie miejsc do spania zajęło tylko kilka minut. Pamiętający uśmiechnął się w duchu, gdy udało mu się zerknąć do środka dormitorium. Pod dłuższymi ścianami sypialni stało po szesnaście piętrowych łóżek, lecz strażnicy kazali nowo przybyłym zajmować miejsca tylko na dolnych posłaniach. Nadzorowany przez nich

transport był bardzo nieliczny, mogli więc ułatwić sobie zadanie. Uczenie ślepców, jak wchodzić na górę i jak bezpiecznie opuszczać znajdujące się na wysokości ponad półtora metra legowiska, trwałoby o wiele dłużej. A ponieważ sala mogła pomieścić prawie dwa razy więcej ludzi, niż stało wciąż w korytarzu...

Remerowi i Iskrze, którzy znaleźli się na samym końcu zwartej kolumny, jako jedynym przydzielono miejsca pod lewą ścianą, dzięki czemu mieli nocować po przeciwnej stronie niż pozostali niewolnicy. Niby nic, ale... Ta odrobina izolacji od reszty grupy była wszystkim, czego mogli w najbliższym czasie potrzebować, choćby dlatego, że umożliwiała im bezpieczną rozmowę, bez której nie byłiby w stanie zaplanować dalszych posunięć.

Gdy niewolnicy zasiedli na swoich pryczach, dowódca strażników stanął przy szczycie łąwy biegnącej środkiem przez całą długość dormitorium.

– Teraz sprawdzimy, czy zapamiętaliście nadane wam numery. Wyczytani zgłoszą się przez podniesienie ręki. Obywatel 152-16!

Przepytywanie na wyrywki trwało kilkakrotnie dłużej niż przydzielanie miejsc. Każdy niewolnik został wywołany co najmniej trzykrotnie, lecz tylko czworo pomyliło się i uniosło rękę nie wtedy kiedy trzeba. Nie zostali jednak ukarani, czego spodziewał się Pamiętający.

Poprawiono ich tylko, dając moment na zakonotowanie sobie właściwego numeru w pamięci. Dopiero na sam koniec próbnego apelu Stefan uświadomił im, że była to ostatnia okazja do bezkarnego popełnienia błędu.

– Od tej pory każda pomyłka będzie surowo karana. Za pierwszym razem obywatel, który zapomni swój numer służbowy, otrzyma nagane z wpisem do akt. Za drugim razem zostanie pozbawiony prawa do najbliższego posiłku. Za trzecią pomyłkę i kolejne grozi kara chłosty. Zrozumiano?

*Dostali marchewkę, a gdy ją ufnie schrupali, w ręce nadzorcy pojawił się wreszcie kij... Na razie tylko nim wygraża, lecz bez wątpienia z ochotą go użyje, gdy zajdzie taka potrzeba. Panowie Riese nie będą tolerować łamania ustanowionych przez siebie zasad.*

Nie zdziwiło go, że kolejna runda przepytywania przebiegła bezbłędnie, podobnie jak piąta i szósta, co świadczyło o tym, że ślepcy także wzięli sobie przestrozę do serca.

– Świetnie – podsumował Stefan, choć jego mina świadczyła o sporym zawodzie. Nie dane mu było wymierzyć choćby jednej kary. – Teraz możecie opuścić prycze. Wstańcie i chwycicie za rozwieszzone pomiędzy nimi liny. Znajdują się mniej więcej na wysokości waszych głów. Dobra, a teraz się skupcie. Na środku sali,

to znaczy tam gdzie mniej śmierdzi, znajdziecie stół, przy którym będziecie spożywać wszystkie posiłki. – Uśmiechał się kpiąco, przyglądając się nieporadnym ruchom ślepców.

Zostali oślepieni kilka tygodni temu, zdążyli więc przywyknąć do poruszania się w egipskich ciemnościach, jakie spowiły ich świat. Jednakże nie znali rozkładu tego pomieszczenia – poruszali się bardzo wolno, błędząc wyciągniętymi przed siebie rękami w poszukiwaniu ewentualnych przeszkód. Tymczasem w dormitorium prócz piętrowych łóżek, stołu, umieszczonych między pryzmami nakrytych deskami wiader służących za ubikacje i rzędu umywalek pod najdalszą ze ścian nie było niczego, z czym mogliby się zderzyć. Prowadzeni rozpiętymi na wysokości ich głów linami dotarli bez przeszkód na swoje miejsca i zajęli je pośpiesznie.

Gdy ostatni niewolnik zasiadł przy ławie, z korytarza wtoczono wózek, na którym stał spory garnek, a właściwie kocioł. Otaczający Remera ślepcy wciągali łapczywie powietrze nozdrzami – z powodu kalectwa mieli zapewne bardziej wyostrzony zmysł węchu niż Pamiętający, ale i on uśmiechnął się pod nosem, kiedy poczuł znajomy, choć niemal zapomniany aromat.

Uśmiech spelzł mu z ust bardzo szybko.

*To niemożliwe! Oni nie mogli podać więźniom...*

*owsianki!* Fakt, że Remer wyczuwał w niej mięso, i to na pewno nie szczurze, nie budził zdziwienia. Nawet w kanałach można było od czasu do czasu wgryźć się w udziec pieczonego szarika, a przy naprawdę wielkim szczęściu skosztować steka z niejednorozca, ale...

Pamiętający wciąż kręcił głową, gdy postawiono przed nim plastikową, wyszczerbioną miskę wypełnioną do połowy kremową masą.

*Jakim cudem ci dranie mają dostęp do owsa?*

## ROZDZIAŁ 6

# Noc

Po posiłku strażnicy kazali rozanielonym ślepcom wrócić na własne posłania, po czym sami wycofali się na korytarz, zamykając za sobą stalowe drzwi. Oczywiście na głucho. Moment później zgasły obie niezbyt mocne żarówki, dzięki którym Stefan i jego ludzie mogli cokolwiek zobaczyć.

Nie był to jednak koniec dnia. Nowo przybyli, którym nie przeszkadzały egipskie ciemności ukrytego głęboko we wnętrzu góry bunkra, musieli wysłuchać przed snem kilku puszcanych w kółko instrukcji, które przeplatano, jakżeby inaczej, propagandowym bełkotem.

Było to irytujące, zwłaszcza dla Pamiętającego, jednakże zamiast się zżymać na uciążliwą indoktrynację, skorzystał z okazji i przycupnął na pryczy Iskry. Ona natychmiast wtuliła się w jego bok i zastygli tak, jak ojciec z córką, czule objęci, pochyleni ku sobie, nieruchomi. Gdyby ktoś obserwował ich zza drzwi albo przez ukryte gdzieś kamery – Remer nie przypuszczał jednak, by

Czyści posiadali działający wciąż sprzęt noktowizyjny – dostrzegłby tylko to, co para udawanych niewolników chciała pokazać. Wypowiadane szeptem słowa tonęły bezpowrotnie w bełkocie płynącym z rozmieszczonych pod sklepieniem głośników, a z ruchu ust nie dałoby się nic wyczytać, chyba że ktoś umieściłby kamery na podłodze, i to bardzo blisko ich pryczy.

– Powiedz mi, że nie śnię – wymamrotała Iskra. – Przecież to jakaś pieprzona bajka jest.

– Owszem, bajka, ale godna braci Grimm.

– Kogo? – zdziwiła się.

Spojrzałaby na niego, gdyby nie przytrzymał jej mocniej.

– Jesteśmy ślepcami, pamiętaj – syknął w ucho dziewczyny, pozorując pocałunek w czoło.

– Jasne, jasne, dziadzia, ale gdybyś umiał wyrażać się po ludzku, nie musiałbyś mnie tak często zaśliniać.

– Jaś i Małgosia? Śpiąca Królewna? Kopciuszek? – wymienił kilka najbardziej znanych tytułów.

– Co ty bredzisz?

Pamiętający z najwyższym trudem zdołał się powstrzymać od pokręcenia głową. Dzieci urodzone w kanałach słuchały baśni, ale głównie nowych albo tak przetworzonych, by mogły je zrozumieć. Tylko niewielką część z nich oparto na fabułach klasycznych opowieści,

a jeśli już, to naprawdę luźno.

– Większość bajek starego świata była naprawdę przerażająca. Weźmy takiego Kopciuszka. Dziewczyna miała przesrane życie. Dla swojej macochy była kimś w rodzaju niewolnicy...

– ...ale przyszywana mamuśka okazała się na tyle miła, że nie sprzedała jej natychmiast do burdelu, co? – przerwała mu kpiącym tonem.

Westchnął tylko, ponieważ doskonale wiedział, do czego pije Iskra. W jej świecie najgorsze koszmary przedwojennych dzieci wydawały się niewinnymi igraszkami.

– A taką Śpiącą Królową najpierw przeklęto, a potem otruto.

– No popatrz, dziadzia, to zupełnie jak ciebie – zachichotała, ścisnął ją więc mocniej, nakazując powagę.

– Zła czarownica zjadała zwabiane do swojej chatki dzieci... – Zamilkł tknięty nagle jakąś myślą.

– I te wasze bachory bały się takich pierdów? – zdumiała się Iskra, wykorzystując moment dekoncentracji Pamiętającego.

– Owszem. – Remer otrząsnął się szybko z zadumy. – Zauważyłaś, że jest nas teraz osiemnaścioro? – zapytał.

– Nie... Skąd wiesz?

– Skoro tylko my zostaliśmy przeniesieni na tę stronę



sypialni, a w tamtym rzędzie jest szesnaście podwójnych łóżek...

– Dziadzia, ty to masz łeb. W pamięci umiesz policzyć aż do fafnastu.

– Nie kpij – warknął. – Po śmierci tego łacha w wagonie została nieparzysta liczba więźniów. Sprowadziliśmy do Sobótki osiemnaścioro ślepców, jeśli dobrze pamiętam.

Iskra poruszyła się niespokojnie. Przeliczyła coś na palcach.

– Tak. Dziewięć par. Dwunastu facetów i sześć babek. Tyłu zostało z pełnej dwudziestki, po tym jak odesłałeś Przedepsta i tę jego Andzię – przypomniała.

– Zatem kogoś brakuje... – Zamyślił się głębiej.

Dziewczyna mruknęła coś niezrozumiale. Przez chwilę zastanawiali się oboje, kto jeszcze zniknął z niewielkiej grupki przybyszów, a co ważniejsze, dlaczego nie trafił do dormitorium.

– Wiem! – W końcu Iskra uściśnęła mu dłoń. – Nie ma tego gostka, który był najbardziej poobijany. Pamiętasz go, dziadzia?

– Mówisz o tym, którego przepytywano na stacji?

– O tym samym.

– Jesteś pewna?

– Na sto dwadzieścia procent. Wszyscy oprócz ciebie,

dziadzia, podnosili prawe ręce, gdy się zgłaszali.

Remer wiedział, że Iskra ma oko do takich spraw. Szkolono ją, by zauważała więcej niż przeciętny człowiek, i zwracała uwagę na nieistotne z pozoru szczegóły, gesty, słowa. Dzięki tej umiejętności mogła wyczuć kryjący się za nimi fałsz i związane z nim zagrożenie. Skoro twierdziła, że jest pewna, powinien jej uwierzyć. A skoro tak...

Wrócił myślami do wcześniejszych wydarzeń. Usiłował przypomnieć sobie, gdzie po raz ostatni widział zakrwawionego faceta o szurzej twarzy. Kiedy kluczyli po pierwszym labiryncie, szedł w czołowej części kolumny. Potem, przy magazynach, został cofnięty przez strażników na sam tył kolumny, razem z Nauczycielem, który niestety w łaźni dał się ponieść radości jak wszyscy i przestał obserwować otoczenie.

Łaźnia! Tak!

Tam było ich wciąż dziewiętnaścioro. Kąpiel brali po pięć osób, ale w ostatnim rzędzie zostało ich tylko czworo. On, Iskra, przygarbiona kobiecina o pokiereszowanej twarzy i niski facet z połamanymi żebrami albo zwichniętą ręką.

– Zniknął gdzieś między łaźnią a dormitorium... – powiedział sam do siebie.

– Raczej zwinęli go spod prysznic – poprawiła go

natychmiast Iskra. – Że też wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

Ona także zatraciła się w chwili rozkoszy, jaką niosła perspektywa wzięcia gorącego prysznic, choć w przeszłości miała przecież możliwość korzystania z luksusu kąpieli. Może rzadziej niż tutaj i w nie aż tak czystej wodzie, ale jednak. Pokazywało to dobitnie, jak genialny jest wymyślony przez Czystych system omotywania niewolników.

– Ustawili go tak, żeby był ostatni – zadumał się Pamiętający.

– Podobnie jak nas... – dodała zaniepokojonym tonem.

– Właśnie. Podobnie jak nas...

Remer próbował sobie przypomnieć, kiedy strażnicy dokonywali zmian w kolejności prowadzonych ślepców. Na pewno zrobili to dwukrotnie. Najpierw przy formowaniu kolumny przed wyjściem na peron, potem przy wydawaniu sortów.

– Myślisz... – zaczęła.

– Tak. To się nazywa fachowo selekcja. W trakcie marszu ktoś dokonał oceny naszej przydatności.

– Rozumiem, że mnie mogli ocenić negatywnie, ale ciebie, dziadzia?

– To przez te obcięte palce – domyślił się niemal natychmiast.

– Musiałeś pchać je...

– Musiałem – wpadł jej w słowo. – Nie mogłem dopuścić, żeby ta baba dokładniej mi się przyjrzała. Wiesz przecież, co mam w butach.

– Słomę? – zarechotała, jego zdaniem zbyt głośno, ścisnął więc mocniej jej rękę.

– Ja przynajmniej mam ją tylko w butach, nie we łbie – wysyczał prosto w ucho Iskry.

– To zaboląło! – burknęła urażona, lecz Pamiętający nie wiedział, czy odniosła się do chwytu czy do przytyku. – Wiesz, dziadzia, może przydałoby się wypełnić czymś tę pustkę pod twoim czerepem. Wspomnień by ci wiatr nie wywiewał obwisłymi uszami, stary oblechu.

*Zatem chodziło o przytyk, zdecydował.*

– Jeśli ktoś cię usłyszy – skarcił ją, ucinając temat – będziesz miała więcej dziur we łbie, niż trzeba.

– Dobra, przepraszam. Ale nie przesadzajmy. W tym harmidrze – poruszyła głowę, wskazując znajdujący się nad jej pryczą głośnik – nikt by nas nie usłyszał, nawet gdybyśmy mówili półgłosem.

– Mogą tu mieć poukrywane mikrofony albo kamery.

– Po cholere? – zdziwiła się całkiem szczerze.

– Choćby po to, aby wyłapywać takie mendoweszki jak my.

– Myślisz? – znów próbowała na niego spojrzeć.

– Nie myślę, ja to wiem. A wracając do tematu, zniknięcie tego rannego kurdupla jest dowodem, że mam rację. Nasza bajka to tylko wstęp do prawdziwego koszmaru.

– Myślisz, że ślodziłoby nam aż tak bardzo, gdyby chcieli nas zabić?

– Ty tego nie zrozumiesz, ale uwierz mi, ten cały Pułkownik to Pamiętający, jak ja. On naprawdę wie, co robi. Wyciągnął nauczkę z buntu, który kosztował go, jeśli dobrze zauważyłem, utratę oka, lecz w końcu chyba pojął, że w tej sytuacji lepsza będzie metoda kija i marchewki, a w zasadzie wielu marchewek i jednego kija...

– Chwila moment, przecież oni mogli tego gościa zabrać do jakiegoś lekarza – wpadła mu w słowo, zanim rozkręcił się na dobre.

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Bo to nie pasuje do wzorca.

– Do czego?

– Do tego wszystkiego, co z nami robią.

– Niby czemu? – zainteresował ją tym stwierdzeniem.

– Niby temu, że cała troska i dobroć, którymi nas otaczają, są wyłącznie na pokaz. Sama pomyśl: gdyby mieli zabrać kogoś z nas do lekarza, zrobiliby z tego wielki

pokaz, żeby ci ślepi durnie posikali się w gacie ze szczęścia, jakie ich spotyka. Nie mówię już o tym, że sprawne wyleczenie poważnej kontuzji utwierdziłoby wszystkich w przekonaniu, że tutejsi lekarze mogą wszystko, nawet przywracać wzrok i mowę.

– No tak... To ma sens – przyznała zasepiona, po czym dodała pospiesznie: – Ty naprawdę uważasz, że wyłuskali go z grupy i...

– Tak. Zrobili to dyskretnie, najprawdopodobniej na terenie łaźni, żeby nikt się nie zorientował. Wystarczyło skierować go w inną stronę niż pozostałych i sam polazł w paszczę lwa. – Remer pokiwał głową, przypominając sobie, że w łaźni było kilka linek, których trzymali się ślepcy. – Jednego tylko nie rozumiem, Tesli kazano uprowadzać całe rodziny... – Zamyślił się na dłuższą chwilę. – Według jakiego klucza ich dobieraliście?

– Według żadnego – odparła Iskra bez zastanowienia. – Zgarnęliśmy facetów z najdalszej sali, tych przetrzymywanych najdłużej. Potem dorzuciliśmy do tego parę kobitek z sąsiedniego pomieszczenia, żeby stadko wyglądało naturalniej.

– Czyli powinniśmy mieć tutaj kilka parok...

– Skoro tak mówisz.

– ...ale nie mamy. Co by znaczyło, że albo coś namieszaliście w bunkrze, albo Tesla rozmieszczał

schwytane rodziny tak, by nigdy nie trafiały do jednego transportu.

– Nie namieszaliśmy. Jestem tego pewna. Sama nadzorowałam tę część operacji.

– Ha.

– Co?

– Czyli mamy tutaj zupełnie obcych sobie ludzi. Ci biedacy nie znają się wzajemnie. Do tej pory myślałem, że posyłano ich tu parami, aby mieć dodatkowe źródło nacisku, tymczasem to rozwiązanie wydaje się efektywniejsze... Izolacja jest pełniejsza.

Wychodziło na to, że wzmianka spikerki dotycząca połączenia rodzin miała znacznie szerszy kontekst, niż dotąd przypuszczał. Tych ludzi nie tylko okaleczono, odebrano im także bliskich, skazując na samotność w tłumie innych ofiar. W zamian otrzymywali obietnice, których mieli się kurczowo trzymać aż do chwili – całkiem bliskiej i raczej nieuniknionej – śmierci z wycieńczenia.

– No tak – zgodziła się – ale co to ma wspólnego ze zniknięciem szczurowatego?

– Może nic... – Nie zamierzał jej informować o wynikach swoich przemyśleń, a już zwłaszcza o podejrzeniu, co zrobiono z ciałem kaleki. – W sumie nieważne.

Pomilczeli chwilę, każde myśląc o czym innym,

aczkolwiek równie niewesołym.

– Ty, dziadzia, lepiej tyle nie debilizuj, tylko kombinuj, jak stąd zwiejemy – odezwała się w końcu Iskra.

– Nie deliberuj – poprawił ją machinalnie.

– Oj tam. – Wzruszyła ramionami. – Kolejne wyrażenie z podwójnie martwego języka, którego nikt prócz ciebie nie rozumie.

Pamiętający nie odpowiedział, a przynajmniej nie zrobił tego natychmiast. Odezwał się dopiero wtedy, gdy szturchnęła go łokciem.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – odparł.

– Tylko mi nie mów, że nie masz żadnego planu.

– Plan mam, tyle że... jakby nie do końca sprecyzowany. Jutro muszę...

– Mówiłam ci już, że cię zabiję? – nie pozwoliła mu dokończyć.

– Owszem, ze sto razy.

– No to nie będę się powtarzać.

– I dobrze, bo to stało się nudne, zanim opuściliśmy Sobótkę.

– Co robimy? – zmieniła temat, poważniejąc.

– Nie wiem.

– Znowu ja mam myśleć za nas oboje?

– Ty może lepiej nie myśl, co? – poprosił, siłąc się na



uprzejmy ton. – Za każdym razem gdy zaczynasz mieć coś do powiedzenia, zbieram taki wpieprz, że głowa mała. – Postukał ją kikutami palców w ramię.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu otoczeni nieprzeniknionymi ciemnościami i atakowani powtarzanymi w kółko komunikatami, które nie niosły żadnych nowych treści. Wreszcie Pamiętający odchrząknął dyskretnie, po czym wyszeptał:

– Nie planowałem przyjazdu tutaj. Samo tak wyszło. Wiesz, jak było. Ale wierz mi, kiedy pakowali nas do tego wagonu, ułożyłem sobie na szybko nowy plan. Miałem nadzieję, że uda nam się namieszać ślepcom w głowach, że wmieszamy się w ich tłum i pokażemy im, jak wygląda prawda, dzięki czemu doprowadzimy do nowych rozruchów na masową skalę, a potem, wykorzystując zadymę, przedostaniemy się na stację i poczekamy w ukryciu, aż Pułkownik wyśle pociąg po kolejny transport niewolników, aby uzupełnić poniesione w trakcie zamieszek straty. Tylko że...

– Tylko że nie przewidziałeś, że trafimy do pieprzonej bajki o Ślepej Królownie, która zżarła Małgosię, a potem długo i szczęśliwie kopciła się z Jasiem – dokończyła za niego.

– Coś w ten deseń – przyznał.

– Czyli jesteśmy w dupie? – podsumowała kąśliwie.

– Niekoniecznie.

– A co możemy zrobić? Nic. Wielkie, zasrane przez cieniaki nic. Skoro mnie się tu spodobało, ci wszarze muszą być wniebowzięci i nie posłuchają żadnych podszeptów.

– Jutro im trochę miny zrzędą – zapewnił ją Pamiętający.

– Ale na pewno nie na tyle, żeby nas posłuchali. Pysznice co chwila, żarcie jak na weselu złapanego w sidła stalkera z najbrzydszą córką przywódcy upadającej enklawy. Czysta woda, dziadzia! Ciepła i pachnąca, wprawdzie ciul wie czym, ale za to ładnie... W kanałach za takie luksusy można zabić albo zginąć, a tu trzeba tylko pracować.

– To nie będzie praca, tylko katorga.

– Naprawdę? – zakpiła. – Pedalowałaś ostatnio przez osiem godzin na rowerowni?

– Tak dawno, że chyba nigdy.

– Właśnie tak przypuszczałam, oblechu. Mogę się z tobą założyć o wszystkie twoje pysznice do końca świata, że większość z naszych przyjaciół całymi latami zapierdała w znacznie gorszych warunkach. Harowali od świtu do nocy, i to nie dla luksusów, tylko za skórkę wędzonego szczura, za garść robali, za szansę na przespanie się w najbardziej zasyfiałym kącie

zawilgoconego kanału.

– Wiem. Dlatego musimy opracować plan B. Zapamiętałem drogę do stacji, zaraz wyryję ją na jednej z desek górnej pryczy, żeby mi nie wyleciała z głowy. A od jutra robimy rozpoznanie terenu. Mamy na to maksimum sześć dni.

– Dlaczego tylko sześć? – zapytała.

– Nie słuchałaś naszego dobrodzieja Stefana? Spędzimy w tym miejscu tydzień. W tym czasie wprowadzą nas w nowe obowiązki, a potem... Potem najprawdopodobniej zostaniemy rozdzieleni i dołączymy do już istniejących brygad roboczych.

– Skąd wiesz?

– Ja na ich miejscu tak bym to zorganizował.

– Ale ten cały Pułkownik to nie ty.

– Masz rację. Niemniej to też Pamiętający. Gość, który nie wymyślił niczego nowego. Dlatego właśnie doskonale wiem, co robi i dlaczego. Nie uwierzysz, ale to wszystko przypomina mi czasy sprzed wojny.

– Teraz to już naprawdę pieprzysz, dziadzia – zachnęła się Iskra. – We wszystko mogę uwierzyć, nawet w burdelową wróżkę-pizduszkę, ale nie wmówisz mi, że tak właśnie wyglądało wasze życie przed Atakiem.

Uścisnął ją mocniej, aby nie podnosiła bardziej głosu, po czym pogładził po głowie – nie tylko na użytek

potencjonalnych obserwatorów.

– Ty nic nie rozumiesz, dziecko.

– To mnie oświeć, stary oblechu.

– Widzisz... – zaczął.

– Niespecjalnie, bo jest ciemno – odburknęła wciąż obrażona.

Zaśmiał się pod nosem.

– Dobra. Ujmę to tak: dla mnie takie metody urabiania ludzi to nic nowego. Stosowano je za moich czasów, i to z równie znakomitym skutkiem. Zdecydowana większość ludzi woli nie myśleć. Wygodniej jest, gdy ktoś tobą kieruje, mówi, co jest prawdą, podpowiada na każdym kroku, co powinnaś robić. Jeśli czyni to umiejętnie, wiedząc zarazem, co chcesz usłyszeć, może cię przekabacić do tego stopnia, że dasz się za niego żywcem pokroić. W moich czasach nazywano to praniem mózgu, sekciarstwem, jednakże metody stosowane przez spin doktorów i im podobnych drani dość szybko przeniknęły do mainstreamu...

– Żeby ci tak skrzydłocz ślinika w sam środek dupy wsadził, dziadzia, co ty za bełkoty mi tu wciskasz? – zasyczała. – Jakie znowu sekciarstwo, co za srajdoktory? Czasami mam poważne wątpliwości, czy ty sam siebie rozumiesz.

– Dobra – zignorował jej wybuch. – Krótko mówiąc,

za naszych czasów ludzi urabiano w bardzo podobny sposób. Czasami na masową skalę. Naprawdę masową. Mówię tu o całych nacjach.

– Serdu-pierdu.

– Wiesz co... – Zamilkł na moment, jakby się nad czymś zastanawiał. – Spodobał mi się twój pomysł.

– Który?

– Ten o zabijaniu. Właśnie mi uświadomiłaś, od jak dawna mam ochotę cię udusić.

– Co?

– To nic osobistego – kontynuował obojętnym tonem, z którego przebijał jednak chłód. – Sam będę miał większe szanse. Ty i tak nic nie kumas, byłabyś tylko kulą u nogi.

Drgnęła, gdy poruszył ręką, przesuwając ją za jej plecy. Syknęła gniewnie, gdy odsunął się, by wstać i wrócić na swoją pryczę. Chwyła go za przedramię, zanim zdążył się podnieść.

– To nie było zabawne – warknęła.

– Wiem – odparł, a potem zamknął się na dobre, gdyż spikerka także umilkła po wypowiedzeniu zdawkowego: „Dobrej nocy, przyjaciele”.

Od tej chwili w dormitorium brygady 152 panowała wyłącznie grobowa cisza.

## ROZDZIAŁ 7

# Brygada

Przebudzenie nie było aż tak bolesne, jak podejrzewał wcześniej Remer. Cisza nocna trwała znacznie dłużej, niż można było się spodziewać, zatem Pamiętający, przyzwyczajony do zupełnie innego rytmu życia, otworzył oczy na długo przed przeraźliwym dzwonkiem oznaczającym początek drugiego dnia niewoli. Otoczony nieprzeniknionymi ciemnościami leżał przez kwadrans, a może nawet i dwa, wsłuchując się w równe oddechy „towarzyszy niedoli”. Ślepcy spali mocno jak dzieci; błogo szczęśliwi, nie zdając sobie sprawy, że wszystko, co ich teraz otacza, jest tak naprawdę iluzją. Zazdrościł im poczucia zadowolenia, z drugiej jednak strony cieszył się, że ma pełną świadomość czekającej go przyszłości, choć ta malowała się w coraz posępniejszych barwach.

Kilka chwil spokoju wykorzystał najlepiej, jak umiał: odtworzył w pamięci szczegóły wymyślonych poprzedniego wieczora planów, a potem zaczął eliminować te rozwiązania, które były albo zbyt

skomplikowane, albo nie prowadziły do celu najprostszą drogą. Po pobudce, gdy poruszający się w egipskich ciemnościach niewolnicy załatwiali potrzeby fizjologiczne, a potem ustawiali się w kolejce do prostych stalowych umywalek, nad którym mogli opłukać pod ledwie ciurzczącą i nie tak już czystą wodą twarz i ręce, Remer doszedł do ostatecznej konkluzji.

Nie mógł liczyć na otwarcie oczu któremukolwiek z towarzyszy, Pułkownik zadbał bowiem, by te kalekie dranie pokochały go jak rodzoną matkę. Żaden z zaślepionych... Pamiętający pokręcił w zamyśleniu głową. *Dlaczego wszystkie przychodzące mi do głowy wyrażenia muszą być dwuznaczne?* Żaden z zaślepionych niewolników nie da wiary prawdzie, nawet jeśli ta zacznie go kopać w sam środek chudej dupy. Będą ginęli z przeświadczeniem, że za cenę swojego życia ratują dzieci. Co jeszcze gorsze – zanim szeszną, uczynią wszystko, co w ich mocy, aby uniemożliwić jemu i Iskrze realizację zadania.

Skoro tak miały się sprawy... musiał traktować ich na równi z wrogiem. Tak, z wrogiem, ponieważ Remer szykował się do walki. Im dłużej się zastanawiał, tym większe zyskiwał przekonanie, że nie zdoła uciec z tych podziemi. A przynajmniej nie pociągami.

Co mu zatem pozostało?

To, na czym znał się najlepiej, kiedyś, dawno temu, za czasów, gdy należał do Czarnych Skorpionów.

Zamierzał wypowiedzieć Pułkownikowi otwartą wojnę. A wojny, jak wiadomo, pociągają za sobą ofiary. Wiele ofiar. Także wśród ludności cywilnej, która była sto razy bardziej niewinna niż ci wymacujący przyszłość durnie. Otaczający go niewolnicy stali się bowiem kolaborantami, bezwolnymi współpracownikami Czystych. Skoro więc nie miał szans przeciągnąć ich na swoją stronę, musiał zadbać, aby nie byli w stanie pracować dla swoich nowych panów i władców.

Jak tego dokona, to już zupełnie inna sprawa. Pozostało mu sześć dni na obserwację przeciwnika, rozpoznanie terenu i przygotowanie się do akcji. Wystarczająco wiele, by zrozumieć najbardziej zawile mechanizmy rządzące podziemnym kompleksem i dopracować szczegóły nowego planu.

Gdy tylko o tym pomyślał, poczuł znajome przyjemne mrowienie. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo brakuje mu dawnego życia. Teraz, gdy Czyści odebrali mu wszystko, wyzbył się hamulców oraz resztek prawości, która krępowała tkwiącą w nim cały czas mentalność bojownika. Odniósł wrażenie, nie pierwszy raz w życiu zresztą, że jest węzłem przechodzącym wylinkę. Gdy obmywał sobie twarz, skóra Nauczyciela opadła



bezdźwięcznie na kamienną posadzkę. Spod niej wyłonił się czysty jak łza, spragniony krwi Duch.

\* \* \*

Ślepcy z brygady numer 152 zostali wyprowadzeni z dormitorium po sutym śniadaniu, na które składała się tuszka dobrze uwędzonego szczura – znacznie bardziej okazała od tych pochodzących z hodowli w Wolnych Enklawach – oraz kubek wody o lekko metalicznym smaku.

Tym razem niewolnicy trafili w ręce szczupłej rudowłosej kobiety o pociągłej twarzy, wystających kościach policzkowych i lekko zadartym nosie, której cera wydawała się zadziwiająco ciemna, nawet w tym lichym oświetleniu. Pamiętający zastanawiał się nawet, czy to aby nie opalenizna, zaraz jednak odrzucił tę myśl. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wystawiłby gołej skóry na szkodliwe promieniowanie. Ci wrocławscy stalkerzy, którzy okazali się zbyt beztroscy lub za mało ostrożni, zapłacili najwyższą cenę, a reszta szybko wyciągnęła lekcję z ich cierpienia.

Remer od naprawdę wielu lat nie widział człowieka opalonego na zdrowy brąz. W kanałach nieodmiennie królowała upiorna bladość, co najwyżej lekki róż – przynajmniej tam gdzie odsłoniętej skóry nie szpeciły

liszaje ani blizny. Na smagłych licach przewodniczki nie dostrzegł jednak żadnej skazy, jakby jej śniadość była naturalna. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że może mieć do czynienia z córką ludzi, w których żyłach płynęła południowa, może nawet nieeuropejska krew. Z drugiej strony barwa jej włosów zdawała się sugerować swojskie pochodzenie.

Nie mogąc rozwikłać tej zagadki, zajął się uważną obserwacją otaczających go tuneli, co szybko go pochłonęło, gdyż przewodniczka najpierw kazała ślepcom unieść prawe ręce i pochwycić jeden ze sznurów rozpiętych nad ich głowami, potem położyć lewe dłonie na ramionach poprzedzających ich towarzyszy, a gdy wszyscy wykonali jej polecenia, poprowadziła kolumnę niewolników w głąb labiryntu, oddalając się z każdym krokiem od bramy, którą minionego wieczora wkroczyli do tej części podziemnego kompleksu.

– Proszę o uwagę! Lina, której się trzymacie, jest częścią skonstruowanego z myślą o was niezwykle prostego systemu komunikacji. – Rudowłosa kobieta przemawiała do niewolników, idąc obok nich środkiem korytarza. – W drodze na stanowiska pracy wyjaśnię wam, jak prawidłowo z niego korzystać. Uważajcie! Za moment dotrzecie do miejsca zwanego identyfikatorem. – Przystanąła, zanim pierwszy z niewolników trafił palcami

na jeden z trzech znajdujących się tuż obok siebie węzłów. – Czujecie te zgrubienia? Znajdują się one dokładnie co dwadzieścia kroków na każdej z tras komunikacyjnych. Możecie korzystać wyłącznie z lin oznaczonych trzema węzłami. Jeśli z jakiegoś powodu zdarzy wam się zabłądzić i wyczujecie pod palcami pojedynczy albo podwójny identyfikator, oto jak musicie się zachować: podchodzicie do najbliższej podpórki... tak nazywamy pręty, na których rozwieszono są liny... i tam się zatrzymujecie, aby wezwać pomoc. Przećwiczmy to, 152-01... – Dogoniła pierwszego ze ślepców i chwyciła go za wolną dłoń. Przeszli tak jeszcze kilka kroków, po czym nakierowała rękę niewolnika na wspomnianą wcześniej podpórkę (której nawiasem mówiąc, nie sposób było ominąć, jeśli nie oderwało się ręki od liny), następnie powiodła nią wzdłuż płaskownika do ściany i po niej w dół, aż do umieszczonego mniej więcej na wysokości piersi kawałka najzwyczajniejszej rury. Zaciśnęła palce niewolnika na dołączonym do tego prymitywnego gongu pręcie i pomogła mu przy pierwszym uderzeniu.

Dźwięk był przenikliwy i niespodziewanie głośny. Odbił się też wielokrotnym echem od ścian korytarza.

– Wystarczy kilka uderzeń, a otrzymacie pomoc i zostaniecie skierowani na właściwą drogę – podsumowała przewodniczka. – Nie poniesiecie żadnej

kary, pod warunkiem że zatrzymacie się przy pierwszym błędnym identyfikatorze. W razie znalezienia się w dalszej odległości od wyznaczonej trasy spotka was kara. Utraciecie czasowo prawo do kąpieli albo pełnych posiłków. Czy wszyscy zrozumieli, co powiedziałam? – Powiodła wzrokiem po potakujących skwapliwie postaciach. – Świetnie. Teraz każdy z was przeciwiczy wzywanie pomocy – dodała, cofając się o krok.

\* \* \*

Minęli jeszcze kilka długich odnóg odchodzących od głównego korytarza pod kątem prostym. Na ich widok Remer doznał kolejnego wrażenia *déjà vu*, znacznie silniejszego niż poprzedniego wieczora. Spoglądając w perspektywę następnego z mrocznych tuneli, odniósł nieodparte wrażenie, że już tu kiedyś był, choć przecież do wczoraj nie podejrzewał nawet, iż Riese, w tym kształcie, może naprawdę istnieć.

Był niemal pewien, że gdzieś już widział te ostre, nierówne wielobarwne skały, te mroczne sklepienia i kable biegnące po ścianie... Potrząsnął głową, by pozbyć się natrętnej wizji. Miał teraz ważniejsze sprawy niż zastanawianie się, dlaczego nachodzą go tak durne myśli. Musiał się skupić. Musiał rejestrować każdy szczegół otoczenia.

Na każdym odcinku skalnych ścian pomiędzy przecznicami zarówno po prawej, jak i lewej znajdowały się dwie pary prostych stalowych drzwi, identycznych jak te prowadzące do dormitorium, w którym nocowali.

Tylko jedne z nich były szerzej uchylone. Mimo że wewnątrz nie paliło się światło, Remer zdołał dojrzeć początek długiej ławy i majaczącą w półmroku konstrukcję piętrowych prycz. Wszystko wskazywało więc na to, że mijane pomieszczenie nie różni się niczym od tego, które sam przed momentem opuścił. *Na pierwszy rzut oka widać, iż jest zamieszkane, tyle że jego użytkownicy zostali wyprowadzeni chwilę wcześniej...*

Pamiętający nagle sobie uświadomił, że jego brygada nie napotkała do tej pory żywej duszy. Wokół panowała głęboka cisza, którą przerywało wyłącznie miarowe szuranie przesuwanych po betonowej posadzce stóp. Po kilku minutach wolnego marszu przewodniczka przyśpieszyła kroku. Wyprzedziwszy kolumnę, zatrzymała się przed rozświetlonym oknem wartowni, by przekazać niewolnikom kolejne informacje.

– Proszę o uwagę! Za moment dotrzecie do znaku ostrzegawczego, który uprzedza, że macie przed sobą przeszkodę. Jest to znak trójczłonowy. Gdy poczujecie na twarzy dotknięcie pierwszego członu, musicie zwolnić, po drugim wyciągacie przed siebie wolną rękę, a krok za

trzecim traficie na wspomnianą przeszkodę, którą może być punkt kontrolny albo brama. Dobrze – pochwaliła, kiedy pierwszy ze ślepców przystanął po zapowiedzianym kontakcie z trzecim znakiem. – Bez obaw, moi drodzy, to tylko końce rozplecionej linki. – Głos miała miły, spokojny, ale zarazem władczy, jakby ćwiczony do tej roboty.

Mimo jej zapewnień delikatne muśnięcia niepokoiły poruszających się po omacku ludzi. A jednak nikt nie cofnął się ani nie zatrzymał, dzięki czemu kolumna zachowała spójność.

Zadowolona z takiego obrotu sprawy przewodniczka znów wysforowała się naprzód, otworzyła jedno ze skrzydeł większej bramy zamykającej ten odcinek głównego korytarza, po czym poprowadziła niewolników wąskim, liczącym prawie czterdzieści kroków tunelem, na którego końcu znów trafili na znak ostrzegawczy. Tam ponownie kazała im się zatrzymać.

Ustawiony na samym końcu Pamiętający niewiele widział z powodu ciasnoty i niemal kompletnych ciemności, lecz posuwał się karnie naprzód, krok po kroku, aż dotarł do miejsca, w którym znikali poprzedzający go ślepcy. Spoglądanie na świat spod rozchylnych tylko na kilka milimetrów powiek, zwłaszcza przy tak lichym oświetleniu, było bardzo męczące i naprawdę

nieprzyjemne, lecz nie miał wyjścia – wysilał wzrok, by zarejestrować jak najwięcej szczegółów tego niezwykłego miejsca. Wsłuchiwał się także uważnie w krótkie instrukcje rudowłosej.

– Proszę o uwagę! Jeśli trzeci z członów znaku ostrzegawczego jest zrobiony nie z końcówek rozplecionych sznurków, tylko z płachty materiału... czyli krótko mówiąc, ze szmaty... macie przed sobą koniec korytarza. W takiej sytuacji musicie wyszukać dłońmi węzeł, od którego odchodzi boczna odnoga linii komunikacyjnej. 152-01, spróbuj go znaleźć. Świetnie, teraz przejdź nową linią do końca. 152-02, twoja kolej.

Chwilę później Remer położył dłoń na linie, dzięki której przedostał się za otwarty na oścież właz i wszedł do sporej, pogrążonej w półmroku klatki. Gdy postawił stopę na jej metalowej podłodze, poczuł lekkie chybotnięcie. To była winda! Pachnąca smarem i rdzą, mocno zużyta i bardzo podobna do tej, którą zjeżdżało się z bunkra Tesli do kompleksu Otchłani.

*Ciekawe*, pomyślał. Z tego, co pamiętał, większość odkrytych po wojnie sztolni w Górach Sowich miała tylko jeden poziom. Tu najwyraźniej pięter musiało być więcej – świadczyły o tym choćby umieszczone przy stacji kierunkowskazy prowadzące między innymi na klatkę schodową, no i ta winda.

Zabezpieczone siatką wewnętrzne drzwi zamknięto, ledwie dłoń Remera spoczęła na wskazanej przez przewodniczkę poręczy. Winda ruszyła z lekkim szarpnięciem, unosząc sapiących niespokojnie ślepców w górę wykutego w skale prostopadłościennego szybu. Pamiętający próbował ocenić jego wysokość, lecz ślimacza podróż trwała tak długo, że w końcu stracił rachubę zliczanych odcinków. Wiedział tylko jedno: wieziono ich w miejsce znajdujące się ponad sto, a może nawet dwieście metrów wyżej od korytarzy sektora sypialnego.

To odkrycie zdumiało go jeszcze bardziej. Nie był wprawdzie wielkim fanem tajemnic drugiej wojny światowej, ale przypomniał sobie właśnie pewien jesienny poranek... i w końcu zrozumiał, skąd to nękające go od wczoraj uczucie *déjà vu*!

Kilka lat przed Atakiem ochraniał senatora Nienackiego podczas wypadu w te okolice. Wtedy nie mógł dostrzec wyjątkowego kontekstu plenerowej wycieczki, ale teraz od razu zaświtała mu myśl, że cholerny polityk nie zwiedzał sztolni Walimia tylko dlatego, że miał taki kaprys i po spotkaniu plenarnym, które odbyło się z jakiejś tam okazji w salach Książa, zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej o rozsianych po okolicy tajemniczych poniemieckich kompleksach.



Czyżby drań już wtedy wiedział o istnieniu Riese?

Drepcząc za idącymi gęsiego milczącymi towarzyszami, Remer usiłował przypomnieć sobie każdy detal dawno zapomnianej podróży, jednakże minęło zbyt wiele czasu, za dużo się wydarzyło, by mógł wydobyć z podświadomości coś więcej niż tylko wyrwane z kontekstu obrazy lub co najwyżej urywki scen.

Mimo wszystko dostrzegał zdumiewająco wiele podobieństw między zwiedzanymi ongiś podziemiami a miejscem, przez które prowadzono go teraz. Te korytarze na pewno zostały wydrążone podobnymi metodami w niemal identycznie wyglądających skałach. Nawet rozmiarowo zdawały się do siebie pasować. I nic dziwnego, skoro przy stacji zachowały się ledwie widoczne, lecz dające się wciąż odczytać ponemieckie napisy.

*No dobrze, ale skąd wzięła się nie pasująca do reszty wizji winda?*

Remer wiedział, że nie znajdzie tak szybko odpowiedzi na to pytanie, zanotował je więc w pamięci i ponownie skupił uwagę na otoczeniu. Kolumna docierała właśnie do obszerniejszej hali, pośrodku której ułożono tory. Szyny błyszcząły metalicznie w blasku nielicznych żarówek, powierzchnia wąskiego betonowego peronu także została wygładzona milionami szurnięć grubych podeszew. Po

stalowej balustradzie na końcu peronu pozostały tylko kilkucentymetrowe kikuty sterczące z przytłaczająco szarej masy spękanego podłoża. Nie musiał się jednak nimi przejmować.

Przewodniczka przyglądała się w milczeniu, jak ślepcy – trafiwszy na kolejne ostrzeżenie – zatrzymują się karnie, zanim pierwszy z nich dotarł do krańca betonowego pomostu.

– Proszę o uwagę! Zapamiętajcie to miejsce dokładnie. Jest to pierwszy i jedyny przystanek na trasie za windą. Tutaj nie wolno wam ruszyć się z miejsca, dopóki nie usłyszycie gwizdka. Jeśli ktoś się pomyli, może postradać życie, czego bardzo byśmy nie chcieli.

W zapadłej po tych słowach ciszy Pamiętający wychwytał ledwie słyszalny turkot, który z każdą chwilą narastał. Niespełna minutę później na podziemnej stacji pojawił się dziwny skład. Małeńka otwarta lokomotywa, najprawdopodobniej elektryczna, pchała dołączone do niej platformy z ciągami prostych siedzisk. Wagoniki były tak szerokie, że ich zewnętrzne krawędzie nieomal tarły o skraj znajdujących się na tym samym poziomie betonowych peronów. Gdy ostatni z nich dotarł do końca torów, umieszczona na nim tyczka popchnęła rozciągnięty nad torami kabel. Ten prosty mechanizm opuścił spod pogrążonego w mroku sklepienia całą sieć sznurów, które

zetknęły się z linką tranzytową na moment przed tym, nim rozległ się ogłuszający gwizd.

Kierowani instrukcjami przewodniczki ślepcy wymacali opuszczone łączniki i posuwając się wzdłuż nich, przeszli na podstawione platformy. Tutaj jednak nie wszystko poszło gładko. Po raz pierwszy od opuszczenia dormitorium niewolnicy pogubili się i musieli kilkakrotnie opuszczać wagoniki i na powrót do nich wsiadać, zanim połapali się, jak sprawnie i szybko zajmować swoje miejsca.

Kwadrans później, gdy wąskotorówka w końcu ruszyła, zanurzając się w nieprzebitym mroku tunelu, Pamiętający mógł w spokoju podsumować zdobytą dotychczas wiedzę. Wbrew pozorom Pułkownik nie rozpieszczał pracujących dlań ślepców. Nowo przybyłym pozwolono zjeść w spokoju, a potem odpocząć jeszcze chwilę tylko dlatego, żeby nie plątali się pod nogami ekip wyruszających do pracy. Wypuszczono ich z dormitorium dopiero wtedy, gdy wszyscy przeszkoleni już niewolnicy opuścili kwatery. Z tego właśnie powodu Pamiętający nie dostrzegł żywej duszy. Co więcej, jeśli wierzyć słowom przewodniczki, zapamiętanie tras i znaków miało kolosalne znaczenie, ponieważ brygada mogła liczyć na jej pomoc tylko w okresie szkolenia. Później, po przydzieleniu do właściwych ekip, niewolnicy mieli

udawać się do pracy na własną rękę. Bez nadzoru.

To była naprawdę cenna informacja, która wiele zmieniała. Niestety, kolejne spostrzeżenie ostudziło zaraz emocje Pamiętającego.

Skład wąskotorówki, którym go wieziono, podobnie jak perony był stanowczo za krótki, by szybko przewieźć do celu setki czy wręcz tysiące niewolników. To mogło sugerować, że wind i stacji jest w okolicy więcej. Albo...

Ewentualności było bez liku, dlatego Pamiętający uznał, że na tym etapie nie uda mu się dojść do całej prawdy. Wszystko wyjdzie w praniu, jak głosiło dawno zapomniane powiedzenie. Wystarczy mieć oczy i uszy otwarte.

\* \* \*

Kolejka dotarła do stacji docelowej po kwadransie powolnej jazdy mrocznym tunelem. Nie sposób było powiedzieć, czy znajdowały się w nim jakieś odnogi, aczkolwiek rozlegające się co jakiś czas charakterystyczne turkotanie kół mogło świadczyć o mijaniu zwrotnic. Było ich na pokonanym odcinku aż sześć – o ile Remer dobrze interpretował zasłyszane dźwięki.

W końcu gdzieś w oddali pojawił się jaśniejszy punkt, który rósł z wolna, lecz nieprzerwanie, by ostatecznie zamienić się w stację. Tyle że tutaj Pamiętający nie

zobaczył żadnych drzwi. Za pomalowanym na żółto odbojnikiem ziała paszcza sztolni, w głąb której poprowadzono brygadę numer 152. Po mniej więcej pięćdziesięciu krokach czoło kolumny dotarło do znaku ostrzegawczego, za którym znajdowała się oświetlona lampą olejową szopa mieszcząca posterunek będący równocześnie magazynem narzędzi.

Tu ślepcy zostali podzieleni na mniejsze grupki, każdemu z nich przydzielono też inny ekwipunek. 152-01 i 152-02 otrzymali metalowe narzędzia przypominające z grubsza grabie, z tym że o krótkich zębach i bardzo wysokim łączniku. Stojącej za parą mężczyzn czwórce kobiet wydano grube wysmołowane od wewnętrznej strony rękawice i coś, co przypominało masywne ogrodnicze nakolanniki. Następnym ośmiu mężczyznom założono na plecy metalowe pojemniki, wyposażone w krótką wajchę, którą można było otworzyć płaskie dno. Iskrze i jeszcze jednej bardzo niskiej, choć dwa razy starszej od niej kobiecie wydano spore młotki o poszerzonych na końcu głowniach oraz masywne przecinaki. Tylko Pamiętający i stojący przed nim ślepiec pozostali z gołymi rękami.

Przewodniczka zaprowadziła brygadę na pobliski przodek oświetlony kolejną migotliwą lampą olejową. Oczom Remera ukazała się postrzępiona ściana, którą ktoś

całkiem niedawno skuł. Na sienie, poznaczonej żółtawymi pręgami powierzchni skał dało się zauważyć jaśniejsze blizny – to musiały być miejsca, w których pracowano młotami pneumatycznymi albo świdrami. Cały urobek, a było go kilkanaście ton, wciąż spoczywał na chropawym podłożu.

– Teraz przechodzimy do najważniejszego – wyjaśniła przewodniczka, stając obok dwóch uchylnych wózków, na które jak się domyślał Pamiętający, miał trafić cały gruz. – Nasze brygady wydobywcze dzielą się na pięć podstawowych specjalności: pierwsza to zagarniacze, ich funkcję pełnić dzisiaj będą 152-01 i 152-02. – Gdy to mówiła, dwaj uzbrojeni strażnicy, którzy wcześniej wydawali narzędzia, ustawili wymienionych ślepców przed rumowiskiem. – Pracownice od 152-03 do 152-06 będą dzisiaj zbieraczkami. Jak się zapewne domyślacie, musicie przenieść zagarnięty pod wasze stanowiska urobek i umieścić go w pojemnikach tragarzy, czyli robotników o numerach 152-07 do 152-14.

Kobiety wprowadzono na podesty zbite z grubych nieheblowanych desek i kazano im uklęknąć. Mężczyzn ustawiono natomiast w dwu rzędach po czterech w każdym, oczywiście pod linkami. Gdy wszystko było gotowe, przewodniczka znów zabrała głos.

– 152-07, 152-08, 152-09 i 152-10, podejdźcie do

znaku ostrzegawczego i zajmijcie pozycje. – Strażnicy pokierowali wymienionymi ślepcami, usadzając pierwszą czwórkę na skraju drewnianych platform, plecami do klęczących tam kobiet. – Waszym zadaniem będzie przeniesienie załadowanego urobku do znajdujących się na drugim końcu trasy wagoników. Po napełnieniu pojemnika zbieraczka da wam następujący znak... – Rudowłosa ujęła kolejno dłoń każdej z kobiet i położyła ją na ramieniu czekającego w napięciu tragarza. – Gdy poczujecie takie klepnięcie, wstaniecie i nie puszczając linki, przejdziecie aż na jej przeciwległy koniec, gdzie po pierwszym znaku ostrzegawczym traficie na schody, a za trzecim znakiem ostrzegawczym znajdziecie znacznik, czyli dowiązaną do linki pętlę. Trzymając się jej, usiądziecie na burcie wózka, za pomocą dźwigni, która znajduje się po prawej stronie, pozbędziecie się ładunku, a potem wstaniecie, cały czas trzymając pętlę lewą ręką. Następnie wymacacie linkę i po schodach z przeciwnej strony rampy załadunkowej wróćcie tutaj, aby ponownie zająć miejsce w kolejce i zakończyć turę. Jak to wszystko zrobić, pokażę wam za chwilę. Przećwiczmy na razie sam załadunek – poleciała, odsuwając się na bok.

Ślepcy, kierowani przez milczących strażników, zaczęli pracować. Niezdarnie, powoli, myląc się często i gubiąc, ale trzeba przyznać, że z każdym ruchem szło im

składniej. Rudowłosa nie piekliła się, nie krzyczała, jak można by się tego spodziewać po nadzorcy. Ku zdumieniu czekającego wciąż z boku Pamiętającego wyglądała raczej na cierpliwą nauczycielkę, której przyszło pracować z wyjątkowo niepojętymi dziećmi, niż na klasycznego kapo. Coś na ten temat wiedział, uśmiechnął się więc pod nosem, obserwując jej wysiłki. Sam postępował podobnie podczas szkolenia gwardzistów Białego, tyle że oni w odróżnieniu od okaleczonych niewolników posiadali wszystkie zmysły, aczkolwiek chyba niewiele więcej rozumu.

Po dwu godzinach prób i błędów wszyscy ślepcy wykonywali powierzone im zadania z mniejszą bądź większą precyzją. Ludzie pozbawieni wzroku bardzo szybko uczą się polegać na pozostałych zmysłach, głównie na dotyku i słuchu, jakby ich mózgi wykorzystywały informacje do tej pory niezauważane albo pomijane. Członkowie brygady numer 152 byli tego najlepszym dowodem. Pomimo ślepoty radzili sobie zaskakująco dobrze, a to oznaczało, że przewodniczka może się nareszcie zająć ostatnią czwórką niewolników.

Najpierw usadziła Iskrę i jej towarzyszkę na podestach tuż obok zbieraczek, potem wyjaśniła tym drugim, że jeśli wymacają zbyt duże bryły urobku, takie, co nie zmieszczą się do nosidła, muszą je przekazać koleżankom z młotkami



i przecinakami – nazwała je przy tym rozkuwaczkami – aby te mogły rozdrobnić ponadwymiarową skałę. Przećwiczenie tego elementu pracy nie trwało długo, ponieważ zadanie było względnie proste – wystarczyły trzy próby, by wszystkie kobiety stanowiły zgrany zespół.

Ćwiczący w tym samym czasie tragarze opróżniali napełnione nosidła na rumowisku, kilka kroków od drewnianych platform, ponieważ była to dopiero wprawka do prawdziwej pracy. Po skierowaniu rozkuwaczek na miejsca rudowłosa poprowadziła tych, którzy nieśli zebrany urobek, na drugi koniec liny, czyli jakieś dwadzieścia metrów dalej. Tam trafiali kolejno na pomost, dzięki czemu mogli obrócić się tyłem do burty wagonika, usiąść na niej, trzymając się wspomnianej pętli, i wysypać przenoszony gruz do stalowej kołyski.

– Ostatnim elementem brygady są pchacze – obwieściła przewodniczka tym samym uprzejmym, lecz zarazem wypranym z uczuć głosem. – Tę funkcję pełnią najsilniejsi spośród was, ponieważ to naprawdę ciężka robota. 152-16 będzie pchaczem pierwszego wózka, natomiast 152-18... – ujęła Remera za rękę i poprowadziła go na lewy tor, podczas gdy strażnicy zajęli się drugim z wymienionych niewolników – ...pokieruje tym oto cackiem. Wasza praca, moi panowie, jest bardzo prosta, niemniej wymaga nie tylko siły, ale też umiejętności

liczenia. W chwili, gdy na pomoście pojawi się trzydziesty tragarz z rzędu, chwycicie za dźwignię znajdującą się tutaj, pod ścianą korytarza – naprowadziła lewą dłoń Pamiętającego na drewnianą rączkę – i pociągnięcie o tak, do samego końca.

Poruszany wajchą prymitywny wielokrążek zmieniał układ sznurków, kierując następnych tragarzy na sąsiedni pomost, aby zaczęli napełniać drugi wózek. *Prosty i wydajny system*, uznał Pamiętający, pozwalając, by rudowłosa przykuła jego prawą rękę do stalowego pręta obejmującego trzy z czterech ścian wagonika – nie było go tylko od strony pomostu.

Stalowa obręcz, którą połączono cienkim łańcuchem ze wspomnianym prętem, została wyłożona od wewnątrz wytartą już, mocno wyprawianą skórą i zaciśnięta tylko na tyle, by nie dało się wyjąć z niej dłoni.

*Te skurwiele naprawdę zachowują się tak, jakby to było jakieś pieprzone sadomasochistyczne spa, a nie obóz pracy!* – uznał rozbawiony tym faktem Remer.

– Po przyjęciu ostatniego ładunku i przekierowaniu za pomocą dźwigni kolejnych tragarzy zwolnicie odbojnik – kontynuowała tymczasem przewodniczka. Dłoń Pamiętającego została przeniesiona na linkę, która prowadziła od wajchy na ścianie do znacznie krótszej metalowej dźwigni. – 152-18, stań w takiej pozycji. –

Ustawiała Remera tak, jakby miał startować do biegu. Prawą dłoń kazała mu zacisnąć na pręcie, lewą natomiast złożyć na nowo wskazanej dźwigni. – Pociągając za tę rączkę w dół, zwolnisz mechanizm pomagający w ruszeniu wózka z miejsca. – Pamiętający już przed chwilą zauważył, że zderzaki wagonika przylegają do grubych sprężyn, ale mylnie uznał, że to po prostu część odbojnika. – Teraz najtrudniejszy element całej operacji. 152-18, przygotuj się na silne szarpnięcie, pamiętając, że nie możesz dać się zaskoczyć. Gdy wózek zostanie pchnięty, naprzesz na niego z całej siły. Nie po jakimś czasie, tylko natychmiast, rozumiano?! – Gdy Remer potaknął, dodała: – Później przepchniesz wózek z urobkiem na drugi koniec toru, gdzie nasi przyjaciele poinstruują cię, jak opróżnić wagonik. Gdyby po drodze zaszły jakieś nieprzewidziane problemy i musiałbyś się zatrzymać, użyj tego dzwonka. – Skierowała jego dłoń na zawieszony w górnej części wagonika kawałek rury, do którego doczepiono na łańcuszku mniej więcej dwudziestocentymetrowy odcinek pręta zbrojeniowego. Był to bardzo podobny sprzęt do tego, który zaprezentowano ślepcom w korytarzu. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dokonasz wyładunku i natychmiast wrócisz na przodek. Czy wszystko jest jasne? – Było, w końcu to tylko zwykła robota fizyczna, co

mogło pójść nie tak? – Świetnie, a teraz mała pomoc dla tych z was, którzy nie czują się pewnie w liczeniu albo mają słabą pamięć. – Nakierowała lewą dłoń Remera na ściankę wagonika, a w zasadzie na element, który został do niego przyspawany. Były to trzy kawałki drutu wygiętego w kształt odwróconej litery U, na które nanizano po dziesięć drewnianych dysków.

Pamiętający się uśmiechnął. To było naprawdę wielkie ułatwienie. *Liczenie do trzydziestu przez prawie cały dzień w tak wolnym tempie mogło przywieść największego twardziela na skraj szaleństwa.* Zaraz jednak potrzęsnał głową, zły na siebie, że zaczyna myśleć jak ktoś, kto ma spędzić resztę życia w tych tunelach.

Dranie byli naprawdę nieźli w tym, co robili...

## ROZDZIAŁ 8

# Telefon

Freja, przetrząsnąwszy po raz kolejny całą kwaterę, opadła z rezygnacją na przepastny fotel. Poprzednia właścicielka tego podziemnego apartamentu nie szczydziła sobie luksusów. Wprawdzie skóra pokrywająca niegdyś modny mebel była już mocno wytarta i w wielu miejscach poplamiona, ale gdyby to cacko trafiło kiedykolwiek na bazar, poszłoby od ręki, i to za niebotyczną cenę. Niewykluczone też, że doprowadziłoby do małej wojny. Chyba każdy z dzielnicowych watażków pragnąłby umościć kościste dupsko na czymś tak wygodnym i prestiżowym. Nawet za cenę krwi swoich pomagierów.

Pech jednak chciał, że wspomniani decydenci nie będą mieli szans rywalizować przynajmniej w tym względzie. „Piękna Helena”, jak nowa właścicielka ochrzciła w myślach fotel, pozostanie w podziemnym mieście i tu będzie służyć wygodzie tej, która przejęła dowodzenie Otchłanią. Rozbawiona tą myślą właścicielka Klatki Pełnej Cieniaków okręciła się na obrotowej nóżce, raz i drugi.

Spoważniała jednak w momencie, gdy jej wzrok spoczął na wielkiej kałuży wciąż lepkiej, ale zaczynającej już cuchnąć krwi.

Tylko tyle zostało po niesławnej pani Bondarczuk. Jej ciało, podobnie jak zwłoki wszystkich pozostałych zabitych, czekało na wrzucenie do Otchłani. Taki rozkaz wydał Pamiętający tuż przed odjazdem, zaręczając, że to najlepszy możliwy sposób na uniknięcie zarazy. Freja miała spore opory przed wykonaniem jego polecenia, lecz wydała zgodę na rozpoczęcie operacji – oczywiście po wcześniejszej dokładnej lustracji przepastnego otworu, która zaowocowała wnioskiem, że nawet jeśli spoczywające setki metrów niżej stosy ciał zaczną gnić, ich odór nie rozejdzie się po reszcie kompleksu dzięki szczelnemu włazowi i systemowi śluz.

*Trzeba tylko przypomnieć ludziom, żeby pozbyli się hektolitrów przelanej krwi,* pomyślała, badając czubkiem buta skraj niemal czarnej kałuży. *I to zanim...*

Podskoczyła w fotelu, gdy ciszę panującą w kwaterze byłej... i obecnej... przywódczyni podziemnego miasta przerwało natarczywe pukanie do drzwi.

– Wejść! – rozkazała, nie podnosząc się z miękkich poduch, które przypominały jej utracone bezpowrotnie życie.

W bunkrze musiała się zadowolić o wiele prostszymi

meblami. Też wygodnymi, to prawda, lecz nie mogącymi się nawet równać z takim luksusem.

W drzwiach stanął Rysa, starszy z braci, których mianowała tymczasowo swoimi porucznikami. Znała ich od sześciu lat, dorabiali u niej jako bramkarze. Szram na ich ciałach nie dało się zliczyć, choć i pod tym względem daleko im było do Pawła. Skrzywiła się na wspomnienie ukochanego.

– Coś nie tak? – Rysa zauważył jej reakcję.

– Trzeba tu posprzątać – rzuciła, kierując jego uwagę na krew. – Zaczyna już śmierdzieć.

– Zrobione – rzucił.

Za to go lubiła i ceniła. Nie gadał dużo, robił, co trzeba. Jak na faceta w jego wieku – trzy miesiące temu skończył siedemnaście lat – wykazywał się zadziwiającym opanowaniem. Miał też niesamowite wyczucie sytuacji. W Klatce nigdy nie interweniował, jeśli nie było takiej potrzeby. Inni bramkarze wdawali się w bójki przy byle okazji, często turbując klientów, nie on jednak. Zawsze czujny, miał na oku wszystkich i wszystko, dzięki czemu pojawiał się przy stolikach, zanim podchmieleni goście zdążyli obić sobie pyski. To zazwyczaj wystarczało, lecz radził sobie doskonale także w tych rzadkich momentach, gdy sytuacja zmuszała go do podjęcia bardziej radykalnych działań. Dlatego właśnie

w dziewięćdziesięciu pięciu przypadkach na sto jedno jego słowo gasiło najbardziej krewkich stalkerów – co tam słowo, wystarczyło jedno wymowne spojrzenie, by spokornieli i senne knajpiane życie mogło toczyć się dalej, tonąc w oparach bimbru i aromatycznej woni pieczonych pajaków.

– Co z nią? – przeszła od razu do rzeczy.

– Zniknęła – odparł zwięźle.

– To znaczy?

– Nie wróciła już z góry. Chłopaki w bunkrze mówią, że po wykonaniu zadania wyszła bez słowa i tyle ją widzieli.

– Szlag... – Freja zerwała się z fotela. – Dlaczego nikt jej nie zatrzymał?

– Nie było takiego rozkazu.

– Przecież powiedziałam wyraźnie, nikt stąd nie wychodzi.

– Zgadza się, ale dla wszystkich było jasne, że rozkaz dotyczy zwykłych stalkerów, a nie ludzi ze ścisłego dowództwa.

– Jeśli puści parę...

– O to bym się nie martwił – rzucił Rysa. – Po tym wypadku porąbało ją na całego, to prawda, ale nie zapominajmy, że Pamiętający jest dla niej... chodzącym ideałem. Karbala nie zrobi niczego, co by mu się nie



spodobało.

– Jesteś tego pewien? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Tak – odpowiedział bez wahania, wytrzymując to spojrzenie.

Rysa był człowiekiem, któremu zawierzyłaby własne życie, ale miał jeden poważny mankament: nie rozumiał kobiet.

– A ja nie – powiedziała. – Zazdrość zaślepia, pamiętaj. A ona jest piekielnie zazdrosna. O mnie.

– Zajmiemy się nią, jeśli szefowa każe – obiecał. – Nie sądzę jednak, by to było konieczne. Zналиśmy jej ojca, znamy ją, wiemy, że nie przekroczy tej granicy. – Mówiąc „my”, miał na myśli siebie i młodszego o rok brata. – Ryska rozmawiał z nią wczoraj, już po tej pokazówce z Czystymi. Była wściekła, ale głównie na siebie, bo zrozumiała, że zlekceważenie wezwania Kosy pozbawiło ją szans na wygraną w... – zamilkł na moment, jakby szukał odpowiednich słów – ...w waszej rywalizacji. Ona umie przegrywać, może mi szefowa wierzyć. Musi mieć tylko czas, żeby ochłonąć i pogodzić się z porażką.

Freja nie skomentowała jego słów, pokręciła za to głową w wymownym geście. Była kobietą, rozumiała więc doskonale, co dzieje się teraz w głowie jej urojonej rywalki, on z kolei znał młodą stalkerkę znacznie lepiej.

O tym, które z nich ma rację, przekonają się już niedługo, tego Freja była pewna.

Zanim Rysa zdążył dodać coś jeszcze, w drzwiach za jego plecami pojawił się zdyszany goniec.

– Telefon był! – zameldował zwięźle, z trudem łykając powietrze. – Od tych tamtych!

\* \* \*

Centrum dowodzenia, dzięki zapobiegliwości Pamiętającego, nie zostało zniszczone, choć większość szyb oddzielających salę konferencyjną od głównej dolnej sali poszła w drobny mak podczas niedawnej wymiany ognia, która wywiązała się pomiędzy szturmującymi to pomieszczenie ludźmi Topora a dyżurującymi tutaj Czystymi.

Teraz miejsca techników zajmowali stalkerzy Kosy, których zadaniem była nie tyle obsługa zbyt skomplikowanego dla nich sprzętu, ile obserwacja działających jeszcze ekranów i czekanie na kolejny telefon. Freja zdawała sobie bowiem sprawę, że tajemniczy Pułkownik, który zjechał ją wczoraj jak burą sukę, z pewnością zechce się jeszcze odezwać. Nie oddzwoniła, ponieważ nie zdołała znaleźć potrzebnej do tego książki kodów – ani tutaj, ani w kwaterze Bondarczuk – a bez niej nie sposób było uzyskać

połączenia z bunkrami Riese.

Freja doskonale wiedziała, co znaczy ten niemiecki kryptonim. Urodziła się długo przed wojną, a w bunkrze miała dostęp do tysięcy książek zgromadzonych przez ojca nie tylko na półkach, ale też na dyskach komputerów i na czytnikach. Zabijała więc czas lekturą, a mając na to całe lata, dotarła także do zbioru pozycji opisujących dzieje drugiej wojny światowej, w tym sensacyjnych, które podobały się jej najbardziej. Tak właśnie trafiła na historię mitycznych podziemi w Górach Sowich, które jak się okazało, wcale nie były wymysłem pragnących chwili sławy oszołomów – chyba że ktoś wpadł na pomysł, by użyć tego samego kryptonimu dla zupełnie innego, choć zbliżonego tematycznie projektu.

W każdym razie dobrze wyczuła rzeczzonego Pułkownika. Odezwał się, aczkolwiek tym razem nie zadzwonił do kwatery Bondarczuk, gdzie czekała, obgryzając z nerwów paznokcie, lecz tutaj, do centrum dowodzenia, zupełnie jakby chciał ją pominąć przy tej próbie kontaktu. Takie przynajmniej odniosła wrażenie, gdy usłyszała relację pośłańca.

Przesiedziała w podziemnym apartamencie przywódczyni Czystych niemal całą dobę, warując przy milczącym jak grób aparacie, by mieć choć cień szansy jeśli nie na podjęcie dialogu, to na uzyskanie informacji –

chodziło przecież o życie kogoś jej bliskiego! – jednakże ten drań zadzwonił w zupełnie inne miejsce, ponownie uniemożliwiając Frei przejęcie inicjatywy!

Na szczęście kazała też obstawić centrum dowodzenia za radą Pamiętającego. Wprawdzie jemu chodziło o wyłapanie agentów Czystych, którzy podczas przejęcia Otchłani operowali w terenie i nadal nie mieli bladego pojęcia o tym, że ich dawni zleceniodawcy nie kontrolują już podziemnego miasta, lecz jak się okazało, posadzenie przy telefonach Kosy i dwóch najbardziej wyszczekanych stalkerów przyniosło nieoczekiwany skutek.

– Mów! – zażądała, gdy tylko minęła próg wielkiej sali, której wygląd nie onieśmiał jej jak pozostałych. Na każdym urodzonym w kanałach człowieku ogromne, wypełnione konsolami i ekranami pomieszczenie musiało sprawiać piorunujące wrażenie. Wydawało się zapewne równie niezemskie jak w jej przypadku wizje kosmicznych statków z wysokobudżetowych widowisk filmowych, które tak uwielbiała w młodości.

Na dźwięk jej głosu Kosa zerwała się raptownie z obrotowego krzesła, z trudem łapiąc równowagę. Nie sposób ją za to winić, nigdy wcześniej nie siedziała na czymś, co miało kółka i przy gwałtowniejszym ruchu samo usuwało się spod tyłka. Nikt z obecnych nie zaśmiał się jednak z jej wpadki. Nie na darmo nosiła tak ostry

przydomek, o czym wiedział każdy, kto przebywał w tym momencie w centrum dowodzenia.

– Jakaś kobieta... – zaczęła niepewnie stalkerka.

– Kobieta? – wpadła jej w słowo Freja, robiąc wielkie oczy. – Powiedziano mi, że odebraliście telefon z Riese... – Spojrzała z wyrzutem na zdębiałego posłańca.

– No bo to był telefon od tego tam, Pułkownika – wyjaśniła Kosa. – Tylko tym razem w jego imieniu gadała jakaś kobieta.

– Dobra, rozumiem. I co powiedziała?

– Nawciskała mi...

– Nie tak – przerwała jej ponownie Freja. – Powiedz mi, co usłyszałaś. Słowo w słowo.

– Ale ona tyle paplała... – Stalkerka złapała się za głowę.

– Skup się, proszę. To bardzo ważne.

– Dobra... – Kosa opadła ostrożnie na siedzisko wysłużonego krzesła biurowego. – Jeden moment.

– Nie śpiesz się, mamy czas.

Przed Atakiem ludzie korzystający z setek urządzeń i udogodnień nie musieli zaprzętać sobie głowy zapamiętywaniem każdej potrzebnej im informacji. Dzisiaj, gdy wsparcie technologiczne należało już do przeszłości, każdy, kto mieszkał w kanałach, musiał polegać wyłącznie na własnych umiejętnościach, nic więc

dziwnego, że ocaleni byli znacznie bardziej spostrzegawczy od swoich rówieśników ze starego świata. Dlatego Freja, wydając stalkerce polecenie, miała niezachwianą pewność, że relacja, którą za chwilę usłyszy, będzie niemal wiernym odtworzeniem niedawnej rozmowy, nawet jeśli ta była bardzo długa.

– Najpierw mnie zapytała, jak się nazywam, więc powiedziałam, co kazałaś, że jestem ta tam, Banasiak. – Roześmiała się, co pozostali ochoczo podchwycili.

Dawne nazwiska wydawały im się nieodmiennie zabawne i pozbawione treści, bo cóż też mogło znaczyć nie kojarzące się z niczym słowo „Banasiak”? Freja uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że również nie ma pojęcia, skąd mogło się wziąć. Do głowy by jej nie przyszło, że nazwisko to może mieć cokolwiek wspólnego z popularnym w średniowieczu imieniem Benedykt bądź – jak twierdzą inne źródła – z kąpielą, czyli staropolską banią.

– Ona mi się jednak nie przedstawiła, jakby uważała, że wiem, z kim rozmawiam, a ja nie pytałam, bo zakazałaś – kontynuowała już bardziej rzeczowym tonem Kosa. – Potem przeszła od razu do rzeczy. Powiedziała, że podjęli ostateczną decyzję, to znaczy ona i ten tam, Pułkownik... – Zaczęła mówić wolniej, przywołując z pamięci przebieg rozmowy. – Koniec z dostawami

świeżej żywności, tak powiedziała. Skoro Bondarczuk uważa, że nie musi dotrzymywać warunków umowy, nas ona też nie obowiązuje. Od tej pory radźcie sobie, jak chcecie, ale na wsparcie z naszej strony nie liczcie – przymknąwszy powieki, recytowała z pamięci. – Wtedy udałam, że strasznie się tym przejęłam, zaczęłam ją prosić, zaklinać, tak jak chciałaś, bo w sumie też sobie pomyślałam, że szkoda byłoby tego świeżego zarcia, czymkolwiek ono jest, nie?

Otoczający ją stalkerzy pokiwali zgodnie głowami. Słowo „świeże” niosło w sobie obietnicę czegoś lepszego niż wędzona szczurzyzna i odpadki, którymi do tej pory się żywili. Freja zdawała sobie sprawę, że nie zdoła zbyt długo utrzymać w tajemnicy tego, co znaleziono w tutejszych magazynach żywności. I nie chodziło bynajmniej o tony liofilizowanej papki, która nawet po zalaniu wodą smakowała niewiele lepiej od ucieranych larw mączniaków, lecz o największe skarby, jakimi były pojemniki warzyw i palety jajek. Nie tych skórzastych cholerstw, które znosiła większość mutantów, ale prawdziwych, skorupkowych. Białych i beżowych, takich, jakie pamiętała z dzieciństwa.

Nie było tego wiele, jednakże dla osoby, która mogła tylko wspominać dawne smaki, chrupiąca marchewka albo soczysty pomidor wydawały się darem na miarę

boskiej manny.

– Streszczaj się, proszę – rzuciła.

– Jasne. – Kosa oblizwała się, też jakby na wspomnienie smakołyków, co mogło być prawdą, ponieważ miała dwadzieścia pięć lat, a więc jako dziecko jadła to co wszyscy w starym świecie. – Nie przerywała mi, a po tym, jak umilkłam, powiedziała, że Rada podjęła ostateczną decyzję o wykluczeniu nas z programu ewakuacji. I że jeśli do końca tygodnia nie dostarczymy do Riese obiecanych osiemdziesięciu dwóch jakichś kopców... – Umilkła, po czym poprawiła się pośpiesznie: – To znaczy skopców. Tak powiedziała: skopców.

– Skopców? – zdziwiła się Freja. – Jesteś pewna?

Stalkerka potwierdziła skinieniem głowy.

– W życiu o czymś takim nie słyszałam. To pewnie coś przedwojennego... – Popatrzyła z nadzieją na zwierchniczkę, którą zaliczała w myślach do grona Pamiętających, lecz ta miała równie głupią minę jak ona sama. Dopiero po chwili doznała olśnienia.

– Mówiła o ślepcach!

– O skopcach... – powtórzyła Kosa.

– To jedno i to samo – pouczyła ją Freja.

Miała nadzieję, że się nie myli. Była pewna, że Nauczyciel nie wypowiedział takiego słowa, ale rozmawiali w pośpiechu, mógł więc pominąć mniej istotne



z jego punktu widzenia szczegóły. Albo Pułkownik nie użył w rozmowie z nim tej dziwacznej nazwy. Jakkolwiek było, w tym momencie musiała oprzeć się na domysłach i intuicji.

– Od dzisiaj przerzucamy wszystkie siły na tę tam, trasę wiekopom... – Cytująca wypowiedzi Czystej stalkerka znów się zacięła. – Wielkopolską.

– Szumna nazwa – wtrącił siedzący przy sąsiedniej konsoli Kolec. – Mają rozmach, skurwysyny.

Freja zaśmiała się w głos, gdy to usłyszała. Aż jej łezka pociekła z lewego oka. Była tak rozbawiona tym mimowolnym cytatem, że stalker nie zebrał opieprzu za przerwanie relacji, co dodatkowo go zdumiało. Dziwna reakcja przełożonej zaskoczyła także Kosę, ale to nie przeszkodziło jej dokończyć sprawozdania.

– Mają, nie mają, to ponoć wyłącznie nasza wina. Znaczy nie nasza, w sensie nas – wskazała obecnych – tylko tutejszych Czystych, a dokładnie: Bondarczuk i jej durnych przydupasów, że zacytuję.

Zamilkła, spoglądając wymownie na Freję.

– To wszystko?

– Tak. Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, rzuciła: „Wielka szkoda”, a potem się rozłączyła.

– Hm...

To komplikowało sprawę. Wprawdzie brak wzmianki

o innych problemach mógł świadczyć o tym, że Pamiętający nie został jeszcze odkryty, lecz po stokroć ważniejszy wydał jej się wydzwitek wiadomości. Jeśli Otchłań nie dostarczy w ciągu tygodnia osiemdziesięciu dwóch ślepców, Riese zerwie z tutejszymi Czystymi wszelkie kontakty. Pieprzyć dostawy świeżej żywności – bezwiednie przełknęła ślinę – ale jeśli Pułkownik nie wyśle kolejnego składu, Nauczyciel i Iskra utkną tam na dobre, a do tego nie mogła dopuścić.

– Ilu jest ślepców w bunkrze Tesli? – zapytała, spoglądając na Kolca.

– Eee... – zająknął się w odpowiedzi.

– W sensie ile zostało tam jeszcze ciał? – wyręczyła go także zaskoczona tym pytaniem Kosa.

– Jakich znowu... – Freja struchlała.

Pociemniało jej przed oczami. Przypomniała sobie, w jakim celu Karbala pojechała na górę.

## ROZDZIAŁ 9

# Niebo

Napełnienie pierwszego wózka zajęło brygadzie numer 152 ponad godzinę, lecz Pamiętający miał świadomość, że ślepcy dopiero nabierają wprawy, zatem w kolejnych dniach tempo pracy na przodku z pewnością wzrośnie, może nawet dwukrotnie. Nie przejmował się tym jednak. Trzydzieści minut to i tak sporo czasu na przemyślenia, a przecież w trakcie przewożenia gruzu też powinien mieć święty spokój.

Godzina na rundkę, czyli osiem do dziesięciu kursów tego dnia. Jutro dwa, trzy więcej, a potem... niewykluczone, że nawet dwadzieścia jazd, jeśli Pułkownik traktuje robotę serio. Jak ciężka czeka go harówka, Pamiętający miał się dopiero przekonać, ale na razie nie wyglądało to źle. Pchanie wagonika, nawet wypełnionego po brzegi urobkiem – a z tego, co zauważył, do uchylnego wnętrza wózka dałoby się spokojnie dosypać zawartość kolejnych dziesięciu nosideł – nie mogło być przecież zadaniem ponad ludzkie siły. W przeciwnym

razie Czyści przydzieliliby do każdego z tych cudów techniki nie po jednym, lecz po parze ślepców.

Pocieszając się tą myślą, Remer mechanicznie przesuwał kolejne drewniane dyski liczydła. Czekał na rychłe nadejście ostatniego z trzydziestu tragarzy. Gdy ten znalazł się na pomoście i otworzył klapę nosidła, wysypując ładunek na pryzmę wcześniej dostarczonego urobku, Pamiętający wykonał zapamiętaną sekwencję działań, oczywiście myśląc się kilkakrotnie – jak najbardziej rozmyślnie – i zaraz naprawiając popełnione błędy. Wiedział, że jest obserwowany; czuł na plecach palące spojrzenia rudowłosej przewodniczki i strażników.

Wprawdzie pozwolono mu wcześniej przećwiczyć cały proces, co zrobił kilkunastokrotnie, ale wyłącznie na sucho, bez ładunku, nie domyślał się więc nawet, z jaką siłą zadziała mechanizm sprężynowy, gdy zostanie zwolniony przy pełnym obciążeniu wagonika. Poprzednio musiał zdrowo przebierać nogami, by nadażyć za odtaczającym się po szynach wózkiem. Na jego szczęście to cholerne ustrojstwo miało hamulec, z którego łaskawie pozwolono mu korzystać, ponieważ to także był element szkolenia.

Po zatrzymaniu Remer przechodził na drugi koniec wagonika, przeciągając kajdany wzdłuż pręta, do którego go przykuto, i przy akompaniamencie cichego skrzypienia

osi wracał do punktu wyjścia, rozpędzając się przy pierwszym znaku ostrzegawczym, jak kazała rudowłosa, a gdy poczuł na twarzy trzecie muśnięcie rozplątanych sznurków, puszczał uchwyt i zwalniał krok, by nie zderzyć się z zatrzymywany przez mechanizm blokujący pojazdem. Tylko raz nie zdołał uzyskać potrzebnej prędkości, przez co przednie koła nie minęły umieszczonych na szynach zapadek. Nie wiedział, dlaczego tak się stało – dałby sobie głowę uciąć, że wszystko zrobił jak należy.

To była naprawdę bolesna nauczka, której nie chciał powtarzać, dlatego po wypadku przykładał się do roboty jeszcze bardziej. Chwilę później podobna przygoda spotkała drugiego z pchaczy.

*To nie może być zbieg okoliczności, uznał Pamiętający. Czyści z rozmysłem zablokowali mechanizmy, by niewolnicy poczuli na własnej skórze, co czeka tych, którzy zaczną się ociągać.*

Kpiące uśmieшки strażników obserwujących zwijającego się z bólu ślepcę, który nie mógł w żaden sposób przygotować się na zderzenie, potwierdziły jego podejrzenia.

Gdy nadeszła chwila ostatecznej próby, lewa dłoń Remera zacisnęła się na dźwigni zwalniającej blokady. Opuścił ją szybkim, zdecydowanym ruchem, robiąc

równocześnie pierwszy krok. Wagonik, jak się tego spodziewał, nie ruszył tak rączo jak poprzednio. Nie trzeba go też było doganiać. Toczył się co prawda po torach, lecz na tyle wolno, że idący szybkim krokiem Remer uderzył klatką piersiową w pręt uchwytu. Zaraz jednak ustawił się we właściwej pozycji i zaparł buciorami o kolejne podkłady, by wagonik nie wytracił uzyskanej z pomocą sprężyn prędkości.

Wystarczyło kilka sekund, by zrozumiał, że pchanie takiego ciężaru nie będzie łatwizną. Wręcz przeciwnie, zziął się jak pies i zlał potem, zanim pokonał pierwsze pięćdziesiąt metrów nie wiadomo jak długiej trasy. Parł uparcie dalej, nie zważając na nic, ponieważ nie mógł pozwolić, by wagonik zwolnił. W końcu, gdy znalazł już odpowiedni rytm, jego oddech odrobinę się uspokoił. Stawiał teraz krok za krokiem, skupiając się wyłącznie na tym, by stopy znajdowały pewne oparcie na krawędziach drewnianych podkładów.

Po kilku kolejnych minutach mozołu zauważył, że mrok przed nim zaczyna rzednąć. Chwilę później zrobiło się na tyle jasno, że dostrzegał wokół siebie widmowe zarysy skalnych ścian poznaczonych nieco ciemniejszymi plamami cieni. Po szynach przed wagonikiem pełzały bezkształtne refleksy, co oznaczało, że zbliża się do źródła światła. Jeszcze parę kroków i w polu widzenia pojawiła

się nie lampa, lecz wylot skręcającego łagodnym łukiem tunelu. Od oślepiającej plamy światła dzieliło Remera prawie pięćdziesiąt metrów, napał więc mocniej na oporny ciężar, zaciskając równocześnie powieki, by wzrok przywykł szybciej do światła.

Moment później poczuł na skórze powiew chłodnego wiatru, jakby...

Jakby docierał na powierzchnię?!

Światło, wiatr... Zaraz! To przecież niemożliwe!

Spojrzał przed siebie, czując zimny pot na karku. Nie zauważył nawet śladu otwartej śluzy. Nie było tam nic, co oddzielałoby pracujących w sztolni od morowego powietrza! A to przecież oznaczało pewną śmierć. Dla nich, ale przede wszystkim dla niego! Nie za kilka miesięcy czy za rok, lecz w ciągu najbliższych dni, co najwyżej tygodni.

Z wrażenia zmylił krok, zapomniał na moment o pracy, ale nawet tak krótka chwila wahania wystarczyła, by wagonik zwolnił, zmuszając go do zdwojenia wysiłków. Nie chciał podpaść Czystym już przy pierwszym kursie, z drugiej strony nadal paraliżował go atawistyczny wręcz strach przed wyjściem na powierzchnię, i to bez maski, bez stroju ochronnego. Co gorsza, nie był w stanie pojąć, dlaczego rezydenci Riese, którzy zdawali się bardzo dbać o niewolników, równocześnie chcieli doprowadzić do

szybkiej i bolesnej śmierci każdego sprowadzonego ślepcą. To wszystko nie trzymało się kupy, ale przecież nie miał omamów: oczy wciąż mu łzawiły od tego oślepiającego blasku, a perlący się na skórze pot potęgował uczucie zimna po każdym smagnięciu powiewem wiatru.

A może tu nie chodzi wcale o wykończenie niewolników, tylko o...

*Czyżbym był dokładniej obserwowany, niż mi się wczoraj wydawało? Czyżby Pułkownik odkrył moją tajemnicę i postanowił pozbyć się czarnej owcy, zanim ta narobi szkód w jego stadzie?*

Remer potrząsnął głową. Nie, nie miało najmniejszego sensu wystawienie na działanie toksyn i promieniowania całej brygady, o zrobieniu krzywdy swoim nie mówiąc – przecież rudowłosa i obaj jej pomagierzy też nie mieli masek, a przebywali w sztolni cały dzień, podobnie jak nadzorowani przez nich niewolnicy. *Czyżby w tych podziemiach istniał jakiś inny system wentylacji, który chronił przebywających głębiej ludzi?* To – zwłaszcza w świetle faktów – wydało mu się prawdopodobne. Nadal jednak nie potrafił się dopatrzeć sensu takiego działania Pułkownika. Skoro pieprzonemu jednookiemu tak bardzo zależało na wyeliminowaniu ich dwojga, mógł to zrobić dosłownie w każdej chwili. Szybko i po chichu.

*Nie, nie, nie. Tu musi chodzić o coś innego. Tylko*



o co?

Być może przekona się już za moment, gdy dotrze do celu. Zacisnął zęby i napałł jeszcze mocniej na ścianę wagonika. *Im krócej tu będę, tym lepiej*, pomyślał, choć zdawał sobie sprawę, że minuta mniej czy więcej nie zrobi żadnej różnicy, tym bardziej że dysząc ciężko, wprowadzał do płuc mnóstwo skażonego powietrza.

Ponownie otworzył załzawione oczy – na tyle, na ile pozwalały szwy – i natychmiast poczuł kłujący ból w przecinanej ostrą nicią skórze. Był zbyt roztrzęsiony, by móc w pełni kontrolować swoje reakcje, rozwarł więc powieki zbyt szybko i zbyt gwałtownie. Sklął się za to w myślach, ale szedł dalej, nie zwalniając kroku.

*Jeśli strażnicy zauważą, że z okiem jest coś nie tak...*

Zadrzał na tę myśl. Gdy przyjrzą mu się bliżej, bez trudu odkryją, że nie jest ślepy jak reszta niewolników, a z ręką przykutą do kilkusetkilogramowego wagonika nie będzie mógł się bronić, o wyeliminowaniu przeciwnika nie mówiąc. Zaklął w duchu po raz kolejny, tym razem dosadniej, i pośpiesznie otarł wierzchem wolnej dłoni zranione miejsce. Na tym odcinku sztolni było już na tyle jasno, że widział wyraźnie powierzchnię skóry – była pokryta potem, ale nie dostrzegł żadnych świeżych ciemniejszych smug. Nic mu też nie ściekało po rzęsach. Jeśli nawet powieka krwawiła, to nie na tyle znacznie, aby

dało się to od razu zauważyć.

Pocieszony tą konstatacją pochylił głowę, dopchnął wózek z urobkiem do kolejnego znaku ostrzegawczego, a gdy poczuł na głowie trzecie muśnięcie zwisających sznurków, zwolnił zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Metrowy łańcuch dawał mu całkiem dużą swobodę ruchu, a światło dnia... Rozdziawił gębę, ponieważ obawa o wykrycie oszustwa sprawiła, że na tę krótką chwilę zapomniał o znacznie większym zagrożeniu, jakie niósł oślepiający blask, a teraz, gdy podniósł w końcu głowę i spojrzał przed siebie...

W ostatniej chwili zdołał zacisnąć usta i przełknąć cisnący się na nie okrzyk.

Za wylotem tunelu ujrzał drzewa. Żywe drzewa! Nie te cholerne zmutowane skurwysyństwa, które pleniły się w ruinach, tylko prawdziwe, pokryte chropowatą korą pnie i sterczące z nich konary okolone gęstymi igłami, a w kilku przypadkach liśćmi. Pomiedzy nimi natomiast jaśniało... niebo. Plamy błękitu, częściowo pokryte pierzastymi szarymi chmurami. Jakże odmienny krajobraz od tego, który widywał nad Wrocławiem w tych rzadkich chwilach, gdy odważał się wychodzić na powierzchnię...

Pamiętający był tak zaskoczony tym niespodziewanym widokiem, że zdębiał na kilka sekund.

Na jego szczęście obaj uzbrojeni strażnicy, którym

zlecono pilnowanie wylotu sztolni, nie należeli do najgorliwszych służbistów. Jeden w ogóle nie zareagował na pojawienie się niewolnika z urobkiem, a drugi dokończył ze stoickim spokojem przeżuwanie kawałka suszonego mięsa, zanim podniósł tyłek ze zdezelowanego krzesła, które – sądząc po stanie i wyglądzie – pamiętało czasy późnego Gierka.

Remer miał więc czas na to, by nie tylko ukryć malujące się na jego twarzy zdumienie, ale też by przyjrzeć się uważniej widokowi, który był dla niego tak nierealny, że danie mu wiary wymagało dłuższej chwili i całej siły woli, jaką jeszcze posiadał.

Wylot sztolni wychodził na łagodne zbocze, w górnej partii niespecjalnie wysokiego wzniesienia, jednakże gdziekolwiek spojrzeć, panoszyła się bujna zieleń. Rosnące tuż za krawędzią urwiska szmaragdowe sosny – bo to były najprawdziwsze sosny! – górowały nad Remerem niczym kolumny starożytnej świątyni wzniesionej ku pamięci dawno poległej Matki Natury.

*Zatem... Zatem opalenizna rudowłosej była jednak prawdziwa?*

Pamiętający z najwyższym trudem zdołał otrząsnąć się ze zdumienia. W samą porę, ponieważ bliższy ze strażników już szedł w jego kierunku.

– Ruszaj się, przyjacielu! – rzucił Czysty po tym, jak

uchyliwszy maskę, wypluł za twardą dla niego chrząstkę.

Na takie marnotrawstwo jedzenia nikt w kanałach nie mógł sobie pozwolić; kości, nawet te najmniejsze, były ogryzane, wysysane i wylizywane do czysta, a żadna inna jadalna część upolowanej zdobyczy nie opuszczała ust człowieka, gdy już do nich trafiła. Nie ono jednak zszokowało Pamiętającego najbardziej. Był tak skołowany, że potrzebował dłuższej chwili, zanim dotarło do niego, co w wyglądzie i zachowaniu obu strażników wydaje się zaskakujące. Obaj mieli na twarzach proste maski filtracyjne, a ich stroje nie należały do tych, w których ktoś rozsądny wyruszyłby na powierzchnię. Zwłaszcza gdyby miał pełnić kilkugodzinny dyżur na otwartej przestrzeni. Ci ludzie nie trudzili się nawet, by osłonić oczy podniesionymi na czoło goglami!

Ta niefrasobliwość zdziwiła Remera do tego stopnia, że zapomniał na moment o cudzie, jakim był widok żywego wciąż lasu, i skupił całą uwagę na strażnikach, a dokładniej mówiąc – na sprzęcie, w jaki ich wyposażono. Najpierw zauważył rzucone pod skalną ścianę gumowane peleryny – prawdziwe cacka, za które każdy stalker oddałby rodzoną matkę, a już na pewno teściową. Ci durnie cisnęli je jednak na kamienie, jakby były dla nich zbędnym balastem, a nie niezbędną ochroną! Moment później Pamiętający trafił wzrokiem na przypięty do

kieszoni Czystego dozometr, lecz – choć miał ten przyrząd zaledwie dwa metry od ucha – nie słyszał żadnego terkotania, które by świadczyło o obecności zabójczego promieniowania. To jednak tylko po części usprawiedliwiało swobodne zachowanie strażników. Równie groźne jak promieniowanie były bowiem wydzielane przez zmutowaną florę toksyny, których takim sprzętem nie dało się wykryć.

– Co my tu mamy? – rzucił rozbawionym tonem wartownik, stając obok wózka i obrzucając Remera niezbyt uważnym spojrzeniem. – Bohaterska brygada numer 152! Witamy na froncie walki o nową, wspanialszą ojczyznę!

Pamiętający nie miał pojęcia, jak powinien zareagować na ten kpiący komentarz, stanął więc w postawie zasadniczej, dumnie wypinając pierś, co okazało się dobrym posunięciem.

– Jaki ładny świeżak – mruknął ten drugi, racząc wreszcie spojrzeć na przybyłego niewolnika.

Remer niewiele w tym momencie widział, ponieważ spoglądał na znajdującego się bliżej strażnika spod ledwie uchylonej powieki jednego oka, lecz i to pozwoliło mu zauważyć, że Czysty macha nerwowo ręką, aby zwrócić na siebie uwagę kompana, po czym wskazuje palcem na twarz. Nie miał problemu ze zrozumieniem tej pantomimy.

Przywołany do porządku strażnik odezwał się dopiero wtedy, gdy jego usta zniknęły pod założoną ponownie maską. Taką samą jak u jego towarzysza: zwykłą, filtracyjną, osłaniającą tylko dolną część twarzy.

Z takim sprzętem nie przeżyłby jednego dnia w ruinach, nie mówiąc już o mękach, w jakich by skonał. Pamiętający miał nieprzyjemność widzieć kilku pechowców, którym za wcześnie skończyły się filtry w znacznie lepszym sprzęcie. Wszechobecne toksyny zabijały wolniej niż spory zmutowanych pasożytów, które bez trudu przenikały pod skórę i tam zaczynały się rozwijać, żywcem pożerając otaczające tkanki albo rozpuszczając je na strawną dla siebie biomasę...

Ci ludzie wydawali się jednak nie przejmować takimi zagrożeniami. Co więcej – choć znaczna część ich twarzy pozostawała przez cały czas odsłonięta – skórę na policzkach i czole mieli gładką niczym pupa przedwojennego niemowlęcia.

– Tak, ja też oniemiałem, gdy poczułem te zapachy, brachu. – Pierwszy strażnik poklepał Remera po ramieniu, mylnie interpretując malujące się na jego obliczu osłupienie. – Nie daj się jednak zwieść pozorom, to, co tak słodko pachnie, wypali ci płuca w ciągu kilku godzin, jeśli nie masz na wyposażeniu porządnej maski.

Mówił o jakże przyjemnej woni żywicy, którą dało się

wyczuć nawet tutaj, u wylotu tunelu. Każdy ze sprowadzanych w to miejsce ślepców uwierzyłby mu pewnie na słowo, problem jednak w tym, że Pamiętający wiedział lepiej od kpiących z niego młodzików, czym naprawdę jest ten upojny aromat. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Zwiesił potulnie głowę i sapnąwszy, jak to mieli w zwyczaju jego niewidomi towarzysze, chwycił mocniej za pręt, dając znak, że jest gotowy do kontynuowania pracy, by jak najszybciej uciec przed zabójczymi toksynami.

– Już ci mówię, co trzeba zrobić – do rozmowy włączył się drugi ze strażników. – Tylko nie sraj nam tu w pory, bracie. W dwie minutki nie odwalisz kity, a wiesz: co cię nie zabije, to cię wzmocni, jak mawiał pewien mądry, choć nieżyjący już człowiek.

– Stasiek, popatrz no tylko, jaka klawa dziara! – Pierwszy strażnik pochylił się w tym samym czasie nad Remerem, a gdy zaczął oglądać uważniej tatuaż, zauważył także rozciętą powiekę. – No nie. Oczko mu się odlepiło, temu misiu!

– Ty lepiej zobacz, jak wygląda jego dłoń – odparł ten drugi, przełknąwszy głośno ślinę.

Pamiętający mógłby cofnąć rękę, na którą obaj się gapili, lecz postanowił tego nie robić, skoro odciągała ich uwagę od oka.

– Kogo oni nam tu przysyłają... Słuchaj no, bracie. – Pierwszy strażnik znów położył dłoń na ramieniu Remera. – Po zakończeniu zmiany pokaż to oko dyżurnemu. Znaczy tej osobie, która was przyprowadziła do sztolni. Niech cię koniecznie zaprowadzi do lazaretowego lekarza. Tam ci je porządnie zszyją i przy okazji obejrzą te kikuty, bo powiem ci, wyglądasz, jakbyś przed wyjazdem do nas przywitał się z Edwardem Nożycorękim. Pamiętasz go chyba jeszcze, nie?

Obaj zarechotali z żartu, który nie powinien paść z ich ust. Remer zacisnął mocniej powieki, gdyż to, co zobaczył wcześniej, wystarczyło mu do oceny obu strażników. To byli gówniarze, ten drugi nie miał chyba nawet osiemnastu lat. Kto jak kto, ale takie dzieciaki nie powinny pamiętać dialogów z przedwojennych filmów. Nawet tych najbardziej kultowych. Mimo to przerzucali się nimi z taką swobodą, jakby codziennie chodzili do kina albo oglądali telewizję.

Nie posiadający się ze zdziwienia Duch przytaknął, bo tylko to mógł zrobić. Wyglądało na to, że Riese kryje znacznie więcej tajemnic, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, jednakże nie miał teraz ani czasu, ani chęci, by się nad tym głębiej zastanawiać.

Pierwszy ze strażników zaczął wprowadzać go w procedury wyładunku.



– Po tym, jak wózek zostanie zablokowany na końcu toru, tak jak teraz, musisz cofnąć się o krok, tak, właśnie tak. Czujesz pod stopami to wybrzuszenie? Świetnie. Stań w taki sposób, żeby obie stopy znalazły się za nim. Dobrze, a teraz połóż ręce w tym miejscu i pociągnij wózek w tym kierunku...

Remer pochylił bardziej głowę i dopiero w tej pozycji odważył się uchylić powieki. Na końcu toru znajdowała się niewielka obrotowa platforma, pozwalająca obrócić wagonik burtą do skraju urwiska. Pamiętający od razu zrozumiał, co powinien zrobić, ale pokornie czekał, aż oba rozbawione szczyły udzielą mu stosownej lekcji.

– Stój! – Pierwszy ze strażników zatrzymał go, gdy rozległo się głośne kliknięcie. – Daj rękę – naprowadził palce Remera na rygiel blokady. – Przesuwasz ten dzyndzel w dół, robisz krok w lewo, czyli w tę stronę... Świetnie, a teraz oprzyj ręce tutaj, na górnej krawędzi burty, ale nie zaciskaj palców i pchnij najmocniej, jak potrafisz...

Uchylna komora poddała się z zadziwiającą łatwością, posyłając w dół urwiska lawinę pyłu, żwiru i skalnych ułomków, które potoczyły się po stromym zboczu z głośnym łomotem. W tym momencie Remer zyskał kolejną okazję, by rzucić okiem na otaczający go świat. Cały stok pod sztolnią usiany był zrzuconym urobkiem.

Gdy zobaczył ogrom tego rumowiska, przestało go w końcu dziwić, dlaczego zapach żywicy jest tak intensywny. Co większe kawałki skał odbijały się od twardego podłoża i uderzały w pnie stojących niżej drzew, zdzierając z nich całe płaty kory i ryjąc głębokie bruzdy w łyku, a nawet miazdze. Część sosen rosnących na wprost sztolni była tak pokiereszowana, że zaczynały już marnieć. Kolejna lawina wstrząsnęła strzelistymi drzewami tak mocno, że aż z przeredzonych koron posypały się zbrązowiałe igiełki, a nawet całe fragmenty uschniętych gałązek. Sporą ich część wiatr zagnał do wylotu tunelu, prosto na stojących tam ludzi.

– Dobra robota, stary! – Pierwszy strażnik pochwalił wtulającego głowę w ramiona Remera, po czym poklepał go po plecach. – Nie bój się, to tylko martwe tkanki cholerstwa, które rosło w pobliżu. Martwe jak punkt zero, możesz mi wierzyć. Strzepnij je z siebie i po krzyku... – Poczekał, aż niewolnik otrząśnie się ze spoczywających na jego głowie igiełek, po czym dodał: – Teraz zajmujemy się postawieniem komory do pionu. No więc stawiasz nogę na tym progu, o tutaj, chwytasz za tę kłamrę i ciągniesz ją do siebie... Mocno! Z werwą! Coś mi się widzi, wybaczenie, że będzie z ciebie dobry robot, nagradzany... – Gwizdnięciem wyraził podziw dla Remera, gdy ten jednym szarpnięciem postawił opróżnioną komorę

wagonika. – To kliknięcie, które właśnie usłyszałeś, oznacza, że mechanizm uchylny został zablokowany w pozycji wyjściowej. Dobra, a teraz cofnij się, przesun nogę na prawo, jeszcze trochę, tak, tutaj. Wyczuwasz tę pochyłość? Postaw na niej stopę i naciśnij mocno, całym ciężarem ciała. Świetnie, teraz możesz obrócić wagonik jak poprzednio, tylko w przeciwnym kierunku. Doskonale, możesz już...

– Skrzydłocze! – przerwał mu nagle ten drugi.

Pamiętający skulił się odruchowo. Zatem nie było tu aż tak sielsko, jak można by przypuszczać.

– Gdzie?

– Na szóstej!

– Znikaj, brachu. – Pierwszy ze strażników przeprowadził Remera na przeciwległy koniec wagonika. – My się nimi zajmiemy...

Pchanie pustego wózka było o wiele łatwiejsze. Pamiętający pognał więc w głąb tunelu, jakby od tego zależało jego życie. Zwolnił jednak, gdy ciemności wokół niego zgęstniały na tyle, by poczuł się swobodniej, a potem zerknął ostrożnie przez ramię. Strażnicy wracali właśnie na swoje fotele spokojnym krokiem, z maskami w rękach. *Tak nie zachowują się ludzie, którym zagrażają skrzydłocze, nawet te młode.* Lecz tego widoku akurat Remer się spodziewał. Ci idioci nie mieli pojęcia

o wojacze ani trzymaniu straży, a już na pewno nie zostali dobrze przeszkoleni. Remer zrozumiał to, zanim rzucił się do ucieczki. Szósta w ich przypadku wskazywałaby przecież wewnątrz góry i tę sztolnię, a gdyby tam był choć jeden z mutków, żaden transport urobku nie dotarłby do celu.

*Dobrze wiedzieć*, uznał Pamiętający, zatrzymując wózek. Wspiął się zwinnie na jego burtę i wskoczył do środka. Łańcuch był na tyle długi, że pozwalał mu przykłęknąć, zrobił to więc i zaczął wodzić palcami po szorstkim dnie. Momentalnie wyczuł kilka miękkich drobinek. Podniósł je, obwąchał, po czym uśmiechając się błogo, wsunął zdobycz do kieszeni.

Wróciwszy na tor, spojrzął raz jeszcze na wylegających się w cieniu góry wartowników.

– Widzę martwych ludzi – mruknął kąśliwym tonem, zanurzając się w mrok, po czym z niekłamaną satysfakcją dodał jeszcze: – I'll be back.

Gdzie jak gdzie, ale w kanałach to on był niekwestionowanym mistrzem gry w cytaty.

## ROZDZIAŁ 10

# Decyzja

– Już wiem, dlaczego dranie muszą oślepić tych biedaków – rzucił Remer, gdy po spożytej w ciemności kolacji i szybkiej ablucji usiadł w końcu na pryczy i wykorzystując wieczorną porcję indoktrynacyjnego bełkotu, odezwał się do Iskry.

– Ej, ty, sklerotoman – zakpiła. – Przecież to było jasne od początku. Sam mi to powiedziałeś, chyba jeszcze w wagonie. Niemi ślepcy nie uciekną i nie zbuntują się, jak ich poprzednicy.

– Owszem, ale jest jeszcze jeden powód ich okaleczania, kto wie, czy nie ważniejszy.

– Ważniejszy od ryzyka buntu?

– Tak.

– Nawijaj, dziadzia – szepnęła podekscytowana perspektywą nowej tajemnicy.

– Zdaje się, że wiem już, dlaczego nieokaleczeni niewolnicy zaczęli się buntować. Nie uwierzysz, ale tu można wyjść na powierzchnię...

– Też mi cud. – Wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiesz. Tutaj... – zamilkł, szukając odpowiednich słów. – W tej okolicy jest nadal jak przed Atakiem.

– Co ty bredzisz, dziadzia? – Odsunęła się od niego na moment, ale w nieprzeniknionych ciemnościach, które ich otaczały, nie była w stanie dostrzec żadnego szczegółu, nawet znajdującego się tuż przed jej nosem. Przyłgnęła więc znów do jego piersi.

– Też nie wierzyłem własnym oczom, ale one tam były...

– Kto?

– Nie kto, tylko co. Drzewa. Żywe, zielone, pokryte listowiem i igłami. Pachnące żywicą...

– Pieprzysz... – mruknęła oszołomiona tą wizją.

– Poważnie mówię. – Pamiętający zamilkł, przed oczami znów miał szumiący na wietrze las. I skrawki błękitnego nieba. I chmury tak inne od tych, które przytłaczały ruiny Wrocławia.

– Jesteś pewien, że to nie jakaś ułuda?

– Absolutnie – potaknął.

– A kojarzysz biczoliany?

– Owszem.

– To chyba wiesz, że one wydzielają ten tam, erotyczny...

– Eterychny – poprawił ją bezwiednie.

– Niech ci będzie, wydzielają eterychny olejek, którym omamniają ofiary, żeby im się za bardzo nie wyrywały. Może tu rośnie jeszcze gorsze świństwo, takie, co zwabia ludzi, mieszając im w głowie dziwnymi wizjami.

– Nie – zaprzeczył stanowczo.

– Tego nie możesz wiedzieć na pewno.

– Mogę.

– Niby jak? – nie odpuszczała.

– Wiesz, co tu jesz? – zmienił raptownie temat.

– No mówiłeś, że to jakaś osikanka czy coś.

– Owsianka, kretynko. Robi się ją z owsa, takiego zboża. Rozumiesz?

– Nie.

Zatkało go na moment.

– Posłuchaj, ziaren zboża nie można trzymać w nieskończoność... – zająknął się, ponieważ dotarło do niego, że to oczywista nieprawda. – To znaczy niby można, ale oni raczej nie... – Kolejny błąd; nie miał pojęcia, jakimi środkami dysponują Czyści w Riese i czy nie prowadzą na przykład upraw hydroponicznych. U licha, nie wiedział nawet, czy zboża da się na czymś takim uprawiać! – Chodzi mi o to, że oni bez wątplenia pozyskują ten owies z powierzchni. Teraz.

– Znaczy po nocy?

– Nie, kurwa, nie teraz po nocy, tylko dwadzieścia lat po Ataku! – wysyczał jadowitym tonem.

– Skąd ta pewność?

– No... – Znów się zatchnął.

– Wnioskując z tego, jak pięknie się zakałapućkałeś, takie ziarno jednak można długo składować – wypunktowała go, zapominając o swojej roli słodkiej idiotki.

– No tak, ale nie tyle, nie w takich warunkach... Pomyśl sama, to przecież dwadzieścia lat, a tu są setki, może nawet tysiące ludzi, licząc Czystych i niewolników. Pułkownik musiałby mieć dostęp do niewyobrażalnych zapasów ziarna.

– Może ma.

– Nie ma. To niemożliwe.

– Skąd wiesz?

– Dobra, podejźmy do tego tematu od innej strony... – Dał za wygraną, choć nie do końca. – Wylotu sztolni pilnuje dwóch strażników. Siedzą tam cały dzień, dłużej nawet niż my... – zamilkł na chwilę dla podkreślenia wagi słów, które miały paść – ...bez strojów ochronnych i bez masek.

Kiedy pokręciła głową, poczuł, jak jej przepoczone włosy szorują mu po odsłoniętej skórze na klatce piersiowej.



– To także mogła być część wizji – zauważyła.

Zwątpił, ale tylko na moment. Iskra się myliła. Wracał tam kilkakrotnie i za każdym razem widział dokładnie to samo. Poza tym...

– Mogła, ale nie była – szepnął zniecierpliwiony, wsuwając rękę pod wypchaną sianem poduszkę.

Namacał w mroku dłoń dziewczyny, nakazał gestem, by ją otworzyła, po czym położył na niej znaleziony na dnie wagonika dowód, który obalał teorię o toksynach przynoszących wizje. Niektóre mutki może i umiały omamić człowieka do tego stopnia, że włożył im prosto w paszczę i dawał się przeżuć, odnosząc wrażenie, że jest pieszczony, lecz na pewno nie były w stanie skopiować fragmentów roślin, które rosły przed Atakiem.

– Co to jest? – burknęła, bojąc się poruszyć ręką.

– Spokojnie, to tylko ułomek gałązki, która spadła z rosnącej opodal sosny, gdy wysypałem urobek na zbocze góry – wyjaśnił.

– Ja pier... – Przekleństwo nie opuściło jej ust.

Najpierw obwąchała ostrożnie znalezisko Pamiętającego, potem gładziła je długo, wodziła opuszką palca wskazującego po chropowatej powierzchni centymetrowego patyczka, z którego wyrastały igielki, i po nich samych. Gdy znów przysunęła gałązkę do nosa i nacisnęła mocniej jej końcówkę, poczuła, słabą, bo słabą,

ale jakże miłą, nieznaną jej woń.

– Teraz mi wierzysz? – zapytał, gdy definitywnie zakończyła badanie gałązki.

– Sama nie wiem...

– Mówię ci, te szczyły zakładały maski tylko wtedy, gdy musiały coś powiedzieć, żebym jako ślepiec uwierzył w to, iż powietrze nadal jest tu skażone. Więcej nawet, mieli te zwykłe filtracyjne gówna, te, co zakrywają tylko nos i usta. Dziewczyno, gdyby w powietrzu unosił się jakikolwiek syf, już dawno pozdychaliby w bólach... I my też.

– Co? – wzdrygnęła się.

– Ta sztolnia nie ma żadnych śluz, żadnej izolacji, po prostu wychodzi się na skalne zbocze. Cały dzień oddychaliśmy tym samym powietrzem co strażnicy przy wylocie. Rozumiesz? Wciągałaś niefiltrowane powietrze z zewnątrz, nawet o tym nie wiedząc.

– Pieprzysz.

– Gdybym pie...

– Tak, wiem – zgasiła go, nie przestając głąskać gałązki – ruszałbyś dupą, nie ustami. Hej! – podskoczyła nagle.

– Co? – zaniepokoił się Remer.

– To coś żyje! – pisnęła, podnosząc nieco za mocno głos. – Przykleiło się do mnie!

– Zamknij się, idiotko! – ofuknął ją, spoglądając w mrok, tam gdzie leżeli pozostali ślepcy.

Miał nadzieję, że żaden nie usłyszał dźwięku, który mógł kosztować ich oboje utratę życia. Na szczęście komunikaty puszczono tym razem znacznie głośniej, zapewne wychodząc z założenia, że zmęczeni całodzienną harówką niewolnicy mogą zbyt szybko zasnąć.

– Ale to jest teraz na mnie – odrzuciła z obrzydzeniem gałązkę.

Pamiętający chwycił jej rękę, przysunął sobie ostrożnie do twarzy, obwąchał, a na koniec uśmiechnął się pod nosem, choć nie mogła tego zobaczyć.

– To żywica... – szepnął.

– No przecież mówię, że to kurewstwo jest żywe! – wysyczała rozzłoszczona, ale chyba jeszcze bardziej przerażona. – Złożyło we mnie jaja? Będziesz musiał odciąć mi rękę? Czy ja umrę?

– Owszem – zapewnił ją poważnym tonem.

– O w mordę... Znaczy w sensie złożenia jaj, obcięcia ręki czy t-tego ostatniego?

– Wykitujesz, i to pewnie niedługo, jeśli nadal będziesz mnie tak wkurzać – stwierdził ostrzejszym tonem.

– Co? – pogubiła się zupełnie.

– Żywica jest klejąca, ale całkowicie nieszkodliwa dla

człowieka. – Chwyił ją za rękę i zdrapał maleńką kropelkę gęstej plastycznej masy, którą wycisnęła z gałązki.

– A idź w diabły z tymi swoimi drzewami i ich żywicielami! – prychnęła mu prosto w ucho.

Była wściekła jak osokosa i nie zamierzała tego ukrywać. Przez moment czuła paraliżujący strach, wręcz panikę, którą Remer dodatkowo podsycił dwuznaczną odpowiedzią. Za dużo widziała i wiedziała, by nie zareagować nerwowo na zetknięcie z nieznaną jej substancją. Do tej pory każdy kontakt z naturą – czy też tym, w co natura przekształciła się pod wpływem radiacji – zwiastował śmierć człowieka, i to na pewno nie spokojną. Sama wyprawiała na tamten świat co najmniej kilkunastu delikwentów, wpuszczając ich na podobne miny. Często wystarczała kropla toksyny, jeden jej wdech, przelotne muśnięcie powierzchni, na której ją rozpylono. Co tu daleko szukać, wystarczy wspomnieć neonówki...

– Mam plan – oznajmił Pamiętający, nie zważając na jej zaciętrzewienie. – Wyśpij się dobrze. Jutro pryskamy.

– Co?

– Jutro się zwijamy.

– Przecież chciałeś poobserwować ich jeszcze przez kilka dni. Sam mówiłeś...

– Wiem, co mówiłem – przerwał jej – ale sytuacja

uległa zmianie. Mam nowy plan. Przemysłany i dopracowany. Genialny.

– Taaa, już to widzę – zakpiła, by odkuć się choć odrobinę za niedawne upokorzenie, po czym zaczęła go przedrzeźniać: – Przebieramy się za ślepców, zwijamy paru Czystych, wydobywamy z nich co trzeba...

– Teraz będzie inaczej, zobaczysz – nie pozwolił jej dokończyć.

– Naprawdę nie możesz poczekać z tą ucieczką? – odezwała się po kilku sekundach ciszy.

Nie ironizowała, zadała pytanie z nieskrywaną nadzieją w głosie. Pamiętający wyczuł to natychmiast.

– Nie – odparł. – Naprawdę nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– A jaka to różnica? – uchylił się od odpowiedzi. – Mów wprost, o co ci chodzi.

Odsunęła się od niego na chwilę, poruszyła głową, jakby chciała poprawić zmierzwione włosy.

– Moglibyśmy zostać tutaj do końca tygodnia – wyszeptała w końcu. – To żarcie jest w dechę. O wiele lepsze od past odżywczych, które serwowano mi w Otchłani, i syfu jedzonego w kanałach. Prycze też mamy wygodne. A znając ciebie i życie, wylądujemy po sam nos w jakimś gównie i znów będziemy musieli wysysać robaki. Daj żyć, dziadzia...

– Dziewczyno! – Potrząsnął nią, chwytając za ramiona. – Siedzimy nie po uszy, ale po czubek głowy w gównie. To pieprzony obóz pracy!

– Nie przesadzaj, ta robota nie jest wcale taka ciężka...

– Ciebie naprawdę pogięło. Zobaczymy, jak będziesz śpiewała jutro, gdy poczujesz zakwasy.

Zachichotała radośnie.

– Poczuć to mogę, dziadzia, ale twoje capiące skarpety, jeśli znowu ustawisz trepy na samym środku przejścia między pryzami. Wali od nich gorzej niż z naszego srajwiadra. Wiesz, ja nie leniłam się w kanałach jak ty, lewa ręko niedorobionego wodzunia podrzędnej enklawy, więc w odróżnieniu od ciebie, gnuśny oblechu, jutro wstanę radosna i rześka, jak młody ceniak.

– O mnie się nie martw – odburknął, choć wiedział, że Iskra ma sporo racji.

Wycieńczenie ciężką pracą było najmniej istotnym z powodów, dla których podjął decyzję o przyśpieszeniu ucieczki. Tak naprawdę Remer zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem, tym, które wciąż pamiętał, o którym marzył za dnia i śnił niemal każdej nocy, odkąd zostało mu odebrane przed dwiema dekadami. Chciał ponownie dotknąć chropowatej kory, zielonych igieł, poczuć mięsistość gładkich liści albo zapach rozkwitających kwiatów, pogłaskać źdźbła trawy. Desperacko pragnął

wrócić do świata, który utracił – jak się zdawało – bezpowrotnie. Nie za tydzień. Teraz! Już! Natychmiast!

Rozumiał jednak, że Iskra nie może odczuwać podobnej tęsknoty. Całym jej światem były podziemia, tunele, kanały oraz radioaktywny syf, który sprawiał, że powierzchnia przestała się nadawać do życia. Dopiero w tym momencie dotarło do niego, że warunki w Riese tak bardzo odbiegają od standardów przeciętnej enklawy, iż dziewczyna mogła poczuć żal na samą myśl o opuszczeniu przydzielonego im dormitorium. Nawet jeśli ceną za wygodne legowisko i dwa posiłki dziennie miała być katorżnicza praca przez dwanaście do czternastu godzin.

Jeśli ona, która zaznała wygod Otchłani, tak podchodziła do tego tematu, to co dopiero mówić o ślepcach? Dla nich musiał to być raj – a dostąpili go za bardzo umiarkowaną cenę, jaką była (z ich punktu widzenia tylko czasowa) utrata wzroku i mowy.

– Wiesz co... – zaczął niepewnie. – Ja to wszystko rozumiem, ale musimy się stąd wyrwać, zanim ktokolwiek zauważy, że nie jesteśmy tacy jak oni. – Wskazał głową ławę i znajdujące się za nią prycze. – Już dzisiaj omal nie wpadłem. Ta idiotka źle zaszyła mi oko. Za blisko skraju powieki. Szpagat przeciął skórę, a jeden z tych leszczy, którzy pilnują wylotu sztolni, natychmiast to zauważył. Tyle dobrego, że udało mi się odwrócić jego uwagę

kikutami...

– No to po sprawie... – rzuciła z nutą nadziei w głosie.

– Nie bardzo. Kazał mi to zgłosić i iść do tutejszego lekarza. Jeśli jutro zobaczy, że go nie posłuchałem, zrobi się bardziej podejrzliwy, a z ręką przykutą do wózka nie dam rady załatwić ich obu. Mają kałachy... – dodał tonem usprawiedliwienia.

– O ile jutro pilnować nas będą ci sami strażnicy.

– Znając nasze szczęście... – nie musiał kończyć.

– Ty to zawsze musisz coś spieprzyć – burknęła z zawodem.

– Ja?

– Tak, ty.

– Zdarza mi się to o wiele rzadziej niż tobie, królewno obesranych kanałów. Nie mówiąc już o tym, że byle prycza i breja wystarczą, żebyś zapomniała, po co tutaj przybyliśmy. W Otchłani miałaś prawie tak samo dobre warunki i znów możesz je mieć, gdy tylko wrócimy. – Dotknięty do żywego, mówił z wyrzutem, szczerze.

– O niczym nie zapomniałam – syknęła rozeźlona. – Ja po prostu tak pracuję. Nie śpieszę się, korzystam z każdej nadarzającej okazji, a to, durny oblechu, jest zajebista okazja. Wielka jak jajca starego stąpacza.

– One nie mają czegoś takiego jak jajca – poprawił ją po raz kolejny, wzdychając ciężko.



– Ale gdyby miały, to te jajca byłyby wielkie jak... jak tramwaje – wypaliła. Nie znalazła lepszego porównania, a chciała, żeby zabrzmiało odpowiednio epicko. Przynajmniej w jej mniemaniu. – Moglibyśmy się nazreć do woli, wypocząć, nabrać sił. To przecież tylko szkolenie. Te dupki będą powoli przykręcać śrubę. Może piątego, szóstego dnia...

– Do tego czasu z pewnością nas nakryją – wpadł jej w słowo. – Nie pamiętasz, co ci przed momentem powiedziałem? O oku?

– Pamiętam, pamiętam, ale coś mi się widzi, że mocno przesadzasz.

– Ja przesadzam?

– Tak, ty. Dasz radę, dumny dziadygo. Wystarczy, że jak tam poleziesz, zaciśniesz mocniej to pieprzone oko i nie będziesz zezował na ten cały, no wiesz, drzewownik...

– Las.

– No, przecież mówię. Czyści mają nas głęboko w dupie, jeśli chcesz znać moje zdanie. Jesteśmy dla nich tylko chodzącymi narzędziami.

– Owszem, ale takimi, których nie należy za szybko zniszczyć – wtrącił. – Jak myślisz, dlaczego ten zjeb kazał mi zapieprzać do lekarza? Jutro może się zrobić gorąco, a z ręką przykutą do wagonika niewiele zdziałam. Nie

lepiej uprzedzić fakty?

– Ty, dziadzia, zawsze musisz mieć ostatnie zdanie –  
pokręciła w mroku głową. – Dobra, nawijaj, jak chcesz  
stąd pitnąć.

## ROZDZIAŁ 11

# Ucieczka

Plan Pamiętającego nie wypalił z bardzo prozaicznego powodu. Nazajutrz, zaraz po tym, jak dotarli do sztolni, okazało się, że przewodniczka przydziela wszystkim inne obowiązki niż minionego dnia, co także było elementem szkolenia. Nowo przybyli mieli zostać przetestowani pod kątem przydatności do każdego stanowiska pracy. I tak wczorajsze zbieraczki zostały rozkuwaczkami, a zgarniacze zamienili się z tragarzami. Dwaj spośród tych ostatnich skończyli przypięci do wózków.

Remer kłął w myślach przez pół dnia, choć przenoszenie ładunku na pomost i czekanie na kolejne porcje urobku było znacznie łatwiejsze niż mocowanie się z ciężkim wagonikiem. Z tego powodu nie dziwił się, że ci niewolnicy, którym tego dnia zlecono najcięższą robotę, skrewili aż trzykrotnie, za każdym razem wzywając pomoc w głąb tunelu po tym, jak pchane przez nich wagoniki utraciły pęd i utknęły tam na dobre.

Pamiętającego cieszyły ich porażki, brał je bowiem za

zapowiedź rychłego powrotu na pierwotne stanowisko, gdyż z tego, co widział, pozostałym daleko było do jego kondycji. Ulgą napawał go również fakt, że po zmianie ról przynajmniej przez jakiś czas nie musiał się obawiać wpadki.

Eskortując kolumnę na stację, rudowłosa nie poświęcała niewolnikom zbyt wiele uwagi, a że Remer jako tragarz wychodził tylko kilka kroków za pomost, pozostawał przez niemal cały czas w półmroku, gdzie łatwiej mu było ukryć poluzowany szew i rozerwaną powiekę.

Na szczęście Iskra miała dość rozumu w głowie, by nie naigrawać się z niego, gdy wieczorem, po umyciu się i zjedzeniu miski lekkostrawnej papki, znów mogli usiąść na jej pryczy i porozmawiać. Ustalili tylko jedno: szczegóły planu nie ulegają zmianie, ale muszą poczekać na pierwszą sposobną okazję. Ta pojawiła się dopiero czwartego dnia, gdy dokręcający powoli śrubę nadzorcy uzyskali wszelkie potrzebne im dane i dokonali ostatecznych korekt w przydziałach.

Te kilka dni zwłoki, jak się okazało, było zbawienne w skutkach, i to z paru powodów. Najważniejszym z nich – aczkolwiek Pamiętający nie przyznałby tego na mękach – była możliwość dopracowania szczegółów ucieczki. Piastując w sztolni kolejne funkcje, dokonał

bowiem szeregu ciekawych obserwacji, dzięki którym znalazł znacznie łatwiejsze i lepsze rozwiązania.

Czwartego dnia, gdy przykuto go ponownie do wózka, był w stu procentach gotowy, by uczynić pierwszy krok prowadzący do wojny z nie spodziewającym się niczego Pułkownikiem. Zaczął jednak od normalnej pracy. Zrobił trzy kursy, by upewnić się, że Czyści nie wprowadzili żadnych istotnych zmian w harmonogramie, a potem obrócił jeszcze raz, czekając na moment, w którym strażnicy pilnujący brygady numer 152 stracą czujność na tyle, by Iskra mogła przystąpić do realizacji wyznaczonego jej zadania.

Sygnałem do rozpoczęcia przygotowań miało być niby przypadkowe zwolnienie mechanizmu blokującego wagonik. Remer odczekał więc spokojnie, aż kolejny z tragarzy usadzi tyłek na szczycie pordzewiałej burty, i zanim tamten zdążył otworzyć klapę nosidła, „potknął się” o ukradkiem wyjęty z wózka kawał gruzu, po czym, „ratując się” przed upadkiem, pociągnął „niechcący” za feralną dźwignię.

Wypełniony w połowie urobkiem wózek wystrzelił z blokady, pociągając za sobą kompletnie zaskoczonego ślepcę. Wychudzony mężczyzna zleciał z pomostu, raniąc się przy tym dotkliwie i rozsypując po torach przenoszony ładunek. Nie krzyczał, ponieważ nie mógł tego zrobić, lecz

hałas, którego narobił, i tak zwrócił uwagę rudowłosej oraz obu strażników.

Przeraźliwy dźwięk gwizdka osadził wszystkich pracujących w miejscu – tak zgodnie z instrukcją mieli reagować na ten sygnał. Kazano im stanąć tam, gdzie akurat się znajdowali, i czekać w bezruchu na kolejne polecenia. Jediną osobą, która nie zastosowała się do tej dyrektywy, była oczywiście Iskra, która odczekała jedynie kilka sekund, obserwując uważnie odbiegających strażników, a gdy ci dotarli do pomostu i zajęli się oględzinami miejsca wypadku, zeszła powoli z podestu i wciąż nie spuszczać z oka Czystych, zakradła się do pozostawionego bez nadzoru magazynu, skąd zabrała zwój najgrubszego sznura. Przeniosła go potem równie wolno na pomost, przy którym pracowała tego dnia jako ładowaczka, i ukryła tuż przy deskach, przysypując zdobycz bryłami czekającego na rozdrobnienie urobku.

Remer przyjął opieprz z ust przewodniczki, robiąc płaczliwe miny, kopnął też ze złością spoczywający pomiędzy jego nogami kawał skały. Jako ślepiec miał prawo nie zauważyć takiej przeszkody, co więcej, kamień ten mógł wypaść z przepełnionego nosidla któregoś z tragarzy – z dnia na dzień bowiem zwiększano ich obciążenia. Strażnicy to wiedzieli, rudowłosa to wiedziała, skończyło się więc na kilku ostrych słowach i ściągnięciu

pary zbieraczek do posprzątania stanowiska startowego.

Przewodniczka, jakżeby inaczej, wykorzystwała tę okazję i udzieliła im kolejnych kilku wskazówek, dotyczących niemal w całości zachowań w podobnych sytuacjach. Czyści, trzeba im to przyznać, wydawali się dobrze przygotowani na tego typu wydarzenia, co mogło jednak świadczyć o tym, że wypadki w prawdziwych sztolniach Riese nie należą do rzadkości.

Oszołomiony upadkiem tragarz nie odniósł poważniejszych obrażeń, choć krew ciekła mu obficie z kilku rozcięć na rękach i twarzy, zanim te zostały niezbyt wprawnie opatrzone przez jednego ze strażników, chłopaka mającego nie więcej niż dwadzieścia lat, który – jeśli nawet ukończył kurs niesienia pierwszej pomocy – na pewno nie przykładał się pilnie do nauki.

Po dziesięciu minutach przymusowego przestoju kolejny gwizd oznajmił ślepcom, że mogą wracać do roboty, co też bez wahania uczynili. Do zapełnienia wózka Pamiętającego pozostało jeszcze dwanaście nosideł, zatem Iskra nie musiała się śpieszyć i mogła spokojnie poczekać, aż pilnujący niewolników strażnicy znów utracą czujność. Rudowłosa, zgodnie z oczekiwaniami Remera, skupiała całą uwagę na ocenie stanu rannego, dzięki czemu, gdy nadszedł odpowiedni czas, ukradziona lina trafiła razem z garścią kamyków do dwudziestego szóstego nosidła,

które miało zostać opróżnione w wózku Pamiętającego.

Remer wolał nie ryzykować oczekiwania przez kolejną turę – choć jego plan obejmował także taki wariant zdarzeń – co musiałby zrobić, gdyby rudowłosa z jakichś powodów uznała, że opóźnienie spowodowane wypadkiem wymaga nadrobienia, i jednorazowo zmniejszyła ilość przewożonego gruzu. Poza tym wolał, by na wypadek nieprzewidzianej kontroli linka spoczęła pod kolejnymi ładunkami i nie rzucała się w oczy. Wprawdzie strażnicy stali zbyt daleko, by przy tak skąnym oświetleniu coś zauważyć, ale jak to mówią: lepiej dmuchać na zimne, niż się potem sparzyć.

Chwilę później Pamiętający rozpoczął realizację kolejnego etapu planu. Zwolnił blokadę wózka, tym razem prawidłowo, po czym ruszył w głąb mrocznej sztolni, stękając z wysiłku przy każdym kroku, jak to czynili w poprzednich dniach jego zmiennicy. Przewodniczka odprowadziła go wzrokiem czujniejszym niż poprzednio, lecz nie zauważywszy żadnych odstępstw od normy, szybko skupiła uwagę na drugim wagoniku, tym, którego ładowanie dopiero rozpoczynano.

Iskra w tym czasie pakowała kolejne bryły urobku do nosideł, nie zwalniając tempa. Wiedziała, że od chwili wyruszenia jej towarzysza do rozpoczęcia kolejnego etapu działania upłynie sporo czasu.



W mrocznych kanałach, gdy stanęły ostatnie zegarki, czas przestał mieć takie znaczenie jak przed Atakiem. Istniało tylko kilka pojęć z nim związanych: już, zaraz, za chwilę, później. Zniknęły kwadransy, godziny, nawet minuty, ponieważ nikt nie był w stanie ich mierzyć. Te mechaniczne zegary, które ocalały z wojennej pożogi, psuły się jeden po drugim, zatem po dwu dekadach pod ziemią zostało ich tylko kilka, i to zdezelowanych do tego stopnia, że częściej były ozdobą niż przyrządem faktycznie pomagającym w obliczaniu czasu.

Otchłań była jednak chlubnym wyjątkiem od tej reguły. Tam, dzięki elektryczności i komputerom, nadal można było mierzyć upływ czasu, i to z ogromną precyzją. Mimo to Iskra nie zauważyła, by ktokolwiek zawracał tym sobie głowę. W miejscu, w którym nie ma dnia ani nocy, maleje znaczenie nie tylko dni i miesięcy, ale też godzin – jedynym wyjątkiem było odmierzanie czasu pozostałego do zakończenia zmiany i może jeszcze wyznaczającego pory posiłków. Poza tym nikt nie spoglądał na cyferblat.

Tutaj, w Riese, sytuacja miała się podobnie. W sztolni nie było żadnego zegara ani nawet klepsydry. Tylko rudowłosa nosiła na przegubie stary męski czasomierz, jednakże korzystała z niego bardzo rzadko, czasem tylko dwa, trzy razy dziennie. O tym, kiedy ma się zbierać ze sztolni, informowano ją przez radio, tą samą drogą

otrzymywała też pozostałe komunikaty, w tym te napływające z wylotu sztolni.

Iskra usłyszała właśnie znajome trzaski, poprzedzające wypowiedziane mechanicznym głosem słowa. Pamiętający dotarł na koniec torów. Po zakończeniu rutynowego meldunku trzaski transmisji ucichły.

Właśnie rozpoczął się decydujący moment akcji.

\* \* \*

Tego dnia wylotu sztolni pilnowali inni strażnicy. Wystarczył jednak rzut oka, by zyskać pewność, że są równie młodzi i niedoświadczeni jak para, na którą Pamiętający trafił za pierwszym razem. Wydało mu się dziwne, że tak odpowiedzialną robotę, jaką jest pilnowanie wejścia do kompleksu, powierza się zwykłym szczyłom, lecz gdy się nad tym zastanowił, dostrzegł w decyzji Pułkownika głębszy sens.

Sztolnia prowadziła wprawdzie do kompleksu, ale potencjalny przeciwnik, który zaatakowałby od tej strony, musiałby sforsować wąskie gardło, jakim był szyb windy – a na jego dnie garstka ludzi mogłaby się bronić przed całą armią. Poza tym w sztolni pracowali dopiero przyuczani ślepcy, ze strony których nikt nie spodziewał się zagrożenia. Była to więc niezbyt wymagająca służba, idealna do testowania szkolących się żołnierzy. Inna

sprawa, że postawa tych chłopaków bardzo źle świadczyła o poziomie dyscypliny i instruktorach.

Obecna para, podobnie jak poprzednia, nie przykładła większej wagi do sprzętu, a przybywających regularnie pchaczy traktowała jak powietrze, gdyż niewolnicy zostali już przyuczeni i sami wykonywali całą robotę. Żaden z wartowników jak dotąd nie zaszczycił Remera spojrzeniem. To jednak miało się zaraz zmienić.

Pamiętający zwolnił kroku jakieś trzydzieści metrów od obrotowej platformy. Ciężki wózek błyskawicznie wytracał prędkość, zatem już kilka sekund później coraz wolniejsze popiskiwanie kół umilkło i w tunelu zapanowała cisza. Strażnicy nie zauważyli tego jednak. Nadal siedzieli wygodnie rozparci na krzeselkach i gapili się na falujące usypiająco korony drzew. Może nawet drzemali. *Jeśli faktycznie pozwolili sobie na ucięcie komarka...* Remer uśmiechnął się pod nosem, sięgając po prowizoryczny dzwon.

Podskoczyli obaj jak ugryzieni, gdy z wnętrza sztolni dobiegł przeraźliwy łomot. Najpierw chwycili za broń, ale zaraz ją odłożyli, co upewniło Pamiętającego w podejrzeniu, że ma do czynienia z całkowitymi żółtodziobami, którzy nie do końca wiedzą, co robią. To nie był sygnał alarmowy, tylko najzwyklejsza prośba o pomoc w dopchnięciu wózka i jako taka nie powinna

wywołać aż tak nerwowej reakcji. Strażnicy na pewno zetknęli się z taką sytuacją już wielokrotnie, a jeśli nawet nie było im to z jakiegoś powodu dane, przed objęciem służby musieli przejść identyczne szkolenie jak harujący w sztolni ślepcy.

Remer uśmiechnął się ponownie. Nie śmiał liczyć na aż tak wielki brak profesjonalizmu młodocianych żołnierzy, lecz darowanemu niejednoróżcowi w paszczę się nie zagląda, jak mówiło pewne zmodyfikowane w kanałach przysłowie.

Strażnicy po chwili wahania ruszyli w stronę wzywającego ich niewolnika. Pamiętający wiedział, że muszą podejść do niego obaj. Tylko w trójkę mieli szansę na ruszenie wyładowanego wagonika. Przekonał się o tym dwa dni wcześniej, obserwując zmagania swojego zmiennika, który potknął się zaraz po starcie i wywalił jak długi. Rudowłosa wysłała mu na pomoc obu wartowników pilnujących przodka, ale dopiero doprowadzenie jeszcze dwóch ślepców pozwoliło im na cofnięcie wózka z urobkiem na pozycję startową. Tam jednak trzeba było osiągnąć maksymalną prędkość, by pokonać zabezpieczenie na szynie, podczas gdy tutaj wystarczy dotoczyć ładunek na platformę.

Remer wybrał to miejsce nieprzypadkowo. Zatrzymał się na takim odcinku tunelu, by docierające w głąb sztolni

światło pozwoliło Czystym na dostrzeżenie części, ale nie wszystkich szczegółów. Tylko takim sposobem mógł wcielić w życie kolejny etap planu.

– I to niby jest ten najbardziej wytrzymały – mrucał pod nosem strażnik podchodzący do wagonika z lewej.

Był wyższy, ale też szczuplejszy od swojego partnera.

– Cały ten transport to ponoć jakiś ponury żart – odezwał się moment później ten drugi.

– Nie chciałbym być w skórze Bondarczuk, gdy Pułkownik... – Tyczka zamilkł, dostrzegłszy opartą o burtę wagonika zakrwawioną rękę Pamiętającego. Całe kajdany były wypaprane juchą, podobnie jak odsłonięte przedramię.

– Co jest? – zaniepokoił się ten drugi.

– Nie wiem, ale wygląda na to, że dzielny pchacz brygady numer 152 zaraz nam się tu wykrwawi! – Tyczka stanął obok ślaniającego się na nogach Remera. – Szlag! – Pochylenie się nad zranioną ręką niewiele dało, było tu wprawdzie jaśniej niż w głębi sztolni, ale wciąż zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć dokładnie.

– Musimy przepchnąć to cholerstwo dalej! – Drugi był bardziej zdecydowany od kolegi.

Obaj stanęli po bokach Remera i zaparli się nogami o podkłady, jednakże bez pomocy niewolnika nie byli w stanie ruszyć tak wielkiego ciężaru. A w każdym razie

nie mieli szans na przetoczenie go do wylotu, gdzie całą inscenizację diabli by wzięli.

Pamiętający stęknął głośniej, padając na kolana, po czym osunął się jeszcze niżej, zawisając na metrowym łańcuchu.

– Kurwa, Franek, on nam tu zaraz wykituje! – pisnął Tyczka.

– Wywołaj Agnieszkę! – odpowiedział natychmiast ten drugi, bardziej ogarnięty.

Do tego Remer nie mógł dopuścić, jeśli chciał zrealizować plan ucieczki. Był już tak bliski sukcesu...

Chwytał lewą ręką strażnika sięgającego po krótkofalówkę, a gdy ten wyrwał się bez trudu, wskazał palcem zakrwawioną dłoń. Sterczące z błyszczącej masy kikuty wyglądały naprawdę paskudnie. Trudno było na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy to stara rana czy świeża.

– Zanim tu przyleżą, minie z dziesięć minut. – Tyczka chciał się podrapać po brodzie, ale uniemożliwiła mu to maska. – Ja go rozkuję i opatrzę – zdecydował – a ty wezwij w tym czasie pomoc. Sami nie ruszymy tej kupy złomu.

*Dobrze*, pomyślał Pamiętający. Nie posunął się do założenia, że strażnicy pomogą mu w aż takim stopniu, ale oczywiście nie protestował. Wzywając pomoc, skracali czas akcji. Nie będzie musiał czekać, aż rudowłosa – czy

też Agnieszka, bo tak chyba miała na imię przewodniczka – zorientuje się, że coś jest nie tak. Najważniejsze jednak, że tamci przybiegną tutaj zaalarmowani tonem wezwania, a zatem będą zmachani, mniej ostrożni i przez to łatwiejsi do zdjęcia.

Podniósł się ociężale, wsparty przez Tyczkę, który drugą ręką gmerał już w kieszeni kombinezonu w poszukiwaniu kluczyka. Znalazł go, zanim jego partner zdążył wywołać posterunek w głębi sztolni. Cichy szcęk, z jakim rozwarła się obejmą wiążąca nadgarstek Remera, był ostatnim dźwiękiem, który Franek usłyszał, chyba że zdążył przed śmiercią zarejestrować trzask pękających kręgów.

Wraz z odzyskaniem wolności Pamiętający przeistoczył się w Ducha. Prostując nogi, skoczył na drugiego z przeciwników, chwycił go obiema rękami za kark i wsuwając się za jego plecy, pociągnął z całych sił. Nie patrzył, czy dobrze wykonał robotę. Charakterystyczne chrupnięcie, które słyszał tyle razy wcześniej, powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Nie bacząc na ból, otworzył oczy. Po drugiej stronie wózka zobaczył wpatrującego się w niego, oszołomionego Czystego. Tamten jednak miał lepszy refleks, niż można by się spodziewać. Kojarzył też całkiem nieźle. Rzucił się do ucieczki, zanim niewolnik, który powalił jego partnera,

zdążył minąć narożnik wózka.

Widząc, że gna ile sił w nogach ku wylotowi tunelu po broń, Duch przyklęknął bez namysłu i jednym szarpnięciem wy dobył z obcasa ciężki shuriken. Cel znajdował się w odległości zaledwie dziesięciu metrów, a do tego nie kluczył, tak więc rzut był czystą formalnością.

Trafiony w plecy Czysty jęknął, zanim zmylił krok i padł na twarz. Zaskoczenie i ból powinny go sparaliżować, lecz strach i pragnienie życia potrafią zdziałać cuda. Zdołał się podnieść i ruszył dalej, choć już nie tak szybko, bardziej chwiejnym krokiem i wrzeszcząc przy tym wniebogłosy. Pamiętający nie przejmował się tym jednak. Pozostali strażnicy znajdowali się zbyt daleko, by usłyszeć to wołanie, a kawał metalu tkwiący w plecach rannego spowalniał go do tego stopnia, że nie miał szans w porę sięgnąć po pozostawioną przy krześle broń.

Dogonienie go nie nastreczyło trudu. Podcięty Czysty padł znów na twarz i w tej pozycji już pozostał, po tym jak Duch szybkim kopniakiem wdusił stalową gwiazdę w głąb rany, łamiąc nią zebra i rozcinając znajdujące się pod nimi tkanki, może nawet płuca. Czysty wciąż żył, ale trudny do zniesienia ból sprawił, że stracił przytomność. Dobicie go zajęło tylko chwilę. Znacznie dłużej potrwałoby odzyskanie shurikena zagłębionego niemal całkowicie



w jego plecach, na to jednak Pamiętający nie miał czasu.

Na to, by przygotować się do odparcia nadbiegających z głębi sztolni strażników, pozostało mu tylko kilka minut, dużo mniej, niżby chciał, lecz nie aż tak mało, by zdążyli go zaskoczyć, zanim zajmie dogodną pozycję.

Najpierw sprawdził broń – wiedział już, że musi być naładowana, świadczyła o tym choćby reakcja strażnika, wolał jednak niczego nie zostawiać przypadkowi. Potem przeciągnął ciało zabitego za wózek, tak by zniknęło z pola widzenia przeciwnika przynajmniej do chwili, gdy nie będzie to już miało znaczenia. Obaj strażnicy spoczęli jeden na drugim w najbardziej martwym punkcie, Pamiętający natomiast wrócił na posterunek, odłamał nogi od obu krzeseł, po czym ułożył same siedziska na rozgarniętym pośpiesznie urobku, by zająć w miarę wygodną pozycję strzelecką we wnętrzu wagonika. Dopełnił kamuflażu stanowiska ogniowego, okrywając się jedną ze zdobycznych peleryn.

Wiedział, że zauważy tamtych na długo przed tym, nim oni dostrzegą jego, choćby z tego względu, że biegnąc przez pogrążony w egipskich ciemnościach odcinek tunelu, powinni użyć latarek. Nie obawiał się, że skorzystają z noktowizorów, miał za plecami jasny wylot tunelu, zatem nawet gdyby Czyści wpadli na ten pomysł – a był pewien, że nie wpadną – zostaliby całkowicie

oślepieni.

Nie musiał czekać długo. Wydrążony w skałach tunel nie był prosty, dlatego najpierw zauważył refleksy tańczące na jednej ze ścian. Ich rozrzut był tak duży, że od razu się domyślił, iż tamci muszą biec. Potarł kciukami opuszki palców wskazujących, jak zawsze przed czekającą go walką, i sięgnął po kałasznikowa. Broń była odbezpieczona i ustawiona na ogień pojedynczy, przełączył ją więc na tryb ciągły, ale po chwili zastanowienia przesunął dźwignię o jedną pozycję w górę. Mimo że nie strzelał już od wielu lat, pamiętał, jak ta broń potrafi kopać, a jemu zależało na jak najszybszym wyeliminowaniu celów i na jak największej oszczędności amunicji. Z tego, co zdążył zauważyć, strażnikom nie wydano dodatkowych magazynków, a te, które tkwiły w broni, wcale nie musiały być pełne.

Zbyt dużo czasu minęło, by mógł to ocenić po samym ciężarze, lecz jedno wiedział na pewno: nie zabraknie mu pocisków, żeby wyeliminować kolejnych Czystych. A ci byli już blisko. Z mroku dobiegał bardzo wyraźny łomot, z jakim utwardzane podeszwy wojskowych butów uderzały o podkłady.

Zgodnie z jego przypuszczeniami wybrali najłatwiejszą drogę. Na ich miejscu pewnie by postąpił tak samo. Z tym że byłby ostrożniejszy. *Nie...* pokręcił głową. *Będąc na ich*

*miejscu, nie spodziewałbym się przecież żadnych problemów, a już na pewno nie tak gorącego powitania.*

Ułożył się wygodniej i przyłożył kolbę do ramienia. Musiał znowu przetrzeć oczy – krew z ranek po szwach, choć nie było jej wiele, zbierała się w ciężkie krople na rzęsach, poza tym zaczął się strasznie pocić, zapewne z nerwów. Był pewien swoich rąk, noży, mieczy i innego ostrego cholerstwa, nawet łuku albo kuszy, jednakże od strzelania z broni palnej zdążył niestety odwyknąć. Kilkanaście lat przerwy zrobiło swoje.

Planując ucieczkę, rozważał wiele wariantów tego starcia i za każdym razem dochodził do wniosku, że pozwolenie, by nadbiegający przeciwnicy znaleźli się zbyt blisko, będzie ryzykowne, lecz gdyby zaatakował ich z dystansu, po wyeliminowaniu pierwszego shurikenem... Zaklął w myślach. W głupi sposób pozbawił się jednej z dwu zabójczych gwiazdek, które mogły przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę bez konieczności marnowania amunicji.

Nie miał pewności, czy rudowłosa nie zabrała się z kompanami. Gdyby to zrobiła, przy trzech celach, do tego kryjących się w mroku... Na szczęście w tunelu pojawiły się tylko dwa światełka, w dodatku tak blisko siebie, że po chwili zyskał całkowitą pewność, iż tamci biegną jeden za drugim.

Wymierzył, skupiając całą uwagę na podrygujących rytmicznie świetlikach. Zmrużył piekące jak cholera oczy, nie mając czasu, by jeszcze raz otrzeć zmieszany z krwią pot. Odliczał w pamięci mijające sekundy. Nie zamierzał otwierać ognia, dopóki tamci nie zwolnią. Im bliżej podejną, tym większe będzie miał szanse na oddanie celnego strzału. *Byle nie dopuścić ich za blisko...*

Na razie znajdowali się około trzydziestu metrów od wagonika.

Zaczął żałować, że nie zasadził się na nich gdzieś w głębi tunelu, ale zaraz przypomniał sobie o noktowizorach. Może i nie dysponowali takim sprzętem, jednakże nie mając całkowitej pewności, wolał nie ryzykować. Dostrzegliby go bowiem w mroku na długo przed tym, niż on mógłby namierzyć ich.

*Nie kombinuj*, napomniał się w myślach. *Czas na wylewanie żali przyjdzie, jeśli coś skrewisz. Na razie wszystko idzie dobrze, a nawet lepiej. Dwadzieścia metrów i nadal nie zwalniają.* Ułożył palec na języczku spustowym, przygryzając dolną wargę. *Nie waż się, skurwielu, zaciąć*, pomyślał. Obejrzał kałacha bardzo pobieżnie zaraz po tym, jak go zdobył. Z zewnątrz broń wyglądała na czystą, ale cholera wie, czy te leszcze dobrze o nią dbały.

Piętnaście metrów. *Jeszcze krok, jeszcze dwa*, modlił

się do Boga, w którego tak dawno przestał wierzyć, lecz Ów go nie wysłuchał, jak zawsze zresztą. Nadbiegający strażnicy zwolnili kroku, teraz już tylko szli. Pierwszy zawołał kolegów, a gdy odpowiedź nie nadeszła, zatrzymał się niezdecydowany.

*Teraz albo nigdy*, pomyślał Duch, naciskając spust. Oddał dwa strzały, mierząc nie w głowy, tylko w korpusy majaczących w mroku sylwetek. Światła latarek zatańczyły po sklepieniu, po czym znieruchomiały. Jedna świeciła prosto w ścianę, druga wzdłuż torów, prosto w jego oczy. Musiał w nią strzelić, by odzyskać możliwość obserwacji przedpola. Słyszał dobiegające z mroku jęki i hałasy. Drugi z drani przeżył.

Pamiętający zastanawiał się, co może i powinien w tej sytuacji zrobić.

*Jeśli tamten jest tylko lekko ranny, bez problemu użyje broni. Zna też moje położenie atakującego przeciwnika, bo za plecami mam jasny jak cholera wylot tunelu, na którego tle będę aż nadto wyraźnym celem...*

Duch rozpląszczył się, jak tylko mógł, tak że teraz już tylko jego oczy wystawały nad krawędź wagonika. Miał do wyboru dwie opcje. Albo zaczeka na ruch tamtego, licząc, że prędzej czy później dostrzeże go w mroku, albo... Drugie wyjście wydało mu się znacznie bardziej ryzykowne. Gdyby się podniósł, mógłby ponieść śmierć na

miejscu, gdyż Czysty bez trudu dostrzeże jego ruch. Gdyby zaczął strzelać i nie trafił, zdradziłby swoją pozycję, co też groziło pewną śmiercią.

Poza tym nie mógł czekać zbyt długo, ponieważ Iskra pojawi się tutaj lada chwila, a nie mając pojęcia o patowej sytuacji, wpadnie prosto na rannego – kazał jej przecież biec po torach – a wtedy... Nie, do tego tym bardziej nie chciał dopuścić.

Na szczęście przyszło mu do głowy jeszcze jedno rozwiązanie.

Uśmiechnął się szelmowsko. Wsunął ostrożnie rękę za krawędź wagonika i wymacał zawieszony po drugiej stronie dzwon. Rura była ciężka, ale bez problemu mógł ją podnieść jedną ręką. Zrobił to bardzo wolno, unosząc okrywającą go pałatkę. Z perspektywy jego przeciwnika musiało to wyglądać, jakby sam wstawał. Sekundę później rozległ się ogłuszający klekot. Czysty w panice puścił całą serię. Większość pocisków posłał między drzewa i w sklepienie korytarza, lecz już pierwszy wytrącił rurę z dłoni Pamiętającego. To jednak nie miało znaczenia. Cel był widoczny, wystarczyło ponownie nacisnąć spust i klekot urwał się jak nożem ucięty.

Duch nie czekał, przetoczył się przez burtę wagonika i przycupnął pod ścianą sztolni. Zanim ruszył dalej, rzucił bryłką trzymanego w ręce urobku, aby odwrócić uwagę

tamtego, po czym skoczył przed wagonik, by mieć cień za plecami. Gdy strażnik i tym razem nie zareagował, Pamiętający podczołgał się niemal bezszelestnie aż do zagradzającego mu drogę ciała. Tam przystanął, wyęzając słuch. Nic, kompletna cisza. Obawiał się pułapki, lecz gdy po dłuższej chwili z mroku nie dobiegło żadne sapnięcie ani jęk, uznał, że udało mu się dopaść drania. Ranny nie zdołałby pozorować swojej śmierci tak długo, zwłaszcza że był tylko niedoświadczonym szczylem.

Duch przetoczył się szybko na bok, potem jeszcze raz, nie bacząc na ból zadawany przez ostre krawędzie skał. Musiał zejść z linii potencjalnego ognia i przy okazji jak najbardziej wtopić się w otaczający półmrok.

Nadal żadnej reakcji przeciwnika. Cisza zaczynała mu dzwonić w uszach. Poderwał się więc, gotów w każdej chwili do oddania kolejnego strzału. Nikt nie otworzył do niego ognia. Po dwóch kolejnych krokach dostrzegł Czystego – leżał rozciągnięty na torach i bezsprzecznie martwy.

Odkopnął broń trupa na bezpieczną odległość, to samo zrobił z drugim kałachem. Dopiero wtedy, na wszelki wypadek, sprawdził puls obu ofiar.

– Aleś się rozstrzelał, dziadzia!

Podskoczył jak ukąszony przez kotokata, gdy z mroku za jego plecami dobiegł głośny chichot. Broń skierowana

instynktownie w tamtą stronę nie wypaliła jednak, choć odruchowo nacisnął spust. Zabezpieczył kałasznikowa chwilę wcześniej, nawet o tym nie myśląc.

– Co z rudą? – zapytał, z trudem panując nad drzeniem głosu.

– A co ma być? – Zauważyła to, nie mogło być inaczej. – Dobrze się czujesz, dziadzia? Nie trafili cię chyba?

Usłyszał w jej głosie nieudawaną troskę. Gdyby wiedziała, dlaczego jest tak zdenerwowany... *Lepiej będzie, jeśli pozostanie to moją tajemnicą.*

– Nie, nie trafili – odparł, wstając. – Załatwiłaś ją, zanim zdążyła nadać komunikat? – zapytał, zmieniając szybko temat.

– Musisz pytać?

– Nie. Ale wolę się dwa razy upewnić, niż potem zdziwić.

– Dziabnęłam ją, gdy tylko te dwa pacany zniknęły nam z oczu. W tym czasie nie zdążyła użyć niczego, możesz mi wierzyć.

– I dobrze. To da nam czas.

– Na co? – zapytała niezbyt przytomnie.

Właśnie zobaczyła, co jest za jaśniejącym w oddali wylotem sztolni. Ruszyła w stronę światła, jakby ją wabiło. Pamiętający nie próbował nawet odpowiadać.



Przeszukał zwłoki obu zastrzelonych strażników, ogoławając ich kieszenie. Nie mieli przy sobie wiele, ale to, co znalazł, bardzo go zdziwiło. Szwajcarski scyzoryk, niezbyt wypasiony, był jak najbardziej na miejscu, jednakże małe urządzenie ozdobione na obudowie logo ugryzionego jabłka zdziwiło go jak cholera. Złazł na niego, że wyświetlacz ożył, ledwie musnął przycisk na obudowie. W tej samej kieszeni znalazł też słuchawki.

Resztę rzeczy zostawił przy ciałach zabitych, po czym zabrawszy broń, podszedł do gapiącej się na las Iskry. Była tak zauroczona widokiem kołyszących się na wietrze konarów, że nie zareagowała nawet wtedy, gdy palcem domknął jej opuszczoną szczękę.

– Ja pierdolę – mruknęła, zanim zdążył opuścić dłoń. – Tak wyglądał świat przed Atakiem?

– To jeszcze nic – zapewnił ją, podając dwa ze zdobycznych kałachów. – Zobaczysz, jak pięknie będzie, gdy zejdziemy w dolinę... A teraz spręż się. Przekop ten posterunek i zbierz wszystko, co może nam się przydać. Ja w tym czasie przyniosę linę.

## ROZDZIAŁ 12

# Wieża

Góra, z której schodzili, nie była wysoka, miała też bardzo łagodne stoki, a porastający je las wydawał się znacznie rzadszy od tych, które zapamiętał Duch. To, że otaczająca go roślinność nie była tak bujna jak w dawnych czasach, musiało mieć bezpośredni związek ze wszechobecnym skażeniem, które z pewnością było tu o wiele mniejsze niż w zbombardowanych miastach, aczkolwiek – przynajmniej w pierwszych latach po Ataku – na pewno dało się dotkliwie we znaki wszystkiemu, co żyje.

Niemal każda sosna, na którą spoglądał Pamiętający, miała mocno zniekształcony pień. Korony także wydawały się bardziej rachityczne od tych, które miał przed oczami, ilekroć przymykał powieki, chociaż im dłużej nad tym rozmyślał, tym mniej wierzył swoim wspomnieniom. Wiedział bowiem, że ludzkiemu mózgowi nie można do końca ufać – przynajmniej pod tym względem. Ileż to razy przeżył ogromne rozczarowanie, wracając po latach do

ulubionego filmu albo piosenki z czasów młodości, które jego umysł zdążył wyidealizować do tego stopnia, że nie wytrzymały starcia z rzeczywistością. Mózg obrabiał zdeponowane w nim wspomnienia, jak rzeka ciśnięte w jej nurt kamienie, które jakkolwiek ostre miałyby wcześniej krawędzie, po latach bezowocnej walki z żywiołem zmieniały się stopniowo w gładziutkie otoczaki.

Tak mogło być i w tym przypadku. Tysiące bezsennych nocy, podczas których wracał myślami do utraconego świata, musiały wpłynąć w podobny sposób na kształt jego wspomnień. Z drugiej strony miał graniczące z pewnością przeświadczenie, że te drzewa naprawdę są mizerniejsze i niższe od swoich przedwojennych odpowiedników.

Zdecydowana większość, co zauważył niemal natychmiast, była bardzo młoda. Te, które widział, nie mogły mieć więcej niż dwadzieścia lat, co oznaczało, że wyrosły już po Ataku, tam gdzie padły – albo spłonęły – dawne lasy. Tylko gdzieniegdzie wierzchołki otaczających Ducha drzew wznosiły się wyżej niż na dziesięć metrów. Żadne nie wyglądało jednak na całkiem zdrowe. Dzięki cechującej je odporności zdołały wprawdzie przetrwać najgorszy ze spowodowanych przez człowieka kataklizmów, lecz płaciły za to równie wysoką cenę jak kryjący się pod ziemią ocaleni, a przynajmniej ci z nich,

którzy zamieszkiwali kanały Wrocławia.

Co gorsza, na razie Pamiętający nie zauważył nawet śladu innego życia, choć wiedział, gdzie go szukać. Po znacznie bardziej zachmurzonym niebie nie przemknął do tej pory żaden ptak, a na smolistej ziemi pod stopami nie malował się ani jeden trop. Wokół panowała cisza, przejmująca zwłaszcza wtedy, gdy lekki wietrzyk przestawał szumieć w iglastych koronach. W takich momentach Duch, spoglądając na otaczającą go roślinność, odnosił nieodparte wrażenie, że stoi nie w samym środku gór, lecz przed gigantyczną panoramą, namalowaną wprawną ręką wybitnego hiperrealisty.

Najgorsze było jednak to, że im dalej odchodzili od sztolni, tym roślinność robiła się bardziej rachityczna, jakby maszerowali w kierunku granic strefy większego skażenia. Pamiętający zerkał więc coraz częściej na swój dozymetr, ale ten nieodmiennie wskazywał minimalnie tylko zwiększony poziom radiacji. Jeśli odczyty wzrastały, to w tak małym stopniu, że równie dobrze mógł mieć do czynienia z błędami wynikającymi z niewłaściwej kalibracji bądź wysłużenia sprzętu, który był niemal tak stary jak on.

Mimo braku dowodów na wzrost skażenia – przynajmniej radioaktywnego – wśród otaczających go krzewów, a zwłaszcza w koronach drzew, dostrzegał coraz

więcej zbrązowień. Na częściowo pozbawionych kory pniach pleniły się też masowo huby i inne, przypominające je z grubsza świństwa. Te widoki zaniepokoiły Pamiętającego, lecz postanowił nie wyrażać swych obaw na głos – przynajmniej chwilowo. Na razie liczyło się tylko to, że nic, co rośnie na ich drodze, nie stanowi realnego zagrożenia.

Iskra nie miała takich problemów jak jej wiekowy towarzysz. Chłonęła otaczający ją świat z niezdrową fascynacją odkrywcy, nastoletniego Kolumba stawiającego pierwsze kroki na własnych plażach Guanahani. Nie nosiła w pamięci żadnych wspomnień dotyczących życia przed Atakiem, ponieważ urodziła się kilka lat po wojnie, w głębi cuchnących kanałów, tak więc właśnie te podziemia, aż do tej chwili, były całym jej światem. Mogła wprawdzie trafić na kilka zdjęć dawnych lasów, gdy przeglądała księgozbiór biblioteki Otchłani, niewykluczone też, że obejrzała parę filmów przyrodniczych, którymi Czyści poprawiali sobie od czasu do czasu nastrój, ale nic nie mogło jej przygotować na bezpośrednie spotkanie z prawdziwym, niemalże przedwojennym bogactwem flory. Spoglądała więc na każdy nowy krzew, chabaź i badył z zachwytem Sama Neilla przechadzającego się po raz pierwszy po Parku Jurajskim.

Pamiętający uśmiechnął się szeroko, gdy mniej więcej godzinę po opuszczeniu sztolni – kiedy dotarli na skraj równiny – dziewczyna zapiszczała jak najzwyklejsza w świecie, w starym świecie, nastolatka.

Zareagowała tak żywo na widok naprawdę pięknych, bajecznie kolorowych kwiatów, które zwartym kobiercem pokrywały sporą część polany wrzynającej się wąskim pasem między na wpół uschnięty zagajnik a całkiem już martwy wiekowy las.

Wcale jej się nie dziwił, bo widok był naprawdę spektakularny, zawierał w sobie wszystkie barwy tęczy, a nawet więcej. Tak urzekający, tak nierzeczywisty, że...

– Stój! – warknął, uciszając w momencie jej nosowy śmiech.

Iskra zamarła zaledwie o krok od najbliższych opalizujących kielichów, z których najmniejsze miały rozmiar męskiej pięści.

– Co jest? – zapytała niepewnym tonem.

– Wracaj – rzucił rozkazującym tonem.

– Ale...

– Już!

Wycofała się, obrzucając czujnym spojrzeniem skraj martwego lasu po drugiej stronie polany. Jej dłonie spoczęły bezwiednie na rękojeściach wielkich ząbkowanych noży, które zdobyła, przeszukując ciała

tyczkowego strażnika i jego partnera.

– Co jest? – powtórzyła już pewniejszym głosem, stając za przyczajonym Pamiętającym. – Zauważyłeś coś? Człowieka? Mutka?

– Nie.

– W takim razie o co biega, dziadzia? – wysyczała jak dziecko, któremu nie wiadomo dlaczego w ostatniej chwili odebrano darowaną zabawkę.

– Te kwiaty... – mruknął, nerwowo przygryzając dolną wargę.

– Co z nimi?

– Nie wiem... – Uciszył ją uniesieniem dłoni, ponieważ znów otwierała usta, by wyrazić dezaprobatę. – Czeka! Coś tu jest mocno nie tak. Nie przypominam sobie takich roślin.

– No, dziadzia, teraz to mnie potwornie nastraszyłeś – zakpiła, prostując się i zdejmując dłonie z rękojeści noży. – Powiedz jeszcze słowo o swojej sklepozie, a narobię w gacie. Nie pamiętasz takich kwiatków! No tragedia prawdziwa. Pozwól, że ja ci coś powiem, durny zwapnialcu. Dziwi mnie, i to bardzo, że w tak posuniętym wieku w ogóle możesz jeszcze kojarzyć. – Zaśmiała się w głos, biorąc jego milczenie za przyznanie się do błędu. – Weź i wyluzuj, dziadzia.

– To nie są rośliny sprzed wojny! – odwarknął, gdy

w końcu się zamknęła. – Możesz mi wierzyć.

– Taaa, bo ty cały atlas bitumiczny na pamięć znasz.

– Biczoliany. – Wystarczyło to jedno słowo, by spoważniała.

– To przecież nie są biczo... – zaczęła, ale znów ją zgasił.

– Nie są, ale jak im się przyjrzyysz uważniej... – Zamilkł, po czym rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał. Przeszedł kilka kroków na prawo, pochylił się, by podnieść z ziemi spory kawał ułamanej przez wiatr spróchniałej gałęzi. – Cofnij się pod te sosny. – Wskazał pobliskie drzewa, a sam ustawił się tak, by leciutki wietrzyk wiał mu prosto w plecy.

– Przesadzasz, dziadygulcu jeden, to przecież tylko kwiatki – syknęła ze złością, ale zrobiła, co kazał.

Nie wdając się w dalsze słowne przepychanki, wziął szeroki zamach i cisnął z całych sił rozdwojonym na końcu kawałkiem konara, a ten, wirując wolno w powietrzu, poszybował szerokim łukiem nad polaną, po czym wpadł między kwiaty, łamiąc kilkanaście mięsistych łodyg i miażdżąc znajdujące się na nich kielichy.

Kpiący uśmieszek zniknął z ust dziewczyny, gdy tylko spostrzegła reakcję tych roślin, które rozpadająca się gałąź trąciła, nie niszcząc. Wielobarwne kielichy rozwarły się błyskawicznie, wyrzucając w powietrze chmury



zielonkawego pyłu, tak drobnego, że z większej odległości wyglądał jak dym. Spory kawałek polany zniknął obojgu obserwatorom z oczu, zasnuty rzedniejącą z każdą sekundą mgiełką.

– Jeśli nadal uważasz, że przesadzam, idź, zerwij sobie bukiet – rzucił Pamiętający, posyłając Iskrze ostre spojrzenie. – No śmiało. Zaoszczędzisz mi kupę roboty, bo wiesz, my, dawniej, mieliśmy taki durny zwyczaj; składaliśmy na grobach zmarłych wiązanki kwiatów. Wprawdzie nie takich ładnych jak te tutaj, ale coś za coś. Te same na tobie wyrosną...

Zmilczała tę reprimendę, nie odrywając wzroku od opadającego powoli pyłu i wijących się w nim bez wątpienia mięso- albo wszystkożernych roślin, których grube, pokryte setkami maleńkich kolców łodygi oplatały właśnie rzuconą gałąź jak, nie przymierzając, macki ośmiornicy muszlę zbłąkanego kraba. Drewno było zbutwiałe, choć nie aż tak bardzo, by główny konar rozpadł się na kawałki przy uderzeniu w miękką ziemię. Teraz, na ich oczach, bliźniacze gałęzie zostały błyskawicznie rozczłonkowane przez grube jak ludzkie palce witki czy jak tam też zwać to wijące się kolczaste paskudztwo.

– Dobra, jeden zero dla ciebie, dziadzia – wymamrotała w końcu Iskra. – Dzięki za ostrzeżenie.

– Nie ma za co – odparł nieobecny tonem.

– Co znowu?

– Myślę, że nie powinniśmy iść dalej w tym kierunku – stwierdził po kilku sekundach namysłu.

– To tylko niewielkie poletko jakichś pieprzonych chwastów! Dobra, może zmutowanych i mięsożernych, ale na pewno nieruchawych. Przecież nawet sarlaka da się spokojnie obejść, jeśli człowiek wie, po czym może bezpiecznie stąpać. – Wskazała na lewo, tam gdzie obie części lasu stykały się nie dalej niż sto metrów od miejsca, w którym stali.

– Ty może nic nie zauważyłaś – powiedział, gdy już się zamknęła. – Co nawiasem mówiąc, jest dla ciebie typowe... Niemniej im dalej posuwamy się w tę stronę, tym roślinność wydaje się bardziej zdegenerowana, a to może oznaczać tylko jedno: leziemy prosto na strefę dużego skażenia. Spójrz tam – wskazał na smukłe, lecz mocno już zbrązowiałe korony sosen po przeciwnej stronie polany. – Widzisz to coś czarnego? Tam, w rozgałęzieniu konarów. I tam – przesunął palec bardziej na prawo. – I tu też.

Wyteńczyła wzrok, przytaknęła, po czym spojrzała na niego wyczekująco.

– Widzę. I co z tego?

– To też są jakieś pieprzone pasożyty, których nigdy

wcześniej nie widziałem.

– Pasożyty, powiadasz.

– Chyba zabijają te wszystkie drzewa... – Tknięty nagłą myślą spojrzął na rosnące tuż obok sosny, które na pierwszy rzut oka wydawały się o wiele zdrowsze. – Ha! – Wskazał palcem znacznie mniejsze czarne liszaje zdobiące kilka grubszych gałęzi. Przyglądając się uważniej, dostrzegł gąbczaste tkanki, niemal identyczne jak te, które widywał pomiędzy ruinami na obrzeżach strefy zakazanej.

– Gdzie w takim razie chcesz iść? – zapytała. – Powrót w pobliże wylotu sztolni to chyba nie najlepszy pomysł.

Wprawdzie ich ucieczka powinna zostać odkryta dopiero za jakiś czas, może nawet za pełne osiem godzin, gdy wysłana na szkolenie brygada nie wróci zgodnie z planem do dormitorium, ale Pamiętający nie przypuszczał, by mieli aż tak wiele szczęścia. Postawiłby całą zdobyczną broń na to, że Pułkownik odkryje ich zniknięcie znacznie wcześniej, może nawet już lada moment. Spojrzął na przypięte do pasa krótkofalówki. Miał trzy takie urządzenia, należące wcześniej do rudowłosej, tyczkowatego i pierwszego z zastrzelonych strażników. Wszystkie były włączone, lecz na razie milczały jak zakłęte.

*To ulegnie zmianie, i to z pewnością prędzej niż później, pomyślał, mając nadzieję, że nie wyszedł jeszcze*

z zasięgu nadajników Czystych.

Ktoś wywoła przewodniczkę albo któryś z posterunków, a gdy centrala nie otrzyma odpowiedzi, natychmiast zostanie ogłoszony alarm. Jakies pół godziny później na hipotetycznym biurku człowieka zwanego Pułkownikiem pojawi się szczegółowy raport o ucieczce dwojga niewolników, po czym rozpocznie się właściwe polowanie. Tyle że to nie Duch i towarzysząca mu dziewczyna będą ściganą zwierzyną, choć prześladowcy – przynajmniej początkowo – mogą mieć na ten temat inne zdanie.

– No! – Ponaglenie ze strony Iskry wyrwało go z zamyślenia, ale nie odpowiedział od razu.

Najpierw rozważył dostępne opcje, potem dopiero wskazał palcem szczyt wzniesienia, u którego stóp się znajdowali.

– Tam – rzucił zwięźle.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Pogięło cię, durny oblechu?!

– Nie.

– Przecież to logiczne, że tam poleżą najpierw, gdy tylko zaczną nas szukać.

Zbył tę uwagę wzruszeniem ramion. To, że uciekinierzy zechcą się udać w jedyne miejsce, które pozwoli im na zorientowanie się w sytuacji, było jasne jak

słońce – skoro nawet ona tak szybko to pojęła, Czyści z pewnością dojdą do podobnego wniosku. Pamiętając skłamał się przy okazji w myślach, że sam nie wpadł na ten pomysł.

– O to się nie martw – podtrzymał wcześniejszy wybór. – Zostawiałem tak czytelny trop, że najpierw poleżą w dół zbocza – dodał z większą pewnością siebie, niż pozwalała sytuacja.

Spora część wysłanego za nimi oddziału powinna pójść po śladach, które umyślnie zostawiał, aż do tego miejsca – na tym zasadzał się jego poprzedni plan, w którym niestety nie było mowy o strefach skażenia ani mutantach. Czym innym bowiem jest walka w terenie, gdzie człowiek mierzy się z człowiekiem, gdzie liczą się wyłącznie intelekt, sprawność i doświadczenie, a czym innym zabawa w ciuciubabkę na polu minowym, w jaką bardzo szybko zmieniałaby się czekająca go rozgrywka.

Poza tym Duch był przekonany, że Pułkownik na wszelki wypadek roześle swoich ludzi we wszystkie strony, a ekipę dysponującą radiostacją skieruje na najbliższy szczyt, aby stamtąd koordynowała akcję poszukiwawczą. Tak przynajmniej postąpiłby oficer mający pewne doświadczenie w tego typu operacjach, a ktoś taki jak dowódca Riese bez wątplenia zjadł na nich zęby. Zwłaszcza podczas tłumienia buntu.

– Zostawiałeś ślady? – Iskra spoglądała na niego z niedowierzaniem. – Ciebie naprawdę posrało!

– Zamierzałem wciągnąć ich w pułapkę, ale...

– Ale co?

– Ale po drodze nie znalazłem ani jednego odpowiedniego miejsca – wyznał.

Nie kłamał. Analizował pod tym kątem każdy teren, przez który przechodzili, lecz nie udało mu się trafić na otoczenie odpowiadające wszystkim wymogom. Nie znał wprawdzie liczebności przeciwnika, ale zakładał, że Czyści wyślą za nimi co najmniej drużynę, czyli minimum ośmiu żołnierzy, może nawet dwunastu, jeśli Pułkownik woli dmuchać na zimne.

Na podstawie dotychczasowych obserwacji Remer doszedł do wniosku, że załoga Riese ma ogromne doświadczenie w walce z mutantami – na dowód wystarczyło przywołać scenę, w której obstawa pociągu pancernego pokonała latającego giganta – jednakże czysta partyzantka z pewnością daleko wykraczała poza umiejętności tych chłopaków. Dlatego właśnie chciał wciągnąć grupę pościgową w pułapkę, którą z pomocą Iskry mógłby zamknąć.

Dobrze ukryta dziewczyna – najlepiej gdzieś pośród skałek, a tych było w okolicy sporo, zwłaszcza w pobliżu osuwisk – ściągnęłaby na siebie uwagę atakujących,

prowadząc z nimi wymianę ognia, najlepiej na dwie lufy, aby utrzymać iluzję, że są tam oboje, a on w tym czasie zająłby się skrytą likwidacją tych Czystych, których dałoby się zabić bez zwrócenia na siebie uwagi, potem zaś uderzyłby od tyłu na resztę, dysponując kałachem, świeżo zdobytą amunicją, a może nawet kilkoma granatami.

Zanim rozproszeni na dużej przestrzeni żołnierze Pułkownika zdołaliby dotrzeć na miejsce starcia, on i Iskra byliby już w połowie drogi na szczyt, gdzie zajęliby się w podobny sposób wyeliminowaniem czujki koordynującej działania wroga. Pozbawieni radiostacji Czyści staliby się łatwymi celami. Po zmierzchu jednak sprawa mogłaby się skomplikować. Aby mieć jakiegokolwiek szanse na prowadzenie walki w ciemnościach, musiałby zdobyć na przeciwniku kilka działających noktowizorów, co nawet w optymistycznym wariancie wydawało się problematyczne. Na szczęście wziął pod uwagę i taką ewentualność. Gdyby coś poszło nie tak, wycofałby się na z góry upatrzone pozycje – czytając: na sąsiedni masyw – i tam poczekał na rozwój wypadków.

Niestety wszystkie te plany wzięły chwilowo w łeb. Nie zamierzał się jednak poddawać. Skoro nie zdoła wyeliminować grupy pościgowej, spróbuje pozbawić ją łączności i – przy odrobinie szczęścia – zdobyć mapy

okolicznych terenów, którymi powinien dysponować oficer bądź podoficer koordynujący akcję poszukiwawczą. Niewykluczone, że będą na nich zaznaczone trasy wszystkich patroli, co ułatwi dalszą walkę.

Pamiętający dałby naprawdę wiele, aby choć to jedno się ziściło. Mimo to jako realista nie miał większych nadziei. Spenetrowanie okolic szczytu i znalezienie wybranych przez obserwatorów miejsc zajęłoby sporo czasu, który nie będzie mu dany.

Zerknął raz jeszcze na milczące krótkofalówki, potem przeniósł spojrzenie na wystraszoną dziewczynę. Wychowana w kanałach, na otwartej przestrzeni musiała czuć się bardzo nieswojo. Pierwsze uniesienie na widok lasu i zachłyśnięcie się świeżym powietrzem stępiło pełzającą po zakamarkach jej umysłu agorafobię, ale teraz, po brutalnym przebudzeniu, irracjonalna, lecz zrozumiała obawa zaczynała się właśnie z wolna przesączać przez skorupę fascynacji, drążąc ją każdą myślą i każdym słowem. Duch widział to wszystko w oczach Iskry; w jej rozbieganym spojrzeniu, rozszerzonych źrenicach, nerwowych zerknięciach.

*I tak wytrzymała zadziwiająco długo, uznał.*

– To minie – rzucił przyjaźniejszym tonem, aby dodać jej otuchy, której niewątpliwie będzie potrzebowała.

– Co minie?



– To, co cię teraz dręczy.

– O sobie mówisz, dziadu jeden?! – prychnęła gniewnie, zła, że zauważył jej słabość. – Tylko ty jesteś dzisiaj powodem mojej nieustającej udręki.

– Nieważne. – Skoro nie chciała się przyznać, nie zamierzał jej do tego zmuszać. – Nie traćmy czasu. Tym razem będziemy mieli pod górkę, a musimy do tego znaleźć kilka miejsc, w których leżące za nami skurwiele zgubią trop.

\* \* \*

W pobliże szczytu dotarli dwie godziny później, kwadrans po tym, jak ożyła krótkofalówka rudowłosej. Wspinaczka zabrała im tyle czasu, ponieważ kluczyli ile wlezie, by wywieść w pole mającą ich ścigać ekipę. Duch był pewien, że Czyści zgubią trop już przy pierwszych skałach i stracą godzinę albo dwie na znalezienie miejsca, w którym on i Iskra opuścili gigantyczne osuwisko, by znów zanurzyć się w lesie. Był też przekonany, że jeśli nawet ludzie Pułkownika okażą się wyjątkowo dobrzy w te klocki, to dopiero po drugiej z takich zmyłek zorientują się, dokąd naprawdę mogą zmierzać uciekinierzy.

Uśmiechnął się, gdy z głośniczka popłynęły zniekształcone mechanicznie słowa. Według jego wyliczeń Czyści nie będą mieli żadnych szans na ostrzeżenie

obsługi radiostacji.

Tym razem nie ukrywał przed dziewczyną, na czym polega jego plan. Wyjaśnił jej ze wszystkimi szczegółami, co zamierza, kiedy zatrzymali się mniej więcej w dwu trzecich zbocza, by odpocząć, ponieważ marsz pod górę – trudno bowiem nazwać to, co robili, wspinaczką – okazał się dla nich nie lada wyzwaniem. Poprzednie dwa etapy ucieczki miały przekonać ścigających, że zbiegowie zamierzają obejść ten szczyt, nie oddalając się zbyt od jego podstawy, zatem dopiero na ostatnim osuwisku ruszyli prosto w górę.

Mieli oboje bardzo dobrą kondycję – jak na ludzi ery postnuklearnej – ale jedyne wysokości, które musieli pokonywać w ciągu ostatnich dwudziestu lat, można było zmierzyć liczbą szczebli studzienek albo stopni schodów. Nic więc dziwnego, że dyszeli i pocili się za sześcioro podczas ostatniego etapu trasy, gdy parli prostą drogą ku wcale nie tak wysokiemu, lecz wciąż odległemu szczytowi.

Duch ku wielkiemu zdziwieniu Iskry zaczął mówić półgłosem po tym, jak już wszystkie zabrane ze sztolni krótkofalówki szczelnie owinął pałatką i schował do jednego z chlebaków, ten zaś umieścił za pniakiem po wyjątkowo okazałym drzewie, ponad dziesięć metrów od miejsca, w którym przycupnęli. Może zakrawało to na

przesadę, a nawet paranoję, ale nie chciał, by znajdujący się po drugiej stronie operatorzy mieli choć cień szansy na podsłuchanie tego, co ma zamiar powiedzieć. Gdyby dowiedzieli się, co planuje, przegrałby na starcie.

Ledwie podjęli marsz w górę, jedna z przypiętych znów do pasa Ducha krótkofalówek zatrzeszczała w znany sposób, po czym oboje usłyszeli zniekształcony mechanicznie kobiecy głos, wywołujący Agnieszkę, czyli rudowłosą. Iskra chciała odpowiedzieć na to wezwanie, powiedzieć cokolwiek, w nadziei że zdoła opóźnić wykrycie ucieczki, ale Pamiętający powstrzymał ją wyciągnięciem ręki. Operatorka zamilkła więc po trzeciej próbie wywołania, lecz kilka sekund później ożył głośnik w sprzęcie należącym do zastrzelonego strażnika. Gdy i on nie odpowiedział, przyszła kolej na radio tyczkowanego.

– Co jest, kurdebele... – zaskrzeczał inny, również kobiecy głos.

Ostatnia próba połączenia zakończyła się nietypowym jak na wojo zdaniem.

– No to się zaczęło – wymamrotała Iskra.

Duch spojrzał na zdobyczny zegarek. Trzy i pół godziny. Tyle czasu zyskali do tej pory. Zanim ludzie Pułkownika dotrą do sztolni i zrozumieją, co się tam wydarzyło, minie pewnie kolejne trzydzieści minut. Potem

zacznie się prawdziwy wyścig z czasem, ale to nie miało już znaczenia, chyba że Czyści zainstalowali stały posterunek na szczycie góry, w co Pamiętający szczerze wątpił.

\* \* \*

Przycupnęli w gęstych zaroślach tuż za niskim, rozpadającym się ogrodzeniem z drewnianych bali, które spróchniały już tak dawno, że nawet przy lekkim nacisku zapadały się w sobie. Zatrzymali się w ukryciu, ponieważ trafili na budowlę, której istnienia w tym miejscu na pewno nie podejrzewali.

Na środku porośniętego z rzadka wysoką trawą gołoborza stała kamienna wieża widokowa, niegdyś biała, przypominająca z wyglądu najprawdziwszą latarnię morską. Za nią, w odległości kilkunastu, może kilkudziesięciu metrów, widać było szczątki jakiejś metalowej konstrukcji, być może masztu telefonii komórkowej, który najprawdopodobniej zawalił się wiele lat temu, niewykluczone, że pod własnym ciężarem. Czy stało się tak za sprawą niedopatrzeń Czystych, jakiegoś kataklizmu pogodowego – natura ostatnimi czasy stała się naprawdę nieprzewidywalna – czy też celowego działania, na razie musiało pozostać dla nich tajemnicą.

Najciekawsze zaś było to, że podczas badania okolicy

Pamiętający zauważył, iż do wieży prowadziły z każdej strony świata szerokie ścieżki, z których jedna wydawała się całkiem dobrze utrzymana i uczęszczana. To ostatnie odkrycie wydało się Duchowi dziwne, ponieważ rzeczony szlak wiódł na szczyt nie od południowego wschodu, gdzie mieścił się wylot sztolni, lecz z przeciwnej strony. Tędy właśnie – cokolwiek o tym myśleć – wchodzili na szczyt ludzie z Riese.

– Co robimy? – zapytała Iskra.

– Daj się zastanowić.

Obecność prostej drogi, co prawda zaczynającej się w zupełnie innym miejscu niż wylot sztolni, z jednej strony mogła skomplikować sytuację, z drugiej zaś – paradoksalnie – uprościć zadanie Pamiętającego. Skoro Czyści dbali wcześniej o tę trasę, zapewne z niej skorzystają. Wystarczy więc znaleźć w pobliżu odpowiednie miejsce – o ile takie jest – i zasadzić się na nich albo w razie gdyby okazało się, że jest z tym problem, przycząć się w samej wieży. Duch wątpił bowiem, by żołnierze Pułkownika po dotarciu na szczyt rozłożyli sprzęt w którymś z nie zniszczonych przez wywrócony maszt kontenerów, rozstawionych opodal kamiennej budowli.

– Podobno plan jakiś miałeś – fuknęła.

– Było w nim coś o wieży?

– Nie.

– No to morda w kubel i daj mi pomyśleć.

Czasu mieli sporo. Jeśli Czyści nie utrzymywali tu stałego posterunku, zastawienie pułapki nie powinno nastręczyć trudności. Jeśli natomiast w obserwowanej przez Pamiętającego budowli siedzieli teraz żołnierze, z pewnością zostali już poinformowani o sytuacji, a co za tym idzie, uważnie przyglądali się otoczeniu. Pokazanie się im byłoby równoznaczne ze ściągnięciem na szczyt wszystkich oddziałów składających się na grupę pościgową. Duch nie mógł do tego dopuścić, siedział więc na skraju najgęstszych zarośli, starając się obmyślić nowy plan. Nie było to łatwe, ponieważ działał pod presją, czego bardzo nie lubił.

*Jak sprawdzić, czy na wieży są obserwatorzy, nie tracąc przy okazji zbyt wiele czasu?*

Pamiętający znalazł na to sposób.

Ściągnął z pleców zabraną jednemu z zabitych koszulę, owinął nią spory kamień, po czym polał olejem z lampy, którą także zabrali, uciekając ze sztolni.

– Cofnij się głębiej między drzewa – polecił Iskrze. – Następnie przedostań się w pobliże drogi, która prowadzi na zachód, zejdz nią jakieś sto metrów i znajdź w miarę strome miejsce. Tam podpal to cholerstwo i rzuć w dół, by potoczyło się jak najdalej po skałach na osuwisku, tym,

które pokonaliśmy jako drugie, a potem wracaj tutaj najszybciej jak to możliwe. I pamiętaj: unikaj otwartych przestrzeni. Aha, jeśli mnie tu nie zastaniesz, nie wychodź z ukrycia, tylko czekaj! – Wypowiadając ostatnie słowa, spojrzał jej prosto w oczy.

– Bez spiny, dziadzia, bo kleksa sobie zrobisz na zafasowanych gaciach – prychnęła. – Idę, rzucam, wracam, czekam, proste jak budowa maczety. Jeśli cię zabiją, zwijam interes, melinuję się gdzieś w tym rajcu i dożywam późnej starości, czyli tak mniej więcej do trzydziestki, leżąc do góry dupą i mając wszystkich i wszystko w głębokim poważaniu.

– Dobry plan – pochwalił ją. – A teraz spieprzaj.

– Ty też wal się na ryj – odburknęła, a zanim zniknęła w zaroślach, usłyszał jeszcze rzucone półgłosem zdania: – Tylko pamiętaj, dziadzia, nie daj się zabić. A jak już, to nie umieraj tak od razu. Niech cię pomęczą skurwiele, dotną resztę paluszków u rąk, potem u nóg. Niech ci jajeczka zbiją, ząbki powyrywają, oczka wydłubią, najlepiej łyżeczką przez nos. Wiesz, żebyś nie odszedł jak byle ćwok, tylko z przytupem, tak jak lubisz.

Zignorował ją, jak wiele razy poprzednio. Za bardzo skupiał się na kolejnym etapie planu, by pozwolić sobie na dodatkowe rozprężenie.

– A ty pamiętaj, żeby rzucić ten kamień tak, aby spadł

jak najniżej – zawołał półgłosem, gdy zbierała się do drogi.

Wymamrotała coś, co było zapewne przekleństwem albo kolejną inwektywą, po czym przepadła w gęstwinie.

Pamiętający przygotowywał się do działania, czekając cierpliwie, aż daleko w dole zbocza pojawi się smuzka dymu, która zaalarmuje potencjalnych obserwatorów i zmusi ich do skupienia uwagi na tym właśnie kierunku. Zostawił pod najbliższą sosną wszystkie rzeczy, razem ze zdobycznymi kałachami, a następnie owinął się szczelnie maskującą pałatką.

Dysponując nożami, shurikenami i elementem zaskoczenia, powinien sobie poradzić z trzema, a nawet czterema przeciwnikami. Jeśli będzie ich więcej niż pięciu, zrobi się groźnie, ale rozważanie czarnych scenariuszy zostawił sobie na później.

Nie znał rozkładu pomieszczeń wieży, lecz widział kiedyś, dawno temu, kilka podobnych konstrukcji, zakładał więc, że za furtaa, do której dostanie się po ciągu kamiennych stopni, znajdzie całkowicie pustą, co najwyżej podzieloną na piętra przestrzeń, a w niej spiralne schody, którymi zdoła się wspiąć aż na niższy, zabudowany taras widokowy. Pytanie tylko, czy prowadzi tam kłapa w podłodze czy raczej normalne drzwi w wewnętrznej ścianie. Wolałby to drugie. Wyjście spod podłogi wymaga



znacznie więcej czasu, poza tym nie da się tego zrobić niezauważenie, nie mówiąc już, że atakujący nie jest w stanie zobaczyć przestrzeni za podnoszoną klapą, a tam właśnie może czaić się śmierć.

Pamiętający przycupnął w miejscu, z którego miał najlepszy widok na właściwą stronę wieży. Jeśli Czyści okażą się tak głupi i wyjdą na zewnątrz, będzie miał ułatwione zadanie. Jeśli nie... Dostrzeżenie ich bez lornetki w jednym z wąskich ciemnych okienek może być trudne.

Dranie nie zamierzali ułatwiać mu roboty. Po pojawieniu się smugi gęstego dymu odczekał całe pięć minut, zanim przepełził z kryjówki na drugą stronę budowli, lecz w tym czasie stalowe drzwi prowadzące na górny taras widokowy pozostały zamknięte, a w żadnym z okien nie dostrzegł choćby cienia poruszających się ludzi. Pozostało mu więc spenetrowanie wieży w ciemno, co też zrobił po krótkiej chwili wahania.

Doczołganie się do podstawy kamiennej budowli zajęło mu kolejne pięć minut, poruszał się bowiem bardzo wolno i ostrożnie, przystając co chwilę i wykorzystując każdą z nielicznych osłon. Miał nadzieję, że potencjalni obserwatorzy skupiają teraz całą uwagę na dostrzeżonym źródle ognia i nie od razu się domyślą, że to tylko dywersja. *Jeśli są niewiele lepiej wyszkoleni niż strażnicy*

*ze sztolni, powinni łyknąć ten podstęp jak głodny szarik zdeformowanego noworodka...*

Pamiętający skrzywił się, gdy to pomyślał, choć nieraz w przeszłości używał znanego w kanałach powiedzonka, jak wiele innych porzekadeł przetransponowanego do nowej, odmiennej rzeczywistości.

Gdyby ktoś kiedyś powiedział mu, że sam będzie wnosił kalekie dzieci, by mogły zostać rozszarpane przez dzikie bestie, które już tylko z nazwy kojarzyły się z psami... Nie uwierzyłyby i pewnie dałyby tamtemu po pysku.

Kilka lat życia w kanałach zmusiło go jednak do całkowitego odrzucenia dawnej moralności. Trafił do piekła i – aby w nim przeżyć – musiał stać się równy zamieszkującym je demonom albo nawet gorszy od nich. Kto się nie dostosowywał do nowej rzeczywistości, ten szybko ginął, a on mimo wszystko pragnął żyć.

Po jaką cholere męczył się tyle lat, egzystując w warunkach, które nawet więźniom większości kacetów wydałyby się koszmarem, nie umiał powiedzieć. Zastanawiał się nad tym wielokrotnie – i w kanałach, i w Otchłani. Czy oddychanie cuchnącym gorzej od gówna powietrzem i żarcie robaków warte było totalnego zeszmacenia? Na to pytanie nadal nie znalazł odpowiedzi, aczkolwiek jeśli wziąć pod uwagę fakt, co zamierzał

właśnie zrobić, może w tej desperacji był jednak jakiś sens? Może jego rolą, zapisaną w niezmiennej ścieżce czasu, było zniszczenie snów o potędze po stokroć gorszych od niego zwyrodnialców, którzy oddychając świeżym powietrzem i zażerając się cholera wie jakimi smakołykami – a był święcie przekonany, że tutejsi Czyści nie wpieprzają zaprawianej rozgotowanym mięchem mutków owsianki – skazują mieszkańców wrocławskich kanałów na potworne męczarnie i masową śmierć. Do wydania na nich wszystkich wyroku wystarczały neonówki i szara zaraza, a był to przecież tylko czubek góry lodowej odrażających niegodziwości, jakich ci ludzie – o ile można ich nadal określać tym mianem – się dopuszczali.

Te niewesołe w sumie myśli pozwoliły Duchowi zapanować nad nerwami, gdy pełzył przez porośniętą wysoką trawą i krzewami przestrzeń, która otaczała podstawę wieży. Odważył się wstać dopiero wtedy, gdy dotarł w pobliże kamiennej ściany, osmalonej w tym miejscu sadzą i porośniętej liszajami jakichś świństw, na szczęście nie gąbczastych, ale i tak paskudnie wyglądających.

Szerokich drzwi, prowadzących do oddzielnego pomieszczenia w podstawie wieży, dawno już nie było na miejscu, zatem Pamiętający mógł rzucić okiem w głąb

pogrążonej w półmroku przestrzeni. To jedno szybkie spojrzenie wystarczyło, by zamarł w pół ruchu. Pod warstwą śmiecia nawiewanego tam latami przez wiatr leżały kości. Stosy kości. Bez wątpienia ludzkich. Duch zacisnął zęby, gdy zobaczył, że kalista ściana jest w wielu miejscach poznaczona bliznami, jakby ktoś wrzucił tutaj wiązkę granatów albo odpalił ładunek wybuchowy.

Przyjrząwszy się bliżej, zauważył kilka innych, równie ciekawych szczegółów, takich jak choćby liczne przestrzeliny. W tym miejscu doszło jakiś czas temu do regularnej bitwy, którą obrońcy wieży przegrali z kretezem. Czy byli to Czyści, czy zbiegli buntownicy, tego nie umiał ustalić, mając przed oczami wyłącznie kości poległych, a raczej pomordowanych, o czym świadczyła obecność drutu kolczastego oplatającego nogi i ręce szkieletów.

Pamiętający zostawił za sobą ten makabryczny widok, po czym wspiał się pośpiesznie po zewnętrznych schodach aż do właściwych drzwi prowadzących do wnętrza stożkowatej budowli. Tu czekało na niego kolejne zdziwienie. Masywne skrzydło, przed wojną blokujące dostęp do krętych stalowych stopni, zniknęło wraz z kawałkami ściany, w które wmurowano ongiś zawiasy. Wejście zatarasowano więc zbitą z desek i dykty konstrukcją, którą wystarczyło odchylić, by dostać się do

środka.

Niegdyś białe ściany także tutaj były osmalone, a metalowe poręcze – zwłaszcza na niższym odcinku – powykęcane, jakby wystawiono je kiedyś na długotrwałe działanie bardzo wysokiej temperatury. Zatem bitwa, której ślady Pamiętający widział przed chwilą w pomieszczeniu dawnego sklepika z pamiątkami czy też kasy, toczyła się również w tej części wieży.

Zamarł przy odchylonych niby-drzwiach, wsłuchując się w zawroźnienie wiatru, który dmąc przez zrobiony otwór, pędził ku górze budowli i znajdującym się tam pozbawionym szyb oknom, wyjąc tak potępieńczo, że z pewnością zdradziłby każdą próbę dostania się na szczyt, gdyby ktokolwiek tam był.

Jednakże z wierzchołka wieży nie dobiegał żaden dźwięk. Pamiętający postanowił więc zaryzykować. Pozbywszy się butów, ujął w lewą dłoń shurikena, drugiego włożył między zęby, po czym ruszył ostrożnie w górę, co kilka stopni przystając i nasłuchując, by nie dać się zaskoczyć. Niemal bezszelestnie dotarł w pobliże przewężenia ścian i otworu wychodzącego na zabudowaną galeryjkę. Żelazne schody, w tym miejscu znacznie węższe, wiodły dalej w górę na ostatni poziom, ale na razie je zignorował.

Jeśli zastawili na niego pułapkę, najbliższe sekundy

będą rozstrzygające. Uśmiechnął się pod nosem, zrobił głębszy wdech, po czym wrzucił do wnętrza galeryjki dwa zebrane po drodze kamienie wielkości pięści, wrzeszcząc przy tym:

– Granat, kryj się!

Kawałki ciśniętych na ślepo skał zagrzechotały złowieszczo, odbijając się od ścian, ale zanim zdążyły spaść na podłogę, on już na niej leżał z gotowymi do rzucenia shurikenami w obu dłoniach.

Nie musiał robić nic więcej. W kolistym pomieszczeniu nie było nikogo, podobnie jak poziom wyżej, gdzie dostał się już bez takich cyrków.

Czyści korzystali z wieży, i to dosyć często. Świadczyły o tym choćby pozostawione tutaj klamoty, w tym duża radiostacja polowa. Ale to nie ona zainteresowała Ducha najbardziej, tylko stojące pod oknami teleskopy. Nie wojskowe lornetki, lecz przyrządy astronomiczne dla amatorów oglądania Księżyca i gwiazd, takie same, jakie przed wojną można było kupić w specjalistycznych sklepach za kilka tysięcy złotych. Obiektyw najbliższego skierowany był dokładnie na północny wschód. Mniej więcej tam, gdzie rozwiewał się teraz dym z dogasającej szmaty.

Pamiętający zdjął zaślepki chroniące szkła i przyłożył oko do okularu.

– Kurwa mać – jęknął, gdy zobaczył, co obserwowali stąd Czyści.

## ROZDZIAŁ 13

# Radiostacja

Czystych zobaczyli z daleka niespełna kwadrans po tym, jak Pamiętający skończył przetrząsać szczyt wieży. Iskra dołączyła do niego mniej więcej w tym czasie, i to ona, dosłownie chwilę po rozpoczęciu obserwacji dwóch przydzielonych jej szlaków, dostrzegła w oddali sylwetki zmierzających na szczyt ludzi Pułkownika.

Było ich sześcioro. Dwie kobiety, a właściwie jeszcze dziewczyny, w prostych cywilnych ciuchach i czterech wyekwipowanych jak na wojnę żołnierzy. Duch przyjrzał się dokładnie tym ostatnim. Wszyscy byli młodzi, mniej więcej w wieku zabitych wcześniej strażników. Wydano im na tę akcję broń automatyczną, i to nie była jaką. Pamiętający zetknął się do tej pory tylko raz z karabinkami HK416, chyba w dwa tysiące jedenastym, kiedy na strzelnicy, na której ćwiczył, pojawili się chłopcy z CBS. To jednak nie wszystko. Czyści mieli na sobie sporo innego, cennego wyposażenia, za które w kanałach zapłacono by majątek, ale... Pomimo ekwipunku godnego



najlepszych stalkerów zachowywali się bardzo nieprofesjonalnie.

Nie maskowali swojej obecności, jakby nie dbali o to, że przeciwnik, którego mieli namierzyć, może się na nich zasadzić. Co więcej, Pamiętający niemal natychmiast zauważył, że młodzi żołnierze więcej czasu poświęcają eskortowanym kobietom niż obserwacji otoczenia. Z rzadka tylko omiatali wzrokiem krzewy porastające obie strony szerokiego szlaku. Rozmawiali przy tym, nie zniżając głosu, i śmiali się często, jakby mieli gdzieś, że ktoś ich może usłyszeć. W pewnym momencie dwaj z nich zaczęli się nawet przepychać, zupełnie jak dzieci.

Duch odsunął się od okularu.

– Co robimy? – zagadnęła Iskra. – Trzymamy się starego planu?

– Daj mi chwilę – poprosił, po czym odsunął dziewczynę na bok, by dostać się do sąsiedniego teleskopu. – Przyjrzyj się terenowi po przeciwnej stronie – polecił.

– Po cholere, przecież już ich namierzyłam.

– Coś mi tu nie pasuje – odparł enigmatycznie.

Żołnierze zachowywali się tak ostentacyjnie, że Pamiętający niemal natychmiast uznał, iż jest to poza. Wybieg mający go zmusić do skupienia całej uwagi na robiących hałas młodzikach, aby ci, którzy mieli go

naprawdę dopaść, mogli niepostrzeżenie podejść pod wieżę. Ludzie Pułkownika powtarzali jego niedawny manewr, tyle że z użyciem znacznie większego wabika.

Ku jego zdziwieniu nawet kilkakrotne przeczesanie całej okolicy nie ujawniło nic niepokojącego. Krzewy nie poruszały się w charakterystyczny sposób, łany wysokiej trawy były przyduszone do ziemi tylko w tych miejscach, którymi przeczłogiwał się wcześniej z Iskrą. Przy okazji zrozumiał, że niepostrzeżone podejście pod tę wieżę jest praktycznie niemożliwe. Gdyby schronił się w niej choć jeden w miarę uważny obserwator, zostaliby wykryci moment po tym, gdy opuścili najbliższy zagajnik.

*Zatem to nie pułapka*, musiał przyznać po kolejnych dwu minutach sterczenia przy teleskopach. Nadal jednak nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógłby wysłać ludzi w teren, nie uczulając ich uprzednio, aby zachowali maksymalną czujność i ostrożność. Inna możliwość była taka, że ci, na których patrzył, nie posłuchali ostrzeżeń.

Szóstka Czystych znajdowała się wciąż na tyle daleko, że Pamiętający miał sporo czasu na ewakuację. Mimo to nie zamierzał się ociągać. Zanim wykonał ruch, postanowił jednak poczynić jeszcze jedną obserwację. Tym razem przyjrzał się uważniej obu kobietom, a precyzyjniej mówiąc, ich twarzom. Dobrze wyszkoleni żołnierze byli w stanie udawać luzaków, ale żaden cywil wysłany

w teren na niebezpieczną akcję nie powinien mieć aż tak beztroskiej miny, jaką widział właśnie na twarzy blondyny. To spostrzeżenie utwierdziło go w przekonaniu, że ma do czynienia z nieświadomymi zagrożeniami ludźmi.

*Może to tylko zbieg okoliczności?* pomyślał. *Trafiliśmy na rutynowy patrol, wykonujący po raz setny to samo zadanie. Niewykluczone, że ci ludzie opuścili Riese, nie mając bladego pojęcia o naszej ucieczce.* Zerknął na zegarek i pokręcił z powątpiewaniem głową. Nie. Zniknięcie niewolników zauważono prawie godzinę temu. Pułkownik miał więc wystarczająco dużo czasu, by posłać do sztolni swoich ludzi, a po otrzymaniu od nich meldunku – ogłosić alarm. Ten patrol opuścił podziemia najdalej kwadrans temu, zatem już po rozesłaniu wiadomości o uciekinierach.

Co zatem miała oznaczać ta niefrasobliwość? Niekompetencję Pułkownika i jego podwładnych? Czystą głupotę szczeniaków, którzy puszą się, próbując zaimponować eskortowanym koleżankom, zamiast robić to, po co zostali tutaj wysłani?

– Pośpiesz się, dziadzia, bo ci te gnoje na plecy wleżą – ponagliła go zirytowana przedłużającym się milczeniem Iskra.

– Zauważyłaś coś? – zapytał.

– Nic. Ta góra to jakaś pieprzona drewniano-kamienna

trupiarnia.

– Dobra – uznał, że wie wystarczająco dużo. – Bierz jednego kałacha i zasuważ do naszej ostatniej kryjówki w krzakach. Stamtąd będziesz miała doskonały widok na wieżę.

– Co ty kombinujesz? – zapytała.

Gdy jej wyjaśnił, na czym zasadza się jego plan, najpierw zrobiła wielkie oczy, a potem wyszczerzyła wszystkie zęby w jadowitym uśmiechu.

Uwielbiała takie akcje.

\* \* \*

Pamiętający zżymał się na siebie po raz dziesiąty, przeklinając moment, w którym wpadł na ten kretyński pomysł. Stracił pewność siebie, zanim Czyści zniknęli mu z pola widzenia, podchodząc pod ścianę wieży. Nie miał już jednak wyjścia. Jakikolwiek ruch w tym momencie oznaczał wykrycie i bardzo duże problemy. Wprawdzie obserwacja terenu przez pozostałe teleskopy nie ujawniła obecności w pobliżu szczytu żadnego innego oddziału, lecz to nie poprawiło mu samopoczucia. Oparł swoje dotychczasowe działania na zbyt wielu niewiadomych i właśnie z tego powodu zaczynała go zżerać niepewność. Jeśli da się osaczyć w tych murach, Czyści nie będą musieli nic robić, wystarczy, że zablokują ogniem wejście

i poczekają na wsparcie. Iskra może oddać w ich kierunku co najwyżej kilka serii, oczywiście bardzo niecelnych, po czym skończy się jej amunicja.

A tamtych jest czterech, w dodatku wyposażonych w doskonałe karabinki szturmowe. Jego partnerka, choć nie brak jej sprytu, nie zdoła przyszpilić wszystkich naraz. Co więcej, sądząc po pełnych ładownicach, ci dranie mają więcej pestek od niejednego słonecznika, a jeśli użyją granatów... Zbyt późno zauważył wiszące na ich uprzężach jajowate kształty.

Ci dranie wyszli z Riese wyposażeni jak na prawdziwą wojnę, którą za moment dostaną. Problem jednak w tym, że nawet wzięci z zaskoczenia mogą ją wciąż wygrać, jeśli...

Spoglądał – już bez pomocy teleskopu – na krzewy pomiędzy młodymi sosenkami, gdzie powinna kryć się Iskra. *U licha, dlaczego jeszcze się nie pokazała, przecież ci dranie już są przy drzwiach na dole!* Wiatr zawył właśnie przeciągle, uświadamiając Pamiętającemu, że ktoś odsunął płyty blokujące kamienny portal.

*Jest!*

Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył ją za bliższym z dwóch drzewek. Podniosła się na tyle, by mógł dostrzec jej rękę. Najpierw pokazała mu cztery palce. Uśmiechnął się. To znaczyło, że wszyscy żołnierze z eskorty zostali na dole,

tak jak przewidywał. Na szczyt wieży wspinały się same baby. Słyszał już, jak trajkoczą, ale nie zwracał uwagi na to, co mówią. Bardziej interesowała go dalsza część wiadomości przekazywanej przez Iskrę. A ta najpierw zakreśliła w powietrzu koło, a potem uczyniła taki gest, jakby się żegnała. Duch i to dobrze przewidział – dranie rozstawili się u stóp wieży co dziewięćdziesiąt stopni, kryjąc przedpole ze wszystkich stron. Podręcznikowe zachowanie, świadczące o tym, że musieli przejść choćby podstawowe szkolenie. Mało przydatne, zważywszy na sytuację. Nie zamierzał jednak ubolewać nad ich marnym wyszkoleniem.

Przysunął do wybitego okna szmatę, którą trzymał w dłoni. To był znak, że zobaczył i zrozumiał wiadomość. Moment później przylgnął do kolistej wewnętrznej ściany, za którą znajdowały się schody. W jednej ręce ścisnął nóż, w drugiej – shurikena. Głosy wspinających się po schodach kobiet były już bardzo wyraźne. Tupot stóp urwał się parę sekund później, gdy pierwsza z nich, a zaraz po niej druga opuściła wąski szyb klatki schodowej.

Duch założył, że obie skierują najpierw kroki do stanowiska operacyjnego, czyli do stołu, na którym spoczywała radiostacja, a dopiero później, gdy już zostawią tam taszczone torby, zaczną się uważnie rozglądać. Dlatego właśnie stanął po drugiej stronie

wejścia, na tyle daleko od otworu prowadzącego na schody, by wkraczające na galerię Czyste nie mogły go od razu zobaczyć. Niestety to oznaczało też, że i on nie będzie ich widział.

Gdy jedna z kobiet umilkła, odważył się wysunąć głowę na tyle, by zerknąć w stronę stołu. Zobaczył plecy obu Czystych. Pierwsza zbliżała się właśnie do stanowiska, druga – ta, która zamilkła – zatrzymała się przy stojącym najbliżej teleskopie. Coś zwróciło jej uwagę...

*Szlag. Ta idiotka Iskra zostawiła na jednej z wajch zwędzoną zabitemu strażnikowi manierkę!*

Pamiętający wysunął się bezgłośnie zza walcowatej ściany. Nie miał czasu na opracowanie strategii. Dostoczył do pochylającej się nad znaleziskiem kobiety, wyprowadzając mocne pchnięcie z dołu. Ostrze noża weszło gładko pod szczękę zaatakowanej, przebijając podniebienie i zagłębiając się w mózgu. Mgnienie oka później lewa ręka Ducha wykonała szeroki zamach, wypuszczając ciężką stalową gwiazdkę. Uderzenie było tak mocne, że trafiona w tył głowy radiotelegrafistka poleciała do przodu. Przez chwilę wisiała na włączanym właśnie sprzęcie, a potem zsunęła się na podłogę w wolnym tempie, jakby czas nagle zwolnił.

Pamiętający zacisnął na moment powieki, po czym

odetchnął z ulgą. Obie zginęły natychmiast, nie wydając żadnych dźwięków. Tę pierwszą zdołał przytrzymać i ułożyć ostrożnie na podłodze, druga także nie narobiła wiele hałasu, ponieważ jej upadek dzięki stołowi został rozłożony na kilka etapów, a nie miała na sobie niczego, co mogłoby narobić łomotu w zetknięciu z cementową podłogą. Wprawdzie szanse na to, że trzymający w dole straż cokolwiek usłyszą, były raczej niewielkie, lecz Duch wolał nie ryzykować niepotrzebnie.

Po odzyskaniu shurikena, co nie było takie łatwe, podszedł do okna i raz jeszcze machnął zakrwawioną teraz szmatą. Sekundę później dostrzegł sylwetkę Iskry; dziewczyna pojawiła się w tym samym miejscu co poprzednio. Odpowiedziała na sygnał, unosząc kciuk. Potem pokazała mu zaciśniętą pięść, co miało sygnalizować, że sytuacja nie uległa zmianie i wszyscy strażnicy pozostali na swoich miejscach. Gdy kolejnym gestem zameldował przyjęcie wiadomości, dziewczyna wykonała ciąg skomplikowanych ruchów, na koniec rysując w powietrzu łamaną linię i wskazując palcem na jej wyższy kraniec.

Tak jak się domyślał, Czyści zajęli najdogodniejsze ich zdaniem pozycje: pierwszy przyczaił się na górze schodów, drugi stanął pod obmurowaniem, mniej więcej w połowie ciągu stopni, trzeci pilnował drzwi



prowadzących do pomieszczenia na parterze, a czwarty czatował pod ścianą od strony kontenerów okalających powalony maszt.

Zdjęcie ich po cichu nie będzie więc łatwe. Pamiętający, choć zdawał sobie z tego sprawę, wiedział, że musi zaryzykować.

Iskra ponownie zniknęła w zaroślach. Jej zadanie polegało teraz na przyczajeniu się i wymierzeniu z kałacha w drania, który pilnuje wejścia do masowego grobowca. Duch musiał zdjąć najpierw tego z żołnierzy, który ustawił się u szczytu zewnętrznych schodów. Aby tego dokonać, zszedł bezszelestnie – a w każdym razie robiąc jak najmniej hałasu – na sam dół krętych schodów. Zajęło mu to kilka minut, ponieważ pokonywał kolejne stopnie bardzo wolno, stawiając ostrożnie bosc znów stopy i co chwilę wsłuchując się w dźwięki dobiegające z zewnątrz.

Strażnicy nie wyczuli na razie zagrożenia. Pokrzykiwali co jakiś czas, a raczej przygadywali sobie, sądząc po towarzyszących temu wybuchach śmiechu. To ułatwiło Pamiętającemu pierwszą część zadania, czyli niepostrzeżone zejście ze szczytu wieży, ale mogło stanowić duże utrudnienie przy realizacji ostatniej fazy jego planu. Zdjęcie czterech żołnierzy pomiędzy kolejnymi żartobliwymi uwagami, zanim którykolwiek zauważy, że kumpel nie reaguje, wydawało się nierealne.

Dla Ducha nie było już odwrotu. Nie miał zamiaru odpuścić. Znalazł się w Riese, by przynieść zgubę Pułkownikowi i jego ludziom, a eliminacja oddziału wysłanego do radiostacji była do tego pierwszym krokiem. *Jeśli podołam zadaniu, pomyślał, czając się przy ścianie za uchylonymi prowizorycznymi drzwiami, i uda mi się zlikwidować ten posterunek, nie ściągając na siebie uwagi reszty tych drani, wyślę czytelny sygnał, że nadszedł czas, by zaczęli się bać. A nic tak nie demoralizuje ludzi jak czysty strach.*

Niedawne wydarzenia w sztolni z pewnością odbiją się negatywnie na morale załogi Riese, lecz zabicie tej szóstki, cichcem, w bardzo okrutny sposób, powinno zszargać nerwy tym, którzy pojawią się na powierzchni później. Na razie wszystko wskazywało, że Pułkownik – albo któryś z jego zastępców – zlekceważył uciekinierów i nie wysłał w pole tych żołnierzy co trzeba. Pamiętający nie trafił bowiem na weteranów, którzy brali udział w tłumieniu buntu niewolników; nie wysłano przeciw niemu doborowych jednostek tutejszej gwardii, tylko niedoświadczonych młokosów, być może dopiero rozpoczynających szkolenie wojskowe.

Zabijanie dzieciaków nie sprawiało Duchowi żadnej satysfakcji, tak samo pozbawianie życia kobiet, zwłaszcza nie noszących mundurów, jednakże nie miał też z tego

powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Naoglądał się wcześniej zniszczeń, do których wszyscy Czyści z Riese przyłożyli rękę. Stosy stopionych ze sobą, zniekształconych przez szarą zarazę szkieletów w enklawach Republiki były wystarczającym usprawiedliwieniem każdej niegodziwości i okrucieństwa, których się dzisiaj dopuści. A to przecież tylko jedna z wielu zbrodni, jakich ci ludzie bądź ich bliscy dokonali na niewinnych, walczących wyłącznie o przetrwanie mieszkańcach Wrocławia.

Zemsta nade wszystko! Takie było święte prawo nowego świata, z którego zamierzał w najbliższych dniach korzystać do woli.

Odczekał, aż szczeniaki zaczną rzeć z kolejnej żartobliwej uwagi, a gdy z zewnątrz dobiegł charakterystyczny piskliwy śmiech, wysunął się na światło dzienne i zamarł pół kroku za rozbawionym chłopakiem. Z tej perspektywy stojący przed nim gnój przypominał Niemotę. Był niewysoki, miał zgarbione ramiona i charakterystyczne skrzywienie kręgosłupa. Nawet kształt jego głowy pasował idealnie, nie wspominając o osadzeniu jej na zbyt krótkim karku.

Pamiętający musiał zacisnąć na moment powieki, by odepchnąć od siebie natrętną wizję. To ścierwo nie było jego synem! Nie należało nawet do tego samego gatunku!

Miał przed sobą gnidę po stokroć gorszą od mutków. Chwasta, którego należało wyrwać...

*To za Niemotę!* – wykrzyczał w myślach, zrywając się i zadając cios w plecy, pod żebro, tak by klinga sięgnęła serca. Chwycony za gardło strażnik nawet nie zipnął. Zachłysnął się wciąganiem powietrzem, zadrzał, a potem zwiotczał jak balon, z którego ktoś wypuścił cuchnące powietrze. Duch wciągnął go pośpiesznie do wnętrza wieży, potem znów wyszedł na zewnątrz i wychylając się ostrożnie za kamienne obramowanie schodów, namierzył wzrokiem drugiego z Czystych. Ten stał oparty plecami o mur i przyglądał się obojętnie kępie niezbyt bujnych zarośli.

Zajście go z boku wydawało się niemożliwe, jednakże takie wyzwania rozbudzały tylko wyobraźnię dawnego Czarnego Skorpiona. Remer w ciągu kilku sekund rozważył tuzin opcji, po czym wybrał tę, która jego zdaniem miała największe szanse powodzenia.

Zeskoczenie tamtemu na łeb byłoby najprostszym z rozwiązań, lecz z wiadomych przyczyn nie wchodziło w grę. Narobiłby przy tym za dużo hałasu, alarmując pozostałą dwójkę. Jednemu z nich dałby pewnie radę, zanim padną strzały, ale ostatni, bez względu na to, jak by się zachował, zyska szansę na użycie broni. A oddanie przez niego choćby jednego strzału oznaczało przegraną.

Duch nie obawiał się tego, że tamten może go zabić: obserwująca wydarzenia u stóp wieży Iskra nie pozwoli Czystemu dokładnie wymierzyć. Chodziło o to, że nie mógł pozwolić, aby cokolwiek zepsuło efekt propagandowy całej akcji. Wysyłani przeciw niemu Czyści mieli panikować już w chwili wydania rozkazu wymarszu, zamiast wierzyć, że jako zespół mają szanse na wygraną.

Wybrał więc inną drogę. Wychylił się poza kamienne obramowanie schodów i wymierzył dokładnie shurikenem. Tym razem stalowa gwiazdka wbiła się w szczytową część kości ciemieniowej. Pamiętający włożył w ten zamach tyle siły, że ciężki i piekielnie ostry kawałek metalu wszedł dużo głębiej niż poprzednim razem. Zabity żołnierz osunął się wolno po ścianie, jak wcześniej jego koleżanka przy radiostacji.

*Cztery zero*, pomyślał Pamiętający z mściwą satysfakcją, przerzucając nogi na drugą stronę obmurówki. Zawisł na rękach, po czym zeskoczył ostrożnie na ziemię, lądując niemal bezgłośnie obok zwłok. Przeciągnął je szybko w prawo, za załom ściany, między tylne wejście – niestety wciąż dobrze zamknięte – a spróchniałą ławeczkę.

Teraz musiał dokonać kolejnego wyboru: w jakiej kolejności zdjąć pozostałą parkę. Zanim zdążył się nad tym zastanowić, usłyszał głos Czystego, który pilnował wieży od strony powalonego masztu.

*Szlag, pomyślał, no i po zaskoczeniu.*

– Dobra, mam! – rzucił tymczasem chłopak, podnosząc głos, tak by usłyszeli go wszyscy kompani. – Przychodzi baba do lekarza i mówi: panie doktorze, wyrostek mi dokucza. A doktor na to: kopnij pani szczyła, to się odczepi!

– Było! – zawołał natychmiast ten drugi, rechocząc złośliwie.

– Kiedy?

– Rano przed odprawą! Tadek opowiadał.

– Sranie w banie! – uniósł się opowiadający.

Zerkając zza obłości ściany, Remer zauważył, że stojący bliżej żołnierz odwraca się twarzą do swojego, niestety niewidocznego z tego miejsca, kolegi. Natychmiast dostrzegł w tym szansę. Jeśli tamten pozostanie w tej pozycji jeszcze kilka sekund...

Zakradł się za plecy samozwańczego sędziego, po czym przywarł plecami do muru, czekając, aż ten skończy się wyklócać. Czysty zamilkł w końcu, a wtedy zimna stal odebrała mu życie. Skonał błyskawicznie, po czym został odciągnięty nieco dalej i złożony obok ciała zabitego wcześniej kompana.

*Pięć zero.*

– Tadek, ty świnió, nie drzyj ze mnie łacha, tylko gadaj, jak było! – żołądkował się tymczasem ostatni

z Czystych.

Wyglądało na to, że ma pretensję do któregoś z pozostałych członków oddziału. Na pewno nie do tego, z którym dopiero co rozmawiał. Pamiętający przesunął się powoli w jego kierunku, nie odrywając pleców od chłodnej ściany. Po kilku krokach dostrzegł tamtego. Zdziwiony brakiem odpowiedzi chłopak odwrócił się do niego plecami i ruszył w kierunku schodów. Nie było czasu na finezję.

– Tadziu?

To było ostatnie słowo, jakie wypowiedział w swoim krótkim życiu. Rzucony nóż wbił się w sam środek jego pleców. Wszedł głęboko, tuż przy kręgosłupie, ale nie zabił. Chłopak stęknął głośno, zachwiał się, po czym padł na kolana, tocząc wokół zdziwionym spojrzeniem, jakby szukał wzrokiem przyczyny paralizującego go bólu. Zdumienie niespodziewanym atakiem było tak wielkie, że dopiero po kilku sekundach spróbował sięgnąć po leżącą obok broń. Wtedy jednak Pamiętający stał już tuż za nim.

Chwycony za gardło Czysty zakwilił. Z jego ust na rękę napastnika pociekła gęsta ślina wymieszana z pieniącą się krwią.

– Tadzio nie może, więc ja ci odpowiem. Albo nie. Teraz moja kolej na kawał. Przychodzi baba do lekarza, a on pyta: ma pani biust? Ona odpowiada: tak. Na co on: to

dlaczego pani go nie nosi? Wygrałem – dodał szeroko uśmiechnięty, przeciągając wyszarpniętym z rany nożem po gardle ofiary.

Nie kłamał, był ostatnim, który opowiedział nowy kawał na zadany temat, na tym bowiem polegała ta gra. Skąd wiedział, że żaden z tamtych nie opowiedział go wcześniej? To proste.

Sam to właśnie wymyślił.

\* \* \*

– Co teraz? – zapytała Iskra, gdy zwłoki wszystkich żołnierzy zostały ułożone w równym szeregu przed kryjącym szkielety wejściem do pomieszczenia kas, a oni ponownie wspięli się na szczyt wieży.

– Teraz przyczaimy się gdzieś w pobliżu wylotu sztolni – odparł Pamiętający, machinalnie czyszcząc nóż o bluzę jednej z zabitych kobiet.

– Zdurniałeś?

– Nie – zapewnił ją. – Musimy robić to, czego najmniej się spodziewają. Nie zdobyliśmy mapy, nie znamy terenu. Odchodząc dalej, możemy zapędzić się w kozi róg, to znaczy w miejsce, z którego będziemy mieli tylko jedną drogę ucieczki: powrotną. Pamiętasz kwiaty?

– Pamiętam – odwarknęła. Nie podobało jej się, że znów przypomniał o tamtym błędzie. – Skoro mamy



zrobić coś, czego się nie spodziewają, może przyczaimy się gdzieś tutaj – zaproponowała, wykorzystując zamyślenie Pamiętającego.

– Nie możemy zostać przy wieży, bo Czyści na pewno przeczeszą całą okolicę, gdy się tu pojawią. A przylezie ich tutaj cała sfora, możesz mi wierzyć. Powrót pod sztolnię wydaje mi się najwłaściwszy. – Posłał jej jedno z tych swoich spojrzeń, mówiące, że wpadł na kolejny pomysł. – Możemy zdjąć nowych strażników, jeśli ich tam wystawili. Niech myślą, że po udanej eskapadzie na zewnątrz wróciliśmy do kompleksu, by tam siać chaos i zniszczenie. – Uśmiechnął się do siebie. – Niech srają w gacie i przetrząsają całe podziemia, podczas gdy my będziemy smacznie spali na łonie natury.

– Ty strasznie podstępny jesteś, dziadzia, wiesz?

Duch nie odpowiedział, wsunął nóż do pochwy, po czym wstał i rozejrzał się po galerii. Czasu mieli sporo, Czyści nie zorientowali się jeszcze, że stracili posterunek koordynujący ich działania. To niedługo pewnie się zmieni, ale zanim kolejni żołnierze zdążą dotrzeć na szczyt góry, musi upłynąć ze dwadzieścia minut, może nawet pół godziny, a wtedy nie będzie tu śladu po nieuchwytnych napastnikach.

Jego wybór padł na radiostację. Obejrzał ją pobieżnie, popstrykał przełącznikami, a gdy diody na obudowie

zapłonęły, chwycił przyniesiony na górę karabin i potraktował aparaturę stalową kolbą. Wystarczyło kilka uderzeń, by cenny dla przeciwnika sprzęt zamienił się w kupę złomu. Skurwiele na pewno mieli więcej radiostacji, ale z tej już nie skorzystają.

Iskra uśmiechnęła się szeroko, gdy zobaczyła, co robi Pamiętający. Sama też pragnęła siać zniszczenie, uniosła więc nogę, by kopnąć w trójnog, na którym stał najbliższy teleskop.

– Czekaj – powstrzymał ją, chwytając za ramię.

– Ej! – prychnęła, uwalniając się jednym szarpnięciem. – Tylko ty możesz się zabawiać?

– Spokojnie. – Cofnął dłoń, stając przy okularze. – Będiesz mogła je sobie porozwalać, ale jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?

– Zaraz zobaczysz.

Spojrzał za okno, potem przyłożył oczy do lekko już sparciałej gumy. Ustawił właściwy kąt, poprawił ostrość. Na koniec odsunął się, robiąc dla niej miejsce.

– Co? – mruknęła, wciąż rozeźlona.

– Patrz.

Posłała mu miażdżące spojrzenie, po czym pochyliła się nad teleskopem.

– Co to jest? – zapytała, nie odrywając oczu od obrazu, który jej pokazał.

– Wrocław.

– Ale jak... – Teraz się wyprostowała. – Przecież...

– Później ci wytłumaczę. Na razie uwierz mi na słowo.

Ta samotna góra tam – wskazał ręką za okno – to Ślęza, a zaraz za nią zaczyna się nasze miasto – kontynuował, gdy dziewczyna przywarła po raz kolejny do okularu.

Pamiętający przyglądał się tymczasem reszcie otaczającego ich krajobrazu, a z tak dużej wysokości jego wzrok mógł sięgnąć naprawdę daleko, na dziesiątki kilometrów. Pomiędzy tym szczytem a miastem, z którego ich wywieziono, rozciągał się lekko tylko pofałdowany teren. Tu i ówdzie Duch dostrzegał ciemniejsze plamy, głównie w miejscach, gdzie leżały ongiś większe miejscowości, teraz obrócone w perzynę, podobnie jak stolica Dolnego Śląska. Nie przez atak nuklearny, ale jego długofalowe skutki.

Wrocław długo opierał się zmutowanym formom fauny i flory, ponieważ w jego ruinach przetrwało wystarczająco dużo istot odpowiedzialnych za zniszczenie dawnego porządku. Ułamek, na pewno nie więcej niż dwa procent dawnych mieszkańców metropolii nie tylko przeżyło, ale też walczyło dzień po dniu, godzina po godzinie, o prawo do dalszego istnienia; wycinając, wypalając, niszcząc w każdy dostępny sposób emanacje powstających w straszliwym tempie mutacji. Tam jednak,

gdzie zabrakło ludzi – bądź determinacji – nowy ekosystem miał się nad wyraz dobrze i pochłaniał bez przeszkód coraz to większe połacie ziemi.

Z perspektywy tego szczytu widać to było wyraźnie. Kiedyś tutejszy krajobraz miał setki odcieni zieleni, dzisiaj mienił się wszystkimi barwami tęczy. Tylko część pobliskich gór i parę leżących pomiędzy nimi dolin zdołało zachować dawną kolorystykę; im dalej Pamiętający spoglądał, tym było gorzej. Mutanty nie znały takich pojęć, jak rozważa czy litość. Istniały, by pożerać i pochłaniać wszystko wokół, dążyły do zapanowania nad starym światem z determinacją, której pozazdrościć im mogli nawet Czyści.

Spoglądając na rozmiary zniszczeń, Pamiętający zwątpił. We wszystko. W sens tej walki, a nawet kurczowe trzymanie się życia. Tam, w ruinach, z których przybył, ludzie mieli jedno wielkie marzenie – wydostać się, przebić przez pas największego skażenia i dotrzeć do hipotetycznych, zapomnianych przez Boga oraz ludzi zakątków, w których woda wciąż była czysta, a trawa zielona. Gdzie dało się oddychać pełną piersią, bez potrzeby zakładania maski.

On zdołał tego dokonać. Stał teraz w jednym z takich miejsc, lecz dotarł tu tylko po to, by zrozumieć, że ucieczka nie miała wielkiego sensu.

Jakkolwiek daleko by dotarł, wszędzie czekała go porażka. Jedne oazy życia przetrwają rok, inne może nieco dłużej, ale wszystkie są z góry skazane na zagładę. Także ta okolica. Czyści mieli cholerne szczęście, że w pobliżu nie było żadnych celów strategicznych, wartych zrzucenia bomby czy uderzenia głowicy. Chociaż...

Kiedy skierował teleskop na odległy o zaledwie siedemnaście kilometrów Wałbrzych, trafił na ropiejący nowotwór strefy wyjątkowo dużego skażenia, której rozmiary przekraczały jego zrozumienie. W tym prowincjonalnym mieście było dzisiaj po stokroć gorzej niż wokół wrocławskiego punktu zero. Dzięki doskonałej optyce sprzętu służącego do obserwacji Księżyca i gwiazd mógł wyraźnie zobaczyć, że te budynki, które wystają wciąż ze skłębionej wielobarwnej rafy mutacyjnych wynaturzeń, wyglądają na nietknięte. W wielu oknach na górnych piętrach bloków mieszkalnych i kamienic widział wciąż szyby. Stojące wysoko słońce odbijało się w nich właśnie kaskadami oślepiających refleksów.

Nie dostrzegł żadnych śladów kilotonowej eksplozji, a mimo to całe miasto zostało pochłonięte przez fale mutacji, które rozlewały się teraz na wszystkie strony, pełznąc dolinami w kierunku Riese niczym macki gargantuicznej bestii. Nawet wzniesienia okalające Wałbrzych pokrywała już gruba masa gąbczastych,

lśniących narośli.

Gdziekolwiek Pamiętający spojrzeł, wszędzie miał przed oczami setki kilometrów kwadratowych braku nadziei i czarnej – choć nie barwą – rozpaczy.

## ROZDZIAŁ 14

# Suma wszystkich strat

Ponury jak chmura gradowa Pułkownik siedział w należącym tylko do niego fotelu u szczytu krótkiego stołu konferencyjnego. Sądząc po minie, gotów był zagryźć pierwszego, kto się do niego odezwie. Czekał tylko na okazję, która na szczęście dla zebranych nigdy nie nadeszła. Gdy cisza zaczęła się niebezpiecznie przedłużać, do akcji wkroczyła jak zwykle Tamara.

– Wszyscy wyjść! – rzuciła ostrym tonem, stając za plecami wściekłego przywódcy podziemi.

Członkowie tak zwanej Rady nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Ulotnili się z gabinetu przełożonego tak szybko i cicho, jakby przebywali w nim jedynie duchem, nie ciałem.

– Wredna szmata! – syknął Andrzej, ledwie zostali sami. – Wiedziałem! Kurwa, wiedziałem! Od samego początku coś mi tam śmierdziało!

Tamara musiała przyznać mu rację. Tam, czyli na górnej stacji, stał się podejrzliwy, gdy tylko chłopcy

znaleźli martwego skopca. Węszył spisek i choć wtedy nikt nie podzielał jego punktu widzenia, okazało się, że tym razem przeczucie go nie myliło. Śmierć skopca w trakcie transportu nie była przypadkowa, teraz nawet ona to widziała, mimo że jeszcze godzinę temu była gotowa bronić swoich racji. W ostatnim transporcie przemycono wrogiego agenta, a nawet dwoje szpiegów tej wrocławskiej suki.

– Stefan już czeka – poinformowała oficjalnym tonem, odsuwając na bok czarne myśli.

– Niech wejdzie!

Tamara nacisnęła przycisk interkomu. Nie musiała nic mówić. Dowódca grupy zadaniowej wiedział, co oznacza natarczywy, choć krótki brzęczyk. Moment później drzwi, za którymi zniknęli wychodzący pracownicy centrum dowodzenia, otworzyły się ponownie i stanął w nich ponadtrzydziestoletni mężczyzna o pociągłej, pozbawionej zarostu twarzy. Trudno było odgadnąć, jakiego koloru ma włosy, ponieważ w tych miejscach na jego głowie, gdzie jeszcze się trzymały, czyli głównie za uszami i nad karkiem, zostały tak krótko przystrzyżone, że trzeba by lupy, aby je wyraźniej zobaczyć.

– Porucznik Stefan Napora melduje się na rozkaz – wymamrotał zwyczajową formułkę, stając na baczność krok za progiem.



Nie mógł widzieć miny przełożonego, jednakże opuszczający to pomieszczenie ludzie z pewnością podzielili się z nim spostrzeżeniami, dlatego prężył się jak głupi, pozując na twardziela, uznał bowiem, że tylko tak uniknie natychmiastowego zgnojenia.

– Spocznij. – Tamara postanowiła wyjąć mu kij z dupy.

Irytowały ją te wszystkie wojskowe zwyczaje, którym nadal hołdowali otaczający ją mężczyźni. Jakby im jeszcze było mało...

– Tak jest! – Stefan nie poddawał się, rozstawił szerzej nogi, po czym złożył ręce za plecami i dumnie podniósł głowę, wbijając wzrok w sufit.

– Siadaj, człowieku. – Pułkownik choć raz wziął jej stronę.

To pokazywało, jak głęboko wstrząsnęły nim ostatnie meldunki.

– Tak... – Porucznik chyba też to zrozumiał, ponieważ przełknął ostatnią sylabę służbowej odpowiedzi, po czym zajął miejsce na najbliższym krześle, odwracając je tak, by znaleźć się twarzą do obojga przełożonych.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał go Andrzej.

– Wysłałem na powierzchnię siły szybkiego reagowania – zameldował Stefan. – W pościgu biorą udział cztery oddziały po ośmiu ludzi. Dwa zajdą im drogę

od północy, dwa od południa. Operację koordynuje Maja Rachwalska, oczywiście z wieży. Nie wymkną się nam. To tylko kwestia czasu, zanim...

– Z kim mamy do czynienia? – wpadła mu w słowo Tamara.

Porucznik spojrzał na nią ostro, przysięgłaby, że zauważyła w jego wzroku cień pogardy. *Kolejny samiec alfa w tym stadzie*, pomyślała z odrazą.

– W jakim sensie?

– Dowodziłeś oddziałem transportowym, który przywiózł tutaj podludzi – doprecyzowała. – Tylko ty z nas trojga widziałeś ich z bliska. Chcemy wiedzieć, kim są, jak wyglądają.

– Normalnie, jak te wszystkie kanałowe parchy. W niczym nie odstawali od reszty. – Stefan wzruszył ramionami. – A jeśli już, to tylko na gorsze. Cała ta partia skopców była jakaś taka... wybrakowana.

– Odpowiedz na pytanie! – warknął Pułkownik.

Tamara wyręczała go w tej rozmowie, ponieważ był tak wściekły, że mógłby się rzucić do gardła każdemu, kto go nie zadowoli, czyli wszystkim bez wyjątku, a na to nie mogli sobie teraz pozwolić.

– Tajest! – Porucznik nie musiał się zastanawiać. Maszerując do centrum dowodzenia, miał wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć wszystko trzy razy

i przypomnieć sobie każdy detal, o który może zostać zapytany. – Prowodyrem na pewno jest ten mężczyzna. Wzrost średni, waga, na oko, jakieś sześćdziesiąt pięć, maksymalnie siedemdziesiąt kilogramów. Wiek... – tutaj zawahał się po raz pierwszy. – No, stary był. Na pewno po czterdziestce...

– Zatem to Pamiętający... – mruknął Pułkownik.

– Na to wygląda. Zastrany po uszy Pas, a w każdym razie ktoś, kto jakiś czas temu przeszedł u nich inicjację. – Stefan przeciągnął trzema wyprostowanymi palcami po lewej ręce, imitując ślady, jakie zdobią skórę każdego, kto decyduje się przystać do mniejszej z kibolskich społeczności. – A skoro już jesteśmy przy bliznach: facet swoje przeżył, tyle mogę powiedzieć. Poza tym ktoś albo coś pozbawiło go palców u prawej dłoni. I to chyba całkiem niedawno... – Pokręcił głową, jakby znów miał przed sobą kalekę, którego opisywał.

– Coś jeszcze? – zapytała Tamara, wrywając go z zamyślenia.

– A to mało jeszcze? – uśmiechnął się blado, ale zaraz spoważniał.

– Jakież znaki szczególne?

– Na twarzy miał tatuaż, znaczy bardziej na skroni, ale zachodzący na policzek i czoło. Dziwny taki, jakby kreski, a pomiędzy nimi...

– ...kóleczka? – wpadł mu w słowo Pułkownik, pochylając się nad stołem.

– No – przyznał zaskoczony porucznik. – Takie jakby małe kóleczka.

– Dużo ich było?

– Zarośnięty był jak zwierzę, do tego brudny – tłumaczył się Stefan – a w kwaterach zostawiliśmy tylko tyle oświetlenia, żeby guza sobie nie nabić, więc...

– Dużo ich było?! – To samo pytanie padło powtórnie, tyle że dużo bardziej natarczywym tonem.

– No... sporo. Na pewno miał je nad okiem, tutaj i tutaj... – Porucznik pokazywał różne miejsca na prawej połowie twarzy. – A, i pośrodku czoła miał też długą krechę! – przypomniał sobie.

– Czarny Skorpion... – wyszeptał przejęty tym odkryciem Pułkownik. – Weteran. Oficer.

– Niemożliwe – obruszyła się Tamara. – Załatwiliśmy ich wszystkich. Stary Bondarczuk zarzekał się na wszystkie świętości, że jego agenci wykończyli tę garstkę, która przetrwała epidemię i zdołała zbiec do Miasta, a reszta najemników na pewno nie przeżyła okupacji Dresów i Pasów. Kibole polowali przecież na każdego, kto miał tatuaż na gębie. A już zwłaszcza na oficerów. Dzięki wsparciu Otchłani mogli dawać atrakcyjne nagrody za wystawienie swoich dawnych wrogów, możesz mi więc

wierzyć, że chętnych nie brakowało.

– A jednak któryś z nich zdołał przetrwać... – Dowódca Riese nerwowo skubał zarośnięty szczecina policzek.

– To raczej pozer, który zrobił sobie tatuaż, gdy już nikt się Skorpionami nie przejmował – obstawała przy swoim. – Słyszeliśmy o takich przypadkach.

– Nie, nie. Prędzej to jakiś dezertor, który przyłączył się do Pasów, zanim wypuściliśmy wirusa. – Pułkownik obrócił się do zarządczyni. – Trzeba to sprawdzić. Za... – umilkł, nie kończąc słowa „zadzwoń”. Ta opcja komunikacji z Wrocławiem nie była chwilowo dostępna. – Nieważne... Wiemy o nim wystarczająco dużo, by domyślić się całej reszty. A co powiesz o kobiecie? – Przeniósł wzrok na podwładnego.

– Jest od niego sporo młodsza – podjął Stefan, który z niedowierzaniem przysłuchiwał się wcześniejszej wymianie zdań. Czarne Skorpiony były dla niego czymś w rodzaju miejskiej legendy. Straszono go nimi, gdy był dzieckiem. – Po mojemu to nawet nie kobieta, tylko dziewczyna, nastolatka... – Zrobił taką minę, jakby nagle doznał olśnienia. – Szefie, ona jest nieistotna. To tylko narzędzie. Sprowadził ją tutaj celowo, żeby odciągała od niego uwagę naszych podczas ewentualnej kontroli.

– Skoro tak, dlaczego jej nie zostawił, tylko powlókł ze

sobą? – zapytała kpiącym tonem Tamara.

– Przecież to oczywiste! – Spojrzeli na nią obaj z równie wielkim politowaniem, ale to Andrzej był tym, który odpowiedział. – Aby nie wypaplała wszystkiego, co o nim wie, musiał ją zabić albo zabrać ze sobą. Z jakiegoś powodu wybrał drugie rozwiązanie.

– To logiczne – przyznała, udając, że nie zauważa ich zadowolonych min. Umiała pacyfikować facetów, którzy próbowali ją zdominować, nauczyła się tego już dawno, lecz prawdziwe mistrzostwo osiągnęła w ciągu trzech lat piastowania fikcyjnego stanowiska. – A jednak będzie mu tylko zawadzać... – dodała, by zmienić temat.

– Owszem. Dlatego jestem pewien, że już się jej pozbył albo zrobi to wkrótce – kontynuował Stefan. – Jeśli jest zawodowcem, nie może dopuścić, żeby go spowalniała bądź zostawiała zbyt czytelny trop.

– Mam w dupie, co z nią zrobi – warknął poirytowany Pułkownik. – Skupmy się na tym śmieciu.

– A na czym tu się skupiać, szefie? – Porucznik machnął ręką. – Mamy na powierzchni trzydziestu ośmiu ludzi. Dopadniemy go, zanim słońce zajdzie.

– A jeśli wam się nie uda? – zapytała spokojnie Tamara.

– Co ma się nie udać. Ścierwo nie zna terenu, nie ma zapasów żarcia ani tym bardziej pojęcia, co może mu

zagrozić. Jeśli będziemy mieli wyjątkowego pecha, sam wpakuje się do którejś ze stref i tam zdechnie, zanim go dopadniemy.

– Ty to nazywasz pechem? – zdziwiła się zarządczyni.

– Owszem. Chłopcy pałają taką żądzą zemsty, że najchętniej rozerwaliby go gołymi rękami. To ścierwo zabiło czwórkę naszych! – dodał z wyrzutem w głosie.

– Piątkę.

– Co?

– Ten człowiek zabił pięcioro naszych – uściśliła Tamara, kładąc akcent na liczebnik.

– Tak, przepraszam, zapomniałem o Agnieszce.

Zbyła tę niby skruszoną odpowiedź zwykłym wzruszeniem ramion, jakby poprawiała go mechanicznie, a nie dlatego, że pominął w swojej rachubie zabitą kobietę. Zabolalo ją to jednak bardzo, ponieważ po raz kolejny została uświadomiona, w jak skrajnym patriarchacie przyszło jej żyć.

– Czy to już wszystko? – zapytał Stefan. – Lada moment spodziewamy się spłynięcia pierwszych meldunków. Wolalby być na stanowisku... – Spojrzał pytająco na Pułkownika.

– Możesz odejść. – Tamara uprzedziła Andrzeja. – Tylko melduj nam natychmiast o...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Stała w nich blada

jak ściana Anna, jedna z dyżurnych, które przed paroma minutami opuściły gabinet.

– Oni... – wyszeptała. – One...

– Mówże, u licha, o co chodzi! – ryknął Pułkownik, zrywając się z fotela.

Kobieta skuliła się jeszcze bardziej, po czym... wybuchnęła płaczem. W tym momencie było już całkiem jasne, że coś poszło nie tak.

Zarządczyni ruszyła w kierunku drzwi, posyłając miazdzące spojrzenie szykującemu się do kolejnego ataku partnerowi. Objęła dyżurną ramieniem, przytuliła do piersi, pogłaskała po głowie, a gdy ta uspokoiła się nieco, odsunęła ją na odległość wyprostowanych rąk i zapytała:

– Co się stało?

– Zabili Maję – bąknęła zapłakana kobieta. – I Zoję...  
Wszystkich ich tam wymordowali, przy wieży.

\* \* \*

Minęła godzina od chwili, gdy przed wejściem do wieży obserwacyjnej znaleziono ułożone równo zwłoki zmasakrowanych żołnierzy i zabitych na galerii kobiet. W tym czasie Andrzej posłał na powierzchnię cztery kolejne ośmioosobowe oddziały, rozkazał też chłopakom, by przetrząsnęli wszystkie zarośla, zajrzeli pod każdy kamień leżący w pobliżu szczytu. Pomimo oddania ludzi



sprawie jak dotąd nie trafiono na ślad uciekiniera. Zupełnie jakby ścigali nie człowieka, lecz ducha. Czy też może parę duchów, ponieważ – wbrew zapewnieniom Stefana – nie udało się także znaleźć zwłok dziewczyny, co oznaczało, że albo zostały przemyślnie ukryte, albo ta gówniara była równie dobra jak jej stary kompan. To drugie wydało się Pułkownikowi bardziej prawdopodobne.

– Ośmiu chłopaków... – szepnął po raz dziesiąty. – To, że zdołał załatwić strażników w sztolni, było dla mnie zrozumiałe. Miał przewagę zaskoczenia, poza tym nasi byli podzieleni, musiał więc mierzyć się tylko z dwoma naraz. Ale tam, przy wieży... – Pokręcił głową. – Zdjął ich wszystkich, jednego po drugim, bez oddania strzału, a potem wszedł na górę i zaszlachtował te biedne dziewczyny...

– Nie uważasz, że było odwrotnie? – zapytała Tamara.

– Co było odwrotnie? – Spojrzał na nią tak tępo, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi.

– Najpierw zabił Maję i Zoję, a dopiero potem zajął się chłopakami.

– Skąd taka myśl?

– Stąd. – Postukała palcem w raport otrzymany od dowódcy drużyny, której kazano wejść na szczyt Wielkiej Sowy i sprawdzić, dlaczego radiostacja nie odpowiada na wezwania centrali. – Maja i Zoja nie zdążyły rozpakować

rzeczy. Gdyby zaczął od likwidacji chłopaków, potrzebowałby co najmniej kilku minut na...

– Racja – wszedł jej w słowo, zrywając się na równe nogi.

Zdziwił ją szeroki uśmiech zdobiący jego twarz.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytała z urazą w głosie.

– Nie rozbawiło, tylko ucieszyło – poprawił ją.

– Dobrze, w takim razie co cię tak ucieszyło?

– Zaczynasz zwracać uwagę na drobiazgi, które mają niebagatelne znaczenie, ale nadal umyka ci szersza perspektywa... – rzucił protekcyjnym tonem, którego tak nie cierpiała. Lubił pokazywać, gdzie jest jej miejsce, nawet jeśli robił to nieświadomie. – Skoro nasz Pamiętający był na wieży, kiedy nasi tam przyszli, to znaczy, że nie jest aż tak dobry, jak nam się do tej pory wydawało.

– Niby dlaczego? – Skoro miała robić za słodką idiotkę, to na całego.

– Doświadczony żołnierz nie dałby się aż tak zaskoczyć. Zauważyłby w porę, że do jego kryjówki zbliża się sześcioro dobrze uzbrojonych ludzi...

– Dziewczyny nie miały broni. – Przypomniała mu, że dwie z sześciu kolejnych ofiar nie nosiły mundurów, choć teoretycznie służyły w siłach zbrojnych Riese.

– Czepiasz się słówek – rzucił urażonym tonem –

a mnie chodzi o to, że nikt rozsądny nie zostałby w miejscu, z którego nie ma ucieczki, zwłaszcza gdy zbliża się do niego przeciwnik, i to mający sporą przewagę liczebną. To nielogiczne.

– A jeśli on został tam celowo? – skontrowała.

– Co znaczy: celowo?

– Mógł uznać, że tylko tak uda mu się osiągnąć cel, którym była skryta eliminacja całego oddziału.

– Myślisz? – Andrzej się zasepił. – Wiesz, to, co mówisz, ma sens... Facet zdobył sporo broni palnej, ale nie mógł jej użyć, bo wiedział, że ściga go masa ludzi i pozostałe jednostki natychmiast zareagują na odgłosy strzelaniny, i osaczą go na szczycie. Druga sprawa: wokół wieży mamy rozległe gołoborza. Gdyby prysnął na skraj najbliższego lasu i tam się przyczaił, by sprawdzić, jakie pozycje zajmą strażnicy, nie miałby wielkich szans na niezauważony powrót. I tu znów dochodzimy do strzelaniny, która jak już wiemy... – zamilkł. – Tak. Kanalia musiała zasadzić się na wieży.

*Tym samym zaanektował mój pomysł, nawet nie dziękując. Za chwilę będzie święcie przekonany, że sam do tego wszystkiego doszedł.*

– Jednego tylko nie rozumiem – odezwała się Tamara. – Dlaczego on czy też oni podejmują takie ryzyko? Czy nie powinni czaić się w pobliżu torów, jak

poprzedni... – pominęła słowo „domniemani” – agenci Bondarczuk, i czekać grzecznie na wysłanie przez nas kolejnego pociągu do Wrocławia?

– Dobre pytanie – przyznał Pułkownik, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

– Znam jeszcze lepsze. Dlaczego skurwysyn urządził nam pokazówkę z układaniem zwłok? – dodała, nie mogąc znieść przedłużającej się w nieskończoność, rozstrajającej nerwy ciszy.

– To akurat jest dla mnie jasne – odparł Andrzej. – Gnida próbuje zasiać panikę, obniżyć morale naszych chłopaków. Pomyśl, on jest jeden, a nas tak wielu. My znamy teren, a on nie. Jak w takiej sytuacji zwiększyć szanse na przeżycie?

– Zniechęcając przeciwnika do opuszczania zajmowanych pozycji – odpowiedziała, cytując zdanie zasłyszane na szkoleniu.

– Dokładnie. Gnój nie wie jednak, jakiego ma pecha... – Spojrzał jej prosto w oczy. – On jest tam sam, a ja mam ciebie, kochanie. Żeby nie wiem jak był dobry, razem przewyższamy go pod każdym względem. – Uśmiechnął się do niej szczerze, ciepło.

Czule.

I znów ją rozbroił. Drań cały dzień założył jej za skórę, ponieważ przy podwładnych, wywyższał się, a gdy

zaczynała mieć go dość, robił albo mówił coś takiego, że wszystkie krzywdy natychmiast szły w niepamięć. Tak jak teraz.

– Jak zareagujesz, skoro wiemy, już czego chce? – zapytała, żeby ukryć zakłopotanie.

Nie zdążył odpowiedzieć. W drzwiach gabinetu znów stanęła Anna.

– Co jest? – zapytali niemal równocześnie.

– Delta i Gamma meldują, że w okolicach Trójki padły strzały... – Z zewnątrz dobiegły jakieś krzyki, odwróciła więc na moment głowę. – Jest też meldunek z Trójki. To oni! Wrócili!

Andrzej wystrzelił jak z procy, odsunął zaskoczoną dyżurną na bok, wypadł za drzwi gabinetu i nie zwalniając, pognął do stanowiska łączności.

– Która ma Trójkę na linii? – zapytał wystraszone dyżurne, a gdy jedna z nich podniosła rękę, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, zgonił ją z krzesła.

– Tu Alfa, odbiór – rzucił do mikrofonu.

– Mówi Trójka – odpowiedź była, naturalnie, nieregulaminowa.

– Jak wygląda sytuacja, odbiór?

– Przed momentem zostaliśmy zaatakowani – raportował dyszący ciężko strażnik. – Z zewnątrz – dodał, jakby to nie było oczywiste.

Pułkownik zaklął w myślach. Szczeniaki miały w dupie instruktorów, z zajęć taktycznych robiły sobie podśmiejki, może z wyjątkiem strzelnicy, a on, rozleniwiony pasmem sukcesów, dawał na to przyzwolenie. Dzisiaj wszyscy za to zapłacą. Nie wyłączając jego samego, ponieważ z każdym wyeliminowanym żołnierzem powiększała się przewaga liczebna wrocławian, których też zaczynał traktować jak potencjalnych wrogów.

– Odparliście atak, odbiór? – zapytał.

– Chyba tak.

– Co znaczy: chyba?

– No... jak zacząłem strzelać, to oni przestali.

– Zaraz. – Andrzej ścisnął mocniej mikrofon. – Tylko ty odpowiedziałeś ogniem? A co z pozostałymi, odbiór?

– Nie wiem... – Dzieciak dyszał coraz głośniejsze. – Tomek leży tam, gdzie upadł, i się nie rusza. Adam też dostał, ale widzę go. Czołga się w moim kierunku... To on tak jęczy.

W tle rzeczywiście słyhać było niepokojące dźwięki, które Andrzej brał wcześniej za zawodzenie wiatru. Wzdrygnął się, gdy zrozumiał, co tak naprawdę słyszy.

– Świetnie się spisałeś – pochwalił chłopaka, aby dodać mu animuszu, choć miał szczerą ochotę udusić gnojka własnymi rękami. *Na przedpolu ma rannego*

*towarzysza broni, ale nawet dupy nie ruszył! Chociaż...*  
Może to i lepiej, pomyślał po krótkim zastanowieniu. Pamiętający mógł tylko czekać na taką okazję. Dał się zaskoczyć zwiększonej liczebności posterunku o dodatkowego strzelca, lecz naprawi swój błąd, jeśli tylko dostanie na to szansę. – Posłuchaj mnie uważnie, musisz utrzymać zajmowaną pozycję, chłopaki z Gammy i Delty dotrą do was najdalej za kilka minut, odbiór.

– Jak to: utrzymać? – Głos strażnika zaczynał się łamać. – Przecież oni już sobie poszli...

*Szlag, zamiast go uspokoić, narobiłem większego bajzlu.*

– Odpędziłeś ich, to pewne – pokrzepił spanikowanego chłopaka – ale wiesz, jak mówią, ostrożności nigdy za wiele. Dasz radę. Jesteś z Riese, a my przed nikim nie pękamy, odbiór!

– Ale ja tu jestem sam! – Głos tamtego przeszedł w pisk.

– Nie jesteś sam, przecież rozmawiam z tobą – zapewnił go natychmiast. Jedyne, co mógł zrobić, to nakręcić durnia jakimś motywacyjnym szajsem, ale w tym akurat nie był najlepszy. Znacznie lepiej wychodziło mu knucie i napuszczanie ludzi na siebie. – Posłuchaj mnie, po pierwsze nie tamci, tylko tamten, bo uciekinier, który was zaatakował, jest sam. Po drugie jestem święcie

przekonany, że już zwiął. Nie spodziewał się, że stawisz mu tak dzielny opór. A oddziały Delta i Gamma już idą z odsieczą...

– Przeszali strzelać – mamrotał niewyraźnie chłopak, jakby go nie słyszał. – Na zewnątrz jest cicho.

– Świetnie. Cisza to dobry znak, odbiór.

Cisza. Akurat. Jęki rannego były tak głośne, że zagłuszyłyby tupot szturmującej tę sztolnię kompanii, ale wolał nie uświadamiać tego balansującemu na krawędzi paniki dzieciakowi.

– Dobry?...

Durny szczył był do tej pory nakręcony akcją, buzująca w żyłach adrenalina sprawiła, że oparł się przez chwilę strachowi, ale ile to jeszcze potrwa? Sądząc po tempie, w jakim się rozsypywał, została mu jeszcze minuta, nie więcej. W głośniku nagle zrobiło się ciszej. Pułkownik dopiero po kilku sekundach zrozumiał dlaczego. Ranny przestał jęczeć, co oznaczało, że albo w końcu zemdlął, albo...

– Wytrzymasz, wierzę w ciebie... – zaczął mówić, by wypełnić czymś stresującą nawet jego ciszę, lecz zamilkł, uświadomiwszy sobie, że nie zna imienia zagadywanego strażnika.

Zanim zdążył o nie zapytać, z głośnika dobiegł głośny metaliczny kłopot, jakby chłopak upuścił coś ciężkiego, co



potoczyło się po kamiennym podłożu.

– Co to było, odbiór?

– Chyba granat... – usłyszał niezbyt przytomną odpowiedź.

Potępieńczy skowyt dzieciaka, który sekundę później zrozumiał, z czym ma do czynienia, utonął w ogłuszającym ryku, po którym zaległa grobowa cisza.

– Szlag... – szepnął Andrzej i zaraz się wzdrygnął, gdy Tamara położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nic nie mogłeś zrobić – wyszeptała mu do ucha. – To nie twoja wina.

Odwrócił głowę, nie wstając. Nogi za bardzo mu drżały, by ryzykował ich wyprostowanie, ale zanim zdążył otworzyć usta, z głośnika konsoli ponownie dobiegła seria chrobotów i trzasków.

– Jesteś tam jeszcze? – usłyszeli niewyraźne słowa.

– Tak, synu – odpowiedział bez zastanowienia, zanim dotarło do niego, że ten głos jest inny, bardziej charczący, jakby doroślejszy.

– To dobrze...

– Kim ty, kurwa, jesteś? – wymamrotał zdjęty strachem, cudem tylko nie zapominając o wciśnięciu klawisza nadawania.

– Jestem twoim największym koszmarem.

– Ciebie to... bawi? – Pobladły Pułkownik mimo

ogromu zaskoczenia zdołał rozpoznać znany filmowy cytat.

– Yippee-ki-yay, mutkojebco – padła zwięzła odpowiedź, po której wszyscy w centrum dowodzenia usłyszeli charakterystyczny trzask towarzyszący wyłączaniu krótkofalówki.

Pułkownik zerwał się z miejsca. Cisnął mikrofonem o konsolę z taką siłą, że plastikowa obudowa poszła w drzazgi. Złapał się za głowę, gdy zrozumiał, co zrobił w przyływie frustracji. Na jego szczęście w centrali były jeszcze dwa identyczne stanowiska.

– Łączcie ze wszystkimi oddziałami! – rozkazał dyżurnym, przerażonym tym, co przed chwilą usłyszały, i wybuchem szefa. – Mają przerwać działania w terenie i natychmiast wracać do dolnego kompleksu! Wyłączyć zasilanie windy prowadzącej do Trójki! Odizolować górną stację! Jednostki rezerwowe obsadzą wartownie pomiędzy sektorami dwadzieścia trzy i dwadzieścia cztery! Strzelać bez uprzedzenia do każdego, kto się pojawi!

– A co z Delta i Gamma? – zapytała Tamara. – Nie powinniśmy ich odwoływać w takim momencie.

– Racja. Delta i Gamma kontynuują misję! – rzucił po kilkusekundowym zastanowieniu. – Niech obsadzą wylot Trójki, ale do niej nie wchodzi. Mają się dobrze okopać na zboczu. Jeśli ten skurwiel spróbuje się wycofać, czeka go

nielicha niespodzianka. Ich jest szesnastu. Nie dorwie wszystkich, choćby się zesrał! – Ostatnie zdanie wyrzeszczał, czerwieniejąc na twarzy.

– Wykonać! – rzuciła Tamara do struchlałych dyżurnych, po czym zaciągnęła roztrzęsionego Andrzeja do gabinetu. Tam usadziła go w fotelu, naląła jemu i sobie po kieliszku bimbru. Wychylili pałacy trunek jednym haustem, jak nigdy. Oboje zaniemówili po mocnym jak spirytus alkoholu, lecz walka o odzyskanie tchu sprawiła, że gdy w końcu znów się odezwali, nie byli już tak spanikowani.

– Co dalej? – zapytała, gdy Andrzej spojrzał na nią nieco trzeźwiej.

– Nie pozwolę temu skurwysynowi na odebranie nam inicjatywy – zapewnił ją po chwili namysłu.

– Już mu na to pozwoliliśmy – zauważyła, choć bez cienia uszczypliwości. – Zmusił nas do wycofania wszystkich jednostek.

Przyglądał się jej przez naprawdę długą chwilę.

– Uważasz, że wtargnięcie do Trójki to ściema?

– Tak sędzę. Ale nie wolno nam ryzykować – zastrzegła się natychmiast. – Musimy reagować tak, jakby naprawdę usiłował wedrzeć się do kompleksu. Jeśli się mylę, mógłby narobić zbyt wielkich szkód. Może nawet zagroziłby realizacji projektu.

– Racja – zgodził się – ale...

Tamara przyjrzała się uważniej mapie, która posłużyła im wcześniej do opracowania wstępnej wersji planu.

– Jeśli nie wycofamy ludzi spod wieży, będziemy mieli szansę na wzięcie szmaciarzy w dwa ognie.

– O ile masz rację – powiedział.

– O ile mam rację.

Andrzej zastanawiał się tylko chwilę. Moment później zerwał się na równe nogi i ruszył do drzwi.

– Każcie grupie rezerwowej wracać pod wieżę – polecił dyżurnym. – Niech przeczesze górną część zbocza, schodząc od szczytu na Trójkę!

Po powrocie do gabinetu opadł ciężko na fotel. Spojrzał na butelkę bimbrowego ziemniaków przez najlepszych fachowców, jakich można było znaleźć w tych podziemiach. Skupił wzrok na zdobiącej ją nalepce, na której ktoś niezbyt wprawną ręką narysował skorpiona. Czarnego Skorpiona!

Twórca miał wprawdzie na myśli nie grupę najemników, którzy przyjęli po Ataku takie miano, tylko jad rzeczonoego stawonoga, żartobliwie porównując do niego moc swojego wyrobu, ale Pułkownika jakoś to teraz nie bawiło.

– I co teraz? – zapytała Tamara, nieświadoma jego przemyśleń.

– Stracimy kilkanaście godzin na dokładne przeczesanie tuneli w sektorach przylegających do Trójki – odparł po chwili namysłu. – Będziemy potrzebowali do tego wszystkich ludzi, jakimi dysponujemy, ale jeśli masz rację, nie na wiele się to zda... W razie gdy zwiali w dolinę natomiast...

– Cienie – odpowiedziała, zniżając głos.

Spojrzał na nią z takim wyrzutem, jakby chciała mu wbić nóż w plecy.

– Nie.

– Też wolałabym uniknąć sprowadzania tutaj Dąbrowskiego, ale obawiam się, że tym razem nie mamy wyjścia.

– Coś wymyślimy – machnął ręką, jakby chciał odgonić od siebie jej słowa.

– Nic nie wymyślimy, nie mamy na to czasu – przypomniała.

Andrzej zwiesił głowę. Wiedział, że co do tego na pewno się nie myli. Zdawał też sobie sprawę, że zaproponowała najlepsze z możliwych rozwiązań, niemniej wciąż miał opory przed wypowiedzeniem słów, na które czekała.

– Może jeszcze nie teraz...

– A kiedy? Termin ultimatum upływa za dwa dni.

*Kolejna prawda absolutna, przed którą nie da się*

*uciec.*

– Dobrze... – szepnął.

– Słucham?

– Wezwij Dąbrowskiego.

## ROZDZIAŁ 15

# Dolina

Ponowne wejście na szczyt było niesłychanie wyczerpujące, tym bardziej że Pamiętający nie zgadzał się na zwolnienie tempa marszu, o postojach nawet nie mówiąc. Iskra nie protestowała jednak, ponieważ wiedziała, jakie ryzyko wiąże się z pozostaniem w pobliżu oddziałów przeciwnika – a pod sztolnię podchodziły właśnie dwa takie zgrupowania Czystych: od wschodu i od południa.

Duch wybrał więc określną drogę, słusznie rozumując, że spanikowany Pułkownik odwoła z powierzchni większość wysłanych tam jednostek, oczywiście z wyjątkiem tych, które miały szanse przejąć intruza. Po rzuceniu granatu, który uciszył ostatniego obrońcę tunelu, pośpiesznym ogołoceniu stanowisk obrony ze wszystkiego, co mogło być przydatne, i wypowiedzeniu kilku zdań do krótkofalówki – co było totalną, ale chyba udaną improwizacją – Remer i towarzysząca mu dziewczyna natychmiast opuścili okolice wylotu sztolni.

Najpierw wspięli się kilkadziesiąt metrów wyżej, po czym skręcili w prawo, pokonując w największym miejscu szerokie osypisko, ostatnie miejsce, na którym schodzący ze szczytu przeciwnik mógł ich wypatrzeć. Na szczęście Pułkownik spanikował bardziej, niż powinien, i nie od razu pomyślał o tym, by zamknąć pułapkę z trzech kierunków. Choć sam o tym nie wiedział, odwołując rezerwy stacjonujące przy wieży, a potem wydając im rozkaz powrotu na uprzednio zajmowane pozycje i zejście gęstą tyralierą w dół zbocza, totalnie zmienił układ sił. Przez brak zdecydowania dowódcy Czyści stracili tylko trzy minuty, lecz to wystarczyło, by Duch i Iskra rozplynęli się bez śladu w ogromnym morzu zieleni. Podchodzący z dołu żołnierze znajdowali się bowiem zbyt daleko od leżącego za połaciami starego lasu osypiska, by mieć choć cień szansy na to, że zauważą poszukiwanych.

Pamiętający nie zwolnił jednak tempa marszu. Nie wiedział, jak zachowa się wróg, nie znał też aktualnego rozmieszczenia jednostek, a to wymuszało na nim podejmowanie decyzji w ciemno, czego bardzo nie lubił. Jako doświadczony żołnierz wiedział, że w takiej sytuacji najlepiej zejść z linii strzału, i to właśnie robił. Najszybciej, jak to tylko możliwe, oddalał się od strefy potencjalnych działań wroga. Pozwolił wypluwającej płuca dziewczynie na chwilę odpoczynku dopiero wtedy,



gdy szczyt i stojąca na nim wieża znalazły się pomiędzy sztolnią a ich plecami.

Opadli na kamienie wystające z miękkiej ściółki, dysząc niczym dwa zziębnięte szariki, a gdy ich spojrzenia się spotkały, wybuchnęli bezgłośnym śmiechem.

– Wiesz, dziadzia, ty jednak zdrowo powalony jesteś – wysapała Iskra, rzucając mu zdobyczną manierkę.

Otwierając ją powoli, zapytał:

– Co takiego znowu zrobiłem?

– Pół armii Czystych nas ściga, a ty ucinasz sobie gadki szmatki z jakimś niedojebkiem. – Pokręciła głową, jak matka podsumowująca nieczne wyczyny niesforne malucha. – Coś ty mu w ogóle powiedział?

– Wyjaśnię ci, jeśli przeżyjemy – odparł, upiwszy solidny łyk wody.

– Sądząc po tym, jak się rozkręciłeś, nie mamy wielkich szans na doczekanie następnego ranka, zatem oświeć mnie już teraz, dumny oblechu. Proszę! Chcę to wiedzieć, a przecież... jak już będziesz konał na moich rękach, bo będziesz konał, co do tego nie ma dwóch zdań... to za wiele z ciebie nie wyduszę, nie? – Uśmiechnęła się przymilnie.

– Skoro tak stawiasz sprawę... – Odrzucił jej manierkę. – Zauważyłem, że pilnujący naszej sztolni Czyści zabawiają się grą w cytaty. Czeka, nie

przerywaj! – ostrzegł ją, unosząc palec. – Cytat to dosłowne przytoczenie czyjejś wypowiedzi. Rozumiesz?

– No weź. To proste przecież. Ale dlaczego nazwali to tak głupio?

– Co znaczy: głupio?

– No od cycków, nie?

– Widocznie tylko o nich wtedy myśleli. – Nie wiedział, czy Iskra żartuje, ale na wszelki wypadek postanowił jej nie poprawiać. – No więc wyobraź sobie, że te szczyłe przytaczały takie wypowiedzi, tyle że nie cytowały powiedzeń mądrych ludzi a tylko postaci z filmów.

– Znaczą z takich jak te ruchome zdjęcia, które czasem pokazywano na białej ścianie w Otchłani? – zapytała.

– Z takich samych, a nawet innych. – Teraz on zażartował, czego oczywiście nie zrozumiała.

– No dobra – rzuciła, gdy już przestała się dąsać – ale co to ma wspólnego z tym, co ty do niego powiedziałaś?

– Ja też zagrałem z nim w cytaty.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

– Nie, poważnie mówię. Pomyślałem, że skoro Czystych kręcą takie zabawy, to wykorzystam okazję i zabawię się w wojnę psychologiczną. Krótko mówiąc, zrobiłem mu z dupy jesień średniowiecza – zadowolony z siebie wyszczerzył zęby.

– Czyli?

– Ty naprawdę nie rozumiesz, o czym mówię? – obruszył się, wstając.

– Jedziesz tą swoją staromową i jeszcze się dziwisz, że ktoś normalny pyta? W świldek kotokata, im dłużej cię słucham, tym mniej mnie dziwi, że wyginęliśmy. Przecież wy zupełnie zatraciliście zdolność kominika... komuniki... Wiesz dobrze, o co mi chodzi!

Zignorował jej wybuch.

– Dobra, pora się zbierać. Jeszcze kawał drogi przed nami, a niedługo zacznie się ściemniać.

– Czy to znaczy, że mamy jakiś cel tej wędrówki? – zainteresowała się od razu.

– Tam po lewej, w dolinie – wskazał – widziałem ruiny jakiegoś miasteczka. Spróbujemy się w nich zamelinować na najbliższą noc.

– Jak mogłeś stąd coś zobaczyć? – Spojrzała na niego badawczo.

– Nie stąd, z wieży.

– Chyba że tak.

– Ruszaj dupę, zanim ci ją odstrzelą – ponaglił.

– No, wreszcie jakieś sensowne słowa, panie specu od cycatów.

– Cytatów – rzucił machinalnie przez ramię, poprawiając ją bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby.

- Wielka mi różnica – prychnęła.
- Taka mniej więcej, jak między węglikiem a węglikiem – zakpił.
- No właśnie.
- No właśnie...

\* \* \*

Zatrzymali się między sinymi skałami, pod którymi biegł pas spękanego i mocno już porośniętego krzewami asfaltu, przed Atakiem będący jedyną szosą przecinającą tę dolinę. Po przeciwnej stronie za głębokim jarem, a u stóp sąsiedniego wzniesienia, stał samotny parterowy budynek, którego widok wydał się Remerowi dziwnie znajomy.

Przyjrzał mu się więc raz jeszcze, podobnie jak okolicy: zapadniętej kładce nad wyschniętym od lat strumieniem i niewielkiemu parkingowi po lewej, który ucierpiał jeszcze mocniej niż szosa – zdążyła się na nim bujnie rozplenić roślinność, w tym kilkanaście całkiem sporych już drzew. Gdyby nie obecność trzech skorodowanych wraków, Pamiętający za diabła by nie odgadł, co też znajdowało się w tym miejscu przed wojną.

Olśnienia doznał, gdy jego wzrok spoczął na dziwnej cygarowatej konstrukcji, dzisiaj mocno już pordzewiałej i w wielu miejscach podziurawionej. Tam jednak, gdzie farba jeszcze się trzymała, widział biel i czern.

V2!

Sztolnie Walimia!

*Tak, zielony bunkier, mocno teraz przechylony, strzegący wejścia na kładkę! Wszystko się zgadza. To tutaj kazał się przywieźć senator Nienacki. Gdzieś tam, za parkingiem, powinno być wejście do podziemi Riese! Ale...*

Pamiętający obejrzał się za siebie. Coś tu było nie tak.

Iskra natychmiast to zauważyła i także zaczęła się nerwowo rozglądać.

– Co jest, dziadzia? – zapytała szeptem.

– Nic – uspokoił ją. – Znam to miejsce. Byłem tu kiedyś.

– Rewelacja! – ucieszyła się. – Jednak nie będziemy potrzebowali mapy!

– Weź na wstrzymanie, dziadzia – mruknął. – Raz tędy przejeżdżałem. Ponad dwadzieścia lat temu. Poznaje ten budynek, gdyż spędziłem przed nim kilka godzin, czekając na szefa, którego oprowadzano po podziemiach należących podobno do kompleksu Riese.

– No i? – jak zwykle nie rozumiała.

– Które, jak widać, są tam – doprecyzował, machając ręką w kierunku ledwie widocznego teraz wejścia do sztolni.

– No i?

Pokręcił głową z rezygnacją.

– Skoro wejście do Riese odkryto pod tą górą – wskazał majaczący w przedwieczornym półmroku masyw – to dlaczego wylot naszej sztolni jest tam? – Przesunął rękę daleko w lewo, na inny szczyt, ten, z którego zeszli.

– Może coś ci się pomerdalo w tym pustym baniaku? – zasugerowała. – Tyle razy oberwałeś w dekiel, że mądrego by pogięło, a ty nigdy nie należałeś do bardziej rozgarniętych...

– Wiem, co mówię – przerwał jej. – Mogę ci to bez trudu udowodnić.

Zsunął się ze skały i wylądował miękko na mchu porastającym grubą warstwą nieistniejący już rów melioracyjny. Przekradł się ostrożnie na drugą stronę dawnej szosy, co nie było takie trudne, zważywszy, że wyrastające spomiędzy brył pokruszonego asfaltu krzaki i drzewka były dwa razy wyższe od niego. Nie próbował wchodzić na kładkę – z daleka dało się zauważyć, że po tylu latach mogłaby nie wytrzymać ciężaru dorosłego człowieka, choć nie skorzystałby z niej nawet w przypadku, gdyby okazała się mniej spękana i przechylona. Każdy, kto przechodził nią nad jarem, wystawiał się na cel potencjalnych obserwatorów, a on na razie wolał pozostać niezauważony.

Po lewej koryto dawnego strumienia zostało otoczone

wysokimi kamiennymi ścianami, ale po prawej dało się je przekroczyć bez większego problemu, zwłaszcza teraz, gdy po wodzie nie było już śladu. Przedostali się więc tamtędy, po czym Pamiętający zaprowadził Iskrę w pobliże parterowej budowli mieszczącej kiedyś kasy i sklepiki z pamiątkami; stamtąd mieli już tylko kilka kroków do właściwych podziemi. Idąc wzdłuż masywu, minęli smętnie wyglądające wraki armat, wziętych w wyłączne posiadanie przez zaborcze rośliny.

– Proszę! – wskazał tryumfalnie uchyloną kratę, za którą panowały nieprzeniknione ciemności.

– Dobra, wygraleś, niech ci będzie... – Wzruszyła ramionami.

W odróżnieniu od niego miała gdzieś, czy Riese znajduje się pod tą czy pod inną górą. Jego jednak ta kwestia zaczynała coraz bardziej nurtować. Z tego, co pamiętał, wszystkie znalezione przed wojną poniemieckie tunele wykuto w tej właśnie górze, którą miał przed sobą, a której nazwy za diabła nie umiał sobie przypomnieć. A skoro tak, to stacja, na którą ich przywieziono, te wszystkie bunkry i korytarze powinny się znajdować po tej stronie doliny, a nie po tamtej. Raz jeszcze spojrzął na majaczący w półmroku masyw. Wiedział, że to Wielka Sowa, ponieważ nazwa ta została wyryta w belce wieńczącej jedną z bram w ogrodzeniu okalającym wieżę.

Po chwili zastanowienia uznał, że nie ma sensu drążyć tego tematu. Za mało wiedział i pamiętał o Riese, by się wymądrzać. Ta zagadka mogła zresztą poczekać, ważniejsze było przetrwanie najbliższej nocy i opracowanie nowego planu.

– Wchodzimy? – zapytała Iskra, ustawiając się twarzą do wylotu niemal stuletnich sztolni, jakby próbowała wyczuć, czy nie ma tam mutków.

Ta technika sprawdzała się w przypadku kilku mniej groźnych gatunków, ale nie była polecana przez stalkerów, ponieważ najgorszych drapieżników nowego świata nie dało się wyczuć w żaden sposób, a niektórych, jak choćby cieniaków, człowiek w dodatku nie widział, dopóki nie spadły na niego zniecka.

– Nie. – Pamiętający ruszył zdecydowanym krokiem w stronę zrujnowanych zabudowań.

– To miejsce nie wygląda wcale tak źle – powiedziała z wyrzutem w głosie, gdy już go dogoniła.

Nadal miała problem z zaakceptowaniem ogromnych przestrzeni, które ją otaczały, zwłaszcza tutaj, w dolinie, gdzie widoczności nie ograniczały gęste lasy, a nieba nie przesłaniały korony drzew.

– Pokażę ci lepszą miejscówkę – obiecał.

– Tak?

– Tak. Zabawimy się w dom.



– Serio? A ja miałam nadzieję, że w doktora.

\* \* \*

Wrócili na zdewastowaną drogę, ponieważ tam roślinność wciąż była najrzadsza, a im zaczęło zależeć na czasie. Mrok w dolinie gęstniał z każdą chwilą, została im więc niespełna godzina na znalezienie schronienia. Pamiętający chciał je wybrać, zanim otoczą go nieprzeniknione ciemności, gdyż dobra kryjówka powinna spełniać kilka wymogów, z których najważniejszym było posiadanie co najmniej trzech dróg potencjalnego odwrotu, a tych nie da się przecież zobaczyć w mroku, który już niedługo spowije martwą od lat miejscowość.

Walim, a w zasadzie jego peryferie, bardziej przypominał wieś niż miasto. Przy szosie stały parterowe chałupy, za którymi widać było zapadnięte dachy stodół albo innych zabudowań gospodarczych, świadczących o rolniczym charakterze mijanych sadyb. Roślinność, która tak dobrze radziła sobie z asfaltem, nie miała najmniejszych problemów z pokonaniem murów. Wyrastające pod ścianami domów samosiejki drzew rok po roku kruszyły pustaki i cegłę, wgryzając się w nie równie skutecznie jak znane z ruin Wrocławia buldożery, choć znacznie wolniej od nich. Oczywiście żadna szyba nie miała szans przetrwać – pod naciskiem wywieranym

przez grubiejące konary szkło wyginało się i pękało, a gdy tarany gałęzi przebijały się w końcu do mrocznych wnętrz, droga stawała przed kolonizatorami otworem. Pamiętającego nie dziwiły więc kolumny pni wyrastających z pozrywanych dachów ani łąny trawy kołyszącej się leniwie w kuchniach i pokojach mijanych budynków.

Niepokoili go jednak rozmiary zniszczeń. Walim na pewno nie był bezpośrednim celem ataku, w jego pobliżu nie leżało też żadne z większych miast, a otaczające go góry stanowiły idealną osłonę przed ewentualnymi falami uderzeniowymi po liczonych w kilo- albo megatonach eksplozjach, które zmiotły główne metropolie Polski i sąsiednich Czech. Mimo to miasteczko wyglądało, jakby zostało opuszczone zaraz po Ataku lub nawet gorzej: jakby zostało bezpośrednio dotknięte jego skutkami. Remera kilkakrotnie ogarnęła chęć, by spenetrować mijane zabudowania, jednakże zawsze szybko rezygnował z tego zamiaru, ponieważ kończył im się czas, a on nadal nie trafił na miejsce, które nadawałoby się nawet na marną kryjówkę.

Gęste chmury, które napłynęły z południa, przesłaniały już niemal całe niebo, nie mógł więc liczyć na gwiazdzistą noc, która ułatwiłaby mu zadanie. Na szczęście zapamiętał kilka szczegółów, zaobserwowanych wcześniej przez

teleskop, dzięki czemu wiedział, której części Walimia nie da się zobaczyć ze szczytu Wielkiej Sowy. Uznał, że najbezpieczniej będzie tam, gdzie wzrok wrogich obserwatorów nie sięgnie, dlatego dotarłszy w obszar gęstszej zabudowy, skręcił w prawo i skrajem lasu przeprowadził Iskrę przez ruiny zdewastowanej fabryki.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie warto zaszyć się w – na wpół zawalonym – kilkupiętrowym budynku biurowym, ale uznał, że są co najmniej dwa powody, by tego nie robić. To miejsce zostało opuszczone i rozgrabione na długo przed Atakiem, zatem po tylu latach trzymało się już tylko na słowo honoru, a co gorsza, nie oferowało niemal żadnych wygód, na które skrycie liczył.

Skupił się więc na zabudowaniach rozrzuconych po drugiej stronie biegnącej na wschód ulicy. Większość okolicznych domów była bardzo stara i zaniedbana, zapewne jeszcze poniemiecka, lecz nieco dalej od szosy przy bocznych uliczkach dostrzegł dachy kilku nowocześniejszych wyglądających posiadłości. Jedna z nich, otoczona ze wszystkich stron połaciami dzikiej zieleni, zainteresowała go najbardziej. Szybki rekonesans pozwolił mu na znalezienie trzech dogodnych tras ucieczki w okoliczne lasy.

To przeważało szalę.

– Tutaj przenocujemy – wskazał wybrany dom Iskrze.

– Ty to masz gest! – pokiwała głową, oceniając krytycznie jego wybór.

Z tego, co zauważył, bardziej interesowały ją rozsypujące się i obłazące z tynku kamieniczki, jedno- albo dwupiętrowe, z pozoru o wiele okazalsze od wybranej przez niego kryjówek. Być może kojarzyły jej się ze swojskimi ruinami.

– To, do czego tak się ślinisz, to najzwyklejsze wielorodzinne czyszówki. Nawet w moich czasach nie chciałabyś w nich mieszkać, a teraz może tam być tylko gorzej – zapewnił ją, nie kryjąc rozbawienia. – Chociaż raz mi zaufaj.

– Skoro tak mówisz, dziadzia... – Nie wyglądała na przekonaną.

Obeszli wybrany dom, przyglądając się uważnie wszystkim zabezpieczonym roletami antywłamaniowymi oknom i zamkniętym na cztery spusty drzwiom. Ten, kto w nim mieszkał, albo wyjechał z miasta, zanim doszło do ogłoszenia alarmu, albo po usłyszeniu syren zamknął się w środku, licząc, że zdoła przetrwać najgorsze.

Na jego miejscu Remer zapewne postąpiłby tak samo, to znaczy wziąłby na przeczekanie. Walim, w odróżnieniu od największych miast, powinien bowiem przetrwać Atak, nawet gdyby jakimś cudem doszło do zrzucenia ładunku

nuklearnego na odległy o kilkanaście kilometrów Wałbrzych. To jednak – wbrew temu, co widział – wydawało się wysoce nieprawdopodobne. Kto by marnował cenne głowice na miasto, które nawet przed wojną nie miało żadnego znaczenia – ani strategicznego, ani gospodarczego.

– Jak chcesz się tam dostać? – zapytała Iskra, przysiadając na kamiennym murku okalającym niewielki taras.

W ten sposób dała mu do zrozumienia, że nie zamierza pomagać. Niech sam haruje, skoro zdecydował się na przejęcie takiego mikrusa, zamiast zaprowadzić ją do któregoś z wielkich czynszowych zamczysk.

– Górą – odparł, szarpiąc za piorunochron.

Już wstępne oględziny ujawniły, że przebijanie się przez rolety lub wyłamywanie drzwi byłoby zbyt czasochłonne i głośnie. Wolał nie narobić hałasu, szczególnie że w wymarłym mieście panowała idealna cisza.

– Górą, powiadasz... – Ziewnęła.

– Patrz się i ucz – rzucił, rozpoczynając wspinaczkę.

Nie poszło mu najlepiej; ocynkowany drut nie przerdzewiał wprawdzie, lecz uchwyty po obciążeniu ludzkim ciałem puszczały jeden po drugim z dźwięcznym trzaskiem, odpuścił więc, zanim nie było za późno. Wolał

nie ryzykować, ponieważ nawet zwykłe zwichnięcie kostki skomplikowałoby mu życie, nie mówiąc już o tym, że mogło pozbawić go szans na zwycięstwo. Musiał znaleźć inny sposób dotarcia na dach, a że nie brakowało mu inwencji, przez moment zastanawiał się nad skorzystaniem z gibkości rosnącej opodal brzozy.

Jako dzieciak bawił się z kolegami w lasku przylegającym do szkoły, głównie w spadochroniarza. Wspinał się na młode drzewka i po dotarciu na odpowiednią wysokość zawisał na rękach. Cienki i giętki pień odkształcał się pod jego ciężarem, dzięki czemu on sam mógł bardzo wolno opaść na ziemię. *Czy da się powtórzyć ten wyczyn teraz, po trzydziestu przeszło latach, gdy ważę trzykrotnie więcej niż w dzieciństwie?* Pokręcił głową – nie, to też zbyt ryzykowne. Im starsze drzewo, tym sztywniejsze i bardziej odporne. W tym wypadku szanse na złamanie pnia były ogromne, a upadek z tej wysokości groził czymś więcej niż łatwą do wyleczenia kontuzją.

Spojrzał w niebo – jeszcze kwadrans i zrobi się tak ciemno, że trzeba będzie skorzystać z lampy, a jej blask może ich wystawić nawet szybciej niż hałas. Zrobił kolejne kółko wokół domu, ale nie znalazł ani jednego słabego punktu. Rolety nie chciały drgnąć, podobnie jak markowe drzwi. Pozostało mu więc przeszukanie

zarośniętej posesji. W jednym z narożników ogrodzenia natrafił na niewielką szopę. Tutaj bez problemu sforsował proste drewniane drzwi, a gdy rozejrzał się po zagraconym wnętrzu...

Prócz narzędzi ogrodniczych zapobiegliwy właściciel trzymał w tym składziku również składaną drabinę z aluminium, którego nie miała się korozja. Wprawdzie gumowe nakładki osłaniające jej nóżki dawno sparciały, lecz szczeble i prowadnice, po oczyszczeniu z wielu warstw pajęczyn, lśniły jak nowe. Pamiętający zataszczył znaleźisko pod ścianę, rozłożył uważnie, a gdy zyskał pewność, że żaden z elementów drabiny nie uległ niszczyielskiemu wpływowi czasu, wspiął się zwinnie na dach. Ciężkie, wypalane dachówki były tak chropawe, że bez trudu utrzymał się na pochyłej powierzchni. Balansując ciałem, przedostał się do okna, które było jego celem. Gdy przy nim przyklęknął, bez trudu zerwał sparciałą uszczelkę i podważył szyby zespolone.

Moment później oboje z Iskrą stali na podłodze przestronnego poddasza, do którego zaborcza roślinność nie zdołała się wcześniej dostać, oddając je we władanie pająkom i wszelkiej maści robactwu. Każdy mebel, który tu kiedyś wniesiono, pokrywały gęste białe sieci, zwisające także z licznych belek podpierających dach i samych skosów. Przyglądając się odmienionemu wnętrzu, Remer

pomyślał, że tak samo musi wyglądać dom, w którym mieszkał przed wojną. Starszy o kilka lat, stojący setki kilometrów od tego miejsca w podobnej, nieco tylko większej miejscowości.

– Tam jest studzienka! – Iskra wskazała wylot krętych schodów, znaleziony za drugimi z trojga wypaczonych drzwi.

Nie poprawiał jej. W nowym świecie łącznik między poziomami nosił zazwyczaj taką nazwę, trudno więc, by używała innej. Sprowadził ją na dół i tam dopiero zapalił lampę. Widok parteru był nie mniej upiorny niż poddasza, wszystko wokół pokrywały kurtyny pajęczyn i dywany kurzu. *Tak musi wyglądać piekło alergików*, zaśmiał się w duchu Pamiętający, obserwując tumany pyłu unoszonego przy każdym kroku. Nie mieli jednak odwrotu, zresztą czy istniał choć cień szansy, że w sąsiednich zabudowaniach trafią na godziwsze warunki? Ten dom zachował się najlepiej ze wszystkich, które Pamiętający obrzucił wzrokiem, odkąd minął tablicę z ledwie czytelną nazwą miasteczka. Miał więc przed oczami szczyt luksusu, na jaki mógł tego dnia liczyć.

– Ogarnijmy ten bajzel – zaproponował stojącej za nim Iskrze.

– Jak? – zapytała, przyglądając się z ciekawością wielkiemu salonowi z nieodłącznym kominkiem,



akwarium, płaskim telewizorem, kompletem wypoczynkowym i całą masą innych przedmiotów, które były dla niej tak obce, jakby pochodziły z innej planety.

Duch podszedł do drzwi wychodzących na taras. Zwykłych, plastikowych, bez zamków. Obok nich na ścianie zobaczył szeroką taśmę. Sięgnął po nią z obawą, ponieważ jak wszystko wokół poddana została niszczycielskiemu wpływowi czasu, lecz gdy pociągnął, zrazu delikatnie, a potem nieco mocniej, ustąpiła, nie pękając. Otworzył roletę na tyle, by móc przejść pod nią, nie klękając, potem zniknął z oczu dziewczyny, a gdy po chwili wrócił, niósł naręcze narzędzi przytachanych z szopy.

– Do czego ci to wszystko? – zapytała, wzdragając się przed wzięciem do ręki szerokiej szczotki.

– Wymieciemy na zewnątrz kurz – wyjaśnił. – Wybieramy pajęczyny.

– Z całego domu?! – zrobiła wielkie oczy.

– Nie. Na nasze potrzeby wystarczy salon – odparł, ruszając w najdalszy kąt pomieszczenia. – I może łazienka.

\* \* \*

Po godzinie pracy salon zaczął przypominać, co prawda tylko z grubsza, normalny dom. Co zastanawiające, po zamieszkujących go przez te

dwadzieścia lat pająkach zostały tylko zaschnięte zewłoki, jakby i te – niezwykle przecież odporne stworzenia – poddały się z czasem, odchodząc za ludźmi w niebyt.

Może zabrakło im jedzenia, a może wyginęły z innego powodu, tego Pamiętający nie był w stanie odgadnąć, ale dziękował losowi, że nie musi się mierzyć z hordami ośmionogich drapieźców. Wystarczyły mu zmagania z metrami sześciennymi lepkich pułapek, które po sobie zostawiły.

Zrobiwszy porządki, pomyszkował w kuchni i spiżarni, skąd przyniósł kilka puszek i szpulę żyłki wędkarskiej. Trzymając wszystko pod pachą, wyszedł na zewnątrz, a po półgodzinie wrócił z pustymi rękami. Iskra w tym czasie dokonała inspekcji pozostałych pomieszczeń.

– Musisz coś zobaczyć – powiedziała, gdy opuścił żaluzje i po trzeciej próbie zamknął w końcu drzwi.

Zaprowadziła go do sypialni, znajdującej się na końcu krótkiego korytarzyka. Był przekonany, że chce mu pokazać łazienkę i znajdujące się tam cuda, ale już po chwili został wyprowadzony z błędu.

Na zasnutym kokonem pajęczyn łożku, pod poznaną liszajami pleśnią kołdrą, spoczywały dwa szkielety. Remer przyjrzał im się bardzo uważnie, potem obszedł resztę pomieszczeń. Wszystko wskazywało na to, że właściciele domu, bo to musieli być oni, zginęli we

śnie. *Ciekawe, pomyślał. Atak nastąpił wieczorem, ale nie aż tak późno, by...* Tutaj czas musiał płynąć inaczej niż w wielkim mieście. A to małżeństwo miało już swoje lata. Fotografie na ścianie korytarza łączącego pokoje gościnne z sypialnią przedstawiały dwoje uśmiechniętych emerytów, samych albo w towarzystwie młodszych osób, najprawdopodobniej ich dzieci i wnuków.

– Zaczekaj na mnie tutaj – polecił Iskrze, po czym raz jeszcze opuścił dom, tym razem przez dach.

\* \* \*

Nie musiał iść daleko. Wystarczyło, że zajrzał do czynszówek stojących przy głównej ulicy tuż za ruinami fabryki. W każdym z mieszkań znalazł kości ich dawnych właścicieli. Większość zginęła na miejscu, tam gdzie stała albo siedziała. Przed telewizorami – co było zrozumiałe – ale też przy samochodach, wypełnionych walizkami i pakami, jakby niektórzy w ostatniej chwili powzięli decyzję o ewakuacji. Pamiętający nie wiedział, co mówiono tamtego dnia w mediach, był zbyt zajęty innymi sprawami, by tracić czas na słuchanie kolejnych komunikatów, lecz nie wątpił, że ton tych ostatnich musiał być alarmujący, skoro nawet na takim zadupiu ludzie zaczęli panikować – całkiem słusznie, zważywszy, że śmierć dosięgnęła ich w łóżkach bądź w trakcie

przygotowań do ewakuacji.

Co ich jednak zabiło? Co stało się z Wałbrzychem? Co zamieniło to miasto w tygiel kipiący mutacjami i niewiele się różniący od strefy zakazanej Wrocławia? Tyle pytań i żadnej odpowiedzi.

Remer zaczął się nawet zastanawiać, czy ci mieszkańcy Walimia, którzy zdążyli zareagować w porę, znaleźli schronienie pod ziemią, w sztolniach i kanałach, jednakże w okolicy kamieniczek nie znalazł żadnej studzienki, by móc to sprawdzić. Zanotował jednak w pamięci, że powinien odszukać wejście do kanałów, a po powrocie w teren rozejrzeć się po znanych przed wojną sztolniach.

\* \* \*

Nie powiedział Iskrze o tym, do jakich wniosków doszedł. Zachował je dla siebie, ponieważ nie miał już sił ani chęci na kolejną wyprawę, a był przekonany, że jego towarzyszka natychmiast zaproponuje kolejny wypad w głąb miasta, tam gdzie z pewnością jest pełno studzienek. Zauważył, że dziewczyna czuje się nieswojo w tym domu, jakże odmiennym od środowiska, w którym się wychowała. Teraz, gdy zeszło z niej całe napięcie towarzyszące ucieczce i zasadzaniu się na Czystych, zaczęła silnie odczuwać obcość świata, do którego ją

sprowadził. O ile tam, na zewnątrz, miała styczeń z wieloma stymulującymi bodźcami, o tyle tutaj, po zamknięciu w grobowcu z pustaków i tynku, wszystkie jej strachy ożyły ze zdwojoną mocą. Krążyła więc po salonie jak ślepy kotokot wokół zamkniętej studzienki, szukając zajęcia, które pozwoliłoby jej odegnąć stresujące myśli.

– Więc mówisz, że to jest coś w rodzaju paleniska? – zapytała, gdy Pamiętający zasiadł w końcu na wygodnej kanapie przed stylowym kominkiem.

– Można tak powiedzieć.

– To dlaczego w nim nie rozpalisz?

– Dym – odparł zwięźle.

– Co: dym? – Wsadziła głowę między marmurowe kolumnienki. – Nie zaczadzimy się, przecież tam jest komin.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że ten dom stoi w samym środku martwego miasta? – Postanowił nie ciągnąć tej rozmowy dłużej, niż trzeba, był zbyt zmęczony, poza tym miał wiele ważniejszych spraw do przemyślenia. – Tu od lat nikt nie pali w kominkach, więc Czyści, widząc dym, natychmiast nas namierzą. Równie dobrze moglibyśmy odszukać najbliższy sklep monopolowy i urządzić sobie dziką imprezkę na środku ulicy, z głośną muzyką, ogniami sztucznymi i strzelaniem na wiwat. Przynajmniej mielibyśmy chwilę rozrywki przed

egzekucją.

– Zróbmy to, dziadzia, proszę, proszę!

– Naprawdę chcesz rozpalić ogień? – nie wierzył własnym uszom.

– Dupa tam ogień, ja mówię o imprezie!

Parsknęła śmiechem, a on dołączył do niej po chwili. Ta wizja była tak szalona, że z trudem zwalczył ochotę, by ją urzeczywistnić.

– Może jutro – odparł, ocierając łzy – albo pojutrze, jak już wytlukę wszystkich Czystych.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Sięgnął do kieszeni. – Podoba ci się rock? – zapytał.

– Kto?

– Ta muzyka, której słuchałaś w knajpie Frei – wyjaśnił najlepiej, jak umiał.

– Obleci.

– No to posłuchaj – podał jej znalezione przy zwłokach iPoda.

Nigdy nie była tak cicha jak tego wieczora. Nawet gdy spała.

## ROZDZIAŁ 16

# Cienie

Przeczesanie sektora dwadzieścia trzy wraz z przyległościami zajęło grupom poszukiwawczym prawie szesnaście godzin. Nie znaleziono jednak nawet śladu zbiegów, co Tamara przyjęła z kamienną twarzą, nie dając Andrzejowi poznać, jak ogromną satysfakcję czerpie z faktu, że trafnie odgadła zamiary Pamiętającego. Nie znała go, nie wiedziała o nim nic prócz tego, że jest od niej dużo starszy i że należał do legendarnej formacji, która jako pierwsza miała szansę na podbicie i zjednoczenie mieszkańców wrocławskich kanałów, lecz to nie przeszkadzało jej w zrozumieniu jego motywów. Nie dlatego, że była geniuszem strategii – jako osoba rozsądna doskonale znała swoje ograniczenia. Czuła jednak, że łączy ich coś na kształt pokrewieństwa dusz.

Ona także prowadziła skrytą wojnę z systemem, walkę na gesty i słowa, ponieważ nie pasował jej obecny kierunek zmian wprowadzanych przez człowieka, którego pozostali mieszkańcy Riese nazywali Pułkownikiem. Jak

dotąd niewiele zdołała wskórać, głównie dlatego, że nie miała jak się wykazać, jednakże teraz, gdy Bondarczuk podesłała im kreta, Tamara otrzymała od losu wyjątkową szansę, której nie zamierzała marnować.

Była świadoma tego, że ma mało czasu. Poza tym uciekinierzy skomplikowali rozgrywkę, lecz stanowili w niej tylko pionki. Liczył się wyłącznie Wrocław i to, jak szybko można złamać przywódczynię tamtejszej społeczności, przy czym ostateczne rozstrzygnięcia w tej kwestii powinny zapaść w ciągu najbliższych godzin. Do upłynięcia terminu ultimatum zostały bowiem tylko dwa dni, a telefony – ten w centrum dowodzenia i drugi, stojący w Komnacie – uparcie milczały.

Tamara nie miała pojęcia, jaki jest powód tego stanu rzeczy. Mogła tylko czekać, choć było to dla niej bardzo bolesne doświadczenie. Sytuacja wymagała jednak, by to upokorzeni wrocławianie odezwali się pierwsi. W przeciwnym razie Riese utraciłoby z takim trudem wypracowaną przewagę.

*Czy mamy jakąś alternatywę?* To pytanie spędzało jej sen z powiek już trzeci dzień z rzędu, lecz żadne z rozwiązań, na które wpadła, nie było choć w przybliżeniu satysfakcjonujące. Utrata Wrocławia nie wchodziła w grę – bez społeczności Otchłani cały plan odbudowy posypie się jak przysłowiowy domek z kart.



Pozostawione samo sobie Riese może nie podołać zadaniu udroźnienia torów aż do granic Poznania, co skáže na zagładę także tamtą, niemalą przecież, kolonię Nowej Polski.

Wykluczenie ludzi Bondarczuk nie było więc opcją, o czym przywódczyni Otchłani zdawała się wiedzieć. Jakże inaczej wytłumaczyć jej przedłużające się milczenie?

Krwiste błyski rozświetlające mrok w dole wyrwały Tamarę z wiru ponurych myśli.

– Otworzyć wewnętrzne wrota! – poleciła Dominika, pełniąca na tej zmianie funkcję zawiadowcy, oczywiście w starym tego słowa rozumieniu.

– Otwieram wewnętrzne wrota! – zameldowała Daria, najmłodsza z trójki dyżurnych, którym przypadła dzisiaj praca przy głównej konsoli.

Z końca stworzonej rękami człowieka groty dobiegł przeciągły zgrzyt, który płynnie przeszedł w rytmiczne posapywanie, z jakim czarny niczym węgiel parowóz wtoczył się na bliższy z dwóch torów. Kolejna misja Cieni, tym razem polegająca na sprowadzeniu dwudziestu cystern ropy naftowej, przebiegła zgodnie z planem. Czeskie zapasy strategiczne tego surowca, składowane w pobliżu polskiej granicy – i niestety znajdujące się od kilku miesięcy w obrębie jednej z najgroźniejszych stref

skażenia – pozwolą utrzymać Riese przez jeszcze wiele lat, o ile nadal będzie można z nich korzystać.

I pomyśleć, że wszystko to jest możliwe dzięki zapobiegliwości dalekowzrocznych ludzi, którzy zawczasu dostrzegając nadchodzące zagrożenia, już wiele lat przed Atakiem nie tylko zaplanowali i rozpoczęli budowę całej sieci bunkrów dających Polakom nadzieję na przetrwanie, ale też podjęli wiele decyzji mających gigantyczne znaczenie dla odbudowy kraju z ewentualnych zniszczeń. Krytykowana powszechnie umowa przejęcia przez Orlen czeskiego Unipetrolu była tylko jednym z szeregu kroków zmierzających do zapewnienia samowystarczalności największemu z podziemnych kompleksów, o czym niestety, a może na szczęście, nikt przed wojną nie wiedział.

To tylko dziesięć kilometrów w linii prostej, ale ostatnimi czasy dostawom zaczynał zagrażać rozszerzający się w coraz szybszym tempie nowotwór kipiący wewnątrz rosnącej nieustannie strefy skażenia. Opad pierwotny z obróconej w perzynę Pragi, którą podczas wojny potraktowano podwójnie niesprawiedliwie, jak wiele innych celów między Renem a Bugiem, wyniszczył ogromne połacie Czech, a nawet Polski, jednakże prawdziwym zagrożeniem dla Riese stały się dopiero plugawe krwiożercze mutacje, które z biegiem czasu

powstały w miejscach największego skażenia.

*Oto kolejny problem, który wymusza konieczność jak najszybszego dogadania się z Wrocławiem, na co Andrzej przynajmniej na razie nie ma ochoty ani chęci, pomyślała.*

Skład zatrzymał się w dole z piskiem hamulców. Dwie lokomotywy i znajdujący się pomiędzy nimi pancerny wagon spoczną w tej mrocznej krypcie do chwili rozpoczęcia kolejnej misji, którą – gdy tylko Cienie uporają się ze zbiegami – będzie kurs do Legnicy albo nawet dalej, aż do stolicy Wielkopolski. Część sprowadzonego dzisiaj ładunku posłuży do przebicia się przez rozległe połacie zainfekowanych odrażającym nibyzyciem terenów. Tym razem jednak załoga, składająca się z najbardziej doświadczonych żołnierzy i maszynistów, musi dotrzeć tak daleko jak to tylko możliwe, do miejsc, których od Ataku nie tknęła stopa człowieka.

Od wyników tej straceńczej misji wiele będzie zależeć. Może nawet wszystko. Tamara wiedziała, że wydanie rozkazu jest już przesądzone. A jeśli Cienie wrócą z dobrymi wieściami... Uśmiechnęła się pod nosem, ale natychmiast spoważniała. Jej zdaniem ryzyko było bowiem za duże. Strata tego pociągu, tych ludzi, może przypieczętować nie tylko los obecnych władz, ale też reszty mieszkańców Riese. Z drugiej jednak strony – czy Pułkownik miał inne wyjście? Oddanie inicjatywy

wrocławianom skończy się dla nich podobnie: i ona, i on zostaną usunięci. *Oby tylko w cień, jak Wariat...* pomyślała, czując znajomy dreszcz. *Nie, starcie z Bondarczuk będzie bitwą na śmierć i życie. Zwycięzca weźmie wszystko, przegrany zostanie wymazany z kart historii. Na zawsze!*

– Porucznik Dąbrowski zgłosi się do dyspozytorni, powtarzam, porucznik Dąbrowski zgłosi się do dyspozytorni. – Głośnik znów ożył.

Wywołany oficer, stojący wraz z kolegami obok wagonu, postawił na peronie torbę z ekwipunkiem, jednakże zanim ruszył w kierunku wyjścia, zerknął w górę na galerię. Miał już ponad czterdzieści lat, lecz wciąż trzymał się dobrze. Pobył pod grubym na setki metrów pancerzem skał uchronił go przed zabójczym promieniowaniem, ale nie wypaczył, jak tych nieszczęsnych podludzi z kanałów. W odróżnieniu od nich załoga Riese nie mogła narzekać na brak witaminy D. Bliskość prawie nieskażonych dolin pozwoliła na w miarę bezpieczne obcowanie z naturą, z czego korzystali niemal wszyscy – czy to pracując przy uprawach, czy chroniąc te tereny przed zapędami nielicznych na szczęście mutantów.

Dąbrowski należał do najbardziej aktywnych członków swojej społeczności, dzięki czemu zachował atletyczną sylwetkę i prosty kręgosłup. Przy wzroście

przekraczającym metr osiemdziesiąt ważył ponad sto kilogramów, był barczysty, nabity, lecz nie gruby. Podobnie jak pozostali członkowie jego oddziału, nosił krzaczastą brodę, która upodabniała go do wikinga. To skojarzenie było tym silniejsze, że już dawno przestał ścinać na jeża bardzo jasne włosy, a jego wyposażenie uzupełniała para wielkich ni to noży, ni to maczet.

Tamara pozdrowiła go nieśmiałym uniesieniem ręki, on odpowiedział zdawkowym skinieniem głowy.

\* \* \*

Zaprowadziła Dąbrowskiego do gabinetu Andrzeja, naświetlając mu po drodze sytuację. Słuchał z nieprzeniknioną miną, od czasu do czasu zadając pytania o detale, które w swojej relacji pomijała, ponieważ wydawały jej się mało istotne. Był profesjonalistą w każdym calu, jednym z ostatnich prawdziwych żołnierzy, jakimi dysponowała załoga Riese, jeśli oczywiście nie liczyć obu wyszkolonych przez niego drużyn „kolejarzy”, którzy jednak pomimo kilku lat praktyki i wielkiego oddania sprawie nadal ustępowali wybitnemu instruktorowi pod każdym względem. I nic dziwnego – ich zadaniem była ochrona transportów podczas przepraw przez strefy skażone, obsługa miotaczy ognia i skorpionów, odpieranie ataków ze strony

gargantuicznych zmutowanych bestii, które panowały nad tamtejszym niebem i ziemią. To też były ważne, wymagające nieludzkiej odwagi zadania, ale tak bardzo się różniły od klasycznych działań bojowych – czy to w terenie, czy to w tunelach – że nikt w Riese, a już zwłaszcza Pułkownik, nie traktował tych chłopców jak żołnierzy. Poza tym byli zbyt cenni dla społeczności, by posyłać ich w pole.

Łukasz Dąbrowski. Tamara obrzuciła go wzrokiem, gdy przekraczali kolejny punkt kontrolny. Swego czasu mógł nawet sięgnąć po władzę, jak wcześniej jego przełożony, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił. Nie wsparł też późniejszego puczu Wariata, czym doprowadził do jego ostatecznego upadku. Choć były to niewątpliwe zasługi, Andrzej nadal podchodził do niego z ogromną nieufnością, może nie jak do potencjalnego wroga, ale z pewnością też nie sojusznika.

Porucznikowi to jednak nie przeszkadzało. Przynajmniej z początku. Robił swoje, wykonywał bez pytania każdy rozkaz, mimo że część z nich była, łagodnie mówiąc, nieprzemyślana, jednakże gdy minął rok, a potem drugi, on zaś wciąż pozostawał w odstawce, coś w nim pękło. Nie okazał nieposłuszeństwa, co to, to nie, niemniej Tamara dostrzegała zachodzącą w nim przemianę. Najpierw przestał składać wnioski o włączenie jego ludzi

w proces szkolenia rekrutów – Andrzej i tak odrzucał je bez zastanowienia mimo jej protestów, uważając, że danie ludziom Dąbrowskiego dostępu do nowego pokolenia obrońców Riese służyć będzie nie poprawie bezpieczeństwa, lecz wywołaniu kolejnego buntu, tym razem w szeregach jego własnej armii. Potem porucznik wycofał się jeszcze bardziej, nie wykazywał już takiej inicjatywy jak dawniej, zawalił też parę podrzędnych misji – jej zdaniem celowo, by Pułkownik odsunął go w końcu na boczny tor, co też stało się osiem miesięcy temu.

Cienie, niegdyś elita sił zbrojnych Nowej Polski, zostały przydzielone do ochrony terminalu paliwowego po czeskiej stronie. W końcu nadszedł jednak dzień, w którym mogło dojść do nieoczekiwanego przełomu. Tamara miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Że powierzenie im likwidacji Pamiętającego zasklepi jątrzące się wciąż rany i pozwoli zjednoczyć siły przed nieuniknioną konfrontacją z Bondarczuk. Podzieliła się tą radosną wieścią z porucznikiem, przekazując mu przy okazji obietnicę przywrócenia do czynnej służby, tutaj, na miejscu, w charakterze głównego instruktora odradzających się sił zbrojnych. W to, że Cienie wykonają powierzone im zadanie, nie wątpiła bowiem nawet przez moment.

– Sytuację znasz? – zapytał Andrzej, gdy przywitali się krótko, wymieniając sztywny uścisk dłoni. – Siadaj, Łukasz, siadaj – wskazał porucznikowi krzesło przyjaznym tonem, jakby nie dzieliło ich tak wiele.

– Tamara wprowadziła mnie w szczegóły – odpowiedział z kurtuazją Dąbrowski, ale nie usiadł.

– Coś jest nie tak? – zdziwił się Pułkownik, zauważając jego reakcję.

– Chyba wiem, jak ich namierzyć – rzucił zwięźle porucznik.

– Poważnie?

– Tak. Jeśli przebywają w dolinie, możemy ustalić miejsce ich pobytu, może nie z jakąś wielką dokładnością, ale na pewno wystarczającą do podjęcia dalszych działań – wyjaśnił służbowym tonem Dąbrowski.

– Jak?

– Mogę? – Porucznik wskazał ręką wielką mapę Gór Sowich, która zdobiła jedną ze ścian.

– Oczywiście.

– Jak pan pamięta, trzy lata temu po wysadzeniu masztu na Wielkiej Sowie musieliśmy zdecentralizować system łączności, aby uniknąć podobnej sytuacji. Teraz mamy w terenie aż sześć mniejszych kilkuantenowych przekaźników. – Wskazał je kolejno. – Dzięki nim możemy przeprowadzić w miarę dokładną triangulację



sygnału krótkofalówki, której używają zbiegowie.

– Triangulację? – zdziwiła się Tamara, dostrzegłszy niepewną minę Andrzeja.

Duma nie pozwoliłaby mu zadać tego pytania, wyręczyła go więc, ratując tym samym sytuację, za co została nagrodzona karcącym spojrzeniem. No tak, jak mogła tego nie wiedzieć, przecież dopiero co omawiali ten temat.

– Już tłumaczę. – Dąbrowski albo nic nie zauważył, albo udał, że tak jest. – Wykorzystamy trzy z tych anten, a w zasadzie tylko ich moduły kierunkowe, do ustalenia, skąd pochodzi sygnał. Cel powinien się znajdować na przecięciu tych linii. Wystarczy więc, że operatorzy podadzą nam dokładne kąty namiaru... – Nakreślił kilka linii na mapie, po czym postukał palcem w miejsce ich przecięcia.

– To rzeczywiście najlepsze z trzech rozwiązań, które braliśmy wcześniej pod uwagę – stwierdził ze stoickim spokojem Pułkownik. – Myślałem o użyciu nadajników numer dwa, trzy i pięć – dodał z taką miną, jakby mówił o czymś dla niego oczywistym, choć jeszcze kilkanaście sekund temu nie słyszał o słowie „triangulacja”. – Chyba że masz inną propozycję?

– Nie, taki układ wydaje się najlepszy – odparł po chwili zastanowienia porucznik.

– Zatem my go namierzamy, a wy czekacie w pogotowiu i przejmujecie drania, zanim się oddali.

– Tak.

– Widzisz? Mówiłem ci, że Łukasz też na to wpadnie. – Andrzej wyszczerzył zęby w szczerym uśmiechu.

Ulżyło mu, ale to nie był jeszcze koniec. Do omówienia pozostała najważniejsza kwestia.

– Jak zwykle miałaś rację – stwierdziła, także udając radość, po czym przeszła do właściwego tematu. – Jak długo musi trwać ta rozmowa, żebyście mieli szansę dopaść zbiegów? – Spojrzała wyczekująco na Dąbrowskiego.

– To zależy od tego, jak daleko od Wielkiej Sowy odeszli. Może wystarczyć kilka minut, a może trzeba będzie całego kwadransa.

– Aż tyle? – zasepiła się.

– Niestety. Inaczej się nie da – rozłożył ręce porucznik.

– A gdybyście się podzielili? – zapytał niespodziewanie Andrzej.

Dąbrowski przyjrzał się raz jeszcze mapie.

– To mogłoby skrócić czas reakcji, może nawet o połowę, ale...

– Tak?

– ...ale zwiększyłoby ryzyko wymknięcia się któregoś

ze zbiegów. Nas jest pięciu, więc w jednej drużynie będę miał trzech ludzi, w drugiej dwóch. Jeśli cele ujawnią się w pobliżu większej grupy, możemy mieć szanse bądź na ich szybką eliminację, bądź na przyszpilenie do chwili przybycia wsparcia.

– A nie moglibyście ich śledzić i zaatakować dopiero wtedy, gdy dołączy do was reszta oddziału? – zapytała Tamara.

Tym razem Dąbrowski potrzebował więcej czasu do namysłu.

– Jeśli ten Czarny Skorpion jest w połowie tak dobry, jak mówicie, może nas zauważyć. To naprawdę trudny teren, a on z pewnością nie wyjdzie dobrowolnie na otwartą przestrzeń, co zmusi nas do podejścia naprawdę blisko, by nie stracić tropu ani nie dać się wciągnąć w zasadzkę.

– Rozumiem... – Pułkownik przeżuł bezwiednie wydłubane spomiędzy zębów włókienko mięsa. – Pozostanmy zatem przy bezpieczniejszym rozwiązaniu – zdecydował.

– Też bym to doradzał – ucieszył się porucznik.

– Dasz radę wciągnąć Pamiętającego w tak długą rozmowę? – zaniepokoiła się Tamara.

– Trudno będzie, ale to ja tu jestem najlepszy w te klocki – zapewnił ją Pułkownik.

– O ile w ogóle zechce z panem gadać – zauważył porucznik.

– Spokojna głowa, chyba wiem, jak go do tego zmusić.

## ROZDZIAŁ 17

# Namierzeni

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona, zgłoś się, odbiór.

Tak brzmiały pierwsze słowa wypowiedziane do mikrofonu przez przywódcę Riese. Powtarzał je później wielokrotnie przez ponad godzinę, ale głośniki wszystkich konsol milczały jak zakłète. W tym czasie wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Wyznaczone radiooperatorki, chronione przez wzmocnione drużyny młodych gwardzistów, tym razem czujnych i poważnych – wystawienie na widok publiczny zwłok ich towarzyszy broni poskutkowało na wszystkich w Riese jak zimny prysznic – zajęły wyznaczone pozycje. Sprzęt został uruchomiony i zestrojony, a Dąbrowski i czterej jego podwładni zalegli w dolinie, jak przysłowiowe cienie w Mordorze.

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona, zgłoś się, odbiór.

*Setne powtórzenie czy może sto pierwsze?* Tamara pogubiła się już dawno, a nie chciała niczego zapisywać, by nie okazać, jak bardzo drżą jej ręce. Andrzej grał

kluczową rolę w tym przedstawieniu, jeśli nie uda mu się wywabić uciekinierów, wszystkie jej wysiłki pójdą na marne, a tak bardzo się natrudziła, by przekonać wielkiego przywódcę do ułaskawienia Cieni.

Nadal nie rozumiała, dlaczego tak bardzo zależy mu na pozbyciu się tych ludzi. Czasami odnosiła nawet wrażenie, że tylko czeka na komunikat obwieszczający ich śmierć. Widziała to wyczekiwanie w jego oczach za każdym razem, gdy nie odpowiadali na wezwania. Minęło tyle miesięcy, nawet lat, podczas których znosili cierpliwie upokorzenia, nie czyniąc żadnego wrogiego gestu, a on nadal obawiał się, że ujawnią jego najskrytszą tajemnicę? Jej skromnym zdaniem obecni ludzie Dąbrowskiego nie mieli bladego pojęcia o malusim sekreciku swojego przywódcy, w przeciwnym razie samozwańczy Pułkownik i jego partnerka już dawno gniliby w celi obok Wariata albo siedzieli tam zamiast niego.

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona, zgłoś się, durny skurwielu, odbiór!

Tamara drgnęła. Ton wezwania zmienił się diametralnie. Nie sposób było nie wyczuć kryjącej się w nim wściekłości, jednakże gdy wyrwana z zamyślenia przeniosła wzrok na twarz Andrzeja, zdębiała jeszcze bardziej. Był spokojny, opanowany, uśmiechał się nawet, jakby był z czegoś zadowolony, a kiedy zauważył, że jest

obserwowany, wyszczerzył wszystkie zęby.

– Wiem, co robię, zaufaj mi – rzucił, sięgając po kubek naparu z lokalnych ziół, które zastępowały im od lat herbatę.

Potaknęła, nie wiedząc, co powiedzieć. Jedyne, co mogła w tym momencie zrobić, to mu zaufać. Było nie było, miała przed sobą jednego z najwybitniejszych spin doktorów starego świata. Człowieka, który manipulował nie pojedynczymi ludźmi, lecz masami, skutecznie wtlaczając im do głów co najwyżej półprawdy, za które byli gotowi ginąć i... ginęli.

\* \* \*

– Chyba nasz niedojebek zaczyna się gotować – mruknęła Iskra, delektując się ostatnimi kawałkami fileowanego solonego mięsa, które z pewnością nie pochodziło ze szczura.

Jednego Pamiętający nie mógł odmówić Czystym z Riese – żyli tutaj jak w bajce. Mieli dostęp do dolin, których niemalże nie tknęły skutki Ataku. Mogli także rozkoszować podniebienia dawno zapomnianymi smakami. Przekonali się o tym oboje, gdy zajrzeli do zabranego zabitym wartownikom chlebaka. To, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak tuszki suszonej szczurzyny, okazało się najprawdziwszym wędzonym

kurczakiem!

Rozpływające się w ustach mięso poruszyło wiele strun w sercu Ducha. Obudziło też masę wspomnień. W większości bardzo bolesnych. Przypomniało, jak wiele stracili ci, którzy przetrwali, egzystując w brudzie i smrodzie, głęboko pod gruzami dawnego miasta.

– I dobrze – odparł, oblizując dokładnie wszystkie palce, które miały styczność z soczystym mięsem.

– Nie odpowiesz? – zapytała po kolejnym wywołaniu.

– Zastanowię się – stwierdził obojętnym tonem, opadając na posłanie.

Właściciele domku pozostawili na miękkim sarkofagu sypialni. Przetaszczyli za to do salonu dwa materace zdjęte z łóżek znajdujących się w pokojach gościnnych. Większość kurzu, którym były pokryte, została na pościeli, dzięki czemu uzyskali całkiem czyste legowiska. I na pewno wygodniejsze od wszystkiego, czego zaznali w kanałach.

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona, odbiór. Dobrze ci radzę, odezwij się do mnie, póki jeszcze chcę z tobą gadać, odbiór.

Życ nie umierać, tak powiedziała Iskra, gdy kładli się spać grubo po północy, gdy już zyskali całkowitą pewność, że nikt nie podążył ich tropem. Dla niej był to raj, dla niego namiastka tego, co wydawało się kiedyś



normalnością. Nie, nie namiastka, raczej żalosna parodia. Rozłaząca się nie tylko w szwach materia utkana z nici losu. Westchnął ciężko po raz kolejny, budząc zdziwienie siedzącej obok dziewczyny, która nie mogła zrozumieć, że nostalgia za dawnym życiem może zabić każdą, największą nawet radość.

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona. Wiem, że tam jesteś, dumny skurwielu. Wiem, że mnie słuchasz. Odbiór!

W tonie przywódcy Riese dało się wychwycić rosnącą z każdym wypowiedzianym zdaniem desperację. Człowiek, któremu przez całe życie nadskakiwano – nikt inny nie objąłby przecież tak eksponowanego stanowiska – nagle trafił na przeciwnika, z którym nie umiał sobie poradzić. Więcej nawet, który go lekceważył. Jeden krótki cytat rzucony do mikrofonu tam, w sztolni, spełnił swoje zadanie. Dał mu do myślenia. Pokazał czarno na białym, że ten, kto zabija Czystych, nie jest zwykłym oprychem, od jakich roi się w kanałach. Wyzuł z nadziei na łatwy sukces.

– Powiedz mu chociaż, żeby się odpieprzył, bo psuje mi labę po tak pysznym posiłku – odezwała się Iskra po kolejnym, jeszcze bardziej natarczywym komunikacie. – Albo pozwól mnie to zrobić. Proszę, dziadzia, proszę!

Pamiętający roześmiał się w głos. Korciło go, by pozwolić tej pyskatej smarkuli na podjęcie dialogu.

Szczerze mówiąc, był ciekaw, jak szybko doprowadziłaby tego jednookiego mutkojebcę do szewskiej pasji.

– Dobra, dzidzia, zrób mu z dupy jesień średniowiecza.

– Oj tam jesień, zimę mu zrobię – zapewniła, szczerząc brudne zęby.

Podniosła krótkofalówkę z takim namaszczeniem, jakby miała w rękach świętą figurkę.

– Naciskasz tutaj, mówisz. Puszczasz klawisz, słuchasz – powtórzył jej po raz kolejny instrukcję, by nie zepsuła całego efektu.

– Przecież wiem – burknęła, pochylając się nad wbudowanym mikrofonem.

Musieli poczekać na kolejne wywołanie, tak więc teraz, gdy zmienili podejście do nadawanych komunikatów, dzielący je interwał wydał się obojgu bardzo długi. W końcu głośnik ożył.

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona. Twój czas dobiega końca, ostrzegam! Chciałem ci zaoferować układ gwarantujący przeżycie, ale ta oferta niedługo wygaśnie. Nie będzie uprzedzenia, po prostu pieprzę tym sprzętem i już nigdy więcej nie podejmę dialogu. Moi ludzie wrócą w teren...

Iskra oblizwała wargi. Aż się trzęsła, by móc powiedzieć to, co wspólnie ustalili poprzedniego wieczora podczas długiej rozmowy o cytatach i dawnym świecie.

Pamiętający nauczył ją kilku znanych prześmiewczych zdań, nie wiedząc jeszcze, że mogłyby być wykorzystane w taki sposób.

– Oni mogą panu majstrowi skoczyć tam, gdzie pan może pana majstra w dupę pocałować! – wyrecytowała, z trudem zachowując powagę, po czym cofnąwszy kciuk, zachichotała jak najprawdziwsza przedwojenna nastolatka.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

\* \* \*

Pułkownik najpierw zrobił dziwną minę, po czym zaczął rzeć, jakby usłyszał dobry kawał. Tamara nie podzielała jego wesołości. Nie zrozumiała, o co chodziło tej małolacie, aczkolwiek – głównie z reakcji Andrzeja – domyślała się, że musi chodzić o jakiś cytat.

– Co to było? – zapytała, tym razem bez żadnych podtekstów.

– Dudek – odparł Pułkownik, ocierając wierzchem dłoni uronioną łzę.

– Kto?

– Taki kabaret. Bardzo stary, możesz nie pamiętać – wyjaśnił, biorąc się w garść.

Na to czekał. Może nie spodziewał się takiej formy odpowiedzi, ale liczył, że Pamiętający podejmie z nim grę. W taki czy inny sposób.

– Dobra nasza – rzucił, zacierając ręce, po czym sięgnął do klawisza uruchamiającego nadajnik.

– Kto mówi, odbiór? – wypowiedział te słowa kilkakrotnie, aby przećwiczyć ich ton.

Chciał, żeby wypadły przekonująco i nie zdradziły jego wcześniejszego rozbawienia. Gdy efekt wydał mu się zadowolający, puścił pytanie w eter.

– Ja mówię, oblechowaty niedojebku z jednym pustawym oczkiem – wypaliła natychmiast zadowolona z siebie Iskra.

– Ty, to znaczy kto, odbiór? – nie zareagował na wyzwiska, choć każdego innego, kto by się tak do niego zwrócił, kazałby żywcem obedrzeć ze skóry, zwłaszcza za przytyk do utraconego oka.

– Gdybym ci powiedziała, musiałabym cię zabić, a tego niestety nie wolno mi zrobić, więc umrzesz w niewiedzy, wyślińcu cieniaka – wypaliła bez zastanowienia, wybuchając śmiechem tuż przed tym, nim się rozłączyła.

– Rozumiem – odparł Andrzej, oczywiście po stosownej przerwie. – W sumie to niespecjalnie mnie obchodzi, kim jesteś. Masowe groby w tej dolinie pełne są mądrzejszych od ciebie kretynów, odbiór.

– No popatrz, oblechu, jak się dobrze składa... – Ona nie potrzebowała czasu na wymyślanie odpowiedzi. –

Będziesz miał godne siebie towarzystwo, o ile zostanie z ciebie tyle, żeby był sens grób kopać.

– Możemy na tym skończyć wymianę uprzejmości, odbiór? – Pułkownik też skrócił przerwę, ograniczając się do jednego łyka herbaty.

– To jakiś cycat?

– Nie rozumiem...

– Dupa jesteś, nie interlokator, wiesz – rzuciła z takim rozzaleniem, jakby sprawił jej ogromny zawód, nie wdając się w eskalację rzucanych obelg. – Też mi pułkownik, chyba przez U otwarte... eee, znaczy to takie z kreską na górze! – poprawiła się szybko.

Andrzej z trudem hamował śmiech, raz czy dwa musiał przycisnąć do ust zwiniętą w pięść dłoń. Chętnie podjąłby rękawicę, uwielbiał miażdżyć takie słodkie idiotki, ale sprawa była zbyt poważna, by dał się zwyciężyć pokusie. Może Cienie wezmą ją żywcem, wtedy okaże się, czy naprawdę jest taką kozaczką.

– I ja cię pozdrawiam, dziecko – odpowiedział, odchrząknąwszy kilkakrotnie, by wyzbyć się wszelkich oznak wesołości – a teraz daj mi porozmawiać z kimś dorosłym, odbiór.

\* \* \*

Iskra posłała Duchowi pytające spojrzenie. On jednak

dał jej znak, że musi jeszcze moment poczekać. Właśnie złożył drabinę, po której opuścili kryjówkę, i potrzebował czasu na jej ukrycie.

– Sama w domu jestem – wypaliła.

– Nieładnie jest kłamać, odbiór – usłyszała w odpowiedzi.

– Nieładnie to wypruć komuś flaki na imprezie u sąsiada i po sobie nie posprzątać – skontrowała bez zastanowienia.

– Daj mi porozmawiać z Czarnym Skorpionem – poprosił po raz kolejny, ignorując jej zaczepki. – Ty możesz tego nie rozumieć, ale od wyniku naszej rozmowy zależy, czy wyjdziecie z tej doliny z życiem, odbiór.

– Grozić to ty sobie możesz, niedoślepcu.

– Ja nie grożę, ja lojalnie ostrzegam. Przekaż krótkofalówkę Czarnemu Skorpionowi.

Zrobiła to, wzdychając ciężko.

– Masz, dziadzia, tylko uważaj. Po mojemu to on chce cię zanudzić na śmierć – podsumowała. – Albo żebyśmy się sami zabili, byle tylko nie musieć słuchać jego głędzenia.

– Myślę, że się mylisz – odparł Pamiętający, podnosząc radiotelefon do ust. – Tu Czarny Skorpion, odbiór.

– Wreszcie – w głosie rozmówcy pojawiła się ulga. –

Chylę czoła, człowieku, jak ty z tym małym potworem wytrzymujesz? Nie, nie odpowiadaj. Nie mamy czasu na popierdółki. Zajmijmy się tym, co naprawdę jest ważne, odbiór.

– Słucham, odbiór.

– Oferuję wam pokój, odbiór.

– Dzięki, ale mamy już dwa, całkiem spore, do tego kuchnię i łazienkę, odbiór – zażartował Pamiętający.

Zrobił to celowo, żeby wytrącić rozmówcę z równowagi. Wcale mu nie zależało na układaniu się z Czystymi. Przybył tutaj, by ich zniszczyć, i zamierzał to zrobić. A przynajmniej zaszkodzić im tak bardzo, jak to możliwe.

– Nie, błagam, nie idź w ślady tego niedorozwiniętego monstrum, odbiór. – Głos Pułkownika stał się bardziej płaczliwy.

*Ciekawe, pomyślał Duch. Czyżby naprawdę zależało mu na zawarciu układu?*

Niewykluczone, że Czyści zaczęli się burzyć po tym, jak czternaścioro z nich wróciło do bunkrów w czarnych workach. Ci ludzie nie byli tak twardzi jak mieszkańcy kanałów. Nie musieli codziennie walczyć o przetrwanie, zmagać się z chorobami i mutantami, nie ryzykowali życia dla garści robaków, by móc wykarmić wycieńczone dzieci. Od pamiętnego buntu, który miał miejsce kilka lat temu,

nie spotkali się też z żadnym większym zagrożeniem, co było widać choćby po zachowaniu ich żołnierzy – o ile można określić tym mianem bandę uzbrojonych szczyli.

– Dlaczego? – celowo nie zakończył wypowiedzi zwyczajową formułką.

– Powiem ci dlaczego. Jesteś dobrym żołnierzem, co udowodniłeś w sztolni i przy wieży, ale uwierz mi, my też mamy rozum. Wyciągnęliśmy naukę z lekcji, którą nam dałeś, i nie popełnimy więcej błędów. Albo się dogadamy, albo wyślę na powierzchnię prawdziwe wojsko, nie gwardzistów, co dopiero się uczą, po której stronie lufy warto stać, gdy się naciska spust, odbiór.

– Dawaj – ucieszył się Pamiętający. – Wreszcie przestanę się nudzić. Zabijanie tych niedojebków to żadna zabawa.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś tam sam, a nas są setki? – zapytał Pułkownik. – Nie masz najmniejszych szans na wygraną. Możesz zabić bądź ranić jeszcze kilku moich ludzi, ale na miejsce każdego przyślę następnych dwóch, ciebie natomiast nikt nie zmieni. Jeśli zarobisz kulkę... – zawiesił na moment głos. – Nie musisz ginąć, nawet to pyskate gównno może przeżyć, jeśli mnie posłuchasz, odbiór.

– Słyszałeś niedojebka? – obruszyła się Iskra. – Pyskate gównno!



Patrząc na nią, Duch zmarszczył nos, jakby wyczuł smród.

– Trafił w punkt, nie uważasz? – zaśmiał się.

– Jak tylko go zabijesz – wysyczała – masz kosę w plecy, dziadzia.

– Ze sto razy to mówiłaś – westchnął, czym rozjuszył ją jeszcze bardziej.

– I jeszcze sto razy powtórzę, bo jesteś takim skleromanem, że nic ci się w tym pustym łbie nie trzyma, a chcę, żebyś wiedział, za co giniesz.

– Musisz się zdecydować: zabijesz mnie za wywiezienie cię tutaj czy za pyskate gówno?

Tylko pokazała mu wyprostowany palec, ponieważ krótkofalówka znów ożyła.

\* \* \*

– Mówię prawdę – odezwał się Pułkownik, gdy współpracująca z nim operatorka pokręciła głową, informując go, że na razie nie zdołano namierzyć uciekinierów. – Nikt więcej nie musi ginąć, zwłaszcza że sytuacja uległa ostatnio zmianie, odbiór.

– Wyjaśnij, odbiór – zażądał Duch.

– Osoba, która cię tutaj wysłała, nie rządzi już Otchłanią – oświadczył Andrzej, zaskakując Tamarę.

– Co ty mówisz? – syknęła, pochylając się do niego. –

Przecież nie wiemy, jak wygląda sytuacja we Wrocławiu.

– Blefuję – wzruszył ramionami. – A on nie ma jak tego sprawdzić.

– To bez znaczenia, odbiór – odpowiedź była jak zwykle zwięzła.

– Mylisz się, Czarny Skorpionie. To zmienia wszystko. Twoja misja przestała mieć sens, odbiór.

– Nie masz bladego pojęcia, jaki jest cel mojej misji, odbiór.

*Wreszcie jakieś emocje, pomyślała Tamara. Pamiętający po raz pierwszy nie zakpił ani nie zbył Andrzeja. Zerknęła na zapisującą coś szybko radiotelegrafistkę. Chyba mamy przełom.*

– I tu się mylisz – zapewnił Pułkownik, odstawiając kubek przestygłej mięty. – Wiemy doskonale, po co cię tu przysłano. Bondarczuk wyśpiewała wszystko, zanim moi ludzie z nią skończyli. Nie była taka twarda jak ty, odbiór.

– Dwójka ustaliła namiar – zameldowała Anna. – Kąt sto osiemdziesiąt cztery, przecinek sześć stopnia.

Daria przyłożyła linijkę do mapy, długa kreska przecięła dolinę od krańca Wzgórz Wyrebińskich po Walim.

– To za mało. – Andrzej pokręcił głową.

– Ale jesteśmy już blisko.

\* \* \*

Pamiętający wymienił z Iskrą rozbawione spojrzenia. Gdyby trupy umiały gadać, może uwierzyłyby w zapewnienia tego klauna, tak jednak nie było. Ale przynajmniej dowiedział się jednego: Czyści jeszcze nie odkryli, że Otchłań została zdobyta przez stalkerów. Freja dobrze się spisała, a skoro zdołała omamić Pułkownika podczas rozmowy przez telefon...

– Krzyż jej na drogę – rzucił do mikrofonu. – O ile była wierząca.

– Niespecjalnie – odpowiedział niemal natychmiast przywódca Riese – ale to już nie nasze zmartwienie. Porozmawiajmy o was. Proponuję zawarcie rozejmu. Jak już wspomniałem, nikt więcej nie musi ginąć, odbiór.

Duch uniósł krótkofalówkę do ust. Zamierzał uraczyć tę mendę kolejnym cytatem, który przywołał z pamięci minionego wieczora, i na tym zakończyć tę rozmowę, coś go jednak tknęło.

– Słucham, odbiór – rzucił.

– A ty, dziadzia, co? – zdziwiła się Iskra, która też spodziewała się kategorycznej riposty.

– Czekaj – uciszył ją.

Pułkownik odpowiedział z pewnym opóźnieniem, jakby potrzebował czasu na zebranie myśli albo konsultował się z kimś na drugiej linii.

– Moja propozycja jest prosta. Poddasz się, złożysz broń...

– Jeśli chcesz kontynuować tę rozmowę – Pamiętający wpadł mu w słowo – mów w liczbie mnogiej. Nie jestem tu sam.

– No... – mruknęła Iskra.

– A co to dziecko ma do naszego układu? – zdziwił się Pułkownik.

– To dziecko wybebeszyło więcej takich niedojebków jak ty niż całe wasze wojsko do kupy wzięte! – wydarła się, chwytając Pamiętającego za rękę i wciskając jego palcem klawisz nadawania. – Już ja ci dam pyskate gówno – dodała, po tym jak już cofnęła dłoń.

Nie została za to opieprzona.

– W dowód dobrej woli nie wezmę do siebie tych inwektyw, ale proszę, Czarny Skorpionie, niech to będzie ostatni raz, odbiór.

Iskra znów sięgnęła do krótkofalówki, ale tym razem Pamiętający był szybszy i cofnął rękę na czas.

– Dość tego! – ostrzegł.

– Chyba nie chcesz się z nim układać? – Spojrzała na niego spode łba.

– Ani myślę tego robić.

– To o co ci chodzi? – Ponowiła próbę przejęcia urzędu.

– O to, że on coś knuje – odparł Duch.

Osadził ją tym stwierdzeniem w miejscu.

– Co?

– Na pewno nie zagaduje mnie w celu zawarcia rozejmu – wyjaśnił Pamiętający.

– Skąd wiesz?

– Facet ma wszystkie atuty w ręce. Nie skłamał, mówiąc, że może nas bez trudu wykończyć. Naprawdę wierzysz, że żal mu się zrobiło tych paru obszczymurów, którzy przy tej okazji zginą?

– No, niespecjalnie – przyznała.

– Ja też w to nie wierzę. Jemu musi chodzić o coś innego... – Duch rozejrzał się wokół.

– Co jest? – zaniepokoiła się Iskra.

– Na razie nic...

Pułkownik łągał jak pies, próbując nakłonić go do poddania, ale nie mógł być aż tak naiwny, by się spodziewać, że jego przeciwnik uwierzy w abolicję. Nie po tym, jak zabił czternaścioro Czystych. O ile przywódca Riese chciał zachować stołek, musiał pomścić tę zniewagę. Takie były prawa nowego świata: i w kanałach – czego najlepszym przykładem Achaja – i w bunkrach podziemnego miasta.

*Dlaczego więc tak desperacko upiera się przy tej rozmowie?*

Pamiętający przeniósł wzrok na milczącą krótkofalówkę. *Czy Czyści mogą ją jakoś namierzyć?* Starał się przypomnieć zasady działania tego sprzętu, ale zbyt wiele czasu upłynęło od chwili, gdy miał podobne – i do tego działające – cudo w ręce. *Zapewne tak*, uznał po chwili namysłu. *Jeśli nawet nie sam sprzęt, to na pewno wysyłane z niego sygnały. Tak przecież lokalizowano telefony komórkowe, które – chyba – działały na bardzo podobnej zasadzie...*

– Myślę, że oni nas namierzają – powiedział, wolno cedząc słowa.

– Jak? – rozejrzała się wokół, trzymając rękę na pasku kałacha.

– I tak nie zrozumiesz – odparł, przystając pod trzymającą się na słowo honoru ścianą jakiegoś budynku, najprawdopodobniej będącą pozostałością po tej samej fabryce, której ruiny minęli przed momentem. W czasie rozmowy zdołali przejść aż na szosę, tę samą, którą dotarli tutaj z doliny.

– Jesteś tam jeszcze, odbiór? – zaskrzeczała krótkofalówka.

– Jestem – odparł Duch. – Daj mi chwilę, odbiór.

– Czekaam, odbiór.

Pamiętający odwrócił się do Iskry.

– Posłuchaj mnie uważnie. Sądzę, że oni namierzają

w jakiś sposób sygnał tej krótkofalówki...

– Mogą to zrobić? – zapytała, spoglądając z obawą na jego lewą rękę.

– Kiedyś to było możliwe – odpowiedział wymijająco.

– W takim razie wyrzucić to piekielstwo! – zamachnęła się, jakby chciała wytrącić mu sprzęt z ręki, ale znów był szybszy.

– Nie. Sprawdźmy to.

– Jak?

– Masz – podał jej jedną z rezerwowych krótkofalówek. Zabrał po jednej z wszystkich grup Czystych, które wybili, aby nasłuchiwać określonych częstotliwości, lecz wezwanie od Pułkownika było pierwszą transmisją, jaką odebrał. – Tu jest klawisz skanera. Naciskaj go, gdy tylko ta dioda zgaśnie.

– Na cholere mam to zrobić?

Dla niej była to czarna magia. Szczyt techniki, jaki poznała w Otchłani, stanowił antyczny aparat telefoniczny.

– Po naciśnięciu tego klawisza aparat rozpocznie skanowanie, czyli mówiąc po ludzku, poszukiwanie transmisji.

– Dobra, rozumiem – pokiwała głową. – Naciskam to, szuka. Kończy szukać, naciskam po raz kolejny.

– Tak. Jeśli trafisz na rozmowę z pułkownikiem, też naciśniesz jeszcze raz, wtedy sprzęt przeszuka

automatycznie resztę pasma i jeśli nikt inny nie będzie nadawał, znów wykryje naszą rozmowę.

– Jasne.

– Dobrze, a teraz druga sprawa. Nie możesz iść tuż przy mnie, ponieważ on może usłyszeć, że próbujemy przechwycić inne transmisje.

– Czyli co, mam tutaj zostać?

– Tak. Nie podchodź do mnie, dopóki nie złapiesz innej rozmowy. Bez obaw, stanę tam – wskazał mostek nad wyschniętym strumieniem, za którym znajdował się wylot bocznej uliczki. – Będę na ciebie patrzył.

– W porządku – zgodziła się.

Pamiętający przekradł się za koryto strumienia i przycupnął obok siatki okalającej najbliższy dom.

– Jestem, odbiór – odezwał się, naciskając klawisz nadawania.

– Jakiś problem, odbiór? – zapytał Pułkownik tonem wskazującym, że nie czeka na odpowiedź.

– Powiedzmy, że kwestia pyskatego gówna została rozwiązana, odbiór.

– Rozwiązana? – Przywódca Riese nie wierzył własnym uszom.

– To jakiś problem, odbiór? – Duch nie pozwolił mu na zastanowienie.

– Nie. W sumie nie. – Pułkownik odzyskał rezon. –



Nie sądziłem jednak, że...

– Ja też miałem jej już dość. – Pamiętający postanowił uciąć ten temat.

Iskra namierzyła ich w tym momencie, ponieważ przejechała właśnie palcem po gardle w znajomym geście. W odpowiedzi Duch wyprostował środkowy palec.

\* \* \*

– Zwierzęta... – szepnął Andrzej, przyjąwszy do wiadomości oschły komentarz Czarnego Skorpiona. Nie miał jednak czasu na głębsze dywagowanie, jeśli chciał podtrzymać iluzję porozumienia. – Zatem jesteś gotowy wysłuchać mojej propozycji, odbiór?

– Wysłuchać mogę, byleś się streszczał, bo zwłoki mają ostatnio tendencję do przyciągania wyjątkowo wrednych mutków, odbiór.

– Może u was, ale na pewno nie tutaj, odbiór – zapewnił Pamiętającego, rozsiadając się wygodniej.

– Wolę nie sprawdzać, odbiór.

– Dobrze, będę się streszczał. Jeśli złożysz broń i oddasz się w nasze ręce, gwarantuję ci, że nie zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności za ostatnie czyny. Co więcej, odeślemy cię pierwszym transportem do Wrocławia. Jesteś żołnierzem, jak ja, walczyłeś, ponieważ taki wydano ci rozkaz, a za to, że okazałeś się lepszy od

moich ludzi, nikt nie może cię winić, odbiór.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć, odbiór? – zapytał po chwili zastanowienia Duch.

– Dlatego, że my nie jesteśmy tacy jak wy. Jeśli dajemy komuś słowo, to ono zobowiązuje, odbiór. – Andrzej odwrócił się do Tamary, podnosząc kubek.

Dawał jej znać, by zaparzyła mu świeżej mięty.

– W tym, co powiedziałaś, jedno się zgadza: nie jesteście tacy jak my. Jesteście gorsi. O wiele gorsi... – Pamiętający zawiesił znacząco głos. – Gdyby było inaczej, nie wysłano by mnie tutaj.

W ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie użyć innego, bardziej odpowiadającego prawdzie sformułowania, ale tego jego rozmówcy nie mogli wiedzieć.

– Domyślam się, dlaczego to mówisz, i mogę cię zapewnić, że wszystko bądź niemal wszystko, co o nas słyszałeś, zwłaszcza z ust Bondarczuk, było wierutnym kłamstwem. – Pułkownik także odstąpił od zwyczajowej formułki, rozmawiali teraz jak cywil z cywilem przez najzwyczajniejszy telefon.

– Czy to znaczy, że cierpię na omamy wzrokowe? – zakpił Duch.

– W jakim sensie?

– Ci wszyscy oślepieni niemi biedacy to tylko

przywidzenie, dobrze rozumiem?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Andrzej. – Zapewniam cię jednak, że gdybyś znał całą prawdę, nie oceniałbyś nas tak surowo. Okaleczenie tych nieszczęśników było konieczne. Tylko tym sposobem mogłem ich ocalić.

– Ocalić?

– Tak, ocalić. Jak już wspomniałem, nie znasz nawet ułamka prawdy o tym miejscu...

– ...ale wiem wystarczająco dużo – Pamiętający wpadł mu w słowo – by pojąć, że zmuszacie setki, a może nawet tysiące ocalonych do katorżniczej pracy. Nie mów mi, że to pierdolenie o uzdrowieniu i oddaniu im dzieci jest szczerą prawdą, bo pieprznę tym złomem o najbliższą skałę, a potem zobaczymy się osobiście, przez muszkę i szczerbinę.

Andrzej słuchał go jednym uchem, obserwując uważnie stanowisko, przy którym siedziała Anna, zauważył bowiem, że od pewnej chwili notuje coś skrzętnie, kiwając głową.

– To tylko propaganda – odpowiedział natychmiast, skupiając ponownie uwagę na rozmówcy – która pomoże robotnikom przystosować się do nowej rzeczywistości! Nie uważasz, że dzięki temu jest im lepiej? Harują ciężko, to prawda, ale dostają za to wikt i opierunek, opiekę medyczną, bezpieczeństwo. Mieszkałeś razem z nimi,

jadłeś to co oni, z tego, co wiem, pracowałeś też na wszystkich stanowiskach. Czy to życie można porównać do warunków, w jakich ci po... – zająknął się, nie chcąc wymówić słowa, które rozdrażniłoby rozmówcę – ... biedacy egzystowali w kanałach? Ty i ja należymy do ludzi, którzy pamiętają, jak wyglądał stary świat. Dla nich jedyną rzeczywistością jest syf, w którym się nurzali dzień po dniu, nie mając żadnej nadziei na lepsze jutro. Ja im ją dałem. A jeśli nie im, to ich dzieciom.

– Teraz to, kurwa, przegiąłeś! – Pamiętający podniósł głos.

– Czekaj, nie wyłączaj się! – Andrzej podskoczył na krześle. – Co znaczy: przegiąłem?

– Masz mnie za durnia?! – Duch dalej krzyczał. – Myślisz, że nie wiem, co robicie z dziećmi niewolników??

– Co robimy? – obruszył się Andrzej, dziękując równocześnie Tamarze za świeży napar. – Nic nie robimy. Znachor za nasze naboje lokuje je w enklawach na uboczu Miasta.

– Może kilka dziewczynek ulokował, ale w okolicznych burdelach – Pamiętający dyszał w mikrofon – a resztę dawno wysrały szariki pętające się w pobliżu bunkra.

– Hej, czekaj! – Przywódca Riese przybrał bardzo poważny ton. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć...

– Miałaś szansę...

– Czekaj! – W głosie Andrzeja dało się wyczuć panikę. – Ja naprawdę nie wiem, o czym mówisz! Płacimy Znachorowi za utrzymanie tych dzieci. Kurwa mać, przecież nie pozbawialibyśmy się z własnej woli cennego źródła siły roboczej!

Na linii zapadła cisza, dowódca Riese skorzystał więc z okazji i upił łyk naparu. Oblizując usta, posłał uśmiech Tamarze. Jeśli chodzi o wciskanie kitu, był mistrzem świata. To przecież on opracował wszystkie szczegóły tego planu. Oślepienie, przecinanie strun głosowych i pozbywanie się dzieci skopców, których obecność w kanałach prędkiej czy później zaczęłaby rodzić pytania. A o tym, że ludzie znikają, nikt nie powinien wiedzieć.

– Człowieku, przecież wiesz, że mówię prawdę! – rzucił, po czym przeniósł wzrok na rozpromienioną Annę.

– Mamy dwa namiary – zameldowała. – Czwórka podaje trzysta dwadzieścia pięć stopni!

Druga linia dołączyła do pierwszej, tworząc punkt przecięcia w centrum Walimia.

– Przekaż dane Cieniowi Jeden – rzucił, po czym ponowił błagalny komunikat.

\* \* \*

Pamiętający nie chciał się jeszcze rozłączać. Iskra

nadal skanowała pozostałe częstotliwości, ale nie trafiła na żaden komunikat. Czyżby przywódca Riese naprawdę nie wiedział o praktykach Tesli i Znachora?

– Nie wyłączaj się, proszę! Mówię prawdę! Jeśli Znachor krzywdzi te dzieci, odpowie za to głową. Masz na to moje słowo. Powiem więcej, sam będziesz mógł wykonać na nim wyrok.

*W sumie masz rację, pomyślał Duch. Stary kutas już dostał za swoje.*

– Kiedy z nim o tym ostatnio rozmawiałeś? – zapytał, łagodząc nieco ton.

– Przedwczoraj – odparł natychmiast Pułkownik.

*Ty skurwysynu, ty ludzki odpadzie!* Był to tylko początek steku wyzwisk cisnących się na usta Duchowi, ale przełknął je wszystkie, widząc, że Iskra macha ręką, a potem unosi wyprostowany kciuk.

– I co powiedział?

– Zdał raport, jak zawsze. Przedstawił sumę kosztów za ostatni miesiąc. Takie tam pierdoły, ale podał mi też, że w chwili obecnej ma pod opieką trzysta szesnaście dzieciaków. Daję ci słowo honoru, że taką liczbę wymienił. Klnę się na życie moich bliskich.

Pamiętający, słuchając tych tłumaczeń, przywołał dziewczynę gestem.

– Co masz?

– Trafiłam na coś.

– Komunikat?

– Tak – potwierdziła, kiwając zdecydowanie głową.

– Szyfrowany?

– To znaczy?

– Rozumiałaś, co mówili?

– Tak.

– Powtórz... Czeka! – powstrzymał ją, unosząc rękę.

– Nie wierzę ci! – rzucił do mikrofonu, po czym znów przeniósł wzrok na Iskrę, nie zwracając uwagi na kolejną falę wymówek. Nie musiał ich słuchać, wiedział już wszystko. – Mów!

– ...ysta dwadzieścia pięć stopni – wyrecytowała dziewczyna, powtarzając to, co usłyszała.

– Namierzają nas, skurwysyny. – Pamiętający westchnął ciężko, po czym uciszył ją uniesieniem ręki, by rzucić kolejne zdanie do Pułkownika. – Jeśli to prawda, masz jak w banku, że żywcem wypatroszę tego skurwysyna. – Puścił oko do Iskry.

– Co robimy? – zapytała.

– Pozwolimy im mnie znaleźć – machnął ręką, nakazując, by poszła za nim.

Miał już całkiem dobry plan, jak powitać ścigających ich Czystych.

\* \* \*

– Mamy trzeci namiar! – zameldowała podekscytowana Anna. – Dwieście jeden, przecinek trzy!

Tamara przyłożyła linijkę do mapy, by nanieść kolejną linię. Ich przecięcie wypadło w znanym jej miejscu.

– Sztolnie! – obwieściła tryumfalnym tonem, gdy z głośnika znów popłynął głos Pamiętającego. – Ukryli się w sztolniach.

Andrzej przywołał ją do konsoli machnięciem ręki.

– Rozumiem twoje obawy, ale musisz nas też zrozumieć – powiedział sekundę później, podtrzymując rozmowę. Nie chciał, by ofiara wyczuła, że pułapka jest tak bliska zamknięcia. – To nie my rozpętaliśmy ostatnią wojnę. Jesteśmy, podobnie jak wy, jej ofiarami. Robimy jednak wszystko, by nie tylko przetrwać do jutra, ale odbudować kraj ze zgliszcz.

– Dlaczego nie moglibyśmy robić tego wspólnymi siłami? – zapytał Duch.

– Mapę przynieś! – warknął Andrzej na Tamarę, wykorzystując kilkusekundową przerwę. Pamiętającemu zaś odpowiedział: – Naprawdę nie rozumiesz? Nie chcę cię urazić tym, co teraz powiem, ale do odbudowy populacji trzeba czystego materiału genetycznego. To nie rasizm ani pieprzony faszyzm, tylko naukowo dowiedziona konieczność. Wy jesteście zdegenerowani



dwiema dekadami życia w skażonym środowisku. Wasze dzieci rodzą się chore i zdeformowane, nawet gdyby zapewnić im opiekę medyczną w przedwojennym wymiarze, niewiele by to zmieniło. Poza tym my byśmy je ratowali, a one tylko by dłużej cierpiały. Powiedz, że się mylę.

– Nie mylisz się, ale zapominasz, że też jesteśmy ludźmi.

– Nie zapomniałem o tym ani na moment, możesz mi wierzyć.

– Dlaczego więc odrzucasz współpracę? – zapytał Czarny Skorpion. – Nie mówię o sobie, tylko o wszystkich ocalonych.

– Raz już próbowaliśmy – odparł Andrzej, na moment naprawdę poważniejąc – i wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

Wspomniał o buncie, a to wciąż była jątrząca się, więcej nawet, ropiejąca rana.

– Może ponieśliście fiasko dlatego, że sprowadzaliście nas tutaj w charakterze niewolników.

– Nie kpij ze mnie, proszę. Obaj doskonale wiemy, co robiliście z każdym, kto miał przed Atakiem tyle oleju w głowie albo kasy, żeby się porządnie zabezpieczyć. Potrzebowaliście wroga, więc go sobie znaleźliście. Nazywacie nas Czystymi, traktujecie gorzej od

robactwa! – uniósł się szef Riese.

Ponieważ przerwa w dialogu okazała się nieco dłuższa, Pułkownik chwycił trzymaną przez Tamarę płachtę papieru, rozpostarł ją na konsoli i przyjrzał się uważnie punktowi na przecięciu linii.

– Namiar się ustabilizował? – zapytał.

Gdy Anna odpowiedziała twierdząco, zdążył jeszcze rzucić polecenie:

– Są w pawilonie! Przekaż chłopakom, że zamelinowali się w pawilonie obok wejścia do sztolni.

Moment później głośnik znów się odezwał.

– Wszystko, co mówisz, to prawda, ale sytuacja uległa zmianie. Dzisiaj Czyści są dla ocalonych czymś w rodzaju legendy. Pierwotne animozje wygasły, a o ogromie waszych zbrodni wie tylko garstka ludzi.

Anna uniosła kciuk. Cienie wyruszyły ze wzgórz za Rzeczką, na których czekały na podanie ostatecznego namiaru.

*Dąbrowski i jego chłopcy muszą pokonać ponad dwa kilometry, zanim trafią do celu. To tylko parę minut, lecz do czasu, gdy porucznik zamelduje o zajęciu pozycji wyjściowych, ta rozmowa musi trwać.*

– Nie bardzo to widzę – przyznał – ale proszę, zaskocz mnie, powiedz, jak ty to sobie wyobrażasz...

*Niech mówi. Niech mówi, aż będzie za późno.*

## ROZDZIAŁ 18

# W matni

Pamiętający rozejrzył się po pomieszczeniu, do którego dostali się przez otwór po jednej z dawno wybitych szyb. Wnętrze budynku, jak wszystko wokół, zajęły rośliny. Z przestworu wysokiej trawy wystawały gdzieniegdzie wraki mebli, lecz najbardziej imponujące wrażenie sprawiał gruby pień, a właściwie wiązka pozrastanych pni, bo niejedno nasiono dało początek dziwactwu, które rosnąc w głębi budynku, rozsadziło w końcu jego sklepienie.

Z daleka można było pomyśleć, że górująca nad parterowym pawilonem liściasto-iglasta korona tylko zwiesza się nad płaskim dachem, jednakże po wejściu do pogrążonego w półmroku i ciszy wnętrza człowiek stawał przed dowodem na potęgę Matki Natury. Iskra zatrzymała się przed resztkami długiej lady. Gapiła się z otwartą gębą na kolumny okalającego pień rażącego blasku, który był tak intensywny, że wydawał się niemal materialny. Remer też dopatrywał się w tym widoku biblijnych konotacji, ale

w odróżnieniu od dziewczyny wiedział, po co tutaj przyszedł.

Zostawił ją więc zauroczoną i oniemiałą i zrobił szybki rekonesans. Nie miał pojęcia, ile czasu mu zostało, dlatego postanowił działać najszybciej, jak się da. Najpierw wybrał trzy potencjalne miejsca na zasadzkę, potem uważnie się przyjrzał stojącym tam meblom. Dwa z tych punktów nadawały się idealnie, zatem nie namyślając się wiele, po prostu wylosował ten jeden jedyny. Robił to wszystko, podtrzymując konwersację z Pułkownikiem, aby tamten do samego końca nie wiedział, że jego plan został odkryty.

– Mówisz, że gdyby to od ciebie zależało, nie doszłoby do uwolnienia wirusa szarej zarazy, zniszczenia mojej formacji, doprowadzenia do głębokich podziałów wśród głównych frakcji... Ale neonówki to przecież twoja robota – czerpał czystą, wręcz sadystyczną przyjemność z punktowania przywódcy Riese, aczkolwiek raz czy dwa musiał przyznać sam przed sobą, że argumenty przywoływane przez rozmówcę są bardziej niż sensowne.

Nie istnieje coś takiego jak prawda obiektywna. To, co jest dobre dla jednych, przez drugich może być postrzegane jak mniejsze – bądź większe – zło. Wszystko zależy od punktu widzenia. Czy lew rozszarpujący psa myśliwego popełnia dobry czy też zły uczynek? Człowiek widzi oczywiście zło, lecz dla drapieżnika to tylko kolejny

posiłek. A czy myśliwy zabijający lwa jest zły? Pomyślisz, że tak, ale czy wziąłeś pod uwagę fakt, iż decyzja o odstrzale zapadła po serii ataków na pobliskie wioski, w czasie których zginęły trzy osoby, w tym dziecko i staruszka? Punkt widzenia oraz szerokość perspektywy mogą zmienić wszystko. Tak było i w tym przypadku. Obie strony były winne, obie miały też swoje racje.

– Nie powiem, że wydanie tego rozkazu sprawiło mi przyjemność, ale znów nie wiesz wszystkiego. Nasi agenci zostali poinformowani, czym są te grzybki. Ich zadaniem było ostrzeżenie mieszkańców zainfekowanych enklaw, oczywiście na moment przed uwolnieniem trujących zarodników, ponieważ zależało nam nie tyle na zabiciu, ile na wypłoszeniu ludzi z terenów, do których nie mieliśmy bezpośredniego dostępu.

*Akurat*, pomyślał Duch, przewlekając szpagat przez otwór w zbutwiałej ladzie. Złapał rozmówcę na kolejnym kłamstwie. I nie chodziło wcale o to, że enklawa Fryzjera nie została w porę ostrzeżona. Czyści mogli chcieć drastycznego dowodu na skuteczność trucizny, czegoś, co spowodowałoby panikę w pozostałych Wolnych Enklawach i zmusiło większość mieszkających tam ludzi do ucieczki. Kalkulując na zimno, musiał przyznać, że każda z frakcji, do których należał, postąpiłaby podobnie. Problem jednak w tym, że Stanis, który pracował dla tych

śmieciami, nie miał bladego pojęcia o zagrożeniu. Iskrze także o niczym nie powiedziano.

Jak na gust Ducha trochę za dużo było tych łgarstw.

– Rozumiem – odparł, obrzucając wzrokiem ścianę zieleni za oknami. – Nadal jednak nie jestem pewien, czy posunięcie się do aż tak drastycznych kroków było konieczne.

– Pamiętaj, że reagowałem na zastaną już sytuację. Gdyby to ode mnie zależało, zacząłbym zupełnie inaczej. Sam widziałeś, jak wygląda dzisiaj życie naszych robotników.

– Szkoda, że oni tego nie mogą zobaczyć... – rzucił do mikrofonu, odłamując front zbutwiałej szuflady.

– Bardzo śmieszne – obruszył się Pułkownik.

– Ale do bólu prawdziwe – skontrował natychmiast Remer.

Słuchając kolejnych tłumaczeń Czystego, podłożył granat. Umieszczał go bardzo ostrożnie, jakby to nie był kawał żelaza, tylko delikatne jajko. Modlił się przy tym, by cienka płyta okazała się wytrzymalsza od rozłazącego się frontu. Miał szczęście, spody szuflad wykonano z tworzywa sztucznego, nie płyty wiórowej, która po tylu latach ekspozycji na żywioły rozpadała się pod naciskiem palca. *Za wcześnie na radość*, pomyślał, gdy granat spoczął pod ladą, *teraz czeka mnie najtrudniejsza część*

*zadania.*

– Idź na tyły – polecił Iskrze, która wciąż podziwiała dziwaczne drzewo. – Sprawdź, czy nie ma tam jakiegoś otworu, którym da się spokojnie stąd wymknąć.

– Się robi, dziadzia.

Z wysunięciem zawlecзки musiał poczekać, aż dziewczyna oddali się na bezpieczną odległość. W dodatku Pułkownik znów zamilkł.

– Wszystko ładnie, ale jakoś nie mogę uwierzyć w twoje dobre chęci – rzucił, pragnąc zmusić rozmówcę do kolejnej tyrazy. – Za dużo krwi masz na rękach.

– Przyganiał kocioł garnkowi. – Przywódca Riese poczuł się chyba urażony. – A ty niby lepszy jesteś? Pozbyłeś się tej dziewczyny, gdy tylko przestała ci być potrzebna i zaczęła zawadzać.

Pamiętający uśmiechnął się pod nosem.

– Nie wiesz nawet, od jak dawna o tym marzyłem – rzucił do mikrofonu. – Dobra, może i mówisz prawdę. Powiedzmy, że poddam się bez walki. Jak miałyby to wyglądać?

Wpuścił rozmówcę w kolejny temat rzekę. Potrzebował chwili na skupienie, w tym momencie najmniejszy błąd mógł kosztować go życie. Zerknął przez ramię, Iskra zniknęła za grubym pniem.

– Wróc pod sztolnię, z której uciekłeś... – zaczął

Pułkownik po kilkusekundowej przerwie, ale gadał do ściany, ponieważ Duch nie słuchał jego wywodu. Nie chciał się rozpraszać, przekręcił więc potencjometr prawie do końca, zmieniając mechanicznie brzmiące słowa w cichy, lecz wciąż zrozumiały pomruk.

Teraz mógł się zająć właściwym zadaniem. Najpierw wysunął zawleczkę tak, by tylko jej końcówka przytrzymała łyżkę, potem przewlókł przez nią szpagat, ten, którego drugi koniec był przymocowany do uchwytu na obudowie krótkofalówki. Pozostało już tylko zawiązanie ostatniego węzła.

Odsunął się od lady, zachowując najwyższą ostrożność, po czym sięgnął do pasa i oddaliwszy się za pień, włączył drugi z aparatów. Zanim zdążył go uruchomić, zza jego pleców dobiegł głośny chrobot, jakby coś się zawaliło. Spojrzał za siebie, ale nie zobaczył przyczyny hałasu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, nie podnosząc głosu.

– No – usłyszał zdawkową odpowiedź.

– ...gwarantuję, że włos nie spadnie ci z głowy, jeśli wykonasz moje instrukcje – kończył właśnie Pułkownik, zatem Pamiętający musiał wrócić do rozmowy.

– W to akurat wierzę, bo prawie łysy jestem – zaśmiał się szczerze.



Tak naprawdę czuł ogromną ulgę, ponieważ wiedział, jak blisko śmierci przed chwilą się znajdował, jednakże jego rozmówca mógł odnieść wrażenie, że reakcja ta jest skutkiem jego wywodu.

– Zatem jesteś gotowy się poddać? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie – odparł. – Jeszcze nie, ale dałeś mi do myślenia.

Iskra przykucnęła obok niego. Pokazała uniesiony kciuk, po czym wyciągnęła rękę, wskazując najdalszy kąt.

– Tam jedno z drzew naruszyło ścianę – oznajmiła szeptem, choć nie musiała zniżyć głosu, skoro zdążył już puścić klawisz nadawania. – Wystarczyło wyjąć parę rozpadających się cegieł, a dziura zrobiła się taka jak ta, którą przestrzeleł ci w tym pustym łbie, ledwie skończysz się bawić w stalkera i cieniaka.

– Wprost nie mogę się doczekać – zapewnił ją. – Nie wiesz nawet, jaką poczuje ulgę, nie musząc dłużej słuchać wymądrzeń jakiegoś pyskatego gówna.

– No, to się doigrałeś, oblechu. Zaraz ci...

– Nie zaraz, później. – Wcisnął jej w rękę swój chlebak. – Najpierw musimy przeżyć, żebyś mogła mnie zabić.

– Ty to masz łeb jak sklep – odparła. – I dobrze, bo łatwiej będzie trafić.

Nie roześmiał się wyłącznie dlatego, że krótkofalówka

przy jego pasie ożyła. Tylko na moment. Na częstotliwości namierzonej przez Iskrę ktoś się odezwał. Wypowiedział dwa słowa, ale wszystko i tak stało się jasne.

\* \* \*

Dąbrowski zamarł pomiędzy dwiema młodymi brzózkami. Podobnie jak pozostali członkowie zespołu Cieni, miał na sobie strój maskujący, który dodatkowo ubogacił miejscową trawą. Gdy zamierał w bezruchu, nawet z kilku kroków nie dałoby się go dostrzec, a gdy ruszał dalej, robił to tak wolno, że trzeba by naprawdę wprawnego oka, by wyłowić jego sylwetkę pośród chwiejących się leniwie łąnów, zwłaszcza że jego twarz pokrywały czerń i biel układające się w wizerunek czaszki, tej samej, która towarzyszyła mu kilka lat wstecz podczas walk w sztolniach. Czuł się jednak trochę nieswojo, ponieważ po zgoleniu brody – koniecznym do nałożenia pełnego kamuflażu – miał wrażenie, że jego szczękę obłożono lodem.

Trzy lata przerwy w przeprowadzaniu prawdziwych misji bojowych nie pozbawiły go wprawy, a przynajmniej taką miał nadzieję. Ćwiczył, kiedy mógł, a czasu miał sporo, ponieważ tam gdzie trafił za sprawą rozkazu Pułkownika, mógł co najwyżej poszaleć z miotaczami ognia. Zesłanie na terminal paliwowy było bowiem karą.

Niezasłużoną oczywiście, zwłaszcza dla chłopaków, którzy oberwali rykoszetem, niemniej porucznik przyjął ją z pokorą, zdając sobie sprawę, że nowy przywódca Riese, który podskakuje na widok własnego cienia – i słusznie – może posunąć się znacznie dalej, nawet do fizycznej eliminacji, jak miało to miejsce w przypadku Ministra, jego poprzednika. Problem Andrzeja polegał na tym, że nie był jeszcze gotów poczynić tak radykalnych kroków. Nie mógł też dopuścić do kolejnego rozlewu krwi, do którego niechybnie by doszło, gdyby padł rozkaz zabicia któregoś z Cieni.

W takim wypadku Dąbrowski musiałby zareagować ostrzej, a to doprowadziłoby do otwartej konfrontacji, gdyż ci, którzy go tutaj skierowali, wyrazili się jasno: lojalność wobec człowieka stojącego na czele Rady ma o wiele niższy priorytet od lojalności wobec Nowej Polski. Władcy bowiem będą się zmieniać, może nawet często, ale przetrwanie zrębów nowego społeczeństwa musi zostać zagwarantowane, i to za wszelką cenę. Właśnie dlatego porucznik pozostał bierny, gdy Wariat uzurpował sobie prawo do przewodzenia ocalonym. Skazał tym byłego przełożonego na porażkę, czego tamten nigdy mu nie darował. Tak jednak musiało być. Zwłaszcza w sytuacji, która powstała w wyniku buntu.

Dąbrowski nie wystąpił przeciw Pułkownikowi nigdy

później, ponieważ ten mimo wielu wad zdawał się dążyć do tego samego celu. Pokrętnymi drogami, z którymi dobry żołnierz nie mógł się zgadzać, ale jednak skutecznie. Jego podejście do przymusowych robotników, z pozoru bardzo okrutne, nieludzkie wręcz, sprawdziło się znacznie lepiej niż wszelkie regulacje wprowadzane przez Ministra, a wcześniej Premiera. Ślepcy nie pracowali wprawdzie tak wydajnie, jak ich zmuszani batem i butem poprzednicy, lecz nie buntowali się też, nawet nie spiskowali. Nie trzeba ich było wiecznie pilnować, co przy tak uszczuplonych siłach byłoby dzisiaj niemożliwe. Przy wszystkich swoich wadach i niedociągnięciach Andrzej okazał się gwarantem przetrwania Riese i co za tym idzie, projektu Nowej Polski, a to było przecież najważniejsze dla Dąbrowskiego i jego ludzi.

Z czasem napięcie panujące między Pułkownikiem a ostatnimi żołnierzami osłabło, jednakże nawet pokora okazywana przez porucznika nie zdołała całkowicie zasypać przepaści powstałej po stłumieniu buntów i podwójnym puczu. Dąbrowski był jednak cierpliwy. Wiedział, że prędzej czy później musi dojść do przełomu – do Pułkownika dotrze wreszcie, iż odsuwanie na boczny tor najbardziej przydatnych ludzi kiedyś w końcu się zemści. Szkoleni z podręczników survivalu chłopcy nigdy nie osiągną sprawności zawodowych żołnierzy, mogą się

puszyć i obwieszać ekwipunkiem, ale gdy przyjdzie im stawić czoło prawdziwemu zagrożeniu, zawiodą na całej linii. Było więc tylko kwestią czasu, kiedy nastąpi dzień odkupienia wszystkich win. Taki jak ten.

Porucznik zamarł, odganiając od siebie te myśli. Czas skupić się na zadaniu. Miał już w polu widzenia ciąg powybijanych okien parterowego pawilonu. Słyszał dobiegający z pogrążonego w półmroku wnętrza głos. Kilka minut wcześniej utracił kontakt wzrokowy z pozostałymi członkami oddziału, lecz wiedział, że wszyscy czterej zajęli już pozycje wyjściowe. Jego krótkofalówka wydała serię cichych piknięć, którymi mu to komunikowali.

Przekradł się jeszcze bliżej, za kępę gęstej czeremchy rosnącej nie dalej niż pięć metrów od dawnych witryn. Teraz widział znacznie więcej. Gruby pień drzewa, które przebiło się przez sufit, okalały kolumny światła, jednakże to nie ich widok przykuwał spojrzenie ostatniego oficera Czystych, tylko mająca na tle złotej kurtyny sylwetka. Czarny Skorpion, też żołnierz, tyle że walczący po przeciwnej stronie i nieświadom faktu, iż opowiedział się za przegraną sprawą, a przy tym wcale nie tak dobry, jak obawiał się tego Pułkownik, wysłuchiwał właśnie kolejnej tyrady, nie mając bladego pojęcia, że został wystawiony.

Dąbrowski żałował, że polowanie dobiegnie końca,

nim się na dobre zaczęło. Miał przed sobą towarzysza broni, być może kogoś, kogo poznał w poprzednim życiu – ludzi jego profesji nie było przecież aż tak wielu – ale wiedział, że powieka mu nawet nie drgnie, gdy naciśnie spust. Lojalność wobec wielkiej sprawy była ważniejsza od ludzkich uczuć. Poza tym jego przeciwnik zdawał sobie doskonale sprawę, jaką cenę zapłaci, jeśli zawiedzie... a zawiódł, i to na całego.

Porucznik skierował lufę unoszonej powoli broni na wysokość piersi zgarbionej lekko sylwetki. Zamarł jednak, gdyż Pamiętający poruszył się właśnie, jakby coś zauważył. *Szlag...* Nie, znów się pochylił nad skrzeczącym radiem, odpowiadał właśnie na kolejny pokrętny wywód Andrzeja, nie mając bladego pojęcia, że to będą jego ostatnie słowa.

Dwa naciśnięcia spustu, dwa strzały, jeden natychmiast po drugim, i cel pada jak zmieciony. Dąbrowski nie mógł chybić z tak małej odległości. Był pewien, że Czarny Skorpion skonał, zanim zdążył zrozumieć, co go spotkało. Tyle porucznik mógł dla niego zrobić.

Odczekał w kryjówce jeszcze kilka sekund, na wypadek gdyby tamten zabezpieczył się przed takim atakiem, na przykład trzymając w ręce aktywny detonator. Sekundy mijały jednak, a wewnątrz pawilonu nie wstrząsały żadne eksplozje. Usatysfakcjonowany

porucznik nadał sygnał i opuścił liściastą kryjówkę, po czym podkraść się do mrocznego otworu po wybitej szybie. Czterej jego towarzysze z bronią gotową do strzału pojawili się bezszelestnie przy innych oknach.

Kilka sekund później Cienie przypadły do ziemi, niknąc w porastającej wewnątrz pawilonu trawie. To, co ich dowódca wziął za Czarnego Skorpiona, okazało się bowiem wypchanym sianem płaszczem. Wokół panował pełen spokój, grobową ciszę przerywały jedynie zniekształcone przez krótkofalówkę wezwania Pułkownika.

Dąbrowski przełknął nerwowo ślinę. Andrzej nie przesadzał. Przeciwnik okazał się trudnym celem, ale to tylko podnosiło stawkę rozgrywki, której Cienie nie mogły przegrać.

– Przeszukać teren! – rozkazał, ruszając w głąb pawilonu.

Posuwał się do przodu bardzo wolno, nie wstając. Przed zrobieniem kolejnego kroku omiatał dłonią przestrzeń przed sobą, sprawdzając, czy nie ma tam potykacza albo innej zmyślnej pułapki. Wiedział, że jego podwładni postępują z równie wielką ostrożnością. Byli zawodowcami, lekko wprawdzie zardzewiałymi, lecz pewnych nawyków nie sposób zapomnieć.

Trzy minuty później zebrali się przy otworze w tylnej

ścianie. Był na tyle duży, że mógł pomieścić człowieka, a leżący pod nim pył nosił ślady wskazujące, że to właśnie wtedy ewakuował się Czarny Skorpion. I chyba nie tylko on... Porucznik uśmiechnął się pod nosem. Jeden z odcisków dłoni był wyraźnie mniejszy.

– Idziemy za nim? – zapytał szeptem kapral Witczak, gdy cofnęli się dwa kroki, by omówić sytuację.

– Nie – odpowiedział natychmiast Dąbrowski.

– Skoro wie, że możemy go namierzyć, nie powtórzy błędu. Pójście po jego śladach to nasza jedyna szansa.

– On tego chce. – Porucznik wskazał leżące pod ścianą krótkofalówki.

Nie musiał mówić nic więcej. Przeciwnik z pewnością nie pozostawił niczego przypadkowi, jednakże oni nie byli od niego gorsi. Nie dadzą się tak łatwo rozegrać i doprowadzą do rozstrzygnięcia na swoich warunkach. To nie będzie takie łatwe, ale czy nie pragnęli wyzwania? Czy nie tęsknili za dniem, w którym będą musieli wyżyć wszystkie siły i popisać się całym sprytem, by pokonać wroga? Ten dzień w końcu nadszedł, zatem skwitowali słowa dowódcy znaczącymi uśmiechami.

Drgnęli jak jeden mąż, gdy za ich plecami rozległo się kolejne skrzeknięcie, po którym usłyszeli płynące z głośnika krótkofalówki słowa:

– Pułkownik do Czarnego Skorpiona, dlaczego nie



odpowiadasz, odbiór?

Dąbrowski odłożył broń. Radiotelefon zabrany jednemu z zabitych strażników stał na ladzie, obok której Czarny Skorpion postawił imitującego go manekina. Drań zadbał o wszystkie szczegóły. Nawet o to, by wiatr mógł poruszyć przynętą. Ustawił ją za ladą, blisko pnia, by blask sączący się przez otwory w suficie podświetlał niby ludzką sylwetkę, uniemożliwiając zarazem wypatrzenie szczegółów. Podparł słomianą kukłę, odzianą w zabrany z jakiegoś domu płaszcz, najzwyklejszym spróchniałym badylem, który trzymał się w całości na słowo honoru. Nic więc dziwnego, że przynęta padła, gdy tylko pociski przeszły materiał.

Porucznik sięgnął po krótkofalówkę. Czas poinformować geniusza zbrodni, że jego plan nie wypalił. Coś kliknęło cicho pod ladą, gdy zabrał mieszczący się w dłoni aparat. Tknięty przecuciem podniósł rękę wyżej. Najpierw poczuł opór, potem dostrzegł cieniutką nić łączącą obudowę radiotelefonu z ladą. Zrozumienie, na co patrzy, zajęło mu sekundę. Wyrwanie się z odrętwienia i otwarcie ust, by ostrzec pozostałych, zabrało dwie kolejne, lecz wtedy wiedział już, że zostali pokonani.

## ROZDZIAŁ 19

# Dwa fronty

– Obserwatorzy donoszą, że usłyszeli huk eksplozji – zameldowała Anna, gdy Pułkownik powtórzył po raz kolejny wywołanie.

– Huk? Eksplozji? – zdziwiła się Tamara.

– Tak mówią – potwierdziła operatorka sąsiedniej radiostacji. – Kierunek zgodny z namiarem.

– Czy ten skurwysyn mógł zrobić bombę? – zapytał Andrzej drżącym głosem.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia akcji zaczynał panikować. Napięcie towarzyszące osaczeniu Pamiętającego było zbyt duże nawet jak dla niego, a przedłużająca się cisza w eterze dobijała wszystkich coraz bardziej z upływem każdej sekundy.

– Wątpię – odpowiedziała Tamara, chcąc dodać mu otuchy. – Nawet gdyby okazał się nowym wcieleniem MacGyvera. W dolinie od lat nie ma niczego, co nadawałoby się do robienia improwizowanych ładunków wybuchowych.

Czy jest tak naprawdę, nie wiedziała, ale to miało w tym momencie najmniejsze znaczenie.

– Nasi nie wzięli ze sobą granatów... z tego, co wiem... – Andrzej był zbyt dobry w takich gierkach, by dać się podejść.

– Może...

Głośnik radiostacji ożył, ale nie ten, który powinien. Konsola Anny pozostała martwa, za to ta przed Pułkownikiem wydała charakterystyczny trzask.

– Przepraszam, że nie odpowiadałem, ale wiesz, paru kolegów wpadło właśnie z niezapowiedzianą wizytą.

Pamiętający wypowiedział to zdanie z takim spokojem, jakby rzeczywiście poszedł otworzyć znajomym drzwi. Andrzej był zbyt zaskoczony takim obrotem sprawy, by podejmować grę.

A może dotarło do niego w końcu, że maski opadły i nie ma sensu dalej udawać?

– Co... – bąknął, nie mogąc wydusić z siebie nic więcej.

– Pytasz co z nimi? – podchwycił natychmiast rozmówca. – Czterej zginęli na miejscu, a piąty... – z głośnika dobiegło ciche chrupnięcie – piąty też już nie żyje.

– Ty... Ty... – sapał Pułkownik do mikrofonu.

Nie mieściło mu się w głowie, że żołnierze elitarnych

oddziałów specjalnych, najlepsi z najlepszych, których jego poprzednicy wybrali z taką pieczołowitością, nie dali rady jednemu, w dodatku kalekiemu, obdartusowi.

– Ty-tyryty-ty-ty – zakpił z niego Pamiętający. – Zawiodłem się na tobie, przyjacielu. Bardzo się zawiodłem... – Odczekał chwilę, pozwalając odpowiedzieć przywódcy Riese, ale ten był tak przytłoczony porażką, że zapomniał języka w gębie. – Byłeś tak bliski sukcesu – podjął więc Duch, wbijając kolejną szpilę pokonanemu wrogowi, wdeptując go w ziemię, miażdżąc bez litości. – Nie dzięki tym biedakom, których posłałeś na pewną śmierć, lecz dzięki własnym słowom. Nie uwierzysz, ale gdybyś powstrzymał się od kilku kłamstewek, na których cię przyłapałem, kupiłbyś mnie tą gadką o możliwości współpracy. Naprawdę bym na nią poszedł.

– Nie kłam... – wycharczał błagalnym tonem Andrzej.

– Nie kłamię. Dałbym ci słowo honoru, ale wiem już, że nie wierzysz w takie bzdety. – Rozbawienie zniknęło z głosu Pamiętającego z każdym wypowiedzianym słowem. – Koniec gadania. Nie wiem, gdzie jesteś, nie wiem, kim jesteś, ale dopadnę cię i zabiję. Słyszysz mnie? Wyrznię też każdego, kto stanie mi na drodze, rozumiesz, kanalio? Twój sen o potędze dobiegł właśnie końca. Zro-zu-mia-no?!

Pułkownik nie odpowiadał. Ku przerażeniu Tamary nadal nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Gorzej nawet: mikrofon wyleciał mu z odrętwiałej ręki, a on nawet tego nie zauważył. Ktoś musiał przerwać ten cyrk, dlatego zarządczyni pochyliła się nad konsolą i wyłączyła radiostację. Dyżurne przyglądały się w niemym przerażeniu, jak ściąga z fotela i odprowadza załamane przywódcę w zacisze gabinetu.

Tam, po usadzeniu Andrzeja na kanapie, Tamara pobiegła za biurko. Otworzyła szafkę, by wyjąć butelkę bimbru, tę samą, którą on wcześniej odkorkował. Nalała dwa kieliszki, wróciła z nimi do gapiącego się tępo w sufit partnera. Nie zareagował, gdy wyciągnęła do niego rękę. Nie słuchał tego, co mówiła, zatem po chwili wahania wypila jednym haustem swoją miarkę, a następnie, po kolejnej nieudanej próbie kontaktu, także ten alkohol, który przyniosła dla niego. Na koniec zawisła nad kulącym się ze strachu mężczyzną.

– Nie możesz się poddać – syknęła. – Nie teraz!

Podniósł głowę, z wyraźnym trudem skupiając wzrok na jej twarzy.

– Pokonał nas – szepnął.

– Mylisz się – zaprzeczyła natychmiast. – Przegrywamy, to prawda, ale do porażki jest jeszcze daleko.

– Pokonał nas – powtórzył, robiąc taki grymas, jakby zamierzał się rozplakać.

– Posłuchaj mnie! – Chwyliła go za ramiona i mocno nim potrząsnęła. – Nadal mamy szanse! Ocknij się wreszcie i przestań srać w gacie! Tutaj cię nie dostanie! Ten kompleks został tak zaprojektowany, że trzeba by całej armii, by go zdobyć, a on jest jeden! Jeden! Wszystkie wartownie zostały już obsadzone. Jeśli wlezie do którejkolwiek sztolni, jest trupem. – Zauważyła poprawę. Wystarczyło tchórzowi udowodnić, że nic mu na razie nie grozi. – Nawet jeśli nie wlezie, też go załatwimy – dodała pewnym tonem, kierując rozmowę na temat, który zamierzała teraz poruszyć.

– Załatwimy. – Spojrzał na Tamarę trzeźwiej. – Jego?

W tym ostatnim słowie udało mu się jakimś cudem zawrzeć całą beznadziejność sytuacji.

– Tak – nie ustępowała. – Jeśli nie da rady siłą, weźmiemy go sposobem!

– Jak?

– Choćby głodem – odparła bez zastanowienia.

Kombinowała od jakiegoś czasu, co jeszcze mogliby zrobić, na wypadek gdyby Cienie miały problem z szybkim wytropieniem uciekiniera. Wtedy właśnie wpadła na ciekawe jej zdaniem rozwiązanie.

Wiedziała, że jedynym źródłem pożywienia na

zewnątrz są pola leżące w Dolinie Kamionki, wystarczy więc obstawić je szczelnie, a Czarny Skorpion sam padnie, po tym jak skończy mu się prowiant ukradziony zabitym w sztolni wartownikom. Nie zdobył go wiele, tak więc za pięć, sześć dni zostanie zmuszony do podjęcia bardziej desperackich kroków, na które załoga Riese będzie gotowa.

– Głodem? – powtórzył za nią Andrzej już znacznie spokojniej. – Tak. Tak, tak, tak. – Widziała, jak zapalają mu się lampki w oczach. Głęboka depresja ustępowała momentalnie. Jak każdy tonący, chwyciłby się brzytwy, tymczasem ona zamiast zabójczego ostrza podała mu najprawdziwsze koło ratunkowe. – Dlaczego nie wpadliśmy na to wcześniej!?

– Żeby zamorzyć głodem takiego skurwiela, trzeba sporo czasu – przypomniała, studząc jego emocje. – Ale jest to jak najbardziej wykonalne.

– Mamy za mało ludzi, by odizolować wszystkie pola... – Zauważył najsłabszy punkt jej planu, co oznaczało, że wraca powoli do formy.

– Chyba że uzbroimy dziewczyny – odpowiedziała z nadzieją w głosie.

Do tej pory Andrzej sprzeciwiał się każdej propozycji włączenia kobiet w programy szkolenia obronnego. Teraz jednak sytuacja mogła wymusić na nim zmianę zdania, na

co skrycie liczyła.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytał. O dziwo, nie machnął przy tym pogardliwie ręką ani nie spojrzął na nią z politowaniem, jak miał to w zwyczaju.

– Normalnie. Uzbroimy każdego, kto się nadaje do noszenia broni, i wyślemy go... albo ją... do Kamionek. Otoczmy pola gęstym kordonem posterunków. Ustawimy reflektory, a jeśli uznasz za stosowne, możemy też zaminować przedpola na kilku kierunkach. Byle szybko. Najlepiej natychmiast.

– Dlaczego?

– Nie rozumiesz? On od kilku dni jest na powierzchni, na pewno wie, gdzie są te pola. Jeśli chcemy go zagłodzić, musimy je zabezpieczyć, zanim tam trafi.

– Doprowadzimy do kolejnej masakry... – Nadal się bronił, ale już nie z takim zacięciem jak przedtem.

– Do masakry dojdzie tak czy inaczej. Tam przynajmniej nie będzie mógł uderzać z zaskoczenia, jak w tunelach.

Tereny wokół pól zostały dokładnie oczyszczone. Usunięto z nich całą roślinność. Jeśli Pamiętający zdecyduje się je zaatakować, będzie musiał pokonać najpierw kilkaset metrów otwartej przestrzeni, na której łatwo go zauważyć i nietrudno zabić, a potem wielesetmetrowy pas gołej, wypalanej ziemi. Żaden



człowiek, zwłaszcza w pojedynkę, nie zdoła tego dokonać, nawet jeśli upraw będą bronić marni strzelcy. Ogień z kilkudziesięciu luf, nie licząc karabinów maszynowych, które rozmieszczono w dolinie rok temu, by chronić pracujących tam ludzi przed ewentualnymi atakami mutantów, stworzy zaporę nie do przejścia, a przy umiejętnym dowodzeniu da się go dodatkowo skoncentrować, i to w ciągu kilku minut.

Andrzej wstał, przycesał wciąż drżącą dłonią włosy, po czym stanął przed mapą.

– To dałoby się zrobić... – szepnął po chwili.

– Nie musimy tracić czasu na kopanie umocnień – odpowiedziała mu Tamara. Naprawdę dobrze to sobie przemyślała. – Możemy rozmieścić ludzi w okalających pola rowach melioracyjnych. W pół godziny usypią sobie przedpiersia, za godzinę będziemy mieli gotowe stanowiska bojowe. Oba ujścia zaminujemy – uściśliła, zauważając, że Pułkownik przesuwając palcem po jednej z niebieskich linii.

– Zajmiesz się tym? – zapytał, nie odrywając wzroku od mapy.

Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. Rezygnował z okazji zapunktowania u załogi?

– Jasne – odparła, kryjąc wahanie. – A co ty zamierzasz robić w tym czasie?

Przeniósł wzrok na telefon.

– Nie drażni cię ich milczenie? – zapytał.

Nie musiał precyzować, o kim mowa.

– Owszem, i to bardzo – przyznała.

– Może czas wyjaśnić tę sytuację – mówiąc to, odwrócił się do niej. – Termin ultimatum upływa jutro. Dałem im wystarczająco dużo czasu do namysłu.

– Moim zdaniem Bondarczuk chce nas zmiękczyć – stwierdziła Tamara. – Jeśli wie, że bez jej ludzi nie damy rady...

– Wie. I dlatego musimy kuć żelazo, póki gorące. Nasłala na nas tego pajaca, ale nie może wiedzieć, czy jego misja zakończyła się sukcesem. – Andrzej uśmiechnął się krzywo.

– To prawda... Możemy jej powiedzieć, co chcemy.

– Dobrze kombinujesz. – Teraz z jego ust zaczął kapać czysty jad.

– W takim rozgnieć tę gnidę – rzuciła, ruszając w kierunku drzwi. – Ode mnie też.

\* \* \*

Freja straciła humor już trzeciego dnia po rozmowie Kosy z Pułkownikiem. Czas płynął, a Riese milczało jak zaklęte. Za to jej ludzie zaczynali szemrać. Spodobał im się plan, dołożyli wszelkich starań, by wcielić go w życie,

zatem już dwie doby po rozpoczęciu przygotowań wszystko było zapięte na ostatni guzik. Od tamtej pory stalkerzy siedzieli jak na szpilkach, a nic przecież nie wyniszcza tak nerwów jak długie czekanie. Godziny mijały jedna po drugiej, potem dni, ale oba telefony pozostawały głuche.

Tik-tak...

Do upływu ultimatum pozostało zaledwie trzydzieści sześć godzin. Czyści powinni odezwać się już dawno temu, nie zrobili tego jednak, przez co w wielu głowach powstało podejrzenie, że odkryli podstęp, dowiedzieli się w niewiadomy sposób, iż Otchłań nie jest już kontrolowana przez ich współbraci. Niewykluczone więc, że pociąg pancerny powróci, lecz nie z transportem świeżego zżarcia – którego obietnica rozpałała umysły stalkerów – tylko pełen uzbrojonych po zęby żołnierzy dysponujących całym arsenałem broni, o której podwładni Frei mogli tylko pomarzyć.

Tik-tak...

Zbrojownie podziemnego miasta pełne były świecących nowością kałasznikowów, rozmaitej maści pistoletów i skrzyń z amunicją, ale na tym kończyła się ich zasobność. Zdobyczne granaty dało się policzyć na palcach jednej ręki, a wyciągnięta z najdalszej komory przenośna wyrzutnia rakiet była tak ciężka i nieporęczna,

że nie nadawała się nawet do okładania przeciwnika po łbie. O strzelaniu z niej także nie było mowy, ponieważ ostatni krzyk techniki wojskowej zawierał w sobie tyle delikatnej elektroniki, że już kilka lat po Ataku odmówił posłuszeństwa i tak trafił w kąt. Innych fanaberii załogi Otchłani, jak widać, nikt przed wojną nie zamierzał spełniać, wychodząc zapewne z założenia – całkiem słusznego – że do obrony kompleksu wystarczy najprostsza broń, taka, jakiej da się używać całymi latami, w najtrudniejszych nawet warunkach.

Tik-tak...

Po upływie piątego dnia ludzie zaczęli przygotowywać się na najgorsze. Podczas ostatniej narady ustalono, że jeśli Riese zaatakuje, obrońcy spróbują ich odeprzeć na końcu tunelu w Sobótce, tam gdzie znajdowało się najwęższe gardło. Spośród ochotników wybrano trzydziestu najlepszych stalkerów i dano im do dyspozycji strzelnicę oraz kilka skrzyń amunicji, aby ostrzelali się i oswoili ze zdobyczną bronią. Chłopcy byli pełni chęci i zapału, niemniej Freja zdawała sobie sprawę, że nie mają wielkich szans na pokonanie zawodowych żołnierzy. Ich zadaniem było wciągnięcie Czystych w serię pułapek i zadanie im maksymalnych strat, a gdy wszyscy polegną albo się wycofają...

Wtedy zostanie już tylko ostatnia linia obrony.

Trzy i pół kilograma dynamitu rozmieszczonego na betonowych żebrach tunelu dwieście metrów od stacji końcowej. Tak wyglądała ostatnia reduta Otchłani. Freja zamierzała zdetonować te bomby, kiedy tylko jej ludzie zostaną wyparci z Sobótki. Zdawała sobie sprawę z nieodwracalności tych szkód, lecz podobnie jak reszta starych, doświadczonych stalkerów biorących udział w naradach, uznała, że to zło konieczne, na które musi się zgodzić, jeśli nie chce utracić kontroli nad podziemnym miastem.

Tik-tak...

Chwyliła stojący obok niej budzik i cisnęła nim z całych sił o ścianę. Plastikowa obudowa roztrzaskała się w drobny mak, na podłogę posypały się umieszczone wewnątrz części. W kwaterze Bondarczuk natychmiast zapanowała grobowa cisza. Trzydzieści sześć godzin do wyznaczonego przez Pułkownika terminu. Trzydzieści sześć godzin, które upłyną bez upierdliwego tykania, rozstrajającego ją znacznie bardziej niż świadomość, że po każdym tyknięciu upływa kolejna sekunda. Całe dni spędzała w tym pomieszczeniu, nie ciesząc się z oferowanych jej wygód, ponieważ nie była w stanie czerpać radości z czegokolwiek.

Czekanie dobijało ją, podobnie jak beczynność, ale co miała zrobić?

Tik-tak...

*Kurwa mać!* Budzik przestał istnieć, lecz mimo to w dojmującej ciszy nadal słyszała jego tykanie. Tym razem miała je we własnej głowie. Wiele by dała, by móc w końcu podnieść tę pieprzoną słuchawkę. Modliła się, by dzwonek ożył, bo każdy inny scenariusz prowadził do jednego – straci mężczyznę, z którym pragnęła spędzić resztę życia, czyli te pięć–sześć lat, które im jeszcze zostały. Wysadzenie tunelu będzie bowiem ostatecznym przypieczętowaniem rozłąki. Odetnie Pawłowi jedyną drogę powrotu, a ją samą zamknie w grobowcu głęboko pod ruinami konającego miasta.

Otchłań zdoła przetrwać parę lat dłużej niż enklawy w kanałach, ale z perspektywy obecnego dnia trudno było powiedzieć, kto znajdzie w niej schronienie. Gdy dominujące w kanałach frakcje dowiedzą się o istnieniu podziemnego miasta, z pewnością dojdzie do wojny, może nawet całego ich ciągu. Każdy watażka odda życie ostatniego ze swoich bojowników, by zdobyć Otchłań, a faktu jej istnienia nie da się przecież utrzymać w tajemnicy, jeśli tylko przetrwa choć jeden sprzedawczyk pracujący obecnie dla Czystych.

O tym, ilu ich było i gdzie teraz przebywali, mogła wiedzieć tylko Iskra, którą jak na złość wywieziono razem z Pamiętającym. Bez jej wiedzy stalkerzy będą błędzili jak

dzieci we mgle, pozostanie im beczynne czekanie na tych skurwieli, którzy – zaniepokojeni brakiem kontaktu – spróbują osobiście sprawdzić, dlaczego z dołu nie nadchodzą nowe polecenia i rozkazy. Nikt jednak nie mógł jej zagwarantować, że każdy kret Bondarczuk poczuje nagłą potrzebę dotarcia do gniazda. A wystarczy jeden, by doszło do niewyobrażalnej masakry.

Tik-tak...

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, człowiek znajdujący się blisko telefonu po drugiej stronie linii zamieniłby się w kupkę popiołu. *Ja chyba oszaleję*, pomyślała Freja. *Jeśli nie odezwiesz się do mnie zaraz, ty, ty...*

Rozwścieczona czarnymi myślami sięgnęła po słuchawkę, zerwała ją z widełek i przyłożyła do ucha, wrzeszcząc na cały głos. Miała gdzieś, że nikt jej nie usłyszy, musiała dać upust przepętniającej ją złości.

– Jesteś tam, popierdolony skurwysynu?!!!

W tym, że coś jest nie tak, zorientowała się w chwili, gdy zamilkłszy, pojęła, iż nie słyszy dźwięcznego sygnału. W słuchawce panowała idealna cisza.

– Do mnie mówisz? – odezwał się ktoś, kogo nie umiała rozpoznać po głosie.

– Złaż z linii, durny gnoju! – warknęła, sądząc, że to któryś ze stalkerów dyżurujących w centrum dowodzenia bawi się telefonem.

O tym, że może słyszeć jedynie człowieka, który próbuje się połączyć z jej kwaterą, pomyślała dopiero w następnej kolejności. Potem dotarło do niej, że musiała sięgnąć po słuchawkę ułamek sekundy przed tym, nim przywódca Riese – bo to musiał być on – skończył wybierać numer.

– Na pewno tego chcesz? – zapytał nieznajomy.

– To pan, Pułkowniku? – zapytała, z trudem dobywając z siebie głos.

– Nie, pierdolony Wróżbita Maciej – odwarknął. – Z kim mówię? Gdzie jest Bondarczuk?

– Ja... Ja...

Pogubiła się całkowicie. Ze zgrozą zauważyła, że jej ręka obniża się, jakby chciała odłożyć słuchawkę. W ostatniej chwili odzyskała nad nią kontrolę.

– Czekam! – niecierpliwił się rozmówca.

– Nazywam się Garstecka. Teraz... – zająknęła się – ...ja tu dowodzę.

– Garstecka? – odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Trzy dni temu przejęłam dowodzenie Otchłanią – przedstawiła się pełniejszym zdaniem Freja.

Te kilka sekund zwłoki pozwoliło jej zebrać na powrót myśli. Euforia wyparła wściekłość. *Zadzwoń! Mam go na linii!* Zaraz jednak poskromiła radość. Ta rozmowa mogła się skończyć na milion sposobów, z których tylko parę



będzie dla niej pomyślnych. Co więcej, zaczęła ją najgorzej, jak się dało.

– Przepraszam za ten wybuch. Bez przerwy ktoś mi włązi na linię – tłumaczyła się bełkotliwie, mając nadzieję, że wymyślane naprędce słowa uspokoją rozmówcę.

– Co znaczy: przejął dowodzenie? – wychrypiął Pułkownik, nie zważając na jej paplaninę.

– Po ostatnim telefonie od was ludzie zaczęli się burzyć. Bondarczuk zbywała jednak wszystkich, twierdząc, że ma wszystko pod kontrolą. Nie uspokoiła tym nastrojów, tym bardziej że nie dostaliśmy obiecanej żywności. Paru chłopców postanowiło ją przycisnąć i wtedy... – zamilkła celowo, jakby szukała lepszych słów.

– Co wtedy? – ponaglił ją, kupując ten blef.

– Powiem wprost: Bondarczuk autoryzowała użycie broni na terenie kompleksu. Przeciw swoim. Wczoraj połała się krew. Na szczęście część korpusu ochrony przeszła na naszą stronę. Zajęliśmy obie zbrojownie...

– Co z nią? – przerwał jej Pułkownik.

– Nie żyje – odparła pewnym tonem Freja.

– A reszta zarządu?

– Też.

– Zabiliście ich wszystkich?

– Nie.

– Co? – zdębiał do reszty. – Nie rozumiem.

– Nie my ich zabiliśmy – wyjaśniła. – Kiedy stawiliśmy czynny opór, Bondarczuk postanowiła zbiec do bunkra Tesli. Jej i dwudziestu czterem innym ludziom udało się dotrzeć do windy... z pełnym uzbrojeniem... – Znow zamilkła, tym razem na krócej. – Lina nośna nie mogła wytrzymać takiego obciążenia, ale oni o to nie dbali. Niby ta winda miała udźwignąć tysiąc ośmiuset kilogramów, ale wie pan, oni targali ze sobą sporo broni i amunicji... Klatka spadła z wysokości około trzydziestu metrów. Nie było co zbierać.

Przygotowując się do tej rozmowy, opracowała tuzin scenariuszy wydarzeń, które mogły ją wynieść na to eksponowane stanowisko, a równocześnie zadowolić Pułkownika. Słusznie się domyślała, że poprzedni telefon z Riese miał podkopać zaufanie do byłej przywódczyni Czystych. Pozostało jej więc wykoncypować, jak doszło do zmiany warty i likwidacji poprzedniej władzy.

Wersje, w których zabito wszystkich popleczników Bondarczuk, Freja odrzuciła jedną po drugiej, ponieważ nawet jej wydały się naciągane. Ci ludzie nie wystrzelaliby przecież wszystkich z kręgu dawnej władzy, a ona, z wiadomych powodów, nie mogła poprosić do słuchawki osoby, którą znał Pułkownik. Była też pewna, że takie żądanie by padło, gdyby potwierdziła, iż aresztowali kogoś prominentnego. Pozostała więc jej wyłącznie lekko

naciągana, ale najbardziej prawdopodobna wersja zdarzeń.

– Skąd wiesz, że Kaśka była wśród zabitych? – zapytał po chwili milczenia, zaskakując ją ponownie.

Nie takiego pytania się spodziewała.

– Aż tak źle nie było – odpowiedziała ostrożnie. – Winda to nie samolot.

– Winda to nie samolot – parsknął, jakby go rozbawiła. – Zaczynasz mi się podobać... – zawiesił głos, zachęcając ją do podania imienia.

– Jestem Oliwia.

Wiedziała, że rozmówca może ją sprawdzić w jakiejś bazie danych. Dlatego użyła imienia i nazwiska jednej z kobiet pracujących w tutejszym ambulatorium. Na tyle nisko stojącej w hierarchii, że nie powinna mieć wcześniejszych kontaktów z Riese.

– Co z Teslą?

Pułkownik znów zmienił temat, jakby śmierć Bondarczuk przestała go obchodzić. Nie dociekał, nie prosił o szczegóły, po prostu przeszedł do kolejnej interesującej go sprawy.

– Nie wiemy – przyznała, trzymając się ustalonej wcześniej wersji.

– Co znaczy: nie wiemy?

– Bondarczuk musiała go uprzedzić o sytuacji na dole. Uciekł po tym, jak doszło do katastrofy. Razem ze

Znachorem zaszyli się gdzieś w Mieście. Niewykluczone, że siedzą teraz u Pana Jana... – po beczce miodu przyszła kolej na łyżkę dziegciu.

– Myślisz, że ujawnią mu istnienie Otchłani? – zaniepokoił się, jak tego chciała.

– Nie sądzę. Gdyby mieli nas wsypać, na górze roiłoby się już od stalkerów.

Pułkownik znów zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Spróbujcie ich namierzyć. Będziemy potrzebowali jeszcze kilku dostaw, zanim rozpoczniemy ewakuację. A skoro już o tym mowa...

– Transport czeka na odbiór – wpadła mu w słowo.

– Macie osiemdziesięciu skopców? – zdziwił się.

– Tak jest.

– Świetnie. W takim razie pociąg pojawi się u was jutro o szesnastej. Uprzedzam jednak, żarty się skończyły. Jeśli cokolwiek będzie nie tak, wypadacie z programu. Rozumiemy się?

– Tak jest!

– Dobrze. A teraz ostatnie pytanie... Jak chcecie zapewnić mi kolejne dostawy, skoro nie ma już z wami Znachora?

Czekała, aż poruszy tę kwestię.

– Mam troje ludzi, którzy są w stanie przeprowadzić

wymagane procedury. Szczerze mówiąc, już pracują, to znaczy ćwiczą, ale proszę się nie przejmować stratami ubocznymi. Dzięki ostatnim posunięciom poprzedniego zarządu kanały znów są pełne obiektów. Nie zawieziemy pana, Pułkowniku.

– Rozumiem. – Zawahał się. – Powiedz mi jeszcze jedno, Oliwio. Twierdzisz, że już wczoraj przejęłaś dowodzenie Otchłanią. Dlaczego więc nie odezwałaś się do mnie wcześniej?

– Nie wiedziałam, jak to zrobić – odparła zgodnie z prawdą Freja. – Bondarczuk ukryła albo zniszczyła księgę kodów, a ci nieliczni z jej ostatnich współpracowników, którzy przeżyli, przysięgają, że nigdy nie mieli kontaktu z Riese.

– A to szczerwana suka... – rzucił rozbawionym tonem, ale szybko spoważniał. – Jeszcze jedna sprawa. Sprawdź, jeśli możesz, czy ktoś z waszych wie coś na temat krecików, które Bondarczuk nam ostatnio podesłała.

Freja zamarła. Pułkownik wiedział o Pamiętającym i Iskrze. Pytanie tylko, czy...

– Chyba znam odpowiedź na pana pytanie – odpowiedziała z wyczuwalnym wahaniem w głosie. Bała się, że takie postawienie sprawy wyda mu się podejrzane, ale musiała zaryzykować, by dowiedzieć się czegoś więcej. Teraz, nie w przyszłości. – Tydzień temu kazano

nam przeprowadzić kompleksowe badania dwojga agentów, którzy mieli wykonać dla zarządu ważną misję.

– Mów dalej – zachęcił ją.

– Mężczyzna to były Czarny Skorpion, jeden z ostatnich nabytków Bondarczuk. Mówili na niego, o ile dobrze pamiętam, Nauczyciel.

Podrzuciła Pułkownikowi tę informację, by mógł jej użyć przy następnej próbie komunikacji z Pawłem. Tym sposobem mogła dać znać Pamiętającemu, że nawiązała kontakt z przywódcą Riese. Nie wiedziała, czy ta wiedza przyda mu się do czegoś, lecz to akurat najmniej się teraz liczyło.

– Nauczyciel, powiadasz? Wiecie coś więcej na jego temat?

Tymi pytaniami poruszył kolejne struny w jej sercu. Nie interesowałby się człowiekiem, którego wyeliminował.

– Głowy nie dam, ale chyba tak się do niego zwracała... – postanowiła pójść za ciosem. – Jeśli narobili wam problemów...

– Nie narobili – uspokoił ją, a przynajmniej tak mu się zdawało. – Na szczęście nie przeszli selekcji i zostali zlikwidowani, zanim zyskali cię szansy na przeniknięcie do Riese. Nas nie da się tak łatwo podejść, Oliwio. – Udało mu się wypowiedzieć jej imię tak, jakby to była

groźba albo przekleństwo.

*Ha!* Freja, którą słowa Pułkownika w pierwszej chwili zmroziły, odzyskała rezon. *Pieprzysz, gościu, jak potłuczony.* We wszystko była w stanie uwierzyć, ale nie w to, że Paweł dał się zabić bez walki.

– To dobrze. Nie chciałabym, żeby ich czyny poszły na nasze konto.

– Nie pójdą – znów się zdradził, mechanicznie odpowiadając na podchwytliwie sformułowane stwierdzenie.

– Dziękuję – rzuciła natychmiast, by nie miał czasu na zrozumienie błędu. – Jutro o szesnastej wszyscy niewolnicy będą czekać na stacji w Sobótce. Gwarantuję panu własną głową, że żaden z nich nie będzie agentem.

– Coś mi mówi, że zostaniemy przyjaciółmi – odparł rozbawiony Pułkownik. – A teraz zapisz sobie numer do mnie. 17-26 to kierunek, potem wybierasz 777.

– Szczęśliwe siódemki.

– Żebyś wiedziała.

Rozłączył się, a ona, rzuciwszy słuchawkę na widełki, zacisnęła dłonie w pięści i zawyła, jakby ją obdzierano ze skóry. Nie z bólu, nie ze złości, tylko ze szczęścia. Paweł żył. Być może zwał tym draniom i walczył z nimi nawet teraz, kiedy o nim myślała. Wiedziała, jak mu pomóc, i zamierzała to zrobić.

Drzwi otworzyły się z hukiem; zobaczyła w nich Ryse i Ryskę, stojących z odbezpieczoną bronią. Strzegący jej kwatery bracia zareagowali na dobiegający zza grubej warstwy stali krzyk.

– Spokojnie! – sapnęła, zacierając ręce. – Rysa, pędź do centrum dowodzenia. Powiedz, że kazałam zwołać naradę. Daj im pół godziny na ściągnięcie wszystkich, nie, czekaj, chcę ich widzieć na miejscu za piętnaście minut!



## ROZDZIAŁ 20

# Narada

– Kto to? – zapytała Freja, stając w drzwiach przeszklonego pokoju na piętrze centrum dowodzenia, gdzie teraz jej ludzie spotykali się, by omówić dalsze kroki i posunięcia.

– To Czysty, który ma dla nas ciekawe informacje – wyjaśnił Ataman, nowo mianowany dowódca sił zbrojnych Otchłani.

Otrzymał to stanowisko, ponieważ był najbardziej doświadczonym spośród stalkerów, którzy szturmowali podziemne miasto. Przez sześć lat piastował funkcję przywódcy jednej z Wolnych Enklaw i co chyba ważniejsze, jako pierwszy sprowadził swoich ludzi do Miasta. Nauczyciel polecił go Frei, a ona zadbała o to, by ambicje postawnego jak na standardy kanałów bojownika zostały zaspokojone.

Poza Atamanem do Rady należeli Hardy – wolny strzelec, który zęby zjadł na powierzchni, Zły – chyba najlepszy spec od broni, jakiego można było spotkać

w kanałach, i jedyna w tym gronie kobieta, czyli Kosa, dawna emigrantka z Nowego Watykanu.

– Zatem słucham – rzuciła Freja, zajmując miejsce u szczytu stołu konferencyjnego, naprzeciw trójki wybrańców i sprowadzonego przez nich jeńca.

Wystarczyło jedno spojrzenie Atamana, by szczupły blondyn o zapadniętych policzkach zaczął mówić.

– Swego czasu należałem do oddziału eskortującego nie... niewidomych robotników – poprawił się szybko. – Zanim zmieniono mi przydział, asystowałem przy wysłaniu osiemnastu transportów. Dzięki temu poznałem bliżej kilku ludzi Pułkownika. Bywało, że podczas załadunku mieliśmy sporo czasu, więc rozmawialiśmy nie tylko o tym, jak nam się wiedzie, ale też o Riese. Stefan... tak miał na imię dowódca jednej z drużyn tak zwanych kolejarzy... nie należał do najbardziej rozmownych, a już naprawdę rzadko udawało się go namówić do zwierzeń, ale mimo to zdołałem wyciągnąć z niego kilka istotnych detali. Nie z ciekawości to robiłem – zastrzegł się, widząc sceptyczne miny stalkerów. – Bondarczuk kazała mi zasięgnąć języka, więc starałem się, jak mogłem, aby zdobyć coś użytecznego.

– Skąd pewność, że cię nie okłamywali? – Freja zmierzyła chłopaka tak ostrym spojrzeniem, że speszył się do reszty.

– Stuprocentowej pewności nigdy nie ma – odparł po chwili, zachęcony złowieszczym pomrukiem Atamana – ale działałem naprawdę ostrożnie, nigdy nie wyciągałem nic na siłę. A wiecie, jak jest, ludzie lubią gadać, jeśli czują się swobodnie. Bondarczuk mnie tego nauczyła! – dodał natychmiast, by nie pomyśleli, że ponosi go fantazja.

– Skup się na temacie – nakazała Freja.

– Tak jest. Od Stefana dowiedziałem się, że pociąg pancerny trafia w miejsce zwane górną stacją. To jakby odrębna część kompleksu, w której pracują nie... widomi... – dokończył niemal zupełnie płynnie, ale ten moment wahania i tak nie uszedł uwagi słuchaczy.

– Czekał – przerwała mu Kosa, kobieta, której twarz prócz licznych blizn po liszajach zdołało wciąż zauważalne piętno na czole. Takimi wypalanymi krzyżami chrzczono już w dzieciństwie każdego mieszkańca enklaw w państwie kościelnym. – Czy to znaczy, że tamtędy nie da się dostać do właściwego Riese?

– Podobno jest taka możliwość, ale... – Chłopak zamilkł.

– Ale co? – zapytał Zły.

– Ale to może być niewykonalne – dopowiedział jeniec. – Są w stanie odciąć tę część od głównych sektorów kompleksu. Te zabezpieczenia wprowadzono po buncie, który miał miejsce kilka lat temu.

– Górna stacja. – Ataman poskubał siwiejącego węża. – Jeśli to jakiś poboczny sektor, pewnie nie trzymają tam zbyt dużej obsady. Zajmując go atakiem z zaskoczenia, zyskalibyśmy obiecujący przyczółek.

– Widzę pewien problem – wtrąciła Freja.

– Jaki?

– Z odbytej przeze mnie ostatniej rozmowy wynika, że po odkryciu Nauczyciela szef Riese nakazał zaostrenie środków bezpieczeństwa, aby uniemożliwić penetrację obiektu kolejnym agentom Bondarczuk.

– Miałaś sprzedać mu bajeczkę o likwidacji tej baby – zdziwił się Zły.

– I sprzedałam, ale nie mam pewności, czy w nią uwierzył. – Spojrzała całej trójce w oczy. – Ja bym nie uwierzyła w podobne zapewnienia z jego strony. A w każdym razie nie od razu. Idę o zakład, że na górnej stacji będzie się jutro roić od uzbrojonych Czystych.

Dwoje poruczników przytaknęło, przyznając jej rację, tylko Ataman upierał się przy swoim.

– Dlatego musimy uderzyć z całą mocą! – stwierdził. – Możemy wysłać tam nawet stu ludzi naraz. Jeśli dadzą radę, zajmą górną stację i przylegające do niej korytarze, jeśli nie, odpuszczą i wrócą pociągiem.

– Problem w tym, że ten pociąg nie wróci – odezwał się Czysty, gdy ponownie zapadła cisza.

– Dlaczego?

Zły zadał pytanie bardzo ostrym tonem, przy jego chrapliwym głosie zabrzmiało jak warknięcie.

– Górna stacja mieści się na końcu długiego tunelu, którego wlot i przepusty zamykane są z dyspozytorni.

– Wysadzimy te bramy czy co tam mają – prychnął lekceważąco Ataman – albo przebijemy się przez nie pociągiem. Te lokomotywy to przecież prawdziwe potwory.

– Tak, są ogromne i opancerzone – odpowiedziała mu Freja – ale to tylko parowozy, które naprawdę łatwo unieszkodliwić, jeśli wie się, co robić. A Czyści wiedzą, i to dobrze. Jeśli zastrzyli kontrolę sprowadzanych tam niewolników – pokazała, że nie ma problemu z wymówieniem tego słowa – nie będzie czasu ani miejsca na przepychanki. Strzelanina, i to ostra, wywiąże się już na peronie. W jej trakcie może dojść do przestrzelenia kotłów unieruchomionych parowozów bądź do uszkodzenia prowadnic przy kołach czy jak się nazywa to cholerstwo, dzięki któremu mogą jeździć.

Nikt z zebranych nie znał się na budowie lokomotyw, zatem dyskusja znów utknęła w martwym punkcie, co pozwoliło Czystemu na wtrącenie kolejnej uwagi.

– Tunelu nie zabezpieczają zwykłe bramy. Stefan nazywał je pancernymi grodziami. Ponoć jest ich tam pięć

i są taaakie grube – pokazał, wysuwając przed siebie ręce.

Jego dłonie dzieliło ponad trzydzieści centymetrów. Nawet jeśli przesadzał, masywne grodzie musiały być prawie niezniszczalne.

– Możecie tego nie wiedzieć – dodała Freja – ale lokomotywy mają jeszcze jeden słaby punkt. Cholernie łatwo je wykoleić. Jeśli pociąg zderzy się z taką przeszkodą, na pewno wypadnie z szyn, a wtedy koniec pieśni.

Czysty potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

– Co zatem proponujesz? – zainteresowała się Kosa.

– Może... może zmodyfikujemy nieco nasze plany? – Nowa przywódczyni pochyliła się nad stołem, obdarzając ich jadowitym uśmiechem.

– Jak? – zapytał Ataman.

Freja przeniosła wzrok na stojącego za nim chłopaka.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia? – Gdy zaprzeczył, dodała: – Dajcie mu to, co obiecaliście, i odprowadźcie go do celi.

Zły przywołał stalkera stojącego przy schodach. Ten sprowadził Czystego na dół, zanim Freja ponownie zabrała głos.

– Nie wyślemy tam przebranych stalkerów, to zbyt ryzykowne.

– Zatem kogo? – Ataman zmierzył ją ostrym

spojrzeniem.

– Nie kogo, tylko co.

Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej drapieżny, gdy wodziła wzrokiem po twarzach zebranych przywódców.

– Mów, kobieto, a nie pogrywaj sobie z nami! – zirytował się Zły.

– Zapakujemy do tego pociągu każdego pieprzonego mutka, jakiego zdążymy w tym czasie zdobyć – wyjaśniła, nie przestając się szczerzyć.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zdziwiła się Kosa.

– Normalnie. Poślemy ludzi w teren, każemy im ogłosić, że Tesla kupi każdego odłowionego przez stalkerów szarika, kotokata, zębacza czy inną zabójczą cholere, płacąc, uwaga, po dwa naboje od łba, ponieważ pilnie potrzebuje obiektów do jakichś tam eksperymentów. Niech będzie, że testuje nową, skuteczniejszą truczkę do strzał.

– To może się udać – mruknęła Kosa po chwili zastanowienia. – Tylko czasu mamy jakby trochę mało.

– Wiem – przyznała Freja. – Dlatego ja oddam na potrzeby tej akcji wszystkie moje cieniaki, a Rysa zagada Szkaradę i odkupi od niego każde ścierwo, które miało trafić w przyszłym tygodniu na arenę Miasta.

– Szkarada nie pójdzie na taki układ. – Ataman pokręcił głową.

– Pójdzie – zapewniła go. – To tylko kwestia ceny, a my mamy coś, na czym bardzo mu zależy.

– Naboje... – Zły spojrział jej prosto w oczy. – Czy rozdawanie ich potencjalnym przeciwnikom ma sens? Zwłaszcza w naszej sytuacji?

– Szkarada będzie wyjątkiem od reguły, a te dwadzieścia czy trzydzieści naboí, wyłącznie pistoletowych, nie zniweluje naszej przewagi. Reszta amunicji trafi do niezależnych stalkerów, a tych powinniśmy mieć po naszej stronie, gdy przyjdzie co do czego.

Freja już kilkakrotnie zastanawiała się, jak rozwinie się sytuacja, gdy któryś z trzęsących kanałami watażków dowie się o istnieniu Otchłani. Danie im amunicji, której za kilka dni albo tygodni mogą użyć przeciw jej ludziom, wydawało się czystym bezsensem, jednakże musiała podjąć takie ryzyko, jeśli chciała zrealizować plan ratowania Pamiętającego. Tym bardziej że dostrzegła jeszcze jedną zaletę takiego rozwiązania.

– Nie podoba mi się twoja propozycja. – Ataman nadal nie wyglądał na przekonanego, a pozostali zaczęli mu wtórować. – Dlaczego chcesz to zrobić?

– To proste. Nie mamy szans na pokonanie Czystych z Riese w otwartej walce, musimy więc im dowalić tak mocno, by zostali zmuszeni do zawarcia układu...



– Konkrety! – zażądał Ataman.

– Jeśli przejmemy kontrolę nad pociągiem, zyskamy szansę jednego uderzenia. Tak twierdzi ten wasz Czysty, o ile można mu wierzyć...

– Można – zapewniła Kosa. – Kilka dni głodówki otworzyło pyski wielu jeńcom, ale to on dostarczył naszym najwięcej cennych informacji.

– W takim razie traktujmy jego słowa jako pewnik. Wysłani ludzie albo zginą, albo zostaną wyłapani. Co gorsza, nie dowiemy się nawet, czy ich poświęcenie miało sens.

– Tak jak w przypadku Pamiętającego... – rzuciła Kosa.

– I tu was zdziwię. Wiem, że Nauczyciel żyje i daje im ostro w dupę – wyznała Freja.

– Skąd to wiesz? – zainteresowała się natychmiast stalkerka.

– Pociągnęłam za język samego Pułkownika. Sypnął się w trakcie rozmowy, tyle mogę powiedzieć. – Nie zamierzała drażnić tego tematu. – Zastanówcie się. Posłanie do kompleksu trzech wagonów mutków narobi więcej szkód niż frontalny atak stalkerów. Osiągniemy cel, nie tracąc przy tym ludzi, których możemy potrzebować do obrony Otchłani. Mówimy tutaj o prawie stu chłopakach i dziewczynach, to przecież trzy czwarte naszego

obecnego stanu! Chcecie w pojedynkę bronić podziemnego miasta? Naprawdę? Nie ściągniemy tutaj niezauważenie kolejnych dziesiątek ludzi. W enklawach już za dużo się gada o stalkerach, którzy gdzieś poleźli i przypadli.

Ci, którzy brali udział w zdobywaniu Otchłani, nie mogli wrócić na powierzchnię. Od tej reguły uczyniono wyjątek tylko dla Karbali i kilku zaufanych łączników, których zadaniem było kontrolowanie sytuacji i raportowanie, czy Pan Jan albo któryś z pozostałych watażków nie podejmuje skrytych działań mogących świadczyć o rozpoczęciu przygotowań do odbicia tak cennej zdobyczy. Już samo ogłoszenie skupu mutantów zwróci zbyt wiele uwagi na bunkier, lecz to ryzyko musieli podjąć, jeśli chcieli osiągnąć zamierzone cele.

– Moi ludzie cisną kity gdzie się da – poparła ją Kosa – ale zniknięcie jednego dnia stu trzydziestu osób musiało zostać zauważone. Może rozważymy odesłanie części z nich do kanałów? – zaproponowała.

– Przysięgniesz, że żaden z nich się nie sypnie? – zapytała Freja.

– Nie.

Pozostali także nie mieli ochoty nadstawiać karku za prostych bojowników. Zdecydowana większość ich podwładnych zasługiwała na zaufanie – inaczej nie

znaleźliby się tutaj – ale wystarczy jeden niewystarczająco ostrożny, jedno zdanie za dużo, by diabli wzięli wszystko, co zdołali osiągnąć do tej pory. Dlatego właśnie trzymali ludzi w podziemnym mieście, karmiąc ich obietnicami udziału w przygotowywanej wyprawie. *Jeden problem naraz*, pomyślała Freja, w pełni świadoma, że za kilka dni trzeba będzie się zająć i tą sprawą. Liczyła, że mając więcej czasu do namysłu, wykombinuje rozwiązanie satysfakcjonujące wszystkich obecnych.

– Zatem stawiamy na mutanty – podsumowała. – Musimy zebrać ich jak najwięcej, żeby narobiły maksymalnych szkód.

– Czekać, jak to miałyby wyglądać? – zapytała Kosa. – Przecież te gąbczaste kurwy wzajemnie się pozagryzają, zanim tam dojadą. Cieniaki powysysają szariki, kotokaty rozszarpią każdego innego mutka, jakiego dopadną...

– Spokojna twoja owłosiona – zaśmiała się Freja. – Podzielimy wagony na przedziały i do każdego zapakujemy jeden rodzaj mutków. Szarik nie zagryzie przecież szarika. Cieniak nie wysysie cieniaka. Dobrze mówię?

– Nie powinny, chyba że będą bardzo głodne – przyznał Zły.

– Więc je podkarmimy.

– Czym? – Ataman nadal miał opory.

– Co powiesz na pokazanie Otchłani Szkaradzie i jego pomagierom? – Uśmiechnęła się słodko.

– To... świetny pomysł. – Zrozumiał w lot, co proponuje. Sprowadzenie tu gangu zawiadującego areną rozwiąże trzy problemy naraz. Zyskają dostęp do całej menażerii Szkarady, nie będą musieli dozbrajać potencjalnego przeciwnika i zdobędą wystarczającą ilość karmy, by odłowione okazy nie pozagryzały się wzajemnie.

– Wybierzcie spośród swoich ludzi najbardziej zaufanych, niech poinformują stalkerów o nagrodzie za każdego schwytanego jutro do południa mutka. Ja, jak już obiecałam, dorzucę do puli wszystkie moje cieniaki. Lokal i tak jest od kilku dni zamknięty, a że raczej go ponownie nie otworzę, mogę się pozbyć tych starych szmat – dodała, wstając.

– Zaraz! – Ataman osadził ją w miejscu.

– Tak?

– Stamtąd nie będzie powrotu, a te wagony ktoś musi pootwierać, nie?

– Tym się nie przejmujcie – stwierdziła pewnym tonem. – Ktoś już się zgłosił na ochotnika.

Okłamała go, choć nie do końca. Była pewna, że nie usłyszy odmowy, gdy zaproponuje to zadanie osobie, z którą dopiero zamierzała porozmawiać.

– Czy ten cały Pułkownik zadzwoni jeszcze przed wysłaniem pociągu? – zainteresował się Zły.

– Nie sędę, a dlaczego pytasz?

– Bo może warto zasugerować mu w jakiś pokrętny sposób, że powinien obstawić tę stację tyłoma swoimi, ilu jest w stanie wysłać?

Freja opadła na siedzisko. *Tak, to pomysł wart realizacji...*

– Mogę do niego zadzwonić – poinformowała go po chwili zastanowienia. – Dzięki za odpowiedź.

Zły zasalutował jej dwoma palcami do zmierzwionych kudłów.

– Do usług.

– To by było na tyle – rzuciła, ponownie wstając. – Bierzcie się do roboty, bo czasu naprawdę jest mało.

Puściła ich przodem, a gdy sama opuszczała centrum dowodzenia, chwyciła Ryskę za ramię.

– Sprowadź do mnie Karbałę – rozkazała.

– Wątpię, aby chciała z tobą rozmawiać. – Był z nią szczery, jak zawsze.

– Powiedz jej, że mam wieści o Pamiętającym – nie dała się zniechęcić. – Przekaż, że jest mu potrzebna.

\* \* \*

– Z Pułkownikiem poproszę. Mówi Oliwia Garstecka.

Czekała cierpliwie, w pamięci powtarzając słowa, które powinny paść podczas tej rozmowy. A czekało ją piekielnie trudne zadanie. Musiała zasugerować Pułkownikowi, by skierował na stację jak najliczniejsze siły, równocześnie nie zniechęcając go do wysłania pociągu.

– Tak? – usłyszała po chwili.

Rozpoznała go po głosie. Tym razem wydawał się o wiele spokojniejszy.

– Prosił pan o dodatkowe informacje na temat tego Czarnego Skorpiona – zagaiła, siląc się na beztroskę.

– Tak?

*Ileż rozmaitych znaczeń może mieć jedno krótkie słowo?* – pomyślała, gdy znów się odezwał.

– Wydawało mi się, że chciał pan... – Zamilkła, jakby poczuła się zakłopotana.

– Dobra, mów, kobieto, skoro już zadałaś sobie tyle trudu – chwycił przynętę, choć przez moment miała wrażenie, że ten temat już go nie interesuje, co mogło świadczyć, że albo ma do czynienia z doskonałym blagierem, albo...

– Facet nazywa się Paweł Remer. Bondarczuk ściągnęła go na dół aż z Wolnych Enklaw – zaczęła pośpiesznie, by nie zauważył jej wahania. – Stawiał się początkowo, więc wzięła na zakładnika jego syna. –

Postanowiła, że nie będzie wprowadzać rozmówcy w zawiłości tej sprawy. Skoro Pamiętający traktował Niemotę jak własne dziecko, niech tak będzie.

– Stawiał się, powiadasz.

– Tak twierdzą moi informatorzy.

– Co z tym szczyłem? Macie go?

– Podczas ewakuacji Bondarczuk uznała, że lepiej się go pozbyć – odpowiedziała, nie odchodząc od ustalonej wcześniej wersji. Pułkownik musiał poznać kilka faktów, by jej podstęp zadziałał. – Osobiście zrzuciła go do otchłani, to znaczy do tego...

– Wiem, od czego wziął nazwę wasz kompleks – przerwał jej ostrzejszym tonem. – Streszczaj się, kobieto.

– Tak jest. W pośpiechu nie sprawdziła jednak studni, która okazała się uprzednio zabezpieczona. Wyciągnęliśmy go z sieci wystraszonego, ale całego i zdrowego.

– Czyli macie go – ni to stwierdził, ni to zapytał.

– Tak.

– W takim razie wyślijcie gnojka z najbliższym transportem.

*Szlag by cię!* Tego się nie spodziewała. Uzyskała potwierdzenie, że Paweł żyje i ma się dobrze – w przeciwnym razie Pułkownik nie potrzebowałby źródła nacisku pod postacią jego syna – niestety wpięprzyła się

w jeszcze większe kłopoty. Jak bowiem odmówić takiemu  
żądaniu...

*Zaraz, zaraz. Przecież to idealna okazja.* Uśmiechnęła  
się w duchu.

– Ale... – musiała to dobrze rozegrać.

– Nie ma żadnego ale. Albo ten szczył znajdzie się  
w pociągu, albo nici z naszego układu.

– Rozumiem...

– Świetnie. Coś jeszcze?

– Nie mamy nic więcej na temat Remera. To był jej  
tajny agent. Nie wiemy, do jakich zadań go używała. Nie  
założyła mu teczek, jak pozostałym zwerbowanym – łągała  
jak z nut.

– W porządku.

– Jest jeszcze coś... – przyszła pora na najważniejsze  
zagranie. – Podobno nie był jedynym Czarnym  
Skorpionem, który trafił ostatnio pod jej skrzydła –  
wyznała konfidencyjnym tonem.

– Co?

– Jest ich jeszcze trzech. Sami oficerowie, sądząc po  
tatużach. Tak twierdzi sierżant Kaczmarek z plutonu  
wartowniczego – podała tożsamość Czystego, którego  
poznała w sali odpraw. – Widział ich kilkakrotnie,  
w zeszłym tygodniu byli bardzo aktywni, a potem słuch po  
nich zaginął.



– Ciekawe...

– Ciekawe jest to, że nikt nie widział, jak opuszczają Otchłań – szła za ciosem. – W rejestrze wejść-wyjść też nie ma na ich temat żadnej wzmianki.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał wprost.

– Oni gdzieś tu są – zniżyła z przejęciem głos, jakby się bała. – Zostawiła ich na dole. To jedno jest pewne, ale nie mam pojęcia, jakie mogli otrzymać zadanie. Tomek twierdzi, że Bondarczuk przyznała im najwyższy priorytet dostępu. Trzy dni temu pobrali ze zbrojowni tyle broni i sprzętu, że wystarczyłoby dla całej drużyny, a potem dosłownie rozpułynęli się w powietrzu.

– Jesteś pewna, że nie zginęli razem z nią w windzie? – W głosie Pułkownika także wyczuła obawę.

– Niektóre z ofiar były strasznie zmasakrowane, ale tam na bank zginęli sami nasi. Nie sposób nas przecież pomylić ze zwykłymi podludźmi – użyła takiego sformułowania za podpowiedzią Kaczmarka.

– Nie sposób – przyznał, znów odpływając myślami.

Nagle przestało mu się śpieszyć, co mogło znaczyć, że połąkł przynętę.

– Boję się ich – szepnęła.

– Dlaczego?

– Oni gdzieś tutaj są... – Zawiesiła znacząco głos, klnąc na siebie w myślach, że poszła o krok za daleko,

budząc jego podejrzliwość. Musiała to naprawić. – Boję się, że otrzymali zadanie likwidacji każdego, kto... To znaczy mnie i reszty naszych... – zaczęła się płatać. – Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać, Olimpio...

– Oliwio – mało brakowało, a nie poprawiłaby go od razu.

– Tak, Oliwio. Lepiej dmuchać na zimne, niż się sparzyć, jak powiedział ktoś mądry.

– Święte słowa.

– Coś jeszcze?

– Nie, to chyba już wszystko. Moi ludzie przygotowują transport. Jutro o szesnastej będziemy zwarci i gotowi.

– Na to liczę.

Rozłączył się, zanim zdążyła otworzyć usta.

*Yes, yes, yes!*

Nacisnęła widełki, po czym zaczęła wybierać numer centrum dowodzenia. Zrezygnowała jednak po pierwszym sygnale. Nie miała pewności, kto usłyszy słowa, którymi zamierzała podzielić się z Atamanem, Złym i Kosą. Miała nadzieję, że udało jej się zasiać w sercu Pułkownika ziarno niepewności, więcej nawet – że zwabi go na górną stację dzięki Niemocie. Jeśli szczęście jej dopisze, wypuszczone mutanty nie tylko narobią wśród Czystych strat, ale też pozbawią ich przywództwa.

Opadła na fotel obrotowy i zakręciła nim mocno. Teraz, gdy został odsunięty od ściany, mogła zataczać na nim pełne koła. Wirując jak szalona, roześmiała się w głos. Wszystko szło po jej myśli. Ten drań powinien pojawić się na stacji osobiście.

Wyhamowała, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołała, poprawiając włosy.

W progu stanęli Ryska i Karbala.

– Podobno chcesz ze mną rozmawiać? – rzuciła stalkerka.

Chrapliwy ton potwierdził podejrzenia Frei. Jej konkurentka była może nie pijana, ale na pewno podpita. To by się zgadzało. Ryska twierdził, że większość czasu spędza w najgorszych spelunkach bazaru, chlając na umór z każdym, kto stawiał. Na szczęście pora była jeszcze wczesna, nie zdążyła więc wlać w siebie tyle wody z grzybów co wczoraj i przedwczoraj.

– Tak. Wejdz. – Ryska także zrobił krok za próg. – Możesz nas zostawić.

– Jest szefowa pewna? – zapytał, siłąc się na obojętność.

– Tak. Mamy do omówienia ważną sprawę. Zbyt ważną, żeby przeszkodziły nam w tym osobiste animozje – mówiąc to, patrzyła Karbali prosto w oczy.

## ROZDZIAŁ 21

# Sobótka

Piętnasta pięćdziesiąt siedem. Freja siedzi jak skamieniała ze wzrokiem wbitym w zielony telefon. Oczy pieką ją jak cholera, ponieważ boi się mrugnąć, by nie stracić z pola widzenia starego aparatu, który może być równie wiekowy jak ona. Trwa w niewygodnej pozycji, gdyż boi się i tego, że lada moment usłyszy głos Pułkownika, który rozbawionym tonem wydrwi ją i jej niecne zamiary. Czeka w napięciu godnym najlepszego horroru, ignorując rytmiczne tykanie przyniesionego z innej kwatery zegara. Piętnasta pięćdziesiąt osiem... pięćdziesiąt dziewięć...

Szesnasta.

Nadal nic.

Ekipa z Sobótki milczy, podobnie jak Riese.

*Czyżby wszystko miało pójść na marne?* Postawiła na tę kartę swoją przyszłość, może nawet życie, i co otrzymała w zamian?

Szesnasta jeden.

Szesnasta dwa...

\* \* \*

*Raz kozie śmierć*, uznała, rzuciwszy po raz tysięczny okiem na smukłe i czarne jak sama śmierć wskazówki.

Drżącą dłonią wystukała numer podany jej przez Pułkownika, myląc się przy tym kilkakrotnie.

Szesnasta trzy... nie, już cztery.

Przełykając głośno ślinę, wysłuchiwała kilku przeciągłych sygnałów, wreszcie słuchawka po drugiej stronie została podniesiona, co obwieścił charakterystyczny trzask.

– Mówi Oliwia... – zaczęła, ale natychmiast została uciszona agresywnie brzmiącym, lecz na pewno kobiecym głosem.

– Czego?

– Dzwonię z Otchłani...

– Wiem.

– Chciałam mówić z Pułkownikiem... – Freja sama zamilkła, spodziewając się kolejnego warknięcia, jednakże tym razem na linii panowała grobowa cisza. – Jest już po szesnastej, a pociągu nadal nie ma – wyjaśniła.

– Ty naprawdę myślisz, że obowiązuje nas jakiś pieprzony rozkład jazdy?

Nie wiedząc, jak zareagować na tak postawione

pytanie, rzuciła jedyne słowo, jakie przyszło jej na myśl:

– Przepraszam.

– Chłopcy wyjechali do was z kilkunastominutowym opóźnieniem – wyjaśniła kobieta z Riese. – Jeśli nie natrafili po drodze na większe problemy, powinni za chwilę dotrzeć do Sobótki.

– Nie macie z nimi kontaktu? – zdziwiła się Freja.

– Mają lepsze zajęcia niż odpowiadanie bez przerwy na durne pytania – odwarknęła tamta wymijająco. – Coś jeszcze?

– Nie.

Trzask w słuchawce oznajmił, że rozmowa dobiegła końca.

Frei ulżyło, i to podwójnie. Pułkownika nie było w centrum dowodzenia. Pociąg wyjechał mniej więcej o czasie. Niepotrzebnie panikowała, ale... Ponownie utkwiała wzrok w drugim aparacie.

Szesnasta siedem.

*Meldujcie w końcu, dranie!* Telefon milczał jednak przez kolejne sześć minut.

\* \* \*

Ataman dowodził oddziałem mającym za zadanie zdjąć tych Czystych, którzy pozostaną w pociągu. Nie wyprowadził jednak swoich ludzi o umówionej godzinie.

Jak niemal każdy mieszkaniec kanałów bał się przebywania na otwartej przestrzeni, którą od dziecka kojarzył wyłącznie z zagrożeniem i śmiercią. Wyczekał więc w ciasnym, ale bezpiecznym korytarzu do ostatniej chwili. Dał ludziom rozkaz wyruszenia na tory dopiero za minutę szesnasta, chociaż nie otrzymał meldunku od obserwatora umieszczonego na pobliskim kominie. Dalsza zwłoka wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem. Pociąg nadjedzie lada moment, a oni wszyscy muszą się znaleźć na wyznaczonych pozycjach, zanim ktoś z załogi dostrzeże podejrzany ruch przy szynach.

Dowodził dwunastoma stalkerami, z czego ośmiu należało do jego gwardii. Pozostałych ludzi przydzieliła mu Kosa, twierdząc, że nadadzą się idealnie do tej roboty. Nie znał ich jednak, zobaczyli się po raz pierwszy przy kolejce, która miała przewieźć oddział uderzeniowy na stację. Te pół godziny, które spędzili razem, nie rozwiało wszystkich wątpliwości Atamana. Nowi wyglądali na twardzieli, nerwy trzymali na wodzy, ale czy nie skrewią, gdy przyjdzie do działania na zewnątrz, tego niestety nie mógł wiedzieć. Musiał zawierzyć osądowi jedynej kobiety w Radzie – Frei oczywiście nie liczył, ponieważ ona stała nad nimi wszystkimi.

Na razie dokooptowani członkowie oddziału nie sprawiali problemów. Wykonywali sprawnie wszystkie

polecenia, przeszli też śpiewająco obie inspekcje rynsztunku. Wprawdzie każdy przedwojenny sierżant wdeptałby ich w ziemię i zabił śmiechem, ale teraz, dwadzieścia lat po Ataku, takie zbytki jak glansowanie butów i polerowanie broni odeszły do lamusa. Liczyło się tylko to, żeby na broni pozostało jak najmniej rdzy i podeszwy nie odłaziły... za bardzo.

Ataman przykucnął w wygrzebanym naprędce płytkim dole i spojrzał w prawo, tam gdzie tory znikwały w gęstej szarej zawieszynie, w jaką zamieniło się skażone toksynami powietrze. Podniósł rękę, by nie tracić horyzontu z oczu. Pięć po czwartej. Ten pieprzony pociąg powinien już tu być. Czyżby Pułkownik wydymał ich wszystkich? Freja wydawała się tak pewna swego, gdy dogrywali w centrum dowodzenia ostatnie szczegóły planu.

Mimo że wszystko robili na ostatnią chwilę, udało im się zgrać działania poszczególnych zespołów. Elementy klatek, wykonane w warsztatach mechanicznych Otchłani, od niemal godziny spoczywały obok toru. Przysypano je grubą warstwą śmieci, by do samego końca pozostały niewidzialne dla wroga. Klatki ze skupionymi mutantami zgromadzono w tunelu niespełna pięćdziesiąt metrów od jego wylotu, zaraz za wrotami prowadzącymi do korytarzy stacji. Stalkerów poprzebieranych za ślepców, którzy mieli je przenieść do wagonów, umieszczono tuż za ostatnim



ciągłem schodów, tam gdzie powinni czekać niewolnicy, a zamaskowani strzelcy ukryli się w tym tłumie, opierając lufy pistoletów na ramionach stojących przed nimi kompanów, by móc otworzyć ogień natychmiast, bez wykonywania ruchów mogących ostrzec wroga.

Ataman nie zazdrościł chłopakom, którzy czaili się teraz w mroku, czując na karku gorące oddechy szarików i całej reszty zmutowanej menażerii. Z dwojga złego wolał już wyjść na powierzchnię, chociaż to tutaj zagrażało mu prawdziwe niebezpieczeństwo – nikt przecież nie mógł zaręczyć, że nie wywęszy go zaraz stado wygłodniałych kotokatów albo innych, nie mniej zabójczych stworzeń powstałych w wyniku wypaczeń Matki Natury. Te krwiożercze ścierwa były bowiem wszędzie. Lata temu zaanektowały ruiny, opanowując ziemię i powietrze wokół strefy; dzisiaj nigdzie nie było bezpiecznie, nawet tak daleko od centrum.

Widoczne z wejścia stacji rozległe połacie wypalanej ziemi były czytelnym dowodem, że w Sobótce także rozpleniła się już roślinność powstała w radioaktywnym tyglu otaczającym punkt zero. Czyści zwalczali ją na bieżąco żywym ogniem, jednakże jak na gust Atamana tych popielisk było zbyt wiele, a sytuacja z każdym miesiącem miała się tylko pogarszać. Szara zawiesina, która ograniczała obserwatorom widoczność, także była

efektem rozpanoszenia się mutacji. Gdyby nie maska i kompletny strój ochronny, zginąłby w ciągu godziny, konając w przerażających mękach. Wzdrygnął się na myśl o takim końcu – już chyba lepiej dać się pożreć żywcem.

Dziesięć po czwartej.

Zadarł głowę, próbując wypatrzeć obserwatora. Dostrzegł niewielkie zgrubienie u szczytu komina. *Tak, to musi być on.* Pomalowana w cegielki opończa, w której krył się wyposażony w lornetkę stalker, wyglądała z tej odległości jak część muru. *A może to faktycznie tylko cegły...* Nie, nagle bezkształtne wybrzuszenie poruszyło się, a do uszu Atamana dobiegł głośny gwizd.

Sygnał mówił, że pociąg jest już w zasięgu wzroku.

Ataman padł na twarz, pośpiesznie rozkładając strój kamuflujący. Dwie sekundy wystarczyły, by upodobnił się do kępy uschniętej roślinności. Teraz musiał pozostać w bezruchu aż do momentu, w którym Czyści opuszczą pociąg i wejdą do wnętrza budyneczku. Wtedy i tylko wtedy jego oddział opuści doły, by zdjąć bezgłośnie tych, którzy pozostali na straży. Noże, kusze i własne ręce to jedyna broń, jaką pozwolono wynieść na zewnątrz stalkerom.

Przez szum wiatru przebił się właśnie pierwszy obco brzmiący dźwięk. Coś jak sapanie wielkiej bestii. Ziemia zaczęła wibrować, jakby gdzieś w pobliżu zerwało się do

biegu stado dorodnych stąpaczy. Ataman z największym trudem zwalczył chęć opuszczenia kryjówki i pognania ku bezpiecznemu schronieniu. *To nie mutanty, tylko pociąg pancerny!* zgañł się w myślach, po czym zdecydował, że musi na moment podnieść głowę, by sprawdzić, czy rozmieszczeni przy torach ludzie nie ulegli panice. Gdyby nie widział, gdzie się kładli, za nic by się nie domyślił, że tam są. Wszyscy zostali poddani podobnej presji, lecz na razie dawali sobie z nią radę. *Zaraz zrobi się jednak gorzej, dużo gorzej...*

Parowy potwór może przywabić każdą bezmózgą, ale za to mobilną parę szczęk łaknących ludzkiego mięsa i krwi. *Nie myśl o tym*, zgañł się ponownie, wiedząc, jak takie wyobrażenia mogą zszargać nerwy.

*Misja jest teraz najważniejsza*, powtarzał sobie w myślach.

Ziemia trzęsa się tak, jakby wszystkie stąpacze z miasta urządziły sobie tuż obok torów konkurs miażdżenia ofiar. Jeszcze jeden kontrolny rzut oka i Ataman znów się uspokoił. Zarówno jego chłopcy, jak i ci nowi wytrwali na stanowiskach, a gdy spojrział w prawo, zobaczył toczącego się powoli czarnego giganta. Nigdy wcześniej nie widział tak ogromnej maszyny. Wraki tramwajów i autobusów przyzwyczaiały go do widoku wielkich, jak mu się zdawało, pojazdów, ale to... To

monstrum przerastało wszelkie wyobrażenia.

Lokomotywa minęła go, sądząc po dźwiękach, wkrótce potem ogłuszył go pisk wagonowych hamulców. Freja uprzedziła ich na odprawie, jak to może wyglądać, ale nic, co powiedziała, nie było w stanie przygotować mieszkańców kanałów na tak bolesne przeżycie. Ataman otworzył usta, zatykając równocześnie uszy, jak go poinstruowała, lecz ból i tak przenicował mu wnętrze czaszki. W końcu piekielny hałas ustał i znów zapanowała względna cisza, przerywana rytmicznymi pufnięciami i dobiegającymi z kilku kierunków naraz okrzykami. To był decydujący moment. Jeśli Czyści dostrzegą zagrożenie, ukryci wzdłuż toru stalkerzy albo zarobią po kulce, albo... zostaną usmażeni miotaczami ognia. Ataman słyszał, jak płomienie buzują w jednej z takich wyrzutni, której stanowisko znajdowało się niemal dokładnie nad jego głową, ale bał się nawet drgnąć, by nie przyciągnąć wzroku czujnego operatora.

*Jeszcze nie czas.*

„Czekaj aż głosy ucichną. Czekaj na charakterystyczne skrzypnięcie drzwi”...

*Teraz!*

Podniósł ostrożnie głowę. Krok od niego wznosiła się stalowa ściana burty drugiego z czterech wagonów. Podczołgał się pod same tory, tam wstał i natychmiast

przywarł do chłodnej powierzchni metalu. Większość chłopaków już szła jego śladem. Reszta dołączyła do towarzyszy broni w ciągu kolejnych dwu sekund. Rozprowadził ich kilkoma gestami, nie odrywając pleców od pomalowanej na czarny kolor stali. Połowa drużyny przetoczyła się po szynach na drugą stronę pociągu, by zdjąć tych Czystych, którzy zajmują stanowiska ogniowe od strony stacji.

Atamanowi przypadła w udziale neutralizacja żołnierza obsługującego najbliższy miotacz ognia. Każdy wagon miał na obu końcach niemal identyczne przybudówki, szerokie może na półtora metra. Te bardziej kanciaste, umieszczone na przedzie – patrząc w kierunku, z jakiego nadjechał pociąg – pełniły funkcję przedziałów osobowych, w których podczas jazdy chronili się strażnicy, natomiast pomieszczenia na przeciwległych końcach wagonów miały obłe narożniki, aby umieszczeni w nich żołnierze mogli sprawniej operować zamontowanymi na specjalnych prowadnicach miotaczami ognia.

Ataman zacisnął dłonie na dwumetrowym, zaostrozonym i lekko zagiętym w połowie płaskowniku, który nawet po owinięciu szmatami bez trudu mieścił się w szczelinie obserwacyjnej stanowiska bojowego. Nie przejmował się tym, że zostanie dostrzeżony, jego

przeciwnik skupiał bowiem całą uwagę na kierunku, w którym wycelowany był palnik jego zabójczej broni. Czysty obserwował w tym momencie niebo na północnym wschodzie, wypatrując stad latających mutantów, które mogłyby zagrozić wyprowadzanym ze stacji ślepcom.

Do głowy mu nie przyszło, że tym razem zagrożenie nadejdzie z zupełnie innej strony. Nawet nie pisnął, gdy szeroki na cztery centymetry kawał metalu wszedł mu w kark, przecinając w mgnieniu oka kręgi i nerwy. Gdy Ataman wyrwał zaimprovizowany grot z głębokiej rany, martwy Czysty osunął się bezwładnie na siedzisko i tam znieruchomiał.

Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć, że chłopcy wyeliminowali pozostałe cele po tej stronie pociągu. Ataman odczekał w napięciu na powrót pozostałej czwórki. *Sq!* Uniesione w znanym geście kciuki były zbędnym potwierdzeniem tego, co już wiedział. Teraz nadszedł czas na realizację drugiej fazy planu, czyli zdjęcie tych Czystych, którzy siedzą w pancernych gondolach na dachach wagonów. To zadanie będzie o wiele trudniejsze.

\* \* \*

Zły stał w drzwiach, czekając na ośmiu Czystych, którzy wyskoczyli parami ze znajdujących się na czele

każdego wagonu przedziałów osobowych. On także nigdy wcześniej nie widział prawdziwego pociągu. Patrząc na kolejkę, którą go tutaj dowieziono, wyobrażał sobie, jak może wyglądać lokomotywa, lecz jego wyobraźnia, wcale nie taka uboga, jak można by się spodziewać, zawiodła go tym razem na całej linii. *Jakiż to gigant!* – pomyślał z niekłamanym podziwem, patrząc na sunący po torze, czarny jak smoła parowóz. Stał znacznie dalej od pociągu niż drużyna uderzeniowa, ale przeraźliwy pisk hamulców też dał mu się boleśnie we znaki.

Poruszył kilkakrotnie szczęką, po czym przełknął ślinę, by pozbyć się uczucia napięcia i bólu w uszach. Zbliżający się pośpiesznie Czysta nie mogli tego na szczęście zauważyć. Gdy dotarli na odległość trzech kroków, otworzył drzwi na całą szerokość, by zawiasy zaskrzypiały przeciągle, dając sygnał ukrytym stalkerom. Zaraz też podniósł rękę w powitalnym geście, po czym odsunął się na bok, aby przybyli mogli wejść do wnętrza budynku. Sam został za drzwiami, na wypadek gdyby któryś drań zdołał cudem przetrwać masakrę i próbował zbiec.

Freja prosiła co prawda, by w miarę możliwości nie zabijać wszystkich Czystych, ale Zły powiedział chłopakom, że mogą robić, co im się podoba, byle nikt nie uciekł, co było jednoznaczne z wydaniem wyroku śmierci na każdego, kto wejdzie do tego mrocznego korytarza.

*Jeszcze parę sekund*, pomyślał, wskazując spoglądającemu na niego pytająco oficerowi Golema, zwalistego jak na kanalarza chłopa, który miał robić za dowódcę ich oddziału. Czysty skinął głową, po czym skierował się ku stojącemu w pobliżu wylotu schodów mężczyźnie, który trzymał w ręce plik papierów.

*Trzy, dwa, jeden*, odliczył w myślach Zły i zaraz przymknął metalowe wrota, by nikt z pociągu nie usłyszał tego, co zaraz się wydarzy.

Po serii cichutkich kłaśnień oficer i trzech żołnierze padli jak skoszeni. Podobny los spotkał drugą czwórkę, którą ludzie Złego zaatakowali od tyłu, tyle że nożami. Ci Czyści stali dosłownie dwa kroki od niego, zatem doskonale widział, jak są chwytani i zabijani. Rozprawiono się z nimi w mgnieniu oka i niemal bezgłośnie.

Taki był rozkaz – zachować bezwzględną ciszę, a w razie gdy dojdzie do zabijania, mierzyć wyłącznie w głowy, by nie zniszczyć kombinezonów, w które musieli się przebrać bojownicy wyruszający tym pociągiem. Chłopak, który opisał im wygląd ludzi z Riese, był bardzo precyzyjny, dzięki czemu obeszło się bez problemów. Zastrzeleni zostali natychmiast odarci z lśniących gumowanych okryć, które natychmiast trafiły na grzbiety nowych właścicieli.



Zły otworzył ponownie drzwi, by pilnujący pociągu żołnierze i maszyniści ujrzeli przebierańców, następnie zaś wyszedł na zewnątrz, przyłożył dłoń do czoła, jakby czegoś wypatrywał, a potem zamachał nerwowo rękami, wskazując kierunek, z którego nadjechał pociąg. To był kolejny element planu. Na dachu każdego z wagonów umieszczono obrotową kopułkę mieszczącą broń przypominającą z wyglądu wielką kuszę. Obsługujący te cuda techniki żołnierze, podobnie jak ich towarzysze przy miotaczach ognia, mieli obserwować teren na wyznaczonym kierunku. Ten na ostatnim wagonie spoglądał więc w niebo od północnego zachodu, dwaj kolejni, rozmieszczeni w środkowej części składu, lustrowali północny wschód i południowy zachód, a ich ostatni kolega skupiał uwagę na tym, co znajdowało się przed przednią lokomotywą. Stanowiska te opancerzono z każdej strony, nie licząc wąskiego pasa od przodu, którym wylatywały wystrzeliwane pod różnymi kątami pociski. Tylko tą drogą można było sięgnąć ukrytych pod pancierzem Czystych.

Informator twierdził, że odizolowani od reszty załogi żołnierze komunikują się ze sobą za pomocą krótkofalówek, co też okazało się prawdą. Na oczach Złego wszyscy obrócili wieżyczki we wskazanym kierunku, a tam... czekali już na nich przyczajeni między

wagonami strzelcy. Bełty z normalnych kusz zlikwidowały trzech z czterech ostatnich obrońców pociągu. Przeżył tylko ten, który siedział na ostatnim wagonie, ponieważ jego nie dało się podejść w ten sposób, ale Zły miał radę i na to.

Gdy chłopcy Atamana zlikwidowali pozostałe cele, zaczął wskazywać inny kierunek, jakby to zagrożenie, które rzekomo dostrzegł, przemieszczało się po niebie. Czysty zareagował, jak go szkolono; jeśli nawet znów gadał do poległych kolegów, to chyba w ferworze wypatrywania mutków nie zwrócił uwagi na chwilowy brak odpowiedzi, a ledwie jego wieżyczka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, zaliczył bełt prosto w czoło.

To jednak nie był koniec operacji. Teraz bojownicy musieli przejść maszynistów, a ci kryli się w pancерnej lokomotywie i na pewno nie zamierzali opuszczać swoich stanowisk, choćby się waliło i paliło. Co gorsza, to właśnie oni dysponowali radiostacjami, którymi mogli się łączyć z dyspozytornią w Riese. Gdyby więc zauważyli coś podejrzanego, cała akcja zakończyłaby się fiaskiem.

Ataman otrzymał jednak bardzo dokładne instrukcje i właśnie przystępował do ich wykonania. Czterej jego ludzie zakradli się do lokomotywy na czele pociągu, tyłu samo obstawiło tę w tyle składu. W obu – z tego, co powiedział informator – powinni siedzieć maszyniści.

W obu też znajdowały się radiostacje, które miały zostać unieszkodliwione w tym samym momencie, na mgnienie oka przed właściwym atakiem. Teraz jednak, w odróżnieniu od poprzednich faz operacji, bojownicy musieli schwytać Czystych, zamiast ich zabijać. Freja stanowczo zabroniła likwidacji wszystkich celów, choć potrzebowała tylko dwójki fachowców do pokierowania pociągiem. Wiedziała bowiem, że jeśli pozwoli na zabicie choć jednego, to przy tak zsynchronizowanym i szybkim działaniu sytuacja może łatwo wymknąć się spod kontroli i ludzie, nie wiedząc, czy pozostałe cele żyją, w razie większych problemów odstrzelą wszystkich maszynistów.

Ataman gwizdnął, dając znak do rozpoczęcia szturmu na lokomotywy. Jego chłopcy, czający się już przy drzwiach, zrobili równocześnie dwie rzeczy. Pierwsza para wspięła się pośpiesznie na dach i odcięła nożycami do metalu anteny, a druga odpaliła specjalnie przygotowane na tę okazję spłaszczone świece dymne, wrzucając je do wnętrza kabin przez szczeliny obserwacyjne. Noszone przez Czystych maski powinny odfiltrować nawet tak gęsty dym, lecz jego nagłe pojawienie się w lokomotywach sprawiło, że nienawykli do kryzysowych sytuacji palacze i maszyniści wpadli w panikę. Rozleniwieni cywile, którzy jeszcze sekundę wcześniej nie dostrzegali żadnego niebezpieczeństwa, byli tak

zdezorientowani niespodziewanym atakiem, że bez zastanowienia wyskoczyli z lokomotyw, wpadając w ręce czekających tam na nich stalkerów.

Siedem minut. Tyle powinna trwać akcja przejęcia pociągu. Zły spojrział na zegarek, by to sprawdzić. Stracili tylko minutę z ustalonego harmonogramu, co można było uznać za pełen sukces.

– Ruszamy! – rzucił w kierunku mrocznego korytarza.

Ciała zabitych zostały już uprzątnięte, by nie przeszkadzały chmarze tragarzy, którym przypadło w udziale zadanie wyniesienia klatek z mutantami i zmontowanie wewnątrz wagonów specjalnych boksów, aby bestie nie powyżerały się wzajemnie, zanim dotrą do celu. Freja poradziła Złemu, by nie rzucał zabitych na pożarcie, ponieważ chciała, by nakarmione poprzedniego dnia mutki poczuły głód, co powinno zwiększyć ich agresywność. Kosa natomiast zaproponowała, by wyeliminowanych Czystych umieścić w wagonach, ale w miejscach, do których bestie nie sięgną, co dodatkowo powinno je rozdrażnić. Zwłoki trafiły więc na specjalne podesty umieszczone nad boksami, aby skapująca z nich krew zrobiła swoje.

Ta część operacji zajęła niemal dwadzieścia minut, podczas których przewietrzono też kabiny obu parowozów i naprawiono anteny. Brak komunikatów wydałby się

bowiem Pułkownikowi podejrzany, a Frei zależało, by zaskoczenie było pełne.

Zły dziwił się Karbali i pięciu jej pomagierom, którzy wyruszyli w tę misję, ponieważ sam w życiu nie zdecydowałby się na tak samobójcze posunięcie. Nie wsiadłby do tego pociągu, nawet gdyby oferowano mu żarcie i gorzałę do końca życia, ponieważ zdawał sobie sprawę, że tenże koniec może nastąpić, zanim znów zagra mu w kiszkach. Nie krzywił się jednak i nie próbował wyrażać swojego zdania. Ktoś musiał odwalić tę część roboty, a skoro znaleźli się ochotnicy, to tym lepiej – lepsze to niż losowanie.

Gdy ostatnia z przyniesionych klatek została opróżniona i zamknięto na głucho wielkie stalowe drzwi, tragarze umknęli pośpiesznie do podziemi, gdyż jak wszyscy mieszkańcy kanałów czuli się bardzo nieswojo na powierzchni, nawet tutaj, tak daleko od centrum miasta. Na zewnątrz została tylko garstka ludzi, którzy obserwowali, jak pociąg rusza z wolna, sapiąc niemiłosiernie i dymiąc niczym budzący się z odwiecznego snu wulkan.

Przerażeni maszyniści ulegli perswazji Karbali po tym, jak bardzo, ale to bardzo wolno wypatroszyła jednego z nich, oczywiście na oczach pozostałych. Widok ten wstrząsnąłby najtwardszym stalkerem, a co dopiero

cywilem, który na pewno nie widział tak okrutnej śmierci,  
i to w dodatku z bliska.

## ROZDZIAŁ 22

# Infe-stacja

– Nadal to samo? – zapytał zaniepokojony Pułkownik.

– Tak jest – potwierdziła radiotelegrafistka.

Coś było nie tak. Po na szczęście krótkim okresie zastanawiającej ciszy załoga pociągu odezwała się w końcu, ale od godziny do centrum łączności docierały tylko urywane fragmenty komunikatów, jakby obie anteny składu zostały uszkodzone, co nie powinno mieć przecież miejsca. Chyba że sytuacja w Sobótce była o wiele gorsza, niż do tej pory sądzono. Andrzej nie mógł tego wykluczyć, ponieważ jego doświadczenia ze strefą skażenia wokół Wałbrzycha nie nastrajały optymistycznie, a Wrocław oberwał przecież znacznie mocniej.

Nowe, coraz to ohydniejsze i potężniejsze formy mutacji dawały się chłopakom we znaki od kilku lat. Strefy skażenia opadem wtórnym rozrosły się ostatnimi czasy tak bardzo, że aż na czterech odcinkach pochłonęły dawną linię kolejową. Najgorsze ze wszystkiego były jednak stwory ochrzczone pieszczotliwie mianem

„kłopotków”. Kilkumetrowe mutki, składające się z samych kłów i łopoczących skrzydeł, przypominały, choć tylko z grubsza, stare dobre skrzydłocze. Nawet największe z nich nie stanowiły z początku zagrożenia dla wielotonowych pancernych maszyn, jednakże na przestrzeni minionego roku bestie te rozrosły się do zastraszających rozmiarów. Jeśli wierzyć raportom, rozpiętość mięsistych skrzydeł największego z zaobserwowanych okazów osiągnęła ponad piętnaście metrów, a pierwszy kłopotek, którego wreszcie upolowano, był tak potężny, że gdyby się postarał, mógłby bez trudu wykoleić lokomotywę. Na szczęście dla ludzi inteligencja mutków – przynajmniej na razie – nie szła w parze z rozmiarami.

– Pokaż, co masz – rozkazał Andrzej, wyciągając rękę do dyżurnej.

Na kartce, którą otrzymał, skreślono w trzech odrębnych blokach po kilkanaście słów, a raczej ich części, rzadko składających się z dwu sylab. Sprawny umysł powinien jednak poskładać je we w miarę czytelną całość. A mózg Pułkownika należał do najbardziej wydajnych i tego dnia pracował na najwyższych obrotach.

Pierwszy stenogram był totalnie nieczytelny, niemniej zsumowanie nałożonych na siebie fragmentarycznych zapisów dało znacznie lepszy wynik. Kolejarze nadawali



w kółko tę samą wiadomość, tak więc mimo strasznych zakłóceń urywki słów dało się spasować w bardziej zrozumiałe zbitki.

„...ANIE... ...ANE... ...SPORT... ...IKÓW... ...  
AŁ... ...TY POMI... ...OŻONE... ...TYWNO... ...  
NTÓW... ...TKIE DO... ...CZASO... ...TAKI... ...  
PARTO... ...LE NIE... ...NIE... ...ŁO SIĘ... ...  
TRAT... ...WIDYWA... ...AS PO... ...ZIN... ...  
ASTA”.

Po kwadransie dopasowywania metodą prób i błędów Andrzej uzyskał ostateczną wersję, która go zadowalała. I co ważniejsze, wydawała się prawdziwa.

„ZADANIE WYKONANE. TRANSPORT  
ROBOTNIKÓW ZOSTAŁ PRZEJĘTY POMIMO  
WZMOŻONEJ AKTYWNOŚCI MUTANTÓW.  
WSZYSTKIE DOTYCHCZASOWE ATAKI ODPARTO,  
ALE NIESTETY NIE OBYŁO SIĘ BEZ STRAT.  
PRZEWIDYWANY CZAS POWROTU GODZINA  
OSIEMNASTA”.

W trakcie odszyfrowywania skrzywił się w pewnym momencie. Straty... Oby tylko nie w jego ludziach. Skopców da się zastąpić, wystarczy po raz kolejny zwiększyć kontyngent, nowa przywódczyni Otchłani nie będzie przecież protestować, gdy postawi jej twarde żądania.

Oddał kartkę radiotelegrafistce. Dziewczyna, której imienia nie pamiętał, spojrzała na niego, nie kryjąc zdumienia. Uwielbiał ten wzrok. Pełen podziwu, uwielbienia nawet. Tak, był geniuszem, tego nie mogli mu odmówić nawet wrogowie, a jako osoba obdarzona nietuzinkowym rozumem gardził tak zwanymi bohaterami, którzy na pierwsze skinienie ważniejszych od siebie gotowi byli skoczyć w ogień. Tego typu zachowania świadczyły jego zdaniem o bezgranicznej głupocie, nigdy jednak nie powiedział tego na głos – nawet Tamarze – a to dlatego, że wysługiwanie się idiotami pozwalało załatwić mnóstwo spraw. Zwłaszcza teraz, w tej namiastce świata, w której przyszło im żyć.

– Pozostań na nasłuchu i zapisuj wszystko, co zdołasz zrozumieć, a potem nanoś na poprzednie notatki – rzucił, wstając z fotela. – Zobaczymy, czy prawidłowo rozszyfrowałem wszystkie słowa.

Zerknął na wielki zegar zdobiący betonową ścianę. Do przyjazdu pociągu zostało co najmniej czterdzieści minut, a on miał jeszcze tyle do zrobienia. Czas przespacerować się na górną stację.

\* \* \*

– Pociąg wjechał to tunelu – zameldowała Anna.

Wyrwany z zamyślenia Pułkownik wzdrygnął się,

jakby polano go zimną wodą. Kilka sekund wystarczyło jednak, by wrócił do rzeczywistości. Podziękował zmieszanej dyżurnej zdawkowym skinieniem głowy i nie mówiąc słowa, wyszedł na galerię.

Ostatnia doba przyniosła tyle zmian, że zawstydziłaby nawet człowieka cierpiącego na ostrą cyklofrenię. Najpierw poniósł klęskę, i to tak dotkliwą, że przez chwilę miał wrażenie, iż jego świat trzęsie się w posadach, a potem wali w gruzy. Porażka Cieni zaboląła go chyba bardziej niż niedawna utrata Książa. Polubił ten cholerny zamek, przez ponad rok traktował go jak nowy dom, poświęcił też ogrom sił, najpierw próbując ocalić tymczasową siedzibę przed rozlewającym się morzem plugawych mutacji, a potem, gdy zrozumiał, że toczy bój, którego nie sposób wygrać, opóźniając w nieskończoność moment ostatecznej ewakuacji.

*Gdybym odpuścił miesiąc wcześniej...* Pokręcił głową do własnych myśli. *Nie, to niczego by nie zmieniło.* Do wypalania pleniących się od strony Wałbrzycha wynaturzeń nie używano przecież skopców. Nie zmarnował więc najważniejszych zasobów ludzkich ani tym bardziej czasu.

Potem okazało się, że wspomniana klęska, jeśli się dobrze zastanowić, nie była wcale tak straszna, jak ją sobie początkowo malował. Przede wszystkim Czarny Skorpion

nie miał najmniejszych szans na zrealizowanie swoich buńczucznych gróźb, a dzięki przytomności Tamary w porę udało się odciąć drania od jedyne go źródła żywności w dolinie. Pól chroniło – w dzień i w nocy – ponad sto osób, natomiast przerzucenie tam połowy karabinów maszynowych z wartowni starych sektorów pozwoliło na stworzenie pierścienia tak silnego ognia zaporowego, że Andrzej czuł autentyczny żal, myśląc o tym, co stanie się z Remerem, gdy ten spróbuje dostać się do upraw (było bowiem pewne, że agent Bondarczuk prędzej czy później podejmie takie próby).

Ważniejsza nawet od tego wydawała mu się eliminacja zagrożenia ze strony starego woja. Porucznik Dąbrowski był jedną z ośmiu osób, które znały całą prawdę. W każdej chwili mógł wykorzystać tę wiedzę – nawet jeśli Tamara była na sto procent pewna, że nie zamierza tego zrobić – doprowadzając do kolejnego przewrotu, którego człowiek zwany Pułkownikiem nie zdołałby przetrwać. Nie dzisiaj, nie po tym, jak rosnące w zastraszającym tempie straty zachwiały jego pozycję. Pieprzony Czarny Skorpion wybił jednego dnia więcej ludzi, niż wynosiły sumaryczne straty z ubiegłego roku. Czegoś takiego nie da się zatuszować ani wyciszyć. Czemuś takiemu należy stawić czoło z otwartą przyłbicą, co zamierzał właśnie zrobić, pokazując reszcie społeczności, jak sprawnie radzi sobie

z podporządkowaniem wrocławian.

*Tak, Remer odwalił kawał dobrej roboty, likwidując ostatnich chodzących wolno świadków dawnych wydarzeń, lecz prawdziwą wisienką na torcie był zamach stanu w Otchłani.*

Andrzej wraził Bondarczuk szpilę, mając nadzieję, że wrocławskie młode wilki nie dadzą sobą pomiatać i naprostują rządzącą nimi szmatę, ale wszystko wskazywało na to, że sprawy zaszły dalej, niż śmiałyby marzyć. Idiotka spanikowała i przez to zginęła w najdurniejszym wypadku, jaki można sobie wyobrazić. I dobrze. Usunął ją raz na zawsze, co było znacznie większym sukcesem niż pozbycie się z dupy wrzodu, jakim przez ostatnie trzy lata był dla niego Dąbrowski.

Bez Kaśki społeczność Otchłani zostanie wcielona do Nowej Polski jako uległy wasal. Koniec z obawami o rywalizację na szczytach władzy, ktoś taki jak ta cała Oliwia – sprawdził dokładnie jej kartotekę – nie miał najmniejszych szans na stawienie mu czoła w bezpośrednim starciu. Da jej podrzędne stanowisko w marionetkowej Radzie, dzięki czemu sam stanie się niekwestionowanym wodzem obu społeczności. Mając pod sobą zjednoczone załogi Otchłani i Riese, nie będzie musiał obawiać się asymilowanych partiami Wielkopolan.

Zatem kwestia nieoczekiwanej zmiany przywództwa

we Wrocławiu kompensowała, i to z naddatkiem, wszystkie niedogodności, jakich zaznał ostatnimi czasy. W ciągu jednego dnia udało mu się przekuć wcześniejsze porażki w naprawdę wielki sukces, który wjeżdżał właśnie na górną stację.

W tunelu pojawiła się biała poświata. Jaśniała z każdą sekundą, by w końcu przeobrazić się w dwa oślepiająco białe reflektory. Światła jadącego po łagodnym łuku pociągu omiotły przeciwległą ścianę komory, po czym wytracająca pęd lokomotywa minęła bramę, wtaczając się wolno na bliższy z dwu torów.

Blask bijący z pociągu pozwolił Andrzejowi na dostrzeżenie dwóch metalowych pomostów łączących najwyższe kondygnacje stacji. Osłonięte stalowymi płytami przejścia, służące pierwotnie do skomunikowania obu stron stworzonego jeszcze przez Niemców węzła kolejowego, dzisiaj miały spełniać zupełnie inne zadanie. Na każdym z nich rozstawił bowiem wzmocnioną drużynę strzelców.

Jeśli wrocławianie zechcą z nim pogrywać – co wydawało się mało prawdopodobne – bardzo szybko poznają gorycz totalnej klęski. Dwudziestu czterech strzelców, niewidocznych z dołu, ponieważ wszystkie lampy rozświetlające gargantuiczną komorę stacji zwisały ze spodniej części ażurowych pomostów, miało

dopilnować, by nikt niepowołany nie opuścił tego składu.

„Lepiej dmuchać na zimne, niż się sparzyć”. Tak powiedział nowej przywódczyni Otchłani i wcale nie żartował. Tym razem transport przyjmie nie garstka strażników, ale zwarty oddział uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy właśnie wbiegali na peron. Rozstawieni co metr, z bronią gotową do strzału, mieli reagować na każdy przejaw nieposłuszeństwa w jeden sposób – otwierając ogień do każdego, kto uczyni choć krok w ich kierunku.

Doświadczony wcześniejszą porażką Pułkownik tym razem nie zapomniał o niczym. Nie wierzył wprawdzie, że to wszystko jest mistyfikacją, że Bondarczuk upozorowała własną śmierć, by uśmierzyć jego gniew i zaatakować znienacka, gdy wróg spocznie na laurach, jednakże postanowił nie lekceważyć żadnej możliwości. Zwłaszcza że wciąż dźwięczały mu w uszach słowa o trzech nie dających się namierzyć Czarnych Skorpionach. Ta biedna idiotka myślała, że polują na nią, podczas gdy prawda musiała być zgoła inna.

To on był ich prawdziwym celem. Wystarczyło połączyć wszystkie kropki, by dojść do jedyne go sensownego wniosku.

Lepiej dmuchać na zimne, niż się sparzyć, dmuchnie więc, i to solidnie. Jeśli w tym pociągu jest ktoś, kto chce

się mierzyć z potęgą Riese, spotka go marny koniec. Chłopcy zostali wyposażeni w najlepszą broń i tyle amunicji, że mogliby zasypać łuskami mogiły tych, którzy ich zaatakują.

Mimo świętego przekonania, patrząc na hamujący wolno skład, poczuł dziwne mrowienie w karku. Z największym trudem zwalczył ogarniające go pragnienie powrotu do dyspozytorni, chęć ukrycia się za pancerną szybą. Uczucie było tak przemożne, że uległby mu, gdyby nie jeszcze większa obawa przed blamażem. Chłopcy z peronu nie mogliby wprawdzie zobaczyć tej rejterady, ale strzelcy, których kazał rozmieścić na pomostach, mieli idealny widok na galeryjkę.

Wyprostował się więc dumnie, lekceważąc ostrzeżenia instynktu, aby żołnierze widzieli w nim tryumfującego wodza, nie czmychającego przed własnym cieniem tchórze, którym tak naprawdę był.

Przeraźliwy, choć znajomy pisk oznajmił wszystkim, że ten kurs pociągu pancernego dobiegł końca. Andrzej przyglądał się z góry, jak z przedziałów osobowych, znajdujących się na czele każdego wagonu, wyskakują ludzie w oliwkowych kombinezonach.

\* \* \*

– Jeden szczegół odbiegający od normy, a wasz



przyjaciel pożegna się z życiem! – ostrzegła po raz kolejny Karbala, dociskając pokryte zaschniętą krwią ostrze do gardła skrępowanego maszynisty.

Do prowadzenia pociągu potrzebowała tylko dwóch fachowców, trzeciego zachowała jednak przy życiu – konieczne było bowiem dobre źródło perswazji, a tych ludzi nic nie przerażało teraz bardziej od groźby wyprucia flaków. Ostatni z pojmanych Czystych skończył więc jako przykład – smród po nim wciąż unosił się w rozgrzanym jak piec wnętrzu lokomotywy, stanowiąc swoiste przypomnienie, czym grozi odmowa.

– Będzie, jak chcecie – zapewnił ją starszy z mechaników obsługujących lokomotywę, zerkając w kierunku milczącego towarzysza Karbali, który od początku tej podróży nie odezwał się słowem ani nie zdjął choćby na moment palca ze spustu pistoletu.

– Patrz na mnie, kiedy odpowiadasz! – warknęła.

Trzymany przez nią mężczyzna pisnął, gdy przesunęła rękę, rozcinając mu skórę przy grdyce.

– Przestań, proszę! – do rozmowy włączył się drugi z maszynistów. – Przecież robimy wszystko, co nam każesz. Patrz, pociąg już stoi i nikt nie podniósł alarmu.

Zerknęła przez wąską szczelinę, którą miała tuż za plecami. Jej towarzysz w uniósł pistolet. Jedno z nich cały czas trzymało Czystych w szachu.

– I na co wam to wszystko? – odezwał się nagle starszy. – Nie wiem, ilu was tu przyjechało, ale nie macie najmniejszych szans. Wszyscy tu zginiecie.

– Zamknij się! – Karbala uniosła łokieć, jakby zamierzała dokończyć zaczęta przed chwilą robotę.

– Czekaj! – Maszynista spojrział na nią z wyrzutem, po czym dodał: – Młodzi jesteście, tyle życia przed wami. Posłuchajcie mnie. Mamy jeszcze czas. Mogę wycofać ten pociąg do tunelu, wynegocjować wolny przejazd na zewnątrz. Wszyscy przeżyjemy...

– O tych, którzy trafili tu wcześniej, też się tak martwiłeś? – zapytała, ponownie wyglądając za okno.

Nie odpowiedział, choć po jego minie widać było, że to nie strach go uciszył, tylko poczucie winy.

Freja kazała obezwładnić maszynistów i zapakować ich ponownie do lokomotywy, by nie widzieli, jaki ładunek tym razem będą przewozić. Nie miała wątpliwości, że woleliby zginąć, niż przyczynić się do tak potwornej zbrodni. Nikt w Otchłani nie wiedział, jak wygląda Riese ani jakie ma połączenia z górną stacją, ale jedno wydawało się pewne – uwolnione mutanty zmasakrują każdego, kogo dopadną, a w tych wagonach było ich tyle, że dałyby radę armii, tak więc trup będzie się ścielił gęsto. Zwłaszcza jeśli Pułkownik wziął sobie do serca słowa, które usłyszał podczas ostatniej rozmowy.

Karbala już wiedziała, że tak właśnie było. Na peronie stał równy rząd młodych mężczyzn i kobiet w prostych, znoszonych mundurach. Było ich tam ze dwadzieścioro, może nieco więcej. *Zawsze to coś*, pomyślała, a potem uśmiechnęła się szerzej, gdy dwuskrzydłowe drzwi na końcu peronu rozwarły się, ukazując wewnątrz dobrze oświetlonego korytarza, gdzie pomiędzy barierkami stał rząd stołów, wokół których kłębili się ludzie w białych fartuchach i kitlach. Czyści nie chcieli popełnić tego samego błędu, który pozwolił Nauczycielowi na przeniknięcie do wnętrza ich fortecy. Zamierzali sprawdzić dokładnie, czy któryś z pacjentów nie ma zdrowych strun głosowych i oczu.

*Zdziwią się wszyscy, i to już za moment...*

Przeciagnęła ząbkowanym ostrzem po krtani szarpiącego się więźnia. Cięła głęboko, nie na pokaz, ale by zabić. Obaj maszyniści skamienieli na widok tryskającej z rany krwi, która obryzgała wszystko wokół, nawet ich samych i ścianę kotła, z której parowała ze złowieszczym sykiem. Zanim charczący wciąż Czysty wyrzwał łbem o stalowe płyty podłogi, Karbala już mierzyła z pistoletu do młodszego z pozostałych. Nie celowała dokładnie, lecz z tej odległości trudno było chybić. Cichemu kaszlnięciu towarzyszył chrzęst przebijanej kości i rozrywanych tkanek. Na tę akcję

stalkerzy dostali specjalną amunicję, która nadal mogła zabić, ale w większości przypadków rozpadała się i pozostawała w ciele. Trafionemu w czoło maszyniście krew trysnęła nozdrzami. Jego gałki oczne zostały wysadzone z oczodołów przez szarą miazgę.

Nie przyglądała się padającej ofierze, ponieważ mierzyła już do drugiego maszynisty.

– Dlaczego, na Boga, dlaczego? – wyszeptał, spoglądając na Karbalę z ogromnym wyrzutem.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – rzuciła, po czym nacisnęła spust.

Zostali sami, ona i jej milczący do tej pory pomagier.

– I jak teraz wrócimy? – zapytał bardzo spokojnym tonem, nie okazując emocji.

– Szykuj się, musimy zadać tym skurwielom jak największe straty – odpowiedziała. – Nie oszukujmy się, powrót od samego początku nie wchodził w rachubę.

\* \* \*

Pułkownik oparł się obiema rękami o poręcz. Musiał to zrobić, by nikt nie dostrzegł, jak bardzo drżą mu dłonie. Zimny dreszcz przeszedł mu też od dołu pleców niemal do karku. Wiedział, że to oznaki strachu, że panikuje bez powodu, zatem robił, co mógł, by zapanować nad tymi symptomami zbliżającego się wielkimi napadu lęku.

*Drzwi wszystkich wagonów już suną. Jeszcze sekunda i...* Zapomniał o strachu, gdy zobaczył, że czwórka strażników – zamiast wejść schodkami na peron – wspina się ponownie do przedziałów osobowych. Nie miał jednak czasu, by zareagować, ponieważ z dołu dobiegł histeryczny krzyk, który błyskawicznie utonął w najbardziej przerażającym ryku, jaki zdarzyło mu się słyszeć.

W wagonach zakotłowało się, mógłby przysiąc, że chwieją się na kołach, potem zobaczył upadające kraty, zza których z mrocznych wnętrz wytrysnęły – tak, to było najtrafniejsze sformułowanie – chmury cieni. Tak to przynajmniej wyglądało z perspektywy galerii. Mnóstwo czarnych kształtów, szybszych od wzroku i myśli, wylało się na peron i nie tylko.

*Co to...?* – zdążył pomyśleć, zanim poczuł, że coś chwyta go za kołnierz i ciągnie w tył.

– Nie! – wrzasnął przerażony, kiedy w miejscu, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowała się jego głowa, przemknął wijący się kształt, w którym rozpoznał charakterystyczne cielsko cieniaka.

Szarpnął się z całych sił, ale leciał już na plecy, tak więc niewiele to dało. *Mutanty, dopadły mnie mutanty!* Powstrzymywany z trudem strach powrócił, wybuchając z siłą granatu. Póллеząc, Pułkownik obrócił się szybkim

ruchem, chciał walczyć z bestią, która go powaliła, ale...

Anna cofnęła rękę, uchylając się zwinnie przed ciosem, ktoś inny w tym czasie zatrzaskał drzwi.

– Nic się panu nie stało?

Zamrugał, jakby budził się z głębokiego snu. Dziewczyny z dyspozytorni pochylały się nad nim, przerażonym, wciąż niewiele rozumiejącym. W głowie miał mętlik. *Skąd się wzięło to pieprzone cholerstwo? Jak zdołało dostać się do zamkniętych szczelnie wagonów? Skąd strażnicy wiedzieli...* Nagle wątpliwości prysnęły jak bańki mydlane i wszystko stało się jasne.

\* \* \*

Kapral Maksymowicz dowodził drużyną wysłaną na przedni pomost. Wcześniej bardzo uważnie wysłuchał wszystkiego, co mówiono na długiej odprawie, lecz nadal nie rozumiał, po cholere ma sterczeć pod sklepieniem komory w gryzących oparach dymu, którego stary i nie w pełni sprawny system wywietrzników nie mógł od razu odprowadzić.

Siły zgromadzone na peronie dałyby sobie radę z każdym przeciwnikiem, jednakże Pułkownik nalegał, by pomosty obsadzić dwiema wzmocnionymi drużynami, i to wyposażonymi jak na najprawdziwszą wojnę.

– Zaczyna się – mruknął do stojącego obok

Rynkowskiego, z którym służył w gwardii już od roku.

W dole strażnicy odryglowywali właśnie drzwi wagonów. Zrobili to synchronicznie, jakby przetrenowali ten element z tysiąc razy. *Czapki z głów przed takimi fachowcami*, pomyślał, odgryzając kawałek marchewki. Jego karabin, nie kałach, tylko porządny HK, stał obok nogi, podobnie jak broń większości chłopaków. Skoro byli rezerwą, nie musieli spinać pośladków jak te ofiermy z nowego naboru, które Pułkownik wysłał na peron.

Chrupnięcie, z jakim odgryzł kolejny kawałek słodkiego warzywa, utonęło w przeraźliwym skowycie.

– Co jest? – Rynkowski wychylił się mocniej.

Szereg w dole zafalował, jedni sięgali po broń, drudzy zrywali się do biegu, wpadając na trzecich, najbardziej niezdecydowanych albo wystraszonych, którzy zamarli, nie wiedząc, co robić. Marchewka wysunęła się z dłoni kaprała, gdy z niewidocznych pod tym kątem wewnątrz wagonów wypadły potoki... mutków. Nie tylko szarików i ceniaków, ale też mniejszego – co nie znaczy mniej groźnego – draństwa. Bestie były rozwścieczone i głodne, a że wyczuwały człowieka ze znacznie większej odległości niż on je, nie miały najmniejszego problemu z wykryciem schowanego w mroku, lecz i tak podanego im na tacy jedzenia.

Maksymowicz przysiadł za pancerną płytą, nadal nie

mogąc uwierzyć w to, co zobaczył. Jego podwładni, mający mniej rozumu we łbach albo słabszy refleks, wciąż gapili się na peron i masę ludzkich ciał pokrytych rozszalałymi mutantami.

Rynkowski przyklęknął obok kolegi i dowódcy.

– Co robimy?! – zapytał z paniką w głosie.

– Spierdalamy!

Nie zdążyli wprowadzić tej śmiałej myśli w czyn. Zanim się podnieśli, by uciec, mrok wokół nich raptownie zgęstniał. Zginęli jako ostatni z całej drużyny, opatuleni cielskimi dwóch dorodnych cieniaków. Ich zduszonych krzyków nikt nie słyszał, w dole trwała bowiem w najlepsze jeszcze gorsza jatka. Stalkerzy rozjuszyli wygłodniałe bestie, podtykając im na czas podróży łakome kąski, które pomimo usilnych prób do samego końca pozostawały tuż poza zasięgiem kłów i pazurów. Dlatego bestie folgowały sobie teraz, jak tylko mogły, rozszarpując ciała konających, sycąc się ich krwią i przeskakując na kolejne ofiary, których miały obfitość.

\* \* \*

Sierżant Borowski objął wartę na trzeciej zmianie punktualnie o osiemnastej. Wymienił z ustępującym mu miejsca kolegą mocny uścisk dłoni i kilka gładkich słówek, jak wczoraj i przedwczoraj, a potem, nastawiwszy



wodę na herbatę miętową, zasiadł na krześle i spojrzał nad lufą karabinu maszynowego w perspektywę idealnie pustego korytarza.

*Spokój i cisza, jak zawsze.*

Służył w kompanii wartowniczej już trzy lata i jeden miesiąc, lecz nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się, by musiał przez te osiem godzin robić cokolwiek poza czytaniem książek, parzeniem herbaty i okazjonalnym czyszczeniem broni. Chłopak z drugiej zmiany, jego sąsiad, odwalił już większość roboty. RKM świecił jak psu jajca, a do kompletu brakowało mu tylko kilku części. *Pięć minut i będzie gotowy do użycia*, ucieszył się Karol, który miał do dokończenia naprawdę ciekawą książkę o wojnie, ale toczoną w kosmosie.

Zerknął do wnętrza kubka. Woda jeszcze nie zaczęła wrzeć, zatem...

Z oddali dobiegły stłumione hałasy. Nadstawił ucha, bo były bardzo ciche, ale moment później powieki powędrowały mu w górę jak kurtyny w teatrze. *Ktoś tam strzela!* Ogarnął wzrokiem rozłożone równo części broni. *Szlag!* Znów rzucił okiem w perspektywę wybetonowanego korytarza. Hałas narastał, jakby jego źródło zbliżało się do wartowni. Nie namyślając się wiele, sięgnął po sprężynę. Pracował mechanicznie, co rusz zerkając za stalową osłonę. Zostały mu jeszcze dwie

ostatnie części, gdy krzyki stały się bardzo wyraźne, a w oddali dostrzegł jakieś poruszenie.

Od strony sektora kolejowego nadbiegali ludzie. Było ich tylu, że nie mógł ich zliczyć. Białe fartuchy mieszały się z oliwkowymi mundurami. Ktoś właśnie upadł, ale pozostali nawet nie zwolnili, wdeptywali go w beton, jakby był porzuconą szmatą!

*Co to, kur...*

Karol zamarł z elementem obudowy w dłoni. Za plecami uciekinierów zakotłowało się, jakby tunele zalewała mętna kosmata woda, tyle że żadna ciecz nie ma ropni ani wrzodów! *Mutanty!* Metal brzęknął o metal, gdy część montowanego karabinu wypadła mu z ręki.

– Otwieraj! – Jakaś kobieta zajrzała przez otwór strzelniczy. – Otwieraj, na litość boską! – wrzeszczała tak przenikliwym głosem, że przygotowana do zaparzenia mięty szklanka pękła, jakby trafiła ją niewidzialna kula.

Borowski nawet nie drgnął. Zmartwiało. Nie mógł poruszyć ręką, a co dopiero nogami. W głowie miał kołomyję. Ze stuporu wyrwało go dopiero szarpnięcie za rękę. Spanikowana pielęgniarka nie poprzestała na wrzaskach. Jej twarz zniknęła, a zastąpiła ją ręka, którą próbowała sięgnąć do tablicy rozdzielczej i umieszczonych tam klawiszy otwierających bramę.

To go otrzeźwiło. Rozejrzył się, chwycił kubek

z wrzaskiem i chlusnął nim na dłoń desperatki. Gdy cofnęła ją odruchowo, zwolnił rygle osłony. Ciężka stalowa płyta opadła jak ostrze gilotyny, zamykając okienko od tej strony i redukując pole widzenia do cienkiej szczeliny nad lufą szarpanego już wieloma rękami karabinu.

Pobladły Karol cofnął się krok, potem drugi. Zza metalowej ściany dobiegały rozpaczliwe wrzaski, które z każdą sekundą tonęły w coraz głośniejszym charkocie i skowytach bestii, których nie sposób nazwać zwierzętami.

– Co ja zrobiłem... – szepnął, gdy po niespełna minucie, która wydawała mu się wiecznością, w korytarzu zapadła względna cisza, jeśli nie liczyć chrzęstu i mlaśnieć, z jakimi szariki i kotokaty pożerały dopiero co zabite bądź wciąż konające ofiary.

Nie mógł postąpić inaczej. Napisy na otaczających go klaustrofobicznie bliskich ścianach głośiły jasno i wyraźnie: „Otwarcie przejścia w razie skażenia sąsiedniego sektora grozi rozstrzelaniem”.

Rozstrzelanie.

Spojrzał ponownie na nie zmontowany do końca karabin. Już wiedział, co powinien zrobić. Podniósł z przetartego niemal na wylot gumoleum element obudowy, wsunął na miejsce, zablokował, po czym,

sprawnie jak na szkoleniu, zamknął całość.

Opadł na siedzisko, oparł kolbę o ramię, a na koniec pochylił się mocno, niemal przywarł czołem do drżącej wciąż stalowej płyty. Szczelina obserwacyjna była bardzo wąska, poprzedzielano ją też na dziesięciocentymetrowe odcinki, by mogła powstrzymać nawet atakującego cieniaka.

Niewiele zobaczył, otwór przesłaniało w całości coś wielkiego, kosmatego, co warczało i drapało powierzchnię metalu, jakby chciało ją rozpruć, by dostać się do kolejnej ofiary.

Nie zastanawiając się wiele, Karol nacisnął spust i posłał w korytarz krótką serię. Usłyszał skowyty i piski, ale nie ludzkie, i za szczeliną zrobiło się od razu jaśniej.

Serce mu zamarło, gdy zobaczył tuziny bestii rozmaitej wielkości masakrujących nadjedzone już ciała w głębi korytarza i żerujących na tych uciekinierach, którzy dotarli do zamkniętej na głucho bramy. Oblizwał spierzchnięte wargi, przywarł mocniej do kolby i zaczął strzelać, przepaszając za każdym razem, gdy kule przeszywały ciała pomordowanych.

\* \* \*

Karbala otworzyła drzwi lokomotywy, gdy na peronie zapadła cisza. Większość mutantów po masakrze Czystych

pognała za uciekinierami w głąb korytarza, jednakże ranne mutki wciąż pławiły się w krwi zabitych. Z tego, co zauważyła, obrońcy stacji zdołali zabić kilka szarików; pewien żołnierz, nie wiadomo, czy celowo czy przez przypadek, zdetonował granat, rozrywając siebie, kilku towarzyszy broni i pięć razy więcej drapieźców, lecz był to chyba jedyny akt heroizmu – bądź też głupoty – jaki widziała od rozpoczęcia tej akcji.

Pułkownik zwołał całkiem liczny komitet powitalny, tyle mogła powiedzieć. Gdzieś wysoko, nad lokomotywą, rozstawił ukrytych strzelców. O ich istnieniu dowiedziała się, gdy zaczęli skakać z pomostów, by uciec przed wirem kłów i szponów, przetaczającym się przez ich pozycje. Ogień otworzyło tylko dwóch, może trzech, ale i on ucichł niemal momentalnie, ponieważ bestii było zbyt dużo, a widziały w ciemności sto razy lepiej od ludzi.

Dobiła nożem pełznącego w kierunku jej nogi szarika, po czym gwizdnęła, wkładając dwa palce do ust. Na ten znak drzwi przedziałów osobowych otworzyły się i na zewnątrz wyskoczyli stalkerzy odgrywający rolę strażników.

– Maszyniści nie żyją – powiadomiła ich krótko, nie wdając się w szczegóły, a oni nie pytali. – Postępujemy zgodnie z instrukcjami. Wysadzamy lokomotywy, a potem próbujemy znaleźć jakieś wyjście z tej stacji – wskazała

przeciwny kierunek do tego, który wybrali uciekinierzy i reszta mutków.

\* \* \*

Dwadzieścia dwie minuty i sześć magazynków – tyle było trzeba, aby w łączniku zapanowały na powrót cisza i spokój. Zaplanowana i zbudowana przez Niemców wartownia sprawdziła się idealnie. Niemal czterdziestometrowy prosty odcinek wąskiego korytarza nie oferował żadnej osłony, zatem każdy cel, który się w nim znalazł, musiał prędzej czy później ulec trafieniu, a sierżant Borowski niemal natychmiast stał się obiektem westchnień każdego mutanta, który zapędził się w korytarze przydworcowego sektora. W większości przypadków wystarczała jedna albo dwie serie, ale czasem musiał się napocić, zanim rozwalił wyczyniające powietrzne akrobacje kotokaty, którymi szarpało podczas lotu bardziej od napranych nektarem motyli.

W końcu jednak bitewny kurz opadł, podobnie jak poziom adrenaliny, i Karol poczuł wkradającą się pod czaszkę niepewność. Palce zaczęły mu drzeć, potem całe dłonie, przyłożył je więc znów do rozgrzanej broni.

*Spokój, tylko spokój może mnie uratować*, pomyślał, ale rozedrgał się jeszcze bardziej, gdy zobaczył, że w pojemniku obok stanowiska jest już tylko jeden

bębnowy magazynek. Nie uspokoił go nawet szybki rzut oka na pogrążony w bezruchu korytarz. *Tych piekielnych bestii było tak dużo, kto wie, ile jeszcze ich się tam kryje...*

Rozbieganym oczom nie umknął ruch na przeciwległym krańcu łącznika. Coś tam było, coś dużego, ciemnego; nie pędziło na niego bezrozumnie, tylko kryło się za załomem. Znów to zobaczył, wysuwało się powoli, jakby nieufnie... Nie namyślając się wiele, nacisnął spust, seria rozpruła ścianę na powierzchni trzech metrów, znacząc ją dwunastoma głębokimi przestrzelinami, z których ostatnia odłupała spory kawałek betonu na samej krawędzi. Gdy tylko szczęknął zamek, oznajmiając, że kolejny magazynek jest już pusty, zza węgła wychynęły kolejno dwie postacie. Nie pobiegły jednak w kierunku wartowni, jak można by się tego spodziewać po wygłodniałych mutkach, tylko przypadły do posadzki i... odpowiedziały ogniem!

Karol, który akurat pochylał się nad zasobnikiem, przeczekał nawałę ogniową w niezmienionej pozycji, mimo że kule nie mogły mu nic zrobić, po czym ryknął ile sił w płucach, by tamci go usłyszeli.

– Nie strzelajcie, ludzie! Przepraszam, myślałem, że to kolejna fala tych potworów! Chodźcie, tylko szybko, póki znów się nie zlecą! – Teraz widział ich wyraźnie. Kolejarze. Było ich pięcioro, w tym jeden ranny. *Jezu,*

*żeby tylko nie wyszło, że to wszystko moja wina.* Nie dziwił się, że potraktowali jego zapewnienie z nieufnością. Wcześniej musieli przeżyć istne piekło. – Chodźcie już, proszę! – dodał po tym, jak podniósł osłonę stanowiska, by mogli go lepiej widzieć.

Sięgając do klawisza otwierającego drzwi, zauważył, że służbowa krótkofalówka, którą położył na stole, wciąż jest wyłączona. Zupełnie o niej zapomniał w ferworze walki. Szybko naprawił błąd i natychmiast został zalany falą natarczywych dźwięków.

– ...nostek, mówi Pułkownik! Odciąć wszystkie wejścia do sektora 24. Nie wypuszczać nikogo. Sabotażyści wdarli się na górną stację. Powstrzymać ich za wszelką cenę. Są przebrani za drużynę kolejarzy, powtarzam, są przebrani za drużynę kolejarzy. Do wszystkich jednostek... – Nagranie się zapętlilo.

Borowski spojrzał na zbliżających się ludzi. W ciszy, jaka zapanowała po strzelaniu, z pewnością usłyszeli treść komunikatu. Zdążyli przejść tylko kilka kroków, zatem mieli wciąż do pokonania ponad trzydzieści metrów podłogi zasłanej martwymi ludźmi i mutkami. Podjęli decyzję mniej więcej w tym samym momencie co sierżant.

I on, i oni sięgnęli po broń, tyle że Borowski musiał jeszcze założyć magazynek, co przy takim stresie, jakiemu został poddany, wcale nie było łatwe. Tamci, widząc, że



niewiele zrobią ukrytemu za grubym murem wartownikowi, i domyślając się, że ma jakiś problem z bronią, zerwali się w końcu do biegu, zostawiając za sobą ранnego towarzysza. Karol natomiast, klnąc ile wlezie, próbował osadzić magazynek. W końcu zdołał to zrobić, szybkim ruchem przeładował, po czym nie podnosząc się, nacisnął spust. Nie widział, gdzie strzela, nie wiedział, czy trafia, ale słał pocisk za pociskiem w głąb tunelu, poruszając zamontowanym na trzpieniu RKM-em na wszystkie strony.

Nie puścił spustu nawet po tym, jak broń umilkła, wypluwszy ostatnią łuskę. Skulony przesiedział jeszcze prawie pół minuty, zanim odważył się podnieść głowę.

Załatwił ich! Wszystkich załatwił. Leżeli co metr, dwa, posiekani kulami, zakrwawieni jak rzeźnik po świniobiciu.

## ROZDZIAŁ 23

# Wariat

Pułkownik krążył wokół konsol jak wygłodniały tygrys po klatce tuż przed porą karmienia. Strzelanina i wrzaski na zewnątrz już ucichły, ale za oknami wciąż dały się zauważyć śmigające złowieszcze cienie. Jeden z nich walnął właśnie z głuchym pacnięciem o pancerne szkło i ześlizgnął się, zostawiając smugę lepkiego śluzu wymieszanego z krwią.

– Zapal światła, Anno – polecił Andrzej, stając przed tym miejscem.

– Nie, błagam... – wyszeptała przerażona kobieta, nie opuszczając kryjówki. – One nas zobaczą.

– I o to chodzi – warknął, po czym powtórzył rozkaz znacznie ostrzejszym tonem: – Zapal te cholerne światła!

Ponieważ się nie odwrócił, nie wiedział, czy Anna go posłuchała czy wyręczyła ją jedna z pozostałych dyżurnych, z którymi utkwiał w tej pułapce. W tym momencie liczyło się dla niego tylko to, że pomieszczenie na drugim poziomie stacji znów zostało zalane jaskrawym

blaskiem.

Mutanty zareagowały tak, jak się tego spodziewał. Nim minęła minuta, krwawe rozbryzgi pokryły całą szybę. Opętane żądzą zabijania kotokaty gnały na złamanie karku ku nowej ofierze, doskonale widocznej na tle jasnego okna, i kończyły marnie, roztrzaskując się o grube szkło zdolne powstrzymać kulę karabinową, a nawet odłamek granatu.

Andrzej cofnął się wprawdzie o pół kroku, gdy usłyszał pierwsze plaśnięcia, ale po chwili wrócił na miejsce, a gdy śluz przesłonił pole widzenia, przeszedł wolnym krokiem do okna po przeciwnej stronie drzwi. Tam stanął tuż przy szybie, rozkładając szeroko ręce.

– Tak, skurwysyny, tu jestem. Biercie mnie, bierzcie!

Nie wszystkie mutki zabijały się przy zderzeniu z szybą, ale z pewnością każdy odnosił jakieś rany, a w tym świecie nie obowiązywały już zasady głoszone przez Nietzschego. Co cię nie zabiło, nie czyniło cię silniejszym, tylko ofiarą silniejszego. Na galerii trwała więc w najlepsze rzeź i towarzysząca jej uczta, jednakże było to marne pocieszenie dla człowieka, który utracił wszelkie nadzieje.

Andrzej przeżył tylko dlatego, że jedna z dyżurnych zauważyła w porę – dzięki obserwacji monitoringu – co kryje się we wnętrzu wagonów. Kobieta miała tyle oleju

w głowie i odwagi, by pognać bez zastanowienia za drzwi i wciągnąć Pułkownika do wnętrza dyspozytorni, zanim na zewnątrz rozpętało się piekło.

Gdy już otrząsnął się z pierwszego szoku, coś w nim pękło. Jakby przerażenie tym, co widzi i słyszy, doprowadziło do zerwania ostatnich tam, za którymi było już tylko morze zobojętnienia. Słyszał o podobnej reakcji u ludzi, którzy szli bezwolnie na śmierć, choć dobrze wiedzieli, co ich czeka, a teraz sam jej doświadczał. Był jednak sprytniejszy od większości znanych mu osób, może wręcz najmądrzejszy ze wszystkich mieszkańców Riese, zatem oparł się katatonii – choć naprawdę niewiele brakowało, by dał się zredukować do poziomu warzywa, jak te bryły puchu marnego, kulące się teraz za jego plecami, wpełzające pod konsole i biurko.

Nawet Anna, która wykazała się takim ogromem odwagi, nie wytrzymała napięcia ani tym bardziej grozy wzmacnianej krzykami agonii wydobywającymi się równocześnie z dziesiątek gardeł i zagłuszającym je tryumfalnym rykiem wygłodniałych bestii.

Tylko on pozostał na placu boju, przegrany, lecz mimo to niepokonany geniusz, któremu nie wolno było okazać słabości.

– Połącz mnie z centrum dowodzenia! – polecił, nadal nie odwracając się od coraz bardziej zapaćkanego okna.

Usłyszał za plecami szuranie, potem zgrzyt przesuwanego krzesła, a gdy wybierak zaterkotał, splunął na pokryte śluzem i krwią szkło, po czym oddalił się wolnym krokiem, by przejąć słuchawkę. Odebrała Tamara, ale nie pozwolił jej dojść do głosu.

– Zrobiłaś, co kazałem? – zapytał.

– Tak.

– Świetnie. Możecie zaczynać.

Rozłączył się, nie pozwalając, by ta rozmowa zesłała na bardziej prywatne tory. *Nie czas na rozklejanie się, trzeba działać. Trzeba zlikwidować tę zarazę, zanim rozpleni się po całym kompleksie.* Na jego – i ich wszystkich szczęście – budowniczywie Riese brali pod uwagę możliwość podobnego zagrożenia, choć raczej ze strony żołnierzy wrogiej armii niż stworzonych przez radiację mutantów, ale czy to nie wszystko jedno? Liczyło się wyłącznie to, że wartownie i łączniki oddzielające wszystkie sektory, zarówno w górnym, jak i w dolnym kompleksie, stanowią wąskie gardła i niemal niezdołbane szanse, na których załame się każdy atak, każdy szturm.

Raport sierżanta Borowskiego podniósł go na duchu. Przywrócił mu wiarę w możliwość nie tylko przetrwania, ale i ocalenia resztek społeczności. Być może to właśnie te kilka krótkich zdań spowodowało ostateczną przemianę w niezłomnego Pułkownika. Podszyty tchórzem Andrzej

wyparował, jak wszyscy ci, których Atak zastał w pobliżu punktów zero.

Nadchodził czas kontrataku, a potem krwawej zemsty.

\* \* \*

– Możecie zaczynać. – Tamara podała dalej słowa przywódcy.

Zgromadzeni w łączniku sektora 23 żołnierze sprawdzili po raz ostatni wyposażenie i broń, a gdy pośpieszna inspekcja dobiegła końca, ich dowódca uniósł rękę, dając znak obserwującym go przez kamerę technikom, że mogą zdalnie otworzyć gródź.

– Zapalamy! – rzucił następnie do mikrofonu wbudowanego w hełm.

Czterej żołnierze odziani w ognioodporne kombinezony podkręcili palniki miotaczy, tworząc przed oddziałem ścianę błękitnobiałego ognia.

– Naprzód!

Ruszyli wolnym krokiem w głąb osmalonego płomieniami korytarza. Niemieccy architekci zadbali o to, by projektowany przez nich kompleks mógł się oprzeć wszelkim atakom – łącznie z nuklearnym, którego skutki znali tylko z teorii, aczkolwiek do praktyki niewiele im zabrakło... Jednym z zabezpieczeń był system wartowni, ulokowanych na krańcach korytarzy łącznikowych,

z których można było ostrzeliwać liczące kilkadziesiąt metrów proste, nie oferujące żadnego schronienia odcinki tuneli. Dopiero przy samej wartowni ulokowano w bocznej ścianie bramę, za którą, po pokonaniu krótkiego przejścia między dwiema bliźniaczymi, ale zwróconymi w przeciwnych kierunkach wartowniami, trafiało się do identycznego łącznika, broniącego dostępu z drugiej strony.

Ten system sprawdziłby się nawet w przypadku ludzi, a co dopiero bezmyślnych bestii – pod warunkiem że nie zawiodłoby jego najslabsze ogniwo, czyli człowiek. Na szczęście dla załogi Riese tym razem nie doszło do najgorszego. Mutanty zostały powstrzymane już na pierwszej reducie, zanim zdołały dotrzeć do właściwej części kompleksu. To nie znaczyło jednak, że zagrożenie minęło. Sierżant Borowski wystrzelał te potwory, które opuściły stację w pogoni za uciekinierami, lecz w komorze stacji wciąż pozostało ich sporo, ponieważ żarcia miały tam w bród, a pierwsza niepisana zasada zmutowanego świata głosiła: zjedz, co jest do zjedzenia, zanim ktoś ci to odbierze.

– Gasimy! – Rozkaz padł po dziesięciu sekundach, gdy czoło kolumny znalazło się kilka metrów za opuszczoną już wartownią w korytarzu wypełnionym poszatkowanymi ciałami.

Czwórka ogniomistrzów ubranych w najcięższe pancerze nie zwolniła, podobnie jak reszta kryjącego się za ich plecami oddziału. Dopiero pięć metrów przed załomem dowódca uniósł rękę, nakazując podwładnym, by się zatrzymali.

– Ranny w polu widzenia, odbiór – zameldował do mikrofonu.

– Zabezpieczyć, odbiór – w głosie dziewczyny z centrum dało się słyszeć nie tylko podniecenie, ale i wielką radość: ktoś przetrwał to piekło!

– Zabezpieczam, bez... – Sierżant Ziarko się zawahał.

– Coś nie tak, odbiór? – zaniepokoiła się operatorka.

– To... kolejarz... – zameldował nieprzepisowo.

Spoglądał na postać leżącą tuż za załomem ściany. Porwany kombinezon był mocno zakrwawiony, podobnie jak podłoga wokół, ale wyraźnie widział unoszącą się rytmicznie klatkę piersiową i drgającą rękę.

– W takim razie spalić to ścierwo! – Kolejny rozkaz wydała Tamara.

– Darek! – Sierżant przywołał jednego z ogniomistrzów.

Zanim żołnierz zdołał podejść, mikrofon znów ożył. Tym razem do rozmowy włączył się sam Pułkownik.

– Ja ci dam, kurwa, spalić! Brać go żywcem! I niech Bóg was broni, jeśli zdechnie po drodze!



\* \* \*

Sześćdziesięciu ośmiu zabitych, w tym czterdziestu czterech mężczyzn. Bilans strat był porażający. Nie ocalał nikt, kto trafił do komory podziemnego dworca, jeśli nie liczyć cudem uratowanego Pułkownika. A to przecież jeszcze nie koniec. Do pełnego bilansu trzeba doliczyć załogę pociągu, którą wrocławianie wyróżnili podczas akcji przejmowania składu. Kolejnych dwudziestu czterech mężczyzn, nie dzieciaków, tylko tych najlepszych, dobrze wyszkolonych, ostrzelanych...

*Nie, nie, nie.*

Andrzej pokręcił głową, sięgając po kieliszek. Trzeci już w tej sesji.

*Co mnie podkusiło, by zwiększyć obsadę pociągu o kolejnych ośmiu ludzi? Gdybym nie był taki podejrzliwy... Kurwa mać, przecież wszystkie moje podejrzenia stały się ciałem! Zostałem okłamany przez tę szmatę, nie jakąś tam podstawioną figurantkę, tylko samą Bondarczuk.*

Był święcie przekonany, że za wszystkim stoi przywódczyni Otchłani. *Winda się urwała, akurat...* Durne tłumaczenie uspiło jego czujność. Nie docenił Kaśki, która okazała się prawie tak podstępna jak on. Bardziej nawet, czego jednak nie miał zamiaru przed nikim przyznawać.

– Dzwonimy? – zapytała Tamara.

Siedziała naprzeciw niego ponura jak noc listopadowa.

– Po co?

Posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Zawsze lepiej mieć pełną jasność sytuacji – dodała, gdy milczenie się przedłużało.

– A co tu nie jest jeszcze jasne?! – zachnął się, nalewając sobie kolejny kieliszek. – To już koniec. Po czymś takim nie ma sensu rozmawiać, nawet jeśli ona na to liczy.

– Teraz nie chodzi już o kwestię przywództwa – przypomniała mu bolesną prawdę – tylko o przetrwanie. Oni – wskazała za drzwi gabinetu – nie pójdą za tobą w ogień. Jeśli będą mieli do wyboru zmianę wodza albo przeżycie, nie zawahają się nawet przez moment.

Te słowa przeszywały go jak pociski, raniły, sprawiały niemal fizyczny ból, ale milczał, ponieważ wiedział, że Tamara znów ma rację. Po porażce tych rozmiarów nie mógł się spodziewać, że ludzie nadal będą go słuchać, gdyż pozorne przekucie klęski w sukces doprowadziło do jeszcze większego kataklizmu. Riese znalazło się na krawędzi zagłady, a w takiej sytuacji wybór zawsze jest prosty. Bliższa koszula ciała, jak to mówiono.

– Dobrze... – zaczerpnął głęboko tchu, po czym przechylił pełne szkło – ale rozegramy to po mojemu. Ja

mówię, ty się nie wtrącasz – uściślił, widząc, że Tamara chce coś dodać.

– Jak sobie życzysz.

Odstawiony z hukiem kieliszek chwiał się jeszcze, gdy Pułkownik sięgnął po słuchawkę. Bimber dodał mu animuszu. Tym razem nie musiał czekać, ktoś po tamtej stronie odebrał niemal natychmiast, po pierwszym sygnale, ledwie zdążył włączyć tryb głośnomówiący. Spodziewał się usłyszeć Bondarczuk, ale suka bladź znów posłużyła się figurantką.

– Słucham.

W głosie Oliwii nie wychwycił śladu emocji, jakby nie miała o niczym pojęcia, a to było przecież niemożliwe.

– Wiem, że tego słuchasz, Kaśka. Zmusiłaś mnie do zmarnowania kupy amunicji – powiedział, powtarzając przygotowaną uprzednio i przewałkowaną sto razy w myślach przemowę. – To było naprawdę głupie zagranie, o czym przekonasz się szybciej, niż sądzisz. Masz się za taką cwana, a nie wiesz nawet, że kilkoro z twoich zaufanych ludzi pracuje tak naprawdę dla mnie. Uprzedzili mnie rano o wszystkim, dzięki czemu mogłem przygotować naprawdę gorące powitanie szóstce waszych śmieci... Wystarczyło zastrzelić tych, którzy mieli otworzyć wagony, i cały wasz trud poszedł szarikowi w dupę... – Zawiesił na moment głos, ale po drugiej

stronie panowała cisza, świadcząca być może o szoku, z jakim Oliwia i słuchająca go z drugiego aparatu Bondarczuk przyjęły te słowa. – Zatkąło was, suki. I dobrze, bo ja jeszcze nie skończyłem. Wydaje wam się, że bez was będziemy skończeni, że nie damy rady odbudować Nowej Polski... – Podniósł rękę, by uciszyć podnoszącą się z fotela Tamarę. – To nie do końca prawda, o czym wkrótce się przekonacie. Otchłań została wykreślona z listy. Tym razem nieodwołalnie. Zdychajcie razem z podludźmi, na nic więcej nie zasługujecie. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie kazać moim agentom zagazować was wszystkich, ale doszedłem do wniosku, że boleśniejszą nauczkę dostaniecie, jeśli dam wam czas na przemyślenie swoich błędów. Nie odeślę was więc, jak to ujmują podludzie, tylko zostawię na pastwę losu w tych podziemiach, abyście snuły się po zatęchłych bunkrach do usranej, choć pewnie i tak zbyt szybkiej śmierci. Tak, tak. Czekają was miesiące męki, o ile ci, którzy wam obecnie służą, wcześniej nie zrobią sobie czapek z waszych cycków albo naszyjników z zębów.

Zarechotał, jakby go to bawiło, równocześnie gromiąc wzrokiem rozwścieczoną do białości Tamarę. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa, ale on znów musiał postawić na swoim i zepsuć ostatnią szansę ocalenia Nowej Polski.

– Skończyłeś? – z głośnika popłynął zaskakująco

spokojny głos.

– Tak – odparł nieco zbity z tropu. – To koniec. Nie będzie już rozmów, telefonów, dostaw, pociągów. Nie będzie nic. Za błędy się płaci, wy...

– Zanim się rozłączysz, pozwól powiedzieć sobie jedno... – zaczęła kobieta, którą znał jako Oliwię.

– Daj tę słuchawkę Kaśce, durna suko, albo spierdalajcie obie i nie marnujcie więcej mojego czasu – przerwał jej, jakby naprawdę zamierzał skończyć w tym momencie rozmowę.

– Chyba nie dam rady przekazać jej słuchawki. Nie mamy tu tak długiego kabla, by sięgnął dna otchłani.

– Skoro tak stawiacie sprawę, żegnam oziębłe! – rzucił ostrym tonem, lecz nie odłożył słuchawki ani nie wyciągnął ręki, by nacisnąć widełki.

– Dopadniemy cię, tak jak dopadliśmy twoją, jak to pięknie ująłeś, sukę bladź?

– Kto: my? – zapytał kpiącym tonem.

– Chcesz poznać prawdę? Proszę bardzo: twojej Otchłani już nie ma, śmieciu. Znaleźliśmy ją i zniszczyli, tak jak znajdziemy i zniszczymy twoje Riese. My... skup się... nadludzie, bo to chyba właściwa forma, skoro mieszkamy nad wami. To nie nasze dni są policzone, tylko twoje. Tak, ty już nie żyjesz, kutasi łebku, tylko jeszcze o tym nie wiesz. Twoi agenci uprzedzili cię o naszym

ataku, dobre sobie. Może bym uwierzyła w bajeczkę o zastrzeleniu stalkerów, gdyby nie pewien szczegół: tu już od tygodnia nie ma nikogo, kto mógłby dla ciebie pracować. Ciach, bach, pif-paf. Wszystkich zabiliśmy, co do jednego.

Mina mu rzedła z każdym wysłuchanym słowem, ale nie przerywał, choć kilka razy otwierał usta, jakby zamierzał to zrobić.

– Kim ty jesteś? – szepnął w końcu.

– Mówią na mnie Freja, choć to ci pewnie niewiele powie.

– Freja?

– Tak, Freja. Wolę ten pseudonim od prawdziwego imienia, ponieważ świat, w którym go używałam, już nie istnieje, a jego ostatnie namiastki, takie jak Riese i Otchłań, właśnie giną.

– To jakaś wasza kolejna ściema? – zdołał zapytać, gdy zapanował nad początkowym zaskoczeniem.

– Nie. Nie muszę już udawać. Tak wygląda prawda. Masz tylko jedną szansę na przeżycie... – Urwała, dając mu możliwość odezwania się, z której nie skorzystał. – Zwrócisz nam Czarnego Skorpiona i towarzyszącą mu dziewczynę, całych i zdrowych. Odstawisz ich tutaj następnym pociągiem, z podwójną dostawą świeżych warzyw, a ja w geście dobrej woli wydam ci czterdziestu

dwóch waszych, których na razie trzymamy pod kluczem. Radzę się jednak pośpieszyć, bo promocja skończy się po wyczerpaniu zapasów, a tak się dziwnie składa, że ostatnimi czasy nie mogę zasnąć, jeśli nie poderżnę jakiegoś nieowrzonego gardziółka. Tik-tak, mutkojebco. Tik-tak.

Rozłączyła się, pozostawiając ich oboje w głębokim szoku.

– Myślisz, że ona... – bąknął Andrzej, wciąż trzymając w ręce słuchawkę.

– Chodzi ci o to, czy tym razem powiedziała prawdę?

Potaknął, odpowiedziała mu więc podobnym gestem. Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować, aczkolwiek uzyskany obraz daleki był od ich wcześniejszych wyobrażeń.

– Jakim cudem ci prymitywni barbarzyńcy zdołali zająć Otchłań? Przecież amunicja skończyła się im lata temu, poza tym zadbaliśmy, aby byli słabi, podzieleni, zwaśnieni... – Andrzej kręcił głową z niedowierzaniem.

– Albo ktoś sypnął... – zaczęła po chwili namysłu.

– ...albo Bondarczuk przekombinowała, chcąc nas przechytryć – dokończył za nią, nie rezygnując ze swojej wersji zdarzeń.

Tym razem mógł mieć wyjątkowo rację. Tamara uznała za mało prawdopodobne, by ktoś czerpiący

niewyobrażalne profity ze współpracy z Bondarczuk chciał się ich dobrowolnie wyrzec. Nie mówiąc już o tym, że większość podludzi nie miała bladego pojęcia, dla kogo tak naprawdę pracuje. Wreszcie – potencjalnych agentów dobierano ze szczególną starannością i likwidowano przy pierwszym podejrzeniu o nielojalność.

– To akurat najmniejsze z naszych zmartwień – oświadczyła, wracając do tematu. – Liczy się tylko to, co z tym zrobisz. O ile oczywiście stać cię choć na słowo prawdy.

Spojrzał na nią bykiem, ale zaraz spotulniał. Nagana była zasłużona. Po raz kolejny dał się ponieść, choć nie dlatego, że był szalony albo zaślepiony. Miał plan i gdyby tylko sytuacja we Wrocławiu wyglądała inaczej...

– Wiem, że możesz mieć do mnie żal za to, co przed chwilą powiedziałem, ale zaufaj mi, to było przemyślane działanie.

– Naprawdę?

– Tak. Pozwól, że ci to wyjaśnię. Co chciałaby osiągnąć Bondarczuk, gdyby nadal rządziła Otchłanią? Czekaj, nie odpowiadaj, pozwól mi dokończyć. Myślę, że grałaby o władzę. O usunięcie mnie, to znaczy nas – poprawił się natychmiast. – Dlatego jedynym sposobem na pokrzyżowanie jej planów byłoby odstawienie Wrocławia na boczny tor. Zrealizowanie wcześniejszych gróźb, tyle



że nie do końca. Nie odbieralibyśmy od nich telefonów, powiedzmy, przez kilka tygodni, żeby poczuli ogień pod dupami, a potem... Krótko mówiąc, podjęlibyśmy dialog z tym, kto przetrwałby zawieruchę.

Spojrzał na nią z wyczekiwaniem, jakby chciał poznać jej przemyślenia.

– To... to mogłoby się udać – przyznała po chwili, nie chcąc się wdawać w dalsze dyskusje, skoro ten aspekt ich sytuacji i tak nie miał w tym momencie najmniejszego znaczenia.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Nie jestem jakimś popieprzonym dyktatorem, wszystko, co robię, służy dobru nas wszystkich. Widziałeś, jak świetnie rozwiązałem kwestię skopców?

Potaknęła, znów się z nim zgadzając. Wcześniej, jeszcze za Premiera i Ministra, zapanowanie nad niewolnikami wymagało większości sił i środków, jakimi dysponowało Riese, a i tak doszło do najgorszego. Andrzej mógł przejąć władzę tylko dlatego, że zaproponował ludziom alternatywę, której nie widzieli w buńczucznych zapewnieniach kontynuatora starej linii, czyli Wariata. Wspomnienie przegranego rywala natchnęło Tamarę kolejną myślą.

– Skoro wiemy już, jak wygląda prawda, powinniśmy się skupić na znalezieniu najrozsądniejszego rozwiązania.

– Czyli?

– Co zrobić, żeby podludzie wydali nam tych czterdziestu dwóch ocalonych – przypomniała mu.

– Kobieto, tam nie ma żadnych ocalonych! – Pochylił się nad biurkiem, gdy to mówił. – Ta suka zwodzi nas po raz kolejny.

– Nie mamy takiej pewności.

Andrzej spojrział na butelkę, ale nie sięgnął po nią. Wypił wystarczająco dużo, by mieć animusz, lecz nie tyle, by dać się ponieść.

– Nie rozumiesz, o co jej teraz chodzi? – zapytał.

– Nie.

– Zastanów się. Podludzie wpadają do Otchłani, czekaj, jak to ona powiedziała. „Ciach, bach, pif-paf. Wszystkich zabiliśmy, co do jednego” – przedrzeźnił Freję.

Tamara zrobiła wielkie oczy. Tak, te słowa padły wcześniej w rozmowie.

– Może przesadzała, kontrując twoje kłamstwo? – zasugerowała, nie chcąc się od razu poddać.

– Nie sędzę.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że gdyby nawet wzięli jeńców, to nie mogliby się ich pozbyć. Naprawdę uważasz, że banda dzikusów obsłuży sprzęt sprzed Ataku, nie mówiąc już

o komputerach? To mogło się udać tylko w powieści Hubbarda. Przecież dla nich zwykły telefon to najprawdziwsze czary-mary.

– Nie zauważyłam, by ta suka klęczała przed słuchawką, gdy z tobą rozmawiała.

– Ona może nie. Znów posłużę się cytatem: „Wolę ten pseudonim od prawdziwego imienia, ponieważ świat, w którym go używałam, już nie istnieje”, czy jakoś tak. To Pamiętająca, jak ten, tam... Remer.

*Dobry jest w te gierki, uznała z podziwem. Podejść go to wielka sztuka.*

– Co w takim razie chciała osiągnąć? – zapytała.

– To proste. Chce, abyśmy wydali tego skurwysyna. Dlaczego? Może jej na nim bardzo zależy, a może desperacko pragnie się dowiedzieć, gdzie leży Riese i jakimi siłami dysponuje? – Rozłożył ręce w charakterystycznym geście. – Kobieto, ona marzy o tym, by spieprzyć z Wrocławia, ponieważ Otchłań, tak samo jak leżące nad nią miasto, ginie na naszych oczach. Już ja wiem, do czego to wszystko zmierzało. Wysłała pociąg w nadziei, że mnie załatwi. Mnie, rozumiesz?! Sprzedała mi kit o trzech innych Czarnych Skorpionach, którzy ponoć zniknęli z radaru, ponieważ wiedziała, że jestem człowiekiem ostrożnym i zareaguję w przewidywalny sposób, czyli wzmocnieniem ochrony stacji. Co za kurwa

jedna... – Pokręcił głową. – Niewiarygodne. Napuściła na nas cztery wagony mutków.

– Rozumiem, że odpuszczamy sobie Wrocław i skupiamy się na trasie wielkopolskiej? – Tamara przywołała go do rzeczywistości.

– Nie – odparł, oblizując nerwowo wargi.

– Nie? – Ta odpowiedź bardzo ją zaskoczyła.

– Nie stać nas na ponoszenie dalszych strat – wyjaśnił. – Musimy się skupić na sobie, to znaczy na tym miejscu. Projekt Nowa Polska, w obecnym kształcie, znika z naszych sztandarów.

– Nie możemy zostawić społeczności Poznania i Zielonej Góry na pastwę losu! Tam jest co najmniej dwustu ocalonych!

– A policzyłaś, ilu ludzi nam zostało? – zapytał, nie podnosząc głosu.

– Nadal jest nas ponad pięć setek, licząc wszystkich zdolnych do noszenia broni – odparła hardo, patrząc mu prosto w oczy.

– Jak ci to wyszło? – zdumiał się.

– W bardzo prosty sposób, doliczyłam wszystkie kobiety.

– Nie...

– Tak. Skoro dają sobie radę z chronieniem pól...

– ...wyprawa przez strefy skażone, powiązana

z koniecznością oczyszczania torów bądź ich naprawy, to na pewno nie robota dla bab! – uniósł się.

– A kto powiedział, że pošlemy tam kobiety? Ty skup się na odtworzeniu drużyn kolejarzy, do tego wystarczy ci mężczyzn, a resztę zadań zostaw nam.

– Daj spokój... – pokręcił z rezygnacją głową. – To się nie uda.

– Bez zastrzyku świeżej krwi, zwłaszcza po ostatnich masakrach, nie przetrwamy – oświadczyła z pełną stanowczością.

Pozwolił jej się wygadać, po czym z szelmowskim uśmiechem na twarzy czym rzucił:

– A jeśli ci powiem, że mamy na to spore szanse?

– Nie uwierzę.

– To posłuchaj... Jeśli przestaniemy tracić ludzi i zredukujemy pole działania do ostatniej reduty, czyli Doliny Kamionki, przepustowość torów zaś do terminalu paliwowego, zyskamy tyle czasu, że wystarczy go na dokończenie przygotowań.

– Jak ty to widzisz?

– Opuuszczamy wypalanie obecnego perymetru i skupiamy się na zatrzymaniu mutacji na linii Wielkiej Sowy i Kalenicy. Tamtejsze pola wykarmią nas wszystkich, a teraz, przy mocno zmniejszonej liczebności, nie będziemy potrzebowali aż czterech przekopów.

Wystarczą te dwa, do dolnego poziomu. Jeśli przeorganizujemy brygady skopców tak, by maksymalnie zwiększyć ich wydajność, na przykład przenosząc połowę z nich na nocne zmiany, powinniśmy zakończyć prace górnicze najdalej za miesiąc. Tymi siłami, którymi już dysponujemy, bez konieczności sprowadzania kolejnych niewolników. Potem kilka tygodni na roboty wykończeniowe i zaczynamy wieść nowe, spokojne życie.

Spojrzała na mapę. Skubaniec musiał to planować od dawna. Nie mógł przecież wymyślić wszystkiego na poczekaniu.

– Spodziewałeś się takiego obrotu spraw? – zapytała, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi.

– Nie – odparł, nie podnosząc głosu – ale jako człowiek praktyczny staram się być przygotowany na każdą ewentualność. To był najczarniejszy z czarnych scenariuszy.

– Teraz jawi mi się wszystkimi odcieniami różu... – wyszeptała. – A raczej jawiłby się, gdyby nie jeden szczegół.

– Czarny Skorpion... – Od razu zrozumiał, do czego pije.

– Czarny Skorpion – potwierdziła.

– Nie możemy pozwolić, by pokrzyżował nam plany. Po masakrze na stacji nie stać nas na stratę choćby jednego

człowieka. Bez względu na to, czy mężczyzny czy kobiety! – odpowiedział szybko.

– Jednego możemy stracić – zasugerowała.

– Nie – obruszył się. – Uwierz mi, mam te liczby w głowie. Jesteśmy już pod kreską. Minimalnie, ale pod kreską... – Zamilkł, ponieważ dotarło do niego, co naprawdę powiedziała. – Nie.

– Tak.

– Wypuszczenie go to czyste szaleństwo!

– Zastanów się, Andrzej. Jeśli Wariat wytropi Czarnego Skorpiona, wygrasz. Jeśli Czarny Skorpion zabije Wariata, wygrasz, bo stracisz jedyne konkurenta do tronu. Jeśli obaj się zaszlachtują, co jest przecież bardzo możliwe, wygrasz podwójnie.

– Jeśli Wariat załatwi skurwiela, będę musiał go wynagrodzić, a to nie skończy się dobrze.

– On nie zrobi niczego, by zagrozić Riese – przekonywała go dalej Tamara. – Czy nie dlatego próbował przejąć władzę po stłumieniu buntu? Przecież wiesz, że nie chodziło mu o zaspokojenie żądzy władzy.

– Nie wiem – warknął, ale już nie tak pewnym tonem.

– Wiesz. Traktujesz go jak wroga, ponieważ chciał ci odebrać władzę, ale uwierz mi, kiedy mówię, że Wariat, podobnie jak Dąbrowski, widział, co zbudowałeś. Pomimo ksywki, jaką mu nadano, nie jest głupcem. On przysięgał

bronić tego miejsca, nas wszystkich. Jeśli nawet marzyło mu się sięgnięcie po najwyższe zaszczyty, to w zupełnie innych okolicznościach. Dzisiaj mamy kryzys, który można rozwiązać tylko w jeden sposób: współpracując. I on to zrozumie, a jeśli nie... – zawiesiła znacząco głos.

– To co? – Spojrzał jej prosto w oczy, natarczywie, jakby chciał wymusić pełną odpowiedź.

– To ja się nim zajmę – dokończyła szeptem.

– Ty?

– Tak, ja.

– Nie załatwisz kogoś takiego jak on! – machnął ręką, jakby powiedziała największą bzdurę.

– Będzie się spodziewał ataku z twojej strony. We mnie nie dostrzeże zagrożenia, chcesz się założyć?

Andrzej się uśmiechnął. Podsunęła mu genialny w swojej prostocie pomysł.



## ROZDZIAŁ 24

# Pola śmierci

Pamiętający przyłożył do lewego oka okular uszkodzonej lornetki, którą zabrał poległemu specjalsowi. Eksplozja uszkodziła ją do tego stopnia, że mógł korzystać tylko z jednej pary soczewek, ale to mu w zupełności wystarczało.

W ciągu ostatnich trzech dni obszedł całą dolinę, wyszukując miejsca nadające się na kryjówki i zasadzki. Wiedział, że Czyści po tej porażce przyczają się i poczekają, aż on przyjdzie do nich. Nie miał jednak zamiaru dawać im tej satysfakcji. Postanowił przeczekać drani, ale rankiem czwartego dnia od starcia przy sztolniach zaczął tracić cierpliwość. Dotarło do niego, na czym może zasadzać się nowy plan Pułkownika. To, co zdobyli, grabiąc zabitych, i zapasy żarcia, które wyniosła Iskra, powinny wystarczyć im na jeszcze kilka dni, przy ścisłym racjonowaniu może na tydzień. Później zacznie się bieda.

Pamiętający zszedł okoliczne góry wzdłuż i wszerz, ale

nie natrafił na ślad zwierzyny ani dziko rosnących warzyw, samosiejek zboża nawet nie szukał, było na nie bowiem dużo za wcześnie. Jedynym źródłem pożywienia pozostały więc uprawy Czystych, które dostrzegł w niewielkiej kotlinie, kiedy uciekał ze sztolni. Tam też skierował swoje kroki, gdy stało się dla niego jasne, że Pułkownik chce go wziąć głodem.

Na razie przyglądał się umocnieniom, sprawdzał trasy patroli, wypatrywał transportów. Szukał słabych punktów, które mógłby wykorzystać do pokonania wroga, lecz pomimo usilnych starań niczego takiego nie znalazł. Szybko też pojął, że nie ma najmniejszych szans na przejście przez pas wypalanej ziemi, którym otoczono najżyźniejszą część dolinki. Trzysta pięćdziesiąt metrów pogorzeliiska, z którego usunięto nawet co większe kamienie, było ostatnią linią obrony Czystych. Przy tej liczbie strażników i gniazd broni maszynowej wyjście z zarośli byłoby samobójstwem, a on nie należał przecież do straceńców, którzy na rozkaz pognaliby przed siebie, choćby na pola minowe.

Czekał więc cierpliwie, ograniczając racje do niezbędnego minimum. Czekał i obserwował zachowanie wroga. Dzięki temu zdołał namierzyć wejście do podziemi, z którego korzystali pracujący na powierzchni Czyści, lecz i ono okazało się doskonale bronione, może nawet lepiej

niż same pola. Mimo wielogodzinnych obserwacji i jeszcze dłuższych przemyśleń Pamiętający nie widział możliwości pokonania wykutych w skale umocnień, nie miał też szans na przekradnięcie się do wnętrza z powracającymi robotnikami, których formowano zazwyczaj w zwarte oddziały i kontrolowano dokładnie przy bramie.

Rozwagał zatem, czy nie dałoby się ponękać drani, zastawiając na nich pułapki, ale tym razem Pułkownik wspiał się na wyżyny strategicznego geniuszu i nie pozwolił, by wracający z pól szli dwa razy tą samą drogą. Poza tym wszyscy wychodzący na powierzchnię, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, byli uzbrojeni po zęby. Wdanie się z nimi w potyczkę przy świadomości, że wróg może wezwać czekające gdzieś w pobliżu posiłki, nie wchodziło w grę.

Powrót przez sztolnię też nie wchodził w rachubę. Od czasu zainscenizowanej próby wdarcia się do kompleksu wylotu Trójki broniło po pięciu strażników, żaden z nich nie wystawiał jednak nosa na zewnątrz, jak przedtem czynili to ci, których zlikwidował. Czyści siedzieli teraz w głębi tunelu, na tyle blisko wejścia, by mieć je w polu widzenia i ewentualnego ostrzału, a zarazem tak głęboko, że sami pozostawali niewidzialni i nietykalni. Powtórzenie sztuczki z granatem także nie mogło się udać, ponieważ

stanowiska ogniowe usypali z części przewożonego urobku, formując z kamieni wysokie przedpiersia. Jedyne, o co Pamiętający mógłby się pokusić, to odstrzelenie pchacza, lecz to byłby zbyt mały zysk w stosunku do ryzyka. Ujawniając swoją pozycję na stoku po tej stronie, mógłby zostać okrążony przez żołnierzy stacjonujących w dolinie i grupy szybkiego reagowania z Riese, których istnienia był niemal pewien.

Co tu ukrywać: on i Iskra znaleźli się w kropce. Zdawał sobie sprawę, że zostało mu tylko kilka dni na podjęcie bardziej zdecydowanych działań. I choć nie bał się nawet tygodniowej głodówki – w kanałach często zdarzało mu się jeść raz na kilka dni albo i rzadziej – nie mógł pozwolić, by głód go osłabił, a do tego niechybnie dojdzie najdalej po dziesiątym dniu wymuszonego postu. Na szczęście nie musiał się martwić śmiercią z pragnienia, która nadeszłaby o wiele szybciej niż głodowa. W dolinie i na zboczach Czyści poukrywali dziesiątki aluminiowych beczek, w których przechowywali wodę na swoje potrzeby, głównie do mycia, ale człowiekowi, który zakosztował ohydnej cieczy z Odry, nie przeszkadzała odrobina brudu ani metaliczny posmak – zwłaszcza że znał się na filtrowaniu jak mało kto.

Zapasy wody zgromadził już pierwszego dnia, słusznie rozumując, że Czyści mogą lada moment zatruć te

zbiorniki, aby nie mógł z nich korzystać. Zabrał się do tego kilka godzin po zlikwidowaniu specjalsów. Wycofał się na przedmieścia Walimia, gdzie stała jedna z odkrytych wcześniej beczek, wyniósł z okolicznych domostw wszystkie butelki, jakie tam znalazł, i po napełnieniu ich dobrze je schował, a potem przetransportował partiami do kryjówki. Była to niewątpliwie przesadna ostrożność, ponieważ od ostatniej rozmowy z Pułkownikiem nie zauważył w okolicy żadnego patrolu ani oddziału Czystych, lecz strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówiło stare przysłowie.

– I co, dziadzia? – Leżąca obok niego Iskra wyjęła słuchawki z uszu. Dzisiaj odsłuchiwała dyskografię Doorsów.

– I gówno – odpowiedział rozeźlony nie tyle jej gadaniem, ile brakiem pomysłów na wyjście z impasu.

Czyści zadbali o każdy szczegół. O czymkolwiek pomyślał, oni zadbali wcześniej, by nie mógł tego zrobić. Nie dawali się także wziąć pod włos. Gdy rozpałał ogień, by ich zwabić w pułapkę, nikt się nie pokazywał, choć pracujący na polach zauważali dym i natychmiast o nim meldowali. Gdy zostawił im wyraźne tropy na trasie przemarszu – wydeptał nawet spory odcinek zbocza, by na pewno na nie trafili – także nie podjęli żadnych działań zaczepnych, tylko odbezpieczyli broń i jeszcze szybciej

przemieścili się do celu. Bali się go jak diabeł święconej wody, a może nawet bardziej...

– Dobrze, że nie pyskujące – zażartowała, ale tym razem sama nawet się nie uśmiechnęła. – Coś musimy przecież zrobić – dodała po chwili milczenia.

– Wiem – uciął rozmowę, by skupić się ponownie na obserwacji pól.

– Tak tylko mówię – mruknęła, obrywając listki z gałązki. – A czegoś takiego nie możemy zjeść? – zapytała, pokazując mu je na dłoni.

– Możemy, ale jak dostaniemy sraczkę, to wykitujemy dziesięć razy prędzej niż z głodu.

– Uuu, no tak. Z głodu jeszcze się nikt nie zesrał. – Odrzuciła listki, jakby mogły ją zarazić rozwolnieniem.

Kwadrans później Pamiętający zyskał pewność, że w harmonogramie wart nie zaszły żadne zmiany. Upraw strzegło nadal dziewięćdziesięciu sześciu uzbrojonych ludzi na każdą zmianę, z czego zdecydowaną większość stanowiły kobiety. Nie dziwiło go to jednak, ponieważ w kanałach od lat panowało równouprawnienie, polegające głównie na tym, że wszyscy mieli takie same obowiązki względem enklawy i nikt nie patrzył, jak kto sika, tylko ile zrobił dla społeczności.

– Możemy się zwijać – rzucił do Iskry, chowając lornetkę.

– Aż tak źle? – zapytała, zanim obróciła się na bok.

– Gorzej.

– Naprawdę nie umiesz wymyślić, jak ich wykiwać?

– Wiesz, w dawnych czasach, zanim zmieniłem się w wór lasowanego wapna, mieliśmy takie powiedzenie: i Salomon z próżnego nie należy. Nie będę ci wyjaśniał, od czego się wzięło, ale znaczenia chyba się domyślasz.

– Dziadzia, ja bym się takiego prostego czegoś nie domyśliła? Jak czegoś nie ma, to nie ma, nie?

– Mniej więcej.

– No to dupa.

– Zbita.

Podnieśli rękami zgniecioną trawę, rozsypali trochę zeszłorocznych, uschniętych liści, żeby zamaskować własne ślady, po czym zniknęli w gąszczu, ruszając bardzo okrężną drogą do Walimia i domu, który wspólnymi siłami zamienili w małą fortecę. Duch otoczył posesję kręgiem pułapek. Wykopał kilka wilczych dołów, których dna wypełniły kołki wystrugane przez Iskrę. Umiejętnie ukrył potykacze, które miały zdetonować wepchnięte pomiędzy kępy leszczyn granaty. Nagięte mocno młode brzoźki ponabijał największymi gwoździami, jakie znalazł, robiąc z nich żywe maczugi. Trochę go poniosło, co sam przyznał minionego wieczora, gdy Iskra o mały włos nie wdepnęłaby w jedną z takich zabójczych niespodzianek.

Jedyna droga do domu wiodła zakosami, przez najbardziej zarośniętą część dawnego ogrodu, a każde zejście z wytyczonej trasy można było okupić co najmniej kalectwem. Między innymi dlatego Pamiętający wolał nie wracać tam po zmroku.

\* \* \*

Wariat odczekał pięć minut, zanim opuścił kryjówkę, z której obserwował oboje zbiegów. Wykrył ich dzień wcześniej, zasadzając się na drzewie w jedynym miejscu, jakie pozwalało na obserwację podejścia do doliny, z którego obserwujący pola Czarny Skorpion musiał prędzej czy później skorzystać. Cztery dni sterczenia w kryjówce między konarami opłaciło się jednak. Ostrożny przeciwnik pojawił się w polu widzenia, co prawda tylko na moment, ale to wystarczyło.

Wiedzy i umiejętności zdobytych podczas dziesięciu lat służby w jednostkach specjalnych nie sposób zapomnieć. Zwłaszcza gdy przekazuje się ją później, przez kolejne kilkanaście lat, kadetom i podwładnym. To, że przesiedział ostatnie trzydzieści osiem miesięcy, trzy tygodnie i pięć dni w celi, nie znaczyło wcale, że próżnował. Mając mnóstwo czasu i święty spokój, mógł się skupić na powtarzaniu tego, co mu wbijano do głowy podczas dawnych szkoleń, czyli na ćwiczeniu zarówno



ciała, jak i umysłu, by był gotowy, gdy nadejdzie dzień próby. Taki jak ten, choć szczerze mówiąc, szykował się do zupełnie innego starcia.

*Wszystko w swoim czasie*, pomyślał, podkradając się do miejsca, z którego Czarny Skorpion prowadził obserwację upraw. *Najpierw muszę zająć się tym problemem.*

Omiótł wzrokiem trawę, wyłowił interesujący szczegół i przyklęknął pod jednym z krzewów. Oskubana z listków gałązka zdawała się wołać: tu, tu jestem! Sięgając po nóż, uśmiechnął się szeroko.

Wiedział już, jak to rozegra.

\* \* \*

Tego wieczora Pamiętający wielokrotnie był bliski podjęcia decyzji, by napalić w kominku. W szopie za domem znalazł cały sąg wyschniętego na wiór drewna. Dawni właściciele przygotowali opał na zimę, która już nie nadeszła, przynajmniej dla nich. Wystarczyło przenieść te polana do salonu i po rozpaleniu w kominku ugotować zdobyczną wodę, dodając do niej trochę szcurzyny. Tym sposobem uzyskałby bardzo pożywną papkę i rozmnożyłby posiadaną żywność, co dałoby im dodatkowy dzień albo dwa, jednakże...

– Nie, bo nie – zgasił Iskrę, gdy znów zaczęła o to nagabywać. W odpowiedzi wydeła usta, wepchnęła

słuchawki do uszu i odwróciła się do niego plecami.

Zachowywała się od pewnego czasu jak najnormalniejsza przedwojenna nastolatka, czym bardziej go rozbawiała, niż wkurzała. *Szkoda, że nie zdołam choć jej uratować*, pomyślał, patrząc, jak rytmicznie podryguje w takt niesłyszalnej dla niego muzyki. Ta nowo odkryta rozrywka, tak powszechna wśród jej rówieśników sprzed Ataku, lada moment znów zostanie jej odebrana – z tego, co Pamiętający zauważył, bateria w iPodzie była już na wyczerpaniu, a tutaj, na zewnątrz kompleksu, nie zdołają jej ponownie naładować.

Niestety nie tylko kres słuchania muzyki zbliżał się milowymi krokami.

Koniec konfrontacji z Pułkownikiem wydawał się bliski – i z góry przesądzony. Sukinsyn okazał się lepszym graczem, niż to się początkowo zapowiadało. Znalazł też sposób na definitywne pozbycie się trudnego przeciwnika, choć zamknięcie się pod ziemią musiało Czystych drogo kosztować. Zaniechali przecież wszystkich aktywności prócz pilnowania upraw. Przestali wypalać skraj stref skażenia od strony Wałbrzycha i miejscowości zwanej Nową Rudą – do której Pamiętający także dotarł, robiąc daleki wypad w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia – a z tego, co zauważył na obu odcinkach, mutacje nie marnowały danego im czasu, zatem

naprawienie wyrządzonych przez nie szkód potrwa całe tygodnie, nie mówiąc już o skali działań potrzebnych do ponownego powstrzymania pleniących się w najlepsze wynaturzeń.

To był jednak problem, z którym Czyści dadzą sobie radę, gdy już skończą maltretować jego wychudłe ciało.

Ta wizja spędzała mu sen z powiek, dlatego postanowił, że jeśli kolejnego dnia nie znajdzie wyłomu w systemie obrony pól, zmieni taktykę i zacznie atakować. Zdążył poznać teren na tyle, że wiedział, gdzie się zasadzić, by mieć co najmniej trzy drogi ucieczki. Będzie ostro, ale na pewno nie gorzej, niż kiedy głód zmusi go do działania. *Skoro mam zginąć, zabiorę ze sobą tylu śmieci, ilu zdołam. Zdobycznej amunicji – z tym, co zabrałem specjalsom – wystarczy na dwa tygodnie wojny podjazdowej, pod warunkiem że...* Pokręcił w zamyśleniu głową. Nie chciał nawet myśleć, co będzie, jeśli Czyści po pierwszym ataku zmienią taktykę i okopią się na polach, rezygnując z wysyłania tam co dwanaście godzin kolejnej zmiany, a nie mógł wykluczyć takiego posunięcia z ich strony, gdyż Pułkownik, wzięwszy sobie wcześniejsze lekcje do serca, ostatnimi czasy podejmował bardzo przemyślane decyzje.

*A gdyby tak...*

Zaśmiał się na tę myśl, ale niemal natychmiast dotarło

do niego, że wpadł na wcale nie taki głupi pomysł. Nie miał map, nie wiedział więc, gdzie dokładnie się znajduje, lecz dzięki obserwacji z wieży namierzył wcześniej Wrocław, a Sobótka leżała przecież wiele kilometrów bliżej, tuż za widoczną gołym okiem Ślężą. Dobrze widział masyw tej samotnej góry, sterczący z okalających go równin niemal w całości pokrytych... jątrzącymi się wrzodami stref skażenia.

Spojrzał ponownie na plecy słuchającej muzyki Iskry.

*Jutro powiem jej o tym pomysle, zdecydował.*

Nie było sensu dłużej czekać, zresztą szanse na przetrwanie poza doliną mieli w tym momencie identyczne, a może nawet większe, jak po pozostaniu na miejscu. Wystarczy trzymać się blisko torów, które są przecież przejezdne, i nie przespać jednej albo dwu nocy. *Tak, to może się udać, nawet jeśli nad równinami roi się od latających gigantów. Dla nich zdobycz tak mała jak pojedynczy człowiek może być niewarta splunięcia. Gorzej z całą resztą tego plugastwa...* Tam, gdzie istnieją wielcy zmutowani drapieżcy, musi być też mnóstwo pożywienia, które z kolei stanowi śmiertelne zagrożenie dla człowieka, ponieważ z pewnością gustuje w świeżym mięsie.

Zaśmiał się pod nosem. Nie tak wyobrażał sobie koniec, nawet gdy wywożono go w zamkniętym szczelnie wagonie. Postanowił więc sobie, że cokolwiek będzie się

działo, nie da satysfakcji Pułkownikowi. Nie pozwoli, by jego, i jej, ciało zostało po śmierci zbezczeszczone przez horde pieprzonych Morloków.

*Hm, pomyślał rozbawiony tym porównaniem. Wells, niby taki mądry, a pomylił się okrutnie – to mieszkańcy podziemi wyglądają dzisiaj jak Elojowie, są gładcy i piękni, natomiast ci, którym przyszło pozostać bliżej powierzchni, zdegenerowali się w ciągu dwudziestu lat życia w kanałach, zupełnie jak rasa potworów z postapokaliptycznej wizji zawartej w Wehikule czasu.*

Westchnął ciężko, wracając do rzeczywistości.

*Muszę...*

Zamarł, gdy nanizane na linkę puszek zabręczały, jakby ktoś wpadł w jedną z rozstawionych wokół domu pułapek. Rozciągnął potykacze tak, by wiatr nie miał do nich dostępu. Zatem to musiał być człowiek... albo zwierzę! *Nie, ta ostatnia wersja odpada*, uznał szybko.

Wstając, dotknął ostrożnie ramienia Iskry.

– Odwal się, oblechu, zabi... – Zamilkła w pół słowa, widząc jego minę, a potem spojrzała w kierunku drgających wciąż puszek. – Co jest? – zapytała, wyciągając słuchawki z uszu.

– Znaleźli nas. – Nie wdawał się w długie wyjaśnienia.

Rzeczy mieli spakowane, potrzebowali więc tylko kilku sekund, by chwycić chlebaki i broń. Pamiętający

sprawdził, jakim symbolem opisany jest sznur, który został poruszony. Wilczy dół od strony głównej ulicy. To z tej strony powinni nadejść wrogowie, jeśli...

Wyciągnął rękę, by zatrzymać dziewczynę. Puszki ponownie się poruszyły, tym razem jeszcze mocniej, ale... z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk, a dwa z trzech okien salonu były przecież otwarte na oścież, by do brudnego wnętrza wpadało trochę świeżego powietrza. Gdyby ktoś runął w wilczy dół, z pewnością nadziałby się na kolki, a takiego bólu nie sposób opanować bez instynktownego wydarcia się na całe gardło.

Tymczasem na zewnątrz panowała niczym nie zmacona cisza.

– Co? – zapytała szeptem, ściskając w dłoniach odbezpieczonego kałacha.

– Nie wiem – odparł. Wpatrywał się w pozostałe sznurki.

Żaden z nich nie drgnął, za to puszki od wilczego dołu znów zaklekotały, jakby ktoś szarpał niecierpliwie za drugi koniec, dając im znać, że tam jest. To nie mógł być przypadek.

– Chcą nas wywabić? – Iskra nie była głupia, w lot pojmowała to co on.

– Chyba tak.

– Co robimy?

Jeśli Czyści zastawili pułapkę, rozsądniej będzie bronić się wewnątrz domu, który przypominał w tym momencie fortecę. Jeśli tamci nie przytachali ciężkiej broni, jakiegoś moździerza albo wyrzutni rakiet, to będą musieli przypuścić klasyczny konwencjonalny szturm, by móc ich zabić. I nie obędzie się bez ofiar, także po drugiej stronie. Jedno było wszakże pewne: ta walka może się zakończyć tylko zwycięstwem wroga. On mógł tylko zadbać, aby było ono pyrrusowe.

Tym razem Pułkownik nie przysłał leszczy, z jakimi Pamiętający miał do czynienia w sztolni i przy wieży, ale tutejszych specjalsów. Tylko żołnierze elitarnych jednostek byli tak dobrzy, by bezszereśnie unieszkodliwić wszystkie pułapki w tak trudnym terenie przy tak marnej widoczności. To pewnie reszta oddziału, z którym raz już się zmierzył, tam, w pawilonie. Ilu ich jeszcze mógł mieć Pułkownik? Dziesięciu, dwudziestu, może nawet więcej. Tak dużego kompleksu, w którym miały znaleźć schronienie setki oficjeli, musiały przecież bronić pokaźne siły.

– Ej! – z zewnątrz dobiegł w końcu jakiś dźwięk, choć daleki od tego, którego się spodziewali. Wymienili znaczące spojrzenia. Coś tu było mocno nie tak. – Długo jeszcze mam dzwonić?! – zawołał znów ten, kto pociągał za sznurek. – Wiem, że tam jesteście!

Pamiętający przyłożył palec do ust, po czym wskazał Iskrze schody. Potaknęła na znak, że rozumie. Razem wspięli się na poddasze i sprawdzili kolejno wszystkie okna, które doczyścili do pewnej wysokości, by móc obserwować przedpole. Teraz, w nocy, niewiele mogli jednak zobaczyć.

– Przybywam w pokoju! Zaprowadźcie mnie do waszego przywódcy! – Ten, kto czaił się na zewnątrz, wydawał się coraz bardziej rozbawiony.

– Jaja sobie z nas robi? – zdziwiła się Iskra.

– Na to wygląda – przyznał Duch, który dobrze znał te teksty.

Zachowanie człowieka z zewnątrz było bardzo nieracjonalne. Nie dość, że się ujawnił, to jeszcze wskazał im miejsce, w którym obecnie przebywa, zupełnie jakby... chciał ściągnąć na siebie ich uwagę.

Pamiętający wskazał dziewczynie okna po przeciwnej stronie skośnego poddasza. Korzystając z przygotowanego wcześniej manekina, postanowił sprawdzić, czy tamci rzeczywiście obstawili dom. Iskra podniosła kijem od szczotki sklezione do kupy okno, a on wystawił ponad skraj otworu górną część manekina odzianego w kombinezon i maskę jednego z zabitych strażników. Z dołu musiało to wyglądać tak, jakby szykował się do uciezki.

Nic.



Cisza.

Zawodowiec powinien już dawno strzelić, Duch zrobiłby to bez wahania, ledwie by zobaczył cel. Tak był uczony, tak wszyscy byli uczeni. W mroku nie dało się przecież dostrzec szczegółów, dzięki którym można by stwierdzić, czy na dachu jest żywy człowiek czy tylko udająca go kukła. Nawet jeśli mieli snajperki wyposażone w noktowizory, w co szczerze wątpił.

– Wiejemy? – zapytała z nadzieją w głosie Iskra.

– Wiejemy – odszepnął, odkładając manekina, by móc podciągnąć się na dach. Zamarł jednak, ledwie wysunął na zewnątrz głowę, a potem cofnął się bardzo wolno.

– Co jest, dziadzia? – Iskrze załamał się głos.

– Sama zobacz – odparł, robiąc jej miejsce.

Wychyliła się ostrożnie i tak została. Na dachówkach poniżej okna ktoś zostawił umazany błotem granat, jeden z tych, których Pamiętający użył do zrobienia pułapek przy leszczynach. Do zabezpieczonej drutem osiemdziesiątkiósemki przyczepiono kawał tektury, na której ktoś nabazgrał koślawymi literami jedno słowo:

POGADAJMY

\* \* \*

Podobne niespodzianki znaleźli przy pozostałych drogach ewakuacyjnych z poddasza, ostatnia była

przyczepiona do zaczepnej osiemdziesiątki dziewiątki, ponieważ okien było więcej niż zdobycznych granatów. Ten, kto zadał sobie tak wielki trud, mógł ich zdjąć bez problemu, choćby wślizgując się na poddasze i zrzucając te granaty do salonu, dlatego Pamiętający uznał, że dalsza zabawa z nim w podchody nie ma większego sensu.

– Wyjdę do niego – powiedział – a ty tu zostań. Czyści są przekonani, że cię zabiłem, i niech tak zostanie. Przyczaj się przy którymś z okien, jeśli mnie zdejmą, zabierz tę wiązanekę – wcisnął jej w ręce zebrane granaty – całe żarcie i zejdź do kryjówki w piwnicy. – Rozmontował pół prymitywnego pieca centralnego ogrzewania, by wyciąć zamaskowane wejście do wielkiego zbiornika na wodę, oczywiście przez palenisko. – Tam nie powinni cię znaleźć. Tylko odczekaj ze dwie doby, zanim wyjdiesz, i drugie dwa dni posiedź w domu, jeśli nadal będą kręcić się w pobliżu. Jedzenia wystarczy ci na dwa tygodnie, jeśli zacisniesz pasa. Do tego czasu znudzi im się pilnowanie pół.

Patrzyła na niego jak na szaleńca.

– Ciebie do reszty pogięło – odezwała się w końcu.

– Chcesz usłyszeć, jaką masz alternatywę? – zapytał, uśmiechając się kpiąco.

– Chyba niespecjalnie... – odparła z pewnym opóźnieniem. – Jeśli mówisz o śmierci głodowej...

– Nie. Wymyśliłem dzisiaj coś lepszego. Spodoba ci się.

– No to wal.

– Możesz spróbować wrócić pieszo do Wrocławia, a raczej do Sobótki. Trzymając się linii kolejowej, nie powinnaś zbłądzić. Tylko znajdź tory po tamtej stronie gór – wskazał na północny wschód. – W przeciwnym razie poleziesz do Czech.

– Ciebie naprawdę porypało, dziadzia – szepnęła.

– Jeśli to ma być koniec... – zaczął, rozkładając ręce, jakby chciał ją przytulić, ale odskoczyła.

– Wal się, dumny oblechu! – syknęła. – Ja ci dam koniec.

– Jeśli to ma być koniec, to wiedz, że jesteś najmniej śmierdzącym pyskatym gównem, w jakie kiedykolwiek wdepnąłem.

– I vice versus.

Nie opuścił rąk, a ona – nadąsana – w końcu do niego podeszła i dała mu się uściskać.

– Możemy uciec razem – powiedziała cicho.

– Dom z pewnością jest obstawiony. Czyści mieli sporo czasu, by się dobrze przygotować. Przenieś co trzeba do piwnicy, potem wyjdę do nich.

– Zabiją cię.

– Wiem.

– Jeśli szybko odejdą i zostawią zwłoki, ja też cię zabiję.

– Wiem. Ale pamiętaj, użyj noża, bo wrócą, jak tylko zaczniesz strzelać, a wtedy będziesz miała na bank przesrane.

\* \* \*

– Wychodzę! – zawołał kilka minut później, po kolejnych trzech wezwaniach, gdy Iskra zabunkrowała zapasy i wspięła się zwinnie na poddasze.

Podciągnął roletę przy drzwiach prowadzących na taras, nie przejmując się, że narobi przy tym mnóstwo hałasu. Rozsunął ciężkie komody, którymi zablokowali wcześniej to wyjście w ramach przygotowań przed ewentualnym atakiem, i przeciskając się między nimi, wyszedł na zewnątrz. Noc była ciepła i sucha, jak wszystkie poprzednie, ale chmury znów przykryły całe niebo, przez co niewiele widział. Na szczęście nie musiał daleko iść. Wilczy dół znajdował się za drugim zakosem bezpiecznej trasy.

Z odległości kilku kroków przyjrzał się wołającemu. Facet był w jego wieku, tyle że szczuplejszy. Miał zmierzwione czarne włosy, pociągłą twarz, głęboko osadzone oczy, których koloru po ciemku nie dało się odgadnąć, i bardzo wydatny nos, upodabniający go do

karykaturalnego Semity. Nosił podobny strój jak zwabieni w pułapkę specjaliści, z tym że nie tak dobrze dopasowany, co mogło sugerować, że ciuchy nie należą do niego bądź że odchudził się ostatnimi czasy, i to sporo.

– Jestem – oświadczył Pamiętający, stając przed wilczym dołem, na którego skraju tamten siedział z nogami opuszczonymi między zaostrome kołki.

– Widzę – odparł Czysty (nawet mrok nie mógł ukryć gładkości jego rysów). – Siadaj, brachu.

– Postoję. – Duch ani drgnął.

– Jak sobie życzysz. Wariat jestem – rzucił konwersacyjnym tonem.

– To widzę.

– Serio. Taką mam ksywę.

– Duch.

– Uuuu! – Czysty podniósł ręce, jakby straszył dzieci.

– Chcesz gadać, to gadaj. – Pamiętający nie miał ochoty na wygłupy.

Cały czas próbował przebić wzrokiem otaczające ich ciemności, poszukując śladów kryjących się ludzi. Nie zobaczył jednak ani nie usłyszał niczego podejrzanego.

– Jeśli wypatrujesz towarzystwa, to pragnę cię zmartwić – odezwał się Wariat, jakby czytał mu w myślach. – Sam przyszedłem. Jak napisałem, żeby pogadać.

– W bajki przestałem wierzyć, zanim poszedłem do szkoły – odparł Duch, nie rezygnując z czujności.

– Serio mówię, poruczniku Remer. – Czysty wymienił jego przedwojenny stopień i podał nazwisko. To mogło oznaczać tylko jedno: Pułkownik kontaktował się z Otchłanią, czyli Freją. – Nie przyszedłem tutaj, by was zabić.

– Was?

– No, ciebie i tej maślany, która teraz obserwuje nas z poddasza.

– Tej zabitej?

– Naprawdę ją zabiłeś, jak mnie usłyszałeś? – zadzwiał Wariat, po czym pogmerał w kieszeni i wyjął z niej witkę oskubaną z listków. – Tym się dzisiaj bawiła, gdy ty kombinowałeś, jak by tu uszczknąć naszych zapasów.

Gnój miał ich na oku od dłuższego czasu. Pamiętający rozpoznał tę gałązkę, wiedział też, gdzie ją widział po raz ostatni wiele godzin temu.

– Powiedzmy, że głowa ją boli – rzucił, również siląc się na obojętność, choć nie za dobrze mu to wychodziło. – Mów, czego chcesz.

– Skoro tak stawiasz sprawę, będzie po twojemu, ale siadaj, siadaj... – Czysty wskazał mu przeciwną stronę dołu. – Tu naprawdę nie ma żadnej pułapki, poruczniku. Przyszedłem do ciebie, ponieważ mam propozycję nie do

odrzużenia.

– Nie jesteś Pułkownikiem, więc twoje propozycje są gównem warte. – Duch nie skorzystał z zaproszenia Wariata, ale nie dlatego, że w pozycji siedzącej byłby bardziej bezbronny. Zabezpieczył się w inny sposób. Jeśli ci, którzy czają się w pobliskich zaroślach, spróbują go pojmać, spotka ich przykra niespodzianka. Rękę trzymał w kieszeni bluzy mundurowej, ponieważ miał w niej odbezpieczony granat. Wystarczy, że rozewrze palce i wszyscy polecą do nieba bram.

– Pułkownik, kurwa jego mać, chyba przez U zamknięte – prychnął z pogardą Wariat, nieświadomie powtarzając wyzwisko rzucone przez Iskrę.

– Nie jest żołnierzem?

– Ta menda? Żołnierzem? Ty naprawdę nic nie wiesz?

– Coś tam wiem, ale wasze wzajemne relacje niespecjalnie mnie wcześniej interesowały.

– Dobra. – Czysty spojrzał na niego poważniej. – Zawrzyjmy układ. Ty wyjmiesz granat z kieszeni i go zabezpieczysz, a ja odpowiem na każde twoje pytanie, o ile tematem będzie Riese albo jego mieszkańcy. O reszcie świata mogę mieć mgliste pojęcie.

– A może zrobimy tak, że ten granat pozostanie moim zabezpieczeniem – zaproponował Pamiętający.

– Ręki ci nie szkoda, chłopie? – obruszył się Wariat. –

Stary, przecież my tu możemy całą noc przegadać.

– Wątpię.

– Chcesz się założyć? Riese i jego szanowni mieszkańcy to przecież temat rzeka.

Duch raz jeszcze rozważył swoje położenie. Tamten drań był lepszy od niego, w dodatku wydawał się mieć rentgen w oczach albo co najmniej szósty zmysł, który pozwalał mu na odgadywanie każdego fortelu przeciwnika. Z drugiej strony, gdyby chciał ich zabić, miał ku temu wiele dogodnych okazji: przy polach, w domu i pewnie w stu innych miejscach. Poza tym Paweł zaczynał właśnie odczuwać ból w zbyt długo zaciskanej dłoni.

– Dobra – powiedział. – Zrobimy to po twojemu... albo prawie po twojemu.

Wyjął rękę z kieszeni, włożył na powrót zawleczkę, po czym usiadł naprzeciw Wariata, nie odkładając jednak granatu. Wsunęty w oczko palec gwarantował mu możliwość błyskawicznego doprowadzenia do detonacji. O ile nie zostanie zdjęty przez snajpera, co powinno nastąpić teraz...

*Teraz...*

– Nikt cię nie sprzątnie, stary.

Drań znów czytał mu w myślach, a może z twarzy?

– Mogę pytać o wszystko?

– Wal.



– Jesteś specjalsem, to widać. Kilka dni temu zabiłem pięciu twoich ludzi, być może dobrych przyjaciół. Dlaczego miałbym wierzyć, że nie chcesz pomścić ich śmierci?

– To skomplikowane – wyznał Czysty. – Spodziewałem się tego pytania, odpowiem więc tak... Znałem tych chłopaków, byli dla mnie jak rodzina. Służyliśmy razem przez ponad dwadzieścia lat, przed Atakiem i po nim... Tylko bez spiny, gościu niedzielny... – dodał pośpiesznie, widząc, że Pamiętający tężeje. – Chcesz prawdy, to mówię prawdę. Dąbrowski i pozostali w pewnym kluczowym dla mnie momencie wybrali drugą stronę, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

– Nie wiem.

– Słyszałeś o buncie?

– Tak.

– Ale pewnie nie wszystko – zaśmiał się Wariat. – Otóż wyobraź sobie, że po stłumieniu powstania postanowiłem zażegnać kryzys przywództwa i stać się mężem opatrnościowym dla tych, którzy ocaleli. Niestety zostałem, że się tak wyrażę, koncertowo wydymany. Pan Pułkownik zagrał bardzo nieczysto i mnie upierdolił, a Dąbczak i przyjaciele stali sobie z boku, pogryzając słomki, i patrzyli z uśmiechami na pyzaty buźkach, jak

mnie cwele obrączkują, a potem pakują do ciupy. Trzy lata z hakiem przesiedziałem w pieprzonym lochu, na samym dnie tego kurwidołka, marząc o dniu, w którym będę mógł stamtąd wyjść i dobrać im się wszystkim do dupy... – Zamilkł na moment, po czym szerokim uśmiechem na twarzy dodał: – A potem pojawiłeś się ty, cały na biało, i zrobiłeś wejście smoka. Ciach! kosisz leszczy jak zboże. Jeb! nie ma Cieni. Sru! twoi kumple podsyłają pociąg mutków, które wpieprzają pół posranego Riese!

– Co? – Ostatnie zdanie zabrzmiało tak niedorzecznie, że Pamiętający nie wytrzymał.

– No tak, ty przecież nic nie wiesz... – Czysty się uśmiechnął. – Ten zjeb dał się nabrać, myśląc, że gada z kimś od Bondarczuk, i wysłał do Wrocka pociąg po kolejny transport ślepców. – Pokręcił głową, jakby rozkoszował się pięknym wspomnieniem. – Na cacy go załatwili, ci twoi. Cztery wagony najgorszego ściierwa, jakie wysrała napromieniowana Matka Natura. Bracie, takiej rzeźni nigdy wcześniej nie widziałem, a przeżyłem naprawdę sporo... wbrew temu, co możesz sądzić.

– Chcesz powiedzieć, że Freja wysłała wam stado mutków zamiast nowej partii niewolników?

– Ty, Paweł, czy ja po chińsku mówię albo seplenię? – obruszył się Czysty.

Momentami aż za bardzo przypominał Pamiętającemu

Iskrę.

– Wybacz, ale tego się po niej nie spodziewałem.

– Hiszpańskiej inkwizycji też nikt się nie spodziewał, nieprawdaż? – Wariat zarechotał.

– W porządku, tutejsi specjaliści wypięli się na ciebie przy jakiejś tam okazji, więc ty też masz ich w dupie, ale chyba mi nie powiesz, że masakra twoich ziomków, bo to są przecież twoi ludzie, zwisa ci luźnym kalafiorem.

– Boże, jak ja tęskniłem za taką rozmową! – Czysty uniósł ręce do nieba. – Normalny człowiek! Pamiętający stare dobre czasy! I do tego zakapior jak się patrzy! Dzięki ci, Panie, za te małe, ale jakże szczodne dary!

– Jesteś pewien, że w twoim przypadku Wariat to tylko ksywka? – zapytał Remer, który od dłuższej chwili podejrzewał, że ma do czynienia z nie do końca zdrowym człowiekiem.

– I jeszcze złośliwy skurwiel – ucieszył się jego rozmówca. – Tak, tak! Wybacz, pytałeś o coś? – Przekrzywił głowę jak ptak.

– Owszem, zastanawia mnie, jak mocno jesteś popieprzony.

– W skali jeden do dziesięciu jakieś osiem bym dał, dzisiaj może nawet dziewięć, bo jestem niesamowicie podkrecony, ale możesz mi wierzyć, nie urwałem się z kaftana i nie pieprzę bez sensu.

– Zatem kto cię tu wysłał?

– Pan Pułkownik – zasalutował kpiąco – i jej cycatość, pani dziwka nad dziwki od stóp do grzywki. Sami zamknęli się na cztery spusty, a mnie wygnali w taką pogodę na dwór i kazali cię znaleźć, a potem zabić.

– Ale ty nie zamierzasz tego zrobić, bo jesteś pierdolnięty.

– O nie, przyjacielu. Nie kropnąłem was obojga tylko dlatego, że możemy sobie wzajemnie pomóc. Ja dzięki tobie dostanę upragnioną zemstę, a wy wyjdziecie stąd żywi. Może nawet w geście dobrej woli wyprawię was pierwszym pociągiem do domciu, o ile rzecz jasna zrobicie wszystko, co powiem.

– Zamieniam się w słuch.

## ROZDZIAŁ 25

# Rozmowa

– Nie wiedziałam, że są gdzieś oblechy bardziej paskudne od ciebie – wypaliła Iskra, gdy po zawarciu wstępnego porozumienia Pamiętający zaprosił Wariata do wnętrza domu.

Siedzenie nocą pośrodku zarośniętego ogródka nie miało większego sensu, nawet jeśli wszystko, co mówił niespodziewany gość, było najzwyczajszą ściemą – przy czym na razie nic na to nie wskazywało.

– Podoba mi się twoja martwa koleżanka – rzucił Czysty, sadowiąc się na pufie obok kominka.

– Nie dziwi mnie to – mruknął Remer, opadając na kanapę. – Macie więcej wspólnego, niż można pomyśleć.

– Ejże! – warknęła, nie opuszczając kałacha. – Zważ, co mówisz, dziadzia.

– Dziadzia! – Wariat roześmiał się w głos. – Miodzio.

– To jakiś niedojebek jest? – zmierzyła Czystego wzrokiem. – Weźmy go zabijmy, bo jeszcze nas głupotą zarazi.

– Odłóż to, zamknij się i siadaj. – Pamiętający naprawdę nie miał ochoty na słowne przepychanki tych dwojga.

Pozwolenie pyskatej smarkuli na rozwinięcie skrzydeł mogło skończyć się tragicznie. Nawet przed Atakiem do strzelanin dochodziło ze znacznie błahszych powodów, a przybysz z Riese wydawał się bardziej niestabilny od uranu i spółki.

– Groźny dziadzia! – Czysty wydawał się bawić w najlepsze.

– Powiesz mi, kim on jest?

Dziewczyna usłuchała tylko częściowo. Zajęła miejsce obok Remera, odłożyła broń, lecz jej nie zabezpieczyła i nie zamknęła się, na czym najbardziej mu zależało.

– To Wariat.

– Widzę, ale chyba wiesz, jak się nazywa?

– Wariat jestem, niunia. – Przybysz przedstawił się ponownie, nie kryjąc, że bawi go to nieporozumienie.

Iskra wodziła wzrokiem od Pamiętającego do szczerzącego się gościa, oczekując dalszych wyjaśnień.

– Tak go tu nazywają. – Remer postanowił zakończyć tę zabawę, zanim na dobre się zacznie.

– Ktoś miał łeb – mruknęła.

– Zamknij się! – zgasił ją Pamiętający. – A ty...

– Nie streścisz jej tego, o czym już gadaliśmy? –

przerwał mu Czysty. – To oszczędziłoby nam sporo czasu i pytań.

– A śpieszy ci się gdzieś?

– W sumie tak – odparł Wariat, nie rozwijając tematu.

– Nasz gość został wysłany przez Pułkownika, żeby nas załatwić, to taki tutejszy James Bond, z tego, co zrozumiałem.

– Kto?

– Taki Dragon.

– Aha – obrzuciła zdumionym spojrzeniem specjalsa, który był o dwie głowy niższy i cztery razy lżejszy od wspomnianego mordercy.

– I tu robi się ciekawie – dodał Remer – ponieważ Wariat bardziej nienawidzi Pułkownika niż nas, mimo że Freja podesłała do Riese cały pociąg mutków, które jak twierdzi, wyzarły połowę załogi.

– Połowę facetów z załogi! – poprawił go Czysty, jakby to było ważne.

– Ja cię... – Oczy dziewczyny załśniły. – Serio?

– Na to wygląda – przyznał Pamiętający.

– No to nawijaj, oblechu, nawijaj... – Pochyliła się w stronę gościa.

Ręka położona na jej ramieniu była tak ciężka, że aż się pod nią ugięła.

– Morda w kubel! – Remer nie żartował, zapal Iskry

wygasł więc tak szybko, jak się pojawił.

– Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi z tymi facetami? – zapytał Wariata, gdy nadąsana dziewczyna spuściła wzrok.

– Długo by gadać. – Czysty machnął ręką.

– Podobno miałeś odpowiedzieć na wszystkie pytania – przypomniał mu Remer.

– Touché, mistrzu! – Obie ręce przybysza powędrowały w górę. – Żeby to wyjaśnić, muszę się cofnąć o ponad trzy lata, do wydarzeń z okresu znanego ci już buntu. Wyobraź sobie, że niewolnikom nie spodobały się metody stosowane przez poprzedni zarząd spółki Riese. Czujesz to? Niewdzięcznicy postanowili dać wyraz swojej frustracji, patrosząc niczemu niewinnych nadzorców. No takie czasy nastały, że nikt już nie spisuje postulatów ani nie śpi na styropianie, tylko od razu bierze się za ścinanie łbów albo wieszka oponentów na ich własnych flakach. Krótko mówiąc, tysiąc sześciuset wkurwionych pod... ludzi – dokończył po znaczącej przerwie, jakby zastanawiał się przez moment, czy użycie tej pejoratywnej nazwy nie wpłynie negatywnie na przebieg rozmowy. Wyszło mu chyba, że warto pochylić nad tym zagadnieniem głowę, aby uniknąć niepotrzebnych scysji. – Sorry, ludkowie, ale nadal nie bardzo wiem, jak was nazywać, może więc zostaniemy przy obowiązującej u nas nomenklaturze. Chyba że podrzucicie jakieś lepsze



określenie.

– Ocaleni – warknęła Iskra.

– Sorewicz, niunia, ale u nas to my jesteśmy Ocaleni – zgasił ją Czysty.

– Ludzie – rzucił Remer.

– Ale... – zaczął Wariat. – No dobra, powiedzmy: niewolnicy. Zwięźle i na temat. Pasi?

– Pasi.

– Dobra, bo wiesz, bracie, ty chyba uczyłeś się jeszcze z elementarza, w którym słowo „Murzyn” nikogo nie obrażało, a...

– Skup się na temacie – poprosił Pamiętający, uciszając równocześnie Iskrę, która już otwierała gębę, żeby zapytać, czym jest Murzyn albo elementarz.

– Jasne. Tylko nie bierzcie tego do siebie, jeśli coś palnę. Zatem tak... – Musiał zebrać myśli, by kontynuować. – Zaczęło się epicko. Tysiąc sześciuset chłopów wyprysnęło pewnego dnia z komór na piątym poziomie dolnego kompleksu, oznajmiając na prawo i lewo, oczywiście za pomocą kilofów, młotków i innych poręcznych narzędzi, co naprawdę o nas sądzą. Do tego przejdziemy za chwilę, dobra? – dodał pośpiesznie, widząc, że teraz Pamiętający chce go o coś zapytać. – Będę mówił po kolei... Dzięki – rzucił, widząc zgodę w oczach rozmówcy. – Wzięli nas z zaskoczenia, tyle wam

powiem. Zanim zdołałem zorganizować ludzi i stawić opór, zdążyli zająć trzy poziomy. Trzy z siedmiu, te górne – uściślił, uprzedzając kolejne rodzące się pytanie. – Mieliśmy szczęście, że bunt rozpoczął się przed południem, gdy wszystkie szczyły siedziały w szkole. Tylko dzięki temu udało się ewakuować zasrańców do schronów na jedynce i dwójce, gdzie przesiedzieli zresztą do zakończenia walk. Tak, bracie, w naszych schronach mamy schrony. Schrony w schronach, kumasz to? Tylko Niemiec mógł coś takiego wymyślić, jak już przestał płakać po sprzedanym passerati... – Zamilkł zdziwiony, że Czarny Skorpion nie wygląda na rozbawionego żartobliwymi jego zdaniem wstawkami. To chyba dało mu nieco do myślenia, ponieważ dalsza część wypowiedzi nie była już tak obrazowa i kwiecista. – Walki trwały ponad tydzień, ale za cenę wysokich strat udało nam się wybić większość buntowników. Problem jednak w tym, że Minister, czyli nasz poprzedni przywódca, pomimo moich rad zabronił brać jeńców. A tłumaczyłem mu jak krowie na miedzy: „Człowieku, nie idź tą drogą! Nawet kot zapędzony w ślepy zaułek postawi się psom, nie?”. Ale gdzie tam, nie słuchał, więc odbierając zbuntowanym niewolnikom szansę na poddanie się, a co za tym idzie, przeżycie, doprowadziliśmy do jeszcze większego rozlewu krwi, bo nie mając innego wyjścia, walczyli jak lwy.

W pierwszych godzinach buntu udało im się rozbroić ponad trzydziestu strażników, dorwali się też do zbrojowni z poziomu piątego. Na szóstce nie trzymaliśmy dużo broni, a siódemka była wtedy pusta jak łeb twojej niuni, ponieważ dopiero ją wykańczaliśmy.

– Ja też cię wykończę, oblechu, jak już się wygadasz – ofuknęła go Iskra.

– Nietrudno zgadnąć, że dali nam do wiwatu – kontynuował niezrażony groźbami Wariat. – Powiem ci, naprawdę mało brakowało, żeby zwyciężyli. Tyle że my mieliśmy prawdziwe wojo, a oni... co tu dużo gadać, sam wiesz, jacy jesteście. Jeden mądrzejszy od drugiego, jak przed wojną, więc nikt nikogo nie słucha i jeszcze każdy ma lepsze pomysły. Wykorzystaliśmy to ich niezdecydowanie, powstrzymaliśmy ataki przy szybach prowadzących na trójkę, a potem przeszliśmy do kontrataku. To była rzeźnia, mówię ci. Oczyszczaliśmy sektor po sektorze, poziom po poziomie, aż na siódemce została ich garstka, nie więcej niż pięćdziesięciu. Wyparliśmy ich aż pod bramę, a wtedy jakiś zapoznany geniusz kanałów wpadł na pomysł, że skoro ma przesrane, to nas wszystkich załatwi, i kazał otworzyć wrota. Zdziwił się ździebko, gdy zamiast toksyn i radiacji poczuł na ryju powiew świeżego powietrza. Tak... – Czysty pochylił głowę, jakby to wspomnienie wprowadziło go

w melancholię. – Dopadliśmy ich potem przy wieży... Na pewno pamiętasz naszą wieżę.

– Dlaczego od razu nie spieprzyli w dolinę, tylko czekali do samego końca? – zdziwiła się Iskra, a zagubiony we własnych myślach Pamiętający nie zdążył jej tym razem powstrzymać.

– Może dlatego, że nie mieli bladego pojęcia, iż da się w niej żyć, a my ich z wiadomego powodu nie uświadamialiśmy – zaśmiał się Wariat.

– Jak nie mieli, skoro...

– Dobra, wyjaśnię krótko, żeby już do tego tematu nie wracać. Zaczęliśmy drążyć sztolnie w górnym kompleksie dopiero po stłumieniu buntu, gdy Andrzejek, znaczy jaśnie wielmożny pan, tfu, Pułkownik, zaczął wprowadzać w życie nowy plan, taki skrojony na miarę jego czasów.

– Czyli? – zainteresował się Remer.

– Czyli ograniczenie terenu, o który walczyliśmy, do jednej tylko doliny. Po podliczeniu strat okazało się bowiem, że sami nie będziemy w stanie utrzymać większej powierzchni, a ta gnida opóźniała, jak mogła, sprowadzenie ekipy z Wrocławia, ponieważ taki układ sił faworyzowałby Bondarczuk. Czujesz to? Gnój był w stanie zaryzykować przyszłość nas wszystkich, znaczy nas, nie was, tylko dlatego, że ktoś mógłby go wysiudzić z fotelika.

– Zupełnie jak przed wojną – mruknął Pamiętający.

– Święta racja, bracie – zgodził się Wariat. – I tu dochodzimy do sedna problemu. Uprawy mieliśmy od strony Kamionek, kompleks mieścił się pod Wielką Sową od strony Walimia i Modłęcina, a tereny po tej stronie góry miały być skazane na straty. Z tego powodu musieliśmy zmienić taktykę i rozpocząć przekuwanie czterech sztolni pod górnym kompleksem, każda o długości od czterech do pięciu kilometrów. Wcześniej nie było takiej potrzeby. Wykorzystywaliśmy niewolników do wykańczania tego, czego Niemcy nie zdążyli zrobić pod tą górą, choć mieli na to prawie dekadę.

– Co? – zdziwił się Remer.

– Do tego też dojdę za momencik, serio, bo jestem już przy ostatnim twiście mojej najbardziej krwawej opowieści. Wyobraź sobie, że stłumienie buntu kosztowało nas tak wiele, w sporej części przez głupotę wodza, że gdy podliczyliśmy straty, okazało się, iż straciliśmy ponad połowę mężczyzn. Z ponad sześciuset chłopów, którzy mieszkali w tamtym czasie w Riese, ocalało stu dziewięćdziesięciu pięciu, z czego kilkudziesięciu było w mniejszym bądź większym stopniu inwalidami. W moich oddziałach sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Szturmowanie siódemki i ostatniej reduty buntowników przypłaciliśmy stratą ponad trzydziestu ludzi. Możesz mi

nie wierzyć, ale nas, zawodowców, zostało po tej wojence mniej niż palców u obu rąk, aczkolwiek nie twoich, bracie – dodał, wskazując dłoń Pamiętającego.

– Bardzo zabawne.

– Mówię, jak było, i nie ściemnam. Z dziewięćdziesięciu sześciu chłopaków, których miałem pod sobą przed wybuchem buntu, końca walk dożyło siedmiu, wliczając w to mnie – dodał z dumą. – Poza tym mieliśmy na obiekcie ponad cztery setki dzieci w różnym wieku, stu pięćdziesięciu trzech facetów zdolnych do noszenia broni i ponad pięćset kobiet. Jak się nietrudno domyślić, sytuacja nie uległa wielkiej poprawie w ciągu tych trzech lat, które upłynęły od zdławienia buntu. W tym czasie dorosło trzydziestu siedmiu szczyli, ale ubyło dziewiętnastu starszych, głównie z powodu wypadków podczas wypalania. No i paru odeszło w tradycyjny sposób. To razem daje... – zaczął liczyć na palcach.

– Siedem – zakpiła Iskra.

– Dwustu trzynastu. – Pamiętający zakończył ich męki.

– Bystrzacha! – pochwalił go Wariat. – A teraz odejmowanie. Ty uszczupliłeś te siły o szesnastu chłopaków, potem twoi przyjaciele dodali do bilansu strat siedemdziesięciu dwóch dalszych gołowąsów, ponieważ kolejne Słońce Gór Sowich, kurwasz jego mać, pan półgłówek i ćwierćgeniusz, zapragnął udowodnić światu,

że ma największego. – Czysty pokręcił wolno głową, jakby przełykał po raz kolejny gorzki tamtej porażki, po czym westchnął ciężko. – Zostało nas już tylko stu dwudziestu pięciu, wliczając jego, mnie i ze trzy tuziny jajogłowych. Za mało, żeby marzyć o realizacji celu, jaki przyświecał ludziom, którzy nas tu sprowadzili. A jeśli prawdą jest, że twoi zrobili ryziu-ryziu załodze Otchłani, to mamy przesrane na całej linii. Prze-sra-ne!

– Obawiam się, że to niestety prawda – powiedział Remer. – Wiem, co mówię, bo osobiście dowodziłem atakiem na podziemne miasto. Kazałem stalkerom wziąć do niewoli tylko ludzi z pionu medycznego i ważniejszych techników. Nie wiem, ilu waszych ocalało po tym pogromie, ponieważ wywieziono mnie tutaj, zanim operacja dobiegła końca, ale nie sądzę, by było ich więcej niż dwadzieścioro.

– Ta twoja Freja twierdzi, że przetrzymuje czterdzieści dwie osoby.

Pamiętający spojrział mu prosto w oczy.

– Uwierzyłbym jej na słowo. To bardzo konkretna babka i zazwyczaj nie wciska kitów. W sumie jedna z waszych.

– Ocalona, to znaczy Czysta? – poprawił się natychmiast.

– Tak. Ale nie z Otchłani, tylko z prywatnego bunkra.

Jej rodziców zabito, gdy wyszli na powierzchnię, choć nie byli powiązani z polityką, tylko grubo dziani, ale jej udało się przeżyć i zasymilować.

– No proszę. – Wariat znów pokręcił z niedowierzaniem głową. – Zatem mamy całkiem sporo ludzi do uratowania.

– Skoro powiedziała wam o tych niedojebkach, to znaczy, że czegoś od was chciała. Idę o zakład, dziadzia, że zaproponowała wymianę. – Iskra zawsze szybko kojarzyła, czemu dała teraz wyraz.

– Owszem, ponoć zasugerowała podobne rozwiązanie, ale nasz muczo-maczo szefo odrzucił tę propozycję w przedbiegach, ponieważ jak już wspomniałem, wyzwał sam siebie na pojedynek w zawodach o to, kto ma większego.

Pamiętający uśmiechnął się po raz pierwszy od rozczęcia tej rozmowy. Zatem ten porąbany Czysty nie przyszedł pogadać z nimi tylko dlatego, że miał taki kaprys. Freja po udanym ataku zaproponowała Pułkownikowi wymianę – a nietrudno zgadnąć, kogo chciała odzyskać w zamian za wydanie jeńców.

– Dobra, skoro mamy już jasność w tej kwestii, powiedz mi coś więcej o tym górnym i dolnym kompleksie – poprosił.

– Kolejny temat rzeka... – Wariat rozłożył ręce.



– Ale ty mistrz jesteś w męskim skracaniu, nie? – wtrąciła Iskra.

– Poniekąd tak. – Czysty podrapał się po nosie. – Od czego by tu zacząć...

– Może od początku – zaproponował Pamiętający.

– W pytę! Zatem pozwól, że zacznę od pytania, co wiesz na temat Riese, i sam na nie odpowiem: otóż gówno wiesz, bracie. Bez względu na to, czego się naczytałeś i nasłuchałeś przed wojną, nie wiesz nic. Sądzisz, że ekipa onkla Adiego wydałaby takie wory pieniędzy na te kilka nędznych sztolni w masywie Włodarza?

Remer wzruszył ramionami, ponieważ nie wiedział nawet, czym jest wspomniany masyw.

– Ty paciuloku tyleż paskudny co smukły, nie ściemniaj nam tutaj, tylko gadaj wprost, bo kule stygną – wtrąciła Iskra, którą niespecjalnie obchodziła historia Riese. Jedyne, na czym jej zależało, to by jak najszybciej obgadali interesujące tylko ich sprawy i powrócili do wspomnianego na początku ataku mutantów.

– Smukły? – Czysty pogładził się po płaskim brzuchu, potem naciągnął zbyt obszerny rękaw. – Dzięki, niunia.

– Dzidzia, jak już – warknęła.

– Dobra. Dzięki, dzidzia. Co jak co, ale pierdel najlepiej odchudza, bez dwóch zdań. Musisz tego kiedyś spróbować.

– A z czego to robią? – zapytała lekko zdezorientowana.

– Co? – nie zrozumiał.

– No ten pierdel.

– Możemy wrócić do tematu? – Remer musiał po raz kolejny interweniować. – Jesteśmy przy Riese!

– Tak, tak. Lećmy z tym koksem, bo wam kule stygną. – Wariatowi też chyba ulżyło. – Wszystkim wydawało się, że Riese to kilka podziemnych kompleksów rozmieszczonych pod tamtym masywem – wskazał ręką najpierw w jednym kierunku, potem po chwili zastanowienia przesunął ją o dziewięćdziesiąt stopni. – Pod tą górą, przy której rozerwałś moich chłopaków – wyjaśnił, widząc, że gesty niewiele im mówią.

– No tak – potwierdził Remer. – Tam były wszystkie odkryte po wojnie sztolnie i inne obiekty należące do Riese.

– Niby tak, ale to tylko jedna wielka ściema, rozumiesz? Nie rozumiesz.... – Przygryzł wargę, zastanawiając się, jak to lepiej wytłumaczyć. – Naprawdę uważasz, że Szkopy zostawiliby tak czytelne ślady swojej najtajniejszej inwestycji?

– Szczerze powiedziawszy, nie sędzę, aby byli aż tak głupi – przyznał Pamiętający.

– Bingo! – Czysty uniósł oba kciuki w górę. – Pan

porucznik wygrywa talon na balon. Te kilka korytarzyków i komór, niemal zupełnie niewykończonych, miałyby pochłonąć sto pięćdziesiąt milionów reichsmarek? Licząc tylko jawne koszty, które jak wszyscy wiemy, są zawsze ułamkiem podobnych inwestycji? W życiu, bracie. Prawda wygląda tak, że budowę prawdziwego Riese rozpoczęto jeszcze w latach trzydziestych, robiąc przekopy z dwóch miejsc. Najpierw z kopalni węgla w Nowej Rudzie, skąd pod dnem doliny Niemcy dotarli aż pod Wielką Sowę, a potem, gdy już zaczęli się napażać ze wszystkimi wokół, z leżących o wiele bliżej Ludwikowic, które po stworzeniu tam zakładów wojskowych Molke przejęły główną rolę w procesie zaopatrywania wykutych tuneli. To były jedyne dwa wejścia do naszego Giganta. Człowieku, Szkopy rozwaliły system, powiadam ci. Siedem poziomów, każdy na planie kwadratu o boku półtora kilometra. Nie leżących dokładnie nad sobą, co podobno ma znaczenie, ale zabij mnie, nie wiem jakie. Setki komór połączonych plątaninami korytarzy. Prościej byłoby powiedzieć, czego tam nie ma... – Pokręcił głową, jakby sam sobie nie dowierzał. – Do tego górny kompleks, oddzielny, ale dziesięć razy mniejszy, którego budowę rozpoczęto już w czterdziestym trzecim, równoległe z pozostałymi ściemami w masywie Włodarza. Chociaż, gwoli prawdy, nie wszystko po tamtej stronie doliny było

robione na pokaz. Dwie sztolnie, te całkiem zawalone, prowadziły do eksploatowanych przez Niemców złóż uranu. Bo wiesz, nasze teutońskie fiutki wystrugały sobie pod Sową nie tylko parę lasek na starość i kogutków, ale też, tadam, prawie skończony reaktor. Taki atomowy. Gdyby wojna potrwała rok dłużej, mielibyśmy dzisiaj inny model świata i może nie byłoby tego wszystkiego – rozłożył szerzej ręce.

– Wątpię, czy chciałbym widzieć przyszłość w ich wydaniu – wymamrotał Pamiętający.

– Ha! Człowiek z wysokiego zamku, dobrze mówię? – Wariat wskazał go palcem.

– Tego, co tu stoi, czy tego tam dalej? – zainteresowała się Iskra, próbując powiedzieć coś mądrego w rozmowie, z której nic nie rozumiała.

– Z tego trzeciego. – Czysty nie dał się zbić z tropu. – Na czym to ja stanąłem? Aha, w dwa tysiące dziesiątym, po znalezieniu pewnych dokumentów w Otchłani, odkryto liczący trzy kilometry tunel kolejowy prowadzący z pewnego ustronnego miejsca w sąsiedniej dolinie do stacji górnego kompleksu, gdzie od chwili zamknięcia przekopu z Molke aż do końca wojny trafiały tysiące ton materiałów budowlanych i wyposażenia. Czegóż takiego też nie widziałeś. Zwykła bocznica w lesie za sprawą czystej hydrauliki otwierała drogę w głąb wielkiej góry.

Cud techniki, powiadam ci, brachu, cud techniki... – Mówił to wszystko takim tonem, jakby opowiadał dzieciom bajkę. – Nikt jej, to znaczy tej drogi, tam jednak nie szukał, ponieważ dranie odwrócili uwagę alianckich wywiadów lewymi sztolniami, też drażnionymi z należyтым rozmachem, więc wszyscy szpiedzy wraźych mocarstw skupili uwagę na celu znajdującym się kilka do kilkunastu kilometrów od miejsca, na które powinni patrzeć. Wiesz, jak to mówią, najciemniej jest pod latarnią.

– Wiem.

– O tym, że coś robiono pod Wielką Sową, nikt nie miał bladego pojęcia, ponieważ w tym okresie nie prowadzono już tak zaawansowanych prac górniczych, więźniów sprowadzano od strony bocznic, a większość wydobywanego przez nich urobku szła do wspomnianych wcześniej przekopów łączących Wielką Sowę z kopalniami w Nowej Rudzie i Ludwikowicach. Takie cwaniaki były. Zapchali wydobytymi skałami nieużywane poziomy zamkniętych kopalń, a potem niby je pozatapiali i wszelki ślad po nich zaginął. Gdyby nie kwity Hankego, my też gównem byśmy o tym wiedzieli.

– Rozumiem.

– O czym jeszcze mam wam opowiedzieć? – zapytał Wariat.

– Wiesz może, co stało się z Wałbrzychem? –

Pamiętający skorzystał z okazji, by poruszyć niepokojącą go kwestię. – Dobrze chyba mówię? Chodzi mi o to miasto, tam, na północnym wschodzie. To, które wygląda na nietknięte, ale jest wylęgarnią mutków.

– Mamy twoje akta u nas, na dole, bracie, ale zachowujesz się, jakbyś o niczym nie wiedział. – Wariat nie odpowiedział na proste z pozoru pytanie, za to poruszył inną kwestię.

– Macie moją teczkę osobową, ponieważ przed Atakiem zostałem przypisany do ochrony senatora Nienackiego – wyjaśnił Remer.

– Nic mi to nazwisko nie mówi.

– Facet należał do kręgu wybranych, ale nie zdążył dotrzeć do punktu ewakuacyjnego.

– Jak wielu innych. Do nas także nie dotarła masa ludzi z listy szwindlera. To stało się tak szybko. – Czysty pokiwał głową.

– Co? – zapytała Iskra.

– Wojna, wojna się stała. Do kompleksu zdążyliśmy przyjąć tylko tych wybrańców, którzy zawczasu przyjechali w te okolice. Gdy zaczęło się robić gorąco, większość prominentów z kręgu wtajemniczonych wysłała swoje rodziny w Kotlinę Kłodzką albo do leżącej za Wałbrzychem Doliny Pałaców i Ogrodów, niby na wywczas, ale tak naprawdę chodziło o możliwość

błyskawicznego dostępu do schronów. Sami ważniacy nie mogli zniknąć grupowo ze sceny, bo gdyby to był fałszywy alarm, jak kilka poprzednich, mogliby niechcący zdradzić, że mają bilety w jedną stronę na nową Arkę Przymierza, wróc, Noego. Z trzech tysięcy przypisanych nam ludzi na dół trafiło tylko tysiąc siedemset pięćdziesiąt osób. Reszta zginęła albo po drodze, albo we własnych domach, nie ma zmiłuj. To był naprawdę wielki zaskok. Komuś chyba omsknął się z tych nerwów palec, a potem poszło już z górki. Jeb, jeb, jeb i po krzyku. Wszyscy odpalili, co mieli, zamknęli biznes i poszli do nieba. Albo do piekła, gdzie kto miał przydział.

– Wałbrzych – przypomniał Remer, gdy Wariat zamilkł na moment.

– No tak, Wałbrzych. Wystarczy, jeśli ci powiem, że tak wyglądają skutki eksplozji głowicy neutronowej?

– Nad Wałbrzychem? – Remer nie wierzył własnym uszom. – Pieprzenie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyznaczyłby tego miasta na cel podobnego ataku. Przecież tu przed wojną nic nie było, ani wojska, ani przemysłu. Poza tym nie wiedziałem, że Rusczy mieli głowice neutronowe na stanie.

– Bo nie mieli.

– Więc jak to zrobili?

– Mam ci drukowanymi literami powtórzyć, co

powiedziałem?

Nie musiał – skoro nie zrobili tego Rosjanie, głowica mogła być tylko amerykańska albo francuska, bo raczej nie chińska.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tak, gościu niedzielny, to właśnie chcę ci powiedzieć. Słyszałeś o MAD? O tym MAD? Tak? To nic nie słyszałeś. – Znów sam sobie odpowiedział. – Prawda jest taka, że obie strony nigdy nie odeszły od strategii z czasów zimnej wojny, która zakładała, że na wypadek konfliktu nuklearnego pomiędzy Wschodem i Zachodem należy przedzielić nasz smętny przyładek pasem ziemi spalonej, aby wrogie armie nie mogły zaatakować z buta ówczesnego ZSRR albo krajów leżących za Renem. I wyobraź sobie, przyjacielu, że tak się głupio złożyło, iż wspomniany pas, zarówno w wykonaniu naszych przyjaciół ze Wschodu, jak i bratnich narodów z Zachodu, zaczynał się na wysokości Bałtyku, a kończył gdzieś nad Adriatykiem. Widocznie obie strony zgodnie uznały, że skoro tak lubimy grzybki, to nasadzą ich nam do zrzygania, i tak też zrobili. Możesz mi nie wierzyć, ale znajdujemy się mniej więcej pośrodku liczącej ponad tysiąc kilometrów szerokości strefy wzmożonych opadów bomb i głowic.

– Chcesz powiedzieć, że tam dalej... – zaskoczony



Remer nie dokończył.

– Byłeś na wieży i nie posłuchałeś radia? – zdziwił się Wariat.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Pamiętający. – We Wrocławiu Tesla dał mi posłuchać wezwań jakiegoś Rosjanina, ale twierdził, że niczego więcej nie łapie, a miał całkiem porządny sprzęt, z tego, co widziałem.

– Już lubię skubańca – zaśmiał się Czysty.

– No popatrz. Gdybym wiedziała, przyniosłabym ci kawałek jego wątróbki albo szyneczkę – wtrąciła obojętnym tonem Iskra. – Co się tak gapisz, dumny oblechu, Teslobicie było, więc wypatroszyłam dziada.

– Tak, tak... – Wariat zbył ją ponownie, jakby los wrocławskiego naukowca zupełnie go nie interesował. – Człowieku, od Renu po Gibraltar i od Czarnobyła po Czukotkę spadło dziesięć razy mniej tego syfu niż na nasze terytorium. Albo i dwadzieścia. Nie dość, że skurwiele mieli o wiele lepsze systemy obrony, to jeszcze potraktowali się wzajemnie ulgowo. I żyją se tam brudne kurwy jak w nieco osmolonym raju. Nawet muzyczkę w radio puszczają, czujesz to? Muzyczkę!

– Wy też chyba wciąż filmy oglądacie – zauważył Remer.

– No, oglądamy, mamy też parę działających konsol i pieców, i wielką bibliotekę, ale nie nadajemy wszem

wobec, jacy jesteśmy szczęśliwi, zdychając w tym grajdole. A oni, człowieku, jazzują, jakby to nadal był pieprzony stary świat! – wykrzyczał, czerwieniejąc na twarzy.

– Skoro tam kwitnie życie, dlaczego... – zaczął Pamiętający, ale Wariat nie dał mu skończyć.

– Dlatego, że dla nich my wszyscy jesteście dzisiaj wami. Najpierw narobili nam tutaj syfu, a potem zostawili nas z tym całym gównem. Premier, nasz jeszcze wcześniejszy szefo, świeć Panie nad jego duszą, wysłał lata temu kilka dronów, żeby zyskać lepszą orientację w sytuacji, ponieważ wpadł na pomysł, że skoro da się tam wciąż żyć, a my mamy pociągi, to możemy się ewakuować. W sumie dobrze kombinował, nie? Też tak myślę, ale widzisz, te mendi bagietkowo-sauerkrautowe postrącały wszystkie nasze maszyny, wyobrażasz to sobie? Po-strą-ca-ły!

– Trudno im się dziwić. Po takiej wojnie też byś stracił wszystko, co nadleci od strony wroga. Nawet już pokonanego. Nie lepiej było do nich zagadać?

– Naprawdę uważasz, że tego wcześniej nie próbowaliśmy?

– Znając was...

– Pięć lat próbowaliśmy nawiązać kontakt, ale nikt nie odpowiedział. Nikt. Nie mówię tutaj o jakichś zwykłych

radioamatorach, bo z nimi i dzisiaj pogadasz o dupie Maryni, lecz o oficjelach, rządach, armiach – wyjaśnił Czysty, po czym dodał jeszcze: – Zanim nasze maszyny pospadały, zdążyliśmy zobaczyć, że jakieś sześćset kilometrów na zachód stąd wypalono szeroki pas ziemi, ale taki naprawdę szeroki, od horyzontu po horyzont, a teraz skup się, bracie, za tym pasem zaczęto budować mur. Wiesz, co to znaczy? Wiesz. Unia wykreśliła nas z listy gości zaproszonych na bal z okazji przeżycia Ataku. Tych klientów nie obsługujemy i co pan nam zrobi?

– To nie tak... – zaczął Pamiętający.

– Wiem! – warknął Wariat. – Wiem. Chodzi o to, że za brudni dla nich jesteśmy i za bardzo śmierdzimy nieczystym sumieniem. Nie chcą nas, ponieważ musieliby się gęsto tłumaczyć, dlaczego odpieprzyli tę manianę z Wałbrzychem i wszystkimi innymi miastami od Bałtyku po Adriatyk. Pas ziemi spalonej... – Splunął na pokrytą kurzem podłogę.

– A co... – zaczął Remer, ale znów nie zdołał skończyć.

– Na Wschodzie sytuacji nie sprawdzaliśmy, ale tam chyba też nie bylibyśmy mile widziani, gdyby istniał choć cień szansy na przepłynięcie Bugu. Zresztą oni też nieźle oberwali, z tego, co słyszałem. Chińczycy chyba ich nie lubili za pierestrojkę i odcięcie się od komunizmu.

– No to dupa... – szepnął Remer, podłamany tymi informacjami.

– Wielka blada tłusta dupa – poparł go Wariat.

– W takim razie o co my nadal walczymy? – zapytał Pamiętający, podnosząc wzrok. – Przecież wszyscy, jak tu siedzimy, mamy po równo przesrane. Nie przetrwamy ani osobno, ani razem.

– I tu się mylisz, złociutki ty mój. Pas ziemi spalonej pasem ziemi spalonej, ale nawet opad globalny oszczędził niektóre okolice, na przykład okoliczne doliny. Mając wystarczająco dużo ludzi i sprzętu, moglibyśmy wypalić kilometrowe strefy bezpieczeństwa wokół naszych Sówek. Te pieprzone toksyny są na szczęście cięższe od powietrza, dlatego góry wciąż je powstrzymują, a na brak tych ostatnich, co pewnie twoje obolałe nogi zauważyły, nie mamy co narzekać. Gdyby udało się zbudować odpowiednio wysokie mury, jak robią to te pounijne ćwoki na Zachodzie, na trzech tylko odcinkach, tutaj w Walimiu, za Jugowem i za Sierpnicą, moglibyśmy wykroić dla siebie wielką zieloną wyspę, che, che – zaśmiał się znowu. – Wielka zielona wyspa pośrodku morza zmutowanego skurwysyństwa. Czujesz to?

– Walka z wiatrakami – mruknął Pamiętający.

– Mylisz się. Jajogłowi to wyliczyli na komputerach! Dalibyśmy radę, oczywiście po ściągnięciu tu wszystkich

kolonii Ocalonych. Z Wrocławia, Poznania, spod Zielonej Góry. Byłoby nas ze trzy tysiące, może nawet więcej. Dalibyśmy radę.

– A co z nami, oblechu? – zapytała wyzywającym tonem Iskra.

– A co ma być? Jak ktoś mądrze powiedział, pozostaje wam owinąć się prześcieradłami i czołgać w stronę najbliższego cmentarza.

– Zabiję se go, dziadzia, proszę, proszę! – Sięgnęła po kałacha.

– Ja ci tylko, niunia, prawdę w oczy mówię. Wy już nie żyjecie, choć jeszcze tego nie wiecie, jak te posrane dinozaury po asteroidzie. Nie ty i on – wskazał Pamiętającego – ale wy wszyscy, którzy gnieździecie się w ruinach i kanałach. Spójrz na siebie, niunia. Jeśli cudem dociągniesz do pełnoletności, przeklniesz świat, tyle chorób będzie cię nękało. Możesz mnie podziurawić na sito, ale tego nie zmienisz. Nikt ci nie pomoże, nawet nasi lekarze.

– Martw się o siebie, niedojebku, niedługo sam z głodu zdechniesz, bo ten kinol całą gębę ci zasłoni – wypaliła bez zastanowienia. – Ty, dziadzia, a może to nie jest nochal, tylko jakiś nieznany nam mutek, który pasożytuje na pozbawionych mózgu naroślach wokółdupnych – zarechotała.

– Ty, dziadzia, sprzedaj mi ją – odpowiedział Czysty, też szczerząc zęby. – Kiedyś, dawno temu, miałem tam na dole papugę, też takie śmieszne rzeczy gadała, jak ją patykiem szturchałem.

– Mogę go sobie odstrzelić?! Mogę! Nie zabroniłeś! – Zadowolona Iskra przeładowała broń, ale Pamiętający wyrwał jej kałacha z rąk, zanim zdążyła zrobić coś jeszcze.

– Morda w kubeł! – ryknął. – Ty też! – wskazał Czystego.

– To mam mówić czy milczeć? – obruszył się Wariat.

– Masz odpowiadać na pytania i ignorować to pyskate gówno – spojrzał, poważnie wkurzony, na strojącą miny dziewczynę.

– Do kąta ją! Niech klęczy na grochu. Albo kablem od prodiża po dupie! – zakpił Czysty.

– Co ja powiedziałem?!

– Milczę jak twój grób!

– Nie milczysz, tylko mówisz, kim jest ten cały Pułkownik – wycedził Pamiętający, któremu puszczały już nerwy.

Wariat wysunął przed siebie ręce w obronnym geście.

– Pozwól – powiedział – że zostawię możliwość osobistego przedstawienia swojej nadętej osoby naszemu jaśnie wielmożnemu, tfu, panu i władcy. Nikt inny nie zrobi tego tak pięknie jak on, masz moje słowo. Za to –

uniósł palec – powiem ci pokrótce, jak zamierzam załatwić z nim porachunki. Pasuje?

– Pasuje. – Remer też chciał już mieć tę rozmowę za sobą.

– Zrobimy tak... – Czysty usiadł wygodniej. – Związę was i zaprowadzę do Riese.

– Nie ma mowy.

– Dajcie mi dokończyć... – Znow zrobił ten sam obronny gest, co przed chwilą. – Na niby was związę. Jak Luke Chewiego w *Nowej nadziei!*

– Nie.

– A jak chcesz tam wparować, bracie? Marszowym krokiem, popierdując *Marsylianek* albo *Odę do radości*? Ogarnij się! Każdy małać zacznie napieprzać ze wszystkiego, co mu dali, jak tylko cię zobaczy. Trzy strzały ostrzegawcze w brzuch, a potem dłuuga seria w łeb. Tak to się skończy. Dla niej też.

– Jak chcesz to zainscenizować?

– Związę ci ręce, a ona natnie ci sznury, delikatnie, od dołu. – Sięgnął po plecak i wyjął z niego zwój cienkiej linki. – Jeśli chcecie, możemy zrobić próbę, żeby wiedziała, jak głęboko naciąć.

– Tak zrobimy – rzucił Pamiętający. – Co dalej?

– Potem związę ją. – Wariat wskazał głową Iskrę.

– Ona tu zostanie! – oświadczył Remer tonem

nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie, pójdzie z nami. – Czysty też nie spuścił z tonu.

– Po cholere? Oni sądzą, że nie żyje. Jeśli ściemniasz, będzie miała...

– Gównu będzie miała. Jeśli ściemniam, znajdę ją w ciągu paru godzin i zabiję, nie sądzisz? – Wariat uśmiechnął się kpiąco.

– No to parę godzin życia dostanie od dziadzi w prezencie – burknął Pamiętający, ponieważ ta riposta była boleśnie logiczna. – Po co ci ona?

– To proste. Szczyłe z pewnością zechcą się wykazać, więc będę potrzebował kogoś, kogo mogą sprawdzać do woli, ponieważ to ty, przyjacielu, przeniesiesz mój zapasowy pistolet.

– Po cholere chcesz ukrywać broń?

– Za grosz nie wierzę temu skurwielowi, znaczy szanownemu Pułkownikowi, oby żył wiecznie, ale w niewysłowionych bólach – wyjaśnił Czysty. – A i on traktuje mnie z podobną atencją, więc...

– Dlaczego ci nie wierzy? – przerwał mu Remer.

– Bo mamy na pieńku bardziej niż wy z nami.

Wystarczy?

– Nie.

– Dobra, ale o tym opowiem wam już po drodze, bo naprawdę czas nam się kończy.



– Wyjaśnij – zażądał Pamiętający.

– Boże. – Czysty złapał się za głowę. – Z wami jak z dziećmi, normalnie. Za rączkę i do baru.

– Podobno czas ci się kończy.

Wariat natychmiast spoważniał.

– Za pół godziny rozpoczyna się codzienny apel.

– I co z tego?

– To, że jeśli wprowadzę was do Riese podczas apelu, wszyscy zobaczą mój sukces. Skurwiel nie będzie mógł motać, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Co ma pójść nie tak? – naciskał Remer.

– Na przykład nie zdążę fiuta zastrzelić – wypalił Wariat. – Jeśli nam zwieje, trudniej mu będzie przekabacić ludzi, a uwierz mi, w tym jest mistrzem nad mistrze. Jeśli wszyscy zobaczą, że ja was złapałem, a to jest możliwe tylko podczas apelu, zaskarbię sobie sympatię załogi. Ci, którzy widzieli, że ciągnę was na postronku, nie kiwną palcem, by bronić tego skurwiela, ponieważ to ty zabijałeś każdego, kogo przeciw tobie posłał, a oni byliby następni w kolejce. Rozumiesz?!

– Tak.

## ROZDZIAŁ 26

# Droga do Riese

– Moglibyście wyglądać bardziej naturalnie, to znaczy ponuro? – wyszeptał Wariat, gdy dotarli na skraj zarośli, w pobliże bramy, tej samej, którą Pamiętający namierzył wcześniej. – Tak się szczerzycie, jakbyście mieli radochę, że was wprowadzam do Riese!

– Wybacz, ale nie mam zamiaru płakać, żeby uprawdopodobnić ten idiotyczny marsz tryumfalny – burknął Pamiętający.

– Dobra. – Czysty zatrzymał się kilka kroków od skraju przecinki, na której końcu kryła się paszcza mrocznego tunelu prowadzącego do serca prawdziwego Riese. – Nie obraż się, bracie, muszę to zrobić. – Bez ostrzeżenia wyprowadził cios, po którym zamroczony Remer padł na kolana. Oprawca pochylił się, uniósł mu głowę i obejrzał uważnie znikające pod siniejącą opuchlizną oko. – Bez nerw, to nic osobistego – rzucił konwersacyjnym tonem, po czym zadał równie szybkie, choć o wiele lżejsze uderzenie otrząsającej się właśnie

z zaskoczenia dziewczynie. Iskra padła jak ścięta, a Wariat pocmokał, przyglądając się z zaciekawieniem własnej dłoni, po czym sięgnął po nóż. Rozciął więzy krępujące nieprzytomną dziewczynę i przerzucił ją przez ramię, zanim oszołomiony Pamiętający zdołał odzyskać ostrość wzroku. – Gdy go załatwimy, będziesz mógł mi oddać, o ile będziesz chciał – rzucił z pełnym spokojem Czysty. – Za nią też. A teraz ruchy, bo czas nie stoi w miejscu, w przeciwieństwie do nas.

Remer wypluł gęstą ślinę zmieszaną z krwią.

Przez moment sądził, że maski właśnie opadły i Wariat pokazał, iż wszystko, co mówił wcześniej, jest błagą, ale nie, ta improwizacja miała za zadanie uwiarygodnić jego zwycięstwo, co zważywszy na okoliczności, nie było wcale takie głupie. Nikt przecież nie uwierzy, że zdołał schwytać tak niebezpiecznego przeciwnika, nie robiąc mu przy tym najmniejszej krzywdy.

– Masz to jak w banku – wycharczał, podnosząc się z kolan.

– Wiem, wiem – mruknął Czysty.

Wydostali się na otwartą przestrzeń, gdzie po zrobieniu kilku kroków znów musieli się zatrzymać.

– Stój, kto idzie?! – z mroku dobiegło niepewne wołanie.

– Hasło! – dodał natychmiast drugi, jeszcze bardziej

łamiący się głos.

– W Walimiu najlepsze mutanty są na placu Wolności! – odkrzyknął Wariat, po czym puszczając do Pamiętającego oko, szepnął: – Kojarzysz, nie?

– Pułkownik lubi je tylko jesienią! – Odpowiedź była już znacznie pewniejsza.

– Dajcie znać naszemu panu i władcy, że problem został rozwiązany! – oznajmił Czysty, kopiąc Remera, choć trzeba mu oddać, że tym razem niezbyt boleśnie. – Jazda, gnoju! – ryknął, po czym znów szepnął półgębkiem: – Sorry, bracie, jakoś musimy to przecież rozegrać.

– Spierdalaj – mruknął Pamiętający, ruszając ociężale z miejsca.

Szedł chwiejnym krokiem, wciąż dochodząc do siebie po sierpowym specjalsu. Nadal miał zawroty głowy, gęba spuchła mu tak, że nie widział na jedno oko. Facet miał parę w łapie, jak na takiego chudziaka. W kiciu, żeby nie zwariować, musiał pakować od rana do nocy, jak większość psycholi odsiadujących przed wojną długie wyroki. W odróżnieniu od nich jednak bez odżywek nie miał szans na zrobienie masy.

Zapłonęły wszystkie reflektory. Wartownicy pilnujący bramy wylegli tłumnie zza wzniesionych kilka dni wcześniej umocnień. Było ich tam z dziesięciu, może

nawet dwunastu. Wszyscy młodzi, ale doskonale uzbrojeni. I zadowoleni jak cholera. *Szturmowanie tego wejścia byłoby czystym samobójstwem*, pomyślał Pamiętający, spluwając ponownie krwią.

– Żywcem ich pan wziął, kapitanie? – zdziwił się ten, który poprosił o hasło, szczupły blondyn o pyzatej gębie, na pewno niepełnoletni.

– Mieli dostać po kulce, z tego, co słyszałem! – poparł go kolega z oddziału, jeszcze młodszy, sądząc po wyglądzie.

– Kropnicie ich sobie, jak już zostaną przesłuchani – zapewnił ich obojętnym tonem Wariat, zrzucając dochodzącą do siebie Iskrę na ziemię. – Zwiążcie ją, tylko porządnie! – rozkazał, przyszpilając dziewczynę butem do kamienistego podłoża.

To byłby jego największy błąd, gdyż nawet nie do końca przytomna Iskra wiedziała, jak sięgnąć po narzędzie, którym może odebrać mu życie, jednakże Remer cofnął się przewidująco o pół kroku, usuwając shurikeny z zasięgu jej rąk. Nie zamierzał się dekonspirować tak wcześnie, a już na pewno nie przed czekającym tylko na okazję plutonem egzekucyjnym.

Szczyłe skrępowwały ręce miotającej się dziewczyny od nadgarstków aż po łokcie, oczywiście za plecami, co musiało być bardzo bolesne i chyba było nie do końca

konieczne. Wariat zachowywał się jednak tak, jakby tego nie zauważał.

– Gdzie Pułkownik?

– A gdzie ma być – odparł pierwszy z chłopaków, chyba dowódca warty. – Pewnie już przemawia na apelu.

– No tak, wieczorny apel!

Słuchając tej wymiany zdań, Pamiętający przyjrzał się uważnie obserwującym go chłopakom, bo to były jeszcze dzieci, oczywiście jeśli liczyć według dawnych standardów. We Wrocławiu ci chłopcy byliby od dawna traktowani jak dorośli, ale tutaj, w Riese, stara cywilizacja podobno jeszcze nie upadła. Czyżby Wariat naprawdę nie kłamał, kiedy mówił o wysokości strat, jakie Czyści ponieśli trzy lata temu podczas tłumienia buntu i teraz, gdy walczyli z przywiezionymi z Wrocławia mutantami?

Remer nie uwierzył w jego wyliczenia, uważał, że rozmówca celowo przesadza, by skłonić go do większej uległości, niemniej słuchał cierpliwie kolejnych jego wynurzeń, analizując w pamięci wszystkie znane szczegóły, by wyłapać choćby jedną maleńką niezgodność. Nie przyłapał Wariata na żadnym kłamstwie, lecz gdyby nawet się ich dopatrzył, i tak zgodziłby się na przedstawione warunki, ponieważ bez względu na intencje Czystego zamierzał rozegrać to starcie po swojemu, co wyjaśnił protestującej gorąco Iskrze, wzięwszy ją na stronę

tuż przed tym, nim dali się związać.

Kapitan Cieni mocno się zdziwi, jeśli wciąga ich w pułapkę. Może i był dla tych szczyli ucieleśnieniem Rambo, ale w tym akurat starciu stał na z góry przegranej pozycji. Nie przewidział bowiem, że człowiek, którego wprowadzał do Riese, może mieć własne plany, które zacznie urzeczywistniać w chwili śmierci Pułkownika albo wcześniej, jeśli zauważy, że coś jest nie tak. Ukryte w obcasach shurikeny dawały mu bowiem ogromną przewagę nad niespodziewającym się takiego ataku przeciwnikiem. Remer był pewien, że ten plan się powiedzie, gdyż Czysty nie odebrał mu ostatniej broni, choć powinien, co świadczyło dobitnie, że nie wie o jej istnieniu.

*I niech tak zostanie, pomyślał Pamiętający.*

– Zapalić światła! – rozkazał młody dowódca warty, gdy jego szczyły nacieszyły już wzrok cierpieniem jeńców.

Mroczna paszcza tunelu prowadzącego do serca góry rozjaśniała się stopniowo, gdy kolejne lampy ledowe rozbłyskały oślepiającym światłem. Leżąca wciąż na ziemi Iskra jęknęła cicho na widok zwięzającego się w perspektywie tunelu, który musiał mieć ponad dwieście metrów długości.

– Jazda – zdejmując nogę z pleców dziewczyny, Wariat popchnął mocno Pamiętającego.

Pozwolił wstać Iskrze, ale zanim zdążyła wyprostować plecy, chwycił ją od tyłu za włosy i pociągnął za sobą, nie zważając na jej piski. Żaden z młodzików nie próbował ich sprawdzać ani rewidować. Wpatrywali się w swojego bohatera jak w obrazek, skandując jego przydomek, a on pławił się w tym pokazie uwielbienia, pozując przed nimi na niepokonanego twardziela. Nawet w głębi tunelu nie wyszedł z roli, a gdy wkurzona dziewczyna syknęła, rzucając mu nienawistne spojrzenie, mruknął, prawie nie poruszając ustami:

– Kamery.

Nie kłamał.

Co mniej więcej dwadzieścia metrów, w najwyższym punkcie żebrowatych wybrzuszeń przecinających w równych odstępach owalną ścianę tunelu, widać było kamery monitoringu; nie te nowoczesne, miniaturowe, tylko przedwieczne wielkie stalowe pudła, pamiętające zapewne początki tej branży. Część z nich nie działała, parę nawet zwisało smętnie, lecz na obudowach co najmniej sześciu Pamiętający zauważył jarzące się czerwienią diody.

Ktoś ich obserwował.

Ktoś, kto nie powinien zobaczyć niczego podejrzanego.

– Rób, co mówi, kretynko! – wysyczał, pochylając się



tak, by nie było widać jego ust. – I nie odpowiadaj!

Nie miała zamiaru go słuchać, ale odezwała się dopiero wtedy, gdy Wariat pozwolił jej mocniej pochylić głowę.

– Zabiję cię!...

\* \* \*

Winda, której strzegły dwie bliźniacze żelbetowe wartownie o kilku wąskich szczelinach ogniowych, powiozła ich głęboko w dół na co najmniej sto pięćdziesiąt, jeśli nie dwieście metrów. W trakcie jazdy też nie rozmawiali ze sobą, ponieważ Czysty uprzedził ich oboje, gdy czekali na rozsuniecie się stalowych drzwi, że w kabinie może ich podsłuchać Wielki Brat, czyli operatorki z centrum dowodzenia, pracujące obecnie dla Pułkownika i jego konkubiny.

Po ponownym rozsunieciu się chromowanych drzwi Pamiętający zobaczył wielkie czarne siódemki zdobiące ściany korytarza po lewej i po prawej. Na tym poziomie Riese beton wylewek został pokryty warstwą drobnoziarnistego tynku, którego barwa miała kilka odcieni, jakby niektóre odcinki korytarza zostały niedawno odremontowane. To także zdawało się potwierdzać historię opowiedzianą przez Wariata. Tędy właśnie powinni się wycofywać ostatni buntownicy, ci, którzy polegli niedługo później podczas bitwy o wieżę. A raczej zostali tam

straceni, co Czysty przyznał bez większych oporów, gdy został o to zapytany wprost.

Remer pokręcił ze smutkiem głową. Jeśli Wariat nie kłamał, niewolnicy walczyli o przejęcie tych podziemi, ginąc masowo na niższych poziomach, choć bez trudu mogli pokonać znajdujący się teraz za jego plecami szyb i po otwarciu wrót wyjść na powierzchnię. Na pewno przetrwaliby tam dłużej niż w poniemieckich bunkrach. Może nawet po dziś dzień. Co tam przetrwali! Gdyby rozpełzli się po okolicznych lasach i górach, dobrze uzbrojeni, liczni i hardzi, to oni byliby teraz górą. Niestety wróg o tym wiedział i do samego końca robił wszystko, by zachować w tajemnicy swój najgłębszy sekret.

Gdy opuszczali dom, Czysty na prośbę Remera opowiedział o buncie, tym razem szczegółowiej niż poprzednio. Wyjaśnił, że niewolników sprowadzono z Wrocławia, by dokończyli budowę poziomu piątego, którego Niemcy nie zdążyli wykuć w całości – priorytety hitlerowców zakładały bowiem, że najpierw należy wykończyć techniczną część kompleksu, czyli dwa najgłębsze poziomy, gdzie mieścił się wspomniany przez Wariata reaktor, wyloty wielokilometrowych tuneli prowadzących do obu kopalń, łączniki z górnej stacji i zamku w Książu oraz wszystkie systemy podtrzymywania życia w bunkrach i, co nie mniej ważne,

laboratoria, w których wiele lat później naukowcy podlegający najpierw Premierowi, a potem Ministrowi mogli produkować wirusy używane do uśmiercania ocalonych z kanałów Wrocławia. Tam właśnie powstała między innymi szara zaraza, a ostatnimi czasy osławione neonówki.

Trzeci i czwarty poziom miały przeznaczenie mieszkalne. Rozlokowano w nich dziewięciuset siedemdziesięcioro pięcioro spośród niemal tysiąca siedmiuset pięćdziesięciorga Czystych, którzy zamieszkiwali podówczas ten kompleks. Do podanej przez Wariata liczby Ocalonych należało bowiem dodać załogę obiektu, w tym oddziały ochrony liczące niemal stu żołnierzy. Piąty poziom, przeznaczony pierwotnie na archiwa i magazyny, był najbardziej zaniedbany przez Niemców, którzy już pod koniec czterdziestego trzeciego roku zaczęli rozumieć, że rozpętali wojnę, której nie sposób wygrać. To właśnie on wymagał szeroko zakrojonych prac górniczych i przystosowawczych, by mógł w przyszłości pomieścić dodatkowy tysiąc wrocławian i Wielkopolan. W tym celu zaczęto sprowadzać niewolników wyłapywanych przez agentów Otchłani. Czyści nie patyczkowali się z nimi – otworzyli dla „podludzi” podwoje tego samego obozu, który ich poprzednicy założyli w skrajnych sektorach tego właśnie

poziomu.

Odizolowane od reszty kompleksu, wykute w skałach, zamykane stalowymi drzwiami, strzeżone szeregiem wartowni i pomysłowych systemów alarmowych komory nadały się idealnie na miejsce odosobnienia. Przetrzymany tam więźniowie nie mieli nawet ułamka wygód dostępnych ich oślepianym następcom, ginęli więc masowo, zaharowując się na śmierć. Zakuwano ich natychmiast po przywiezieniu do Riese, a kajdan mogli się pozbyć tylko w jeden sposób: gdy zdejmowano je po ich śmierci, by zniewalały kolejnych nieszczęśników. Choroby, wypadki, nikogo to nie obchodziło. Żyłeś, dopóki mogłeś pracować, potem trafiałeś do masowych grobów albo na poziom pierwszy, gdzie zawsze potrzebowano obiektów do eksperymentowania nad nowymi wirusami.

Na szóstym poziomie zakwaterowano tych Czystych, którzy pracowali na powierzchni przy uprawach i wypalaniu, oraz specjalistów nadzorujących wykańczanie sektorów mieszkalnych siódemki. Było ich prawie ośmiuset, w tym niemal dwie trzecie mężczyzn. I to oni właśnie, co do jednego, padli ofiarami zbuntowanych „podludzi” podczas pierwszej rzezi i później, gdy doszło do fiaska rozmów z Ministrem. Wtedy to sto szesnaście osób wziętych na zakładników zostało straconych bez

wyjątku na kilka godzin przed rozpoczęciem krwawej kontrofensywy.

Wariat nie wiedział, jak doszło do uwolnienia prowadzących zamieszek, na ten temat krążyło wiele hipotez, ale koniec końców żadna nie została potwierdzona. O tym, że coś jest nie tak, dowództwo dowiedziało się, gdy niewolnicy opanowali już piątkę i uderzyli na szóstkę, zabijając każdego, kto nawinął się pod rękę. Pech chciał, że zaatakowali o świcie, zanim robotnicy zaczęli zbierać się do wyjścia. Buntownicy wiedzieli, jak wyglądają wyższe poziomy, ponieważ około trzystu z nich pracowało przy wykańczaniu siódemki, co wiązało się z przeprowadzaniem ich klatkami schodowymi, a czasami także przez niektóre sektory szóstki, ponieważ – jak wcześniej wspominał Wariat – poziomy Riese nie były swoimi dokładnymi kopiami. Każdy z nich został obrócony o kilkanaście stopni względem poprzedniego, zatem łączniki między nimi mogły powstać tylko w niektórych punktach, lecz żaden nie stanowił jednego ciągu prowadzącego od jedyńki aż do siódemki. Zapewne ze względów bezpieczeństwa.

Wystarczyły jednak dwie godziny, by tysiąc sześciuset niewolników pozbyło się kajdan i opanowało trzy najwyższe poziomy kompleksu. Okazało się to możliwe, ponieważ dwa z nich były wciąż niemal puste. Zabiwszy

wszystkich nadzorców i większość Czystych z szóstki, uwolnieni więźniowie dotarli do windy, którą Wariat przewoził teraz Pamiętającego i Iskrę, ale po dotarciu do wyjścia nie odważyli się otworzyć zamkniętej na głucho bramy. Atawistyczny lęk przed toksycznym zmutowanym światem był silniejszy od ciekawości, a szkoda, bo historia przybrałaby zupełnie inny obrót, gdyby ktoś odważył się sprawdzić, co jest za ostatnim bastionem, tym bardziej że został on opuszczony przez obrońców kilka minut przed pojawieniem się na miejscu tłumu buntowników.

Przywódcy rebelii, po oczyszczeniu z wroga najwyższych poziomów i po odcięciu mu głównej drogi na powierzchnię, przypuścili szturm na trójkę, ponieważ ich wyłączną nadzieją było dotarcie do łącznika na poziomie pierwszym, a potem do górnej stacji i stojącego tam pociągu, którym mogliby wrócić do Wrocławia. Tu napotkali zdecydowany opór jednostek dowodzonych przez Wariata. Ilekroć nie atakowali, zawsze byli krwawo odpierani. Nie odpuszczali jednak i choć stracili podczas tych prób ponad trzystu ludzi, czwartego dnia udało im się uchwycić dwa niewielkie przyczółki. Potem los zaczął sprzyjać wyłącznie Czystym. Wariat znów przegrupował swoich ludzi, z których do tej pory poległo bądź odniosło poważne rany tylko jedenastu. Wzmocnił swoje oddziały ochotnikami – a tych nie brakowało – i przygotował

śmiały plan, którym odwrócił losy kampanii.

Gdy buntownicy ponowili ataki piątego ranka, spotkał ich nie tylko marny koniec, ale też niemiła niespodzianka. Wybiwszy atakujących, Czyści nie spoczęli na laurach jak poprzednio, tylko przeprowadzili błyskawiczne kontruderzenie, zdobywając u wylotu schodów na czwartym poziomie przyczółki, których już nie oddali. Stamtąd wyruszali na kolejne wypadki. Niewolnicy walczyli zaciekle, ale nie byli zawodowcami, musieli więc ustąpić przed niewiele lepiej uzbrojonym, mniej licznym, ale za to doskonale wyszkolonym przeciwnikiem. Najczęściej ginęli, ponieważ nie zaoferowano im pardonu, a nie mieli dokąd uciekać. Tylko nielicznym udało się wycofać bez szwanku.

Tak wyparto ich najpierw z piątki, a potem z szóstki i zagnano do ostatnich sektorów siódemki, pod szybą głównej windy, gdzie zdesperowani przywódcy buntu, mając przed oczami widmo nieuchronnej klęski, mogli bronić tego bastionu w nieskończoność, a przynajmniej tak im się wydawało. Bez zapasów jedzenia i wody byli skazani na pewną śmierć – podjęli decyzję o otwarciu wrót i doprowadzeniu do skażenia części kompleksu – a walki wewnątrz Riese doprowadziły wcześniej do zniszczenia większości infrastruktury na górnych poziomach, w tym wartowni i bram, nie było więc już skomplikowanego

systemu śluz, który mógłby powstrzymać toksyny.

Jak wielkie musiało być zdziwienie tych ludzi, gdy zamiast trucizny wciągnęli do płuc świeże powietrze...

Nieliczna grupka tych, którzy przetrwali decydujący szturm Czystych, uciekła na zewnątrz, gdzie stoczywszy ostatnią bitwę pod wieżą, została wybita do nogi. Pamiętający nie chciał nawet myśleć, jak musieli czuć się ludzie, którzy stracili ponad półtora tysiąca towarzyszy broni tylko dlatego, że nie wiedzieli, iż tuż nad ich głowami istnieje oaza, namiastka dawno utraconego świata.

Wariat opowiadał o tym wszystkim chętnie, ale nie była to już tak radosna paplanina jak wcześniej. Widać było, że to trudny dla niego temat, aczkolwiek jedno było pewne – nie chodziło mu o kwestie związane z niewolnikami. Już przedtem dał jasno do zrozumienia, że mieszkańcy kanałów są dla niego gorszym gatunkiem człowieka; skażonym, wypaczonym, stojącym tylko stopień wyżej od wszelkiej maści mutantów, a sojusz z uciekinierami zawarł wyłącznie z rozsądku. Był szczery do bólu, co uwiarygadniało go w oczach Pamiętającego, ale co innego komuś uwierzyć, a co innego zaufać. Z tego też powodu Remer zdecydował, że zlikwiduje Wariata, nawet jeśli plan się powiedzie i zdołają wspólnymi siłami wyeliminować Pułkownika oraz jego konkubinę.



To jednak była pieśń przyszłości. Na razie robił wszystko, by dzięki fortelowi wymuszonego sprzymierzeńca dostać się do wnętrza fortecy przeciwnika. Pozwalał na takie traktowanie Iskry i dawał sobą pomiatać, ponieważ wiedział, że to on rozda dzisiaj ostatnie karty – albo zginie, próbując dopiąć swego.

Pozbawienie wroga przywódcy oraz ostatniego zawodowego żołnierza teraz, w chwili największego tryumfu, powinno zachwiać tą społecznością, może nawet doprowadzić do jej ostatecznego upadku.

Słuchając opowieści Wariata, Pamiętający wpadł na diaboliczny pomysł. Czysty podpowiedział mu bowiem niechcący, jak można by zniszczyć ten kompleks, a nawet całą dolinę – tyle że chwilę później padło mimochodem wyjaśnienie, z którego wynikało niezbicie, że polska załoga nie dokończyła budowy prymitywnego z dzisiejszego punktu widzenia reaktora, a wszelkie materiały rozszczepialne zostały wywiezione z Riese jeszcze przed Atakiem.

*Szkoda*, pomyślał Remer, gdy to usłyszał. Nie miał wprawdzie bladego pojęcia, co powinien robić, by nastąpiło stopienie rdzenia, ale i tak rozpieprzyłby całą sterownię, licząc, że to wystarczy do skażenia co najmniej kilku poziomów i wybuchu paniki wśród Czystych.

Ta opcja odpadała jednak, pozostawał za to wciąż

wariant drugi: wirusy. Wariat przyznał, że nie użyto ich przeciw buntownikom, ponieważ systemy wentylacyjne kompleksu są tak skomplikowane, że rozniosłyby biologiczne skażenie po wszystkich poziomach, nie tylko tych zajmowanych przez przeciwnika. A laboratoria, o których Czysty mówił, istniały po dziś dzień. I nadal pracowały. Wystarczy więc wparować tam z odpowiednią bronią i nawet za cenę własnego życia roznieść wirusy po innych poziomach. To powinno się udać, o ile...

Szczęk magnetycznych zamków wyrwał Pamiętającego z zamyślenia. Wyglądało na to, że swoisty marsz wstydu dobiega końca. Wariat przeprowadził ich najpierw z jednej windy do drugiej, potem pokonali kilkanaście ciągów stopni i trafili do tak szerokiego korytarza, że mogłyby nim jeździć samochody. Na jego końcu znajdowała się komora, największa ze wszystkich w tym kompleksie. Tam właśnie odbywały się codzienne wieczorne apele załogi.

Już pierwsza wzmianka Wariata o tym dziwnym obyczaju, kojarzącym się raczej z koloniami dla dzieci niż ostatnią redutą polskości, wzbudziła spore zdziwienie Pamiętającego. Czyżby Pułkownik robił pranie mózgu także swoim ludziom? Urabiał ich jak ślepców, by posłusznie szli za nim, cokolwiek wymyśli?

Jedno było pewne: za otwierającymi się powoli

drzwiami oznaczonymi wielką literą L i cyfrą 5 znajdzie odpowiedź na to i kilka innych pytań. Zerknął na Iskrę, chcąc dodać jej tym spojrzeniem odwagi, lecz albo tego nie zauważyła, albo postanowiła go zlekceważyć.

Sala Pamięci, jak Czyści nazywali to pomieszczenie, zasługiwała na znacznie godniejsze miano. Była tak wielka, że niejedna przedwojenna katedra ustępowała jej nie tylko kubaturą, ale też przepychem. Idąc w kierunku lepiej oświetlonego sektora, Pamiętający mijał dziesiątki posągów, małych i wielkich, olbrzymie obrazy zawieszane na prostych rusztowaniach i maleńkie konterfekty, zdobne karety, wachlarze ułożone z mieczy i szabel, inkrustowane rycerskie zbroje, opasłe woluminy, często sprzed ery druku, i całe mnóstwo innych, bez wątpienia zrabowanych przez hitlerowców skarbów. To tutaj trafiło wszystko, czego nie można było się doliczyć w powojennych remanentach. Tysiące arcydzieł sztuki, należących wcześniej, nomen omen, do rasy podludzi.

Kilkaset osób, zebranych pośrodku rozległego placu – bo jak inaczej nazwać ten ogrom wolnej przestrzeni pośrodku swoistego muzeum, po którym mogłby przemaszerować cały pułk wojska – stało przed wysoką trybuną i ciągnącym się wzdłuż niej szerokim obeliskiem z wypolerowanej na błysk czarnej skały, na której – co Pamiętający zobaczył dopiero wtedy, gdy podeszli bliżej –

wyryto nazwiska wszystkich poległych w walkach o nową ojczyznę. Ściana ta miała kilkanaście metrów długości, a w centralnym miejscu była dwukrotnie wyższa od stojącego przed nią mężczyzny, który nie należał do ułomków.

Pamiętający uśmiechnął się pod nosem, gdy zrozumiał, na co patrzy. Jego czyny być może już figurowały na ścianie płaczu Riese. Gdzieś tam, na końcu długiej wyliczanki, znalazło się kilkanaście imion i nazwisk Czystych, którzy zginęli z jego ręki, za nimi zaś ciągnęła się znacznie dłuższa lista ofiar podstępów Frei.

Przemawiający do zgromadzonych mężczyzna z przepaską na oku zamilkł w chwili, gdy drzwi się otwierały, lecz nie miało to nic wspólnego z przybyciem Wariata i jego jeńców. Apel właśnie dobiegał końca, podgłościono marszową muzykę, a zgromadzeni złamali równe szeregi, zbierając się do odejścia. Jednakże – podobnie jak przywódcy zgromadzeni na podeście – pozostali na swoich miejscach. Każdy, kto zobaczył kroczącego dumnie kapitana i prowadzonych przez niego jeńców, zamierał natychmiast w bezruchu.

– Sprawa załatwiona, Pułkowniku! – zawołał Wariat, zatrzymując się przed mównicą. – Oto pański najgorszy koszmar i jego ponoć martwa towarzyszka!

Ten żart był umiejętnie wbitą szpilą. Remer nie wątpił,

że wieści o tym, co powiedział Pułkownikowi po zabiciu strażników w trójce, rozeszły się lotem błyskawicy po całym kompleksie. Szmary, jakie usłyszał od strony tłumu, zdawały się potwierdzać tę teorię bardziej nawet niż czerwieniejąca szybko twarz jednookiego przywódcy.

– Dziękujemy panu w imieniu całej społeczności, kapitanie Szaleniec! – odkrzyknęła szczupła szatynka stojąca po prawej stronie wściekłego Pułkownika, zapewne konkubina, o której wspomniał wcześniej Wariat. Jego prawdziwe nazwisko tłumaczyło, przynajmniej zdaniem Pamiatającego, skąd mógł się wziąć niezbyt szlachetny przydomek. – Panowie i panie, mam zaszczyt ogłosić koniec stanu wyjątkowego! – zwróciła się do zebranych. – Nagródźmy naszego dzielnego dowódcę Cieni gromkimi brawami!

*Tak, pomyślał Remer, to chyba ciebie powinniśmy się bać, nie tego zapowietrzonego bufona.*

Próbował spojrzeć jej w oczy, lecz umiejętnie unikała jego wzroku, wdzierając się do wiwatującego tłumu. Iskra nie byłaby sobą, gdyby odpuściła taką okazję do zaznaczenia terenu, niestety Wariat też szybko się uczył. Wiedząc, co zaraz nastąpi, jednym szarpnięciem odciągnął jej głowę do tyłu i zacisnąwszy palce na tchawicy miotającej się dziko dziewczyny, uciął jak nożem rodzący się protest albo stek inwektyw. *A szkoda, pomyślał*

Pamiętający, *bo cokolwiek o tej dziewczynie mówić, momentami umie się wznieść na wyżyny trudnej sztuki układania piętrowych przekleństw.*

– Rozejść się! – Pułkownik odzyskał w końcu głos, a dyżurni zadbali, by skandujący na cześć kapitana ludzie opuścili Salę Pamięci.

Chwilę później w gigantycznej komorze zostało tylko osiem osób. Wariat i jego jeńcy, Pułkownik z konkubiną oraz trzej żołnierze z ich ochrony. Nie szczyły, jak ci przy bramie i na polach, tylko trzydziestolatkowie; dobrze zbudowani, czujni, zachowujący się prawie jak profesjonaliści. Dla tego tłumu mogli być zawodowcami, ale Remer na każdym kroku wyłapywał w ich zachowaniu drobne niedociągnięcia, mogące świadczyć o tym, że nie zostali aż tak dobrze wytrenowani, jak by chcieli, bądź też że ich szkolenie zostało przerwane i sami musieli je dokończyć. Z książek wiele można się nauczyć, ale akurat nie tego.

Gwardziści Pułkownika stanęli za Iskrą, Pamiętającym i Wariatem, jednakże ten ostatni nie wyglądał na zaniepokojonego ich reakcją. Nadal uśmiechał się kpiąco i nie spuszczał wzroku, czego nie można było powiedzieć o Pułkowniku. Remer przyglądał się uważnie osławionemu przywódcy Czystych. O tym, że ma do czynienia z tchórzem i cywilem, wiedział już od pierwszej rozmowy

przez krótkofalówkę – żaden zawodowy żołnierz nie zareagowałby tak płacząco na to, czego był świadkiem.

– Zrobiłem swoje – rzucił Wariat, gdy nerwowa cisza zaczęła się przedłużać.

– Naprawdę? – zagrział Pułkownik zadziwiająco ostrym tonem. – Chyba mówiłem wyraźnie, że chcę go martwego!

Iskrę pominął, ponieważ jego zdaniem nie miała wielkiego znaczenia w tej rozgrywce.

– To prawda, ale podczas odprawy otrzymałem też instrukcje, że w razie potwierdzenia prawdziwości tezy o zakładnikach mam zabezpieczyć oba cele... – Kapitan przeniósł wzrok na kobietę, podobnie jak Pułkownik.

– Zmieniłaś moje rozkazy? – szef Riese wyglądał na zdumionego.

– Niczego nie zmieniłam – zaprotestowała. – Uszczegółowiłam. Przecież słyszałeś. Kazałam kapitanowi pociągnąć ich za język, jeśli będzie okazja, żeby sprawdzić, czy...

– Dość! – uciszył ją. – Dokończymy tę rozmowę, ale nie tutaj.

– Mnie tam rybka – rzucił nadal rozbawiony Wariat. – Ale gościom na pewno spodobałaby się pańska komnata – dodał.

Kobieta drgnęła zauważalnie, gdy wypowiedział ostatnie

słowo, jakby ta propozycja wydała jej się niepokojąca. Jej towarzysz pozostał jednak niewzruszony. Może był zbyt wściekły, by zwracać uwagę na takie niuanse?

– Komnata – prychnął dopiero po chwili. – Dobrze, chodźmy do komnaty.



## ROZDZIAŁ 27

# Komnata

Pamiętający nie miał pojęcia, o co chodzi Wariatowi, a co więcej, niespecjalnie go obchodziło, do jakiego pomieszczenia zostanie zaprowadzony. Zainkasowane w lesie uderzenie było silniejsze, niż z początku sądził, a że przyjął je, nie próbując się nawet uchylić, rozlewająca się na cały policzek opuchlizna sprawiała mu coraz większy dyskomfort. Czysty trafił go odrobinę za nisko – może dlatego, że spodziewał się jakiejś reakcji atakowanego, choćby uniku – przez co ucierpiało nie tylko oko, ale też szczęka. Mimo to rozcięty od wewnątrz policzek i naruszony ząb trzonowy były najmniejszymi ze zmartwień Remera.

Z jednym sprawnym okiem i potwornym bólem głowy nie nadawał się do zgrywania bohatera, dlatego z chwili na chwilę modyfikował plany, okrawając je z kolejnych działań, aż w końcu zostało mu tylko to, co najistotniejsze, czyli eliminacja nieświętej trójcy: Pułkownika, jego kobiety i Wariata. Czy też może raczej załatwienie tego

z nich, kto wyjdzie zwycięsko z wcześniejszego starcia.

Wolałby zabić ich wszystkich osobiście, lecz obecność gwardzistów komplikowała sprawę do tego stopnia, że został zmuszony do przyjęcia bardziej pasywnej postawy. Czekał na ruchy pozostałych graczy.

Szedł więc potulnie, popychany na zmianę to przez kapitana, to przez jednego z goryli, a droga, którą musiał przebyć, okazała się jeszcze dłuższa od trasy z powierzchni do Sali Pamięci. Najpierw zaprowadzono go do windy, którą wszyscy zjechali poziom niżej, gdzie trafili do zamkniętego, wciąż odbudowywanego sektora czwórki. Następnie przeszli do kolejnego szybu, mieszczącego się osiem przecznic dalej, przy czym – co Pamiętającemu wydało się niezmiernie ciekawe – po drodze nie minęli żywej duszy. Remer nie wyczuwał nawet żadnych zapachów towarzyszących zwykle miejscom zamieszkiwanym przez ludzi. W tym sektorze czwórki było tak czysto i sterylne, jakby nigdy wcześniej nie tknęła go stopa człowieka.

Pamiętający uznał, że trafił do części poziomej, której Czyści nie używali, ponieważ było ich tu na dole ponad tysiąc mniej, niż powinno, a znając ludzi, wiedział, że woleli trzymać się blisko siebie, zupełnie jak mieszkańcy kanałów, którzy preferowali zatłoczone enklawy, a nie ustronne tunele. W świecie nieustannej walki o życie

spokój i swoboda przegrywały w przedbiegach z wzajemną pomocą, na którą żaden samotnik nie mógł liczyć.

Tutaj z pewnością było podobnie, wtłoczeni pod powierzchnię ziemi ludzie potrzebowali siebie wzajemnie, by nie oszaleć albo nie popaść zbyt szybko w depresję.

Remer uśmiechnął się do swoich myśli, ale natychmiast syknął z bólu, ponieważ odrętwiała część twarzy wokół sińca odmawiała współpracy. Zerknął wściekle na idącego krok przed nim Wariata. Skurwiel, niechcący co prawda, ale skomplikował mu życie.

Kolejną windą pokonali aż dwa poziomy, pomijając mieszkalną trójkę, w której granicach skupiało się teraz życie załogi kompleksu. Wyszli do podobnego korytarza jak ten na górze, tyle że oznaczonego nic mu nie mówiącym symbolem A4.

Z tego miejsca znów poprowadzono go bardzo daleko, chyba na przeciwległy kraniec poziomu, oczywiście bez kluczenia, bez przystanków i co ciekawe, nadal bez słowa. Nawet Wariat trajkoczący wcześniej jak nakręcony zamilkł, jakby ktoś wyłączył mu fonię pilotem. Jedynym dźwiękiem sprawiającym ból Remerowi – oczywiście prócz rytmicznego stukotu ciężkich podeszew – było coraz głośniejsze posapywanie Iskry, którą kapitan już jakiś czas temu przekazał w ręce najniższego ze strażników.

Dwójka, w odróżnieniu od czwórki, a przynajmniej od tych sektorów, przez które przeprowadzono schwytyanych zbiegów, wydawała się nie tyle zamieszкана, ile używana. Z bocznych korytarzy dobiegały pomruki pracującej maszynierii, czasem udało się też dostrzec w ich perspektywie ludzi w białych albo niebieskich fartuchach. Wszyscy oni znajdowali się jednak bardzo daleko, co zdawało się sugerować, że idąca na przód kobieta wybiera taką drogę, by jak najmniej rzucać się w oczy.

To natchnęło Remera kolejną myślą. Zaczął też żałować, że już jakiś czas temu dał sobie spokój z zapamiętywaniem przebytej trasy, ponieważ w tym momencie zrozumiał, że może mieć szansę na wymknięcie się z tej pułapki.

Riese zasługiwało na swoją nazwę, było gigantyczne, wręcz przeogromne, a jego uszczuplona podczas kolejnych masakr załoga zajmowała obecnie tylko jeden z siedmiu poziomów, czy też pięciu, jeśli nie liczyć części technicznej, do której właśnie go zwieziono. Tutaj przebywali tylko ci, którzy obsługiwali skomplikowane systemy, wcale nie tak liczni, jak mogłoby się wydawać.

*Na swoje nieszczęście zbyt późno o tym pomyślałem i teraz będę skazany na błędzenie...*

Przełknął gęstą ślinę, wyczuwając metaliczny posmak krwi. Nie ma co myśleć o ucieczce. Jeśli przeżyje starcie

z Pułkownikiem albo Wariatem, jego zadaniem będzie zadać Czystym jak największe straty, a nie szukać drogi na zewnątrz, gdzie czeka go... ich... wyłącznie śmierć z głodu.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że do tej pory przejmował się tylko sobą, a przecież Iskra miała w tym momencie większe szanse na przeżycie niż on. Jeśli pozostanie pasywna, gdy... *Akurat*. Znał ją zbyt dobrze, by liczyć, że nie zechce się wmieszać do walki w najmniej spodziewanym momencie. Jak dotąd dobrze na tym wychodził, ale czy szczęście może trwać wiecznie?

Na jedynekę sprowadzono go po niekończących się schodach. Już podczas jazdy drugą windą zauważył, że kolejne poziomy kompleksu dzieli wiele metrów litej skały, ale tutaj, na samym dole Riese, odległości te były chyba znacznie większe. Dwanaście ciągów po szesnaście metalowych stopni. Prawie pięćdziesiąt metrów! Niemcy poszli na całość, bez dwóch zdań. Mniej więcej w połowie nie mającej końca klatki schodowej Remer przypomniał sobie o reaktorze. Niewykluczone, że jedyńska została oddzielona od reszty kompleksu znacznie grubszą warstwą skał, aby uchronić pracujących powyżej ludzi od skutków zabójczego promieniowania, gdyby coś poszło nie tak. Tak przypuszczał, pokonując kolejne stopnie, choć nie mógł mieć pewności, jakie myśli przyświecały projektantom

tych bunkrów.

W końcu opuścili karuzelę schodów i znów zrobiło się ciszej, ale to nie była wyłączna zmiana. Na pierwszym poziomie było też odczuwalnie cieplej. Z oddali dobiegał jednostajny szum, słychać było głosy, nawet pomruk poruszających się pobliskimi korytarzami pojazdów elektrycznych.

Pamiętający skojarzył ten ostatni dźwięk z meleksami, jakimi wożono go dawno temu choćby na strzelnicach. *To tutaj mieści się serce Riese, uznał, to jedyne jest miejscem, dzięki któremu może istnieć cała reszta kompleksu. Poziom wyżej mieszczą się laboratoria. Tak, ci wszyscy ludzie w czystych fartuchach...* Lista jego priorytetowych celów znów uległa zmianie, chyba po raz dziesiąty w ciągu ostatniego kwadransa – lecz być może ostatni.

Konkubina Pułkownika zatrzymała się bowiem przed normalnie wyglądającymi drzwiami na końcu korytarza J6, jeśli wierzyć napisowi na ścianie. Remer rzucił okiem w przecznicę, do której dotarli. Po lewej, znów w oddali, zobaczył gestykulujących żywo mężczyzn w kombinezonach roboczych i kaskach. Po prawej było ich dużo więcej, ale wszyscy także znajdowali się daleko. Najciekawsze spostrzeżenie poczynił, gdy przestał się skupiać na ludziach. Wtedy dopiero zauważył, że ściana

zewnątrzna poprzecznego korytarza jest idealnie gładka i prosta, nie ma w niej żadnych wnęk sugerujących, że równoległe korytarze biegną gdzieś dalej. Nie było też ani jednych drzwi prócz tych, które miał przed sobą. To również wydało mu się bardzo dziwne.

Jakiś czas wcześniej ucieszył się, że pojął w końcu systematykę oznaczania sektorów czy też krzyżujących się korytarzy – wszystko wskazywało na to, że każdy poziom został podzielony na sto równych kwadratów, które oznaczano kolejno z jednego boku literami od A do J, a z drugiego cyframi od 0 do 9. Symbol J6 oznaczałby w takim razie kraniec znajdującego się mniej więcej pośrodku korytarza – co widoki w głębi przecznicy zdawały się w pełni potwierdzać – to by jednak znaczyło, że pomieszczenie, przed którym właśnie się zatrzymali, nie mieściło się w obrębie wykutego tym systemem poziomu.

Ciekawość Pamiętającego wzrosła, gdy szczupła szatynka przepuściła Pułkownika, by ten mógł położyć dłoń na zasłanianym przez nią do tej pory panelu.

Czytnik linii papilarnych? No, no.

Przywódca Czystych zabezpieczył dostęp do tego miejsca, jak tylko się dało.

Stalowe gładkie drzwi odskoczyły od framugi z cichym sykiem. Kobieta natychmiast chwyciła za klamkę i otworzyła je na całą szerokość, ale wewnątrz wciąż było

zbyt ciemno, by Pamiętający mógł cokolwiek zobaczyć.

– Gerard, sprawdź go! – rozkazał tymczasem Pułkownik, wskazując stojącego Wariata.

Trzeci z gwardzistów, ten, który nie pilnował żadnego ze zbiegów, najpierw przyjął od uśmiechającego się ironicznie kapitana pas z pistoletem i oba noże, potem obszukał go szybko i sprawnie. Krótkie potrząśnięcie głową wystarczyło za cały meldunek.

– Chwila! – Wariat zmierzył wzrokiem przywódcę Czystych. Pułkownik westchnął, po czym sam rozłożył ręce, by były dowódca Cieni mógł go zrewidować. Gerard w tym czasie stał dwa kroki od nich, trzymając dłoń na rękojeści glocka. I ta kontrola wypadła negatywnie, ale to nie był jeszcze koniec. – Teraz ty, Tamaro!

Remer poznał w końcu imię towarzyszącej im kobiety. Dźwięczne, ładne jak ona sama. Wcześniej nie wychwycił w jej głosie żadnego obcego akcentu, uznał więc, że konkubina Pułkownika raczej nie może być naturalizowaną Rosjanką, Ukrainką ani Białorusinką. Najprawdopodobniej miał do czynienia z dzieckiem kogoś, kto osiedlił się w Polsce przed wielu laty, lecz wciąż tęsknił za prawdziwą ojczyzną. Ta historia jednak nie miała większego znaczenia, ponieważ Tamara także nie powinna przeżyć spotkania.

– Spróbuj mnie tylko obmacywać, ty... – wysyczała



mu wściekle w twarz, ale skwitował jej groźby śmiechem.

Obszukał ją szybko i sprawnie, jak zawodowiec. On także przyszedł tutaj, by uregulować rachunki krzywd, a ją już dawno zaksięgował po stronie strat.

– Podludzi też sprawdźcie! – rzuciła Tamara ostrym tonem, kierując te słowa do Gerarda.

Pamiętający zamarł, gdy to usłyszał. Tego nie było w umowie. Miał w nadprutym rękawie, tuż nad więzami, pistolet Wariata, broń, której tamci nie powinni znaleźć.

Gwardzista zdjął dłoń z kolby własnego glocka. Kapitan, widząc to, zszedł mu z drogi, robiąc taki gest ręką, jakby zapraszał strażnika do przetrzepania więźniów. Nie miał wyjścia, musiał udawać, że wszystko gra, i trzeba przyznać, robił to bardzo udatnie, choć z pewnością zdawał sobie sprawę, że znalezienie pistoletu z tłumikiem zakończy zabawę, zanim ta na dobre się zacznie.

On pierwszy zaliczył kulkę, gwardziści tylko czekali na jakiś błąd z jego strony, ale na razie uśmiechał się kpiąco, stając tak, by Gerard miał łatwiejszy dostęp do Iskry. Ta sztuczka podziałała, a Pamiętający przypomniał sobie słowa wypowiedziane w domu, gdy kłócili się, czy powinni zabrać ze sobą dziewczynę. „Niech mają kogo sprawdzać do woli”, tak jakoś powiedział. Może więc nie ryzykował aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać?

Iskra, jak to ona, nie miała zamiaru poddać się rewizji,

mimo że drugi z gwardzistów wciąż trzymał ją za skrępowane za plecami dłonie i włosy. Po kilku sekundach bezruchu, gdy obszukujący ją Czysty przyklęknął, zaskoczyła go szybkim kopnięciem. Jej kolano wbiło się w jego nos, aż chrupnęło. Czysty zaskowyczał i zalał się krwią, lecz drugi kopniak minął jego głowę o dobre pół metra, gdyż dziewczyna została pociągnięta w tył i obalona.

Pamiętający zareagował odruchowo, doskakując do kopiącego ją rozwścieczonego gwardzisty, ale padł podcięty, zanim zdołał go staranować. Walnął głową o beton z taką siłą, że znów zobaczył wszystkie gwiazdy. Ktoś go przydusił, uwalił się na nim całym ciężarem, ale nacisk zelżał, zanim do reszty stracił dech. Zaraz też został poderwany z ziemi. Nie widział, co się wokół niego dzieje, ponieważ oczy błyskawicznie zasły mu łzami, a ból, spotęgowany urażeniem nabrzmiałej jak cholera opuchlizny, zagłuszył wszystko, nawet myśli i dźwięki.

Zanim ponownie otrzeźwiało, było już po wszystkim. Został sprawnie przeszukany przez krwawiącego wciąż Gerarda, ale... nie znaleziono przy nim niczego.

Za to Wariat uśmiechał się znacząco.

*A to gnida...*

– Dość tego dobrego! – Pułkownik, przyglądający się wszystkiemu z dystansu, wskazał otwarte drzwi. –

Idziemy.

Zniknął w ciemnym wnętrzu, ale już po sekundzie zapalił światło. Na drugim końcu rozszerzającego się niezbyt długiego korytarzyka Pamiętający zobaczył kolejne, tym razem dwuskrzydłowe, drzwi: drewniane, bogato zdobione, pomalowane na biało i o wiele wyższe od pierwszych. Wyglądały na zabytkowe, aczkolwiek niespecjalnie stare. Mogły mieć co najwyżej dwieście lat.

Remer zachwiał się, gdy został wepchnięty do liczącego trzy metry przejścia, nie widział więc momentu, w którym przywódca Riese wszedł do następnego pomieszczenia, jednakże ledwie zdołał się wyprostować, szczeka opadła mu mimowolnie, podobnie jak Iskrze.

Stał w progu pieprzonej Bursztynowej Komnaty. Nie podróby z początku dwudziestego pierwszego wieku, tylko oryginalnej, zaginionej po drugiej wojnie światowej. Był tak zszokowany widokiem mieniących się wieloma odcieniami żółci i pomarańcza segmentowych ścian, widniejących na nich ornamentów i wieńczących je figurek, że zapomniał na moment o tym, po co został tu sprowadzony.

Nie opierał się, gdy gwardziści usadzali go na prostym krześle, nie pasującym do reszty wysmakowanego wystroju z epoki. Iskra także dała się olśnić, a nawet przytłoczyć otaczającemu ich zbytkowi. Szła jak

lunaticzka z szeroko rozdziawioną gębą, wodząc pełnym uwielbienia wzrokiem po ścianach majestatycznej sali, mającej co najmniej sto metrów kwadratowych, jeśli nie więcej. Nigdy wcześniej nie widziała choćby ułamka bursztynu, zatem widok zrobionych z niego mozaik musiał wydać się jej fantastyczny, aczkolwiek Pamiętający dałby głowę, że dziewczyna nie ma bladego pojęcia, na co tak naprawdę patrzy.

\* \* \*

Andrzej przyglądał się temu wszystkiemu z obojętną miną. Zdziwienie, jakie okazał na widok prowadzonych jeńców – a zwłaszcza dziewczyny, która powinna być martwa – dawno minęło. Do widoku Bursztynowej Komnaty natomiast zdążył się przyzwyczaić, podobnie jak do nabożnej czci, z jaką wstępujący tu ludzie obrzucali wzrokiem wypolerowaną na wysoki połysk posadzkę i mieniące się ściany. To było arcydzieło sztuki, jedno z tysięcy, które pod koniec drugiej wojny światowej trafiły do przepastnych magazynów Riese, by czekać tam na lepsze czasy i powrót nieprawowitych właścicieli. Trzecia Rzesza jednak upadła i przeminęła bezpowrotnie. Mimo to ci z jej włodarzy, którzy przetrwali, a było ich przecież wielu, nigdy nie porzucili snów o potędze. Tyle że rzeczywistość, czy też raczej Jałta, bardzo szybko

zweryfikowała ich marzenia...

*Jeden problem z głowy, choć za cenę innego*, pomyślał Pułkownik, wracając na ziemię. To, że Remer i dziewczyna przeżyli, a co może ważniejsze, zostali tutaj sprowadzeni, zwiastowało wprawdzie komplikacje, ale nie na tyle duże, by musiał zmieniać wcześniejsze plany. Znacznie bardziej niepokoił go krzywy uśmiezek nie schodzący z ust Wariata. Na szczęście przedsięwziął kroki, by nie musieć się obawiać kapitana i planowanej przez niego, zapewne widowiskowej, zemsty.

Obszedł spokojnym krokiem stojący na samym środku komnaty postument, na którym ustawiono rzeźbę przedstawiającą jeźdźca na koniu.

– Domyślam się, Adamie, dlaczego zaproponowałeś, abyśmy odbyli tę krępującą rozmowę tutaj – rzucił, siadając tam gdzie zawsze, czyli za wytwornym biurkiem.

– Przewornie zawsze ubezpieczony – odparł Wariat, zajmując miejsce w wygodnym fotelu naprzeciw gospodarza, a obok jeńców. – Wiem, jak cenisz sobie Bursztynową Komnatę. Za nic nie naraziłbyś jej na uszkodzenie.

\* \* \*

*Ciekawe zagranie*, pomyślał Remer, choć osobiście wątpił, by przywódca Riese miał jakiegokolwiek opory przed

uszkodzeniem tych przepięknych ścian, gdyby w grę wchodziło jego życie. Mógł się jednak mylić. Po tylu latach spędzonych w kanałach nie podjąłby się oceny sposobu myślenia tych ludzi. Wiedział tylko, że sam nie miałby najmniejszego problemu z obróceniem w perzynę najświętszych nawet zabytków upadłej cywilizacji.

Tak, stał się nowoczesnym barbarzyńcą. Uważał, że ta komnata, choć niewątpliwie piękna i zapierająca dech w piersi, należy do przeszłości, która już dwie dekady temu przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ot, błyskotka ciesząca oczy, co najwyżej przypominająca właścicielom, ile utracili. To na nich, nie na niej, powinien teraz koncentrować uwagę.

Tamara stanęła u boku swojego faceta, zapewne jak zwykle.

– Wyjdźcie – poleciła gwardzistom.

Uślu chali jej, choć dopiero po tym, jak Pułkownik potwierdził ten rozkaz ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Gdyby co, wiecie, co macie robić – rzucił, zanim zamknęli drzwi, chyba tylko po to, by dać kapitanowi znać, że jest przygotowany na wszelkie ewentualności.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

\* \* \*

– Myślałem, że wyraziłem się precyzyjnie – rzucił ostrym tonem Andrzej, ledwie ciężkie drzwi zamknęły się z głośnym hukem.

Gdy zamilkł, od strony wejścia dobiegł kolejny dźwięk, zduszony huk, świadczący o tym, że gwardziści zamknęli za sobą także grube metalowe drzwi prowadzące na korytarz.

– A ja myślałem, że w tej sytuacji należy zrobić wszystko, by uratować czterdzieścioro naszych z Otchłani – wypalił w odpowiedzi Wariat.

– Tam nie ma...

– On twierdzi, że są! – Kapitan nie pozwolił mu dokończyć, mierzając palcem prosto w Remera.

– I ty mu wierzysz?

– Owszem, ponieważ zdradził się przypadkiem, nawet o tym nie wiedząc. Wiesz, przyjacielu, czym się różnimy? – Wariat pochylił się mocniej w fotelu. – Ja umiem wyciągać z ludzi prawdę, ponieważ w odróżnieniu od ciebie wiem, jak to robić.

– Tak? – warknął rozeźlony tym przytykiem Andrzej.

– Tak – nie odpuścił przeciwnik, słusznie zakładając, że zyskuje przewagę. – Twoim zdaniem ta mała suka nie żyje już od kilku dni, a tu proszę: wciąż chodzi, oddycha i kęsa!

– To, że zostałem oszukany w tak nieistotnej kwestii,

nie znaczy, że jesteś w czymś lepszy ode mnie! – uniósł się Pułkownik.

– Panowie, przejdźmy do rzeczy, proszę – odezwała się Tamara.

Kazały jej zamknąć pysk, gdyby nie świadomość, że miała odegrać kluczową rolę w jego przedstawieniu. Czuł podskórny niepokój, spoglądając na ostatniego człowieka, który mógł wyjawić Ocalonym jego niechlubny sekret. Do tej pory bał się go zlikwidować, ponieważ usunięcie Wariata naraziłoby go na ostracyzm tych spośród mieszkańców kompleksu, którzy podzielali poglądy kapitana, a wiedział, że w szeregach załogi Riese pozostało ich zadziwiająco wielu. Otwarte wystąpienie przeciw któremukolwiek z Cieni mogło zaprzepaścić efekt kilkuletnich starań, chyba że to oni pierwsi posunęliby się do aktu zdrady...

W ciągu minionych czterdziestu miesięcy udało mu się przeciągnąć na swoją stronę zdecydowaną większość załogi, ponieważ alternatywa, którą zaproponował, sprawdziła się znakomicie. Poddani praniu mózgu skopcy harowali bez wytchnienia i nadzoru, nie stanowiąc najmniejszego zagrożenia dla Ocalonych. Gdyby nie ten pieprzony Czarny Skorpion i jego banda, za najdalej dwa miesiące, po sprowadzeniu tu wrocławian, Wariat mógłby zostać usunięty, i to nawet w blasku jupiterów. Zniknąłby



bez śladu i pewnie nikt by o niego nie zapytał, a jeśli nawet, to mając za sobą połączone siły dawnych zwolenników i świeżej krwi, Andrzej mógłby stawić czoło potencjalnym oskarżeniom.

Robienie wody z mózgu miał przecież we krwi. I choć jego adwersarz nadal uśmiechał się kpiąco, to na pewno nie opuści z tej komnaty jako zwycięzca. Wariat mógł być doskonałym żołnierzem, ale gdy chodziło o knucie, do pięt nie dorastał mistrzowi intryg. Wystarczyło pozwolić mu przejąć pałeczkę i proszę: sam oddał broń i wszedł do paszczy lwa. Teraz trzeba jednego skinienia palcem, jednego zdawkowego gestu, by zakończyć tę farsę, ale szkoda byłoby zmarnować tak piękną okazję do sponiewierania szmaciarza. Niech umrze wkurzony do białości własną niemocą.

– Dobrze – odparł. – Porozmawiajmy na temat.

\* \* \*

Wariat, zachowując pozorną obojętność, obserwował uważnie każdy ruch Pułkownika i Tamary. Dostał ich w końcu, podanych na talerzu, gotowych do schrupania. To była jego szansa, jedna jedyna, nie chciał jej spieprzyć.

Trzy lata, dwa miesiące i siedem dni. Tyle wystarczyło, by stracił nadzieję. By pogodził się z przegraną. Od tamtej pory każdego ranka, gdy szczękał

zamek w drzwiach jego celi, spodziewał się nie posiłku, lecz wymierzonej w głowę lufy. Pieprzony jednooki cwaniaczek omamił tyle osób, że nawet ci, co przysięgali wierność jego wrogom, z czasem tracili pewność i uginali karki. Eksperymenty, które od samego początku wydawały się poronione, zadziały, i to jak.

Ludzie w masie zawsze pragnęli wyłącznie spokoju. Mieli gdzieś, kto nimi rządzi, dopóki sami nie poczuli bata na dupie. A te ścierwa dały Ocalonym poczucie bezpieczeństwa, tak potrzebne po krwawej rzezi. Zwycięstwo wymknęło im się jednak z rąk w ostatniej chwili za sprawą niefortunnego zbiegu okoliczności. Upadek Otchłani zmienił układ sił, i to diametralnie. Ale też przywrócił kapitanowi utraconą kilka tygodni wcześniej nadzieję.

– Okej – rzucił nonszalancko, przystając na nieśmiałą propozycję tej idiotki.

Niech się jeszcze chwilę powiją, dając mu choć taką satysfakcję za lata zniewolenia. Może sami się pozagryzają, zanim skróci ich męki.

– Dziękuję – odezwała się Tamara.

– Jak wy to sobie wyobrażacie? – odwrócił się do Wariata. – Chcecie oddać ich swoim? Po tym wszystkim, co nam zrobili? Pozwolisz żyć temu skurwielowi, mimo że rozwalil twoich ostatnich chłopaków? – spojrzał

Wariatowi prosto w oczy. – Serio?

– Masz mnie za głupca? – zachnął się kapitan.

– Jeśli na tym polega twój... wasz plan – Pułkownik poprawił się, widząc, że Tamara gromi go spojrzeniem – to tak, mam was za skończonych durniów. Zwracając im wolność, wyjawimy podludziom wszystkie sekrety Riese. Zdradzimy nasze położenie, ujawnimy, że są tu warunki do życia, nieskażone doliny, powietrze, którym można oddychać! – zapalał się z każdym słowem. – Naprawdę sądzicie, że oni przyjmą to do wiadomości, po czym usiądą sobie wokół ognisk, czy przy czym tam siedzą, i poumierają z żalu?!

– Tak – odparł hardo Wariat. – Tak to mniej więcej mogło wyglądać.

\* \* \*

Pamiętający przysłuchiwał się tej rozmowie, niespecjalnie śledząc jej treść. Wiedział, do czego zmierza Wariat, przypuszczał, że jego rozmówcy także mają w zanadrzu niejedną niespodziankę. Czekał więc cierpliwie, aż ci troje skoczą sobie do gardeł. Moment później sam zamierzał wkroczyć do akcji.

Wykorzystał ten czas na dokładne zapoznanie się z miejscem, w którym przyjdzie mu walczyć. Wiedział, w którą stronę upaść, jakie ruchy wykonać, by jak

najszybciej skasować jednego albo drugiego przeciwnika. Tamarę zostawiał sobie na deser. Znał takie szczerwane bestyjki jak ona... choćby Bondarczuk. Są groźne, nawet bardzo, ale tylko do chwili, gdy w ręce przeciwnika pojawi się broń.

Powtórzył całą operację w myślach po raz dziesiąty i upewniwszy się, że wybrał najlepsze z dostępnych rozwiązań, uzbroił się w cierpliwość. *Chociaż, sądząc po ich minach i tonach, farsa nie potrwa już długo...*

Nagle jednak nie spodobało mu się to, co właśnie usłyszał.

– Co? – Pułkownik też wyglądał na zaskoczonego słowami Wariata.

\* \* \*

– Co? – przedrzeźnił go Adam. – Ty naprawdę miałeś mnie od początku za aż takiego durnia? Pozwólcie więc, moje wy paciuloki, że wywalę wam prawdę prosto w te durne mordy: wszyscy, jak tu siedzicie i stoicie, uważaliście, że możecie mnie wykorzystać. – Zaśmiał się, po czym poklepał Pamiętającego po ramieniu. – Problem w tym, że ja, chyba jako jedyny w tej komnacie, mam po kolei w głowie – dodał, opuszczając rękę wzdłuż boku, a gdy ją ponownie podniósł, w jego dłoni zobaczyli „wyczarowany” pistolet z tłumikiem.

Nikt nie protestował, gdy szykując się do akcji, zażądał, by wydano mu stary kombinezon, który wisiał na nim jak, nie przymierzając, komunijny garnitur po starszym bracie. Nawet ta pyskata smarkula ważyła się z tego kpić. A tu proszę, „tyleż paskudny co smukły” wykorzystał obszerność stroju do ukrycia odebranej w korytarzu broni. Tej, z której mierzył teraz do skamieniałego Pułkownika.

– Ty...! – syknęła Tamara, chroniąc się instynktownie za fotel Andrzeja.

– Tak, ja. Wystarczyła godzina, żeby przerobić na mydło tego dziaranego frajera – wskazał jeńca. – Jedna godzina wciskania kitów, a sam dał się związać. Na marginesie – spojrział rozbawionym wzrokiem na Remera – tych więzów nie rozerwiesz, bracie.

Pamiętający naprężył mięśnie, ale nacięty szur nie ustąpił jak poprzednie. Nie pomogło drugie szarpnięcie ani trzecie, któremu towarzyszył przeciągły jęk. Iskra przyglądała się tej scenie w niemym przerażeniu. Jej mina byłaby ozdobą każdego plakatu reklamującego dobry horror.

– Jak... – tyle zdołała powiedzieć.

– Specjalna linka z metalowym przewodem w środku – wyjaśnił zadowolony z siebie Adam. – Nacięcie zewnętrznej powłoki nic nie daje. – Mówiąc to, wstał, by

oddalić się od rozjuszonego Remera, a gdy ten zerwał się z krzesła, wymierzył w niego. Jedno ciche plaśnięcie zakończyło nieprzemyślany atak. Pamiętający padł na podłogę, dysząc ciężko. Z przestrzelonego uda pociekła krew. – Spokojnie, to się wywabi – rzucił rozbawiony Wariat, mierząc do pobladłej Tamary. – Zabierz tę dziwkę i przywiąż ją do fotela – wskazał klęczącą przy rannym Iskrę. – Sznur znajdziesz w chlebaku! No, ruchy!

Nie musiał powtarzać. Roztrzęsiona zarządczyni wybiegła zza biurka drobnym kroczeniem, trzymając obie ręce nad głową. Chwyciła szamoczącą się dziko dziewczynę za włosy i skrępowane nadgarstki. Pociągając za ręce, obezwładniła przeciwniczkę niewysłowionym bólem.

– Zabiję cię za to, kurwo – wycharczała Iskra, gdy Tamara wzięła się za wiązanie, po czym dodała: – I ciebie też, obesrany oblechu. Ukręcę ci ten durny łeb i nasram w szyję.

– Nie zrobisz tego – zapewnił ją, przybierając smutną minę.

– Masz rację – wypaliła bez zastanowienia, zaskakując wszystkich. – Nie lubię stać w kolejce, a ta będzie pewnie zajebiście długa.

Wariat zaśmiał się jako jedyny, a gdy już otarł łzy rozbawienia, odwrócił się do Pułkownika, poważniejąc.

– Boska jest, nie? Chyba poproszę, żeby chłopcy zrobili dla niej klatkę. Zastąpiłaby mi biedną starą Polly. – Wspomnienie ulubionej papugi starło mu uśmiech do reszty. – Wracając do tematu. Widziałem to tak. Najpierw odsyłamy tę pyskatą niunię, a jeśli transportem powrotnym zwrócą nam naszych, oddajemy im, pana... uuuu... Ducha. Oczywiście w wagonie spryskanym C-19. Potem akcja naszej opowieści rozwija się mniej więcej tak, jak to przedstawiłeś. Porucznik Remer i jego hałastra siadają przy ognisku, czy przy tym tam zazwyczaj knują, chlają na umór, planując krwawą zemstę, a następnego ranka zapominamy o nich, podobnie jak o każdym, z kim mieli do czynienia. Genialne, czyż nie? – zadał retoryczne pytanie. – No właśnie. Wilk byłby syty i owca sztywna, ale nie, ty, półślepy pajacu, musiałeś mieć inne plany. Nie mogłeś znieść ponizenia, które ci zafundował ten podczłowiek, więc ukryłeś w Komnacie broń i zastrześliłeś najpierw tego związanego biedaka, potem tę małą wredotę, ale pech chciał, że kiedy wymierzyłeś we mnie, broń ci się zacięła. Jesteś taką dupą wołową, jeśli chodzi o wojaczkę, że każdy uwierzy w taką wersję zdarzeń.

\* \* \*

Andrzej przełknął głośno ślinę. Sytuacja nie rozwijała się tak, jak to sobie zaplanował, choć na razie nie było

jeszcze powodów do paniki. Wariat nawijał jak najęty, napawał się sukcesem, zapominając o prostej prawdzie: nie chwał dnia przed zachodem słońca.

– Odejdź od biurka! – rozkazał Adam, ponaglając go ruchem lufy.

– Dlaczego?

– No wiesz – obruszył się kapitan. – Nie chcesz chyba zakrwawić mojego ulubionego fotela!

– Daj spokój, Adam! – Pułkownik wstał, unosząc powoli ręce. – Możemy się dogadać!

– Akurat – prychnął Wariat. – Z tej komnaty może wyjść tylko jeden z nas. Albo ja, albo ty. Innego rozwiązania nie widzę.

– Mylisz się... – Andrzej przesunął się wolno w prawo. – Musi być inne rozwiązanie. – Zerknął nerwowo w kierunku stojącej za Iskrą konkubiny.

*Na co czekasz, krowo!* – krzyczał w myślach. *Zrób to! Teraz!*

Spuścił wzrok, by nie zdradzić jej przedwcześnie.

\* \* \*

Tamara na moment puściła przywiązaną, lecz szamoczącą się wciąż dziewczynę. Przyklękła za krzesłem, równocześnie sięgając po broń. Damska dwudziestka dwójka przyklejona z tyłu oparcia fotela



Adama, maleńka, leciutka, ale i tak zabójcza, była atutem, który miał przeważać szalę zwycięstwa na ich stronę. Nie spodziewali się jednak, że Wariat zdoła przemycić do Bursztynowej Komnaty własną broń.

Tamara nie miała bladego pojęcia, jak to zrobić, przecież chłopcy przeszukali go dokładnie, a ich lojalności była całkowicie pewna. Ponaglana coraz bardziej nerwowymi spojrzeniami Andrzeja musiała jednak zareagować, i to ostrzej, niż pierwotnie zamierzała.

Kapitan nie widział jej, stał bokiem, skupiając uwagę na wstającym zza biurka Pułkowniku. To była szansa, na którą oboje czekali. Chwytając pistolet oburącz, by ograniczyć do minimum drżenie dłoni, wymierzyła w głowę Wariata, która była większa od czarnego kręgu ze środka tarczy i znajdowała się pięć razy bliżej. Mimo to Tamara nie miała pewności, czy trafi. Ćwiczyła od wielu tygodni na jednej ze strzelnic trzeciego poziomu, choć z zupełnie innego powodu. Chciała dać przykład dziewczynom, udowodnić im, że i pod tym względem mogą dorównać chłopakom. Nie szło jej jednak najlepiej, zawsze kończyła gdzieś w połowie stawki, lecz powtarzała sobie na pocieszenie, że poniżej niej zawsze lądowało choć paru mężczyzn.

Czekała, aż kapitan odwróci się po raz kolejny i przestanie mierzyć w Andrzeja, bo tylko wtedy będzie

mogła oddać czysty strzał, jednakże sekundy mijały, a ten wciąż gadał, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Co gorsza, właśnie unosił rękę, jakby sam miał strzelić.

Nie namyślając się wiele, nacisnęła spust. Lekko, nie ciągnąc, dotknęła opuszką zimnego metalu jęczyczka. Huk wystrzału był tak głośny, że wszyscy drgnęli, nawet zwiijający się z bólu podczłowiek. *Dostał!* Ta myśl przemknęła przez zakamarki umysłu Tamary, gdy zobaczyła, jak Wariatem zarzuca, a z jego głowy tryska krew. Zaraz jednak zmroziło ją kolejne spostrzeżenie. Trafiła go, ale niestety ciut za nisko. Kula przeszła jego policzek, wychodząc przez szczękę z drugiej strony. Raniła go, nawet ciężko, ale nie zabiła.

Szarpnęło nim, zatoczył się mocno, jakby dostał pięścią w twarz, lecz zdołał odzyskać równowagę, po czym natychmiast zaczął strzelać na oślep. Plask, plask, plask. Tłumik wypluwał pociski, które z trzaskiem rozbijały kolejne elementy przebogatych mozaik.

– Zrób coś! – zawył Andrzej, nurkując za biurko, by zejść z linii strzału.

*Tylko nie spanikuj!* – napomniała się w myślach, opuszczając broń. Na razie w nią nie celował, miała więc sekundę, by starannie wymierzyć. Znów nacisnęła spust, tym razem dwukrotnie, jak ją tego uczono. Pierwszy pocisk wszedł w tors, haratając mu żebra i płuca, drugi

wbił się w czaszkę pod większym kątem i tym razem sięgnął mózgu. Wariat zwiotczał jak zabawka dla dziecka, której wyczerpały się baterijki, albo przedziurawiony balon. Padł na podłogę z głuchym łomotem, lecz wciąż żył!

Nie był już jednak groźny. Pistolet wypadł mu z odrętwiałej dłoni, choć zgięty palec wskazujący wciąż zaciskał się spazmatycznie. Tamara wyprostowała się i wyszła zza fotela, nie opuszczając broni. Andrzej, słysząc, że zapadła cisza, odważył się zerknąć zza blatu.

– Już po nim? – zapytał łamiącym się głosem.

– Prawie – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Dobij drania! – pisnął.

Stała nad wciąż przytomnym Wariatem, nie pojmując, jak dwukrotne trafienie w głowę może nie spowodować śmierci człowieka. Adam był sparaliżowany, umierał, ale jego oczy wciąż miotają błyskawice. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, zamieniłaby się w kupkę popiołu. Wymierzyła, lecz nie zdołała nacisnąć spustu. Strzał z odległości kilku metrów a dobiecie rannego to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Zamknij oczy! – usłyszała gniewne warknięcie, ale to nie Andrzej do niej mówił, tylko związana dziewczyna. – Zamknij oczy i przedziuraw ode mnie tego zaszczanego oblecha!

Posłuchała tej rady.

\* \* \*

Andrzej opadł na fotel, musiał usiąść, ponieważ nogi wciąż mu drżały. To była rzeźnia. Widział już zwłoki, patrzył na zabijanych ludzi, sam został ranny podczas panicznej ucieczki przed niewolnikami, ale nigdy jeszcze nie był świadkiem czegoś takiego.

– Nie mogłaś zrobić tego wcześniej? – rzucił z wyrzutem do roztrzęsionej Tamary, która stała wciąż nad ciałem i kałużą rozlewającej się wolno krwi.

Wpakowała w Wariata kolejne trzy pociski, choć już pierwszy wszedł mu w czoło, gasząc wszelkie błyski w oczach, a potem zamarła, bojąc się rozewrzeć powieki.

– Już po wszystkim, laluniu! – rzuciła Iskra. – Rusz dupę, bo te piękne buciki ci się zapaskudzą.

Kpiący ton przywołał Tamarę do rzeczywistości. Nie popatrzyła na zmasakrowaną przestrzelinami twarz byłego dowódcy Cieni. Otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy się odwróciła. Bez słowa pomaszerowała ku najbliższemu wolnemu fotelowi. Opadła na niego ciężko, jakby straciła przytomność, i tam już została.

\* \* \*

– I co teraz? – zapytał Pamiętający, który w tym czasie

zdołał przesunąć się pod przednią ścianę biurka, bo tylko o nią mógł się oprzeć.

– A co ma być? – odwarknął niewidzialny dla niego z tego miejsca Pułkownik. – To już koniec. I on, i wy traficie teraz na zaplecze kuchni. Nasi dzielni robotnicy otrzymają dzisiaj i jutro wyjątkowo kaloryczny posiłek.

– Co? – To pytanie dziewczyna i ranny Czarny Skorpion zadali unisono.

– Jajco – zaśmiał się przywódca Czystych. – Tak działa najwydajniejszy system opresji, jaki kiedykolwiek stworzono. Stąd się nie wychodzi, nawet po śmierci będziecie zapierdalać na rzecz Nowej Polski, dostarczając energii kolejnym niewolnikom. Zostaniecie nadto przerobieni na mydło i smalec.

– A mogło być tak pięknie... – jęknął Remer, gdy już zdążył powstrzymać falę nudności.

– Tak, tak. Wywiady, autografy, wizyty w zakładach pracy – zakpił Pułkownik, rewanżując się w swoim mniemaniu za doznaną wcześniej porażkę. – Myślisz, że choć przez sekundę wierzyliśmy w te brednie o współpracy? Jeśli tak, to żyłeś w wielkim błędzie.

– Szkoda...

– Powiesz wszystko, żeby ocalić życie, jak nie swoje, to tego pyskatego gówna. – Czysty wstał zza biurka. Teraz, gdy nic mu już nie groziło, gdy oszedł ostatni

z wrogów, a zbiegowie właśnie mieli do niego dołączyć, poczuł nagły przyływ werwy, jakby ktoś włączył mu dopalacze.

– Nie powinieneś wątpić w słowa Nauczyciela, niedojebku z jednym oczkiem. – Iskra odezwała się, zanim pólleżący przed nią Pamiętający zdołał zaczerpnąć tchu. – On takich jak ty wciąga nosem na śniadanie, żuje drut kolczasty i sika na palmę... czy jak to tam leciało – chciała mu się odgryźć w starym stylu, ale wyszło jak zawsze.

– Teraz wiem, czemu Adam chciał cię trzymać w klatce. – Nie zdeprimowała Pułkownika, choć bardzo się starała. – Kto wie, może to wcale nie taki głupi pomysł. Z biegiem czasu nauczymy cię, jak prosić o krakersika. – Zaśmiał się w głos.

– Jesteś skończonym durniem! – Remer dzięki tej chwili wytchnienia mógł powiedzieć coś więcej. – Byłeś o krok od uratowania swoich ludzi, ale zaprzepaściłeś wszystko, nasyłając na mnie najpierw tamtych pięciu, a teraz jego.

– Wybaczam ci, bo od tego lima chyba całkiem pomieszało ci się w głowie. – Przywódca Czystych przykucnął obok Pamiętającego. – A może z upływu krwi... Latają ci już mrocзки przed oczami? Czujesz chłód w stopach i dłoniach? A, wybacz, w rękach to ty chyba nie masz już w ogóle czucia, nie? – Wstał, odpiął pasek,

wyciągnął go ze szlufek i po złożeniu wpół walnął się próbnie w dłoń.

– Pogięło cię, zboku? – parsknęła Iskra. – Takiś bohater?! Wystartuj może do równej sobie! No dawaj, jednooki półgłówku, pokaż mi, jaki z ciebie mocarz okrutnik!

– Barbarzyńcy – mruknął zde gustowany Pułkownik, po czym przykucnął ponownie przy Remerze i założył mu opaskę uciskową. Zaciągnął ją, lecz nie tak mocno, jak powinien. – Wiesz, dlaczego ci pomagam? – zapytał.

Dziewczyna znów była pierwsza:

– Chcesz go zanudzić na śmierć swoim gędzeniem.

– Doskonały pomysł – odparł, zaskakując ją. – Wprawdzie myślałem o wydaniu go żywcem chłopakom, aby mogli wykonać egzekucję, ale dlaczego nie? To taka kusząca wizja. Zanudzić Czarnego Skorpiona na śmierć. Idę o zakład, że nikt przede mną czegoś takiego nie dokonał. – Przyjrzał się leżącemu. – Już widzę to epitafium na moim grobie: wielki człowiek, który zagadał wroga na śmierć! Piękne.

Tym razem Iskra nie odpowiedziała, jakby w końcu zrozumiała, że tylko pogarsza sytuację.

– Radzę już go zamówić – wymamrotał Pamiętający – bo wiele czasu ci nie zostało.

– Nie ty będziesz mi dyktował, co mam robić! –

Kopnięcie w zranioną nogę uciszyło Remera. – Dobra. Kończmy to. Zrobimy tak... – Pułkownik pogładził się palcami po brodzie. – Jeśli powiecie mi, jak Wariat zdołał przemyścić broń, oszczędzę wam dalszych męczarni. Traficie od razu przed pluton egzekucyjny, bez ścieżki zdrowia, choć to pewnie zaboli wielu chłopaków.

– Dlaczego jesteś takim upartym durniem? – Pamiętający mimo oszołomienia zdołał skupić wzrok na jego twarzy.

– Nie durniem, tylko realistą – poprawił go Czysty. – No dalej, nie będę czekał w nieskończoność!

– Ja miałem pistolet w rękawie – wyjaśnił Remer. – Musiał mi go zabrać, gdy mnie pacyfikowaliście, tam, na korytarzu.

– A to menda jedna... – Pułkownik pokręcił głową. – Wiedziałem, że nie można mu ufać. Wiedziałem! Na szczęście, przedsięwziąłem odpowiednie środki ostrożności i kazałem rozmieścić broń w każdym miejscu, jakie przyszło mi do głowy. Inaczej marnie byśmy wyglądali.

– Dopóki żyjemy, masz jeszcze szanse na ocalenie swoich – nie rezygnował Remer.

– Zamknij ryj, śmieciu! – ryknął Czysty. – To już koniec! Jesteś trupem! Rozumiesz?! Nie udało się, ocalałem, z twoją pomocą pozbyłem się wszystkich



wrogów i zagrożeń. Zamiast mnie obalić, biedny podczłowieku, załatwiłeś mi wieczną władzę nad tym miejscem! Od dzisiaj mogę robić, co zechcę, i nikt mi nie podskoczy! Nikt!

Echo kolejnego wystrzału zaskoczyło ich wszystkich, ale najbardziej Pamiętającego, na którego trysnęła fontanna krwi i czegoś ciepłego, szarego. Mgnienie oka później Pułkownik zwałił się na lśniąca posadzkę i zamarł w przedziwnej pozycji, opierając się czołem o nogi rannego Remera.

– Ty, Tarara czy jak ci tam, weź ten palec ze spustu, bo wszystkich nas tu wystrzelasz. – Iskra otrząsnęła się pierwsza.

Tamara jednak nie zwracała na nią uwagi. Teraz to ona przykucnęła przed ledwie przytomnym, ale trzymającym się wciąż Pamiętającym.

– Twierdzisz, poruczniku, że pokój jest możliwy? – zapytała.

– Dostaniesz pokój, nawet taki z kuchnią, tylko nas wypuść! – wtrąciła natychmiast dziewczyna.

– Zamknij się! – Zarządczyni Riese i Pamiętający wypowiedzieli te słowa równocześnie, ale on potrzebował na to sekundę więcej.

Był wycieńczony – bólem, upływem krwi. Zaczynało mu być wszystko jedno, w sumie wolałby, żeby to

dobiegło wreszcie końca. Nawet tragicznego. Niestety Tamara miała inne zdanie na ten temat; właśnie zaciągnęła mocniej prowizoryczną opaskę uciskową.

– Tak – potwierdził – choć będzie miał wysoką cenę.

– Jak wysoką?

– Musisz zrezygnować z wymiany.

– Nie rozumiem – spojrzała na niego, jakby bredził.

– Ujmę to tak. Ci ludzie doświadczyli niedawno straszącej traumy. Wyrżnięto ich bliskich i przyjaciół. My to zrobiliśmy. Ja, ona i stalkerzy. Jeśli sprowadzisz tutaj tych, którzy ocaleli z pogromu, nie będzie szans na pokojowe współistnienie. Najmniejszych.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział, po czym pokiwała głową, jakby przyjęła to do wiadomości.

– Rozumiem, choć nadal nie wiem, co to może zmienić.

– Dla ludzi z kanałów Czyści są już tylko miejską legendą, potworami, którymi straszy się dzieci. Lata temu widziano ostatniego z was, więc nienawiść zdążyła już dawno wygasnąć i jeśli nie będzie nikogo, kto ją podsyci... a już my o to zadbamy... ludzie zaakceptują wasze istnienie, zwłaszcza że zaoferujecie im wstęp do raj.

– A jak chcesz rozwiązać problem traumy, której doświadczyli mieszkańcy tego kompleksu? Ci, co

pochowali dzisiaj ostatnie ofiary waszego ataku?

– Naszego? – Pamiętający zrobił taką minę, jakby pierwszy raz słyszał o uczcie mutków.

– A czyjego? – Tamara pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nie, to nie przejdzie.

– Dlaczego? O tym, że mieliście na pieńku z Bondarczuk, wszyscy tutaj wiedzą. A masz jeszcze mnie. Zeznam, że to ona nas tutaj wysłała. Powiem, że atak mutantów został zaplanowany przez nią, a moim zadaniem było odwrócenie waszej uwagi i spotęgowanie poczucia zagrożenia, aby na stację trafiło jak najwięcej ludzi.

– To się nie uda... – powtórzyła, choć już bez przekonania.

Czarny Skorpion miał rację, udział podludzi w ataku da się łatwo wytłumaczyć. Zostali wynajęci przez Bondarczuk, by odium gniewu spadło na nich właśnie.

– Skoro jesteśmy tym, co jemy, to jak nazwać człowieka karmionego przez lata gównem?

– Zważ na słowa! – ostrzegła.

– Facet, który leży za biurkiem, przerabiał wszystkich, jak leci, wystarczy więc, że choć przez chwilę będziesz robić to co on.

– No dobrze. Bondarczuk jest winna temu wszystkiemu, a jaka jest wasza rola? Dlaczego miałabym was zachować przy życiu albo pozwolić wam wrócić do

Wrocławia?

– Dlatego, że pomogliśmy ci nawiązać kontakt z naszymi, a oni, na twój rozkaz, wybili załogę Otchłani, płacąc za to ogromną daninę krwi?

Tamara nie odpowiedziała. Przygryzając w zamyśleniu wargę, obserwowała, jak wszystkie elementy układanki trafiają na miejsce, tworząc jasną, piękną całość. Leżący przed nią ranny mężczyzna był równie cwany jak ten, którego przed momentem zastrzeliła, jednakże dostrzegała pewną zasadniczą różnicę – jego kręactwa służyły budowaniu, nie niszczeniu.

*Szkoda, że to tylko mrzonki, pomyślała.*

– Jest jeden problem, o którym jeszcze nie wiesz – poinformowała go. – Ta jednooka dziewczyna, którą złapaliśmy na górnej stacji...

– O kim ty mówisz? – zdziwił się.

– Jedna z waszych przeżyła. Młoda, ale potwornie okaleczona, wygląda, jakby ktoś...

– ...starł jej pół twarzy – dokończył za nią Remer.

– Tak.

– Karbala...

– Nie chciała powiedzieć, jak się nazywa, ale z tego, co od niej usłyszeliśmy, i z samego faktu wysłania do nas pociągu wypełnionego mutantami wynika niezbicie, że mijasz się z prawdą. Utopilibyście nas wszystkich w łyżce

wody, gdyby dać wam okazję.

– Nie kłamię – zaprzeczył. – Mylisz ludzi z miasta, normalnych, z garstką bojowników. Karbala jest jedną z moich podwładnych. Jeszcze niedawno była śliczną dziewczyną, ale zbir opłacany przez was, to znaczy przez Bondarczuk, tak ją załatwił.

– A potem ja zabiłam jego – wtrąciła chełpliwie Iskra, przypominając o swojej obecności.

– Poza tym była ze mną w Republice Kupieckiej. Widziała na własne oczy skutki szarej zarazy. Karbala ma wiele powodów, by was nienawidzić, ale na szczęście jest jednym z wyjątków od reguły – dokończył Pamiętający.

– Nie przekonałeś mnie – stwierdziła Tamara, wstając. – To się nie uda.

– Skoro mi nie wierzysz, dlaczego zastrześliś Pułkownika? – zapytał wprost.

– Miałam swoje powody – odparła wymijająco.

Nie mogła mu przecież wyznać, że zrobiła to, gdyż poczuła się zagrożona. Podając mu zwycięstwo na tacy, stała się potencjalnym zagrożeniem. Teraz już tylko ona знаła prawdę – i o wydarzeniach sprzed trzech lat, i o tym, co zaszło w Bursztynowej Komnacie – zatem teraz, gdy nie pozostał już żaden wróg, wystarczyłoby ją usunąć, by władza absolutna stanęła przed Pułkownikiem otworem. Kto jak kto, ale Andrzej był zdolny do takiej podłości.

Czyż w podobny sposób nie wmanipulował Wariata w zamach na Ministra?

Najpierw uknuł z kapitanem spisek, a potem zastawił na niego sidła i tak usunął ze sceny tego, któremu miał później rzekomo służyć. O tak, Andrzej umiał manipulować ludźmi, choć głównie po to, by ich skłócać i dzielić. Za to przecież płacono mu przed Atakiem. Był jednym z architektów internetowych kampanii pomówień. To on wymyślił dziadka z Wehrmachtu, to on stał za rozdmuchaniem setek innych nieistniejących afer, które pozwalały zniesławiać i utrać Bogu ducha winnych przeciwników. Był w tym tak dobry, że zdaniem wodzów znalazł się na naprawdę krótkiej liście wartych ocalenia. Ktoś z wtajemniczonych uznał, że po Ataku warto będzie mieć na pokładzie najlepszego z pozostałych w cieniu spin doktorów.

– Nie chcesz uwierzyć mnie, więc posłuchaj ślepców – rzucił, nie do końca rozumiejąc, dlaczego zamilkła.

– Co?

– Zobacz, jak łatwo dali się przekonać. Okaleczyliście ich potwornie, a mimo to słuchają was, harują w sztolniach i jeszcze się cieszą. Takich jak oni jest u nas większość. Tysiące. Sprowadź ich tutaj, a przekonasz się, że będą cię po nogach całować.

– Tak, będą mi jeść z ręki, dopóki się nie dowiedzą, co

robiliśmy z ich okaleczanymi kompanami – prychnęła Tamara.

– Nie wy – podpowiedział Remer. – Oni.

– Jacy znowu oni?

– Ci, którzy nie żyją. Ci, których się pozbyliście, gdy odkryliście, co naprawdę robią. Zrozum w końcu, tym wszystkim ludziom grozi pewna śmierć. Zarówno moim, jak i twoim. Zagrożenie ich zjednoczy, przynajmniej do pewnego stopnia, lecz to powinno wystarczyć, by przestali walczyć ze sobą. Kobieto, to my ich do tego nieustannie namawiamy. Ja, ty, oni – wskazał mężczyzn, których zabiła. – Jeśli przestaniemy żądać od podwładnych daniny krwi i jeszcze damy im coś w zamian... – Zamilkł, by złapać oddech.

– Myślisz, że to może się udać?

– Ja to wiem. Miałem wystarczająco dużo czasu, aby przemyśleć tę sprawę. To jest nie tylko możliwe, ale i wykonalne. Choć od obu stron będzie wymagało ofiar i wielu wyrzeczeń.

– Ofiar?

– Tak. Ty zrezygnujesz ze sprowadzenia tu czterdziestu ocalonych z pogromu w Otchłani, my będziemy musieli urządzić znacznie większe czystki wśród swoich elit. Inaczej się nie da. Taki układ opłaci się jednak nam wszystkim. My przetrwamy, wy zyskacie siłę roboczą

do obrony perymetru i obsady pociągów, które udrożnią trasy do Wielkopolski. Ściągniecie tu swoich, co bez nas byłoby zadaniem ponad siły.

– A co ze skopcami?

Nie odpowiedział. To był jeden z trudnych tematów, których celowo nie poruszał w swoich wcześniejszych rozważaniach.

– O nich, na razie, wie u nas tylko wąski krąg wtajemniczonych, za których możemy ręczyć głowami. – Iskra odpowiedziała za niego bardzo poważnym tonem.

Zaskoczyła tym zarówno Tamarę, jak i Pamiętającego.

– To prawda – poparł ją, zaczerpnąwszy głębiej powietrza. – Tajemnica nie ujrzy światła dziennego, jeśli sami się nie zdradzicie.

Remer spojrzał Iskrze w oczy, lecz nie zobaczył w nich potępienia. Zawierali z diabłem pakt, na mocy którego uratowane zostaną tysiące istnień, a czegoś takiego nie da się zrobić, nie idąc na krwawe ustępstwa. Kiedyś nazywano to mniejszym złem.

Zarządczyni Riese przygryzła wargę, spoglądając gdzieś w przestrzeń.

– Sprawdźmy, czy to zadziała – rzuciła, po czym sięgnęła po słuchawkę.



## ROZDZIAŁ 28

# Karbala

Pamiętający kuśtykał za posępną Tamarą, wspierając się na kuli. Iskra chciała podać mu ramię, ale odgonił ją gniewnym warknięciem. Był poirytowany, i to bardzo. Zagrał na czas, uderzając w czułe struny najpierw Pułkownika, potem Tamary. Przybył tutaj, by przynieść kres Czystym, i nie zmienił zdania. Łudzenie ich możliwością porozumienia było tylko wybiegiem, dzięki któremu mógł kupić więcej czasu, ponieważ w tym stanie by nie podołał.

Przy tym wszystkim zdawał sobie sprawę, że w najlepszym razie odwlecze nieuniknione, ale jeśli czegokolwiek było mu żal, to Iskry, która nie musiała tu ginąć. I Karbali, którą Czyści dorwali po ataku. Nie dziwiło go, że stalkerka zgodziła się na wzięcie udziału w samobójczej misji. Szczerze nienawidziła Czystych, być może nawet bardziej niż on. Całym sercem pragnęła ich zniszczenia, mimo że ono tak naprawdę niczego nie zmieni. Zabicie tych wszystkich ludzi nie przywróci życia

Niemocie ani jej nie pozwoli na powrót cieszyć się urodą. Rozumiał ją jednak, ponieważ wiedział, że świadomość dokonanej zemsty może zakończyć mękę, jaką było życie ze świadomością poniesionych strat.

Pytanie tylko, czy tak poważnie okaleczeni zdołają wyrzucić pomstę.

Nie był już tego taki pewien, a nie chciał, by ciężar tego zadania spoczął na barkach Iskry, co – niestety – wydawało się w tym momencie jedyną sensowną opcją. *Potrzebuję więcej czasu*, myślał, stawiając kolejne nierówne kroki i walcząc z bólem, który nawet po opatrzeniu rany i zażyciu środków uśmierzających wciąż był dokuczliwy. *Ale czy go dostanę, to zupełnie inna sprawa.*

Tamara nie była głupia, a determinacja, z jaką walczyła o swoich, mogłaby budzić jego podziw, gdyby nie fakt, że należała do Czystych. Nie docenił jej w Bursztynowej Komnacie, jak oni wszyscy, tymczasem to ona wyszła z tamtego starcia zwycięsko. Może nie z podniesionym czołem, lecz na pewno z niemałymi szansami na dokonanie zmian. Myśl o tym, co powiedziała, poruszyła kolejne struny w duszy Pamiętającego. Czy naprawdę była skłonna pójść na takie ustępstwa? Czy mogłaby się dogadać z tymi, których nakazywała okaleczać i nazywała podludźmi? *Nie*

*czarujemy się, jej ręce i intencje nie były wcale tak czyste, jak mogłoby się zdawać.*

Od bardzo dawna brała udział w procederze sprowadzania niewolników i choć może nie wszystko od niej zależało, nie zrobiła nic, by doprowadzić do jakichkolwiek zmian. Przynajmniej aż do teraz...

– To tutaj.

Tamara zatrzymała się przed drzwiami, których strzegło dwóch młodych żołnierzy. Remer dostrzegł w ich oczach strach. Ledwie chodził, a towarzysząca mu dziewczyna została skuta solidnymi stalowymi kajdankami, którymi zastąpiono sznury, ale i tak budzili przerażenie tych dzieciaków.

Dlaczego widział w nich teraz zmuszane do zabawy w wojnę dzieci, nie wroga? Wzdrygnął się na wspomnienie strażnika spod wieży, który tak bardzo przypominał sylwetką Niemotę.

Przestąpił próg izolatki sam, Tamara pozostała bowiem w korytarzu, zatrzymując tam Iskrę.

– Masz pięć minut – powiedziała.

Nie potrzebował aż tyle czasu. Nie zamierzał robić tego, po co go tutaj przysłano, a Karbala także miała swój rozum. Wystarczy, że poinformuje ją, co ma mówić i jak się od tej chwili zachowywać. Niech Czyści wierzą, że układ jest możliwy, niech dadzą mu czas na opracowanie

nowego planu. Byli słabi, słabsi niż kiedykolwiek wcześniej, a on dzięki gadatliwości Wariata wiedział, w jaki sposób może zadać im ostatni, miażdżący cios. Za szarą zarzę, za podżeganie do wojen i waśni, za lata upokorzeń, za twarz Karbali, za ból Iskry, ale nade wszystko za Niemołę.

Stalkerka leżała na łóżku w spranej do szarości pościeli. Dla kogoś, kto jej nie znał, musiała wyglądać strasznie, ale on widział ją wielokrotnie, był przy niej w momencie okaleczania i później, zdążył więc przywyknąć do szpecących jej twarz ran i blizn, które nie były bynajmniej powodem obecnej rekonwalescencji.

Wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie jego, zatem gdy tylko rozwarła w końcu powieki, by posłać pełne pogardy spojrzenie temu, kto śmie ją niepokoić, stal w jej oczach stopniała błyskawicznie.

– To naprawdę... ty? – wyszeptała.

– Tak. Wprawdzie nie cały i zdrowy, ale wciąż żywy – odparł, przysiadając na skraju łóżka.

– Żyjesz... – Uśmiechnęła się, nie zważając, że jej usta drżą w spazmie bólu.

Tamara poinformowała go, że stalkerka odniosła rany brzucha, gdy wysadzała parowóz. Nie mając doświadczenia w takich sprawach, źle oceniła moc wybuchu i odległość, przez co oberwała odłamkiem.

Chwila tryumfu w okamgnieniu zmieniła się w dojmujący ból.

Skądś to znał...

– Spokojnie – pogładził ją po dłoni.

Wzdrygnęła się; wiedział, jak bardzo nie lubi takich ckliwości, lecz tym razem nie mogła cofnąć ręki. Nie była pacjentką szpitala, tylko kurowanym jeńcem i dlatego przywiązano ją do łóżka jak zwykłego szaleńca.

*Szaleniec...* Teraz to on się wzdrygnął.

– Posłuchaj... – zaczęła z wypiekami na białych policzkach.

– Nie – wszedł jej w słowo. – Pozwól mi mówić. To ważne. Musisz dla mnie coś zrobić...

Wykręciła dłoń, by chwycić go za rękę. Ścisnęła ją tak mocno, że zaskoczony umilkł.

– Wiesz już? – zapytała, wykorzystując szansę.

– O czym?

– O Niemocie. – Wyczytała z jego miny, że Czyści nie przekazali mu jeszcze tej wieści. – On żyje!

Pamiętający spojrzał na nią dziwnie.

– Co oni ci podali? – mruknął, kręcąc głową.

– Uwierz mi, mówię prawdę!

– Dziewczyno, patrzyłem, jak go... – Zamilkł, ponieważ właśnie do niego dotarło, że mógł widzieć tylko to, co suka chciała mu pokazać. – Ale jak...

– Ta dziura ma zabezpieczenie. Zwykłą sieć rozpinaną kilka metrów poniżej. Tak ocalał. Ludzie Kosy znaleźli go w jakiejś celi na samym końcu sektora mieszkalnego... – Tak długą wypowiedź okupiła kolejnym atakiem bólu.

*Niemota żyje?!*

Żyje!

Uściskałby ją, gdyby nie to, że pomimo więzów usiłowała się zwinąć w kłębek, aby nie czuć więcej bólu. Odczekał moment, tylko tyle mógł zrobić. Diabła tam, powinien wezwać pomoc, jednakże ta wiadomość tak go poraziła, że na chwilę odpłynął. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Bondarczuk nie wspomniała o tym ani słowem, gdy konała na jego oczach, płacąc głównie za to zabójstwo. To było nielogiczne, bezsensowne, chyba że... Pokręcił głową, gdy zrozumiał, że ta suka mogła trzymać się kurczowo życia, by dotrzeć do chwili, gdy któryś z gońców przyniesie wieść o odnalezieniu wśród zabitych ciała Niemoty. Wiedziała przecież, że posłał stalkerów, by wybili wszystkich Czystych, a większość z nich nie widziała na oczy niepełnosprawnego chłopaka, co więcej, w życiu by nie uwierzyła, że ktoś taki mógł przetrwać w kanałach. Tak, do końca czekała na to pyrrusowe zwycięstwo i być może zmarła, ciesząc się tą myślą.

Ale Niemota przeżył, a to zmieniało wszystko. Nagle zemsta i zniszczenie Riese wydało się Pamiętającemu tak

mało istotne, że wręcz nieważne. Nie może przecież dać się zabić podczas samobójczej misji, skoro jego przybrany syn jest gdzieś tam, w bunkrach pod Wrocławiem, przerażony samotnością i zagubiony.

*Nie, nie, nie!*

*To nie może się tak skończyć.*

– Karbala – szepnął do uspokajającej się powoli stalkerki. – Spójrz na mnie i posłuchaj. Wiem, co czujesz. Wiem, jak bardzo nienawidzisz Czystych za to, co zrobili tobie, mnie, nam wszystkim, ale chciałbym, żebyś... – Zamilkł, ponieważ nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

Tamara przyprowadziła go tutaj, by nakłonił ranną do uległości, do poddania się Czystym i wykonywania ich poleceń. To miał być dowód, który przekona ją, że współpraca jest możliwa. I nie chodziło bynajmniej o niewypluwanie kleiku, którym Karbala była na siłę karmiona. Idąc tutaj, Pamiętający miał niezachwianą pewność, że ta biedna dziewczyna zrobi wszystko, o co ją poprosi, ponieważ da jej słowo, że to tylko ściema, podstęp potrzebny do realizacji szczytnego celu, za który była gotowa oddać życie. Że kupuje czas potrzebny do zadania Czystym ostatecznego, zdradzieckiego ciosu. Teraz jednak, gdy usłyszał, że Niemota żyje, nagle zaczął patrzeć na życie i tę walkę z zupełnie innej perspektywy.

Nie chciał już umierać. Nie chciał, by ginęli za niego

ludzie zamieszkujący kanały Wrocławia. Nie zależało mu nawet na śmierci wroga. Jedyne, czego pragnął, to raz jeszcze utulić syna, bo to przecież był jego syn, nieważne, że nie rodzony, nieważne, że upośledzony z jego winy. Niemota żył i tylko to się teraz liczyło. Jak jednak wytłumaczyć tę nagłą zmianę planów dziewczynie, która tak bardzo nienawidziła Czystych, że wyruszyła na misję, z jakiej nie miała szans wrócić, a jeśli nawet pierwotny plan zakładał możliwość odwrotu, to nie zamierzała z niej skorzystać, ponieważ pragnęła zemsty ponad własne życie.

– Posłuchaj – zaczął znowu, chwytając ją za rękę. – Mamy szansę ocalić naszych. Nie tylko tych z Otchłani, ale wszystkich. Tysiące ludzi. Karbala, wiesz o tym, że Wrocław umiera. Wiesz, że nie mamy najmniejszych szans na przetrwanie, nawet jeśli przeniesiemy się do Otchłani. Ile byśmy przez to zyskali? Kilka miesięcy, rok? – Gdy skinęła głową, nabrał tchu, by dodać jeszcze: – Tutaj można żyć. Można wyjść na powierzchnię. Tam jest prawie tak jak przed Atakiem, rozumiesz? Byłem tam, widziałem to na własne oczy, Iskra też. Nie musimy ginąć razem z tym pieprzonym umierającym miastem. Wywalczyłem dla nas przepustkę do tego raj, ale... – Znów zamilkł, ponieważ zabrakło mu słów.

Widział po jej oczach, że nie idzie mu za dobrze.

– Chcesz powiedzieć – wyszeptała, przerywając



ciszę – że oni nam na to pozwolą, jeśli się poddamy?

– Nie. Nie ma mowy o poddawaniu – zaprzeczył, chwytając się tej deski ratunku, oby nie ostatniej. – Nadal będziemy panami swojego życia. Musimy tylko...

Wpatrywała się w jego opuchniętą, trudną do rozpoznania twarz z taką miną, jakby zaczynała się zastanawiać, czy go nie złamali.

– Mamy zrezygnować z zemsty za to wszystko, co nam zrobili? – zapytała w końcu, werbalizując wszystkie jego obawy.

*Ona tak łatwo nie odpuści...*

– Z niczego nie musimy rezygnować – odpowiedział po chwili, gdy zaświtała mu pewna myśl. – To temat na osobną rozmowę, ale jeśli się zastanawiasz, czy Czyści zdołali mnie złamać albo kupić, od razu rozwieję twoje wątpliwości. Kobieta, która mnie tutaj przyprowadziła, zabiła przed momentem przywódców tej społeczności. Architektów wszystkich zbrodni. Ja z kolei wykończyłem wcześniej ostatnich spośród tych, którzy stali za całym złem, które nam wyrządzono. A dzięki tobie i twoim chłopakom zadaliśmy Riese drugi, jeszcze bardziej morderczy cios. Karbala, załatwiliśmy wszystkich albo prawie wszystkich, którzy mieli krew na rękach. W tym kompleksie zostały już tylko szczeniaki i baby.

– Nikt nie jest bez winy... – szepnęła.

– Jeśli to prawda, czego bynajmniej nie neguję, to my także nie mamy czystych rąk – odpowiedział po chwili namysłu. – Powiem to wprost: albo postawimy dziś tamę przemocy, albo wszyscy zginiemy, i to już niedługo. Prawda bowiem wygląda tak, że oni nie przetrwają bez nas, a my bez nich. Wiem, że żądam od ciebie wiele, może nawet za dużo, ale uwierz mi, ty i ja odpłaciliśmy Czystym za wszystko, co uczynili. Zostało ich już tak niewielu...

– Skoro tak, możemy ich oszukać, a potem dorżnąć. – W jej oczach zapłonęły ognie.

– Gdyby to było takie proste – pokręcił głową.

– A nie jest? – wyszczerzyła zęby.

– Szara zaraza – ni to stwierdził, ni zapytał.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

– Jaką masz gwarancję, że nie użyją jej ponownie, gdy sprowadzimy tutaj naszych? – zwerbalizowała także jego lęki.

Rozważył tę kwestię po raz kolejny. Zastanawiał się już nad tym, czy Tamara go nie zwodzi, jednakże – o ile Wariat nie kłamał – jej sytuacja nie była dzisiaj wiele lepsza. Riese w tym kształcie nie miało szans na przetrwanie w samym środku pasa spalonej ziemi.

*Pas spalonej ziemi...*

*Tak!*

– Wiesz co... – zaczął tknięty kolejną myślą. – Możesz

w to nie uwierzyć, ale jest jeszcze ktoś, przez kogo skakaliśmy sobie z Czystymi do gardeł.

Wyjaśnił jej najkrócej, jak potrafił, na czym polega problem, tylko trochę podkolorowując tę opowieść. Karbala słuchała go, chmurniejąc z chwili na chwilę, a gdy skończył, wbiła wzrok w betonowy, nietynkowany strop. Milczała, ale jej nie poganiał.

– Jeśli się powyrzynamy, skurwiele nigdy za to nie zapłacą – wyszeptła na moment przed tym, nim drzwi znów się otworzyły.

– I jak? – zapytała Tamara, przekraczając próg.

Zaskoczony Remer spojrział na zegarek. Dała mu nie pięć, ale siedem minut, lecz... Spojrział na bladą, ale uśmiechniętą stalkerkę.

– Nie znam cię, kobieto – odezwała się Karbala, spoglądając z wyższością na nową przywódczynię Riese – ale jeśli wszystko, co dzisiaj usłyszałam, jest prawdą, podam ci kiedyś rękę.

– Karbala, ty stara ruro, widzę, że nadal nie pękasz – rzuciła zza pleców Tamary rozradowana Iskra.

– Pyskata jak zawsze – odpowiedziała ranna, wzdychając teatralnie.

– Lepiej być pyskątą, niż nie mieć połowy twarzy i jeszcze dać sobie odstrzelić dupę.

– Też się cieszę, że cię widzę. – Karbala zakończyła

powitanie z dawno nie widzianą koleżanką i znów skupiła wzrok na Tamarze. – Nie będzie lekko, to mogę ci obiecać, dwudziestu lat podziałów nie da się zasypać w jeden dzień.

– Dwudziestu dwóch – poprawiła ją mechanicznie Czysta.

Cała trójka spojrzała na nią z nieskrywanym zdziwieniem.

– Co ty bredzisz, kobieto? – ofuknęła ją Iskra.

– No tak, wy przecież nie wiecie... – Tamara zaczerpnęła tchu, jakby miała zamiar palnąć im dłuższą mowę, ale skończyło się na zwięzłym pytaniu. – Który mamy rok?

– Trzydziesty trzeci... – odpowiedział niepewnie Pamiętający, widząc, że Czysta kwituje jego wypowiedź przeczącym ruchem głowy.

– Trzydziesty piąty – odpowiedziała stanowczo.

– Jak to możliwe?

– To temat na dłuższą opowieść. W skrócie powiem tak: stary Bondarczuk, ojciec Kaśki, uwielbiał mieszać wam w głowach. A wy kompletnie pogubiliście się w rachubie czasu. I nic dziwnego, lata wiecznej zimy, potem to ocieplenie. Nie wiem dlaczego, ale kazał swoim agentom, żeby siali w kanałach dezinformację i wciskali wam, że jest czternaście miesięcy wcześniej niż naprawdę.

Patrzyli na nią jak na wariatkę.

– Czy to ważne, który naprawdę mamy rok, skoro od wielu lat nie używamy kalendarzy? – zapytała jak zwykle praktyczna do bólu Karbala. – Dla mnie o wiele istotniejsze jest, że mamy kilka tyłków do skopania.

Przywódczyni Riese nie zrozumiała.

– Jakich tyłków? – zapytała, odwracając się do Remera.

– Tych zza muru – odparł z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Jakiego muru?

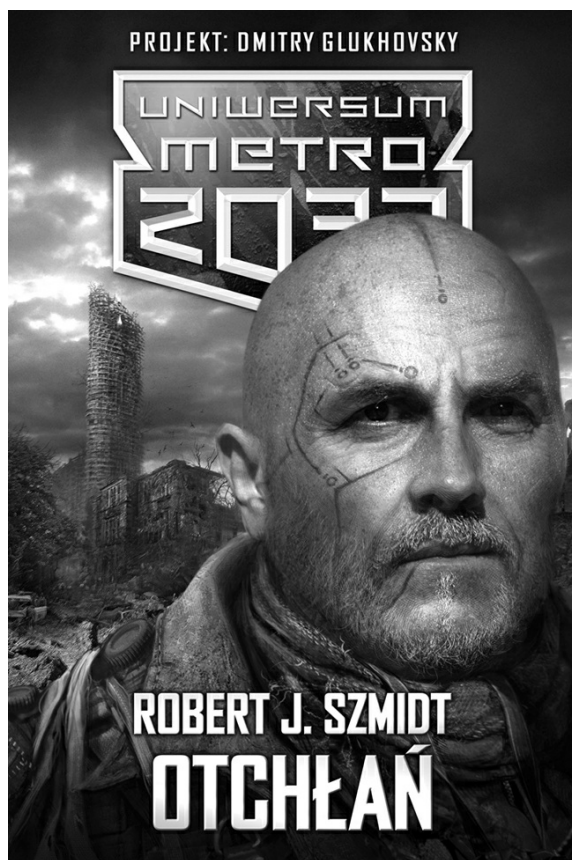
– Tego na Renie – wyjaśnił pośpiesznie.

Tamara nie była w ciemię bita, wystarczyła jedna wzmianka, by zrozumiała, na czym polega ostatnia manipulacja Remera. Nie zastanawiała się też długo, ponieważ doskonale wiedziała, że nic tak nie zjednoczy ludzi jak danie im wspólnego wroga.

# GÓRY SOWIE 2035



- |   |          |   |                |
|---|----------|---|----------------|
|  | CZYŚCI   |  | WIEŻA          |
|  | FARMA    |  | SKŁADY PALIWA  |
|  | KOPALNIE |  | STREFY SKAŻONE |
|  | DOM      |   |                |

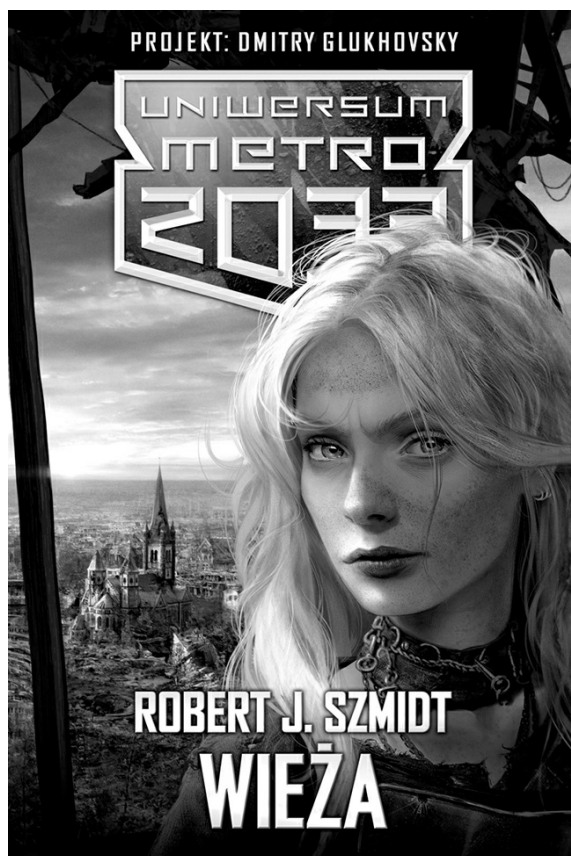


Wrocław dwadzieścia lat po wojnie nuklearnej. Ocalali żyją w ciągnących się pod miastem kanałach, tworząc niewielkie zamknięte społeczności – enklawy. Powierzchnia nie nadaje się do zasiedlenia. Promieniowanie wciąż jest tam zbyt silne, a zmutowane rośliny i zwierzęta stworzyły w ruinach śmiertelnie niebezpieczny ekosystem.

Nauczyciel, jeden z ostatnich Pamiętających, chcąc chronić swego niepełnosprawnego syna, próbuje dotrzeć do podziemi owianej legendami, górującej nad miastem Wieży, gdzie mieści się ponoć najbardziej stabilna enklawa. Droga nie będzie jednak łatwa, a Nauczyciel trafi do miejsc, których istnienia nie

podejrzewał w najgorszych koszmarach.





Zwerbowany przez Czystych Nauczyciel otrzymuje zadanie: trzeba zażegnać kryzys w Nowym Watykanie. Nienawykły do wykonywania rozkazów, postanawia działać na własną rękę i próbuje udowodnić wszystkim, że mimo wielu lat bezczynności pozostał Czarnym Skorpionem, żywą legendą kanałów.

Mierzy też znacznie wyżej: jego prawdziwym celem jest zapobieżenie bliskiej już wojnie z Lekterytami, a misja w Wolnych Enklawach to tylko rozgrzewka przed prawdziwym wyzwaniem, jakim będzie wypad do okupowanej przez kanibali Wieży.

Lubisz mocną (post)apokalipsę?  
Koniecznie sięgnij po Szczury Wrocławia!



*Robert J. Schmidt*  
**SZCZURY WROCLAWIA**  
**Chaos KRATY**

Pełnokrwista apokalipsa zombie. Trzymające w napięciu,  
pękające w szwach od dynamicznej akcji powieści  
napisane z iście kinowym rozmachem.  
Poleca GRAHAM MASTERTON!